



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

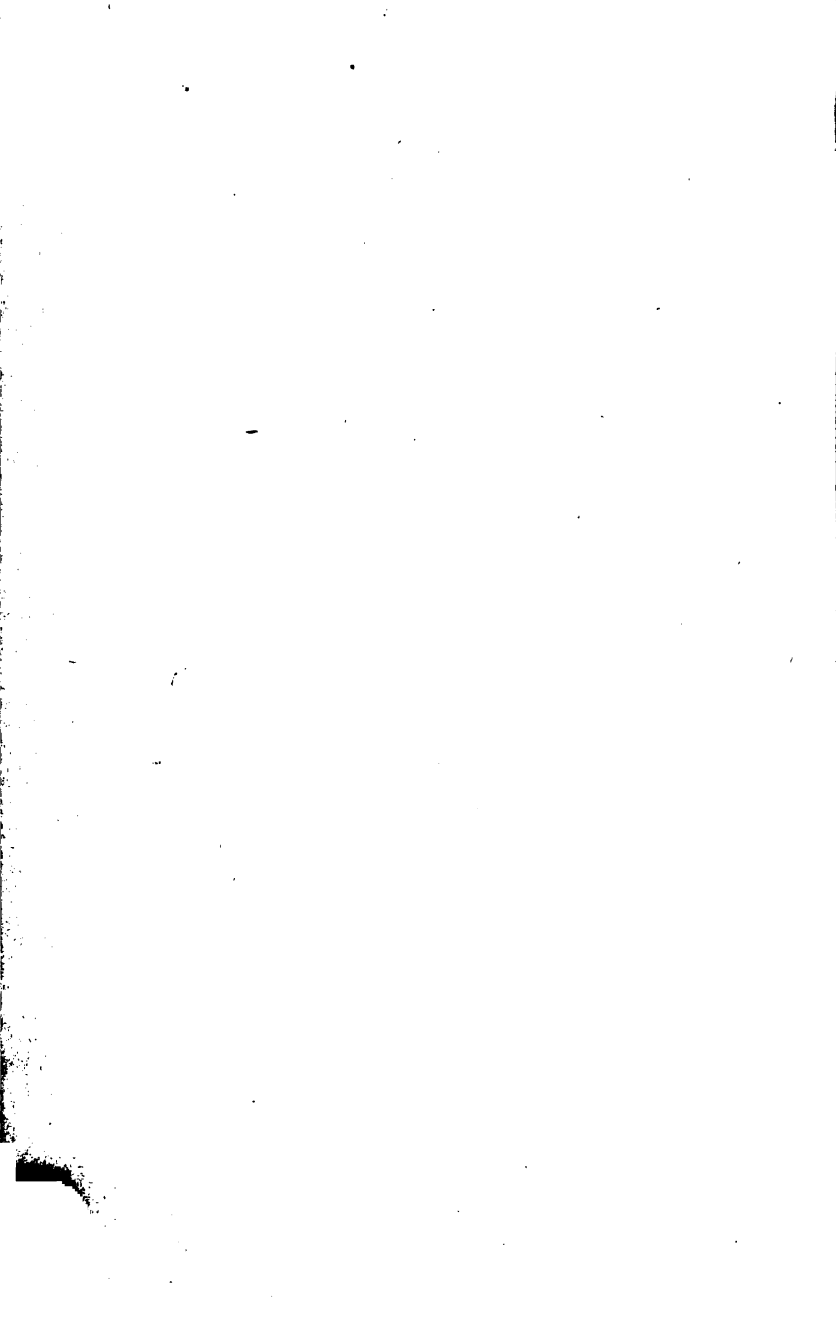
Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Slav 7119.20.20



HARVARD
COLLEGE
LIBRARY

Handwritten text at the top of the page, possibly a signature or header, including the number '111' and a checkmark.



WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

OPOWIADANE DEOTYMIE

przez

ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.



WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

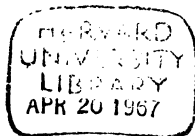
—
1884.

Slav 7119.20.20



Доволено Цензурою.

Варшава, 9 Февраля 1884 года.



DEOTYMIE,

(JADWIDZE ŁUSZCZEWSKIĘJ.)

*Siłą tylko Twój woli i Twego natchnienia,
Mogłem z grobów przyjaciół zebrać te Wspomnienia.
Przyjmże je, ku ich chwale, jak pomnik ostatni
Czci méj dla Cię serdecznój i przyjaźni bratniój.*

A. E. Odyniec.





ZAMIAST PRZEDMOWY

LIST DO REDAKTORKI KRONIKI RODZINNEJ.

1880 Stycznia 1.

Jak niegdyś przed dwunastu laty, podając do pisma Pani pierwszy mój „List z Podróży,” tak i dziś czuję się w obowiązku poprzedzić kilku słowami nowy ten szereg „Wspomnień z Przeszłości”, który znów na żądanie Pani do *Kroniki Rodzinnéj* przesyłam. Cel ich wprawdzie sam tytuł już wykazuje, ale naturę i granice przedmiotu, powód chyba może wyjaśnić. Otóż powodem tym był najprzód wiersz Deotymy do mnie, umieszczony w *Bibliotece Warszawskiéj*, a wzywający mię, w imię ogółu, do napisania życia Mickiewicza. Odpowiedziałem, co czułem, że byłby to zamiar nad moje siły; i z téj to odpowiedzi dopiero wyniknął pierwszy pomysł, plan i program niniejszych opowiadań. Pozwolisz więc Pani, że przytoczę tu najprzód ową moję:

„ODPOWIEDZ DEOTYMIE.”

Jest słowo-potęga, co z danym rozkazem,
I siłę spełnienia dać umie zarazem:

Tém dla mnie jest tve, Deotymol
Lecz słońce, choć samo wciąż gore jak latem,
Nie zawsze jednako panuje nad światem:
Ach! przemódz nie może nad zimą.

I dość w niój dla ziemi niebieskiej dobroci,
Ze mgły jój rozproszy, że chmury ozłoci,
Ze mrok jój rozjaśni jak tęcza.
O! wieszczko natchniona! siostrzyczko ty droga!
To wszystko, przez ciebie zesłane od Boga,
Brat tobie nad grobem zawdzięcza.

Lecz darmo! nie ludziom z naturą pospołu
Chcieć myślą i sercem odkwitać z popiołu,
Jak młodość odzyskać na lice.
A czyżby i zapal sam starczył—by kara
Nie spadła na śmiałka, co skrzydłem Ikara
Nad siłby swych sięgnął granice?

Kto z ludzi dopatrył, drogami jakimi
Natchnienie na wieszczu zstępuje na ziemi,
Lub gieniusz gwiazdą nań spada?
Kto z ludzi obliczył wpływ pieśni, jak słońca,
Gdy wszedłszy jak ono, ożywcza, świecąca,
Nad światem dusz gore i włada?

O! córko natchnienia! któż nad cię na świecie
Tajemnic tych mógłby być świadom? A przecie,

Rzecz prawdę!—czy znasz ty je-sama?

A jeśliż ich w sobie dociekasz daremnie,

O! pomyśl, czy możesz wymagać odemnie

Dziejów natchnień i pieśni Adama?

I cóż ztąd, żem świadek jój świtu i wschodu,
Jak niebios zjawiskiem, współ z rzeszą narodu,

Zachwycił się, cieszył, lub dumiał?

Ach! jednéj jam chyba nie próżen zasługi,

(Co przez cię i dla cię poczuwam raz drugi),

Żem wielbić i kochać go umiał.

A jeśliż jak w ziemi od słońca promieni,

Z tych uczuć, podobne do drogich kamieni

Wspomnienia się w duszy złożyły:

Zamierzchłe mgłą czasu, owiane żalobą,

Na głosby twój chyba wstać mogły przed tobą,

Jak duch wywołany z mogiły.

Boś ty jest najmłodsza z téj wielkiéj plejady
Gwiazd pieśni ojczystéj, co za nim szła w ślady,

Pod barwą i godłem tém samym.

A jako cykl przezeń zaczęty—Ty kończysz,

Tak w życiu i sercu téż mojem się łączysz

Jak siostra rodzona z Adamem.

Bo jako On niegdyś, u dni mych rozwicia,
Dał piérwszy mi poczuć poezją życia,

Przez wyższość i przyjaźń swą bratnią:
Tak dzisiaj u kresu, po długich lat próbie,
Przez ciebie ja znowu odczuwam i w tobie
Tęż samą pociechę—ostatnią.

Więc jako bezsilny już wojak, co krzyże
I kule z ran swoich na jedną nić niże,
By je na ołtarzu zawiesić:
Gdy żądasz—obaczę—czy g'woli twój chęci,
Jak iskier w popiele, nie zdołam w pamięci
Dawnych wspomnień odgarnąć i wskrzesić.

A gdybyś z nich może, jak z żywych postaci,
Poznając chór zgasłych śpiewaków, twych braci,
I duch ich poznała wyraźniej:
Jak lampa przed zgonem, tą myśląbym ożył,
Że płacąc dług serca, i jam téż wam złożył
Hołd, wart ich i twojej przyjaźni.



Ostatnia strofa wiersza zawiera i wyraża zarazem cały właściwy program i cel niniejszych opowiadań. Chcę opowiedzieć przyjaciółce-poetce, niektóre szczegóły i wspomnienia o przyjaciółach-

poetach, towarzyszach życia i pracy, w przewrótowej epoce poezji naszej, i do poezji tylko wyłącznie i jedynie odnoszące się. Że zaś na brak podobnych wspomnień z epok przeszłych, słyszemy utyskiwania powszechne: zdawałoby się, że chcący brak ten choć w części wedle sił i możliwości zapłacić, nie powinienby się obawiać zarzutu samochwalstwa czy samolubstwa, a tém mniej ściągania przez to na siebie czyjéjś nienawiści i obelg. Nauczony jednakże smutném doświadczeniem, czuję się zmuszonym niejako zabezpieczyć się przeciw nim z góry, powtarzając raz jeszcze wyraźnie, że nie są to ani historyczne, ani literackie studia; ani dokładne biografie pojedynczych osób; ani krytyczne sądy i rozbiory ich pism, działalności lub wpływu; ale wprost własne moje osobiste wspomnienia, z przyjacielskich lub towarzyskich z nimi stosunków, na tle zwykłego codziennego życia; z których przyszły historyk lub malarz epoki, będzie mógł chyba może skorzystać o tyle, o ile opisujący jaką kampanię strategik, z opowiadań prostego żołnierza, który sam miał w niej udział i bohaterów jéj na własne oczy oglądał.

Doświadczenie zaś, o którym napomknąłem yżéj, przyszło mi z powodu moich „*Listów z Poróży*,” znajomych czytelnikom *Kroniki Rodzinnéj*,

jako w niej najprzód w ciągu wielu lat ogłaszanych. Jeden z grona upatentowanych gazeciarskich krytyków i recenzentów warszawskich, pan Piotr Chmielowski, nie znalazłszy w tych listach, czego ja bynajmniej pisać nie myślałem, to jest, jak się wyraził: ani „*wspaniałego obrazu społecznego rozwoju ludów, stojących na czele oświaty;*” ani „*uwag nad wytworami rolnictwa, przemysłu, handlu; nad skarbnicami wiedzy i sztuki; ani nad ich ogólnym cywilizacyjnym znaczeniem,*” i t. d.; nie znalazłszy nic z tego wszystkiego, zmieszał autora, jak to mówią, z błotem, i to w tonie, jakiego dotąd przykładu w piśmiennej u nas krytyce nie było, i nikt pewnie w przyzwoitem towarzystwie nie słyszał. To też sprawdziło się przysłowie, które mówi: „W zbytku trucizny bywa antidotum.” Zamach stał się przemachem, i uchybił celu. Mnie samego nie dotknął, nie obraził nawet, a wywołał cały szereg protestacyj: już to ze strony pojedynczych osób, znanych chlubnie tak w piśmiennictwie jak i w społeczeństwie naszym; już ze strony najpoważniejszych organów prasy, tak w Warszawie, jak i gdzieindziej. Jedno z tych pism scharakteryzowało dobitnie ton owęj recenzji, mówiąc: „*Na każdej karcie zniewaga; w każdym zarzucie cynizm;*” a oraz odgadło i wyświeciło jej powód, dodając dalej: „*W autorze Listów chciał krytyk uderzyć na*

tę świetną tradycją związku serc i duchów, otaczającą kolebkę romantyzmu; chciał poniżyć i skalać to, co było najpiękniejszą chwilą w rozwoju duchowym kilku pokoleń,” (N. 263 *Gazety Polskiej*, z d. 22 Listopada, 1878 r.). Że zaś ta chwila właśnie stanowi przedmiot opowiadań niniejszych, łatwo przewidzieć, że też sama przeciw niej pozytywna niechęć, nie zaniecha objawić się podobnie, jak się z powodu „*Listów*” objawiła. Za całą więc odpowiedź, tak za przeszłość jak i na przyszłość, pozwalam tu sobie przytoczyć wyjątek z prawideł, będących niegdyś obowiązującym prawem dla uczestników właśnie owéj chwili w Wilnie, i które dla nich w dalszym ciągu życia obowiązującymi być nigdy nie przestały.

„Jeżeli kto naruszy twoją łagodność, znieś cierpliwie i bądź spokojny. Jeśli cię dotkliwiej obrazi, przebacz mu. Jeśli natrętnik dalej się uniesie, ulituj się jeszcze nad jego nierozsądkiem, przebacz mu jeszcze, i proś go jeszcze aby się upamiętał, i nie używaj nigdy gwałtownego odporu, chyba w przypadku napaści i niebezpieczeństwa.”

Że zaś napaść w tym razie niebezpieczeństwem, Bogu dzięki, nie grozi: odporu więc nie używałem i używać nie będę.

Te zaś słów kilka zwracam wyłącznie do czytelników dobrej wiary, pod których sąd rzecz samą oddaję.

A. E. Odyniec.

Post scriptum.

(1 Maja 1884 r.).

Dla czytelników téjże kategorii, to jest, nie przesądzających, ani posądzających z góry autora, na mocy własnych swoich kombinacyj lub domysłów krytycznych; ale radych jednakże mieć niejaką rękojmię prawdziwości tego, co pisze: — pozwalam sobie, przy osobném wydaniu niniejszych „Wspomnień z Przeszłości,“ poprzedzić je przytoczeniem wyjątku z listu do mnie przyjaciela mojego, Ignacego Domeyki, który ze wszystkich dziś jeszcze żyjących na świecie, (choć na drugiej jego półkuli), jako uczestnik i świadek wszystkich właśnie tych chwil i zdarzeń, które przedmiot niniejszych „Wspomnień“ stanowią, jest niewątpliwie najwłaściwszym sędzią, o ile się w nich istotna, owoczesna prawda odbija. Oto są te jego słowa:

„Santjago 24 Lipca 1883 r.

Drogi mój Edwardzie!

„Z wielką rozkoszą odebrałem twój list majowy, który przyniósł mi nasze Zielone Świątki, tak zawsze piękne, tak urocze! Tém piękniejsze dziś dla mnie ich przypomnienie, kiedy od dwóch miesięcy mamy tu słotę

i chłód, a słońce zaledwie raz na tydzień, na krótki czas się pokaże. Ręce krzepną w pisaniu, choć część mego ogrodu, magnolie, ficus i palmy, tak zielone, jak były latem; tylko jabłonie i inne z naszych sadów przybyłce, stoją obnażone, jakby z tęsknoty za krajem, a górujący nad nimi dąb, zdaje się je pocieszać, choć i sam nie lepiej wygląda, z poschłym liściem, i poczerniały. Nie wesoła to pora; wieczorami więc przy kominie, czytam waszą „*Kronikę*,” „*Czas*,” lub stare dzieje naszego narodu. A i Adam tuż przy mnie, i ty, i Bohdan, i Stefan, i Zygmunt; a na przemian i Kochanowskich, i Górnickiego, i Karpińskiego, i Krasickiego z mojej biblioteczki do siebie zapraszam. Nie dziw tedy, że w tak dobrém towarzystwie i północ mnie często przy gasnącém ognisku zdybie.

„Owóż nie jedną godzinę, czytając w *Kronice* twoje „*Wspomnienia z Przeszłości*,” mile przemarzyłem, i chciwie wyglądałem dalszego ich ciągu. Czyż tylko pojmie je tak dzisiejsza młodzież, jak ja dziś stary je pojmuję? Wierny jest w nich i wydatny, chociaż nie tak jaskrawy, jakby tego sobie może życzyli tego-cześni noweliści, koloryt owego czasu. Osoby i czyny, jak je widzieliśmy; pogoda i spokój w sercu, chociaż umysł zagrzany.... Wiara i Miłość wzajemna, budziły i utrzymywały Nadzieję.

„Rzecz to prawie do niepojęcia, co się dzieje z pamięcią na starość. Nie wiem, czy i ty tego doświadczasz? To, co się niedawno, od trzech, od dziesięciu czy dwudziestu lat stało; na co patrzałem, co słyszałem; co mię dziś jeszcze zasmuci, czy zaboli; złe, czy dobre; łatwiej się jakoś i prędzej zapomina, niż to, co się bardzo dawno działo. I kiedy myślę o naszych przed

50 laty czasach, to cała prawie półwiekowa przeszłość od naszego rozstania się, tak mi się wydaje pustą, momentalną, jak gdyby pięćdziesiątfuntowa bomba, z Krupowego działa wyrzucona, przeleciała przed oczyma mojemu; i tylko widzę ludzi i ziemię z owych czasów, jakby dziś na jawie, i tak żywo, wyraźnie, że gdybym był malarzem, odmalowałbym najdokładniej postacie, rysy każdego człowieka, i obrazy nie jednej wioseczki; nie zapominam imion, nawet wielu dziecinnych wypadków, które sam nie wiem, jak mi zostały w pamięci.

„To też, kochany mój druhu, z owój przyczyny nikt może, z większą ode mnie pewnością, nie może powiedzieć i zaręczyć, że twoje „Wspomnienia z Przeszłości“ są wierne, wskrzeszające ludzi i wypadki, po prostu, jak były. Musi być i dla ciebie miło pisać te wspomnienia, kiedy dla mnie czytać je tak przyjemnie.“

Twój Żegota.



I.

Do ósmego roku życia, nie wiem czy jakie wiersze czytałem: chyba tylko „*Kolędę dla małych dzieci*“ o różczce, którą „Duch Święty dziecięcki bić radzi,“ będącą integralną częścią ówczesnego elementarza, na którym, w piątym roku życia i w ciągu pięciu tygodni, matka moja nauczyła mnie czytać, na niespodziankę dla ojca, który na ten czas właśnie z domu na sejmiki wyjechał. Odtąd czytałem chętnie i skwapliwie co mi tylko wpadło pod rękę, najczęściej nie rozumiejąc co czytam. Ojciec miał tylko książki prawne lub historyczne; matka same pobożne; między temi Żywoty Świętych, do których zaglądałem najczęściej. Ale choć nie wiedziałem co to jest poezya, pierwsze moje dzieciństwo, jak teraz przypominam i widzę, było ciągle samą poezją. Przez lat trzy byłem jedynakiem; przyszedłem zaś na świat po dwóch siostrach, które przed urodzeniem się mojem zmarły. Łatwo więc pojąć jak musiałem być pieśczone i psuty, i to nie przez samych tylko rodziców. Szesnasto-letnia siostra, z pierwszego małżeństwa mego ojca, kochała mnie passyami; z nią

zaś razem mieszkała czasowo u nas, osierocona po rodzicach, młodsza nieco od niej sąsiadka, Małgosia Kuncewiczówna, śliczna jak Anioł, a od wszystkich rybek i ptasząt weselszego humoru panienka. I ona także kochała mię jak siostra, ale ja ją więcej od siostry. I rzecz dziwna, że wszystko co ma z nią związek, najlepiej z tego czasu dzieciństwa mego pamiętam.

Otóż obie te panienki były zwłaszcza rozmiłowane w słuchaniu bajek; a opowiadała im je również rozmiłowana i niezmordowana w ich ciągłym opowiadaniu, wyprawna panna mojej matki, niegdys jój piastunka w dzieciństwie, a potem zarządzająca całym naszym domem, panna Kornelia Ręczyńska. Umiała ona doskonale na pamięć całe „*Tysiąc nocy i jedna*,” i „*Tysiąc dni i jeden*,” i mnóstwo najrozmaitszych czarodziejskich i romansowych powieści, jak np. „*O pięknej Meluzynie*,” i całą *Historią Świętą*, i niezliczone cudowne legendy z *Zywotów Świętych*, i nakoniec wszystkie baśnie ludowe. Umiejętność tę winna była namiętnemu czytaniu książek, których dostarczał jój zwłaszcza starający się o jój rękę pan Jan Zabłocki, odziedziczywszy po stryju-proboszczu ogromny zbiór dzieł tego rodzaju. A że sam był wielki próżniak i niczem prócz czytania zająć się nie chciał: zjednawszy więc tym sposobem serce niemniej gorliwej literatki, ożenił się z nią i osiadł przy niej u nas na łaskawym chlebie, zamieszkując na folwarku alkierzyk, tuż obok izby drugiego rezydenta, pana Franciszka Ejdziatowicza, byłego porucznika wojsk polskich, przyjaciela mojego ojca, który klóćąc się wiecznie z sąsiadem o nieład i nieporządek w jego książkach, wziął je wszystkie nakoniec pod straż swą i opiekę, i mnie czasem sto-

sowne do czytania wybierał. Otóż w długie wieczory i ranki zimowe, pani Zabłocka zgromadzała zwykle w swoim pokoju wszystkie pokojowe i folwarczne dziewczęta, a także i wszystkie dzieci i małych pastuszków z folwarku, z którymi odmówiwszy najprzód wspólny pacierz, zasadzała je do prząsownicy lub do darcia pierza, a sama, z pończoszką w rękę, rozpoczynała swoje opowiadania panienom, przy których i ja zawsze byłem nieodstępny, siedząc zwykle u stóp Małgosi, i drąc pierze wraz z pastuszkami. Odbywało się to zazwyczaj przy świetle kominka, lub łuczywa, zatkniętego w kominie, a sam ten rodzaj oświetlenia musiał się wiele przyczyniać do podniesienia wrażeń słuchaczy. Bo pamiętam, że nieraz taki mnie strach albo żal ogarniał, słuchając o nieszczęściach lub o niebezpieczeństwach jakiejś heroiny, że drząc cały albo szlochając, tuliłem się w objęcia Małgosi, która mnie pocieszała i kołała tém zapewnieniem: że to jest wszystko bajka tylko, nie prawda. Mimo to, tak byłem zamilowany w tych wieczorach i rankach, że codzień o to były spory z matką, która mnie chciała wcześniej zapędzić do łóżka, albo z którego rano uciekałem.

Skutkiem tedy opowiadań tych i tych wrażeń, imaginacya moja od dzieciństwa tak nawykła do bujania samopas w sferze fantazyi i marzeń, że gdy się zbliżył wręście czas porządniejszej nauki, rodzice ze mną rady dać nie mogli. Przy jednej tylko Małgosi miałem cierpliwość pisać na woskowanym papierze, bo ona mnie tego uczyła; ale gdy sam ojciec np. chciał mnie uczyć początków gramatyki łacińskiej i arytmetyki aby mnie przygotować do pierwszej klasy w szkołach; ja tak dalece uwagi skupić nigdy nie mogłem, że za-

miast słuchać co mówi, wtedy owszem najczęściej marzyłem o sylfach, gieniuszach, i zaklętych królewnach, których uosobieniem była dla mnie Małgosia; albo też w białych znakach liczbowych na czarnej tablicy, szukałem lub dorabiałem w myśli podobieństwa do różnych przedmiotów; podobnie jak w ruchomych obłokach na niebie; co było zwłaszcza moją szczególniejszą rozrywką, tak, że mogłem całe godziny leżeć na wznak na trawie, nieruchomie wpatrując się w obłoki. Ojciec, który mnie bardzo kochał i pieścił, a wreszcie z natury łagodny, nie miał siły spróbować grozy. Postanowił więc oddać mię z domu do guwernera w sąsiedztwie. A skłaniało go jeszcze do tego, że dom nasz był zazwyczaj tak gwarny, iżby w nim ani dosyć spokojności dla nauki, ani cichego ustronia dla nauczyciela nie było. Sąsiedztwo nasze było niezmiernie liczne, bliskie i wesołe. Złożone z właścicieli mierniej fortuny, ale opływających wtedy w dostatki, z powodu nadzwyczajnych urodzajów i nadzwyczajnych cen na zboże, w skutek potrzebowania jego za granicę, gdzie wojny Napoleońskie o rolnictwie myśleć nie dozwalały; sąsiedztwo to, połączone nawzajem węzłami pokrewieństwa lub ścisłej przyjaźni, bawiło się, jak to mówią, na zabój, zjeżdżając się prawie codziennie w tym lub owym domu, i niestety! dodać potrzeba — grając najczęściej w karty, i to w gry azardowne, jak stos, faraon, i t. p.

Dom rodziców moich, częściej niż inne, bywał właśnie miejscem tych zebrań; raz dla tego, że ojciec mój był najstarszy wiekiem w sąsiedztwie, a powtóre że u nas mieszkała Małgosia. Oprócz bowiem rzadkiej urody i zalet charakteru, była ona dziedziczką

wcale znacznego posagu, co wszystko przywabiło licznych konkurentów. Zbierano się więc, grano, tańczono, śpiewano, słowem bawiono się—nie wystawnie, ale serdecznie i wesoło. I gdy dziś sobie przypominam te czasy; te gwary, śmiechy, żarty, i figle panieńskie; te stoły zasypane holenderskiem złotem i srebrem; te szeregowy kawalkaty mężczyzn, z moim ojcem na białym koniu na czele; te zimowe kuligi z dzwonekami, przy pochodniach lub pękach łuczywa; kiedy to wszystko przypomnę, a porównam z czasem obecnym: przez porównanie możnaby powiedzieć, że się Arabia Obfita przemieniła w piaszczystą Saharę. We mnie wszakże te ciągle zjazdy i zabawy, na których byłem zawsze obecny, do czczych marzeń o niebieskich migdałach, dodały jeszcze dwa wcale niepożądane, realne, ziemskie uczucia: namiętną chętkę do kart, i zazdrość względem Małgosi. Czy i to może, jeżeli dostrzegał, skłaniało mego ojca do wydalenia mię na czas jakiś z domu, ja nie wiem; ale to wiem, że gdy się dowiedziałem o tém, oświadczyłem i postanowiłem stanowczo, że się piérwój pójdę utopić, niż dobrowolnie miałbym przystać na to. Wątpię, czy ten mój opór miałby jaki skutek. Ale gdy wnet potém Małgosia zrobiła nakoniec wybór, i wyszła za męża, za bardzo zacnego i miłego człowieka, p. Marcellego Wojewódzkiego, powietnika i przyjaciela naszego; dom stał mi się tak smutnym po jój z niego wyjeździe, że sam wręście prosiłem ojca, aby ów projekt względem mnie przyspieszył.

Tak więc tedy, ledwie w zaczętych ósmym roku nego żywota, a z wiosną roku 1811, wyjechałem z rodzicielskiego domu na naukę—do najbliższych sąsiadów rzyjaciół, o pół mili tylko od niego. To téż zamiast

formalnej nauki, spotkała mię tam najprzód nowa miłość, a potem nowa pokusa—do wierszy.

Skład tego domu był arcy-poetyczny. Gospodarzem był p. Krzysztof Skrzydlewski, były oficer artylerji polskiej, towarzysz i przyjaciel bliski Jakóba Jasińskiego, o którym zawsze czule opowiadać lubił; ożeniony, z dziedziczką tego majątku, Honoratą z Januszewiczów, pełną cnót i niewypowiedzianej dobroci, chrzestną niegdyś matką mojej matki, a mnie kochającą jak babka. Przy niej mieszkała osiemdziesięcioletnia jej matka, całkiem bogobożności i modlitwom oddana, i siedemnastoletnia synowica, córka brata, Regina, ładna, smukła, czarnooka greczynka, ale jak słowik ze skowronkiem różniąca się całkiem z Małgosią. O ile tamta, żywa i wesoła, żyła tylko śpiewając i bujając swobodnie w błękitach pogodnej myśli; o tyle ta, marząca i melancholijna, szukała tylko cienia i samotności jak słowik, do którego i z głosu miała podobieństwo. Przy samym też panu domu mieszkał nie mniej sędziwy od matki żony ojciec, dawny konfederat Barski, i hodował się rówieśnik mój, syn brata, Tadeusz, z którymeśmy się czule kochali, i przeto razem mieliśmy się uczyć. Mistrzem naszym i przewodnikiem był żyjący dziś jeszcze, gdy to piszę, p. Adam Baranowicz, uczeń szkoły Boruńskiej, który skończywszy w niej szóstą klasę, dla zebrania sobie funduszu na koszt pierwszej podróży do uniwersytetu do Wilna, przyjął na rok nauczycielstwo domowe.

Było mi tam dobrze jak w raj. Dom rodzicielski widać było jak na dłoni; mimo to wszyscy domownicy tameczni starali mi się osładzać tęsknotę oddalenia; a wzgląd ten zwłaszcza zjednał mi szczególniej-

szą czułość panny Reginy, jako samój od rodziców dalekiej, a dla której ja też nawzajem najżywsze przywiązanie powziąłem. Że zaś prosiła mię przytém ażebym pilnie się uczył: zatém pan guwerner w tym względzie nie miał mi nic do zarzucenia. Nauka owszem przychodziła mi łatwo, zwłaszcza uczenie się na pamięć; uwagi tylko przy arytmetyce nigdy skupić nie mogłem. Rodzice przyjeżdżali często, a co sobotę i przed każdym świętem przysyłali po mnie; w pogodne zaś dni letnie nad wieczór, panna Regina brała mnie z sobą na spacer do gaiku, na połowie drogi od mego rodzinnego domu, gdzie się z siostrą moją schodziła.

Tak upływał początek mego naukowego zawodu; gdy dnia jednego, (a było to w Maju), położywszy się już spać zauważyłem, że pan guwerner, zamiast się także położyć, zasiada owszem do pisania, ale co weźmie pióro, to znów je położy; co napisze jakie słowo, to zmaże; aż nakoniec zerwawszy się z krzesła, zaczął chodzić wkrąg po pokoju, gadając coś sam do siebie, i ruszając na powietrzu palcami, jakby coś na nich rachował. Zaciekawilo mię bardzo, co to znaczy? Przyczałem się więc jak mogłem, żeby jego uwagi nie zwrócić, a sam śledziłem go ciągle oczyma—aż wreszcie sen je zamknął, nim on to swoje chodzenie zakończył. Nie wiem więc jak długo trwało; ale obudzwszy się nazajutrz obaczyłem, że ubrany, jakby się nie kładł, siedzi znów przy stoliku, i z pokreślonego strasznie arkusza przepisuje coś na pocztowym złoto-brzeźnym papierze, który wtenczas był drogą rzadkością. Udałem zatém znowu że śpię, i patrzałem. On skończył, odczytał sobie w pół-głośno, uśmiechając się i machając ręką, (widać że bardzo był kontent), scho-

wał papier do szufladki—i wyszedł. Zerwałem się na równe nogi, i bez skrupułu wysunąłem szufladkę, aby wiedzieć, co on to pisał? Mój Boże! mógłbym przewidzieć, że to jest chwila stanowcza w mém życiu, która mu cały przyszły kierunek ma nadać!

Były to wiersze; powinszowanie nadchodzących imiennin pannie Zofii Korejwiance, pięknej także sąsiadce naszej, a razem i oświadczenie serdecznych affektów. Nie treść ich, ale sama miara i rymy, tak jakieś czarodziejskie sprawiły na mnie wrażenie, że bosy i w pół nagi, jak byłem, zacząłem klaszcząc w ręce skakać po pokoju, powtarzając je sobie na pamięć. Jakem się ich nauczył, sam nie wiem; ale jakoś przyszło to samo. Nie miałem nic pilniejszego jak powtórzyć je pannie Reginie, od której o nich dowiedzieli się drudzy. Pan guwerner jednakże tak był kontent z mego uwielbienia, że nie tylko mi niedyskretną ciekawość przebaczył, lecz tak mię owszem od téj chwili pokochał, że miłość ta, przez całe życie niezmienna, jest dziś, jak mi sam w listach swoich powtarza, ostatnią pociechą dziewięćdziesięcioletniego już blisko starca, a którą ja mu nawzajem ze szczerą wdzięcznością odpłacam. Odtąd téż stałem się powiernikiem wszystkich jego dawniejszych i nowych utworów poetyckich, zazwyczaj treści miłośnej, i na wzór ich, sam zaraz ułożyłem wiersz takiż do panny Reginy, który tak się widać nawzajem Mistrzowi mojemu podobał, że mię sam odtąd formalnie, nie tyle do uczenia się pensy, co do pisania dalszych wierszy zachęcał, ucząc mię przytém ich miary, średniówek i dobierania rymów. Nie przestając wszakże na wzorach swoich, dał mi zarazem w ręce Kochanowskiego, Krasickiego, Karpińskiego i Knia-

żnina, których w dawnych wydaniach posiadał, i sam przy ich czytaniu dopomagał mi do zrozumienia tego, co sam rozumiał i wiedział. Nieraz bowiem zdarzały się wiersze, jak np. ten Krasickiego, w Satyrze p. t. *Marnotrawstwo*.

„Przynoszą trzy Vandyki i cztery Rubense,“

które dla obu nas pozostały zagadką. Zresztą nie szło mi wcale o ścisłość rozumienia. Sam dźwięk rymów i muzyczna harmonia miary wierszowej tyle dla mnie miały uroku, a wiersze same przez się tak jakoś lgnęły w pamięci: że nie ucząc się umiałem ich kopami, a powtarzanie ich samemu sobie, czy to w słowach, czy tylko w myśli, stało mi się prawie nałogiem. Że zaś kończyło się zazwyczaj memi własnymi dodatkami, w tym samym tonie i miarach, (choć wcale bez związku z ich treścią), przyzwyczaiłem się powoli wszystkie moje najpospolitsze myśli układać w rymy i miary wierszowe. Aż nakoniec, bez najmniejszego wyobrażenia o prawidłach i prawach kompozycji, ale wprost tylko przez naśladowanie formy, zacząłem sam składać wiersze. Mówię *składać*, bo składałem je tylko w myśli, nie umiejąc sam jeszcze na papierze napisać. Dyktowałem je więc zazwyczaj coraz bardziej kochanej pannie Reginie, a i składałem je też najłatwiej siedząc przy niej na ławeczce przed gankiem, i wpatrując się z nią razem w gwiazdy, albo w ówczesną komętę, a najczęściej w jasne jej oczy. Tym sposobem, po przeczytaniu „*Myszeidy*“ Krasickiego, zacząłem zaraz w myśli układać „*Pigmeidę*,“ to jest wojnę Pigmei z żórawiami, o czém nie wiem już z kąd wiedziałem. Chcąc zaś przytém wiersze przenieść na papier, zacząłem się gorliwie wiać do nauki pisania, że w bardzo krótkim przeciągu czasu, na liniowanym przez

pannę Reginę papierze, mogłem już sam jako tako kompozycje moje nabazgrać. Stało się to też jedyną pracą moją i nauką z ochoty; bo wszystkiego innego uczyłem się tylko z obowiązku, i to może najwięcej dla przypodobania się pannie Reginie, która mię zachęcała do tego, i przed dobrém wydaniem wszystkich lekcyj bawić się ze mną nie chciała.

Tak przeszło lato, jesień i zima z r. 1811 na 1812, a poetycka sława moja w tym czasie rozniosła się szeroko po całej parafii, jeżeli nawet nie po za jej granice. Szerzył ją mianowicie sam p. Skrzydlewski, który może przez pamięć przyjaciela swojego Jasińskiego, był, chociaż nie literatem, ale niezmiernym lubownikiem wierszy, i musiał moje uważać za dobre, kiedy je przepisane przez pannę Reginę woził z sobą i czytywał w sąsiedztwie. Wiedziałem o tém od panny Reginy, a zaś wpływ i skutek téj sławy czułem zwłaszcza z wielką radością w obejściu się ze mną sąsiednich panienek, które wcale inaczej niż mego kolegę Tadeuszka, albo jak mnie samego przedtém, traktowały mię i obsypywały względami, za co ja znowu przez wdzięczność pisałem wiersze na pochwałę każdój. Ojciec mój nie rad był z tego, i owszem bojąc się, widać, jako człowiek rozumny, ażeby te pochwały i względy nie zawróciły mi głowy, powtarzał mi ciągle, pamiętam, że wiersze są tylko zabawką a nie nauką; że pieszczoty są tylko grzecznością dla dziecka, a więcej jeszcze dla jego rodziców; ale że potrzeba się uczyć rzeczy poważnych, aby mieć chleb, szacunek i życzliwość ludzi. Dopiero gdy raz xiądz Prefekt i Professor wymowy z Borun, X. Martynian Komar, poważny i poważany powszechnie człowiek i kapłan, będąc wraz

z rodzicami mojemu na obiedzie u państwa Skrzydlewskich, pokazane mu wiersze moje pochwalił i do dalszego postępu w nich zachęcił: ojciec mój także przestał je lekceważyć, przynajmniej w rozmowie ze mną; chociaż nigdy nie odstąpił od tego, że nauka rzeczy poważnych, jak do życia tak i do wierszy nawet, jest najprzód nieodbitnie potrzebną. Matka zaś ciesząc się bezwarunkowo obecnym moim powodzeniem i sławą, podwajała mi tylko dowody czułości i przywiązania.

Tym sposobem poezya, od samego początku, stała się dla mnie źródłem nowych tylko uroków i rozkoszy życia. A nie powiem, żeby i w dalszym jego ciągu gorycz jaka wypłynąć z niej miała. Owszem, wszystkie najmiłsze i najszczęśliwsze chwile, wypadki i stosunki, z niej to lub przez nią wzięły zwykle początek; licząc w to i ten słodki i braterski stosunek z tobą, moja najdroższa siostrzyczko! który jakby gwiazdzistą klamrą cykl podobnych dawniejszych zamyka, a żal po nich i tęsknotę osładza; tak, że je na twój rozkaz wznawiając w pamięci, czuję w sercu jakby ostatnią pociechę Ossyana, gdy już nad brzegiem grobu, samotniony i ślepy, o dniach swojej szczęśliwej młodości i o jej bohaterских towarzyszach, przed ukochaną Malwiną wspominał i opowiadał.

Ale że celem tych wspomnień mają być same tylko wrażenia i stosunki, pośrednio lub bezpośrednio z poezją związek mające: pomijam więc milczeniem cały peryod wejścia i pobytu u nas Francuzów w r.

12, podczas którego wszystkich myśli i serca zwróty się ku czemu innemu, a i dziecinna Muza moja ǫd szczęku oręża zamilkła. Wprawdzie i na dzienną duszę wrażenia te potężny wpływ miały; ale

czyżbym je dzisiaj mógł dokładnie przypomnieć albo obliczyć? chociaż niektóre chwile i wypadki tak żywo i tak jasno stoją mi przed oczyma, jak gdyby się wczoraj zdarzyły. Tak np. pamiętam wrażenie przy widzeniu pierwszego ułana, jakiegoś Andrzejewskiego z 9-go pułku, który wzięwszy mnie na siodło, galopował ze mną po dziedzińcu, i różne sztuki chorągiewką wyrabiał. Ale też niemniej wyraźnie, niestety, pamiętam i późniejsze rabunki maroderów francuzkich; i niebezpieczeństwo życia ojca, kiedy go jeden z nich chciał po pijanemu zastrzelić, aż go zaledwie obronili drudzy; i kilkotygodniowe potem tułanie się po lasach, wraz z wielu sąsiadkami i dziećmi, w liczbie których była też i Reginka. Matka moja była w tym czasie chorą; ona więc wraz z siostrą moją, i z czułością siostry, czuwała mianowicie nade mną. Ja zaś, w przewidywaniu ciągłym napaści, i przemyśliwając wzajem o jej obronie, tak nakoniec znieawidziłem Francuzów, że nawet po francuzku uczyć się nie chciałem. Dostaliśmy się wreszcie do miasteczka Holszan, gdzie mieszcząc się na poddaszu w starym zamku niegdyś książąt Litewskich, żyliśmy literalnie suchym chlebem i wodą, kiedy mleka w miasteczku zabrakło; aż nakoniec, dostawszy załogę, w połowie Sierpnia wróciliśmy do domu.

Załogą tą był żołnierz Kozłowski, z Legii Nadwiślańskiej, który odbył kampanię Hiszpańską, a polubiwszy mnie bardzo, opowiadaniem swojemi o niej, i śpiewaniem mi piosnek żołnierskich, wpłynął niezmiernie na imaginacyą moją i uspioną wenę rozbudził. Dotąd nie mogę widzieć żytnich mędlów na polu, albo smukłej brzozy płaczącej, z rozwieszonymi gałęziami do

ziemi, żebym wnet nie przypomniał Hiszpanów, w krótkich czarnych płaszczach, albo pięknych czarnookich Hiszpanek, otulonych w długie mantylle, do których je przyrównywał Kozłowski. Gdy zaś ten razu jednego—dowiedziawszy się, że Francuzi w Borunach rabują kościół i miasteczko, i że jeden z nich dla igraszki zastrzelił staruszka kowala—poleciał tam oklep na koniu, z karabinem w ręku, na pomoc tamecznemu załodze, koledze swemu, i zebrawszy z nim razem mieszczan, nie tylko maroderów wypędził, lecz nadto, wymierzając sprawiedliwość doraźną, sam, z karabina także, zabójcę trupem położył; ja tak byłem uniesiony tém i ucieszony, że na cześć tego bohaterkiego czynu ułożyłem dla niego piosenkę, na wzór tych, które mi śpiewał, a z której on nawzajem tak był uradowany, że nie tylko jój się sam na pamięć nauczył, ale mi obiecywał, że półk cały śpiewać ją będzie. Pamiętam dotąd dwie ostatnie strofy, i przytoczę je tutaj dla osobliwości.

Dobrze tak, Francuzie, tobie,
Dobrze tobie tak!
Nie będzie stał na twym grobie
Święty krzyża znak.

Ciało twoje jak pies zgnije,
Ty synu czartowski!
A ja wołam: niechaj żyje
Bohater Kozłowski!

Wiersze te, pamiętam dobrze, układałem płacząc ewnie, nie tyle z żalu, co ze złości i z nienawiści rancuzów. Nienawiść ta tak się stała panującą we mnie, że dopiero podczas rejterady, gdy nieraz byłem wiadkiem straszego losu jeńców, uczucie to niena-

wiści ustąpiło miejsca niemniej głębokiej litości, i zwróciło się samo w odmiennym kierunku.

We Wrześniu, szkoły w Borunach zostały otwarte jak zwykle, i ja w nich, razem z Tadeuszkiem Skrzydlewskim, i pod zwierzchnictwem tegoż p. Adama Baranowicza, rozpocząłem zawód studenta klasy pierwszej. Niedługo to jednak trwało; bo wnet zbliżająca się znów groza wojny rozproszyła uczniów, których rodzice, jak mnie moi, napowrót do domów zabrali. Wrzesień więc następnego, 1813 roku, był właściwie początkiem moich nauk szkolnych. A że wpływ ich gra ważną rolę tak w dziejach poetycznego kształcenia się mojego, jak i poetycznych stosunków na przyszłość, które są głównym przedmiotem tych wspomnień: przeto i obszerniejszą wzmiankę temu nowemu peryodowi mego życia (1813—1820) zamierzam w tém miejscu poświęcić. Wprzód jednak chcę dodać słów parę o losie tych dwóch piastunek-stróżek pierwszych moich poetyckich wrażeń i marzeń, o których wyżej wspomniałem.

Charakter i usposobienie ich obu, były jak gdyby przepowiednią przyszłego ich losu. Panna Regina, uboga i sierota bez matki, ulegając zwłaszcza wpływowi ojca i braci, (bo opiekunowie jój, państwo Skrzydlewscy, zupełną jój zostawiali swobodę), poszła za mąż za jednego z sąsiadów, dziedzica porządnej wioski, ale który właśnie dla tego, że miał być jój dziedzicem, w szkołach uczyć się nie chciał, i skończył je na klasie czwartej; osiadłszy zaś niby na gospodarstwie, hulał tylko, polował, pił i grał w karty; aż nakoniec zakochał się śmiertelnie w pannie Reginie. Doradzcy jój sądzili, że go wpływ jój poskromi i upamięta; ale sama ona tylko, niestety, stała się smutną ofiarą

głupstwa, brutalstwa, i dziwactw istnego półwaryata, który w lat kilka wtrącił ją do grobu. Małgosia zaś, sama majątna, poszła za głosem serca, i wybrawszy człowieka, który właśnie natenczas zawód pracy chlubnie zaczynał, dożyła z nim najszcześliwiej *złotego wesela*; i dziś jeszcze, kiedy to piszę, chociaż już wdowa po nim, żyje w poojcowskim majątku, na łonie licznej i zacnej rodziny, otoczona szacunkiem i życzliwością powszechną, i zachowując sama, w osiemdziesiątym przeszło roku życia, całą świeżość umysłu, a pokój i pogodę serca.

II.

Czasy szkolne.

„Czas leci niewstrzymany!—Ludzie, co niedawno
Na kolanach dzieciństwo nasze piastowali,
I lub dziejami przodków, lub baśnią zabawną
Duch w nas wieszcy i miłość kraju zapalali,
Gdzież są? Znikli ze świata! Zmarli, lub zgrzybiali,
Z myślą znużoną, z sercem wpół skrzeplém już w łonie,
Jako szczątki rozbicia nad brzegami fali,
Czekają, zda się—rychło, jak morze w swe tonie,
Wieczność ich coraz bliższa zajmie, i pochłonie!

Ale czas, jak pojedynczych ludzi, porywa téż i pochłania zarówno instytucje ludzkie i zwyczaje; a do tych pochłoniętych nazawsze, należą już dawne szkoły Litewskie, i panujący w nich ogólnie obyczaj. Szkoły te, osnute na zasadzie prawideł przez Warszawską Komisyję Edukacyjną ułożonych, zajęły miejsce szkół Jezuickich, po skasowaniu Zakonu; a te z nich, które przeszły pod zarząd duchowieństwa innych zakonów, w niczém, ani pod względem wykładu nauk, ani pod względem sposobu prowadzenia, nie różniły

się zgoła od świeckich; chyba, że kapłański charakter nauczycieli, jak powadze ich i posłuszeństwu uczniów, tak nawet samej nauce, świętość religijnego obowiązku nadawał. To też szkoły duchowne dostarczały zazwyczaj uniwersytetowi w Wilnie kontyngens najpilniejszych i najmoralniejszych uczniów; i sam ów czysty, wzniosły, estetyczny kierunek i nastrój duchowy, który się w tym uniwersytecie rozwinął, i z którego następnie nowa nasza poezya wykwitła, winien był swój początek uczniom szkół tego rodzaju. Piękny i wierny ich co do ducha wizerunek masz, siostrzyczko, w „*Obrazach Litewskich*“ Chodźki, p. t. *Boruny*; i o tych też to właśnie Borunach, ja po prostu i prozaicznie mam zamiar dodać tu kilka rysów, któreby, jako komentarz, uzupełnić mogły wyobrazenie o tym wiejskim, małym, cichym zakątku, w którym wszakże, jak słońce w kropli, odbijał się wiernie zarazem cały charakter i obyczaj ówczesnych szkół Litewskich i studenckiego w nich życia młodzieży.

Otóż wyobraź sobie, siostrzyczko, wieś, zwaną miasteczkiem dla tego, że ma duży i piękny kościół murowany i otoczony murem; zegarową wieżę, kapliczkę na środku rynku, i dwupiętrowy klasztor, ale zresztą zabudowaną prostymi drewnianymi domami, w liczbie najwięcej 25—30, licząc w to szkołę, dwie karczmy zajezdne w rynku, i dwie tuż za miasteczkiem, oraz stary w pół pusty dom w środku, rodzaj ratusza, zwany *Kaffenhausem*, ale w którym jak rady miejskiej, kawy i kawy nigdy nie było, a mieszkał tylko stary Niemiec z żoną, sprzedającą studentom kołaczki, obwarzanki i mleko, póki jagód i owoców nie było. Wszy-

stkie te domy, należące do mieszczan, nieróżniących się niczém od włościan, a raczej od zaściankowej szlachty własną ręką uprawiającej rolę, zabudowane były częścią w rynku naprzeciw kościoła, częścią wzdłuż trzech tak zwanych ulic, ale rzeczywiście wzdłuż trzech dróg najzwyczajniejszych, z wybojami i kolejami, piaszczystych i błotnistych po deszczu, rozchodzących się na trzy strony z miasteczka, ale przez które wpoprzek nawet ścieżki brukowanej nie było. Struktura ich ogólna, z małemi wyjątkami, była taka: Dziedziniec, oddzielony od rynku niskim parkanem lub płotem. Z dziedzińca wejście do sieni, z niej zaś na prawo i na lewo do dwóch osobnych mieszkań, złożonych każde z dwóch izb, nie więcéj, a rozdzielonych pomiędzy sobą jak sienią, tak równą jęj co do rozciągłości kuchnią czy piekarnią, do której się wprost z sieni wchodziło. Ta część domu była zawsze mieszkaniem gospodyni, utrzymującej studentów, czy była nią sama właścicielka, czy tylko dzierżawczyni domu; a w takim razie właściciele mieścili się w oddzielnym od domu chałupie.—Otóż te dwa apartamenta w każdym domu służyły za pomieszczenie dla uczniów, a mieściło się w nich tylu, ile łózek mogło stanąć wkrąg ściany. Niekiedy obie połowy miały nad sobą jednego tylko *guwenera*, niekiedy w każdej panował osobny. Grono uczniów, pod jednym guwenerem będących, nosiło ogólną nazwę *stancyi* tego a tego. Stancye więc, jak kraje, były większe i mniejsze, ale nigdy nie mogły ogarniać dwóch domów; panowanie nawet nad obiedwoma połowami jednego, było tylko udziałem samych li guwenerów *emerytów*, to jest takich, co sami skończywszy już szkoły, obowiązek w nich nauczycielski

spełniali. Wszyscy jednak guwernerowie w ogólności stanowili właściwie patrycyat szkolny, który sam bezpośrednio stykał się już ze sferą i władzą rządzącą, to jest z professorami i prefektem. Prefekt był, jeśli nie Dyktatorem, to przynajmniej Konsulem tój całej Rzeczypospolitej studenckiej; gdyż xiądz *Superior*, zarządzający całym klasztorem, częścią jego kościelną i majątkową, dla studentów był tylko jakby mytem, który sam nigdy z Olimpu ku nim nie schodził i bezpośrednio do nich się nie mieszał.

Na takiem to tle miejscowości i wśród tych hierarchicznych towarzyskich warunków, rozwijało się i upływało rok rocznie życie około dwóchset młodzieży, najwięcej synów szlacheckich właścicieli ziemskich, z Oszmiańskiego i sąsiednich powiatów, od 9—18 lat wieku. Nie tylko zaś jako sam wychowaniec Boruński, ale z bestronną śmiałością dodać tu mogę i muszę, że mało było szkół innych, któreby tylu swoimi uczniami sprawiedliwiej poszczycić się mogły. Wielu używających słusznej wziętości na wyższych potem obywatelskich urzędach, tak w powiatach swych i w guberniach, jak i w Królestwie Polskiem, tu wzięło swe wychowanie; jak np. znany chlubnie jako gubernator Płocki a potem Lubelski, w r. 1862, p. *Stanisław Mackiewicz*. A są też i imiona, które ztąd na horyzont literacki wybłysły. Do tych ostatnich należą np. między innymi: *Antoni Wyrwicz*, professor matematyki w uniw. Wileńskim; *Wincenty Karczewski*, adjunkt profesora astronomii w tymże uniwersytecie; *Antoni Odrowąż Kamiński*, autor uznanych za elementarne: jeografii i arytmetyki, i nakoniec *Leonard* i *Ignacy Chodźkowie*. O tym ostatnim będę mówił kiedyś obszerniej w dalszym

ciągu tych moich wspomnień; ale tu potrąciwszy o imię Leonarda, nie sędzę by być miało zboczeniem od głównego ich celu, gdy téż i o nim, nawiasowym sposobem, kilka drobnych szczegółów dołączę; a to tém bardziej, że i wpływ literacki, jaki miał na mnie, na tę właśnie mniej więcej epokę przypada. Nie był on już moim kolegą szkolnym, ale był krewnym po matce, i przeto będąc w szkołach, gdy ja byłem dzieckiem, często pomniejsze święta w domu naszym, jako bliższym Borun, przebywał. Byliśmy z nim zawsze w najlepszej komitywie; ale raz pokłóciwszy się o coś przy układaniu ziarn bobu w szeregi leżących zórawi: ja, mając w rękę blaszaną półkwaterkę z bobem, tak mocno uderzyłem go nią między oczy, że się oblał cały krwią z nosa. Zamiast jednak oddać wet za wet, albo skarżyć mię przed rodzicami, on tak owszem wspaniałomyślnie postąpił, że widząc żal mój i skruchę, nie tylko porywczosć przebaczył, lecz nawet winę niby przypadku przyjął całkowicie na siebie; aż ja potem ruszony skruchą sam się do niej dobrowolnie przyznałem. Od-tąd stosunek nasz z mojej strony przybrał charakter serdecznego przywiązania, którego on nie odrzucał, a które potem z laty zamieniło się we wzajemną przyjaźń. W roku jeszcze 1830, gdy go po raz ostatni widziałem w Paryżu, pokazywał mi biały znaczek pomiędzy oczyma, ślad uderzenia owęj półkwaterki, który często mu, jak powiadał, robił miłe wrażenie, przypomnieniem czasów dzieciństwa. Wpływ zaś jego literacki na mnie był zwłaszcza tego rodzaju, że mając przesłiczny charakter, przepisywał sam sobie mnóstwo różnych wierszy, i tych mi do czytania udzielał. Tym sposobem, będąc już w szkołach, czytałem po raz pier-

wszy „Nurka“ Szyllera, w przekładzie J. N. Kamińskiego, i czytanie to sprawiło na mnie zwłaszcza ten skutek, że zaraz nazajutrz, sam z własnej ochoty postanowiłem i zacząłem się uczyć po niemiecku, co nie wchodziło koniecznie w program nauk szkolnych. Inną jeszcze anegdotę o książce, przywiezionej mi przez Leonarda Chodźkę do Borun, do późniejszej narracyi zostawiam.

We wrześniu 1813 r., jak już wyżej wspomniałem, rozpocząłem na nowo zawód studenta — nie pod dyktando już pana Baranowicza, który do Wilna na uniwersytet pojechał, ale p. Bonifacego Brodowskiego, który także emeryt Boruński, w roku przeszłym zaciągnął się był do wojska, i odbywszy całą kampanię 1812 roku znowu tu na guwernerkę powrócił. Nie miał on poetycznych usposobień swojego poprzednika, (przez co i moje nie budzone usnęły), ale był to człowiek energiczny i zdolny, czego najlepszym dowodem była dalsza jego karyera. Odbywszy uniwersytet w Wilnie, został nauczycielem matematyki w gimnazyum tamecznym, i umarł jako Dyrektor tegoż gimnazyum. W Borunach już miał on opinię najlepszego pedagoga; był naczelnikiem, i nawet sam gospodarzem najlepszej stancyi w miasteczku, i miał pod sobą grono najwybrańszych uczniów. I on, i wszyscy Koledzy byli dla mnie dobrzy. Tadeusz Skrzydlewski był razem; przez się zaś naprzeciwko mieszkali, pod guwernerem Hajką, trzej Laskowiczowie z Lidzkiego, z których najmłodszy Karol, mój rówieśnik, ze wzrostu i ciemnej cery bardzo nawet do mnie podobny, (tak, że nas obu „czarnuszkami“ zwano), ał się najbliższym moim przyjacielem. Mimo to, dalenie od domu, (o lekką milę tylko), i towarzywo samych tylko chłopców, bez żadnej dla pociechy

Małgosi albo Reginki, taką we mnie z początku obudziły tęsknotę, że całą moją ulgą w niej było, iść pod dzwonnice na wzgórk, z kąd mogłem widzieć dach i drzewa domowe, i płakać tam patrząc na nie. Aż dnia jednego nakoniec, nie opowiedziawszy się nikomu, choć czułem że to nie dobrze, wziąłem czapeczkę i kijek, i piechotę ruszyłem do domu. Widok malca idącego samopas drogą, zwracał uwagę przejeżdżających, którzy mnie w tej podróży spotkali. Ale wykłamałem się jakoś przed każdym, kto mnie o jej powód zagadnął, i bez szwanku stanąłem w domu; gdzie też w ślad za mną przybiegł konny posłaniec, w pogoń przez p. Brodowskiego posłany.

„I ja tu!“ zawołałem do pani Zabłockiej, która widząc mnie wchodzącego aż się przeżegnała z przestachu. Wykrzyknik ten stanął mi potem, jak to mówią, kością w gardle, gdy mi nim w szkołach wytykano oczy; chociaż gdybym był wiedział wtedy, że Karpiński podobnie kiedyś postąpił, gotów byłbym się raczej chlubić z tego, nie wstydić. Rodzice nie mieli serca skarcić mnie zbyt surowo za ten dowód przywiązania ku nim. Uraczywszy więc kawą po drodze, ojciec sam jak delinkwenta odwiózł mnie napowrót do szkoły—wprost do celi więźnia prefekta. Poezya i tu mi posłużyła. Prefektem był ten sam x. Martynian Komar, który przed dwoma laty na obiedzie u pp. Skrzydlewskich wiersze moje czytał i chwalił; a że był przytém przyjacielem rodziców, więc się rzecz jakoś załatwiła gładko. Oświadczył mi jednak surowo, że tylko przez pamięć tych moich wierszy, ten raz mi jedyny przebacza. Ale potem kiedyś mi mówił, że patrząc na moją minę w tej chwili, tak czuł razem i śmiech i litość, że chciałby był

mię raczej uścisnąć, niż karać. Gorzej było z p. Brodowskim, który nie uważając na obecność ojca, tak się był groźnie koło mnie zawiązał, że zaledwie instancja ojca i obietnica przezeń uczyniona za mnie, że już tego więcej nie będzie, uwolniły mnie od zapowiedzianej pokuty. Była to naturalnie, jak teraz widzę, pedagogiczna komedia z jego strony, dla ustalenia swojej powagi nade mną; ale też miała ten zbawienny skutek, że odtąd byłem zawsze jednym z najposłuszniejszych i napatulniejszych uczniów; przez co także nawzajem większą od innych łaskę i przychyłność jego zjednałem. To właśnie obudziło w niektórych kolegach pewien rodzaj zawiści ku mnie, i aby mi dokuczyć, przewalili mnie *dezertorem*, z powodu téj mojej ucieczki. Gdy zaś wkrótce, w skutek skarg moich o to, p. Brodowski w swojej stancyi, a professorowie w klasie, zakazali surowo używania tego przezwiska: kole-dzy, z przyczyny tego właśnie zakazu, nadali mi inne: *Benjaminka*, które już przy mnie na zawsze zostało. Bo chociaż pierwiastkowém jego źródłem było nie co innego, jak ironiczny przytyk do niezasłużonej łaski guwernera i professorów: ale o tém się zapomniało z czasem; a zaś łaska ta coraz wzrastając, tak stała się wreszcie widoczną, że mnie istotnie wyróżniała od innych. Przyczyniło się wiele do tego, że byłem, obok z Karolkiem, najmłodszym i najmniejszym z całej klasy; lecz że Karolek, zimniejszy z natury, był przytém trochę dumny i hardy, i przypodobać się bardzo nie starał: ztąd nie dziw, że nazwa Benjaminka do nie jednego stosować się dała.

Ale nie chwając się, powiedzieć téż muszę, że razu stanąłem w rzędzie celujących; nie żebym się

pilnością odznaczał, ale że uczenie się przychodziło mi jakoś łatwo, a miałem już nie złe początki, przez pana Baranowicza wszczepione. Przymiłem ani wiersze, ani Reginka, nie odrywały mnie od obowiązkowej nauki; gdyż nie zachęcany przez nikogo do wierszy, całkiem o nich byłem zapomniał; a Reginka poszedłszy za męża przestała też być celem mych myśli. Nie przeszkadzało to przecież moim ulubionym marzeniom o niebieskich migdałach, ze świata *Tysiąca Nocy*, które były mi zawsze najmilszym zajęciem; ale gdy przyszła pora uczenia się zadanej lekcji, pakowałem się do jakiejś ogromnej beczki czy kadzi, na dziedzińcu stojącej, aby nie około siebie nie widzieć, i tam przeczytawszy ją—to jest lekcją—parę razy głośno, dla echa od ścian beczki, które mię bawiło, wyłaziłem z niej—to jest z beczki—całą pensę umiejąc na pamięć. Byłem więc jednym z celujących w klasie; drugim zaś, nie po mnie, (bo żaden z nas nie był pierwszym), ale obok mnie, był starszy o lat parę ode mnie, a różniący się usposobieniem jak niebo od ziemi, kolega i powietnik, Hieronim Umiastowski. Był to ideał pilności, porządku, akuracności we wszystkiem. Wszystko co zrobił, było dobrze; co powiedział, było rozsądnie. W moralném też postępowaniu i obejściu się z kolegami, nie było w nim nic do zarzucenia. Ale we wszystkiem co robił, widział tylko to, co robi; mówił o tém tylko, co było, lub co go otaczało; a w postępowaniu z drugimi, nigdy ani w czułości, ani w gniewie, z granic umiarkowania nie wyszedł. Był to uosobiony praktyczny rozsądek, ale mu brakowało wszelkiego polotu imaginacyi. Na tém to polegała głównie wybitna między nami różnica, uwydatniająca się coraz bardziej w klassach wyższych, któ-

reśmy ciągle przechodzili razem, piastując w nich na przemian najwyższe godności.

Tu jest miejsce powiedzieć słowo o hierarchii między studentami; nie żeby to być miało w koniecznym związku z przedmiotem i celem tych wspomnień; ale jak dziś np. w starych pamiętnikach z ciekawością czytamy najdrobniejsze szczegóły z przeszłości, która już w mgle czasów zamierzchła: tak może i niniejsze za lat kilkadziesiąt podobnegoż interesu nabędą. A w każdym razie, dla ciebie samój siostrzyczko! może to być niemniej ciekawém, jak przypatrywać się np. przez chwilę ruchom pszczoł w ulu, lub mrówek w mrówisku.

Szkoła Boruńska, jak każda powiatowa, była o sześciu klassach, i miała sześciu professorów głównych. Prefekt, jeżeli nie był także professorem, był siódmym, i ogólnym zwierzchnikiem ich wszystkich. Bywali téż niekiedy i osobni nauczyciele języków: rosyjskiego, francuzkiego i niemieckiego, z których dwa tylko pierwsze były obowiązujące. Dwie klasy pierwsze zwały się *niższemi*, cztery następne *wyższemi*. Uczniowie pierwszych, pod pogardliwém mianem *minimusów*, nie śmieli nawet wzdychać do równości, która już panowała między ostatniemi, i osobne towarzystwo składali. Dwaj ich professorowie nosili nazwę: Łaciny i Arytmetyki; czterej zaś klass wyższych: Wymowy, Historji, Fizyki i Matematyki. Wszystkie te przedmioty wykladały się codzién we wszystkich po kolei klassach.

Porządek życia szkolnego był taki: O wpół do ósmój rano dzwoniło na mszę studencką, do której lnemu z professorów studenci na ochotnika służyli; wernerowie zaś i szóstoklassiści, w ławkach litanję

do N. Panny po łacinie śpiewali. O siódmej krótkie śniadanie, a o w pół do ósmej *primum*, to jest pierwsze dzwonienie do szkoły, po którym w pół godziny następowało *secundum*, to jest hasło zajęcia miejsc w klassach i przyjscia professorów. Lekcyje trwały do dziesiątej, którą ogłaszał dzwonek, dzwoniący na *finem*. Po południu, prócz wtorku i czwartku, lekcyje w klassach zajmowały czas od 2-ej do 4-ej, a lekcyje językowe do piątej, po czém już reszta dnia służyła na naukę w domu, i na zabawę (rekreacyą) po niej. Dziedziniec szkolny, w czasie pomiędzy *primum* i *secundum*, równie rano jak po południu, tworzył obraz bez porównania tłumniejszy, ruchawszy, i gwarliwszy, niżli wieczorna nawet zabawa na rynku, w której wszystkie stancye razem, brały, lub mogły brać udział. W tym to albowiem czasie odbywała się na tym dziedzińcu jakby ogólna głośna naukowa spowiedź jednych przed drugimi, to jest recytowanie lekcyi przed *Audytorami*, którzy zdanie swe o ich umieniu, przekazywali *Imperatorom*, dla zapisania w *erracie*.

Do wszystkich tych wyrazów potrzebny jest już dzisiaj komentarz. Otóż, ponieważ sam professor nie miałby nigdy dość czasu na wykład, gdyby mu przyszło codzien zapytywać każdego z uczniów, czy i jak umie lekcyą poprzednią: wybierał więc zdolniejszych i pilniejszych do zastępowania go w tym obowiązku. Wybrani ci nosili u nas tytuł *Audytorów*, (w innych, a zwłaszcza świeckich szkołach, zwano ich *Dekuryonami*). Każdy z nich miał powierzonych sobie kilku, najwięcej sześciu kolegów, których musiał codziennie, pomiędzy *primum* a *secundum*, z przeszłej lekcyi wysłuchać, i zdanie swe, jak ją umieli, do wiadomości profesora

podać. Za środek ku temu służyła tak zwana *errata*. Była to lista imienna wszystkich uczniów klasy, spisana rzędem na arkuszu papieru, a mająca przed każdym imieniem szereg kratek, w których się zapisywało codzienne zdanie audytorów. Zdanie to miało sześć stopni, a wyrażało się w ten sposób: *SC* proste, oznaczało że umie (*scit*); *SC* z podkreśleniem, czyli, jak mówiono „na saneczkach“, wyrażało wątpliwość (*sub dubio*); *ER* znaczyło, że się w recytowaniu myłał, (*errando*); *NB*, że umie nie dobrze (*non bene*); *NR*, że przed audytorem nie recytował (*non recitavit*); *NS*, nakoniec, że całkiem nie umie (*nescit*). Professor, spojrzawszy w erratę, zapytywał sam tych lub owych, ażeby zdanie o nich zapisane sprawdzić; a wtenczas biada audytorom, którzyby przez pobłażanie lub niechęć, fałszywe złożyli świadectwo. Sami też oni nie byli wolni od audytorskiej kontroli, tylko że audytorem nad nimi był już sam najwyższy dygnitarz klasy, *Imperator*, (w innych szkołach *Centuryonem* zwany), którego już tylko professor, który go sam mianował, miał prawo zapytywać i sądzić. Głównym atoli atrybutem jego władzy, było utrzymywanie i zapisywanie erraty. Siedział więc na katedrze professorskiej pomiędzy *primum* i *secundum*, i mając na professorskim stoliku rozłożoną przed sobą ową erratę, wpisywał w nią zdania audytorów o innych, a swoje o audytorach. Łatwo pojąć, jak taka godność i powaga wpływała na dziecinne umysły; tém bardziej, że kto raz już był nią obleczoney, chociaż ją sprawo-
 ć poprzestał, zachował zawsze pewne przywileje, które go wynosiły nad innych, np. że już nie miał nad nią nigdy audytora. Gdy było kilku równie dobrze wyciągających się w klassie, wszyscy oni z kolei dostępo-

wali tego zaszczytu. Kresem zaś ich władzy w tym razie było zazwyczaj zapełnienie ostatnich krutek erraty; gdyż utworzenie nowój natenczas, professor, jak monarcha utworzenie nowego gabinetu, nowemu zwykle następcy poruczał. Wszystko to wszakże miało tylko miejsce w trzech piérwszych klassach; w następnych liczono już na dojrzały rozsądek i pilność samychże uczniów, i już ani audytorów, ani erraty nie było.

Otóż wracając do siebie: W piérwszych zaraz tygodniach pobytu w klassie piérwszej, jednocześnie i ja, i Umiastowski, dostąpiliśmy zaszczytu audytorstwa, i nic nigdy w dalszém méa życiu nie upoiło tak mojej próżności i nie podniosło rozumienia o sobie. Nie wiem co czuł Umiastowski, bo on się z uczuciami swemi nie wywnętrzał; ale to wiem i pamiętam, że spełniał swój obowiązek ze ścisłością i sprawiedliwością wzorową, kiedy ja za spełnianie mojego, często, niestety, śród klassy na kolanach pokutować musiałem. Professorowie bowiem, dla tém większego zawstydzienia nieuków, najwyższych wzrostem i najstarszych wiekiem, będących już, jak mówiono, pod wąsem: mnie, jako najmłodszego i najmniejszego wzrostem, na ich właśnie audytora wybrali. Kiedy więc przyszło do recytowania lekcyi, ci panowie, dla skaptowania moich względów, wprowadzili w obyczaj, wsadzać mnie na swoje ramiona, i trzymając za nogi nosić tak po dziedzińcu szkolnym, podczas gdy z nich każdy z kolei lekcyą mi swoją wydawał. Jazda ta tak mi była do gustu, że odpłacając się za nią nawzajem, zapisywałem ich często lepiej, niż istotnie zasługiwali; i ztąd powód owój pokuty, o której wyżej wspomniałem. Nie szkodziło mi to widać jednakże w ogólnój opinii professorów, bo nie tylko że mnie z nich żaden o tę jazdę „*na osłach*“ nie upomniał,

ale owszem, sami niejako upoważniali mię do niej, wzmiankując nieraz o tém w żartobliwy sposób, wtenczas nawet, gdy z jój powodu klęczeć mi za pokutę kazali. Było i to zapewne skutkiem owęj łaski, która mi nazwę Benjamina zjednała. A i w samych téż moich penitentach, których spowiedzi słucałem, miałem zawsze najgorliwszych obrońców, przeciw innym silniejszym kolegom, z którymi nieraz czasem przychodziło do kłótni, a niekiedy nawet do bójki. Przeciwnie penitenci Umiastowskiego bali się go, ale nie lubili, i kto wie czy nie byłiby radzi, żeby go kto kiedy wyczubił; tylko że on sam nigdy nie zasłużył na to. Professorowie zaś, lubo go nigdy nie pieścili tak jawnie, nie mogli przecież nie uznać jego rzeczywistęj zasługi, i często go owszem głośno za przykład dla drugich stawiali; zaszczyt, którego ja, niestety, nie dostąpiłem nigdy. We wszystkiém bowiem inném szliśmy krok w krok tuż obok siebie: i gdy on na początku drugiego kwartału został *Imperatorem* z Arytmetyki, mnie tegoż dnia professor Łaciny także *Imperatorem* mianował. I odtąd we wszystkich trzech klassach, i to prawie we wszystkich przedmiotach, Imperatorska korona przechodziła tak ciąglą koleją z niego na mnie, a ze mnie na niego, jakbyśmy byli z sobą Getą i Karakallą. Nie wyrodziło to wprawdzie między nami ich zazdrości i nienawiści, ale téż nie posłużyło bynajmniej do spojenia ściślejszemi węzłami braterskięj przyjaźni, która mnie przecież z wielu innymi kolegami łączyła. Natury nasze różniły się z sobą, a więc serca zbliżyć się nie mogły. W miarę zaś dojrzewania w lata i postępowania do klass wyższych, staliśmy się bezwiednie i mimowolnie, jakby dwoma oddzielnymi punktami, około których sprzeczne dwa pier-

wiastki, poetyczny i realny, kupić się i krystalizować zaczęły. Nastąpiło to zaś dopiero w czwartym roku i w klasie czwartej: i o tém właśnie mówić teraz będę.

W ciągu dwóch lat i dwóch klas pierwszych, nie pamiętam, żebym wiersze jakie napisał. Wzmianki o nich w nauce nie było, a podniety postronnej nie miałem. Czytanie jednak książek, a zwłaszcza literackiej, powieściowej treści, było mi zawsze ulubioną rozrywką, i podsycalo marzenia, które były najulubieńszą. Ono też stało się głównym węzłem stosunku, który mię coraz ściślej z niektórymi kolegami jednoczył, aż się nakoniec w stałą przyjaźń na całe życie zamienił.

W klasie trzeciej dopiero zaczynała się mowa o literaturze i poezji, łacińskiej i polskiej. Uczono się na pamięć wierszy w obu językach, a na ćwiczenie, kazano z łacińskiego tłómaczyć na polskie jakąkolwiek z ód Horacyusza, którą sam professor wybierał. Tu od razu znaczenie i wziętość moja u kolegów stanęły bardzo wysoko. Nie tylko bowiem pierwsze moje tego rodzaju ćwiczenie lepsze było od wszystkich innych — coby jeszcze nie wiele znaczyło; ale tak się samemu professorowi podobało, że je wszystkim swoim kolegom i panom guwernerom za osobliwość, jako dzieło jedenastoletniego malca, pokazywał. W skutek tego koledzy zaczęli do mnie udawać się po radę, a niektórzy i prosić, abym za nich ćwiczenie zwierszował. Próbowałem zatem i tego: niekiedy wprost dla przyjaźni, niekiedy dla obwarzanków; i bywało, że po dwa i trzy razy tę samą rzecz układałem inaczej, w odmienne miary i rymy, a zawsze te moje elukubracye brały pierwszeństwo przed innemi. Cieszyło

to mię niezmiernie, ale się z tém nie wydawałem. Jeden tylko Umiastowski nie dał mi nigdy téj pociechy, abym w czémkolwiek mógł mieć górę nad nim. Przy piérwszém bowiem zadaniu wierszowanego ćwiczenia, poszedł do profesora i oświadczył, że ponieważ wierzy pisać nigdy nie myśli, i zdolności do nich nie czuje, przeto o uwolnienie siebie od tych ćwiczeń uprasza, aby się przez nie nie narazić na śmieszność. Professor nie mógł odmówić słusznej prośbie takiego ucznia, i *Hieronimus*, jak go nazywano, nigdy poważnej myśli swojej i palców, dorabianiem końcówek i liczeniem syllab nie skalał. Byłem więc na tém polu bez współzawodnika; bo starszy i sławniejszy już w szkołach poeta, był wtenczas uczniem klasy piątej, i dopiero w skutek zapewne téj kielkującej sławy mojej, raczył z swéj wysokości zejść niżej o dwa szczeble i zbliżyć się ku mnie. A powodem do tego były nie te przekłady moje z łacińskiego, ale oryginalny *quasi* epigramat, który, jak to się często i na wielkim literackim świecie wydarza, nie istotną wartością swoją, ale raczej okolicznościowym skandalem, najszerszém imię moje rozgłosił.

Jednym z kolegów moich w klassie trzeciej, był syn blizkiego sąsiada, Stefan Snadzki, krępy, barczysty, silny i nadzwyczaj gniewliwy, i z tych wszystkich powodów nazwany *indykiem*. Był on jednym z tych, za których parę razy wierszowałem ćwiczenia — gwoli obwarzankom; miał już rok piętnasty, i był zakochany w sąsiadce. Po jednym więc kiermaszu w Borunach, piwszy dla niéj jakiś prezent, prosił mnie o stosunek wiersze przy posłaniu, obiecując za *honorarium* już zwyczajne tylko obwarzanki, ale nawet ciurki. Poznałem z tego, jak mu o to idzie, i właśnie

skutkiem tego licha mię pokusiło do żartu. Napisawszy więc niby żądane wiersze, złożyłem papier w formie listu i przypieczętowałem opłatkiem, aby go nie mógł łatwo od razu otworzyć; a gdy już przedzwoniono *secundum*, wcisnąłem mu go w rękę, i sam pobiegłem zająć swoje miejsce. Na papierze tym był dwuwiersz taki:

„Tej, która serce moje dziedziczy,

„Posyłam w darze mój nos indycky.“

Dusząc się od śmiechu spoglądałem z pod oka jakie to zrobi na nim wrażenie, i wtenczas się dopiero spostrzegłem, na jakie niebezpieczeństwo sam się naraziłem. Snadzki zaczerwienił się cały rzeczywiście jak indyk, i nie tylko iskrzącem okiem, ale i ściśnionemi pięściami zaczął mi wygrażać zdaleka. Zląkłem się, ale zarazem i poczułem swą winę. A więc co było robić? Najwłaściwszym sposobem prześlągnięcia gniewu zdało mi się rzeczywiste napisanie wierszy, jakich żądał, a strach dla mnie takim był bodźcem, że podczas wykładu professora, którego, ma się rozumieć, nie słyszałem, wiersze były już ułożone w myśli, i szło tylko jakim sposobem pierwszy zapęd gniewu jego uśmierzyć. Przyszli mi na myśl ponitenci moi, i zacząłem im dawać różne znaki, aby zaraz przy wyjściu zbliżyli się do mnie. Snadzki patrzył ciągle na mnie i groził. Gdy więc nakoniec zadzwoniono *finem* i professor ruszył się z katederki, ja tuląc się jak można było najbliżej do jego boku, uprzedziłem Snadzkiego do drzwi klasy, a tam już zawołałem na moich obrońców, aby mnie przeciw niemu bronili. Zaczęła się więc jakby gra w *Gęsiora*. Snadzki rzucał się ku mnie jak furyat, ale wyżsi i silniejsi od niego odpychali go i nie dozwala-

lali przystępu; ja zaś tym czasem z poza ich szeregu wołałem błagalnie do niego: „Panie Stefanie! Nie gniewaj się! daruj! mam już zrobione co chciałeś, i najszczerzej cię przeproszam!“ Słyszając to drudzy koledzy, wdali się także w tę sprawę, i hamując zapędy Snadzkiego, zaczęli się pytać o powód. On sam tak był nie rozważny, że im te nieszczęsne wiersze pokazał, które się zaraz po wszystkich stancyach rozbiegły. Koledzy przyznali słusność Snadzkiemu, ale też razem wstawili się za mną, aby na mojem przeproszeniu poprzestał. Uległ;—a nowe wiersze, które mu zaraz przepisałem na czysto, dokonały przejednania i zgody. Od-tąd wszakże postanowiłem najmocniej nikogo nigdy więcej w ten sposób nie obrażać.

Ale trzebaż, że właśnie ten mój zły postępek—może w skutek szczerój potem skruchy—przyniósł mi najlepsze owoce: uwolnił mię raz od słusznój kary za winę, sławę moję poetycką między kolegami rozszerzył, a co najwięcej, zjednał mi pierwszego przyjaciela po-ete, który potem, dziwnym zbiegiem okoliczności, był pierwszym moim introduktorem do grona uniwersyteckich poetów w Wilnie.

Przyjacielem tym był Antoni Frejent, którego imię, a nawet zarys charakteru, uwiecznione są w poezyi Adama. Był to rzeczywiście charakter mający swoje cechy wybitne, i jednający dlań wszędzie serca wszystkich, którzy go znali. Żywy, żartobliwy, dowcipny, ale bez najmniejszego cienia złośliwości, samą ciągłą wesołością humoru i jowialnością conceptów, grona leżeńskie ożywiał. Dostał przeto zaszczytu, że go ni guwernerowie-emeryci do towarzystwa swego przyj-

mowali, a nawet profesorowie lubili. Wiekiem także zbliżał się więcej do nich, bo o lat cztery starszym był ode mnie. Ale pierwszy mój guwerner Brodowski, był w nieporozumieniu z guwernerem Frejenta, i przeto stancye nasze żadnej z sobą styczności nie miały. Dopiero, gdy po wyjeździe pana Brodowskiego na uniwersytet do Wilna, ja, zacząwszy od klasy drugiej, przeszedłem pod zwierzchnictwo pana Ignacego Jasiukowicza, miałem częściej sposobność widywać Frejenta, który mi się bardzo podobał, ale który natenczas, jako na „*minimusa*,“ żadnej na mnie nie zwracał uwagi.

Pan Ignacy Jasiukowicz, od pierwszej klasy uczeń szkół Boruńskich, a potem w nich guwerner—emeryt, był też człowiekiem zdolnym, pracowitym i zacyjnym; i tym swoim osobistym zaletom winien był w dalszym życiu świetną stosunkowo karierę, którą sam sobie o własnych siłach wyrobił. Otrzymawszy w uniwersytecie Wileńskim stopień Magistra obojga praw, udał się do Petersburga, gdzie znalazł miejsce w Ministerstwie Sprawiedliwości, a postępując coraz wyżej w hierarhii urzędniczej, został nakoniec mianowany Prezesem Izby Cywilnej, to jest Sądu Appellacyjnego w Kownie, i w podeszłym już wieku umarł na tym urzędzie, zostawiając po sobie chlubną i życzliwą pamięć. Ja mu wiele dobrego winienem, tak w szkołach jak i w uniwersytecie, pod względem zdrowych rad i przestroóg, których mi nigdy udzielać życzliwie nie przestał. A lubo z jego to zwłaszcza porady, ojciec kazał mi chodzić na wydział prawny, a nie na czysto literacki, jak chciałem, (co było dla mnie istną stratą czasu), on wszakże, znając mnie dobrze od dzieciństwa, miał w tém jedynie dobro moje na celu. Chciał ująć myśli

moje w karby ściślejszej nauki, i zwrócić mnie ku czemuś pożyteczniejszemu, niż było, zdaniem jego, pisanie wierszyków, i uganiecie się za sławą literacką. Cel jego w tém się nie udał, a do osiągnięcia, mojego, być może, iż mi wiele przeszkodził. Ale w tém złą woli nie było. Ja zaś złożywszy w tych słowach hołd wdzięczności dla jego pamięci, wracam do opowiadania mojego.

Otóż tedy, będąc już pod Jasiukiewiczem, częściej widywałem Frejenta, ale on miał mnie za nic i nie zważał na mnie. Aż oto zaraz po tej historii ze Snadzkim, wchodzi do nas, i śmiejąc się woła: „Gdzież jest ten wasz Benjaminek? Przychodzę powinszować, że go nie zadziobał zły indyk!“. Taki wstęp i tuż za nim przyjacielski uścisk, od razu serce moje podbiły; czas i okoliczności dokonały reszty. W końcu szkolnego roku byliśmy już przyjaciółmi. A że właśnie w rok potem ojciec Frejenta zmarł, i on nie miał gdzie wakacyj przepędzać, rodzice przeto moi zaprosili go na nie do siebie.

Ale jakież to były stosunki i okoliczności, które nas w szkołach między sobą zbliżyły? Między piętnastoletnim a jedenastoletnim chłopcem trudna jest osobista zażyłość. Trzeba chyba jakiegoś szczególnego ogniwa, któreby ich wzajem złączyło. Ogniwem tém między nami było wspólne czytanie książek i poezya.

Mówiłem już, że wspólny gust do czytania połączył mię był bliżej z kilku kolegami. Było ich mianowicie czterech: Karol Laskowicz, Jerzy i Syxtus Jasiiewiczowie, i Jan Tórczyński. Wszyscy synowie właścicieli ziemskich, wszyscy też, oprócz Jerzego, byliśmy rówiennicy i koledzy w tej samej klasie. Jerzy

o rok starszy od brata, wyprzedzał nas o jedną klasę. Xiążki czerpaliśmy z dwóch źródeł: ja z xięgozbioru p. Zabłockiego, Jasiewiczowie zaś z bardzo porządnie utrzymanej i dość licznej biblioteki krewnego swego, p. Zakrzewskiego, który mieszkał w sąsiedztwie, i był razem ich opiekunem. Każdą xiążkę czytaliśmy każdy z kolei, a następnie rozmowa o niej była dla nas najmilszą zabawą. W tym celu, kiedy inni na rynku wieczorne rekreacye spędzali, grając zwykle w piłkę lub śnieżki; my czas ten obracaliśmy na to, aby zejść się gdzie w kącie, i „gadać.“ A przedmiotem tych gadań nie była nigdy literacka wartość lub krytyka xiążki, a tém mniej sąd o autorze; ale wprost sama jój treść, mianowicie kiedy nią była powieść o ludziach, w jakiegokolwiek formie. Rozmawialiśmy więc tak o *Gonzalwie z Korduby*, o *Numie Pompiliuszu*, o *Hersylii*, *Moraimie*, i tym podobnych bohaterach i bohaterkach czytanych romansów, jak np. w kółku Umiaśtowskiego rozmawiano o znajomych powietnikach i powietniczках. A że ówczesna stancya nasza, t. j. moja i Laskowicza, była lepsza i obszerniejsza od innych, więc téż i te zebrania odbywały się najczęściej u nas; tém bardziéj, że zawsze przytém były także i wety. Składały je zazwyczaj surowa marchew i rzepa, które, gdy już jabłek zabrakło, najłatwiej było przysłać dla mnie z domu, jako najbliższego od Borun. Każdy przeto przychodził ze swoim nożykiem, i gdy myśl połykała niebieskie migdały, skrobał sobie nim marchew albo obierał rzepę, których magazyn znajdował się pod łóżkiem.— Rozkoszne to były pogadanki; a stały się jeszcze milszemi, kiedy i Frejent nasze gronko pomnożył i wesołością je swoją ożywił.

Najpamiętniejszym wszakże dla mnie z czasu tych czytań wypadkiem, było pierwsze czytanie najprzód *Eneidy*, a potem *Iliady*, w przekładzie Dmóchowskiego. O exystencyi Eneidy dowiedzieliśmy się po raz pierwszy w klassie trzeciój, gdy przy końcu pierwszego kwartału professor do Wirgiliusza przystąpił, i wybrał do tłómaczenia pieśń drugą. Żeby zaś nas lepiej zachęcić, odczytał z katederki w klassie tłómaczenie jój przez Dmóchowskiego, które miał sam nie w książce, ale przepisane. Głowa moja zapaliła się jak Troja, gdy ten obraz zniszczenia jój posłyszałem; a dowiedziawszy się, że cała książka jest o tém, nie miałem dnia i nocy spokojnej, aż ojciec mój, pojechawszy do Wilna, kupił mi ją i przywiózł na kolebę. Czytałem więc ją raz pierwszy sam jeden, będąc w domu na świętach Bożego Narodzenia; a lubo mnóstwa rzeczy zrozumieć i skombinować nie mogłem, całość zawróciła mi głowę. Rozmłowałem się zwłaszcza w Trojanach, i to wcale nie w Eneaszu, któremu owszem nie mogłem darować, że biedną Dydonę opuścił, a ziemię cudzą chciał zabrać; ale z powodu Nizusa i Euryala, których opis śmierci czytając, tak głośno zacząłem szlochać, że matka z przerażeniem wbiegła do pokoju, myśląc że mi się złego co stało. Euryal mianowicie był mi ideałem, w który ciągle wcielałem sam siebie, Frejenta wyobrażając w Nizusie. Wyjazd z domu osłodzony był mi nadzieją, że będziemy to razem czytali. Jakoż przez całą resztę zimy żyliśmy tylko i oddychali Eneidą, właśnie z tego powodu dowiedzieliśmy się o Illadzie, jest, że exystuje na świecie; gdyż jój nikt, ani z gubernierów, ani z professorów, w oczy nie widział. Nacicie zatém Iliady stało się gorączkowym marzeniem

nas wszystkich. Ale niestety! Iliada, podług wiegarskiego katalogu, kosztowała całe sześć rubli, a cała nasza złożona gotówka nie wynosiła i połowy tego. Szczęściem, Tadeusz Skrzydlewski powiedział o tym naszym kłopotcie swemu stryjowi. Bawiąc więc na Zapustach w domu, pojechałem raz z rodzicami do państwa Skrzydlewskich, gdzie była gra w faraona. Pan Skrzydlewski poniterując dał mi do wyciągnięcia kartę, na którą gdy sporo coś wygrał, uniesiony hojnością dał mi rubla na Iliadę. Idąc za tym przykładem drudzy, ojciec mój i sąsiedzi, dawali mi téż do wyciągania karty, a że jakoś wyciągałem szczęśliwie, cały fundusz na Iliadę zebrał się w mojej kieszeni. Nazajutrz zdarzyła się okazyja do Wilna—i przeto, jak z Bożego Narodzenia Eneidę, tak z Zapust Iliadę uszczęśliwionym kolegom przywozłem. Czytaliśmy ją wszyscy razem, i w skutek tego wyrodził się między nami podział na Trojanów i Greków; nie dowolny, ale wynikający ze skłonności ku jednym lub drugim, tak, jak sama ta różność w skłonnościach, była może wynikiem różnicy charakterów naszych. Ja i Tórczyński byliśmy za Trojanami; Karolek, Jerzy i Syxtus stronę Greków trzymali. Jeden Frejent pozostał neutralnym. Nie brał on już tak po dziecinnemu do serca, jak my, tego co czytał; ale szczerzy jednakże miał udział w rozprawach, jakie się z tego powodu między nami toczyły. Roztrząsaliśmy i sądziliśmy najściślej, każdy podług siebie, i prawa Greków do napaści na Troję, i niewinność biednych Trojanów; miłość Parysa i krzywdę Menelaja; i nakoniec osobistości każdego z bohaterów, postępkę ich i uczucia. Tym sposobem, bezwiednie, i bez żadnej pretensyi ku temu, brnęliśmy nieraz w najgłę-

bszą kazuistykę polityczną, moralną, i nawet religijną, zastanawiając się np. nad tém: Czy Priam i Trojanie winni czy niewinni, że on nie chciał, a oni go nie zmusili, aby oddał Grekom Helenę, a Parysa sam jako ojciec ukarał? Czy Achilles winien albo nie winien, że Bryzeidy nie chciał oddać ojcu, a sam przez gniew swój i zaciętość uporu, stał się przyczyną tylu klęsk swych ziomków? Albo, czy taki wpływ bogów, jak w Iliadzie, nie odbierał wszelkiej zasługi ludziom, i nie uwalniał ich przez to samo od wszelkiej odpowiedzialności? i o ile te pogańskie pojęcia o stosunku Nieba z ziemią zgadzały się lub różniły z chrześcijańskimi, i z poczuciem każdego z nas?

Mądre te i tym podobne rozprawy, toczone na seryo między kilkonastoletnimi malcami, ale w czterech ścianach zamknięte, nie ściągały jeszcze na nas śmieśności, w którą, w oczach realniejszych kolegów, podały nas nakoniec zabawy, dowolnie przez nas samych, na zasadzie téjże Eneidy, a zwłaszcza Iliady, urządzone. Gdy bowiem rynek dla innych był tylko, w zimie czy latem, polem zwyczajnych gier i gonitew studenckich; dla nas, po przeczytaniu tego poematu, stał się placem bitew pod Troją, a ślad strumyka, wzbierającego po deszczu, ale wysychającego w pogodę, przybrał znaczenie i nazwę *Simoisu*, tak, że stojących po dwóch jego stronach, rozdzielał już przez to samo na dwa przeciwne obozy. My sami, oprócz Frejenta, który, dla starszeństwa wieku i klasy, nie uczestniczył już jawnie w tych farsach: my sami, ma się rozumieć, zajmowaliśmy stanowiska wodzów, ale rekrutowaliśmy każdy swój oddział, już to z podwładnych naszemu audytorstwu, już ze współmieszkańców stancyi, już na-

koniec z postronnych dobrowolnych ochotników, których każdy usiłował zwerbować. Zabawa zależała na tém, aby czy to śnieżkami, czy piłkami, jeden oddział nie dał drugiemu Simoisu przekroczyć.

Ale była jeszcze i druga, spokojniejsza już w sobie, chociaż dla przeciwników naszych śmieszniejsza jeszcze zabawa, która się dla nas samych stała tak ulubioną, że się prawie zamieniła w namiętność, i zajmowała nam zwykle wiosenne i letnie wieczory.

Między stacją Tórczyńskiego a wieżą kościelną był placyk prostokątny, długi na jakie 30 kroków. który wyłącznie do téj stancyi należał. Tam więc, za pozwoleniem jój guwernera, urządziliśmy sobie szczególnego rodzaju kręgielnię. Nie była to albowiem zwyczajna gra w kręgle, ale znów wojna Greków z Trojanami, lub Trojan Eneasza z Latynami Turnusa. W tym celu przysposobiliśmy każdy sobie po jakie kilkadziesiąt kręgli, mniejszych i większych. Dla mnie, wyrabiał je syn naszego ekonoma, nadzwyczaj zręczny do siekierki; inni używali do tego mieszczan Boruńskich. A były téż między temi i kręgle kupne, toczone. Słowem, była to rzeczywiście armia kręgielna. A nie dosyć na tém. Każdy miał za punkt honoru przyozdobić jak najpiękniej swój oddział. Obijaliśmy więc kręgle blachą, jak zbroją; oklejaliśmy złotym i srebrnym papierem, a nad główkami przyprawialiśmy kity z jaskrawych piór gołębic, kaczych lub kogucich, mających znaczenie szyszaków. Każdy kręgiel miał swoje imię, Trojanina czy Greka, a każdy z nas przynosił je z sobą co wieczór, i szykował w osobne szeregi. Za pociski służyły małe kulki drewniane, lub piłki. Czyj oddział pierwszy poległ do szczętu, ten uznawał się za zwyciężonego. Klęska nie

była bez smutku, jak zwycięstwo bez szczerój radości. Śmiano się z nas, żartowano z początku, przezwano *kregielnikami*, ale na tém i koniec. Starszyczna nic przeciw temu nie miała. Owszem, niektórzy z guwernerów, a niekiedy i sami professorowie, przypatrując się téj naszój zabawie, stawali sami po téj albo owój stronie, próbując trafności swoich pocisków. Dla nas zaś, przez całe dwa lata, w trzeciój i czwartój klassie, zabawa ta była najmiłszą.

Ale czy takie zajęcie imaginacyi czém inném, nie szkodziło nauce klassycznej? Nie wiem, coby na to pytanie odpowiedział pedagog; ale się na nas to nie pokazało. Wszyscy byliśmy zawsze celującymi w klassie; a i to zda się warte jest dodania, że w dalszém życiu, wszyscy ci wyśmiewani bliżsi moi koledzy, (z których już żaden nie żyje), zajmowali każdy w swoim zakresie miejsca mniej więcej wydatne, i pozostawili po sobie ślad i chlubne wspomnienie; podczas kiedy rozsądni realisci, z wodzem swoim Umiastowskim na czele, chociaż zarówno celowali w szkołach, żaden z nich potém na świecie, z bogatszych czy uboższych, nad miarę stanu swego nie przerósł, i kręgu swego działania i wpływu nad zakres parafii swojój nie rozszerzył. Wnioski ztąd zostawiam pedagogom; a sam do mojej narracyi powracam. Gdy zaś w niój, przy tych wspomnieniach o wybrykach dzieciństwa, wpadam może w zwyczajną przywarę starości, że rozwlekłości ograniczyć nie umiem: proszę o pobłażanie, najprzód ciebie, siostrzyczko, a potém i tych wszystkich, którzy to może czytać kiedy będą. Bo wszakże nie pod innym warunkiem wziąłem się do spisywania tych wspomnień, jak że mi wolno będzie nie trzymać się systematycznój

ścisłości porządku, a pisać tylko, jakbym mówił ustnie; nie zrzekając się prawa wyboczeń i epizodów, jeśli mi się jakie na myśl nawiną.

Tak np. wspomniałem wyżej, że epigramat mój „o nosie indyczym“ uwolnił mię raz od ciężkiej, a zasłużonej kary. Byłem bardzo skory do gniewu, i raz cisnąwszy kamieniem na kolegę, zraniłem go w twarz i okrwawiłem. Poszedł do prefekta na skargę, i ja jako delinkwent otrzymałem przez kalefaktora rozkaz, ażebym się także tam stawik. Wezwanie takie znaczyło, że już dekret był zapadł, i na egzekucyą tylko wołano. Szedłem więc jak na ścięcie—kalefaktor jak kat stał w progu. Szczęściem, że jeszcze prefekta nie było, i za chwilę dopiero miał wrócić. Czekałem więc sam w celi;—a jakie było to oczekiwanie, tego i największemu nieprzyjacielowi nie życzę. Wtém widzę na płóciennj okiennicy u okna jakiś napis z przeciwnj strony. Przybliżam się, zaglądam—o! dziwy! widzę przepisany mój epigramat własną ręką xiędza prefekta! Otucha wstąpiła we mnie; a ta tak mi dodała wymowy w ekuzowaniu się z mego przestępstwa, że prefekt, z razu groźny jak Jowisz w Iliadzie, skończył na tém, że z uśmiechem szczypiąc mię za twarz palcami, kazał tylko iść kolegę przeprosić. Okoliczność ta jest mi pamiętną, bo miała wpływ na poskromienie porywczosci mojej, z którj najskuteczniej jednakże uleczył mię jeden starszy kolega. Obraziłem go dotkliwém słowem; za co on, popędziwszy za mną, porwał i cisnął mię w zaspę śniegu, na dziedzińcu będącą, tak, że utonałem w niej jak kamień w wodzie. Ale nim się z niej wygrzebałem, miałem czas zastanowić się sam nad sobą, nad postępkiem i po-

rywczością moją. Przeprosiłem więc natychmiast kolegę; a zaś ilekroć odtąd czułem zapal gniewu, zaraz mi go wspomnienie o tym śniegu studziło.

Ale chcę tu jeszcze przytoczyć jedną anegdotę, odnoszącą się do czytelnictwa naszego, a dającą wyobrażenie o usposobieniu umysłowem czytelników, o której także napomknąłem wyżej. Leonard Chodźko, przejeżdżając przez Boruny do domu, przywiózł mi z Wilna jako gościniec, tylko co wyszłą tam z druku „*Złotą Wolność*,“ sztukę dramatyczną, „przez hr. Wincentego Kiszkę-Zgierskiego z Ciechanowca, *ex libera parte*.“ Szumny ten tytuł sztuki i autora, a przytém bardzo ozdobne, jak na owe czasy, wydanie, zaimponowały mi z góry. Zabrałem się do czytania tego drogiego skarbu, wybrawszy sobie ciche i samotne miejsce na polu pomiędzy żytem. Ale czytam raz, i nie rozumiem. Czytam powtóre, i skutek ten samy. Nakoniec trzecie, również nadaremne czytanie, wprawiło mię w formalną rozpacz nad tępą moją głową i nieuctwem. Daję więc książkę Karolkowi, i pytam potém, jak mu się podoba? Odpowiada, że nic nie rozumie. Pocieszyło to mię trochę; ale puszczamy książkę w kurs dalszy. Od wszystkich, nie wyjmując Frejenta, odpowiedź zawsze jedna i ta sama; tylko że Frejent mówi śmiejąc się: „*non capisco*.“ Ruszamy więc z tym zaklętym skarbem do profesora Wymowy, którym nie był już xiądz Martynian Komar, powołany na superiora do innego klasztoru, ale daleko młodszy i mniej uczony od niego X. Lewkowiec. Kazał nam przyjść za dni parę, i kiedyśmy przyszli, powiada: „Widzicie, moi kochani! są tu różne allegorye, alluzye, fantazye, których wy błazny szczerze nie możecie zrozumieć.“ Nie powiedział czy

sam zrozumiał; ale nie rozumiał, niestety! że to jest takie głupstwo nad głupstwami, jakie nie wiem, czy kiedy drukowane było. Nie prędko potem sami przekonałiśmy się o tém. Wtenczas zaś byliśmy wszyscy upokorzeni straszliwie w oczach własnych; ale nikt głębiej i dotkliwiej nade mnie. Bo wszyscy oni byli tylko gorliwymi czytelnikami dla tego, że ich to samych bawiło i zajmowało; ale żaden z nich nie chciał, ani myślał, aby sam miał być kiedyś autorem. Frejent nawet, piszący wiersze, pisał je wprost jakby dla żartu lub tylko dla zabawy drugich, bez najmniejszego cienia pretensyi, aby zostać drukowanym poetą. We mnie zaś ta pretensya wtedy już zaczynała kiełkować; a rozwinęła się na dobre podczas tych wakacyj właśnie, które Frejent, wraz ze mną, w domu moich rodziców przepędził. Nie on wszakże do tego był mi głównym powodem, ale raczej dwa nowe stosunki, z których jeden jemu zwłaszcza zawdzięczam.

Z obrazu *Borun*, przez Chodźkę, pamiętasz może, siostrzyczko, że między Borunami a Giejstunami, to jest domem moich rodziców, leży wieś zwana *Zahorze*, gdzie stary polski szlachcic, p. szambelan Bujnicki, przyjmował gościnnie majówki studenckie, które nieraz aż do Giejstun sięgały. Bywało tak i za moich czasów, i zapewne nie było bez wpływu, jak na względy i łaskę professorów dla mnie, tak i na moje w obec kolegów stanowisko. Otóż majątek ten *Zahorze*, który dzierżawił tylko pan Bujnicki, kupił od właściciela jego, p. Jana Chodźki, autora „Pana Jana ze Świsłoczy,” professor medycyny w uniwersytecie Wileńskim, p. Ferdynand Spitznagel, dawny ojca mego znajomy, i raz pierwszy w tym roku na wakacje tam z rodziną przy-

jechał. Rodzina ta, prócz żony, składała się z trzech synów, i córki w kolebce. Z najstarszym z nich, Ludwikiem, najbliższa wkrótce związała mnie przyjaźń. W dalszym ciągu tych moich wspomnień, nieraz mi przyjdzie może mówić jeszcze o nim; bo był to jeden z tego rodzaju ludzi, z jakich wyrastają dla świata albo wielcy ludzie i gieniusze, albo wielcy awanturnicy; najczęściej zaś, jak kwiat zbyt wysiłony, giną przed wydaniem owocu. Tu mówię o nim takim, jakim był w tym czasie. Wiekiem był młodszy odemnie o lat parę, ale co naukowém rozwinięciem, to mię nieskończenie przewyższał. Eneidę czytał już sam po łacinie, a Iliadę z ojcem po grecku. Po francuzku mówił jak po polsku, a po niemiecku czytał i rozumiał, ale mówić nie cierpiał i nigdy nie mówił. Wszystkie zioła i kwiaty, równie jak wszystkie muszle, robaczki i motyle, na które ustawnie polował, znał i umiał nazywać po łacinie; o innych zaś naukach przyrodzonych miał wyobrażenia ogólne, jasne i szerokie. A że namiętnie lubił czytać książki, a miał kto ich wyborem kierował: więc zamiast samych tylko bajek i romanśów, jak ja i moi Boruńscy koledzy, miał w pamięci tysiące historycznych faktów, mianowicie z historii starożytnéj, przeczytawszy już całego Plutarcha. Wszystko to zawdzięczał on ojcu, który od piérwszego dzieciństwa, postrzegłszy w nim nadzwyczajne zdolności i pamięć, nie przestawał ich rozwijać i kształcić—za nadto; bo zbyt wzmagając siły umysłowe, nie wracał dosyć uwagi, czy niemi rozum dziecinny jak ależy kierować potrafi. To téż pomimo téj całej swojej uczoneści, był on w gruncie większém dzieckiem

ode mnie. Wszystko co umiał, służyło mu tylko na to, iż można było powiedzieć o nim z Walter-Skotem:

„Z książek to tylko wyczerpnął, co drażni
Gorączkę myśli i szął wyobraźni.“—

A wyobraźnia ta tak się w nim rozbijała, że już ja względem niego byłem takim rozsądnym realistą, jak względem mnie np. Umiastowski; tylko, że punkt wyjścia naszego, i cel, i natura umysłu, były tego samego rodzaju. Ale moja wyobraźnia przy jego, była to jak jaskółka przy orle; szybowała tylko po nad ziemią i tuliła się do mieszkań ludzkich; podczas gdy fantazyja jego rwała się wciąż i leciała w przestrzeń nieskończoną — i przez to samo gubiła się w czczości. To mi dzisiaj tłómaczy tę psychiczną zagadkę, jakim sposobem ta właśnie wyższość jego nademną, we wszystkiém, dała mi wyższość nad nim w stosunku naszym realnym, i to nawet do tego stopnia, że stał się istnym niewolnikiem moim. Nie żebym ja tę niewolę chciał lub starał się jemu narzucić, ale że się on sam jój gwałtem i prawie z namiętnością poddawał. Był to w nim symptom i dowód kochania; a niestety! kochać inaczej nie umiał. To *niestety* ściąga się do jego przyszłości, a nie do naszego stosunku naówczas; bo ten był dla nas obu źródłem niewyczerpanych rozkoszy, a żadnemu z nas szkody nie przyniósł. Dla mnie owszem, oprócz niezmiernego rozszerzenia horyzontu ówczesnych moich wyobrażeń i myśli, a raczej marzeń, wyrodził on w dalszém życiu niezmierny także realny i moralny pożytek.

Rodzice jego pokochali mię jak czwartego syna, i przez ciąg cały pobytu mego w uniwersytecie, dom ich był jakby rodzicielskim dla mnie. Dom ten za-

możny, urządzony na wsi na sposób miejski, różnił się od wszystkich naszych domów szlacheckich, jakie dotąd widywałem w sąsiedztwie. Nie było i to bez wpływu na imaginację moję; a zaś guwerner dwóch starszych braci, uczeń uniwersytetu, p. Kazimierz Kukiel, człowiek światły, rozsądny i zacny, przyczynił się niemało do nadania jej pewniejszego kierunku, czego właśnie z uczniami swymi nie umiał, czy nie mógł dokazać. Być może nawet, że chcąc jak rykoszetem wpływać na nich przeze mnie, tak się mną gorliwie zajmował.

Gdy więc uszczęśliwiony z towarzystwa Frejenta w domu, opływałem w potoku nowych wrażeń w Zahorzu, Frejent tymczasem zawiązywał stosunek inny, który wkrótce oddziałał i na mnie. Sąsiadem naszym o miedzę z drugiej strony, był p. Józef Karczewski, poważny i wzięty obywatel i prawnik, który właśnie w tym czasie kierował prawnemi interessami tak zwaną „Massy Radziwiłłowskiej,” broniąc ich, jako adwokat, przed sądem ustanowioną dla niej osobną komisyją w Wilnie. Nie mogąc sam opuścić miasta, dwóch synów, chodzących tam do szkół, przysłał wraz z guwernerem na wieś, na wakacye do matki. Guwernerem tym był p. Teodor Łoziński, uczeń uniwersytetu, który ważną potem odgrywał rolę w dziejach rozwoju nowego kierunku i życia pomiędzy uniwersytecką młodzieżą. Starszy Karczewski (Juljan), mój rówieśnik, został potem niepospolitym malarzem rodzajowym; doskonalił się w Rzymie, i młodo tam umarł. Brat młodszy przód go jeszcze poprzedził do grobu. Oprócz sądeckiej znajomości od dzieciństwa, nie wiązały mnie nimi żadne bliższe stosunki; ale Łoziński niezmiernie odołał sobie Frejenta. Obaj wkrótce tak się zbliżyli,

jak ja z Ludwikiem Spitznaglem. Codziennie prawie schodzili się na pół drogi w lasu, i usiadłszy tam w cieniu na trawie, nieskończone prowadzili rozmowy. Rozmowom tym i ja często bywałem obecny, i nie małą z nich odniosłem korzyść. Łoziński był namiętnym zwłaszcza lubownikiem teatru, na który stale w Wilnie ucześnieł, i treść sztuk, które widział, z wielkim talentem opowiadał, i opowiadać lubił; a że miał zawsze we mnie niemniej chętnego słuchacza, więc też powziął i dla mnie stosowną do różnicy wieku przychylność. Opowiadania te jego wielki wpływ na mnie wywarły. Z nich to dowiedziałem się po raz pierwszy o *Hamlecie*, *Makbecie*, *Otellu*, *Królu Learze*, *Inezie de Castro*, i t. d., które to wszystkie sztuki przedstawiane już były wtedy na scenie Wileńskiej. O teatrze miałem już sam wyobrażenie, będąc na nim po razy kilka za bytności z ojcem moim w Wilnie. A zresztą i w Borunach także co roku, po odbytych egzaminie publicznym, starsi uczniowie, dla zabawy matek i siostrzy-czek, na ten obchód przybyłych, przedstawiali w stodole widowiska teatralne, złożone zwykle z komedyi Bohomolca, a w których i ja czasem brałem czynny współdział. Teraz więc w myśli i wyobraźni mojej otwarły się na raz dwie perspektywy. W jednej widziałem tylko same treści i bohaterów tych sztuk; w drugiej zaczęła mi się ukazywać jak węg mgle promienista chwała autorska. Co to za szczęście napisać taką sztukę, którą przedstawiają w teatrzel na którą tyle ludzi gromadzi się razem, tyle rąk bije brawo, tyle pięknych pańienek płacze, i może pragnie poznać jój autora!.. Chęć do autorstwa obudziła się we mnie stanowczo. A był to też jeden z tych punktów, na

którym niby podobni, różniliśmy się jednak całkiem z Ludwikiem. I on też pisał wiersze, i on pragnął sławy u świata. Ale autorstwo dla niego było rzeczą podrzędną. Ostatnim celem jego żądy chwały, było, wyjść kiedyś samemu na bohatera jakiegoś epepei; wyzwoić jaką ziemię świętą, jak Goffred; odkryć jaki świat nowy, a przynajmniej nowe drogi po świecie, jak Kolumb albo Vasco de Gama. Bo od niego to po raz pierwszy dowiedziałem się o „*Jerozolimie Wyzwolonej*“ Tassa, i o „*Luiziadzie*“ Kamoensa, których tłumaczenia po polsku wkrótce potem przysłał mi z Wilna. Panienki nie tylko nie grały żadnej roli w jego wyobraźni, ale ich owszem specjalnie nie cierpiał. A że sam miał cerę panięską, więc kładł się nieraz na największym skwarze słonecznym i polewał sobie twarz wodą, aby się mógł opalić i poczernieć, i przez to lepiej na bohatera, a chociażby tylko na korsarza wyglądać. Ale wszystkie te górne i olbrzymie marzenia nie przeszkadzały mu wcale być dzieckiem i smakować w zabawach dziecinnych. Moje np. pancerne i pierzaste kręgle tak mu się podobały, że musiałem na jego prośbę przewieźć je do Zahorza, gdzie po całych godzinach graliśmy w nie, a raczej w Iliadę; i te wspólne upodobania, więcej może niż same rozmowy, przyczyniały się do tego stosunku, jaki się między nami zawiązał. Dosyć, że ten stosunek, i w ogólności całe te wakacje, miały ważny wpływ na mnie pod tym zwłaszcza względem, że z rozszerzeniem zakresu treści moich i marzeń, poczułem sam potrzebę nauki, o ile zdolności i wrodzone, niestety, lenistwo pozwalając, zabrałem się do niej gorliwie, nie przestając na

lekcyach szkolnych. Najwięcej wszakże na tém zyskała moja francuzczyzna. Od samego początku klasy piérwszej, brałem ciągle lekcyje prywatne od professorów tego języka, a w roku trzecim ojciec przyjął do mnie Francuza, jednego z pozostałców po roku 1812. Był to człowiek prosty, ale czytać i pisać umiał, i przywiązał się szczerze tak do mnie, jak i do wszystkich moich kolegów. Korzystaliśmy więc nieco z jego rozmowy, aleśmy się nie starali korzystać. Teraz dopiero zrozumiałem ważność tego języka, i nie poprzestając na konwersacyi i lekcyach, wziąłem się do czytania sam z dykcyonarem i wypisywaniem wokabuł, których potem uczyłem się na pamięć. Przy końcu klasy czwartej czytałem już wiersze francuzkie, a Kornel, Rasyn, Boileau i Delill, najbardziej mi się podobali. Zacząłem téż uczyć się i po niemiecku, po przeczytaniu *Nurka*, ale w tém umiejętność moja postąpiła nie wiele, bo sam professor nie wiele co umiał.

Ale tęskno mi już do wyjścia ze szkół; a nade wszystko mam skrupuł trzymać cię tak długo, siostrzyczko, między żakami, którzy jeszcze i w klassie czwartej przedłużali ten sam rodzaj życia i zabaw, o których już wyżej mówiłem. Imaginacya grała w tém zawsze główną rolę. Piérwsza lepsza powiastka, skoro nas nieco żywiój zajęła, stawała się dla nas treścią jakby pewnego rodzaju dramatu, któryśmy, w roli jój bohaterów, między sobą odegrywali. Ja raz przypłaciłem to drogo. Po przeczytaniu „*Gonzalwa z Korduby*,” Floryana, we czterech obok, jak czterój hiszpańscy rycerze, galopowaliśmy (każdy na swoich nogach), na pomoc pięknej Zoraidzie. Stos jój gorzał nam w oczach, a każdy z nas w téj chwili, jak centaur,

czuł w sobie razem człowieka i konia. W tém rumak mój pode mną zwinął się na chropawym gruncie, a ja tak stłukłem i prawie złamałem rękę, że przez kilka miesięcy władać nią zgoła nie mogłem, a dobrze już nigdy nie mogę.

W piątój i szóstój klassie dopiéro, myśli i wyobrażenia nasze, zaczęły, jak jedwabniki z kokonów, wykluwać się na świat rzeczywisty i zwracać się ku czemu innemu; nie ku poważnym jeszcze celom lub obowiązkom życia, ale tylko ku nowym przedmiotom zajęcia i upodobania. Cześć dla Muz pozostała zawsze niezmienną; ale i inne bóstwa i bóstewka Olimpu zaczęły się téż dopominać o swoje. Mnie zwłaszcza pociągnęła Dyanna; stałem się zapalonym myśliwym, ale to tylko w marzeniu; bo oprócz wakacyi w domu, czasu w szkołach na praktykę nie było. Dłuższe tylko dni i wieczory wiosenne mogliśmy mieć do rozporządzenia, i ja te obracałem na polowanie na słomki. Wspominam tu o tém dla tego, iż sądzę, że parę szczegółów w tym przedmiocie może uzupełnić niejako obraz ówczesnego życia szkolnego, a nawet i stosunku uczniów z nauczycielami.

Kiedy już byłem w klassie piątój, przyjechał na profesora wymowy, młody xiądz Butrymowicz, miły, dobry, wesóły, a przytém zapamiętały myśliwy. Zaszczycił i on mnie swoją łaską, a ja go pokochałem serdecznie. Że zaś wszelka zabawa z fuzyjką była wyraźnie wzbronioną dla uczniów, a surowy xiądz atematyk i prefekt, ściśle tego zakazu przestrzegał: wieczorne więc moje wyprawy na słomki, były zawsze łączone z obawą i niebezpieczeństwem odkrycia; tém ardziój, że niefortunnym przypadkiem, sam na się

pod tym względem uwagę i podejrzenie ściągnąłem. Razu jednego, przy wykładzie w klassie algebry, której nigdy pojąć dobrze nie mogłem, ja, niby z wielką uwagą, wlepiwszy oczy w tablicę, widziałem rzeczywiście na niej, nie zrównania, które pisał professor, ale wyraźnie przeciągające słomki, i tak dalece dałem się unieść marzeniu, że strzelając niby do jednej, mimowolnie wymówiłem: *puf!* — Śmiech powstał między kolegami, a professor odwróciwszy się z gniewem od tablicy, oprócz dotkliwego skarcenia za nieuwagę i nieuszanowanie szkoły, dał mi jeszcze wyraźnie do zrozumienia, że się domysła źródła tego wykrzykniku, i ostrzegł mię w sposób wielce znaczący, ażeby się ten domysł nie sprawdził. Znalazłem się więc jak między młotem i kowadłem. Zakaz podniecał owszem we mnie Endymionowe zapaly; ale też kalefaktor i dwaj stróże szkolni stali mi ciągle w myśli jak psy Akteona. Uciekłem się więc pod opiekę kochanego *Xiedza Wymowy*, i nie zostałem omylony w nadziei. Pozwolił złożyć u siebie w depozyt moją fuzyjkę, i kazał swemu chłopcu nieść ją codzień za sobą na umówione miejsce, gdzie już ja z próżnemi rękami, niby na prosty spacer wędrowałem. Za toż nim się przeciąg słomek rozpoczął, kazał mi deklamować sobie różne wiersze, które sam passyami lubił, a które ja kopami umiałem na pamięć. Zacząłem też nawet na cześć jego pisać wielkie poema, p. t. „*Myślistwo*“ na wzór „*Ogrodów*“ Delilla, i układałem je w myśli, czatując na słomki. Tym sposobem czas polowania nie był dla mnie pod względem poezyi czasem straconym; owszem, wtedy najlepiej roily mi się wiersze;—których zresztą siedząc przy stoliku z piórem w ręku, nigdy ani przedtém, ani potém, pi-

sać jakoś nie mogłem. Poezja téż ze swojej strony dopomogła mi najwięcej do zadośćuczynienia Nemrodowym gustom.

Znanym i szanowanym powszechnie, nie tylko w swoim, Oszmiańskim powiecie, ale i w całej prowincyi naszej obywatelem, był sąsiad nasz o trzy mile, pan Jerzy Soroka; człowiek, o którym możnaby powiedzieć, że skupiał w sobie, pod wszelkiemi względami, typowe rysy dawnego polskiego szlachcica i obywatela ziemskiego. Był on rodem z Czerwonéj Rusi, i rozpoczął swój zawód na dworze xięcia Generała Ziemi Podolskich, którego stał się wkrótce piérwszym ulubieńcem. To właśnie wplątało go w kłótnię z niejakim Szwykowskim, który podobnież łaski posiadał u samej xiężny. Z kłótni przyszło do pojedynku na szable, i Szwykowski poległ na placu. Soroka dosiadł konia, i oparł się aż w Turczyźnie. Rok przeszło bawił w Konstantynopolu, i dopiero za wyjednaniem dłań przez xięcia żelaznego listu od króla, powrócił znowu do kraju. Nie do Galicyi już wszakże, ale do Litwy, gdzie ożenił się z dziedziczką majątku, w którym mieszkał w powiecie oszmiańskim, sprawując w nim zarazem wysoki urząd Prezesa Sądu-Ziemskiego, a potem Podkomorzego, z wyboru obywateli. Był to w całym znaczeniu dawny Rzymski Cenzor, z surowym nastrojeniem Katona, nie tylko dla oszmiańskiej palestry, ale i dla wszystkich tamecznych urzędników, a nawet dla całego powiatu. Bali się go téż wszyscy jak ognia; na każdymu lubił wypalić *verba veritatis*, kręcąc wąż zaczynając od „*Mos Dobrodzieju!*“ co było zawsze ko grzmot przed burzą; a nikt mu się nie śmiał sprzeciwić. Sam atletycznój, wspaniałój postawy, nosił się

strojno po polsku, zawsze przy karabeli, i z głową podgoloną wysoko. Jeździł nie inaczej jak konno, i nawet dalsze podróże w ten sposób z luzakiem odbywał. Przytém lubił żyć gościnnie i dworno, i trzymał formalne myślistwo: ogary, charty, wyżły, i kilku strzelców, z których jeden, zwany *Jaroszkim*, choć miał już lat 70, tak był sławny w całym powiecie, że go miano za czarownika. Żadne łowy, żadna obława na dziesięć mil dookoła nie obyły się bez pana Soroki, który na nie, z całą swą psiarnią i myślistwem, sam konno, z dubeltówką przez plecy, przyjeżdżał. Otóż, na jednej takiej obławie na wilki, ja także postawiony w linii strzelców, choć się nie doczekałem wilka, ale nudząc się na przesmyku, ułożyłem dytyramb na cześć pana Soroki, który w wieczór, przy obiedzie myśliwskim, patetycznie wydeklowałem. Starzec tak był przez to ujęty, że zaraz nazajutrz przysłał mi w podarunku śliczną małą fuzyjkę; i nadto dwie sfory gończych ze strzelcem, abym z nimi, póki zechcę, polował. Ta niezwyčajna łaskawość ze strony pana Soroki, zjednała mi rozgłos w powiecie, a we mnie samym podwoiła zarazem ochotę do polowania i zapłał do poezyi.

Mówiłaś mi kiedyś, siostrzyczko! że z ciekawością w dzieciństwie czytałaś moją „*Izorę*“. Może więc będziesz ciekawa wiedzieć jój *genezę*, z której też lepiej może, niżbym sam mógł powiedzieć, stopień ówczesnej mądrości mojej wyrozumiesz.—Przez dwa lata polując na ptaszki, nigdy jeszcze nie ubiłem zająca; a zaś wzdychałem do tego, jak giermek do złotój ostrogi. Nakoniec, d. 20 Sierpnia 1819 r. (datę dotąd pamiętam), polując właśnie z psami pana Soroki,

w przeciągu jednej szczęśliwej godziny, ubiłem nie jednego, ale aż dwóch szaraków. Radość moja nie miała granic. Nie pozwoliłem strzelcowi dźwigać tych trofeów, które tak mi oberwały ramiona, że przez tydzień rąk podnieść nie mogłem. A że dnia tego wieczorem, czytając dzieło Segura p. t. „*Les Femmes*,“ znalazłem w niem ową historyę o Izorze, która mi się podobała niezmiernie: więc dla upamiętnienia dnia tak wielkiego tryumfu, ślubowałem najmocniej sam sobie, że z niej kiedyś napiszę dramat; co téż w lat ośm dopiero potem, skutecznilem w Warszawie. Planowanie albowiem dramatów, na wzór francuzkich, było naówczas głównym przedmiotem moich myśli, a zaś dla wprawy w dyalog tłómaczyłem „*Esterę*“ Rasyna. Jedno i drugie oddawałem pod sąd Frejenta, który i te jeszcze wakacye w domu moich rodziców przepędzał. Towarzyszył mi i on czasem do lasu, ale zazwyczaj bez strzelby. Zbierał tylko orzechy i grzyby, a w kieszeni miał zawsze ulubiony swój flecik, na którym, zwłaszcza spotykany dziewczętom albo małym pastuszkom, różne wiejskie melodye wygrywał. Nie wiedział on co z sobą począć; aż wreście ośmielony przez Łozińskiego, który mu ofiarował mieszkanie u siebie, puścił się w imię Boże do Wilna, i tam, podobnie jak w Borunach, stał się wnet ulubieńcem kolegów, a przyjacielem wszystkich wierszopisów, z którymi mnie téż pierwszy, jak już wyżej napomknąłem, zapoznał. Był to dzień nazbyt ważny i pamiętny dla mnie, abym tu szerzej o nim nie wspomniał.

Było to na Zielone Świątki w r. 1820. I nie ogę tu pominąć milczeniem szczególniejszój, a rzeczywiście dziwnój w życiu mojem okoliczności, to jest,

że wszystkie moje najważniejsze, najmilsze znajomości, z których wyniknęły najbliższe i najbardziej wpływo-
we stosunki, że wszystkie prawie przypadają na uroczystość Zesłania Ducha Świętego.

Otóż w roku 1820, kiedy jeszcze kończyłem szóstą klasę w Borunach, ojciec mój, korzystając z ferij świątecznych, wziął mnie z sobą na dni kilka do Wilna, gdzie się chciałem z Frejentem i z Ludwikiem Spitznaglem obaczyć. Frejent ucieszył się tém bardziej, że właśnie w Poniedziałek świąteczny miała być wielka koleżeńska majówka, na którą mnie zaprowadzić obiecał. Ranku tego nie zapomnę nigdy. O wschodzie słońca byliśmy już na Popławach z Frejentem i Łozińskim. Przed niskim domkiem drewnianym, noszącym szumną nazwę *Jeruzalem*, dziewczęta nakrywały długie wazkie stoły, zastawiając je dzbanami słodkiego i garnkami kwaśnego mleka, które miało stanowić śniadanie dla przeszło stu bliżej z sobą połączonych kolegów, którzy sami koszt na nie złożyli. Jakoż różnemi drogami, po kilku, zaczęli wnet przybywać goście; wszystko rzeskie, wesołe chłopaki, do których serce mi lgnęło, i którzy obu moich przewodników z respektem i życzliwością witali. Ci wszakże nie uznawali potrzeby, aby mię rekomendować tym wszystkim. Patrzyliśmy więc tylko zdaleka, ja na nich, a oni na mnie. Wtém jeden z nich przybiegł i woła: „Arcy, Arcy idzie!!!“—Łoziński i Frejent ruszyli się na spotkanie i mnie iść z sobą kazali. Na czele licznego grona szedł dwudziestokilkoletni młodzieniec, z kruczym, w pierścienie wijącym się włosem; z czarném, prawdziwie promienistém okiem; a w którego uśmiechu i twarzy tchnął taki wyraz uprzejmój dobroci, że odrazu chwycił za serce. Obok niego szedł niższy wzrostem, choć

nieco starszy wiekiem, w którego fizygnomii także malowała się dobroć, tylko że nie tak wesoła i żywa, nie tak promieniejąca na zewnątrz, jakby uśmiech rzeźwnej czułości. Obaj oni, widoczném było, że wiedają między wszystkimi. Byli to Tomasz Zan i Jan Czeczot. Frejent z jowialnym uśmiechem salutował ich po wojskowemu, i wzięwszy mnie za rękę, gdy się zatrzymali, przemówił żartobliwym tonem: „Oto jest ten mój Benjaminek, o którym mówiłem. Niechże go Arcy bierze, teraz w opiekę.“—I Arcy wyciągnął ku mnie rękę z takim uśmiechem i spójrzeniem, że pewnobym ją pocałował jak xiędza prefekta, gdybym się spektatorów nie wstydził. Czeczot zaś, podając mi także rękę, zapytał najprzód z uśmiechem:—„A czy Benjaminek lubi się uczyć? bo my tu takich tylko jak Benjamineków pieścimy.“ — Nie śmiałem odpowiedzieć na to, ma się rozumieć; ale sam Arcy odpowiedział za mnie twierdząco, na mocy tego, co wie od Frejenta, i co sam, jak się wyraził, „czyta z mojej twarzy.“ I to rzekłszy wziął mnie za rękę, i szedł dalej rozmawiając ze mną. Gdy zaś na zapytanie: „czém chcę być na świecie?“ odpowiedziałem z całą szczerością jak na spowiedzi: „poetą;“ zaczął się śmiać serdecznie z naiwności mojej; a Czeczot, lubo także z wielką życzliwością, zapytał znowu poważnie, czy wiem co trzeba umieć, żeby być poetą? i czy u nas w Borunach, wszyscy co piszą wiersze, nie są tacy próżniacy i wiercipięty jak Frejent?“ Apostrofowany w ten sposób odciął zaraz wesołym konceptem, a potem mnie z kolei zentował innym. Od téj to chwili zaczęła się pierza znajomość, a potem szczerza, wzajemna, dotąd bez więcej niż pół wieku niezmiennie trwająca przy-

jażn, z żyjącymi dziś jeszcze: *) Józefem Kowalewskim, Janem Wiernikowskim, Adamem Suzinem i Ignacym Domejką, którego ojciec z moim żyli też niegdyś w najściślejszej przyjaźni, kolegując jako mecenasi przy głównym trybunale Litewskim. On pierwszy zaczął mi mówić o tém: ale i ja to już pierwój od ojca mojego wiedziałem. Tegoż dnia jeszcze wieczorem przyszedł do naszego mieszkania, i obiecał ojcu mojemu, że się mną opiekować będzie za przyjazdem moim do Wilna.

Po odbytém śniadaniu w Jeruzalem, cała już gromada razem zapuściła się w przesłiczne dąbrowy Popławskie, i zaczęła się prawdziwa studencka majówka. Grano w *metę*, w *palanta*, w *zajęca*, — rychtyk jak u nas w Borunach; bo też i większa część obecnych składała się z pierwszoletnich uczniów, o niewiele starszych może ode mnie. Ja jednak razem z Frejentem trzymałem się ciągle przy starszych i poważniejszych, nie mogąc się jakoś całkiem osmielić. Czeczot siadłszy na jakimś pniu ściętego drzewa, kazał mi deklamować jakie moje wiersze. Arcy i drudzy słuchali ich stojąc. Byłem jak w gorączce, a deklamowałem najprzód „*dumę* o Ludgardzie,“ napisaną na wzór Niemcewicza, a natchnioną przez takąż *dumę* Karpińskiego; tylko że treścią moją była już zgryzota, a potem śmierć samego Przemysława, który umierał, widząc przed sobą cień niewinnie zabitej przez siebie żony. *Dumę* tę moi koledzy Boruńscy uważali za moje arcydzieło; a i tu Czeczot kręcił nieraz głową słuchając, a Arcy, gdy skończyłem, pocałował mię w czoło. Było to dla mnie jakby namaszczenie. Następnie, gdy chciano abym co jeszcze w innym rodzaju powiedział, deklamowałem

*) *Pisano w r. 1874. (A. P.)*

pojedynek Almanzora z Larą, zrymowany z tłumaczenia polskiego prozą „*Gonzalwa z Korduby*,” Floryana. Słuchacze moi, jak dziś widzę, nie byli zbyt wybredni i surowi, kiedy w rok potem, gdy także w drugi dzień Zielonych Świątek, na tychże samych Popławach, i na takiéjże saméj majówce, czy uczcie koleżeńskiéj, poznałem raz piérwszy Adama Mickiewicza, Czeczot kazał mi najprzód wyrecytować przed nim obie te same ramoty. Tymczasem, na téj to właśnie piérwszéj majówce, posłyszałem téż poraz piérwszy imię jego i dowiedziałem się, że był najpiérwszym między kolegami poetą. Było to z racyi piosnek: „*Hej użyjmy żywota!*“ „*Gdy radością oczy błysną*“ i „*Czterech toastów*,” które chórem, pod przewodnictwem Zana, po kolei potem śpiewano.

Wróciłem jak w pół obłąkany do ojca, tak byłem upojony tém wszystkiém, co w tym dniu widziałem i czułem; i dobrze że Frejent był ze mną, który ojcu mojemu przyczynę tego stanu mego wyjaśnił; a zaś przyście Ignacego Domejki uspokoiło go do reszty, że przecież głowy całkiem tu nie stracę. Frejent dał mi także do przeczytania i pozwolił przepisać parę ballad Zana: *Nerynę i Twardowskiego*; przyczém raz piérwszy w życiu posłyszałem wyraz *ballada*; a za powrótem do Borun, czytaniem ich i opowiadaniem o tém co widziałem, zapalałem z kolei głowy bliższych kolegów, którzy wszyscy, wraz ze mną, na rok przyszły wybierali się na uniwersytet do Wilna.

Ale nim opuścę Boruny:—ponieważ głównym em tych moich opowiadań są właśnie znajomości tosunki moje z poetami;—muszę tu jeszcze wspomnieć o dwóch spotkaniach, pomijając milczeniem trze-

cie, lubo najważniejsze dla mnie, z Ignacym Chodźką, któremu w dalszym ciągu osobne, obszerniejsze wspomnienie poświęcę.

Te zaś spotkania z dwóma poetami wymagają krótkiego wstępu, który znów swoją drogą ujść może za jeden z ogólnych rysów ówczesnego życia szkolnego w Litwie.

Najstraszniejszym dla uczniów wszystkich szkół powiatowo-wiejskich zjawiskiem i widziadłem, był *Wizytator*, mianowany i wybierany corocznie przez Radę uniwersytecką w Wilnie, który wszystkie te szkoły objeżdżał, oglądał, egzaminował, i potem składał o nich sprawozdanie téjże Radzie. Wizytatorów bywało po kilku niekiedy na raz, z których każdy oddzielną część prowincyi miał zwiedzać. Wybierano ich już to z pomiędzy professorów uniwersytetu, już to z pomiędzy znakomitszych a światłych obywateli, jak np. Adam hr. Chreptowicz, Jan Chodźko, i nakoniec ostatni, Twardowski, który potem został rektorem uniwersytetu, a po którym właśnie uniwersytet uległ radykalnej przemianie. Często téż Prowincyałowie zakonów miewali polecony sobie obowiązek wizytatorów, zwłaszcza szkół, przez zakon ich utrzymywanych, i łączyli go wtedy zarazem z prowincyałską wizytą klasztorów, którą téż co rok odbywali. Ale ktokolwiek godność tę sprawował, zawsze ona w oczach studentów oblekała go w jasność i grozę komety, której czas przyścia obliczano troskliwie, a samo przyście witano z przestachem, z jakim gmin zabobonny wita zwykle zjawienie się gwiazdy z ogonem. A jako nieraz podobno i sami mocarze świata drżeli przed tą różgą wyroków, którą Niebo ziemi groziło: tak i sami pro-

professorowie nie byli bez pewnej obawy, jakie zdanie o szkołach ich i o nich samych, pan lub xiądz Wizytator poweźmie, i do uniwersytetu przedstawi. Czém zaś u komety jest ogon, który jój cechę i część integralną stanowi, i najwięcej jój grozy przyczynia: tém przy każdym wizytatorze bywał zwykle jego sekretarz. Wybierał go sam wizytator, a wybierał, ma się rozumieć, takiego, któryby umiał i egzaminami kierować, i zdanie o nich sprawiedliwe wydać, i w za imponowaniu naukowością professorom samego wizytatora zastąpić. Owóż takim wizytatorem do Borun, gdy byłem w klassie trzeciej, przyjechał p. professor astronomii Reszka, o którym w satyrycznych jasełkach, przedstawiających cały uniwersytet, które kiedyś po Wilnie krążyły, było powiedziano:

„Oto pan Reszka,
Co na dole mieszka!
Patrzy na gwiazdy,
A wie co i każdy.“—

Wiersze te, znane wszędzie po szkołach, ujmowały nieco powagi samemu panu wizytatorowi; ale za toż tém większą trwogę budził jego sekretarz, znany również z dowcipu i złośliwości satyryk i epigramatyk, naśladowca Juwenalisa, pan Ignacy Legatowicz. Nasz professor wymowy drżał przed nim; ja zaś byłem niezmiernie ciekawy widzieć poetę, którego drukowane już wiersze w Dzienniku i Tygodniku Wileńskim tałem. Jemu także zapewne musiano powiedzieć o mnie; bo ledwo wszedł do klasy, na pierwszym aminie z wymowy, szepnął coś professorowi do ucha, a ten kazał mi wystąpić z ławki, i zaprezen-

wał mię jemu. Legatowicz popatrzył na mnie bystro; a że ja z ciekawością także patrzałem na niego: więc musiało mu się to chyba podobać; bo wziął mię za rękę, i poprowadziwszy do krzesła samego pana wizytatora, przedstawił mię jemu imiennie. Pan Reszka powiedział mi na to, że jest dawnym przyjacielem mojego ojca, i że dziś jeszcze z Borun do niego pojedzie; jeśli się zaś ja na tym pierwszym egzaminie popiszę, to go z sobą na następny przywiezie. Popisać się z wymowy nie sztuka! Ale ten następny egzamin miał być właśnie z matematyki, będącej zawsze dla mnie kamieniem obrazy, i przeto ta obietnica zgoła mnie nie ucieszyła.

Czy to postrzegł, czy zgadł Legatowicz, nie wiem; ale przy końcu egzaminu znowu podszedł ku mnie do ławki i pyta:—„A matematykę czy umiesz?”—Odpowiedziałem jak było: że staram się, ale mi trudno przychodzi. On uśmiechnął się i mówi zcicha: „*A centum bozum* czy umiesz? To przecież taka piękna figura!”—Zrozumiałem co to ma znaczyć, i zaraz przyszedłszy do stancyi przerepetowałem ją razy kilka; a gdy mi Legatowicz nazajutrz kazał ją na egzaminie dowodzić, popisałem się jak można najlepiej, w obecności ojca mojego. Postępek ten Legatowicza taką we mnie obudził wdzięczność, że czułem się prawdziwie szczęśliwym, kiedy we trzydzieści kilka lat potem, zdarzyła mi się sposobność *de facto* mu ją okazać, starając się, wedle możności, osłodzić mu nie jedną chwilę tęsknoty, gdy pozbawiony wzroku i osamotniony, potrzebował przyjacielskiej pociechy. Ówczesny zaś mój popis z matematyki liczę zawsze w pamięci do rzędu korzyści, jakich mnóstwo w ciągu życia mojego poezyi i poetom zawdzięczam.

Zetknięcie się z drugim poetą było nieco podobnego rodzaju, tylko że był nim sam już Wizytator, w osobie X. Jana Kantego Chodaniego, Prałata kapituły wileńskiej, Professora prawa kanonicznego i Dziekana wydziału prawnego w uniwersytecie wileńskim, który był przytém tłumaczem wielu poezyj, a między innymi *Henryady* Woltera, którą raz pierwszy już wtedy w jego tłumaczeniu czytałem. Wizyta xiędza Chodaniego przypadła na ostatni rok pobytu mego w szkołach Boruńskich, a że przyjechał przed samym egzaminem publicznym, odbywszy więc najprzód swoje, i ten obecnością swoją zaszczycił.

We wszystkich szkołach egzamin publiczny, kończący każdy rok szkolny, w dzień ŚŚ. Piotra i Pawła, d. 29 Czerwca, był zarazem kulminacyjnym punktem jego i koroną. W Borunach odbywał się on już nie w klassach, ale w kościele, zamienionym natenczas na salę popisu, po odbytém nabożeństwie ranném. Cały kościół napełniała publiczność, złożona przeważnie z matek, przybyłych z córkami po synów; z całego poblizkiego sąsiedztwa, i z dygnitarzy powiatowych z Oszmiany. Tą razą wszystkie te gwiazdy gasły przy blasku chwały Prałata-Wizytatora, który w kanonicznej purpurze, w doktorskim birecie na głowie, siedział jakby na tronie, w krześle na estradzie stojącym, mając obok po obu stronach oszmiańskiego powiatowego Marszałka, oraz Superiora Boruńskiego klasztoru. Wszystkie klasy z kolei szykowały się przed a tryumwiratem, a celujący tylko mieli ten przyzej, że byli dopuszczeni do popisywania się publicznie, z odpowiedziami na pytania, albo z deklamacją wierszy, reprezentując w ten sposób postępek całej klasy.

Głównymi atoli bohaterami fety byli uczniowie kończący szóstą klasę i szkoły, i oni to właściwie honory jej gościom czynili. W tym roku, 1820, było nas takich siedmiu;—siedmiu tylko z trzydziestu kilku, którzy wraz z nami pierwszą klasę zaczęli, ale albo w pół drogi przerwali naukę i poszli w świat z klasz niższych, albo w tyle za nami zostali. Plejadę tę, oprócz mnie, składali trzej najbliżsi przyjaciele i współczelnicy moi, o których już wyżej mówiłem: Łaskowicz Karol, Jasiewicz Syxtus, Tórczyński Jan, i przechylający się i lgnący ku nam Michał Antoniewicz. Z przeciwnego obozu realistów, był tylko sam Hieronim Umiastowski, z bratem Hilarym, ale i ci do uniwersytetu nie poszli. Że zaś z oszmiańskiego powiatu ja tylko jeden w tym roku do niego przybyłem, Frejent wymyślił koncept, który potem przeszedł prawie w przysłowie: że powiat oszmiański przez reprezentanta tylko chodzi na uniwersytet. Na tym wszakże egzaminie ostatnim reprezentowaliśmy go wspólnie z Umiastowskim: on pokazując zwłaszcza publiczności różne sztuki elektro-magnetyczne z fizyki, ja zaś deklamując wiersze, cudze i swoje. Że zaś deklamacją cudzych stanowił właśnie wyjątek z *Henryady*, tłumaczenia samego Jubilata festynu: on też z wielką łaskawością nawzajem pochwalił głośno mój przekład początku IX księgi Eneidy, który mi potem w przyszłości większy jeszcze zjednać miał tryumf. Ale tą razą nie koniec był na tém.

Podług przyjętego zwyczaju, rozpoczynały i kończyły egzamin dwie mowy, wypowiedziane przez uczniów kończących szkoły, z mównicy, w środku kościoła wzniesionej, a kobiercami okrytej. Do jednej z nich miał niezaprzeczone prawo Umiastowski; ale że się on nigdy

w literackie kompozycje nie wdawał: więc go zastąpił, przy otwarciu egzaminu, Laskowicz, a na mnie, przy zamknięciu, ostatnia, pożegnalna mowa przypadła. Obie napisaliśmy sami; professor niewiele poprawił. Ja zaś nie pokazując nawet professorowi, dodałem na końcu w mojej takie czule i patetyczne pożegnanie profesorów, szkoły i kolegów, że go sam na mównicy dokończyć nie mogłem, i ślamazarném rozchlipaniem się na niéj, więcej może, niżbym mógł słowy, poruszyłem słuchającą publiczność, która mnie za to oklaskami okryła. Na tém się skończył peryod mój szkolny;— a ja tu kończę go na tém, że cię, droga siostrzyczko, za rozwlekłe a nudne może szczegóły jego przepraszam. Ale wznawiając je na twój rozkaz w pamięci, nieraz mi, (mówiąc słowy poety):

„Zdało się, że dzieciniałem,
 Że na rynku Boruńskim z braćmi igrałem miłemi.“

A że dziś oni wszyscy już w mogiłach:—nie wiń mię, że tém wspomnieniem imion ich i wspólnej przeszłości, chciałem złożyć im razem hołd wdzięcznej pamięci.

A nawet, nie przestając na tém, chcę tu jeszcze, na mocy zastrzeżonego prawa dygressyi, podać o jednym z nich obszerniejszą nieco wiadomość, nie z pobudek osobistej tylko przyjaźni, ale dla szczególniejszej jego osobistości własnej, stawiając go na tak odrębnym i wydatnym piedestale, że każdy poeta w duszy, a nawet każdy czujący i myślący człowiek, może nań nie tylko z ciekawością, lecz może nawet i nie bez pewnego pożytku, jako na interessujący model popatrzeć.

Jest nim wspomniany nieraz powyżej kolega i współczytelnik, Syxtus Jasiewicz. Od dzieciństwa górującą w nim władzą duszy była nadzwyczaj żywa, bujna i lotna wyobraźnia. Mimo zaś wrażliwego i tkliwego serca, a nawet, że w corocznych teatralnych przedstawieniach studenckich, on, jako najstosowniejszy z urody, grał zazwyczaj role panieńskie; mimo to, sentymentalna romantyczność w nim samym podrzędne tylko zajmowała miejsce. Heroizm i religijny ascetyzm stały zawsze na pierwszym planie, podsypane zwłaszcza czytaniem *Iliady*, *Jerozolimy Wyzwolonej*, i *Żywotów Świętych*. Będąc już w uniwersytecie Wileńskim, gdy rewolucya Grecka wybuchła, przez czas jakiś nosił się na seryo z tą myślą, iżby się jakoś przedostać do Greków, i za wolność Hellady walczyć z niewiernymi. Gdy zaś w r. 1828 przyszło do wojny Rossyjsko-Tureckiej, on, wbrew wszelkim odradzaniom przyjaciół, opuścił nagle Wileńską palestrę, i dognawszy już wojsko za Prutem, zaciągnął się jako ochotnik do pierwszego spotkanego pólku huzarów. Myśl, że rzecz idzie o wyzwolenie Chrześcian-Słowian z pod pogańskiego jarzma Muzułmanów, natchnęła go takim zapalem i poświęceniem dawnych Krzyżowców, iż wkrótce, za odznaczenie się zwłaszcza w pojedynczych harcach z Turkami, na które wciąż jako ochotnik wyjeżdżał, zwrócił na się uwagę całego pólku; otrzymał krzyż św. Jerzego, i został mianowany oficerem. Epidemiczna febra mołdawska przerwała dalszy zawód wojskowy. Powrócił zatem do kraju i do zawodu prawnika, mając w nim przedewszystkiém na celu, ażeby być obrońcą ucisnionych i słabych. W tym też a nie innym widoku, po ówczesnych wypadkach krajowych,

na żądanie współobywateli Wilkomirskiego powiatu, przyjął ofiarowany sobie urząd powiatowego naczelnika policji ziemskiej, i sprawował go przez lat kilka w ten sposób, iż stał się rzeczywiście stróżem publicznego porządku i bezpieczeństwa, opiekunem ubogich, a postrachem wszelkiego rodzaju złoczyńców. Sława jego rozniosła się szeroko, tak, że obywatele gubernii Kowieńskiej, zebrani na wybory, powołali go i wybrali jednomyślnie na ważny i zaszczytny urząd członka apellacyjnej izby sądowej w Kownie. Tym sposobem zewnętrzna pomyślność światowa stanęła dlań na równi z wewnętrznym szczęściem domowym, którego, jako mąż ukochanej i najlepszej żony, i jako ojciec przesłicznój, nad wiek swój rozwinętej, a jedynój córki, kosztował.

A i samo to jego małżeństwo było wprost jakby wynikiem właściwego mu usposobienia i nastroju ducha. Za pobytu jeszcze w uniwersytecie, znał w domu p. Marszałka gubernialnego, Marcinkiewicza-Żaby, wychowującą się w nim wraz z córką gospodarza, daleką powinowatą, ale ubogą sierotę, Maryą Grewinównę, której wysokie moralne i umysłowe przymioty oceniał, ale myśl o miłości nigdy mu ani do głowy nie przyszła. Tymczasem przyszedłszy raz niespodzianie, zastał ją samą w pokoju, modlącą się i rzewnie płaczącą. Powodem łez było oświadczenie się o jój rękę jednego z sąsiadów wiejskich, za którym przemawiał wszystkie względy światowe, ale który jój serca nie zjednał. Wzruszony litośnym współczuciem, i wprost z chwilowego natchnienia, zapytał: czyby go nie wolała raczej niż tamtego? — i w kwartał potem byli już po ślubie. Szczęśliwszego nad ich małżeństwa rzadko kiedy zdarzyło mi się być świadkiem. Przerwała je

po latach kilku przedwczesna śmierć jój samój. Zniósł ją z rezygnacją chrześcijańską; ale gdy po kilku miesiącach, ośmioletnia téż jedynaczka pośpieszyła połączyć się z matką: rezygnacja przeszła—nie w rozpacz, ale w exaltacją ascetyczną. Myśl o wieczności owładła go całkiem. Złożył urząd, zerwał ze światem, i udał się do Warszawy, chcąc wstąpić do zakonu XX. Kapucynów, których w Litwie już wtenczas nie było. Formalności, wymagane przez prawo, stanęły na przeszkodzie przyjęciu. On wszakże, przez samą już intencją swoją uważając się za związanego ślubem zakonnym, przywdział strój tercyarski, przez pół pustelnicy, i korzystając z ofiarowanej mu gościnności przez przyjaciela swojego, Stanisława hr. Kossakowskiego, osiadł w dobrach jego Wojtkuszkach, prowadząc żywot iście pustelniczy, poświęcony wyłącznie usłudze biednych, a mianowicie włóścian okolicznych. Korzystając z tego usposobienia hr. Kossakowski, jako światły i wyrozumiały przyjaciel, skłonił go powoli do tego, iż się zajął obowiązkowém czuwaniem nad losem tychże włóścian, i uregulowaniem stosunków ich ze dworem, w obszernych dobrach hrabiego; bez żadnego, mu się rozumieć, wynagrodzenia za to dla siebie. Zajęcie to złagodziło powoli pierwsze porywy żalu i wyobraźni; i gdy powierzono mu obowiązkowi, z zobowiązaniem zadowoleniem stron obu dokonał, przybył nakoniec do Wilna, i licząc już około 50 lat wieku, wszedł jako uczeń do dyecezalnego Seminarium tamiecznego. Przykład jego i wpływ na współkolegów okazał się o tyle korzystnym, iż ówczesny biskup Wileński, późniejszy Metropolita, Żyliński, przyspieszwszy dlań termin wyświęcenia (w r. 1855), mianował

go jednocześnie Inspektorem uczniów tegóż Seminarjum, który to urząd przez lat dziesięć sprawował. Do pierwszej mszy prymicyjnej, którą miał w Ostrój Bramie, służyli mu dwaj szkolni koledzy i przyjaciele: Karol Laskowicz, naówczas już Rzeczywisty Radzca Stanu, urzędnik w Ministerstwie Oświecenia, umyślnie na ten obrzęd przybyły do Wilna, i ja, ich obu rówieśnik. Wiersz mój do jubilatą, z okoliczności téj napisany, jako i drugi poprzedni, znajdują czytelnicy w przypisach. O dalszym zaś losie jego samego to chyba mogę powiedzieć, że w skutek zmiany w dycieczalnym zarządzie, wysłany na ubogie probóstwo wiejskie w Świrze, a przedtém już osłabiony na zdrowiu, nocną w czas słotny podróżą do chorego, sam sobie zgon niespodziany przyspieszył.

III.

Czasy Uniwersyteckie.

Pobył mój w uniwersytecie Wileńskim przypadł, szczęśliwem dla mnie wydarzeniem, na najświetniejszy okres jego rozwoju (1820—1823). Gorliwość obywatelska zdolnych profesorów, zbiegła się z gorliwością i zapalem uczniów; których nastrój duchowy i obyczajowość, śmiało można powiedzieć, że ani przedtem, ani potem, nie miały sobie równych w żadnym uniwersytecie Europy. Było to zwłaszcza dziełem koleżeńskich i przyjacielskich stowarzyszeń, pod przewodnictwem Zana i Czczota. Wiész o nich skądinąd, siostrzyczko; powtarzać tu więc tego nie będę. Wpływ ich wszakże na umysł, serce, i na całe życie moje był taki, że nawet, podług programu, mówiąc tylko o sobie i o przyjaciółach-poetach, właściwie o nich mówić raczej będę.

Wspomniałem już, że z woli ojca, wbrew mojej, miałem chodzić na wydział prawny; a więc chciałem przynajmniej, jako wolny słuchacz, mieć wstęp na lekcyjne literatury polskiej i łacińskiej, (Borowskiego Leona i Grodka Ernesta), należące do wydziału filo-

logicznego; i w tym celu trzeba się było zapisać do *album* u dziekanów obu tych wydziałów. Tu jednak, zda się, że Febus i Temida ostrzegali mię wspólnie i wskazywali mi właściwą drogę. Pierwszy pociągał, druga odpychała. Nie usłuchałem, a raczej nie mogłem usłuchać, choć chciałem; i bodaj, że wyszedłem na tém jak ów ptak w przysłowiu, co to chciał usiąść na dwóch drzewach razem.

Dziekanami obu pomienionych wydziałów byli naówczas poeci, t. j. piszący wiersze: prawnego, xiądz Jan Kanty Chodani, Prałat Kapituły Wileńskiej, tłumacz *Henryady* Woltera; literackiego, xiądz Filip Neryusz Golański, autor dzieła „O wymowie i poezyi,” i także członek téjże kapituły. Mówilem już, że pierwszy z nich, będąc w tym roku (1820) wizytatorem szkół, na egzaminie publicznym w Borunach, raczył być bardzo łaskawym i uprzejmym dla mnie, kiedy deklamowałem przed nim ustęp z *Henryady*, tłumaczenia jego, i własne wiersze moje czytałem. Nie wątpilem więc że mię pozna, a zatem, że i przyjmie stosownie; i wszedłem nie tylko śmiało, ale nawet pewny tryumfu, w obec kilkunastu nieznanomych przyszłych kolegów, którzy także zapisać się przyszli. Tymczasem stało się przeciwnie. Xiądz Prałat, z miną Baszy, (barczysty, dobrej tuszy, rumiany), siedział przy stole biurowym nad *album*, i biorąc z rąk podających patenta szkolne, przeglądał je, mierzył wyniosłym wzrokiem właścicieli, czasem zadał jakie pytanie, i w końcu imię wpisywał do xięgi. Gdy przyszła kolej na mnie, zbliżyłem się z uśmiechem, i mało brakowało, żebym się nie przypomniał dawnéj znajomości. Wyraz ten mojej twarzy musiał się nie podobać widocznie xiędzu Prałatowi, gdyż zmro-

ził go odrazu groźnym marszem i wzrokiem surowym, i nie wiem czy z intencją, czy bez niej, ale odprawił mię zimniej niż innych—nie zaprzeczywszy wszakże zapisania do album. Jest to chwila pamiętna mi w życiu. Dziś może gotówbym przyznać, że x. Prałat miał w gruncie racją, chociażby nawet mię poznał, karcąc w ten sposób zbytne zaufanie, czyli, jak mógł przypuszczać, zarozumiałość młokosa, które z twarzy mojej wyczytał. Z drugiej też strony uznaję, (to jest teraz), że moja to wygórowana pretensya, nic więcej, uczyniła mi tak boleśnym jój zawód. Ale co wtedy, to wyszedłem tak dotknięty, upokorzony i rozjątrzony głęboko, że dwa najgorsze uczucia, gniew i pycha, jakby z natchnienia kusiciela, obudziły się we mnie zarazem. „Poczekaj! będę ja lepszym poetą od ciebie!“ — pomyślałem, jakby grożąc mu pięścią. Szczęściem, że w téjże chwili rozżalone serce lepszą nieco myśl mi natchnęło. Ślubowałem Bogu i sobie, że jeśli kiedy będę na urzędzie, nigdy moim podwładnym nie sprawię takiej goryczy, jakiej sam dzisiaj doznałem.

Zadziwisz się może, siostrzyczko! że tak szczegółowo 'dotychczas to drobne wydarzenie pamiętam. Ale dla mnie nie było ono drobném. Było to pierwsze moje niejako bezpośrednie zetknięcie się ze światem, (miałem zaledwie lat 16 skończonych), i kto wie, jakiby kolor mógł paść tłem na białą kartę myśli i uczuć moich, gdyby szereg wrażeń następnych był długo téj natury, co pierwsze. Bogu dzięki, że tak nie było; ale to pierwsze spotkanie ze znajomym dziekanem, odjęło mi wszelką odwagę iść samemu do nieznanego. Uciekłem się więc pod opiekę profesora Spitznagla,

który sam był dziekanem wydziału medycznego, a ten wydelegował od siebie pana Kazimierza Kukiela, gubernera swych synów, aby był przewodnikiem moim do x. dziekana Golańskiego i polecił mię jego uprzejmości. Sądę jednak, że i bez téj rekomendacyi, sama wrodzona łagodność i dobroć, malująca się wyraźnie na jego sędziwej twarzy, zapewniłaby mi łaskawe przyjęcie. Był to już wówczas staruszek, lat około 80 może mający, nizkiego wzrostu, schylony, łysy, z długim białym włosem po skroniach i z tyłu głowy, ale młody znać sercem, w spójrzeniu i uprzejmym uśmiechu, którym nas wchodzących przywitał. Gdy mu zaś p. Kukiel powiedział, że jestem synem sąsiadów i przyjaciół państwa Spitznagłów, a nadto dodał od siebie, że piszę wiersze: twarz staruszka przybrała wyraz prawdziwie ojcowski, i chociaż tonem wesołego żartu ostrzegał mię niby o niebezpieczeństwach manii wierszowania, cytując między innymi wiersz ze *Sztuki Rymotwórczej* Dmochowskiego:

„Że w sztuce niebezpiecznej odlewania wierszy,
„Musi ten być ostatni, kto nie będzie pierwszy;“

widać było jednak wyraźnie, że chciał mię raczej zachęcać niż zrażać, skoro tylko, jak się wyraził, czuję w sobie Bożą iskrę talentu, i bylebym zawsze tylko ten talent ku czei i chwale Bożej, a ku pożytkowi bliźnich obracał. Kiedy zaś w dalszej z tego względu rozmowie, do której sam mię ośmielił, kazawszy usiąść przy sobie, dałem mu do poznania, że dzieło jego „*O Wymowie*“ czytałem, i gdy wewnętrzne uczucie wdzięczności odbiło się téż może na twarzy i w słowach moich: wizyta, której tak się lękałem, skończyła

się nareście na tém, że dobrotliwy staruszek nie tylko mi żądanego pozwolenia nie odmówił, lecz nadto, zegnającego go po synowsku, sam téż prawdziwie jak ojciec uściskał, i jak kapłan pobłogosławił. Było więc czém się pocieszyć po wczorajszej dekonfiturze; i dziś jeszcze, po sześćdziesięciu już prawie latach od téj chwili, miło mi jest oddać w tych słowach hołd należnej czci i wdzięczności, jego iście świętej pamięci.

Tym sposobem zaraz nazajutrz zasiadłem już jako uczeń w sali lekcyjnej wydziału literackiego, najprzód na lekcyi łacińskiej literatury Grodka, o godzinie 2-giej po południu, a następnego dnia o godzinie 5-tój, na lekcyi literatury polskiej Borowskiego.

Na tę to ostatnią zwłaszcza gotowałem się jak nowo-zaciężny żołnierz na pierwszą bitwę, której zarówno pragnie, jak boi się razem. Byłem już przedtém raz na niej, pod opieką Frejenta, bawiąc z ojcem w Wilnie na wiosnę, i trzebaż że właśnie trafiłem na dzień przeznaczony w tygodniu, (sobotę), na odczytywanie i roztrząsanie publiczne przez profesora ćwiczeń uczniów, przed tygodniem złożonych, i zwykle przez nich w tym celu co tydzień, w sobotę także, na katedrze profesora składanych. Nie był to obowiązek konieczny, lecz otwarta dla wszystkich droga, ażeby mogli w ten sposób względem prac swoich, wierszem czy prozą, zdania profesora zasiągnąć i o niém się nawzajem dowiedzieć. To, co wtedy słyszałem, stało się dla mnie jakby głównym przedmiotem marzeń moich i nadziei na przyszłość; to jest, wzbudziło nadzwyczajną ochotę, aby téż kiedyś zaszczytu podobnego roztrząsania dostąpić, ale przytém i nadzwyczajną obawę, jak mi się ta straszna próba powiedzie. Borow-

ski bowiem, jako publiczny krytyk z obowiązku, nie odznaczał się wcale łagodną pobłażliwością; słynał owszem jako nazbyt surowy, acz sprawiedliwy, i co gorsza, nie szczędził nawet dowcipu i ironii, przez co nieraz, (jak sam byłem świadkiem naówczas), śmiech ogólny w słuchaczach obudzał. Prawda, że nie wymieniał wtedy nazwiska autora; i nie wymieniał go nawet nigdy przy zwyczajném roztrząsaniu ćwiczeń, chyba że które z nich w oczach jego zasługiwało na tak wysoką pochwałę, że jako największy jój dowód, po odczytaniu go w całości publicznie, głośno w końcu i podpis autora przeczytał. Ale zaszczyt to był tak rzadki, że stanowił epokę w kursie, i tradycją z roku na rok w pamięci uczniów przechodził. Łatwo pojąć, że o podobnym ani nawet marzyć nie śmiałem. Całe moje życzenie ograniczało się na tém, aby nie doznać wstydu i upokorzenia, choćbym je tylko miał odczuć sam w sobie. Postanowiłem jednak spróbować szczęścia co najprędzej, i zaraz w pierwszą sobotę, poleciwszy się najprzód, na nieszpórach w Ostrój Bramie, Wspomożycielce słabych a Ucieczce grzesznych, złożyłem na katedrze, przed przyjściem profesora, w stosie innych i moją ramotę. Był to przekład początku IX księgi *Eneidy*, obejmujący co najmniej część jój czwartą, przed rokiem już napisany w Borunach. Wybrałem go też właśnie na początek dla tego, że miał za sobą zdanie tamecznego profesora wymowy i kolegów, a co największa, pochwałę z ust samego X. Wizytatora—choć to potem wyszło mi tak na złe.

Tydzień przeszedł niepostrzeżenie w oczekiwaniu przyszłej strasznej soboty. Zacząłem też ją od wysłuchania *primaryj* w Ostrój Bramie, i na kwadrans

przed 5-tą zasiadłem miejsce moje w ławce, jak delinkwent przed trybunałem. Na katedrze leżał już stos ćwiczeń przeszło-sobotnich, przez bedela wprzód zapewne przysłanych, a obok niego szykował się nowy, do którego ja także najnowszy już mój utwór dodałem.

Tymczasem w stosie poprzednim śledziłem pilnie okiem rękopismu mojego, i odkryłem go łatwo po zielonym papierze, na którym był napisany. Leżał prawie w połowie stosu, który się składał z kilkunastu ćwiczeń. Professor wszedł i zasiadł na katedrze z twarzą surową jak Minos, a serce we mnie aż mdało ze strachu. Sąd też o pierwszych ćwiczeniach, które leżały przed moją, nie przyczynił się wcale do ośmieszenia mię i uspokojenia. Każdego wprawdzie odczytywał tytuł, ale o jedném tylko prozą wyraził się nieco obszerniej, wykazując niektóre zalety, ale więcej jeszcze usterków, tak w układzie treści, jak w stylu. Wszystkie inne po kilku słowach odkładał obojętnie na stronę, co znaczyło, że niewarte rozbioru. Przyszła kolej nakoniec i na papier zielony; ale jakże się przeraziłem, gdy go professor, nie czytając nawet tytułu, położył także na boku, tylko że nie razem z temi; nie wiedziałem co to ma znaczyć, i ze drżeniem czekałem końca. Wszystkie następne ćwiczenia były już pisane wierszem. Professor w ogólności był dla nich łaskawszy. Z każdego prawie odczytał po kilka strof, albo wierszy, i robiąc nad nimi uwagi, chwalał lub ganiał, resztę ich treści swemi słowy domawiał. Nakoniec przejrawszy ostatnie, wziął znów w rękę papier zielony. Struchlałem. Professor przeczytał tytuł, i zaczął czytać zwolna wiersz po wierszu, żadnych uwag nie czyniąc nad nimi. Z tonu atoli głosu mo-

głem odgadywać wyraźnie, że wskazywał usterki, lub szczególniejsze zalety wyrażenia; i tych ostatnich intonacyi, zdało mi się, że było więcej niż pierwszych. Czekałem więc rychło przestanie; ale on nie przestał bynajmniej, aż wszystko do końca przeczytał. Cała sala słuchała ciekawie, ja sam nie wiedziałem co myśleć. Wywiódł mię wnet z tój niepewności, najprzód ogólną pochwałą, a potem podnoszeniem kilku miejsc lub wierszy pojedynczych, które musiał mieć pozakreślane, bo je znajdował łatwo i powtórnie odczytał. Przyszła w prawdzie kolej i na usterki, ale tych było w porównaniu niewiele, i całość wyszła z próby zwycięzko. Professor tak dalece posunął swoją łaskawość, że mówiąc o tłómaczeniu *Eneidy* przez Dmóchowskiego, który właśnie tych xiąg ostatnich nie miał już czasu dokończyć, radził bezimiennemu autorowi ćwiczenia, ażeby on przedsięwziął tę pracę; gdyż sądząc z obecnej próby, wywiązałby się może lepiej z zadania, niżeli owoczesny kontynuator przekładu Dmóchowskiego,“ (x. Jakubowski jeżeli się nie mylę), który już po jego śmierci te xięgi ostatnie przełożył. Nie ochłonałem jeszcze z podziwienienia, gdy na ukoronowanie dzieła, professor moje nazwisko, z obudwóma imionami wymienił.

Czytałem gdzieś, że pierwsze wrażenie wielkiej radości, podobne jest do uczucia bóleści. Prawdy tego doświadczyłem wtedy na sobie. Zaćmiło mi się w oczach, zadzwoniło w uszach, i mało brakowało, żem się nie rozplakał. Pamiętam to jakby wczora, bo jest to jedna z chwil najważniejszych w mém życiu, i która téż może na nie wpływ najważniejszy i stanowczy wywarła.

Ośmieliwszy się wreszcie spojrzeć w koło siebie, spotkałem wszystkich oczy obrócone na mnie; bo z jednej strony Frejent, z drugiej Oleś Chodźko, powstawszy, palcami mnie wskazywali drugim. Panienska chyba, która kiedy na balu czuła się celem głównym wszystkich spojrzeń, będzie mogła zrozumieć i uwierzy, gdy powiem, że ta pierwsza oznaka, i jużciż symptomat sławy, nie tylko mię nie ożywił, ale owszem przyniół do reszty. Przy wyjściu dopiero z sali, gdy Oleś Chodźko publicznie uściśnął mię i ucałował, a Frejent, tryumfujący widocznie, przedstawił mię kilku starszym, którzy mię bardzo uprzejmie i życzliwie przyjęli: rozumiałem, co za odmiana stała się raptem w położeniu mojem, i jak innym wychodzę, niż wszedłem do sali. Jak zaś szybko ta pierwsza sława moja rozeszła się pomiędzy kolegami i po za obręb literackiego nawet wydziału, miałem nie dalej jak w przyszły poniedziałek nader wymowny i nadzwyczaj miły mi dowód, a który ujść też może za jeden z charakterystycznych rysów ówczesnego stanu i nastroju stosunków koleżeńskiego życia pomiędzy uniwersytecką młodzieżą.

Ojciec umieścił mię w Wilnie, nie pod władzą albo dozorem, ale wprost pod koleżeńską opieką starszego wiekiem ode mnie, pana Antoniego Odrowąza Kamińskiego, niegdyś ucznia, a potem guwernera emeryta w szkołach Boruńskich, a który, od trzech już lat będąc w uniwersytecie, używał tam ogólnego szacunku i sposobił się na nauczyciela w gimnazjum, w przedmiocie nauk fizyczno-matematycznych; tymczasem zaś wykładał u siebie w domu prywatne korepetycje dla uczniów tegóż wydziału, co stanowiło sposób jego utrzymania. Uczniowie ci więc codzien,

o 6-téj godzinie rano, schodzili się zwykle do niego, i już przez to, że mi spać nie dawali, nie byli dla mnie zbyt miłymi gośćmi. Ale gorzej, że jeden z nich, Herkulian Abramowicz, istny Herkules ze wzrostu i siły, powziął jakąś szczególną, nie wiem czy sympatyą czy antipatyą ku mnie, tak, że całując niby i pieścząc, porywał mię gwałtem z łóżka, i obwinąwszy kołdrą, nosił po pokoju jak dziecko. Nie podobało mi się to strasznie, ale że się nie mogłem obronić, czułem iżbym się naraził na śmieszność, gdybym się próżno chciał szamotać i gniewać. Udawałem więc, że biorę to za dobrą monetę, to jest za wesoły żart przyjacielski, ale w gruncie duszy postanowiłem, że jeśli to tak dłużej trwać będzie, napiszę do ojca prosząc, ażeby mi pozwolił wybrać sobie inne mieszkanie. Tymczasem w rzezonny poniedziałek, Herkulian przyszedłszy jak zwykle, siada przy mnie bardzo przyzwoicie na łóżku, i całując mię w czoło, powiada:— „Wybacz, Edwardku, jeśli może naprzykrzałem się tobie. Nie wiedziałem, że ty taki poeta. Więcej już tego nie będzie; ale zostańmy zawsze dobrymi przyjaciółmi!“— Wyznaję, że mi to oświadczenie sprawiło większą może radość, niż sam tryumf w sali; bo uwolniło mię od prześladowania, i zjednało życzliwość kolegi, z którym odtąd, do końca jego życia, istotnie w dobrych zawsze byliśmy stosunkach.

Ale mówiąc już o tych pierwszych moich poetyckich tryumfach, nie mogę téż zamilczeć i o następnej sobocie, tém bardziej, że od niej to właśnie rozpoczęło się moje prawdziwe ćwiczenie się w „sztuce odlewania wierszy,“ pod przewodnictwem i bezpośrednim kierunkiem Borowskiego, któremu, wyznaję z wdzięcznością,

że pod względem formy zewnętrznej, najwięcej, jeżeli nie wszystko zawdzięczam.

Otóż następną soboty, przyszedł z kolei pod rozbiór *professora* wiersz mój pod tytułem „Wiosna,” zawierający przeszło dwieście wierszy, a będący wier-
nóm naśladowaniem manieri i tonu *Delilla*, którego byłem wielkim wielbicielem, wraz z całą literacką pu-
blicznością naszą ówczesną. Pamiętam dotąd parę wierszy z niego, które tu jako próbkę przytaczam:

„Wiosno! posłanko Nieba! co tchem Archaniola
Budzisz z martwych naturę i ziemię! Któż zdoła
Dary twoje policzyć, piękność wyobrazić?
Ach! czuć je tylko można, ale nie wyrazić.“

Wiersze te były, jeżeli nie ostatnie, to przynajmniej bliższe już końca; gdyż po nich to *professor*, odczyta-
wszy wprzód głośno, nie *per extenso*, ale wyjątkami wiersz cały, powtórnie imię moje wymienił, i dodał:
„Proszę autora, aby sam przyszedł do mnie do domu po odebranie swego rękopismu.“

Stawiłem się więc zaraz nazajutrz, po mszy, o południu, a przyjęcie jakiego doznałem, zawsze do-
tąd przypominam z wdzięcznością. *Borowski* zdawał się być zadziwiony, znajdując mnie tak młodym, i że przybywam ze szkół *Bazylianskich*, *Boruńskich*; wno-
sił bowiem, nie wiem dla czego, że muszę być z *Winicy* albo z *Świsłoczy*, gdzie rzeczywiście literatura polska i łacińska wykładały się podobno najlepiej. Rozpytywał mnie więc szczegółowo o nauczycielu moim w *Borunach*, i na jakich się wzorach mianowicie kształ-
ciłem; przyczem sam zalecił mi zwłaszcza wczytywa-
nie się w *Kochanowskich* i *Trembeckiego*, dla przejęcia

się siłą, jasnością i jednością języka i stylu. Nakoniec, po godzinnj przeszło rozmowie, darował mi exemplarz „Przemian“ Owidyusza, tłumaczenia Żebrowskiego, które sam świeżo był wydał, i tonem życzliwości ojcowskij powiedział przy pożegnaniu: „Nie podawaj mi już swoich robót razem tam ze wszystkimi, ale jak co napiszesz, to sam przynieś do mnie;“ — i wskazał mi przytj godzinę, o którj mogę to czynić. Wszedłem upojony radością i wdzięcznością, która się wzmogła tjm bardziej, kiedy się dowiedziałem od starszych kolegów, że Borowski zazwyczaj nie był tak przystępny, i że tylko wyjątkowym sposobem przygarniał tak niektórych, gdy w nich wyższe upatrywał zdolności. Połechtana więc przez to moja miłość własna stała się dla mnie, obok serca, nowj ogniwem przywiązania, które szczerze ku niemu powziąłem, a które on widać oceniał, kiedy wkrótce co raz to częściej kazał mi przychodzić do siebie, i prócz roztrząsania wraz ze mną każdj nowj mojej roboty, (na co nieraz z największą cierpliwością po parę godzin czasu poświęcał), zaczął mię używać do przepisywania na czysto z brulionu własnych prac swoich, a zwłaszcza przekładu wprost z hiszpańskiego Don-Kiszota, nad czj już od lat wielu pracował. Samo to przepisywanie było już dla mnie niepospolitą nauką i szkołą; mogłem albowiem widzieć z brulionu, jak on surowo i ściśle sam siebie sądził i poprawiał, i jak przez te poprawki styl zyskiwał na jasności i wdzięku. Wprawdzie mógłbym tu dodać, jako odwrotną stronę medalu, że ta nazbyt pedancka chęć doskonałości nie zawsze pożądany wydawała skutek; tak, że

nieraz mnie nawet przepisującemu poprawka zdawała się być gorszą od tego, co było pierwój, i zdarzało się nawet niekiedy, że gdy się ośmieliłem zwrócić na to uwagę autora, on sam uprzedni wyraz albo wyrażenie przywrócił.

Z téj tak wybrednej surowości względem samego siebie, łatwo można wnioskować, jakim krytykiem był Borowski dla drugich, a mianowicie dla uczniów, dopełniając przez to zarazem obowiązku nauczycielskiego sumienia. Nie zadawał on sobie wprawdzie téj pracy względem wszystkich zwyczajnych ćwiczeń, na katedrze w sali składanych; ale kiedy już komu kazał z niemi prywatnie przychodzić do siebie, to ten ktoś musiał mieć mocne nerwy i niezłomną do autorstwa ochotę, aby wytrzymać i nie dać się odstraszyć przez torturalne próby, czyli raczej męki, na jakie go brał zwykle professor. Nie uniknęli ich prozaiści, ale najbiedniejszymi ofiarami byli mianowicie poeci. Dowiedziałem się później o tém od innych, a zwłaszcza od Adama, ale kiedy to już sam najprzód z własnego doświadczenia odczułem. Wytłómaczyłem był jakąś odę, czy raczej dytyramb, z Jana Baptysty Rousseau. Tytułu już dziś nawet nie pamiętam; ale była tam rozmaitość miar wiersza, była harmonia naśladowcza, jedném słowem obszerne pole do popisu, i byłem najprzekonańszy że mi się to dobrze udało. Przyniosłem to więc na pierwsze posiedzenie krytyczne, i nigdy nie zapomnę téj chwili. Professor kazał mi najprzód odczytać to głośno, i wysłuchał cierpliwie do końca, żadnej zgola nie czyniąc uwagi. Że zaś z tonu tego czytania mógł wnosić, iż byłem zadowolony sam z siebie, sędzę, że chciał mi dać od razu nauczkę, abym tak

bardzo nie ufał sam sobie. Nigdy już bowiem potem, w ciągu lat kilku, nie okazał się ani tak srogim, ani nawet tak wymagającym jak wtedy. Zamknął najprzód drzwi na dwa spusty, wydobyl z szafy oryginał, kazał mi usiąść obok, i zasiadł sam z powagą, jak sędzia na trybunale. Zaczęła się prawdziwa anatomiczna sekcya martwego ciała. Każdy wiersz pojedynczo, jak żyłka po żyłce, wyciągał się i ulegał oglądaniu, w porównaniu z oryginałem; przyczem nie tylko każde wyrażenie lub wyraz, ale każdy przyimek lub zaimek, sam nawet zbieg brzmienia głosek, dostarczał krytykowi wątku, tak do oceny właściwości ich użycia, jak i co do ogólnych uwag w tym przedmiocie. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, ażeby wszystkie one wypadły na moję niekorzyść; ale ogólny wszakże rezultat był ten, że to, co mi się zdało mojem arcydziełem, zmalało z przekonania w oczach moich własnych, do rozmiarów studenckiego ćwiczenia. I w tém téż to mianowicie była główna pedagogiczna zasługa i doskonałość krytycznej metody Borowskiego, że z pedancką na pozór drobiazgowością rozbierając szczegóły, umiał z nich zawsze wyprowadzić i wrazić w ucznia zasady ogólne, które sam on już potem w potrzebie mógł do wszystkich prac swoich stosować. I wtedy téż to chyba dopiero mógł ocenić z należytą wdzięcznością tę znużną i zapewne uciążliwą pracę, którą wszakże professor dobrowolnie sam sobie zadawał, aby w ten sposób, oprócz obowiązku płatnego, spełniać zarazem obywatelski względem przyszłej literatury ojczyściej. Wszyscy uczniowie Borowskiego, zaczynając od Micwicza, którzy potem w zawodzie autorskim wywali, przypisywali mu zgodnie tę zwłaszcza ścisłość

i jasność wyrażen i stylu, zarówno w prozie jak w wierszach, jaką się cała szkoła wileńska odznacza;—ale też i okupili ją wszyscy podobnym do mojego męczeństwem. Gdyby to który z późniejszych romantyków, nie-litewskich zwłaszcza, musiał przechodzić za młodu przez podobne próby: wyniknęłoby ztąd niezawodnie jedno z dwojga: albo by on pisać poprzestał, albo by go ludzie rozumieli.

Wyjątkowa ta opieka i łaska, takiego jak Borowski profesora, miała jeszcze i ten realny dla mnie w życiu koleżeńskim pożytek, że podnosząc mię niejako nad zwykły poziom pierwszoletnich) uczniów (*minimusów* uniwersyteckich), zjednała mi pewien rodzaj powagi pomiędzy rówieśnikami, zwłaszcza pomiędzy piszącymi wiersze, a ułatwiła przystęp do starszych. Frejent, lub Oleś Chodźko, pośredniczyli zazwyczaj w zabieraniu tych nowych moich znajomości; gdyż jak Frejent niegdyś w Borunach, tak Oleś był pierwszym moim przyjacielem-poetą w Wilnie.

Niedawno jeszcze, siostrzyczko, oglądałaś, pamiętam, z ciekawością fotografię jego, którą mi przysłał w siedemdziesiątą piątą rocznicę swoich urodzin, jako professor Literatury Słowiańskiej w Kollegium Francuzkiem w Paryżu, z poważną białą brodą, jakby wschodniego mędrca, którą sobie w Persyi zapuścił. Ale wtedy był to wysmukły, kształtny, z delikatną panięską cerą, i ładny jak panienka młodzieńczyk; i śmiało mógłby teraz powtórzyć o sobie słowa *Mazepy*, w poemacie *Byrona*, gdy ten dawną swą młodość przypomina mówiąc:

„I na czole,

„Nim je zorały losu nawałnice,

„Była moc duszy; i oczy sokole
„Umiały ogniem sypać na dziewice.“

A ja jeszcze dodam od siebie, że wcale nie oszczędzały tych iskier.

Ojciec jego, Jan, stał właśnie podówczas na najwyższym szczeblu znaczenia, wpływu i obywatelskiej powagi w Litwie, jako Prokurator Massy Radziwiłłowskiej, Prezes Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności, zasłużony urzędnik, (przez wiele lat z wyboru obywateli piastujący ważny urząd Prezesa Sądu Apellacyjnego w Mińsku), i nakoniec jako Wielki Mistrz najgłówniejszej naówczas w Litwie, za dozwoleństwem rządu istniejącej, Łoży Masonskiej. Słynął też przytém niemniej jako literat, autor i poeta. Wybierany był powielekroć przez Uniwersytet wizytatorem szkół; napisał znakomite dzieło p. t. „*Pan Jan ze Świsłoczy*,“ (treści obywatelsko-ludowej), i oprócz drukowanych powieści obyczajowych prozą, był autorem dwóch czy trzech tragedyi historycznych wierszem, (w guście francuzkim), które lubo nie drukowane, krążyły jednak w rękopismach i wysoko były cenione. Prócz zaś wszystkich tych zalet i zasług, był to najprzyjemniejszy człowiek w towarzystwie, odznaczający się zarówno polorem wyższego świata, jak estetycznym wykształceniem i gustem, który też czynnie od młodu, nie tylko w miastach gdzie z kolei przebywał, ale nawet i po wsiach w całej prowincyi rozszerzał. Działo się to zaś mianowicie za pośrednictwem teatrów amatorskich,óre on, tak w możniejszych domach prywatnych, jako i po różnych mniejszych miasteczkach, gdzie się mniejsza publiczność w pewnych porach roku zbierała, niezmordowaną gorliwością urządzał, i sam w nich

najdoskonalszym był aktorem. W chwili, o której tu mowa, był on już w wieku podeszłym, a stale mieszkając w Wilnie, dla obowiązków urzędu, nie przestał jednak być w niém duszą towarzystw, dyrektorem zabaw publicznych i amatorskich teatrów, co rok podczas Ś-to Jerskich kontraktów, na dochód Domu Dobroczynności urządzanych.

Ale wracając do Olesia. Dawna przyjacielska zżyłość rodziców jego z domem pp. Spitznagłów, a następnie koleżeństwo w szkołach i poezya, od dzieciństwa już ścisłym węzłem przyjaźni połączyły go były nawzajem z przyjacielem moim Ludwikiem. Ztąd też za przybyciem mojem do Wilna, znalazłem się od razu w tym ich z sobą stosunku jak trzeci; ale wnet pomiędzy mną a Olesiem okazał się pewny punkt zjednoczenia, który pomiędzy nami a Ludwikiem nie istniał. Punktem tym była sentymentalność sercowa, czyli, jak już ją śmiało nazwać tu mogę, *romantyczna*; gdyż z jój to właśnie powodu, piérwszy raz może od Olesia posłyszałem ten wyraz: *romantyczność*. Uczucie to samo przez się znane mi już było zaprawdę, tak z romansów, które czytałem, jak po części i z doświadczenia własnego, znając tyle siostrzyczek Boruńskich kolegów; ale Oles, jako wychowaniec miasta i poetycznego domu swego ojca, a zwłaszcza jako ulubiony uczeń Tomasza Zana, pod którego opieką i przewodnictwem mieszkał właśnie wtedy osobno, wraz z dwóma starszymi braćmi; Oles znał je teoretycznie, i to podług teoryi, której tenże Zan, jako „Arcy“ Promienistych, był twórcą i krzewicielem między całą uniwersytecką młodzieżą.

Podług tedy téj jego teoryi: Piękność, Czułość, Niewinność, trzy najpiękniejsze „promionki“ duszy

ludzkiej, świadczące o jój Boskim początku, a utrzymane w całej swojej czystości, tworzą około każdej jakby rodzaj atmosfery, czyli aureoli świetlanej, która w zetknięciu się z drugą podobną, (mianowicie w stosunku duszy męskiej z niewieścią, jak dwóch różnych elektryczności), zlewa się wzajem w jedną wspólną tęczę, która i dla serc obu świat ten opromienia, i jak mitologiczna Irys, obie dusze powołuje ku Niebu, ku ostatecznemu celowi życia ludzkiego na ziemi. Tęcza ta—jest to Przyjaźń lub Miłość—ale miłość czysto duchowa; *platoniczna*, jak się zwała naówczas, nim ją potem na *romantyczną* przechrzczono.

Teorya ta od razu trafiła mi do serca i do przekonania, a kazuistyczne stosowanie jój do praktyki, (ma się rozumieć w myślach tylko i wyobraźni), stało się odtąd niewyczerpaném źródłem i ulubionym tematem rozmów naszych z Olesiem, a wkrótce i z wielu innymi, których za pośrednictwem jego poznawałem. Byli to pospolicie szkolni jego koledzy, rówiennicy nasi i poeci, którzy też cześć Amora ze czcią Muz nierozdzielnie łączyli, chociaż nie wszyscy może wraz z nami, ówzględy iłaskę u niego, nie przez matkę, (Wenus), ale przez żonę, (Psychę), starać się raczej zamierzali. Ludwik w tych pogadankach naszych nigdy chętnie nie brał udziału, a wciąż heroicznemi marzeniami zajęty, jątrzył się owszem i oburzał na nas, że częściej o bohaterkach niż o bohaterach mówimy, i przez to, zwykłym skutkiem ducha przekory, nieraz nam jak kłoty do ognia dolewał. Wyrodziły się ztąd coraz częstsze i coraz upodobańsze konferencye koleżeńskie, kształt Boruńskich, tylko że zwyczajném ich polem była nie już wiejska studencka izdebka, ale albo cienista

altana u stóp Góry Zamkowej, w ogrodzie pp. Spitznagłów, albo dach płaski na lodowni w ich domu, nad samym prawie spadem wód szumnej Wilenki, z upustów tak zwanego Królewskiego Młyna. Sama już ta zmiana sceny była jak gdyby pierwszym widomym symbolem przejścia myśli i wyobrażeń naszych— a przynajmniej moich—od klassycyzmu, do *romantyczności*. Jak albowiem w Borunach *Iliada* i *Eneida*, tak tu już poemata Byrona i Walter-Skota, weszły jak nowe gwiazdy na horyzont myśli, marzeń i wyobraźni mojej. O imionach ich nawet nie słyszałem był jeszcze w Borunach. Oleś pierwszy zaczął mi mówić o nich, i pierwszy z biblioteki ojcowskiej pożyczał mi tom po tomie dzieła Byrona, w tłumaczeniu francuzkiem prozą, które ja nieraz, niestety, na lekcyi nawet Prawa Rzymskiego, ukradkiem pod ławką czytywałem.

Nie zbywało mi jednak w tymże czasie i na podnietach do poważniejszego myślenia. Frejent, nie przestając na zarekomendowaniu mię starszym w sali lekcyjnej, powiedział mi, iż jest potrzeba, abym się im bliżej dał poznać, i sam obiecał być mym przewodnikiem. Wiedziałem już, że nie jest w obyczaju studenckim oddawać sobie wzajem ceremonialne wizyty; domyśliłem się więc, że musi być w tém cel inny. i zdałem się całkiem na niego. Zaczął najpiérwój od Zana i Czeczota, których już na wiosennej majówce poznałem. Wiadomo ci zkądinąd, siostrzyczko, o przeważnym wpływie obu tych ludzi na ówczesną uczącą się młodzież, a przez to na całe pokolenie, jeśli nawet nie na pokolenia następne. Ale ciekawy bardzo jestem, czemuby go przypisał nowomodny dzisiejszy

historyk-pozytywista, odrzucający w ludziach duszę i natchnienie, a nad nimi Opatrzność i Łaskę? Co do mnie, uważam go za najpiękniejszy owoc połączenia historycznych tradycji ducha, z plemiennym temperamentem i charakterem miejscowym, to jest ducha miłości i ofiary, z prostotą i pokorą serca. A nie wahałbym się też dodać, że na oba te ostatnie uczucia, albo raczej przymioty, największy wpływ miały szkoły duchowne, w których sam już kapłański stan nauczycieli, zarówno nauce jak władzy, nadawał w oczach uczniów religijny, ojcowski charakter, i usposabiał ich przez to samo do wzajemnej pomiędzy sobą, jakby rodzinnej, braterskiej miłości. Usposobienie to, teorya Zana zamieniała w główną zasadę i powinność życia, ukazując w niem z jednej strony tradycyjną spuściznę przeszłości, z drugiej, jedyną rękojmię szczęśliwszego losu na przyszłość.—Ale nie tu jest miejsce mówić o tém szerzej. Poezya i stosunki moje z poetami, to cel wyłączny i program niniejszych opowiadań; i muszę to przypominać i powtarzać sobie co chwila, ażeby na dygressye nie zbaczać.

Ale i pod tym względem, to jest, uważani jako poeci, Zan i Czeczot trzymali wówczas pierwszeństwo pomiędzy uniwersytecką młodzieżą; i w nich to, a mianowicie w Zanie, było jakby pierwotne źródło tego nowego ducha i kierunku, który się potem przez Adama, i pod nazwą *Romantyczności*, w poezyi naszej rozwinął. Nikt, ani oni sami, nie wiedzieli natenczas o niem; i dopiero w wiele lat później, sam Adam przyjął im i wyświecił pierwszy tę ich zasługę, mówiąc mną o wpływie ich na niego w pierwszych latach ytu w uniwersytecie. Rozmowę tę powtórzyłem

Chodźce Ignacemu w jednym liście z podróży, pisanym do niego, a on to pierwszy drukiem w swoich „*Dwóch Konwersacyach*“ ogłosił. Pan Julian Bartoszewicz wziął to ztamtąd dosłownie, i nie wymieniając źródła zkąd bierze, w swojej „*Historji Literatury*“ powtórzył. Odtąd w ślad za nim powtarzają drudzy; a więc i ja tu raz jeszcze, dla ciągu niniejszego opowiadania, powtórzę.

Zastęp poetów, to jest piszących wiersze, jak ich nazywano powszechnie, był w owym czasie bardzo liczny w Litwie. Śmiało możnaby twierdzić, że nie było szkoły, któraby nie wydała jakiego laureata. Tylko, że jak ochota do pisania wierszy nie zawsze łączyć się zwykła z ochotą do nauki i pracy, tak téż i większa połowa tych samorodnych synów Apollina, usypiała na wieki na swych laurach szkolnych, lub co najwięcej, słyneła jeszcze czas jakiś w granicach swego powiatu, śpiewając przy gitarze czułości panienkom, albo rubaszne piosenki przy kielichu z palestrą, stanowiącą naówczas ognisko intelligencyi po wszystkich powiatowych stolicach. Ci zaś, co ze szkół udawszy się na uniwersytet do Wilna, aspirowali do szerszych na tém polu sukcesów, szli zwykle ślepo drogą panującej mody, tłómacząc lub naśladowując poetów francuzkich. Sam Adam nie stanowił wyjątku. W Nowogródku wierszował z prozy polskiej, (tłómaczenia Staszica), ustępy z „*Numy Pompiliusza*“ Floryana; a w pierwszych dwóch latach pobytu w uniwersytecie, pracował zwłaszcza, pod wpływem Borowskiego, nad wykształceniem stylu w guście Trembeckiego, już to przerabiając na jego sposób niektóre bajki Lafontena, już marząc o napisaniu, a nawet zacząwszy już pisać wielkie epos heroi-komiczne, p. t. „*Kartofla*,” którego

część bohaterską stanowić miało odkrycie Ameryki, a część potoczną, gospodarstwo kartoflane w Litwie. Nimby zaś sam na drodze własnego myślenia, zwłaszcza przy studyowaniu poetów greckich, doszedł może do zmiany pojęć swych i wyobrażeń: pan Tomasz mu bezwiednie pracę tę ułatwił, i ostateczny jój rezultat przyspieszył. A oto jak się rzecz miała:

Zan także od dzieciństwa pisał wiersze w szkołach; a lubo za przybyciem do Wilna oddał się naukom ścisłym i gorliwie się niemi zajmował, nie zaniechał wszakże poezyi; tylko, że nie szukając z niój sławy autorskiej, nie dbał téż o przepisy i wzory książkowe, a będąc sam jakby uosobieniem serafickiej miłości ludzi i świata, poezją obrał za środek do wyrażania tych uczuć i natchnień swojego serca. Pisał więc co niemiara wierszy; najprzód do rozmaitych panienek i panienczek, którym na wszystkich pensjach w Wilnie rozmaite przedmioty wykładał, a w każdój z nich, zaczynając od *Feli* i *Weli*, (królowej jego myśli i jój przyjaciółki: Felicji Micewiczówny i Eweliny Zborowskiej), w każdój jakiś szczególny „promionek“ doskonałości upatrywał i kochał; następnie zaś opisując dla zabawy bliższych przyjaciół-kolegów różne swoje dzienne przygody, albo serdeczne wrażenia, które im odczytywał zwykle na zebraniach wieczornych, obok poważnych rozpraw i dysput naukowych. Adam z początku nie wiele do nich przywiązywał wagi, nie widząc w nich ani sztuki, ani — pracowania. Aż nakoniec razu jednego pan Tomasz napisał elegię na odjazd jednéj ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w nie-iele i święta, spotykał się na obiadach u wspólnych

przyjaciół, gdzie już resztę dnia zwykle przepędzali razem. Treścią téj elegii było zwłaszcza wspomnienie różnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczej wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie: że Adam, który, (według własnych słów jego), „nie sądził, aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi;“ raz pierwszy zwrócił myśl i uwagę, nie tylko już na szukanie „prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie,“ to jest, w szczegółach rzeczywistego, codziennego życia. A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, (bo rok pierwszy był na matematyczno-fizycznym), uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku; więc i we wszystkich arcydziełach w obu tych językach zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Goethe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami. Elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni. Następnie razem z Czeczotem, gorliwym zbieraczem i naśladowcą piosnek gminnych, zaczęli w nich szukać wskazówek uczuć, pojęć, zwyczajów i obyczajów rodzinnych; co wszystko owoczesna poezya xiążkowa całkiem w sobie była zatarła.

Takie były pierwsze początki kierunku romantycznego w Wilnie, Żadne cudze pisane teorye nie wpływały na ten pierwszy zwrót jego, chociaż go później rozjaśniły i wzmogły. W chwili, o której tu mowa, był on już zakreślony wyraźnie, ale jeszcze nie zapanował powszechnie. Nastąpiło to wkrótce

samo przez się, pod wpływem poezji Adama, bez żadnej polemicznej walki, i bez niczyjego szczególnego w tym względzie apostołstwa.

Ani Zan, ani Czeczot, naprzykład, mówiąc o poezji ze mną, jako proklamowanym już przez Borowskiego terminatorem cechu, nie mówili o niej zgola jako o sztuce, ale najwięcej o moralnych obowiązkach poety, tak pod względem kształcenia jak i używania talentu. Inni starsi, jak Jeżowski, Kowalewski, Malewski, i t. d., którym z kolei przedstawiany byłem, powtarzali słowo w słowo to samo, albo mnie brali widocznie na egzamin, co ja sam w tym przedmiocie myślałem. Przewodnikiem zaś moim do tych innych starszych, był nie już Frejent, ale Ignacy Domeyko, który od piérwszej chwili przybycia mego do Wilna; pamiętny obietnicy danój ojcu mojemu, otoczył mnie protekcyjną, jak brat starszy, opieką, i zapoznawszy najprzód ze swoimi braćmi, wtajemniczał powoli w dal-sze ze starszymi stosunki. Wkrótce atoli pod tym względem przewodnictwa i opieki nade mną, główne i najwybitniejsze stanowisko zajął Czeczot, i to tak dalece, że nie tylko sam się poczułem wybranym ulubieńcem jego, jak był nim Oleś dla pana Tomasza; ale i między kolegami, u których Czeczot od dawna miał już przydomek *Mentora*, nadana mi została nazwa *Telemaka*, która, jak nazwa *Beniaminka* w Borunach, zastąpiła z czasem ogólnie familijne moje nazwisko.

Była to dla mnie okoliczność tak ważna, tak ta w następstwa, tak szczęśliwa i niespodziana, że mogę zamilczeć szczególniejszej przyczyny, która to szczęście zjednała. A poczuwam się w tém nawet pewnego rodzaju obowiązku, gdyż sam w najgłębszém

przekonaniu własném, mam to za bezpośrednie zrzą-
dzenie Opatrzności, i to w skutek wysłuchanej modli-
twy. Dla ciebie samój, siostrzyczko, i dla serc ta-
kich jak twoje, nie będzie to zapewne ani rzeczą dzi-
wną, ani nową; że zaś, jak łatwo przewidzieć, poda
może temat do szyderstw pseudo-mądrym i niby mo-
dnym doktorom tak zwanój filozofii dzisiejszój: pra-
gnę owszem oświadczyć przy téj sposobności, że na-
wet same proste obelgi z ich strony, jakie nieraz
mnie już spotkały, nie za krzywdę lub obrazę dla
siebie, ale raczój za zaszczyt uważam.

Otóż, jak niegdys w pierwszych dniach pobytu
w szkołach, tak tém bardziej w nowém nieznaném
mieście, trapiła mnie z początku niewypowiedziana tę-
sknota po domu i rodzicach, którój wstydzilem się
przed ludźmi, ale w sobie pokonać nie umiałem. W dzień
zwłaszcza imienin matki, (15 Października), będący
razem dniem urodzin ojca, na który zawsze ze szkół
przyjeżdżałem do domu, a teraz po raz pierwszy prze-
pędzałem go daleko od nich, tak się czułem osieroco-
nym i smutnym, iż właśnie z tego powodu, biorąc to
za złe jakieś przeczucie, rady w końcu dać sobie nie
mogłem. Korzystając więc z xiężycowój nocy, gdy
już wszystko w mieście ucichło, poszedłem do Ostrój
Bramy, a czując się zupełnie samotnym, popuściłem
cugle żalowi. W téj chwili właśnie Czeczot—(jak mi
to sam we cztery lata później, przed ostatniém roz-
staniem w Wilnie, opowiedział)—wracając od Malew-
skich, przechodził przez Ostrą Bramę, a poznawszy
mnie przy świetle xiężyca, lubo mi nie przerywał mo-
dlitwy, powziął dla mnie ów życzliwy affekt, któremu,
kto wie, czy może nie najwięcej zawdzięczam przyszły

mój stosunek z Adamem, którego Czeczot pierwszym był pośrednikiem; a niewątpliwie musiało to wpłynąć na skrócenie czasu méj próby, na którą właśnie naówczas wystawiony byłem bezwiednie.

W kilka zaraz bowiem dni potém, Czeczot wezwawszy mnie przez Frejenta do siebie, oświadczył mi, w swoim zwyczajnym mentorsko-zartobliwym tonie: że ponieważ Beniaminek zdaje się być dobrym chłopcem; więc żeby się w złém jakim towarzystwie nie zepsuł, a owszem coraz bardziej rozwijał się w dobrém; na zaręczenie Domeyki i Frejenta, a po bliższém poznaniu przez innych, zostaje przyjętym do grona tak zwanych „Miłośników Cnoty,“ (Filaretów), to jest do grona wybrańszych kolegów, połączonych pomiędzy sobą węzłami przyjaźni braterskiej, a mających za cel wspólny i jedyny, dopomóc sobie nawzajem w kształceniu się naukowém i moralném, ażeby stać się kiedyś użytecznymi członkami społeczeństwa, i na szacunek i miłość bliźnich za życia, a po śmierci na zbawienie duszy zasłużyć. W tym celu mają oni ułożone osobne prawidła, potwierdzone przez władzę uniwersytecką, a tyjące się wyłącznie moralnego postępowania członków towarzystwa; gdyż wszelkie inne, a zwłaszcza polityczne idee i cele, stanowczo przez nie usunięte zostają. Zobowiązanie się „pod słowem uczciwego człowieka,“ do ścisłego i sumiennego przestrzegania owych prawideł, które dał mi do przeczytania, było jedynym warunkiem, wymaganym od nowo wchodzących.

Uczyniwszy mu zadość ochoczo, i podziękowawszy serdecznie, d. 1 Listopada, to jest w dzień Wszystkich Świętych 1820 r., zostałem rzeczywiście przyjęty

do grona, o którém, możnaby twierdzić z pewnością, że Mickiewicz pamiętał w duszy, pisząc:

„Świątym jest na ziemi,
„Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.“

Dzień ów mojego przyjęcia ważnym był nie tylko dla mnie, ale i dla całego *Błękitnego Grona*, (tak się nazywało literackie), jako dzień pierwszego zebrania w nowym roku szkolnym; a co w dziejach rozwoju Romantyzmu w Wilnie, to słuszenieby go można nazwać epokalnym. Frejent zalecił mi go zacząć od odbycia spowiedzi, jak niegdyś młodzi giermkowie w dzień przyjęcia złotój ostrogi; przyczém on sam właściwie służył mi za *kuma*. Nad wieczorem przyszedł po mnie z Domeyką, i oba zaprowadzili mię do tegoż samego domu, w którym mieszkał Czeczot, tylko że nie wprost do jego mieszkania, ale do innój celi na tymże korytarzu. Cały ten dom albowiem był niegdyś klasztorem seminarzystów, a wtedy służył już tylko za mieszkanie wielu uczniom uniwersyteckim, zajmującym pojedyncze cele. Czeczot zajmował aż dwie, połączone z sobą, i właśnie stanowiące niegdyś mieszkanie X. Rejensa, którego obowiązek niejako Czeczot, nie *de jure* ale *de facto*, nad wszystkimi młodszymi współlokatorami swymi wykonywał. Cały ten dom ogromny, trzypiętrowy, (licząc po wileńsku), stał tuż obok katedralnej dzwonnicy. Zwalono go następnie dla zrobienia placu.

W celi, do którój wszedłem, czekał już jakiś młodzieniec, starszy wiekiem ode mnie, bardzo znaczącej i rozumnej twarzy, którego zdaleka tylko na lekcyi Groddka widywałem; a siedział tam w pierwszej ławce pomiędzy najstarszymi. Był to Mikołaj Malinowski,

znany później chlubnie jako historyk, a wtedy świeżo przybyły z Winnicy. Był w towarzystwie znajomych mi już przedtém: Jana Wiernikowskiego i Felixa Kułakowskiego, poetów, a przytém należących do rzędu najbieglejszych naówczas filologów. Ci więc zaznajomili nas między sobą, jako mających wspólnie obrzęd pierwszego wejścia i przyjęcia odprawić.

Obrzęd to był niezmiernie prosty, równie jak lokal, w którym się odbywał. Pierwsza cela Czeczota, uprzętnięta z łózek, ostawiona była dokoła przy ścianach prostemi drewnianemi ławkami, stołkami, lub kufkami, na których zasiadali obecni. Dwa tylko porządniejsze krzeselka stały tuż przed stolikiem, wznoszącym się w środku izby, na małym podniesieniu, przy którym, także na krześle, siedział Przewodnik grona, Józef Kowalewski, sławny później na cały świat orientalista, rektor uniwersytetu Kazańskiego, a nakoniec dziekan filologicznego wydziału w Szkole Głównej i w uniwersytecie warszawskim. Stolik ten okryty był kusym, wytartym dywanikiem, a całe oświetlenie składały cztery na nim świece łojowe po rogach. Żadna jednak najwspanialsza sala balowa nie sprawiła już nigdy na mnie podobnego wrażenia. Weszliśmy razem z Malinowskim, w towarzystwie naszych introduktorów, i kazano nam usiąść na owych dwóch próżnych krzeselkach, za któremi owi nasi kumowie pozostali stojący, podczas całej krótkiej przemowy, którą nas powitał przewodnik. Treść jój była po prostu powtó-

nie rozprawianie o ustroju społeczeństwa, ale wprost kształcenie się własne na pożytecznych kiedyś jego członków. Wyrazy uprzejmości braterskiej i podanie nam ręki przez przewodnika zakończyły obrzęd przyjęcia; poczem wszyscy obecni ruszyli się z miejsc swoich, i otoczywszy nas dookoła, witali i zapraszali wesoło do zajęcia obok nich miejsca przy ścianie. „*Poet's Corner*,“ (kąt poetów), jak się Frejent wyraził, (robiąc aluzję do tak zwanego miejsca w katedrze westminsterskiej w Londynie), był właśnie na kuferkach pod piecem, gdzie ujrzałem od razu wszystkich znajomych mi już z sal lekcyjnych kolegów, i sam między Olesiem i Frejentem zasiadłem. Malinowski, jako filolog, zabrał miejsce przy najznakomitszych, jakimi wówczas, prócz Kowalewskiego, byli: Józef Jeżowski i Jan Sobolewski.

O! gdybym ci mógł przedstawić, siostrzyczko, jak sam zda się widzę przed sobą, na tych dwóch kuferkach pod piecem, szereg rzezkich, młodych chłopaków, od 16 do 20 lat wieku, ożywionych wzruszeniem chwili, szeptających lub figlujących nawzajem: miałybyś przed oczyma cały młodszy ówczesny nasz Parnas uniwersytecko-wileński; bo Zan i Czeczot, jako dygnitarze i starsi, nie siedzieli już przy nas pod piecem. Nikt zeń wprawdzie pegazem nie wyleciał bardzo wysoko. Niektórzy nawet zgaśli przed zabłyśnięciem; innym burza zwichnęła skrzydła; innym, jak mnie naprzykład, brakło sił do wyższego polotu. Ale co do zamiłowania i poczucia poezyi; co do zapału i odwagi, a nawet co do żądzy i nadziei chwały: to źródło Kastalski wrzał w nich wtedy i tryskał jak sprudel w Karlsbadzie. I trzebaż, że ten dzień właśnie

mojego przyjęcia, jak dla mnie, tak i dla wszystkich, był jakby zwrótnikowym punktem od klassycznej poezji francuzkiej, ku nowo otwierającym się sferom z imienia ledwo jeszcze znanj *Romantyczności*. A stało się to w ten sposób.

Po kilku minutach przerwy, głos dzwonka przewodnika uciszył wesołe gwary, i zgromadzenie wróciło do poważnego nastroju. Zdano sprawę z posiedzeń gron innych, które się już były otwarły, to jest mniej więcej z treści rozpraw lub ćwiczeń na nich czytanych. Poczem Jeżowski, usiadłszy przy stoliku niżej przewodnika, odczytał niezbyt długą, ale wielce treściwą rozprawę o pożytkach, a więc i o potrzebie znajomości starożytnych języków, ażeby mózż korzystać ze skarbów myśli, wiedzy i doświadczenia, zawartych w literaturze greckiej i łacińskiej. Dla aspirantów zaś do parnaskich laurów, mówca potrzebę tę uważał za tém konieczniejszą, że w poezji zewnętrzna piękność formy i języka stanowi integralną część jój uroku i siły działania, i że często sama treść rzeczy, choćby najwerniej nawet powtórzona w przekładzie, tak nie może dać pod tym względem wyobrażenia o oryginale, jak owoc lub nasiona rośliny o kwiecie, z którego się wywiązały. Dla ułatwienia więc kolegom nauki rzeczonych języków, on, Jeżowski, i przewodnik Kowalewski, obowiązują się w ciągu całego szkolnego roku miewać dla nich bezpłatnie, po dwa razy w tygodniu, korepetycye lekcyi Grodka, piérwszy greckiej, drugi łaskiej literatury. Nadto jeden i drugi, dla użytku cół wydziałowych, obiecują wydać, z ułożonemi przez bie komentarzami, piérwszy, wybór *ód* Horacyusza; agi, wybrane także *Metamorfozy* Owidyusza. Oświad-

czenie to i ofiarę przyjęto z zapalem wdzięczności. Malinowski zaś powstawszy z miejsca dodał, że i on też pragnie mieć udział w tak szlachetnym i pięknym przedsięwzięciu, i jako uczeń profesora Jagielly w Winnicy, poczuwa się na siłach do skomentowania w tenże sposób całej Eneidy Wirgiliusza. Szumna ta a niespodziewana zapowiedź nowego i nieznanego kolegi, zwróciła nań uwagę ogólną, i od razu go z pod korca na świecznik opinii wyniosła. Niestety, dodać tu tylko potrzeba, że gdy Jeżowski i Kowalewski rzeczywiście i sumiennie we wszystkiem obietnice swoje spełnili, zamiar Malinowskiego, przez lat kilka pozostając zawsze tylko zamiarem, zgoła w końcu nie przyszedł do skutku. A stało się tak samo i później z różnemi jego projektami w przedmiocie prac historycznych. Nie szczędził on trudu i pracy gdy szło o nabywanie skarbów nauki i wiedzy, i rzadko kto zebrał ich tyle. Ale gdy przyszło do użytkowania ich, zwłaszcza na większą skalę, na jaką zwykle zamiary swoje rozciągał: zawsze mu, nie wiem czy siły, czy tylko wytrwałości zabrakło.

W dalszym ciągu rozprawy swojej, Jeżowski mówiąc o ubóstwie literatury naszej w przekłady z autorów greckich, wezwał w końcu uzdolnionych kolegów, aby dla dobra téjże literatury, niedostatek ten starali się zapełnić. On sam na początek oświadczył, iż się zajmie przekładem niektórych dzieł Platona. Kowalewski, który już miał przygotowany do druku przekład traktatu Longina „*O Górności*,” obowiązał się do przekładu historyi Herodota; Kułakowski zaś i Wiernikowski, jako poeci, wybrali sobie do tłumaczenia wierszem: piérwszy, komedye Arystofanesa, drugi,

ody Pindara. Nieprzewidziane, a niezależne od woli ich okoliczności, nie dozwoliły im spełnić tego zamiaru, przynajmniej w całej jego obszerności. Wyszły tylko na widok publiczny: wspomniany wyżej traktat Longina, i niektóre Ody Pindara. Ale co gorsza, to że dokonane już i przygotowane do druku prace, jak np. historia Herodota i trzy komedye Arystofanesa, wyłomaczone wzorowo przez Kowalewskiego i Kułakowskiego, zaginęły bez śladu, w skutek nagłej śmierci tego ostatniego, któremu i Kowalewski, przed wyjazdem swoim do Chin, porucił do wydania w Petersburgu przekład swój Herodota. Zawsze jednak sam już ten zamiar świadczy, jak nieświadome prawdy, jeżeli nie umyślnie ją fałszujące, były sądy niektórych pseudo-krytyków warszawskich, obwiniające szkołę wileńską, z której właściwie wyszła Romantyczność, o lekceważenie i poniewierkę starożytniej literatury klassycznej. Śmiało owszem można powiedzieć, że żaden inny uniwersytet polski nie wydał ani tytu, ani takich jej czcicieli i znawców. W najpiérwszym zaś ich rzędzie naówczas stał także i Adam Mickiewicz. I trzebaż, że właśnie na tém samém posiedzeniu, o którym tu mowa, jak gdyby symbolicznym zbiegiem okoliczności, po oddaniu tak wymównego hołdu prawdziwemu klassycyzmowi, wyszła raz piérwszy na jaw prawdziwa Romantyczność, dotąd znana tylko z imienia. Do owego dnia bowiem, prócz kilku piosnek, śpiewanych na majówkach Promienistych, nikt z młod-
 vch nie znał innych poezyi Mickiewicza; a i ci nawet starszych, najbliżsi przyjaciele jego, którym on za asów koleżeństwa dawne swoje utwory czytywał, nie znali właśnie najnowszych, które pisał będąc już

w Kownie. Owóż skoro Jeżowski skończył czytać swoją rozprawę, a wspomniani wyżej koledzy, wywołane przez nią oświadczenia swoje złożyli: miejsce jego przy stoliku zajął Czeczot, trzymając w ręku kilka éwiartek listu. Był to list odebrany świeżo od Mickiewicza z Kowna, zawierający kilka nowych jego poezyi, z pozwoleniem przeczytania ich na posiedzeniu. Było ich mianowicie trzy: „*Kurhanek Marylli*,“ „*Świtez*“ i „*Świtezianka*.“ Czeczot odczytał je z uczuciem, tak, że nawet czytając *Kurhanek*, musiał przerwać na chwilę czytanie, aby własne wzruszenie pokonać.

Ale jak ci, siostrzyczko, opisać wzruszenie, które ogarnęło słuchaczy, po przeczytaniu zwłaszcza nakoniec *Świtezianki*? Po sześćdziesięciu latach, dziś jeszcze, czuję je zda się i pamiętam jak wczora. Bez przesady i literalnie powiadam, że bicia serc słyhać było; taka cisza i takie wrażenie zapanowało między obecnymi. Na pewno możnaby ręczyć, że każdy dzielił zachwyt bohatera ballady, gdy przed nim „po nad srebrzyste *Świtez* tonie, dziewicza piękność (*Świtezianki*) wytrysła,“ i że się każdy przeniemiał od razu uwielbianemu dotąd ideałowi poezyi klassyczno-francuzkiej, jak on swojej „dziewczynie z pod lasku.“

Co do mnie, raz jeden tylko jeszcze w życiu doznałem podobnego wrażenia poezyi; to jest, że jakby jakiś świat nowy otworzył się nagle przede mną, a przytém i osobistość autora błysła mi jak meteor na tle wyobraźni—nim za łaskawém zrządzeniem Opatrzności, w jednym i drugim razie, osobistość ta przemieniła się dla mnie za czasem nie tylko w stałą, ale i w przewodniczącą gwiazdę, tak u wschodu, jak i u zachodu życia. Ponieważ zaś zastrzegłem sobie z góry

możność robienia wszelkich dygressyi: więc przenoszę się myślą o trzydzieści kilka lat później, i opowiem tobie, siostrzyczko, o tém drugiem mojem wrażeniu.

Było to w roku 1853, w miesiącu Styczeniu. Przeszedłem jako gość zaproszony na obiad do państwa Balińskich w Wilnie. W salonie nie było nikogo. Damy jeszcze się ubierały, pan Michał jeszcze z miasta nie wrócił. Na stoliku leżały gazety, między innymi *Warszawska*. Rzuciwszy okiem obojętnie, postrzegłem w odcinku wiersze. Wziąłem więc numer do ręki—machinalnie, bez ciekawości nawet; bo jużciż poezya w gazecie nie mogła jój tak bardzo obudzać. Zaciekawiał mię wszakże sam tytuł, chociaż wcale nie w kierunku współczucia. „*Snycerstwo*,“ (co za szczególny przedmiot do poezyi!) „*Improwizacya*,“ (taka jakaś długa!...) Ściskając więc ramionami i z ironicznym uśmiechem na ustach, zabrałem się jednak do czytania. Ale jak opowiedzieć wrażenie, które mną zaraz od początku owładło?... Gdyby ktoś w noc Świętojańską, znalazłszy kwiat bajecznej paproci, mógł zajrzeć nagle w głąb ziemi, i ujrzał tam od razu zaklęte jój skarby, szychty metalów i drogich kamieni, połyskujące kolorami tęczy: tenby chyba posłużyć mógł mi za przedmiot poetycznego ze mną porównania w téj chwili. Ale któż jest ta Deotyma? ta cudotworna improwizatorka? to fenomenalne zjawisko? Imię jój tylko wspomniane we wstępie, z odwołaniem się do poprzedniego numeru, w którym widać jest mowa o niej. Ale trzebaż niezależnie, że właśnie ten numer poprzedni odesłany był współprenumeratorowi na wieś, i co najgorsza, stety, że tu nikt w nim feljetonu nie czytał. Powoływali wszyscy, przeczytawszy wiersze; ale nie było

innéj rady, jak chyba odbyć pielgrzymkę po cukierniach, prenumerujących też samą gazetę, ażeby zaspokoić ciekawość. Pielgrzymka ta zajęła mi całe popołudnie, i Jazon nie mógł uradować się więcej, gdy sel wyprawy swojej, złote runo obaczył, niż ja dostawszy wreszcie ów pożądany numer, a raczej dwa poprzednie numera, z których raz pierwszy wtedy dowiedziałem się kto jest Deotyma, i o jéj prawdziwém nazwisku. A więc była to młodziutka panienka, córka dawnego przyjaciela i kolegi, z którym w ciągu lat czterech, co niedziela, z rzadkim wyjątkiem, obiadałem zwykle u rodziców pana Joachima (Lelewela), gdzie się w tym dniu cała rodzina u patryarchalnego ich stołu zbierała! Cóż więc za dziw, że pod wpływem tych wrażeń, cała noc przeszła mi niepostrzeżenie na pisaniu listu do niego i pierwszego do ciebie wiersza, siostrzyczko, który, jak wiész, stał się pierwszym ogniwem najprzód trzyletniej przeszło, ciągłej korespondencyi, a następnie braterskiej przyjaźni, która mi właśnie pozwala tytułować cię tak poufale „siostrzyczką.“

Wprawdzie młody i nieznajomy poeta, jakim natchenzas był dla mnie Mickiewicz, nie mógł mieć w oczach moich tego uroku, co natchniona, choćnieznajoma także, panienka-poetka; zapanował wszakże podobnie nad moją wyobraźnią naówczas, zwłaszcza, gdy zacząwszy dopytywać się o nim, ze wszystkiego co usłyszałem, wcielałem weń coraz bardziej ideał prawdziwego poety. A trzeba ci téż wiedzieć, siostrzyczko, że od pierwszych lat mego dzieciństwa, chęć poznania, a przynajmniej choćby widzenia sławnych poetów, grała przeważną rolę w wyobraźni mojej. Gdyby nie

oblężna moja choroba w r. 1817, podczas odwiedzin Niemcewicza w Wilnie, uprosiłbym niewątpliwie ojca, aby mię tam zawiózł natenczas; tak mię exaltowały opisy jego przyjęcia, które w „Kuryerze Litewskim“ czytałem. Później najgorętszym celem pragnień moich i marzeń była podróż w Kobryńskie, do osiemdziesięcio-letniego już naówczas Karpińskiego, w którą obiecywał zabrać mnie z sobą jeden z professorów Boruńskich, bliski krewny żony jego siostrzeńca, którzy oboje razem z nim mieszkali. Później jeszcze Antoni Gorecki, którego bajki i wiersze drukowały się właśnie wtedy w „Dzienniku“ i „Tygodniku Wileńskim,“ a bardziej jeszcze w rękopismach po szkołach krążyły, stał się był głównym bohaterem mych marzeń; zwłaszcza gdy przeczytawszy „Zdobycie Somossierzy,“ nie mogłem się utulić we łzach z zachwycenia, ale razem i z rozpaczą nad sobą, że pewno nic podobnego nigdy nie potrafię napisać. Ale wszystkie te ideały zbladły niejako przy tém, co o autorze „Świtezianki“ słyszałem. Młody, piękny, szlachetny, bogobojny, uczony, a przytém zakochany, a więc admirator płci pięknej, i najbliższy od serca przyjaciel Czeczota, którego ja też już wtenczas całym sercem kochałem! Choć więc nie był panienką, powtarzam, zawładnął tak wyłącznie wyobraźnią moją, jak potém rzeczywista poetka-panienka. Ale wiele jeszcze czasu ubiegło, nim go nakoniec osobiście poznałem. Nim więc przyjdzie z kolei do tego, muszę ci tu tymczasem opowiedzieć, siostrzyczko, cały skład ówczesnego Parnasu w Wilnie.

Pierwszą oficjalną pod tym względem powagą był jużż Leon Borowski, ale tylko jako professor, to najlepszy znawca i sędzia poezyi. Właściwie

poetą-laureatem w opinii uczoneo-literackiej w Wilnie był natenczas Ignacy Szydłowski, professor literatury polskiej w gimnazyum tameczném. Była to wierna kopia słynnych ówczesnych poetów warszawskich, na ten sam krój i miarę co oni. Tłómaczył gładko poezye francuzkie, i na tém polu, pod względem formy wiersza i czystości języka, nikomu z nich nie ustępował pierwszeństwa. Że zaś więćej może miał od nich siły wrodzonego talentu, świadczyły o tém zwłaszcza oryginalne jego liryczne poezye, ogłaszane w „Wiadomościach Brukowych,” któremi, jako piérwszy *witajnik*, pod imieniem bożka *Gulbi*, witał z urzędu każdego nowo wchodzącego członka do towarzystwa tak zwanych „*Szubrawców*.” Miejsce drugiego w niém witajnika zajmował obok niego późniejszy nasz historyk, Michał Baliński, pod imieniem bożka *Auszlawisa*; ale wyborne jego „*madrygały*,” (tak tytułował zwykle swoje powitania), pisane w jowialnym stylu *à la* Baka, nie rościły bynajmniej pretensyi do poetycko-literackiej wartości; podczas gdy „*ody*“ Szydłowskiego, (ten tytuł miały powitania jego), a przynajmniej większa ich połowa, pod względem werwy, dowcipu i sztuki, słusznie może być policzona do najprzedniejszych arcydzieł lirycznój poezyi naszej. Tym téż to „*odom*“ Szydłowski zawdzięczał zwłaszcza szerszy rozgłos i poetycką wziętość swego imienia po za obrębem uczoneo-literackich koteryj miejskich. U tych ostatnich dodawała mu jeszcze blasku jawna protekcyja obu Śniadeckich. Jędrzej, jako bożek *Sotwaros*, to jest prezes towarzystwa *Szubrawców*, cenił w nim i protegował zwłaszcza talent i humor swego witajnika; Jan, uważał go za szermierza wyobrażeń klassycznych. Obaj lubili jego towarzystwo;

gdyż przy niepospolitym sarkastycznym dowcipie, który rzeczywiście posiadał, miał on też dosyć sprytu i taktu dworaka, aby się umieć podobać, gdy zechciał. W ogólności, w dowcipie i charakterze jego, było wiele podobieństwa z warszawskim Ludwikiem Osieńskim; tylko że oprócz Śniadeckich, nie nadskakiwał tak bardzo możniejszym; może dla tego, że ich w Wilnie właściwie nie było; ani się też ubiegał o względy salonów, przenosząc nad nie demokratyczne towarzystwa, zwłaszcza przy dobrém winie i porterze. To też nawet w domu Śniadeckich nie miał on miru i sympatyi u płci pięknej; a co z naszą ówczesną młodzieżą uniwersytecką, to się wcale w stosunki nie wdawał. Był owszem niegdys jawnym przeciwnikiem Promienistych, a potem nieprzejednanym wrogiem romantyczności; aż sam wreszcie, pod koniec życia, tłómaczył parę poematów Byrona, z prozaicznych przekładów francuzkich. Ja z Szydłowskim, prócz prostej znajomości i spotykania się tu i ówdzie w towarzystwach, żadnych bliższych stosunków nie miałem, i nigdy też nie starałem się o nie.

Drugim z rzędu, i tuż obok niego, słyhał jako poeta Stanisław Rosołowski, hołdujący również wyłącznie wzorom literatury francuzkiej, i tłómaczący z niej z prawdziwym talentem, a z większym nawet może niż Szydłowski zapalem, różne poezye liryczne: Jana Chrzyciciela Rousseau, Lebruna, Lamartina i innych. Ale co w charakterze i temperamentcie, to różnił się o całkiem z Szydłowskim. Z professyi medyk i doktor n lyczyny, w duszy był on rzeczywiście poetą. Myśiel i entuzyasta, bujał ochoczo w sferach oderwanych filozoficznych wyobrażeń i fantazyi poetycznej;

a co myślał i czuł rzeczywiście, to zawsze szczerze i otwarcie, z całą mocą przekonania, i aż ze zbytnim może nieraz zapalem wyrażał. Wyrachowana zimna obojętność i sarkastyczny dowcip, owe wybitne cechy Szydłowskiego, były dlań najzupełniej obcemi. Ztąd też zwykłych światowych towarzystw nie lubił, a rad szukał stosunków z kolegami i uniwersytecką młodzieżą, najczęściej aby staczać zażarte dysputy, w których mianowicie smakował. Psychiczna idealność w medycynie, a żarliwa obrona klassycyzmu i piorunowanie na romantyczność w poezyi, były zwykle przedmiotem tych dysput. Miał on przytém prawdziwie rycerską szlachetność, to jest, czy zwyciężony, czy zwycięzca w szrankach, zawsze w końcu uprzejmie rękę adwersarzowi swojemu podawał, i nigdy osobistości swojej z przedmiotem dysputy nie mieszał. W talent swój jużciż wierzył, ale go i w drugich oceniał. Słowem, był to człowiek prawy i zacny, i można go było szanować i lubić, chociażby w razie danym będąc z nim wręcz przeciwnego zdania. Poznałem się z nim szczególnym sposobem u Adama, o czém może w dalszym ciągu opowiem, i przez lat wiele, aż do śmierci jego, żyłem z nim zawsze w przyjacielskich stosunkach.

Owóż ci dwaj, Szydłowski i Rosołowski, byli w r. 1820 koryfeuszami poezyi w Wilnie. Utwory ich co miesiąc, jeżeli nie co tydzień, ukazywały się jedne po drugich w „Dzienniku,” „Tygodniku,” albo w „Wiadomościach Brukowych.” Redaktorowie wprawdzie nie płacili im za nie; ale już przecież nie uważali za łaskę, że je przyjmować i drukować raczą; jak się to działo zazwyczaj względem innych aspirantów do sławy.

Po za obrębem wszakże murów uniwersytetu i miasta, popularniejszym od nich obu pomiędzy obywatelstwem wiejskiem i płcią piękną, a zwłaszcza między palestrą i szkolną młodzieżą, było imię Antoniego Goreckiego. Bajki jego i dumki historyczne, drukowane najczęściej po pismach warszawskich, pod redakcją młodych redaktorów: Kicińskiego, Grzymały i Brykczyńskiego, rozchodziły się w kopiach lotem błyskawicy po szkołach, dworach i powiatowych miasteczkach, budząc przez to w Szydłowskim, jak to było wiadomo powszechnie, zawisć i niechęć ku ich autorowi. I rzecz dziwna, jak wyznawcy ówczesnej szkoły francuzkiej, nie porozumiewając się nawet z sobą, zgodni byli wszędzie w uczuciach względem budzącej się do życia poezyi narodowej, do której piérwszych zwiastunów należał niewątpliwie Gorecki. Około bowiem tegoż czasu miał on zaszczyt ściągnąć na siebie nie-nawisć i obelgi ze strony Sanhendrynu uprzywilejowanych, rodowitych krytyków i literatów warszawskich, których organem, niestety, w tym razie, nie wstydził się być generał Morawski. Wiersz jego, a raczej obrzydliwy paszkwil, który w tym celu napisał, nie doszedł szczęściem do Wilna, a przynajmniej do wiedzy naszej, to jest uniwersyteckiej młodzieży. Był on bowiem w takiej sprzeczności z nastrojem naszych uczuć i myśli, że choćby nie zaraził nas może swoim złym przykładem, ani osłabił czci dla Goreckiego; aleby nam zamącił niewątpliwie idealne wyobrażenia, które nas łudziły zdaleka, o tych sławnych poetach, o tych mądrych krytykach warszawskich, dla których żywiąc sami uczucia czci i miłości, nie wąpiliśmy, że i oni nawzajem, z ojcowskiem lub braterskiem uczuciem,

muszą spoglądać ku nam, ku młodszym, zdążającym w ich ślady na pole wspólnej pracy w winnicy literatury ojczystej. Smutném więc pod tym względem rozczarowaniem dla nas stałby się był niechybnie ów wiersz Morawskiego, tak jak niém stały się później szydercze epigramata Osińskiego, po wyjściu już i z powodu „Dziadów,” i jak właśnie podobnaż sarkastyczna zawiść w Szydłowskim najbardziej nas ku niemu zrażała.

Ale oprócz tych trzech, wyżej wspomnianych, pojawiały się też ciągle na kartach obu dzienników wileńskich utwory poetów niższego chóru, najczęściej mieszkających i gospodarujących na wsi. Świadczyły one, jeśli nie o talencie autorów, to zawsze o rozpowszechnioném szeroko zamiłowaniu w poezyi, po za obrębem sfer czysto literackich, i to pomiędzy ludźmi poważnymi, ojcami rodzin, gospodarzami lub urzędnikami; tak jak np. w siódmym dziesiątku stulecia, podobnyż fenomen objawia się dziś szczególniej między panienkami. (I tak np.—mówiąc *inter parenthesim*,—w jednym roku 1878, miałem zaszczyt otrzymać powierzone mi do przeczytania poezye aż 27-miu młodych panienek, po większej części całkiem mi nieznanym, a mieszkających po wsiach, na przestrzeni pomiędzy morzem Bałtyckim a Czarném). Otóż podobnie wtedy rzecz miała się z mężczyznami. Wielu z tych dyletantów-poetów wiejskich, wyszło z czasem na rzeczywistych i znakomitych pisarzy, jak np. wspomniany już tu wyżej Jan Chodźko, Kazimierz Bujnicki, i nakoniec Ignacy Chodźko, autor „Obrazów Litewskich.“ Inni, nie pożądamy drukowanej sławy, wywierali jednakże, każdy w swój okolicy, wpływ prawdziwie cy-

wilizacyjny. W rzędzie takich odznaczali się mianowicie: w powiecie Trockim, Adam Strawiński; w Wilejskim, Józef Rahoza; w Słuckim, Karol Czarnocki, krewny czy też tylko imiennik słynnego etnografa i zbieracza pieśni ludowych, pod pseudonimem „Zoryana Chodakowskiego.“ Wszyscy oni, słynni zarówno prawością charakteru, jak wykształceniem, rozumem, i obywatelską zasługą: w modnych naówczas przekładach z francuzkiego lub w pisaniu własnych wierszyków, szukali tylko rozrywki w poważnych gospodarskich lub urzędniczych zajęciach; jakkolwiek ta sama rozrywka przyczyniała się niewątpliwie do podniesienia ich znaczenia i wpływu. Imiona ich żyją dotąd ze czcią w pamięci wnuków albo prawnuków dawnych sąsiadów ich i współobywateli; a i ja wspominając tu o nich, wypłacam dług osobistej wdzięczności, za doznaną od nich uprzejmość i przyjaźń. Nie zbywało atoli i na odwrótniej stronie medalu, to jest, na pretensjach i śmiesznościach wielu, którzy nie przestając na publikacjach w pismach peryodycznych, drukowali osobno, kosztem własnym, płody swój Muzy, tłómaczone z francuzkiego lub oryginalne, których dziś tytuły i imiona autorów, bibliograf już chyba jaki pamięci ludzkiej przypomni. Ale ogólny ten gust i zwrót myśli do poezyi, był to jak ranny szczebiot ptastwa, zapowiadający bliski wschód słońca.

W historyi literatury wszystkich krajów, a nawet w ogólnej historyi rozwoju umysłu ludzkiego, jak w odkryciach i wynalazkach, ponawia się prawie vsze ten sam fenomen; to jest, że przed zjawieniem gieniuszu, zjawia się najprzód mnóstwo drobnych antów, a przynajmniej prac i usiłowań, w tymże

samym kierunku. Porównaćby je można do owych próbnych baloników, które zręczny aeronauta zwykł puścić przed wzniesieniem się samego balonu, aby już najprzód w tę stronę myśl i oczy widzów pociągnąć. Aeronautą w tym razie możnaby nazwać: „Duch czasu.“ Mówiąc zaś o poezji wyłącznie: Gdy już Muzy wyprowadzają i zaczynają siodłać Pegaza, aby się na nim po świecie jaki syn Apollina przejechał: biedny skrzydlacz podziela zwykle los ziemskiego rumaka, to jest, że oprócz jeźdźca, przysiadają też na nim roje much i bąków, które albo jeździec szpicrutą, albo on sam ogonem musi ciągle opędzać. (Krytyka jest ogonem Pegaza. Szpicrutą w ręku jeźdźca są takie naprzykład artykuły, jak Byrona lub Mickiewicza: o krytykach i recenzentach Szkoekich i Warszawskich). O balonikach napomknąłem wyżej; teraz słówko o *muchach* i *bąkach*.

Bąkami nazywam drukowanych; muchami, nie mających téj pretensyi wierszokletów, których też wtenczas pełno było na Litwie. Byli to albo po prostu maniacy, albo też z głupia franty, próżniacy, włóczący się ze swemi wierszami, jak dziady z ewangeliczką, (tylko że nie piechotą), po szlacheckich dworach na wsi, i wyzyskujący, jak oni, gościnność i upodobanie w wierszach gospodarzy. Bardowie tego rodzaju byli tak pospolici we wszystkich prawie okolicach kraju, iż dziwić się prawie potrzeba, że o nich autor „*Pana Tadeusza*“ nie wspomniał; pod twórczym zaś ołówkiem ilustratora „*Pamiętników Kwestarza*“ Chodźki, (Andriollego), bard taki byłby doskonałym odpowiednikiem (*pendant*), wizerunku samego kwestarza, gdy jak on, powołując się sam w kałamaszce, z psem zazwyczaj zamiast baranów, jechał od bramy do bramy, wrzekomo jakby

w gościnę, a w gruncie rzeczy po jałmużnę w kształcie ofiary dla poezji. W samym Wilnie, jako mistrz tego rodzaju, słynął przez długie lata poeta Szurłowski, którego imię i pamięć żyje dotąd w tradycji miejscowej. Oprócz bowiem własnych conceptów, służył on chętnie za parawan innym, którzy nieraz z po za plec jego satyryczne strzały puszczały, a on sam nigdy ich imion, jak sekretu spowiedzi, nie wydał. Tak np. około r. 1815 zjawiała się była w Wilnie *Szenekatrynka*, przedstawiająca postacie, a raczej karykatury, wszystkich ówczesnych professorów uniwersytetu, z dodaniem do każdego sarkastycznych wierszy, mających być jakoby utworem Szurłowskiego, i które on przyjął za swoje. Szopka ta przez dni parę krążyła ukradkiem po mieście, i kiedy ją nakoniec policya skonfiskowała, Szurłowski, lubo badany, nie zdradził tajemnicy rysownika ani autora wierszy; stańczykowski zaś charakter jego samego, zasłonił go od dalszej odpowiedzialności. Zresztą nie było téż w tych karykaturach i wierszach nic potwarczego ani paszkwilarnego; niektóre zakrawały nawet na komplement; właściwe zaś satyryczne przycinki tyczyły się prawie wyłącznie professorów niższego rzędu. Przyłgnęły one do nich, jak muszki do twarzy; tak, że do dziś dnia jeszcze każdy wspominający ich imiona w Wilnie, pewno razem i wiersze o nich Szurłowskiego przypomni. Dla zabawy twojej, siostrzyczko, przytoczę tu z nich niektóre, zapamiętane z opowiadań naocznych świadków.

Szereg cieniów w *Szenekatrince* rozpoczynali obaj adeccy: Jan, naówczas jeszcze rektor uniwersytetu, [drzej, professor chemii i doktor medycyny. Wiersze o nich były następujące:

Wspomnienia z przeszłości.

„Oto pan Jan Śniadecki,
Nieprzyjaciół niemiecki!
Chce, żeby i Polacy
Brali się téż do pracy.“

„Oto pan Jędrzej, jego brat!
Wié, z czego powstał świat,
A kiedy kogo leczy,
Od śmierci zabezpieczy.“

O x. Stanisławie Jundzille, profesorze zoologii i botaniki, był następujący czterowier-z:

„Oto xiądz professor Jundziłł,
Co swych uczniów nigdy nie znudził—
Kwiatów strzeże jak smok zazdrośnie,
A słyszy jak trawa rośnie.“

O profesorze Bojanusie, który wykładał weterynaryą po łacinie, powiedziano:

„Oto professor Bojanus,
Vir doctus et humanus,
Uczy jak leczyć zwierzęta,
Ale i o ludziach pamięta.“

W tém więc wszystkiém jest raczój pochwała niż przytyk, tylko że wypowiedziana w pół żartem. A i same właściwe przytyki nie grzeszyły gburowałością. Np. o profesorze astronomii, Ignacym Reszce, powiedziane było:

„Oto pan Reszka,
Co na dole mieszka,
Patrzy na gwiazdy,
A wié co i każdy.“

Gorzój nieco wyszedł professor ekonomii politycznej, Jan Znosko, odznaczający się szczególniejszą krótkością wzroku:

„Oto professor Znosko,
 Ślepi nad każdą zgłoską,
 Lekeye czyta z książki,
 A ekonomizuje pieniądze.“

Najgorzej zaś podobno x. prałat Chodani:

„Oto prałat Chodani,
 Nadał się nakształt bani;
 Wytłómaczył Woltera,
 I nos w górę zadziera.“

Inne czterowersze, albo dystychy, miały mniej więcej podobnyż charakter, albo były całkiem bezbarwne, jak np.:

„Oto professor Rustem,
 Co maluje z gus'em.“

albo:

„Oto professor Frank,
 Co damom niesie dank.“ i t. d.

Zawsze jednakże te jasełka rozgłosiły może najszerszej imię Szurłowskiego po Litwie, a mianowicie po szkołach. Ja go już w Wilnie nie zastałem przy życiu; zastępujący zaś niejako miejsce jego Krysztalewicz, żyjący także z jałmużny, i to prawie wyłącznie studenckiej, był to po prostu pół waryat, idyota, o którym dłużej mówić nie warto.

Ale bąkiem nad bąkami w owym czasie w Wilnie, był głośny na całą Litwę: Wincenty hrabia Kiszka-Zgierski z Ciechanowca, *ex libera parte*, jak się sam podpisywał na tytule dzieł swoich. A dzieł tych było sporo, wierszem i prozą, ale wszystkie w formie dramatycznej. Były tam tragedye historyczne, jak np.

n *Karol Chodkiewicz*,” i fantazyje allegoryczne, jak wna „*Złota Wolność*,” której ani istoty, ani allegoryi nigdy zrozumieć nie mógł; a co niegdyś mnie oich Boruńskich kolegów do rozpaczy właśnie przy-

wiodło. Dzieła te wydawał on sam własnym nakładem, z wielkim, jak na owe czasy, typograficznym przepychem, i rozdawał je *gratis* każdemu, kto zechciał. Brakło w nich nie tylko talentu, ale nawet zdrowego sensu. To téż autor był pośmiewiskiem dla wszystkich. Wiedział on o tém dobrze; ale co dziwna, to że przez to właśnie utwierdzał się w przekonaniu, iż większego nadeń poety na całym świecie nie było, i że mianowicie dla tego, gmin go pojąć i ocenić nie umie. Gardził więc, jak się wyrażał, sądami gminu, i gdzieindziej szukał pola swój chwały. Półwaryat na punkcie poezyi, posiadał niepospolity spryt w życiu praktyczném. Przez lat wiele był sekretarzem Wileńskiego Konsystorza, i jako urzędnik, obowiązek swój spełniał należycie; nie zapominając przytém jednakże o własnych materyalnych korzyściach. Najobfitszém ich źródłem dla niego były mianowicie sprawy rozwodowe, które z wielką zręcznością prowadzić i forytować umiał. Ale wszystek czerpany z nich dochód obracał na publikacye dzieł swoich i na staranie się o sławę, jaką za godną jedynie gieniuszu swego uważał. Niewiadomo jakim sposobem porobił sobie stosunki przy dworach panujących, po wszystkich stolicach Europy, i za ich pośrednictwem przesyłał samymże panującym exemplarze dzieł swoich, w najwspanialszój bogatėj oprawie. Bogactwo to oprawy i hrabiowski tytuł autora, przy protekcyi pośredników; a zwłaszcza, że dzieł tych jego nikt tam czytać i ocenić nie mógł; sprawiły to, iż rzeczywiście od kilku monarchów otrzymał nawzajem podarki, albo dziękczynne listy, z ich własnoręcznym podpisem. Podarki te i listy leżały, każdy na osobnym stoliku, pod ogro-

mnym dzwonem szklannym, i należały do ozdób wspa-
 niałego apartamentu, który zajmował w pałacu nie-
 gdyś Suszków, tak zwanym *Zajkowskim*, na Antokolu.
 W rzędzie tych listów, był téż i list jakiegóś pani,
 może protegowanej rozwódki, nazywający go „Ho-
 merem Północnym,“ i na który on mianowicie lubił
 zwracać uwagę swych gości. Pisano o tém szeroko
 w „Wiadomościach Brukowych.“ Tymczasem, ku naj-
 większemu podziwieniu wszystkich, spadł nań raptem,
 jak gwiazda z firmamentu, rzymski order Złotój Ostrogi.
 Próżno sobie łamano głowę, jak i przez kogo mógł on
 go wyjednać. Dopiero za bytności naszej z Adamem
 w Rzymie, dowiedzieliśmy się o tém przypadku, i nie
 mogliśmy nie podziwiać prawdziwie dyplomatycznej zrę-
 czności, z jaką ten istny półgłówek umiał poruszyć i wy-
 prowadzić w pole osoby wpływowe, które mu w tém
 dopomogły, i które on téż w końcu oszukał. Ale w cza-
 sie, o którym tu mowa, upojony sam swoją wielkością,
 zaszczycony względnością głów koronowanych, i nie-
 dbający o opinię gminu, mógłby sobie spoczywać roz-
 kosnie na urojonych swych laurach, gdyby go z tego
 Olimpijskiego spokoju, jak „szczekacz Erebowy potrój-
 nym hałasem,“ to jest wierszem, prozą i żywém słó-
 wem, nie budził właśnie dowcip Szydłowskiego. Ten bo-
 wiém oprócz „Wiadomości Brukowych,“ w których go
 prawie co tydzień kamienował, wymyślał nań rozmaite
 koncepta lub farsy, które były zabawą miasta. I tak
 np. na jednej z maskarad, ktoś przebrany za rzeźnika,
 wtykał gwałtem każdemu *kiszki*, nadziane tytułami
 eł jego, i zalecał je dowcipnemi epigrammatami.
 myśl ten i epigrammata przypisywano powszechnie
 ydłowskiemu. Rozdrażniony więc do żywego laureat,

wystąpił nakoniec z odwetem. Na jednym uroczystym obchodzie w Domu Dobroczynności śpiewana była kantata, układu Szydłowskiego, którą potem *Kuryer Litewski* ogłosił. Zgierski zatem napisał rodzaj parody i kazał ją wydrukować na ogromnym arkuszu, ilustrowanym po rogach wizerunkiem czterech głów oślich, z rozdziawioną paszczką, i z podpisem pod każdą: „*Śpiewy, Ziewy.*“ Plakat ten kazał porozlepiać w nocy po rogach ulic, naksztalt teatralnych afiszów, i omal za to nie poszedł do kozy.

„Takie były zabawy, spory w one lata“ w poetyckim świecie wileńskim, i dla tego też tu o nich wspominam. Co zaś do osobistych moich stosunków z laureatem: zaczęły się one od tego, iż mając powierzony sobie interes do Konsystorza, załatwiłem go bardzo pomyślnie, dzięki publicznej pochwalę Borowskiego, o której pan sekretarz już wiedział, i nawet protekcyjnym tonem mistrza, zachęcał mnie, jako młodszego, do dalszych na téj drodze postępów. Następnie, pomimo ogłoszenia nawet moich „*Strachów,*“ które jużciż nie były bez pewnej alluzji do niego, nie przestał nigdy witać się ze mną uprzejmie na ulicy. Nakoniec, w kilka lat później, kiedy zastępowałem czasowo redaktora „*Dziejów Dobroczynności,*“ (dziennika wydawanego przez lat kilka w Wilnie), a on miał w nim do umieszczenia artykuł swój o kilku ciągach, w przedmiocie prawa kanonicznego: wyprawił dla mnie świetny muzyczny wieczór, który go musiał pewnie z tysiąc złotych kosztować. Oprócz bowiem kwartetu na skrzypcach, złożonego z najlepszych wówczas kościelnych i teatralnych artystów, grała na nim na arfie jakaś przejezdna wirtuozka czeska,

a oprócz mnie i Leona Rogalskiego, ówczesnego sekretarza redakcyi, jedynym uczestnikiem biesiady był sąsiad jego przez ścianę, X. Lavoisier, Francuz, tłumacz na język francuzki *Zofijówki* Trembeckiego, wcielony typ staro-francuzkiego Labusia. noszący się na wpół po świecku, z zaplecionym harcapem na plecach, i pomimo sędziwego już wieku, ruchliwy, ożywiony, pełen conceptów i komplementów w rozmowie. Gospodarz zaprosił go jedynie dla mnie, gdyż byłem ciekawy go poznać, a nigdzie indziej spotkać nie miałem zręczności. Tym sposobem stosunek mój z kawalerem Złotej Ostrogi w Wilnie był choć nie blizki, ale zawsze na dobrej stopie; w moich zaś „*Listach z Podróży*“ opowiedziałem scenę jego odwiedzin i rozmowę z Adamem w Petersburgu, której tu powtarzać nie będę, ale która najwierniej uwydatnia postać i dobroduszną zarozumiałość tego oryginała bez kopii. Przepraszam—gdyż właśnie przychodzi mi na myśl figura, która, jeśli nie za kopią, to przynajmniej za tak dobraną z nim parę i za odpowiednik jego ująć może, że niepodobna nie wspomnieć téż o niej.

Była to pani Tekla z Borzymowskich Wróblewska, autorka wielu tragedyj, jak np. „*Panthea, królowa Suzy*“, „*Mustafa i Zeangir*“, „*Narymund, W. Xiążę Litewski*“, i w. i. Drukowała je wszystkie swoim kosztem, podobnie jak Zgierski, i ceniła je téż podobno nie mniej jak on swoje. Przyznać im wszakże potrzeba, nie mówiąc o ich literakięj wartości, że nie eszyły przynajmniej bezsensem i niezrozumiałością.

est to może właściwość wspólna wszystkim utworom kobiecym. Mnie przynajmniej nie zdarzyło się zcze ani razu nie zrozumieć wierszy poetek. Ach!

a ileż to razy, i mnie, i zapewne każdemu, przyszło łamać sobie głowę napróżno, przy czytaniu zwłaszcza młodych poetów-romantyków, aby dójsć lub choć odgadnąć, „co chciał powiedzieć przez to, co powiedział.“

Ale za toż pod względem osobistój excentryczności, pani Tekla z Borzymowskich była jakby rodzoną siostrą pana Wincentego z Ciechanowca. Nie znałem jój osobiście, gdyż mieszkała i gospodarowała na wsi, w gubernii Mińskiej; ale kolega nasz podpiecowy, pan Ludwik Paprocki, krewny jój i dobry znajomy, nieraz całe Błękitne Grono ubawił opowiadaniem o niój. Była już w wieku podeszłym, wdowa, i dzierżawiła dość znaczny majątek; ale zdawszy gospodarstwo na siostrę, zajmowała się sama wyłącznie poezją, praktykując ją téż w życiu codziennem. Wielbicielka zwłaszcza poezyi i historii greckiej, pozowała téż sama na Safonę. Ubierała się z grecka po spartańsku, to jest na wpół po mężku, mając zawsze na skroniach rodzaj metalowego hełmu, czy raczej dyademu. W ogrodzie miała altanę, na wzór greckiej świątyni, bez ścian, na kolumnach; gdzie w lecie, jak Sybilla na trójnogu, zasiadała zwykle w krześle na podwyższeniu stojącym, i przypatrywała się zabawom wiejskiej młodzieży, które sama dla niój co święto, na wzór greckich igrzysk urządzała, i sama na nich rozdawała nagrody. Tu także zaproszeni sąsiedzi mieli sposobność słyszeć własne jój utwory, przed ich odesłaniem do druku. Że zaś była przytém gościnną, uprzejmą i miłosierną, dom jój był uczęszczany ochoczo, a ona sama lubiona i szanowana powszechnie. Sława nawet drukowanój poetki mogła istotnie imponować słuchaczom. Ale inaczej rzecz się miała z Borowskim, który z obowią-

zku cenzora, musiał najpierw zawsze czytać jej ramoty. Nie wiem bowiem, czy jest wiadomo ogólnie, że cenzura w Wilnie naówczas należała i zależała wprost od uniwersytetu. Cenzorami byli professorowie, wybierani przez Radę, każdy dla dzieł w jego przedmiocie. Borowski, jako cenzor dzieł treści literackiej, najbardziej był udręczony przez te elukubracje wiejskich diletantów, które mu ze wszech stron nadsyłano. Rad też wecował na nich swój *szubrawski* dowcip, pisując o nich często do „*Wiadomości Brukowych*,” których czynnym był współpracownikiem. Obok bowiem surowej powagi krytyka i profesora, posiadał on rzeczywiście niepospolity sarkastyczny humor, czego między innymi dowodem jest druga przedmowa do dzieł X. Baki, których był właśnie wydawcą, wspólnie z Rajmundem Korsakiem, autorem przedmowy pierwszej. Otóż razu jednego pewien *bąk* wołyński, możny właściciel i hrabia, przysłał mu do cenzury, ale razem i pod krytykę, cztery tomy poezyj swoich, które zamierzał drukować w Wilnie, z wizerunkiem swoim na czele. Prosił więc Borowskiego w liście o wybór jakiego wiersza z dzieł jego, któryby mógł figurować stosownie, jako podpis pod portretem autora. Borowski odsyłając rękopism, za odpowiedź na to żądanie, wskazał mu tylko stronicę i wiersz na nią. A był to ostatni wiersz następującej strofy, w odzie „do skowronka:

„Śpiewaj radośnie,
Ciesz się naturą;
Po krótkiej wiosnie,
Idź spać banduro!“

Koncept ten nie pozostał widać bez skutku, gdyż poezye rzezone nie wyszły. Ja zaś nie mogę zda się właściwiej, jak tym wierszem, skończyć tego ustępu o pegazowych *bąkach*; bo o *muchach* mówić nie warto.

No, a teraz, siostrzyczko, proszę raz jeszcze ze mną na posiedzenie *Błękitnego Grona*, abym ci przedstawił od razu cały *Poet's Corner* pod piecem, gdzie na dwóch kuferkach, wraz ze mną, zasiadali dwa razy w miesiąc, wszyscy młodzi bracia po lutni. Szereg jest tutaj wszystkiém, a nie pojedyncze imiona. Część ich większa, gdy je tu wymienię, będzie miała chyba znaczenie owych nazwisk na pogrzebowych klepsydrach, które to tylko mówią czytelnikom, że nikt przedtém nie słyszał o nich. Ale jeżeli poezya, jak mówi Byron, jest niczém inném, jak „tworzeniem, z wyższych poczuć dobrego lub złego:

(„*For what is poesy, but to create
From everfeeling good or ill?*“)

to grono to, śmiało można powiedzieć, było jakby ogniskiem poezyi żywój, na podobieństwo elektrycznego stosu Volty, w którym każdy pojedynczy krążek, przez samo zetknięcie się z drugimi, siłę prądu ogólnego pomnaża. A i prąd ten był tylko ku wyższemu poczuciu dobrego; ku miłości cnoty i piękna; ku wierze w Prawdę, w Sprawiedliwość, w Opatrzność. Ci, którzy śladu tych uczuć nie wyrazili i nie zostawili w swych pismach, wyrażali je i wrażli w siebie nawzajem przez koleżeńskie braterskie stosunki i wzajemną życzliwość braterską. A iluż to z nich i w ciągu całego dalszego życia szerzyło je w koło siebie, w sferach rodzinnych i obywatelskich! Ztąd téż poszło, że nikt

tak bardzo nie rwał się do druku, poprzestając na uznaniu i współczuciu przyjaciół-kolegów, które lada udatniejszy wierszyk obudzał, krążąc nawet po za obrębem Błękitnego Grona. A stosowało się to zwłaszcza do tak zwanych *jambów*, to jest ulotnych, żartobliwych fraszek, które były nadzwyczaj w modzie, i na wszystkich koleżeńskich zebraniach stanowiły główny przedmiot zabawy, przybierając nawet niekiedy formę dramatycznego dyalogu. Luźna ich i swobodna forma, bez żadnej pretensyi do artyzmu, owszem naśladowująca chętnie ton i styl xiędza Baki, służyła jednak nieraz za pokrywkę i myśli głębszej, i wyższemu celowi, na podobieństwo np. sławnych dzisiejszych humoresków p. Artura Bartelsa. Nie mogły one może mierzyć się jeszcze z temi ostatnimi, tak pod względem artyzmu, jak i doniosłości satyry; ale rzecz dziwna, jak tło i koloryt były prawie też same; jowialność i humor bez żółci; dowcip bez pretensyi; prostota bez trywialności. Znać, że były to płody tego samego gruntu i tych samych soków rodzimych, różne wcale od tych pokrzyw i ostów, przeszczepionych z obczyzny, co się tak bujnie rozrastają gdzieindziej, a których sam kwiat nawet—kole tylko, nie pachnie. Koryfeuszami tego rodzaju byli zwłaszcza Frejent Antoni i Kułakowski Felix. Piérwszy, bez żadnej pretensyi literackiej, przestawał wprost na zabawieniu kolegów. Drugi, jako tłumacz komedyi Arystofanesa, rad owszem metodę jego do obszerniejszych kompozycyi stosował, choć też o artystyczném wykończeniu nie myślał. Zbiór

wszakże, gdyby się był dochował, mógłby dziś być dzo ciekawym obrazem ówczesnych tendencyj, wyżeń, a nawet i pojedynczych osobistości pomiędzy

uczając się koleżeńską młodzieżą, którą on zwykle za przedmiot dowcipnych tych fars swoich obierał. Napis na ówczesnej kurtynie w teatrze Wileńskim: „*ridendo dicere verum*,“ mógłby ująć za ogólny epigraf ich wszystkich. Pamiętam np. treść jednej, z której można mniej więcej powziąć wyobrażenie o tonie i sposobie pisania innych. Muza Klio, uosobiona w postaci pani Morawskiej, właścicielki i dyrektorki ówczesnego teatru w Wilnie, przybywa do tego miasta, aby aktorów na Parnas werbować. Ochotników zjawia się mnóstwo, a zwłaszcza cały zastęp z pod pieca. Ale układy rozbijają się o warunki. Jeden nie chce poprzestać na źródle Kastalskiém, woląc szukać natchnienia w porterze, ponczu i winie. Drugi nie chce się uczyć jeździć na Pegazie w rajtshuli, gdzieby go nikt nie widział, gdyż nie wątpi, że i bez tego świat swemi harcami zadziwi. Trzeci, choć adoruje szczerze Muzy-Niebianki, nie może się rozstać z ziemskimi kapłankami Talii i Melpomeny, i dla nich wyrzeka się Parnasu i laurów. Ostatni wreszcie, lubo wie, że *Aurora est Musis amica*, nie może się zdecydować na codzienne spotkanie jój wraz z niemi. I tu jest alluzya wprost do Mickiewicza, (jak poprzednie były do innych), który, jako kandydat do stanu nauczycielskiego, mieszkał niegdyś pod jednym dachem z Kułakowskim, a nigdy wstawać rano nie lubił. Klio wszakże z nim jednym zawiera umowę, uciekając się do podstępów. Pozwala mu spać ile zechce, ale obowiązuje kontraktem, aby co wieczór odczytywał wiersze, które z Wilna przyjdą na Parnas, dla zdania z nich sprawy Febowi. Poeta nie przeczuwa, ale Muza jest pewną, że zaśnie wnet przy tém czytaniu, a nie

marząc po całych nocach, będzie mógł wstawać w porę na spotkanie Aurory.

Taka była treść jednego z dłuższych dyalogów, odczytanego, a raczej odegranego na majówce Błękitnego Grona, przez samegoż autora, który przytém w najwyższym stopniu komiczny talent aktorski posiadał. Inne grona zapraszały téż zwykle Kułakowskiego, aby ich także biesiady *jambami* swojemi okraślił. Ztąd powstawały inne podobne dyalogi, dotyczące prawników, medyków, filozofów, to jest uczniów fizyczno-matematycznego wydziału. Zbiór ich kompletny prawie istniał w Wilnie do roku 1840, w ręku jednego z kolegów, (Stan. B. Górskiego), który je bardzo starannie zbierał i spisywał; i w owym roku dopiéro zbyt przezorna i troskliwa o niego żona, z płonnej trwogi w piec je wrzuciła. Zdaje się, że jakiś szczególniejszy fatalizm zawiązał się na zniszczenie wszelkich śladów talentu i pracy Kułakowskiego. Wzorowy przekład trzech komedyi Arystofanesa zaginął, jak już wspomniałem wyżej, w skutek nagłej śmierci jego samego. Śmierć zaś ta nastąpiła w ślad po przyjacielskim wieczorku, w domu dawnego kolegi; Franciszka Malewskiego, na którym Kułakowski, na przypomnienie dawnych dobrych czasów Wileńskich, improwizował jeszcze po raz ostatni *jamby*; podobnie jak gdzieindziej Frejent, na godzinę przed chwalebną śmiercią, improwizował téż z konia, wpół żartobliwe wpół rzewne pożegnanie kolegów, śpiewając je na ię „Filona.“—Niechże przynajmniej choć w tych l tkich słowach wzmianka jakaś o ich obu zostanie, j żał po nich w pamięci piszącego pozostał.

A jednak nie można powiedzieć, aby te nic na pozór nieznaczące fraszki, Rejowskie owe „figliki,” czy „wybryki dobrego humoru,” jak je potem nazwał Syrokomla, nie miały pewnego wpływu na rozwój poezyi prawdziwej. Z nich to wynikły najprzód improwizacye Mickiewicza, które później, pod wpływem innych okoliczności, przybrały nieraz charakter proroczego natchnienia. A im téż to i sam Syrokomla winien był pierwsze objawy, jeśli nie pierwsze nawet poczucie w samym sobie poetycznego talentu.—Widzę, że znowu będzie dygressya! Ale wybacz, siostrzyczko, że się wstrzymać od niej nie mogę; tém bardziej, że uważam ją owszem za ciekawy szczegół przedmiotu, o którym opowiadam wyłącznie.

Jedynym spadkobiercą jambicznego talentu po Frejencie i Kułakowskim w Wilnie, był młodszy od nich wiekiem, lecz téż z nimi współczesny Michał Kątkowski. Nie przeto żeby i inni nie próbowali sił swoich w tymże rodzaju, lecz że on go wyłącznie i lepiej od innych uprawiał. Że zaś ten szczególniejszy zwrót do humorystyki, łączył się w nim z niemniej szczególną powagą umysłu i surowością poglądu na cele i obowiązki życia: *jamby* pod piórem jego straciły swój pierwotny karykaturalny charakter farsy, a przybrały ton jowialny dowcipnego żartu, bez cienia złośliwości lub goryczy, którym on sobie i drugim, nie tylko wtedy naukowe prace studenckie, ale i w dalszym ciągu życia, twarde niekiedy próby losu, lub poważne a pożyteczne zajęcia w zawodzie obywatelskim osładzał. Właściwa poezya w ogólności nie była nigdy dlań celem, ani nawet głównym przedmiotem. Lubował się nią tylko w wolnych chwilach spoczynku,

jak np. oracz kwiatami, kiedy rękę od pługa odejmie. W późniejszym dopiero już wieku, gdy osiadł sam na własnem gospodarstwie wiejskiem, w bliżkiem sąsiedztwie autora „Obrazów Litewskich,” ten ostatni zachęcił go do gorliwszej na tém polu pracy. Wprawdzie przerwało ją wkrótce pisanie poważnego, fachowego dzieła, o stosowaniu do rolnictwa zasad rachunkowości handlowej, p. t. „*Rachunek Podwójny dla Gospodarzy*,” i wnet potem zajęcie się wzorowem urządzeniem, podług tychże zasad, gospodarstwa i administracyi w dobrach hr. Branickich na Ukrainie, przewyższających obszarem nie jedno królestwo niemieckie. Zawsze jednak pozostał z tego czasu obszerniejszy poetyczny utwór, humoreska w trzech częściach, p. t. „*Dyrektor Ambrożewicz*,” wydana w Wilnie w r. 1853. Utwór ten, godzien stać, zdaniem mojem, obok najlepszych u nas w tym rodzaju, z powodu nader szczupłej liczby exemplarzy druku, nie doszedł dotąd do szerszej świadomości publicznej, na jaką ze wszech miar zasługuje, i domaga się przeto powtórnego wydania. Ale w chwili, o której tu chcę mówić, Kątkowski był głównym kontrolerem w zarządzie ogromnych dóbr xięcia Wittgensteina, (po Radziwiłłowskich), przebywającym naówczas w Nieświeżu (1838—1840 r.) Kontroler trzymający w ręku *nervus rerum*, i któremu z ufnością powierzano miliony, łatwo pojąć, jaką być musiał powagą w zarządzie i jaki wpływ mógł wywierać na pracującą w nim i kształcącą się młodzież. Tymczasem, wierny swemu upodobaniu, toczył rymową ‘obliwą walkę z dzierzawcą dóbr sąsiednich, przy-
 .elem swoim. *Jamby* ich, jak wzajemne pociski, yzujące się nieustannie, krążyły w kopiach po oko-

licy i w biurach samegoż zarządu. Nagle pomiędzy nimi dwóma, ozwał się jakiś głos trzeci, głos nieznamomy nikomu i nie wiedzieć zkąd pochodzący, ale który wszakże od razu zwrócił na się uwagę wszystkich. Po długim poszukiwaniu, traf nakoniec odkrył autora. Był nim p. Ludwik Kondratowicz, młody syn jednego z dzierżawców, zaledwo wyszły ze szkół, i umieszczony jako aplikant w kancelaryi głównego zarządu. Wrodzona skromna nieśmiałość, jaką się mianowicie odznaczał, długo trzymała go w cieniu, nawet w oczach własnych kolegów. Dopiero protekcyja i następnie przyjaźń Kątkowskiego, zjednane mu przez owe *jamby*, wyprowadziły go na widownię, i co najważniejsza, obudziły w nim samym poczucie siły i śmielsze zaufanie we własnym talencie. Rzecz niewątpliwa, że talent téj mocy doszedłby był do tegoż i na innéj drodze, ale ja mówię o téj, którą doszedł. Wiem zaś o tém z ust samego Syrokomli, który téż dla Kątkowskiego czułą zawsze zachował wdzięczność, i wyraził ją sam w wierszu do niego, który się w zbiorze dzieł jego znajduje. *)

*) Wiersz ten, p. t. „*Ambrożewicz w Załuczu*,” napisany z powodu otrzymania od Kątkowskiego wspomnianej powyżej książki, drukowany był w tomie III *Gawęd*, a później w tomie VI poezyj Kondratowicza. Wzmiankując o kilku piszących, a w téj liczbie o „gospodarzu *Muły*,” t. j. Kątkowskim, Kondratowicz tak się dalej odzywa:

„ Ej, Ambrożewicu!
 Czy nie widzisz na mojem radośnem obliczu,
 Jak na imię tych ludzi serce mi kołata?
 Oni—każdy z uczuciem przyjaciela, brata,

Byron powiedział wielką prawdę, wkładając ją w usta Danta, że:

„Wielu jest poetami, może pierwsi z chóru,
Co nigdy natchnień swoich nie zwierzyli pióru.“

(*Many are poets, who had never penned
Their inspirations—and perhaps the best).*

Takim poetą w *Gronie Błękitném* był przed innymi Adolf Januskiewicz. Idealniejszego nadeń człowieka rzadko można spotkać na świecie, zwłaszcza pod względem poetycznego nastroju pojęć i uczuć mo-

Mnie młodemu podali swą prawieć godną,
Przycisnęli do piersi—dalibóg, nie chłodno!
Cóż za dziw, że ich kocham; że chcę wiedzieć pilnie,
Co się tam dzieje w Mule, w Dziewietni, i w Wilnie?—
Gadaj mi! niech się do nich myśl moja przeniesie!
Czy wiesz, że z twym Homerem, mądry Ulissiesie, **)
Znamy się już od dawna, jak dwa łyse konie?
On mi kiedyś dał przykład, jak grać na bardonie...
. Jego rym nie lada
Był dla mnie pięknym wzorem, jak się pieśń układa;
On mi pierwszy ukazał przybytek niebieski.—
Wdzięczność mu, wdzięczność za to, do grobowej deski!..“

Z własnego zaś wiersza mojego „*Do Michała Kątkowskiego*,“ umieszczonego w zbiorze moich ramot, pozwałam tu sobie przytoczyć charakterystykę niejako jego osobistości:

„Nie wszystko wszystkim, Panie Michale!
Nie do wszystkiego wszyscy, jako ty,

**) Nazwa Ulissesa stosuje się tu do *Ambrościowicza*, a więc nazwa Hówera autora piszącego o nim.

ralnych, oraz harmonii ich między sobą i z codzienną praktyką życia. Jednego chyba z młodszych moich przyjaciół mógłbym stawić w tém obok niego. A był nim Bronisław Zaleski. Nie był on już naszym uniwersyteckim kolegą, ale był wychowawcem jednego z naszych kolegów, Dominika Chodźki, a więc i wychowawcem téjże szkoły ducha. Ale że o lat wiele późniejszy, nie miał on już téj tak wybitnej poetycznej barwy, którą się nawet między kolegami Adolf Januszkiewicz odznaczał. Tylko że ta poetyczność u niego nie stosowała się wcale, a przynajmniej nie stosowała się wyłącznie, do sztuki pisania wierszy, ale raczej do sposobu pojmowania i wykonywania moralnych obowiązków człowieka: religijnych, społe-

Co jak stos Volty wszelkie metale,
Amalgamujesz różne przymioty.

Znać, że cię darząc hojna natura
Wszystkoć *Rachunkiem* dała *Podwójnym*:
W myśli i we krwi żywość Mazura,
Obok z Litwina sercem spokojném.

Wzór kassyerów, mistrz kontrolerów,
Maxym mądrości zbieracz poważny,
Galant z damami, *bon vivant* z nami,
Pod ogniem armat żołnierz odważny,

I oto nagle sławny gospodarz!
W domu, w apteczce, sam jak kobieta;
W gorzelnii chemik, na polu włodarz,
A przy tém wszystkiém—autor, poeta!

I dziwy dziwów! w tece, w szkatule,
Plon w równój mierze rośnie ci razem,
I gdy Fortunę gonisz na *Mule*,
Po laur Parnasu śmigasz Pegazem i t. d.

(P. A.)

cznych i obywatelskich. Jedynym celem poezyi, podług niego, było podnosić i rozjaśniać pojęcie tych obowiązków i wzmacniać siłę do ich wypełnienia. Pod tym względem miał on szczególne podobieństwo ze Stefanem Garczyńskim, z którym go potem w Rzymie braterska złączyła przyjaźń. Punkt wyjścia był u nich odmienny, ale się spotykali u celu. A raczej sam ten punkt wyjścia zwał się tylko u nich inaczej. W czém jeden (Adolf) widział korne posłuszeństwo prawom i przykazaniom Boskim, drugi czynił toż samo dla tego, że mu w tém własny czysty rozum prawdę i dobro wskazywał. Po wyjściu pierwszych dwóch tomów poezyj Słowackiego, Garczyński w wierszu ulotnym do jednego z przyjaciół w Dreźnie powiedział:

„Cnota i Prawda tylko wieńce chwały wiją.
 Nie dość jest być Korsarzem, Arabem lub Żmiją;
 Człowiekiem być potrzeba, człowiekiem jedynie.
 Nie sama gładkość mowy do sere dzisiaj kluczem.
 Będziem i poetami, skoro się nauczym
 Czuć prawdę, pisać prawdę, i stwierdzać ją w czynie.“

Adolf téż tego zwłaszcza, i owszem tego jedynie od poezyi wymagał; i kiedy inni *blekitni* koledzy uganiiali za ognikami, albo na wzór ich sami szmermle tylko puszczałi: on ciągle ich spójrzzenia usiłował zwracać ku gwiazdom, a zamiast poziomych szmermelów, żądał przynajmniej choćby rac. gwiazdzistych. Jak jednak i pod tym względem był pobłażliwym i wyrozumiałym dla drugich, ja może mógłbym służyć za najlepszy przykład.

Od pierwszej chwili poznania zakochałem się w niej i formalnie, (był téż piękny jak Antinous), i nie tylko na wzajemność czekałem. A że właśnie w tymże

czasie, nie wiem z kąd i za co, powziął ku mnie podobnyż affekt inny kolega i rowiennik, Justyn Ciecierski, który ja także wzajemnością płaciłem: powstał ztąd między nami odrębny jakiś stosunek we *trio*, którego kierownikiem był właściwie Adolf. Przedmiotem konferencyj naszych była zwykle kazuistyka uczuć moralnych, jak np. w rozmowach z Olesiem podobnaż dyssekcya uczuć sentymentalnych, lub téż form i odcieni poezyi, jako sztuki. I na tych téż to punktach mianowicie Adolf musiał się uzbrajać w cierpliwość, aby ze mną nie zachodzić w dysputy. Mówił zawsze *swoje* jak pleban, ale i chochlikowi mówić *swoje* pozwalał. Ciecierski był zazwyczaj pośrednikiem godzącym. Z natury cichy, łagodny, nieśmiały, w samych już nawet rysach i melancholijnym wyrazie pięknej swój twarzy, nosił zda się cechę uczuć dziewiczych i przepowiednię przedwczesnego zgonu. Gdyby mu Bóg żyć dłużej pozwolił, byłby zeń może tkliwy, rzewny poeta, jak np. Karpiński lub Lenartowicz,—bo w tym kierunku zwykle sił swoich próbował; niezawodnie zaś wzorowo cnotliwy człowiek i pożyteczny kraju obywatel. Mając w perspektywie przed sobą dziedzictwo znacznej fortuny, za główny swój obowiązek uważał nauczyć się dobrego jój używania, i to nie tylko dla samego siebie. Adolf istotnie pod tym względem mógł być dlań najdoskonalszym mistrzem. Ze mną łączyła go mianowicie wspólna a poetyczna cześć i uwielbienie dla całej płci pięknej w ogólności; a i to może tylko dla tego, że sobie wtedy jeszcze żadnej *jednej* nie wybrał, a szukał jój ustawicznie w krajach marzeń i wyobraźni. Gdyby wybór był już nastąpił, przeszedłby może całkiem na stronę Adolfa,

który urok i świętość miłości widział głównie w jej przewodnictwie, jako Anioła zesłanego ludziom przez Opatrzność, ażeby ich w koło najświętszych, rodzinnych obowiązków wprowadzić; i zaledwo przez wysiłek pobłażliwości dla drugich, pozwalał im i bez tego celu niekiedy, ale zawsze tylko zdaleka, i to bardzo ostrożnie, lubować się urokiem anielskiego oblicza. On sam, nawet w drodze do tego celu, to jest będąc już zaręczonym, wyrzekł się potem dobrowolnie téj największej dla siebie i jedynéj pociechy życia, gdy w zamian za nią mógł tylko dać udział we własnej niedoli. Sam ten fakt byłby już dostatecznym do potwierdzenia tego, co o nim w ogólności powiedziałem wyżej. A cóż dopiero gdybym tu mógł wymienić cały szereg faktów poprzednich, które go w tę niedolę wtrąciły? Szczęściem nie będą one stracone dla wiedzy i przykładu potomnych. W opisie jego życia, wydanym w r. 1861 w Berlinie, ujrzą oni tę wzniosłą i szlachetną postać, godną być przedmiotem poezyi, a o której najbliższy z lat ostatnich przyjaciół, przez czas długi współnik niedoli, a sam znakomity poeta, autor „*Kirgiza*,” opowiedział. Przytaczam tu własne jego słowa:

„Rzadko może zdarzyć się spotkać drugiego człowieka, w którymby, oprócz powierzchowności w całym znaczeniu pięknej, tyle się jednocześnie moralnych przymiotów łączyło. Czysta wiara, miłość rodzinnej ziemi, wielostronnie ukształcony umysł, hart duszy, szlachetny i prawy charakter, na który nawet zawiść targnąć się nie śmiała, niezmordowana pracowitość, wierność w wypełnianiu każdego przyjętego na się obowiązku, a obok tego swobodny humor, porywy poetyckie, i ta łatwość pożycia, która mimowolnie wszy-

stkich serca ku niemu garnęła. Liczne te i wielkie przymioty w tak doskonałej harmonii łączyły się w osobie Adolfa, że stanowiły jakąś wzniosłą i odrębną postać na tle dzisiejszego społeczeństwa.“

Cóż dodać do słów takich? To jedno chyba jeszcze, że i sama śmierć jego była jakby koroną męczeńskiego żywota. Zaledwo powrócony na łono rodziny, po 25-cioletniém oddaleniu, musiał ją wnet pożegnać na wieki, i tó oblawszy wprzód łzami najżywszego żalu przedwczesny zgon młodziutkiej córki swego brata, która była dlań aniołem pociechy, a zachorawszy nagle, o jeden go dzień tylko poprzedziła do grobu. Wszystko to zniósł on z tak świętym pokojem, z tak pokorném poddaniem się woli Bożej, że mówiąc o tém w mowie pogrzebowej słynny naówczas w Litwie kaznodzieja, x. Wiktor Malewicz, sprawiedliwie powiedział o nim: „Chrystus z całą pełnością błogosławieństw położył się na duszę jego.“ Ja zaś na wezwanie brata jego i matki napisałem dlań następujący nagrobek, wryty na grobowym pomniku, na wiejskim cmentarzu w Dziahylnie, rodzinnym jego majątku w gubernii Mińskiej:

„Z ducha, serca i myśli, z enót, ofiar i czynów,
 Bóg nie miał sług wierniejszych, kraj godniejszych synów.
 Obywatel z wyznawcy niezachwianą siłą.
 Przechodniu! nie zań tylko nad jego mogiłą,
 Lecz módl się i za siebie: by przezeń uprosić,
 Tak żyć, wierzyć i kochać, tak cierpieć i znosić.“

Smutna to rzecz bardzo, siostrzyczko, opowiadać na starość wspomnienia swojej młodości. Na najweselsze zaraz pada cień mogiły, najmilsze nieraz zakoń-

czą się łzami. Pamięć wskrzesza i widzi co było, ale serce wnet czuje, że tego już nie ma, i co najgorsza, wie, co się z tém stało. Przyczyna, że tak mało mamy pamiętników osobistych, kto wie, czy nie leży w tém właśnie, iż serce zwykle nad pamięcią przemaga, i odejmuje ochotę do dalszego wywoływania wspomnień, które wznawiają w niem tylko nie pociechę, lecz boleść. Ja zawsze w takich razach powtarzam sobie wiersz znakomitego poety, Żukowskiego:

„O miłych współwędrowcach, co ci przed oczyma,
Idąc obok, przykładem enót swoich świecili,
Nie mów z żalem: „Już ich nie ma!“
Ale z wdzięcznością, że byli.

I z tego to mianowicie uczucia wdzięczności, radbym pamiętkę o nich młodszemu pokoleniu przekazać. Powracam więc do *Błękitnego Grona*.

W chwili mego wejścia do niego, laureatami w opinii kolegów, byli Tomasz Zan i Jan Czeczot. O pierwszym, jako poecie, wspominałem już wyżej. Drugi, zajęty obowiązkową pracą biurową w tak zwanéj Komissyi Radziwiłłowskiej, trudnił się przedewszystkiém zbieraniem i tłómaczeniem rusińskich piosnek ludowych, i sam oryginalnie pisał tylko piosnki. Treścią ich były zazwyczaj, albo uczucia moralne, zgodne z dążeniem i duchem filareckim, albo sercowe, poświęcone wyłącznie ku czci pięknej Zosi Malewskiej, młodszej córki rektora uniwersytetu, dla której uwielbienie poety miało wiele podobieństwa z uczuciem niegdyś iaznina dla córki xiążęcych swych protektorów, wiernie téż w nim jak w tamtym, w pośród różnych losu, aż do końca życia przetrwało.

Naśladowcą jego, jako zbieracz i tłumacz piosnek litewsko-żmudzkich, był Emeryk Staniewicz, o lat parę starszy ode mnie. Tkliwość ich i rzewna łagodność odbijać się zdawały w jego charakterze, kontrastując niby na pozór z wysoką, męską postawą, i nie rugując bynajmniej pogodnej swobody umysłu, która go zwłaszcza ścisłym węzłem przyjaźni łączyła z jowialnym Michałem Kałkowskim, a połączona z uprzejmą otwartością dla wszystkich, wszystkich mu też serca jednała. Mój z nim stosunek, zawsze bardzo dobry, spoił się zwłaszcza i przeszedł w serdeczną przyjaźń podczas kilkumiesięcznego sąsiedztwa tuż obok w celach karmelitańskiego przy Ostrzej Bramie klasztoru, gdyśmy w nich potem wspólnie mimowolną rekolekcyą odbywali. Liczę go zawsze do najmiłszych wspomnień z owych lat piérwszój młodości.

Nad wszystkimi wszakże młodszymi, poetyckim umysłem i talentem górował niezaprzeczenie Oleś Chodźko, nim w parę lat później przybyli do grona wprowadzeni przez niego i przeze mnie, Ludwik Spitznagel i Józef Massalski. O piérwszym wspominałem już obszerniej powyżej i gdzieindziej; tu więc powtórzę chyba to jedno, że był to nie tylko talent, ale może gieniusz w zarodzie, który nim się w pełni rozwinął, spłonął sam w ognjach własnych swych uczuć, czy raczej może tylko wyobraźni, nad którą zapanować nie umiał. Massalskiemu też dalsze okoliczności życia zwichnęły polot, nie tak bujnej, jak raczej dziwnie lotnej, lekkiej, i że się tak wyrażę sylficznej, czy motyléj fantazyi, która go też sama dobrowolnie do tych smutnych okoliczności przywiodła. Powiem o tém, co się da powiedzieć, poniżej. Ale z piérwszych poetyckich

prac jego, bajki zwłaszcza w guście Lafontena, pod względem wdzięku narracyi i stylu, ze wszystkich naszych pisarzy w tym rodzaju stoją może najbliżej obok Krasickiego, i tak się mają do swojego wzoru, jak np. bajki Mickiewicza do bajek Trembeckiego, których on styl i ton naśladował.

Ale wracając do Olesia Chodźki;—znajoma jest powszechnie improwizacya o nim Mickiewicza, gdy porównywając go w niej do kolibra o tęczowych piórach, przepowiadał mu za czasem siłę lotu i tryumf orla. Jakoż pierwszy zbiór jego poezyj, wydany w Petersburgu w r. 1830, nie zadał bynajmniej kłamu téj przyjacielskiej chlubnej przepowiedni. A dla czego sam autor ziścić jój w pełni nie usiłował, czy nie chciał? to samby on już chyba wytłómaczyć zdołał; gdyż głos jego dotychczas, Bogu dzięki, nie zamarł, i owszem w chwili obecnej, (1882), z katedry w Kollegium Fracuzkiém (*Collège de France*) w Paryżu, odsłania cudzoziemcom piękności literatury Słowiańskiej, spełniając niejako w ten sposób ową wieszczą przepowiednię Adama, którego miejsce właśnie na rzeczonéj katedrze zajmuje. W czasie, o którym tu mowa, on jeden, jako wybrany uczeń i szczególny ulubieniec Tomasza Zana, występował od razu w roli *romantyka*, podczas gdy wszyscy starsi, a nawet rówiennicy jego, długo wprzód to w Rzymskich togach, to we Fracuzkich haftowanych frakach chodzili. Między innemi ballada jego p. t. *Maliny*, podała pierwszy pomysł Słowackiemu do napisania swojej *Balladyny*.

Naczelnikami zastępu *togatów* byli wspomnani już niejednokrotnie wyżej, tłumacze poetów greckich: Felix Kułakowski i Jan Wiernikowski. Tuż po nich

szedł Jan Zahorski, również jak oni kandydat do stanu nauczycielskiego i niemniej też gruntownie uczony filolog. We dwa zaś lata później przybył do nich Julian Korsak, jako *wzorowy* tłumacz ód Horacyusza, jak go nie wahał się nazwać sam Borowski, gdy pierwsze podane sobie ody, na lekcyi publicznie, z wymienieniem nazwiska tłumacza, odczytał. Mimo to Korsak był pierwszy, który z obozu klasyków przeszedł stanowczo na stronę romantyków, a w dalszym ciągu poetycznego swego zawodu, oprócz kilku znakomitych utworów oryginalnych; jak np. „*Oda do Gieniuszu*,“ „*Kamoens w szpitalu*,“ i t. d.; oprócz wcale udatnych tłumaczeń poematów Byron'a: „*Lara*,“ „*Więzień Chalonu*,“ „*Oblężenie Koryntu*,“ „*Parisina*,“ tragedyi Szekspira „*Romeo i Julia*,“ i tragedyi Göthe'go „*Ifigenia w Taurydzie*,“ uwiecznił zwłaszcza swe imię w literaturze ojczystej, rymowanym przekładem „*Boskiej Komedyi*“ Danta, o którym mówiąc kiedyś Borowski, wyraził się: „że pachnie Dantem.“ Przykład jego w przeniesieniu się klassycyzmowi naśladował w późniejszych latach Wiernikowski, gdy po wydrukowaniu w Wilnie w r. 1824 wzorowego przekładu kilku ód Pindara, oddawszy się nauce wschodnich języków w Kazaniu, zajął się był przekładem perskiego poety Hafiza, a następnie, nauczywszy się po szwedzku, wytłumaczył z Tegnera dwa najslawniejsze poemata jego: „*Axel*“ i „*Fritiof's Saga*.“ Oba te tłumaczenia, ogłoszone drukiem, tłumaczowi zasłużoną sławę przyniosły. Jeden tylko Zahorski, do końca pobytu swego w uniwersytecie, nie dał się niczém oderwać od czci Muzy starożytniej, a mianowicie Rzymskiej, i często nawet *stylusem* Juwenalisa z widmami romantycznych ballad

wojował, w najprzyjaźniejszej wszakże komitywie sam zawsze z romantykami zostając. Tłómacz *Listów i Satyr* Horacyusza, sam na wzór ich pisał własne. Nie było w nich wiele talentu, ale wiersz i język poprawny; tylko że wykształcony zwłaszcza na Trembeckim, odznaczał się i grzeszył napuszystością, która, we własnej zwłaszcza deklamacyi jego, dochodziła do tego stopnia, że może nie miałby sobie pod tym względem równego, gdyby nie exystował w Warszawie pan Józef Dyonizy Minasowicz, którego pewno, siostrzyczko, pamiętasz, a więc i wiész z doświadczenia, jak trudno było słuchając wstrzymać się niekiedy od śmiechu. Że zaś prawidło: *nonum prematur in annum* było dla Zahorskiego prawem kardynalném: ztąd poszło, że nic nigdy nie ogłosił drukiem; a co po śmierci jego stało się z rękopismami, ja nie wiem.

Do naśladowników francuzkich, a raczej ówczesnych poetów warszawskich, liczyli się bez wyjątku mniej więcej wszyscy inni składacze rymów. Silniejsi brali się do przekładów tragedyi, słabsi poprzestawali na liryzmie. Jeden z piérwszych, Xawery Turski, wytłómaczył między innemi „*Mitrydata*“ Rasyna; lecz pomimo, że przekład ten, zdaniem znawców, nie ustępował w wartości słynnym wówczas przekładom warszawskim, tłómacz, przeszedłszy wkrótce na stronę romantyków, nie chciał ogłaszać go drukiem, i zajął się przekładem „*Zbójców*“ Szyllera, przeznaczając tę sztukę na benefis slicznej i wielce znakomitej artystki, panny Izabelli Górskiej, która nawet obok pani Łochowskiej, goszczącej wtedy czasowo w Wilnie i z p. Werowskim, była ulubienicą publiczności ówczesnej. Tryumf ten wszakże romantyczności na

scenie nie doszedł rzeczywiście do skutku, napotkawszy stanowczy opór ze strony klasycznej dyrekcji teatru, i piękny przekład *Zbójców*, zaległ na zawsze w tece obok *Mitrydata*. W kilku ledwo drobniejszych utworach, drukowanych w ówczesnych dziennikach wileńskich, zostały jedyne ślady wyższego talentu tłumacza, który go całkiem potem dobrowolnie zaniechał, a dziś jeszcze w okolicy swojej jest wzorem postępowego gospodarza i zacnego obywatela.

Podobnyż los mniéj więcéj był udziałem i wszystkich innych czcicieli Muz, kolegów i rowienników moich, którzy im wtedy gorliwie w *Gronie Błękitném* służyli. Imiona więc ich przynajmniej chcę tu na pamiątkę wymienić, nie powtarzając wspomnianych już wyżej. Byli nimi: Tadeusz Żebrowski, Dominik Orlicki, Stefan Marciejewski, Jan Jankowski, i Ludwik Paprocki. O Jankowskim, smutnéj pamięci, przyjdzie mi może wspomnieć jeszcze poniżej. Paprocki zaś, późniejszy urzędnik i nakoniec członek Rady Stanu w Królestwie Polskiem, żyjący do dziś dnia jeszcze (* i otoczony szacunkiem powszechnym, był natenczas w *Gronie Błękitném* jako główne pośrednie ogniwo pomiędzy poezją a muzyką. Muzyka bowiem, równie jak wszystkie inne sztuki piękne, otwierała téż swoim adeptom wstęp do literackiego grona. Rzeźbiarzy w niem tylko nie było. Malarstwo reprezentował jeden tylko Walenty Wańkiewicz; ale co ołtarz Euterpy, to miał zawsze liczny zastęp czcicieli. Na czele wszakże ich wszystkich stali: Ludwik Paprocki, Jan Jundziłł, i xiądz

*) Pisano to było w r. 1881. Umarł w r. 1882.

Petrulewicz, jako skrzypkowie, i Henryk Romer, jako wiolonczelista. Temu ostatniemu sławny Romberg, za bytności swój w Wilnie, rokował świetną artystyczną przyszłość, gdyby jego położenie społeczne nie otwierało raczej przed nim pola innój, obywatelskiój zasługi. Ale wszystkie te piękne nadzieje przecięła śmierć zbyt wczesna, z przypadku utonięcia w kąpielu. Paprocki zaś, x. Petrulewicz i Jundziłł byli zawsze do końca głównymi czynnikami koleżeńskich zabaw, których muzyka, obok poezyi, stanowiła część integralną. Do urządzanych przez nich na ten cel kwartetów wchodzili też dwaj nienależący do grona, ale duchem z nióm spokrewnieni, artyści katedralnej i teatralnej muzyki, pp. Borowski, piérwszy skrzypek, i Karszmidt, wiolonczelista. Chór śpiewaków, pod przewodnictwem trzech braci Zanów, obdarzonych prześlicznym głosem, składał się, zwłaszcza w polu otwartém, ze wszystkich, którzy tylko, jak np. ja i Ignacy Domejko, za wyraźnych *turbatorów* jego uznani i uważani nie byli.

Ale wspomniawszy o zabawach, czuję się niejako w obowiązku powiedzieć też tu o nich słów kilka.

Zabawa, podług filareckiej teoryi pana Tomasza, powinna być, obok nauki, drugim źródłem kształcenia umysłu, serca i ducha, byleby, ma się rozumieć, charakterem swym odpowiadała celowi. Ztąd też obok posiedzeń poświęconych wyłącznie nauce, wszystkie grona od czasu do czasu urządzały u siebie wieczorne koleżeńskie zebrania, najczęściej z powodu imienin zewodników, w obszerniejszych prywatnych mieszkaniach swych członków. Na wszystkich wszakże, jakiegdyś minstrele, nieodzownymi gośćmi byli poeci muzycy *blekitni*. Poezya bowiem, to jest deklama-

cya albo *jamby*, i muzyka, składały zwykle cały program zabawy, nie wyłączając przytém swobodnej rozmowy, albo nawet i gier studenckich, jak np. w *ciuciubabkę* w zimie, lub latem na majówkach w *zajęca*. Koszt na te uczty zbierał się z drobnych dobrowolnych składek; traktament odpowiadał prostocie programu. Z niektórych piosnek filareckich, jak np. z owéj Adama:

„Hej, użyjmy żywota,
Wszak żyjem tylko raz.
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

„Hejże do niéj wesoło!
Niechaj obiega w koło.
Chwytaj i do ust chyl
Zwiastunkę dobrych chwil!“—

Z piosnki téj i niektórych innych, mylnieby ktoś może mógł wnosić, że kielichy i gorące napoje były źródłem albo podniecią ożywienia i wesołości tych biesiad. Rzecz owszem miała się wręcz przeciwnie. Wino, poncz, piwo, nie mówiąc już o spirytualiach, były wyraźnie wykluczone z programu. Mléko, herbata z ciastem, lepszym nieco od prostych bułek, krajanki chleba z sérem i owoce, składały cały zasób posiłków i lakoci. Jeden jedyny toast na cześć bohatera fety, spełniał się jeśli nie mlékim, to małym kieliszkiem Kowieńskiego miodu; i dla jednego tylko Adama, kiedy bywał obecnym, wyjątkowym sposobem butelkę porteru stawiono. On téż jeden miał wyłączny przywilej palenia fajki, od którój, na zebraniach, z postanowienia wstrzymywali się drudzy. Cygar i pa-

pierosów nie znano wtedy jeszcze, a przynajmniej w Wilnie. Ztąd też prawdziwie obrzędową piosnką, przy wznoszeniu toastu, była następująca Czeczota:

„Bodaj to złote wieki,
Kiedy miodem i mlekiem,
Słodkie płynęły rzeki,
A człek był słodkim człkiem!

„Serce słodkie jak z miodu,
Dusza jak mleko biała,
Czarnych zbrodni zarodu,
Ni gorzkich trosk nie znała!

„Tak my kiedyś wzdychali
Za złotemi wiekami,
Pókiśmy nie zostali
Braćmi Filaretami.

„Dzisiaj dla nas wiek złoty
Błysnął w braterskiem gronie,
Gdzie czystym ogniem cnoty
Serce każdego płonie.

„Słodka przyjaźń i zgoda
Pokrzepia wiek nasz młody;
Myśli, uczuć swoboda,
To złotych wieków miody.

„Tyś nam wskrzesił te wieki,
Dając nam niegdyś mleko;
Odtąd pam życia rzeki
Mlekiem i miodem cieką.

„Przyjmże od nas to mleko,
Godło wieku złotego,
Niech mlekiem, miodem cieką
Zdroje życia twojego!“

Piosnka ta napisana wyłącznie dla Zana, zmie-
ła się w ostatnich dwóch strofach, stosownie do so-

lenizantów, na cześć których toast wznoszono; zawsze jednak była przy tém konieczną, jak „*God save the king*“ na publicznych ucztach angielskich.

Ale oprócz tych zebrań gron pojedynczych, albo ogólnych wiosennych majówek za miastem, jedną wspólną doroczną biesiadą w mieście był obchód imienin Tomasza Zana, 21 Grudnia. Dniem przed tém, jako przed feryami Bożego Narodzenia, lekcy w uniwersytecie były już zamknięte, a ci co nawet mieli wyjeżdżać do domów na święta, wstrzymywali zwykle swój wyjazd, aby piérwój złożyć życzenia ukochanemu solenizantowi. Była to piérwsza biesiada, na której byłem obecnym, po przyjęciu mojm do grona w roku 1820. Odbywała się ona we wspaniałych salonach pałacu Jenerała Paca, który stał naówczas pustkami, a burgrabia, przyjaciel jednego z naszych kolegów, Onufrego Pietraszkiwicza, otworzył nam je na ten dzień do użycia. Spodziewano się przybycia Mickiewicza z Kowna, ale stan jego zdrowia i zbyt silne mrozy nie dozwoliły mu spełnić zamiaru. Zawód był tém dotkliwszy dla wszystkich, że właśnie dla zrobienia jemu przyjemności, i w skutek własnej jego rady, Grono Błękitne wystąpiło po raz piérwszy z reprezentacją studenckiej krotofili wierszem, napisanej przedparą laty przez samegoż solenizanta, p. t. „*Piérożki Gryczane*.“ Mickiewicz cenil ją bardzo, jako wierny obraz z natury obyczajów i usposobień studenckich. Powtórzono ją téż przed nim w roku następnym, gdy Mickiewicz za urlopem dla zdrowia cały ten rok szkolny w Wilnie przepędził. Ale zamiast opisywać po szczególe obie te fety, pozwalam sobie, siostrzyczko, przytoczyć tu raczej, jako ogólny ich obraz i wspo-

mnienie, choćby tylko początek własnego mego wiersza do Tomasza Zana, napisanego w r. 1852, gdyśmy w gronie zaledwo kilku dawnych kolegów, obchodzili dzień jego imienin, po powrocie już jego do Wilna.

„Panie Tomaszu! lat temu trzydzieście,
Dzień twych imienin—co to za wesele!
Boże mój! pomnę—co za ruch po mieście,
Bo co dom w mieście, to w nim przyjaciele!

Wilią Frejent cały dzień już lata,
On, co nam piérwszy każdą wieść ogłasza.
„Panowie! jutro mleko i herbata!
Czczot funduje, i wszystkich zaprasza.“—

Z wszystkich okienek, gdzie tylko poeci,
Jak wróble w gniazdach, siedzą na poddaszu,
Całą noc świeczka nieutarta świeci,
Wszędzie się piszą wiersze o Tomaszu.

Jeżowski czapkę nasunął na uszy—
On jutro mowęą w imieniu zebranych.
U Łozińskiego gwar, hałas, aż głuszy—
Próba na jutro „Piérozków Gryczanych.“

U nas, przed piecem zamysłony Adam,
Puszcza z ust dymu coraz gęstsze wianki.
Ja téż cichutko w myśli rym układam,
Licząc z Czczotem pożyczone szklanki.

Dwie głowy cukru *białowás* Onufry
Przyniósł, i tłucze;—a niezmordowany
Brat Piotr szykuje stolki, ławki, kufry,
By było na czém siadać koło ściany.

I o północy już wszystko skończono.
Lecz gdzie tam zasnąć!—gdy już przed świtaniem,
Do przewodników ma się każde grono
Zebrać, i razem iść z powinszowaniem!

Jakoż i idziem.—O! któż powylicza
 Te siedm gron wszystkie, siedm barw jednej tęczy,
 Co jak przyszłości zorza tajemnicza
 Opromieniała nasz ranek młodzieńczy?

Tys był nam wszystkim jak ów Sokrat grecki,
 Co próżno pragnął gromadki jak nasza,
 Bo w każdej myśli, piersi Filareckiej
 Tehnęła najczystsza miłość dla Tomasza.

W tobie nią każdy, jak w wspólném ognisku,
 Seree do pieśni, do czynów zapalał,
 Udzielał drugim w braterskim uścisku,
 Strzegąc nawzajem, by nikt jój nie skalał.

I nieskalana téż była w tém gronie,
 Jak były czyste te lzy rozrzewnienia,
 Jak był promienny pokój na twém czole,
 Gdy ci Jeżowski niósł wszystkich życzenia.

Któż im nie wtórzył najszczerzą nadzieją,
 Kto śmiał nie wierzyć w ich prorocze wróżby,
 Któremi Adam, i drudzy koleją,
 W ślad twój budzili do ojczystej służby?

I nieskażone téż było wesele,
 Żywe jak miłość, spokojne jak cnota,
 Z którym się w wieczór młodzi przyjaciele
 Zbiegli, wpół skacząc, na bal do Czeczota.

Gwar, jamby, pieśni—przy miodzie i mleku,
 Sto sere ognistych, kochających wzajem...
 O! ty nasz młody, ty nasz złoty wieku,
 Coś z nas i przez nas miał wzejść po nad krajem!... i t. d.

Ale nie same tylko towarzyskie zebrania uniwersyteckich kolegów nosiły ten poetyczno-duchowy, czyli, że go tak nazwę, filarecki charakter. Zaczynał on właśnie w tym czasie wnikać coraz wyraźniej i szerzej w pojedyncze kółka światowe, w domach zwłaszcza,

gdzie były i rej wiodły panienki. I nie było to wprost naśladownictwem, lecz raczej skutkiem téjże saméj przyczyny. Przyczyną tą był wspólny wpływ Zana. Wprawdzie poprzedzające nas pokolenie odznaczało się już w ogólności na Litwie wielką światową ogładą, upodobaniem w estetycznych zabawach, szarmanterią ze strony mężczyzn, a sentymentalnością ze strony płci pięknej. Ale była to szarmanterya czysto salonowa: dworna, zalotna, rycerska nawet, jeśli ją tak nazwać, której głównym wzorem i szkołą był w Warszawie dom xięcia Józefa *pod Blachą*. Sentymentalność zaś damska, była wierném odbiciem kolorytu i tonu słynnych i modnych wówczas romansów pani *Cottin*, pani de *Genlis* i t. p. Mówię to, ma się rozumieć, o wyższych i wykształceńszych warstwach społeczeństwa; ale wpływ ich sięgał i niżej, i z Wilna, jak z głównego ogniska, rozchodził się po innych miastach i miasteczkach, gdzie były zwłaszcza palestra i szkoły, które go dalszą koleją po dworach szlacheckich krzewiły. Poważniejszego, duchowego niejako pierwiastku, ani w owéj szarmanteryi, ani w owéj sentymentalności nie było. Był to już wykwit czysto filarecki, choć on sam niewątpliwie tamtym piérwszy swój początek zawdzięczał. Domieszką w téj amalgamie był osobisty charakter pana Tomasza, poetyczno-religijny nastrój jego umysłu, i nakoniec same okoliczności, które go jednocześnie od razu z mężką i żeńską uczącą się młodzieżą zbliżyły. W piérwszym zaraz u przybycia ze szkół do Wilna (1815), zmuszony sną pracą zarabiać na utrzymanie swoje, obok u korrepetycyi studenckich, otrzymał, za protekcją iotekarza uniwersyteckiego Kontryma, posadę przy-

chodniego nauczyciela matematyki i fizyki przy jednym z pierwszych pensyonów panięńskich w Wilnie (Pani Dejbel). Tkliwy, delikatny, łagodny i kochającego serca z natury, gdy właśnie przez te przymioty jednał sobie ogólną życzliwość kolegów, cóż za dziw, że i wrażliwsze serduszka uczennic tém łacniej jeszcze pociągnąć się dały? Sława jego nauczycielska takiego z czasem nabrała rozgłosu, że literalnie wszystkie, ile ich było w Wilnie, przełożone pensyi, ubiegały się jako o zaszczyt, aby Zana do grona swych nauczycieli zaliczyć. Gdy więc wszystkim sam zadość uczynić nie mógł, rekomendował w miejscu swoim najzdolniejszych kolegów, i tym sposobem, po pewnym przeciągu czasu, nauczycielami we wszystkich żeńskich naukowych zakładach, zostali wyłącznie sami najzaufańsi przyjaciele jego. O ile zaś to nauczycielstwo panięńskie oddziaływało wzajem na nauczyciela, na upoetyzowanie zwłaszcza i uduchownienie teoryi jego o *promionkach*, którą on, jak już wspomniałem wyżej, pomiędzy koleżeńską młodzieżą upowszechniał: o tém z własnych domysłów rozszerzać się nie będę. Faktem jest tylko, że imię jednej z tych uczennic, *Feli*, (*Felicya*), którą obrał za damę swych myśli i wierszy, stało się pomiędzy Filaretami jak gdyby generyczną nazwą ideału cnót, zalet i wdzięków niewieścich z jednej, a czci i uwielbienia dla nich z drugiej strony. W piosnce filareckiej Adama, zaczynającej się od słów: „*Héj, użyjmy żywota!*“ ostatnia strofka, mówiąca o starości, kończyła się temi słowy:

„Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadnem toń.
To oko zamknie Feli,
To, Filareta dłoń.“

I przeto każdy z wyznawców teorii *promionkowej*, mógł powtórzyć mniej więcej względem siebie o *Feli*, co Zygmunt Krasiński o *Beatrice*, mówiąc:

„I ja też miałem *Beatrice* moją!“

Że zaś w przeciągu lat pięciu (1815—1820), wiele z tego rodzaju *Feli* czy *Beatrici* przeszło z ławek pensyonarskich na taneczne posadzki i fotele wileńskich salonów, i pomagało matkom w robieniu honorów domu: nie dziw, że najpożądanymi dla nich gośćmi, byli młodzi przyjaciele pana Tomasza, z którymi je i wspólność wyobrażeń i wspomnień, i wspólność przywiązania dla wspólnego mistrza łączyła; a następnie, że ton i koloryt wzajemnego ich między sobą stosunku, musiał też oddziaływać i na innych gości. Pierwszém i główném ogniskiem podobnego wpływu, był w czasie, o którym tu mowa, dom samegoż rektora uniwersytetu, p. Szymona Malewskiego. Wprawdzie ani on sam, ani żona jego: uprzejma, dobra, zacna gospodyni, nie mieli w tém najmniejszego udziału; ale syn ich jedyny, Franciszek, kolega i najbliższy przyjaciel Mickiewicza, Zana, Jeżowskiego, Czeczota i innych, jak z jednej strony ściągał ich do siebie, tak z drugiej, przez wpływ na siostry, nastrajał je niejako do harmonii z nimi. Z dwóch tych sióstr starsza, Marya, cicha, skromna, nie myśląca o sobie, poprzestająca ochoczo na podrzędném stanowisku Marty, sama owszem ku młodszej Zosi prąd uwielbień gości swoich zwracała. — zaś ostatnia, piękna, żywa, dowcipna, z niepospó-
m talentem muzycznym i uroczym głosem w śpiewaniu, łączyła jeszcze mnóstwo fantazyi i fantazyek pieszczonego dziecka, które choćby właściwie przy-

szło może nazwać cieniami, miały one wszakże swój powab, tak, że możnaby było powtórzyć o nich z poetą (Moorem):

„Że nieraz wątpić trzeba, czy te cienie
Nie miłsze dla nas, niż same promienie.“

Nie zrażały też one przyjaciół jój brata, a dla Czeczota owszem miały urok czarów, któremi bajeczne wróżki oplątywały nieraz swoich wielbicieli, uczuć ich nigdy same na seryo nie dzieląc. Ja wprowadzie tych tak wielkich czarodziejskich wpływów, o których ciągle słyszałem, nie doznałem bynajmniej na sobie; ale to może dla tego, że nim Mentor mój, Czeczot, ziścił nareście swoją obietnicę, że mnie, jeśli na to zasłużę, przed obliczność ideału swego wprowadzi: własne moje ideały w tym względzie w inne już całkiem wcieliły się kształty. Że zaś właśnie ta okoliczność wywarła wpływ stanowczy i największy może na dalszy kierunek i rozwój poetycznego mego pod tym względem żywota: więc uważam też za właściwe, obszerniej nieco powiedzieć tu o tém.

A oprócz tego jeszcze, siostrzyczko, mam i inny powód ku temu, i to powód tyczący się przedewszystkiem ciebie samój, to jest, chęć usprawiedliwienia się niejako przed tobą. W nekrologu moim za życia, który przed laty kilku raczyłaś napisać i umieścić w kalendarzu Ungra, podajesz do wiadomości powszechnój—nie umiém dobrze odgadnąć, czy jako pochwałę, czy jako zarzut:—gorącą moję cześć i uwielbienie dla całej płci pięknej w ogólności. Nie wypieram się ja tego bynajmniej, ale wszakże idzie mi o to, ażebym nie był brany za jakiegoś ślepego, bezmyślnego motyla,

którego wymaganiom lada ziółko wystarcza, a który między nióm a choćby nawet różą, różnicy dostrzedz i poczuć nie umie. Tak nie jest. Że zaś w ciągu trzech ćwierci wieku mego życia, los szczęśliwy dawał mi wszędzie spotykać w płci pięknej okazy cnót najmiłszych i najwyższych w ludzkości: od miłosierdzia i litości, do heroizmu w poświęceniu; że mnie ustrzegł od doświadczenia na samym sobie tych jakoby wad i usterków, o które ją w wierszach i w prozie ród męzki od wieków obwinia; przypisuję to, prócz Łaski Bożej, temu zwłaszcza piérwszemu stosunkowi mojemu, o którym tu mówić zamierzam, a który przez kilkoletnie trwanie w czasach piérwszej mojej młodości, wytworzył snać w duszy mojej taki jakiś kamerton uczucia, że kierując się nim w wyborze dalszych, nigdy się, Bogu dzięki, nie zawiodłem w nadziejach.

Od przybycia mego do Wilna, poprzestając na towarzystwie kolegów, w domu tylko pp. Spitznaglów, w którym byłem jak w rodzicielskim, widywałem czasem zdaleka światowe towarzystwo wileńskie. Że zaś to składało się zazwyczaj z poważnych professorów narodowości niemieckiej, którzy się w nim z całą rodziną raz w tydzień na bostona lub wista zbierali; ja, jako młody i nieśmiały student, żadnego w nióm właściwie nie brałem udziału, i* przy wieczery tylko w gronie gości siedziałem. Tak było do imienin samój pani domu, w dzień N. P. Maryi Gromnicznej, (2 Lutego 1821 r.) W dniu tym po nabożeństwie z ko-
 oła przyszedłem téż z powinszowaniem, i przy tępie do przedpokoju usłyszałem hałas i tertes pokoju dziecinnym, do którego téż wszedłem naj-
 rwój. Ujrzałem tam jakiegoś malca idącego w za-

pasy z młodszym bratem Ludwika, do których on i brat najmłodszy okrzykami zachęcali szermierzy. Malec ten nieznajomy zwrócił moją uwagę przez szczególniejszy jakiś wyraz fizygnomii, a zwłaszcza przez duże, czarne, pałające oczy, które też utkwili we mnie gdy wszedłem, i kiedy moje wejście położyło koniec zabawie. Był to Julek Słowacki, o którym często wspominał mi Ludwik, zwąc go zawsze przyjacielem swoim, choć sam był starszym od niego o lat parę. Julek miał natenczas lat jedenaście. Ubrany był w czarnym axamitnym kaftaniku do stanu, przepasany lakierowanym paskiem z błyszczącymi stalowymi klamrami. Szeroko odłożony kołnierz od koszuli odsłaniał cienką białą szyję, na którą z tyłu i z boków spływały długie, czarne, utrefione włosy. Mam go dotąd żywo w pamięci, bo się też w nią wraził od razu. Ludwik zapoznał nas między sobą; poczem on znowu wrócił do przerwanych zapasów, a ja do salonu poszedłem.

W salonie, na kanapie przed stolikiem, siedziały jakieś dwie panie: starsza i młodsza; cztery zaś krzesła około stolika zajęte były przez solenizantkę i trzy jakieś młode panienki, odwrócone plecami do wejścia, których twarze widzieć przeto nie mogłem. Gdy złożyłem powinszowanie, pani domu zaprezentowała mnie swoim gościom jako „swego czwartego syna,“ ale nie powiedziała nawzajem komu byłem prezentowany. Za ledwo jednak wymówiła moje nazwisko, starsza dama zapytała z żywością, czy nie byłem owym poetą, którego wiersze pochwalił Borowski? Skłoniłem się, zarumieniłem, a gdym ujrzał, że oczy wszystkich zwróciły się ku mnie, dziś jeszcze pamiętam wrażenie, ja-

kiego podówczas doznałem. Oóż dopiero kiedy się dowiedziałem, że młodsza dama i jedna z panienek są córkami Jędrzeja Śniadeckiego; że dama ta, (pani Balińska), jest tą samą Zosią, do której stryj Jan Śniadecki, list o „*Malwinie*“ napisał; że drugą damą starszą jest pani professorowa Becu, a dwie drugie panienki jój pasierzbicami, o których rozumie i wdziękach cuda już w Borunach słyszałem; najmłodszy bowiem brat nieboszczki ich matki, Alexander Pilar, był moim szkolnym kolegą i dobrym zawsze przyjacielem. Wszystko to razem wzięte tak mnie jakoś ogarnęło od razu, że nie tylko słowa przemówić, ale nawet przez długą chwilę myśli zebrać nie mogłem. Ale trzebaż prawdziwie szczęścia, że to, co mogłoby zdać się, a nawet co rzeczywiście było dowodem mojej głupoty; to właśnie, to jest nieśmiałość moja i zakłopotanie, poczytane mi zostały za skromność, i jak się o tém dowiedziałem później, przyczyniły się owszem do obudzenia ku mnie pierwszego uczucia życzliwości. Musiałem ją być wszakże poczuć instynktowo, gdyż w następną zaraz rozmowie ze starszemi paniami w której panienki nie brały udziału, z osłupienia przeszedłem raptem jakby w stan extazy, jakiej dotychczas może nie doznałem w życiu. Wprawdzie zawsze towarzystwo panienek, i w ogólności niewieście, miało na mnie wpływ ożywczy w rozmowie; ale jakież to były panienki lub niewiasty, które znałem i z którymi przestawałem dotychczas? Były to albo krewne, albo one mi od dzieciństwa wiejskie sąsiadki, albo naniec matki i siostrzyczki szkolnych kolegów, które odwiedzenia ich czasem przyjeżdżały do Borun. Były jużciż pomiędzy niemi poważne i zacne obywatelki,

i wcale nieszpetyne twarzyczki; ale na tém i koniec ich zalet. Na umysłowym poziomie stały one bez porównania niżej od tych moich Boruńskich kolegów, z którymi się razem Homera i Wirgiliusza czytało. Dla nich były to rzeczy obce, a chyba tylko zręczne komplementa, lub czułości wyczytane z romansów, do gustu panienczek trafiały. Tu dopiero pierwszy raz w życiu, gdy się rozmowa wprost od poezji zaczęła, uczułem po nad sobą jakby siłę wyższą, która mnie nagle porwała i nad własny mój poziom podniosła. Nie wiedziałem ja wtedy, a możebym nawet i nie pojął gdyby mi kto chciał wytłómaczyć, w czém było źródło tego magicznego uroku, który mnie tak niespodzianie ogarnął. Nie wiedziałem, że stoję w obec dwóch dusz najpoetyczniejszych, nad które wyższych w tym względzie w ówczesném społeczeństwie wileńskiem nie było; w obec dwóch najświetlejszych i najlotniejszych umysłów, w sferze najtkliwszych uczuć i pojęć najszlachetniejszych, opromienionych wdziękiem przyrodzonej dobroci i estetycznych form wyższego świata. Osobiste odcienia charakteru, czy raczej temperamentu, nie szkodziły bynajmniej wspólności ich zasad, a ta wspólność łączyła je nawzajem węzłem najściślejszej przyjaźni, pomimo kilkoletniej różnicy ich wieku. Uroda, właściwie mówiąc, nie grała tu żadnej roli. Nie rysy, lecz wyraz twarzy nadawał im obu ten powab, który serca ku nim pociągał. Za toż pełnym blaskiem urody jaśniała starsza panna Becu, (Alexandra), ze wspaniałą postawą Pallady łącząca wdzięk typowej polskiej piękności, błękitno-okięj, pogodnej, łagodnej; podczas gdy młodsza jęj siostra, (Hersylia), i młodsza siostra pani Balińskiej, (Ludwika Śniadecka), odzna-

czaly się przeciwnie typem raczej wschodnim, na wzór jakiegóś Greczynki czy Arabki. Tu wszakże muszę nadmienić, że ani rodzaj urody, ani rodzaj intelligencji panny Ludwiki, wprawdzie rozwiniętej szeroko i silnej, lecz nastrojonęj na ton Byroniczny, nigdy do mego współczucia i upodobania nie trafiał; a nawet, że i wszyscy dzielący mniej więcej usposobienie moje, podobnegoż doznawali wrażenia. W chwili wszakże o której tu mowa, chwili mi na zawsze pamiętnęj, ja zajęty rozmową pań starszych, nie miałem nawet czasu do obserwowania panienek; a ta moja studencka naiwność i zachwyty, w braku wszelkiej innęj zasługi, zjednały mi ze strony moich interlokuterek, jak to już napomknąłem wyżej, najprzód wzgląd i życzliwość, a w dalszym ciągu stosunku macierzyńską prawdziwie i siostrzaną opiekę; która zmieniona w końcu we wzajemną przyjaźń, jak była zawsze dla mnie chlubą i pociechą, przez większą część mego, a do końca ich życia, tak i dziś jeszcze świętą ich pamięć czcią, uwielbieniem i najczulszą wdzięcznością we wspomnieniach mych opromienia.

Nigdybym jednak sam przez się nie ośmielił się wtedy kontynuować tęg znajomości, którą mi traf niespodziany nadarzył, gdyby pani Becu przy wyjściu, gdym im jako syn domu do odziewania się w przedpokoju pomagał, nie zaproponowała mi piérwsza, abym je odprowadził do domu. Pani Balińska z siostrą powozem odjechały do siebie; ja reszcie dam towarzyszyłem piechotą, Julka przytém trzymając za rękę. Trotoarów jeszcze w Wilnie nie było, a ruch sanek na ulicy był wielki. Czuwałem więc troskliwie nad malcem, a i to mi tég może nieco piérwsze względy

matki zjednało. Zaprosiła mnie bym wstąpił do nich, bo chciałem pożegnać u progu. I tu dopiero zaczął się właściwie pierwszy stosunek mój z panienkami, gdy pani B. wyszła na chwilę, a ja sam z niemi zostałem w salonie. Przez drogę ochłonałem już był z pierwszego wrażenia i wróciłem do równowagi. Rozmowa o ich wuju, a moim koledze, postawiła nas jakoś na równym poziomie; widok ślicznych panienek, jak zwykle, ożywiał mię i zachwycił; tak, że od razu jakoś weszliśmy w dobrą komitywę. Dalszy stosunek mój z niemi przechodził też same prawie koleje co z matką. Z początku bawił je pewnie wyrostek, nie obyty ze światem, ale wielbiciel i entuzyasta. A wreszcie może i tytuł poety nie był też w tém bez pewnego znaczenia. Dosyć, że wkrótce obie zajęły się niejako kształceniem mnie pod względem światowym. Panna Hersylia oduczala od komplementów, odgadując i kończąc je za mnie; albo też naśladowując żartem ton mojego głosu, dawała mi zlekka poczuć niewłaściwość uniesień w rozmowie, do których w towarzystwach koleżeńskich nawykłem. Panna Alexandra ze swojej strony zwracała szczególniej bacność na moje ułożenie i znajdowanie się w salonie, a nawet i na toaletę. Raz naprzykład ułożyła mi sama włosy przed zwierciadłem, twierdząc, że mi tak najlepiej do twarzy; i odtąd je całe życie tak noszę. Wspominam te drobiazgi dla tego, że charakteryzują one najlepiej ten właśnie rodzaj stosunku, jaki się najprzód między nami związał; ale i on też z biegiem czasu zamienił się z obu stron w prawdziwą braterską przyjaźń, dotrwał wiernie do śmierci ich obu, i pamięć ich czyni mi świętą. Nie myślę opowiadać szczegółów tych prze-

mian, które były zarazem szczeblami wewnętrznego kształcenia się mojego, na które i one, wraz z matką, wpływ największy i stanowczy w pierwszej mojej młodości wywarły. Wspomnę jednakże nieco o składzie ich domu, nie tyle ze względu na siebie, co raczej ze względu na Julka, z którego wyrósł z czasem Julusz Słowacki—a co już przez to samo do programu tych moich opowiadań należy.

Sam pan Becu, professor patologii w uniwersytecie Wileńskim, człowiek gładki, światowiec i dworak z natury, żył chętniej w wyższym towarzystwie światowém, niż w gronie professorskich kolegów; z wyjątkiem wszakże domu obu Śniadeckich, z którymi ścisła łączyła go przyjaźń. Dom też jego nastrojony był raczej na elegancki ton wyższego świata. Córkom dał wychowanie umysłowe świetne, a że sam wielki znawca i lubownik muzyki, talent do niej i głos śliczny z natury, w obiedwóch do artyzmu prawie rozwinał. W obejściu z młodzieżą, która u nich bywała, a której wybór żonie wyłącznie zostawiał, był on zawsze tylko obojętnie grzecznym, i wieczorami, gdy nikogo ze starszych nie było, rzadko bardzo, a raczej prawie nigdy, do salonu na herbatę nie wchodził, przepędzając je zwykle w gabinecie swoim tuż obok, na czytaniu gazet lub książek, albo też na pisaniu listów. Czasem tylko, gdy córki śpiewały czy grały, przychodził w okularach do progu, zatrzymywał się we drzwiach i słuchał; niekiedy pochwalił lub zganił, i znowu poracał do siebie. W ogólności był dla nich dobrym troskliwym ojcem, i one go passyami kochały. Nie idziałem jednakże nigdy, aby czy to córki, czy Julka, edykolwiek po ojcowsku popieścił. Względem żony

był również uprzejmy i grzeczny, ale zawsze tylko w granicach przyzwoitości salonowej. Na mnie zdawał się być dość łaskaw, a córki mi mówiły, że był nim w istocie, i że nie miał nic przeciw temu, iż stałem się powoli codziennym prawie ich gościem.

Tu przychodzi mi na myśl jedno wspomnienie, które, jakkolwiek drobne, może uwydatnić niejako charakter tego stosunku, i dla tego śmiem je przytoczyć. Obie panienki, jak już powiedziałem, grały i śpiewały prześlicznie, ja zaś admirując je zawsze *in petto*, pozwalałem sobie niekiedy głośno też sąd mój i uwielbienie jakby tonem znawcy wyrażać. Panienki wiedziały dobrze, że nie miałem do tego prawa; ale chciały wszakże doświadczyć, czy choć ton fałszywy przynajmniej poczuć i rozróżnić potrafię—i uknuły plan mego zawstyżenia. Powiódłby się niewątpliwie, niestety, gdyby nie litość samej pani Becu, która mię o nim ostrzegła, i wymyśliła sposób zniweczenia jego. W dniu więc tej próby, gdy już panienki do fortepianu odeszły, dała mi w rękę jeden koniec sznurka, który sama trzymała za drugi. Każde jego targnięcie miało mię ostrzedz o fałszywym tonie, który miał być brany umyślnie. Za pierwszym razem zatem, wykrzyknąłem „A!!!“—za drugim, jeszcze głośniej; za trzecim zaś czy za którymś, wykrzyknik mój znalazł wtór niespodziewany, który podstęp ukarał za mnie. Sam pan Becu, rażony widać tego rodzaju muzyką, wybiegł nagle ze swego gabinetu, w szlafroku i w pantoflach, z xiążką w rękę i w okularach na nosie, i zjawiwszy się w progu salonu, zawołał wpół z podziwem, wpół z gniewem: „Co wam się stało? Po jakiemu wy gracie?“—Panienki się skonfundowały, nie śmiejąc wy-

jawie prawdy; a ja jużciż tryumfowałem;—aż dopiero sam dobrowolnie, przy wyjściu, powód tego tryumfu odkryłem.

A miałem téż prawdziwe szczęście zjednać żywą i uprzejmą życzliwość dwóch innych osób w tym domu, które w nim, w braku obcych gości, codziennie zwykle wieczorne towarzystwo składały. Byli to: brat samej pani, Teofil Januszewski, i ówczesny guwerner Julka, p. Hipolit Błotnicki. Pierwszy mieszkał osobno w mieście, jako amator poświęcał się malarstwu, i zakochany był w pannie Hersylii, z którą się téż nakoniec w lat kilka potem ożenił. Był to człowiek niezmiernie miły i dobry, z usposobienia podobny do siostry: pełen prostoty, otwarty, łagodny; przejmujący się łatwo i żywo każdym pięknym, szlachetnym uczuciem, i lubiący zarazem zastanawiać się nad niem psychicznie; co często było powodem do żywych rozpraw czy dysput, w których wszyscy braliśmy udział. Pan Hipolit Błotnicki, uczony literat, tłumacz z oryginału sławnej powieści Goldszmidta „*Vicaire of Wakefield*,” odznaczał się spokojem i rozważą w rozmowie, a zdania jego zawsze wyważone i ściśle określone, w przedmiotach zwłaszcza naukowych, były zwykle wyrocznią i nauką dla wszystkich. A i on téż, jako prawdziwy Mentor, zdawał się mieć w nich zawsze na względzie obecność swojego ucznia, Julka, który ten tylko czas przy herbacie w salonie z matką i siostrami przebywał, i zaraz po niej do pokoju swego odchodził. Nie ma zda się potrzeby mówić, jak tego rodzaju rozmowy musiały i mogły wpływać na umysły młodych słuchaczy. Julek natenczas jeszcze nie brał w nich udziału, ale z jego błyszczących oczu, z wyrazistój i ruchliwój twarzyczki

znać było, jak wszystko co słyszy, rozważa, i czy to w myśli swojej potwierdza, czy przeczy. W ogólności póki był pod opieką p. Błotnickiego, nie zauważyłem w nim nigdy owego pierwiastku pychy, który potem coraz to częściej na jaw wychodzić zaczynał, wyrażając się już to głośnym sarkazmem, już ironicznym tylko uśmiechem na ustach. Bolało to zawsze matkę, tém bardziej, że nigdy cienia nawet ironii i pychy w sercu jój i usposobieniu nie było. Miało to być w nim podobno, jak mówiono, spuścizną po charakterze ojca, tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginacją, i w ogólności usposobienie poetyczne—z wyjątkiem wszakże kochającego jój serca i zapominania o sobie.

Brak ten już od dzieciństwa czuć w nim zawsze było, przy najszlachetniejszych zresztą uczuciach i zdolnościach nad lata. Osobisty mój z nim stosunek był zawsze na najlepszej stopie. Widziałem w nim i lubiłem syna jego matki, chociaż wprost dla niego samego nigdy wielkiej sympatii nie czułem, podobnie jak do panny Ludwiki Śniadeckiej; on zaś w przedstawianiu z obojętnymi nie dopuszczał się nigdy nic takiego, coby ich dotknąć lub zniechęcić mogło. Przywilej ten zachowywał on wyłącznie dla tych, z którymi albo żyć musiał w blizkich obowiązkowych stosunkach, albo o których wiedział, że go mocno i serdecznie kochali. I nie można téż wcale powiedzieć, żeby on ich wzajemnie kochał; tylko że zawsze kochał po swojemu. W ogólności był w nim jakiś osobliwszy pierwiastek, może nawet niezależny od woli, który wybitną cechę temperamentu jego stanowił. Zdawałoby się że nie mógł znieść długo jednostajnego, spokojnego, choćby

najmilszego stosunku; tak go lubił sam dobrowolnie, bez żadnej ku temu przyczyny i bez żadnego w tém celu zamącać. Celem chyba było może dla niego, ale i to chyba bezwiednie, że poczuwszy się wręście do winy, (co zwykle następowało, gdy już widział, że dobrze dokuczył), stawał się lepszym w sobie i tkliwszym dla tych samych, w których udręczaniu przed chwilą zdawał się znajdować przyjemność. Bywało tak nieraz i z matką, która w nim tylko i dla niego żyła; ale ja to widziałem najczęściej w stosunku jego z przybranymi siostrami, z kochającym go szczerze Ludwikiem Spitznaglem, i nakoniec z Józefem Massalskim, który przy nim w r. 1822 miejsce pana Błotnickiego zastąpił. Obie panienki kochały matkę jego jak własną, bo i ona była też dla nich jak prawdziwa matka rodzona. Julka przetoż pieściły także, jak własnego młodszego braciszka, a i on niemniej szczerze przywiązanym był do nich. A przecież, ileż to razy widziałem je zalane łzami, gdy im Julek do żywego dokuczył, pewny, że się nie poskarżą przed matką, ażeby jej przez to nie zmartwić. Zwyczajnym w takich razach pośrednikiem lub sędzią pomiędzy nimi bywał wujaszek jego p. Teofil, który znał go także na wylot i umiał z nim sobie poradzić; ale co biedny Massalski to formalnie nieraz w głowę zachodził. Nazywał go też żartem „*mon petit diabolin*,” a na seryo, mówiąc z przyjaciółmi, przyrównywał go do owego karła w poemacie Waltera Skotta „*The lay of the last Min-ll*“ (Pieśń Ostatniego Minstrela), który znajdował kosz w dokuczaniu drugim. W Listach moich z Poży, przytoczyłem o nim jedno zdarzenie, które, acz

drobne na pozór, może jednak dostarczyć niejako klucza do rozwiązania téj dziwnéj rzeczywiście zagadki jego charakteru. Powtórzę tu je więc dla tych, którzy tamtego opowiadania nie znają.

Na początku 1829 r., mając zapowiedziany przyjazd Julka do Warszawy, wynalazłem dlań mieszkanie *gratis* u przyjaciela i dawnego mego kolegi, Tadeusza Hrehorowicza, u którego już przedtém pomieszczałem w tenże sposób Korsaka, gdy do mnie w odwiedzinę przyjeżdżał. Gość i gospodarz żyli z sobą w najlepszej komitymie, choć pierwszy lubił nieraz przekomarzać się drugiemu, z powodu czułości jego sentymentalności. Na wiosnę, gdy już róże kwitnąć zaczynały, Hrehorowicz wraca do domu trzymając jedną z nich w rękę, i od progu do Julka, który coś czytał leżąc na kanapie, woła z uniesieniem radośnym: „Patrz, Julku, jaką śliczną mam różę!“ Na te słowa leżący zrywa się z kanapy; wyrwał mu z ręki różę, potargał, i rzucił na ziemię.

Dla człowieka mniej łagodnego niż nim był Hrehorowicz, fakt taki stałby się łatwo sprawiedliwym powodem obrazy. Ale on się tylko zadziwił, i odezwał się ze wzruszeniem: „Julku! za co ty mi sprawiłeś tę przykrość?“—Julek jakby się opamiętał w téj chwili; rzucił mu się na szyję, zaczął go całować i ścisnąć, sam przytém mając łzy w oczach. Przyczyny jednak faktu nie wyjaśnił, i pewnie sam przed sobą nie umiałby z niego zdać sprawy. Był to jak gdyby instynktowy popęd owego jakiegoś pierwiastku, który się w nim od dzieciństwa objawiał, a i w dalszych stosunkach z ludźmi zawsze jakąś rolę odegrał. Ale skoro ów paroxyzm przeminął, był to znów miły, żywy,

wesoły i dowcipny chłopczyk, z którym nawet już wtedy można było z przyjemnością pogadać, dopóki go znów jakaś mucha nie ukłóła. W oderwanych także uczuciach i wyobrażeniach moralnych, był on zawsze czystym, prawym, szlachetnym, a mianowicie nigdy pospolitym. Wobec jednej tylko panny Ludwiki Śniadeckiej, którą adorował od dziecka, był zawsze jednostajnie słodkim i uległym; może iż czuł w niej właśnie ten sam pierwiastek co w sobie, którego bał się podrażnić; czyli, jak mówi przysłowie, że trafiła kosa na kamień. A jednak i ta sama panna Ludwika, która zawsze brała jego obronę, gdy się jój raz formalnie jak dojrzały kawaler, jadąc obok niój konno, oświadczył, musiała przyznać przed siostrą, że pycha w nim była nad lata.

W takim to domu i w takiem otoczeniu przebywszy jak gość codzienny kilka lat najpiérwszój młodości, i świadom zbawiennych wpływów, jakie ztąd na mnie pod każdym względem splynęły: nie dziw, że i przez całe życie i nad grobem z taką je czcią i wdzięcznością wspominam. Wdzięczność wszakże, właściwie mówiąc, należy się najwięcej samój pani domu. Macierzyńska jój dla mnie dobroć, i ośmielona przez to ufność moja ku niój, uczyniły ją powiernicą wszystkich moich wyobrażeń, wrażeń i nawet marzeń, a światło jój i doświadczenie były mi we wszystkiem i zawsze skuteczną przestrogą lub radą. A rozciągało się to nawet i do wierszy, które jój, przed poznaniem Adama, najpiérwój zwykle czytałem. W oddaleniu już nawet, gdy się z Wilna do Warszawy na stały pobyt przeniosłem, troskliwa jój opieka nie przestała czuwać nade mną. W listach zdawałem jój

sprawę ze wszystkich moich nowych zajęć i stosunków, a nawzajem, dzięki jój listom, byłem zawsze jak obecny w jój gronie. Niektóre z nich miawały niekiedy po kilka pól arkuszy objętości, będąc pisane nie od razu, ale sposobem dyaryuszowym, nim się sposobność przesłania takich foliałów znalazła. Nie wszystko téż było pióra jój samój. Przypisywały się panienki, kiedy im przyszła ochota; a i wspólni dobrzy znajomi, gdy do niój przychodzili z wizytą, wzywani nieraz byli do przypisków. Część znaczną owych listów odzyskałem dziwnym jakimś i dotąd mi niewiadomym sposobem. Przed laty trzydziestu odesłano mi je z wielu innymi z Warszawy do Wilna; ale kto odesłał? nic nie wiem. Zapewne przywłaszczyciel innych, jak np. listów Mickiewicza, pisanych podczas jego pobytu w Rossyi, i książek, które ja przed wyjazdem z Warszawy za granicę w r. 1829, zostawiłem u Waleryana Krasińskiego, a on wyjeżdżając z kolei, nie wiem u kogo zostawił. Skarb ten atoli dziś dla mnie jest skarbem prawdziwie zaklętym. Ile razy chcę je odczytać, tyle zaraz i takich spotykam w nich wspomnień, że się oczom zaćmiewają litery; a i w téj nawet chwili gdy to piszę, liter suchém okiem nie widzę.

„Nessun maggior dolore, che ricordarsi

Del tempo felice“ — powiedział Dante. Ale jakżeby smutne było życie człowieka, gdyby spojrzawszy w nie wstecz z po nad grobu, nie miał o czém przypomnieć z żalem!

Ostatni raz po rozstaniu się w Wilnie w r. 1826 widziałem panią Becu w Marienbadzie, gdzieśmy j odwiedzili z Adamem, w podróży z Karlsbadu a Weimaru, (1829).

Ale żebyś się nie dziwiła, siostrzyczko, że wspomniawszy tu jednocześnie i na równi z nią o pani Balińskiej, dalszą mowę o téj ostatniej do późniejszych opowiadań odkładam: czuję się w obowiązku powiedzieć, że właściwa przyjaźń moja z panią Balińską, będąca zawsze dla mnie zaszczytem i chlubą, a świętością po niedawnym jéj zgonie, zaczęła się dopiero we dwadzieścia lat później, gdyśmy z nią sami już prawie w Wilnie z dawnego niegdyś otoczenia naszego zostali. W czasie, o którym tu mowa, towarzystwo jéj tylko dla mnie było zawsze nadzwyczaj miłym i uroczym, co zresztą czuli ci wszyscy, którzy z niego mogli korzystać. Ignacy Domejko powiadał o jéj rozmowie, „że jest to eter, zdolny nawet ocucić z letargu.“ Gdy zaś wspólny przyjaciel, Puttkamer, chciał go z panną Ludwiką poswatać, on po piérwszój wizycie w tym celu, podziękował mu za tę łaskę. Ale pani Balińska, nowozaślubiona naówczas, nie mieszkała w mieście, lecz w majątku męzowskim pod Wilnem, (Jaszuny), z kądem często, lecz jak gość tylko, przyjeżdżała do domu rodziców. Ja téż wtedy bywałem w nim tylko jako *satelles* rodziny państwa Bekich. Śniadeccy byli zbyt wysoko dla mnie, abym śmiał ich sam przez się odwiedzać; do odwiedzań zaś panny Ludwiki wcale mię nie brała ochota. Nie pisząc tu jéj biografii, nie mam potrzeby tłumaczyć się: dla czego? Być może, iż właśnie dla tego, co w niéj może najwięcej podobało się Julkowi; co w nich może było wspólnego, a co dla mnie i w Julku nie było powabnym: zimna egoistyczna postać i ciągle Byroniczne pozowanie na efekt. Nie zanawiałem się wtedy nad tém, bo mnie to nie obchodziło bynajmniej. Towarzystwo przyjaciół kolegów

i dom pani Becu wystarczały mi zupełnie do szczęścia. Wzdychałem tylko jeszcze do poznania Adama, a i to miało nastąpić niebawem.

Na drugi dzień Zielonych Świątek, (w Maju 1821), gotowała się wielka filarecka feta. Wszyscy chcieli okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla Tego, który wszystkich w jedność połączył. Za godło tego hołdu uchwalono pierścień złoty z napisem: „Przyjaźń zasłudze,“ a wręczycielem jego w imieniu wszystkich miał być właśnie Adam, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd. Wszyscy przeto z bijącym sercem oczekiwaliśmy Zesłania Ducha Świętego. Dla mnie jeszcze i z innych względów dzień ten był uroczystszy niż kiedy. W sobotę przyjechali moi rodzice, raz pierwszy od pobytu mojego w Wilnie, aby ze mną święta przepędzić. Na pierwszy dzień panie Becu wybierały się do spowiedzi. Naśladowałem ich przykład, i komunię świętą przyjęliśmy razem. Po nabożeństwie byłem u Czczota, i chociaż więcej może posłyszałem przestrog i napomnień niż nawet u konfessyonału: obiecał jednakże w końcu, że mnie sam jutro Adamowi przedstawi.

W dniu tym, o godzinie 9 rano, wszystkie grona zebrały się w kościele Świętego Jana na mszę, którą celebrował X. Lwowicz. Muzycy nasi, z pomocą Borowskiego i Karszmidta, i z chórem, z naszych śpiewaków i z uczennic Zana złożonym, wykonali muzykę mszalną. O czwartej po południu wszyscy już mieli się zebrać w miejscu wskazaném za miastem. My błękitni szliśmy gromadnie, a Frejent nam przygrywał na flecie. Miejsce to było za Markuciami w górach, gdzie się odbyła niegdyś pierwsza majówka *Promienistych*. Podłużny, prostokątny, śliczny gajk brzożowy

śród pola, stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarosłe służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczwowiska Cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkim i czarnych wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych, również jak mleko, z pobliskich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospodarze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie materyalną częścią biesiady; atoli część jej duchowa była główną dla wszystkich. O czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu, i tylko na Adama czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniiej, nie mógł przyjechać piérwój jak o czwartej. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto ztamtąd przywieźć na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie, i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzełiśmy wnet drażki pędzące czwałem, i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu, na znak że wiezie požądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Drażki zatrzymały się u stóp pochyłości, i obaj przybyli, bez drogi, wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma. Adam machał czapką w powietrzu, na znak powitania; ale choć już był blisko, i chociaż wzrok wyteżam, twarzy jego z góry dojrzyć nie mogłem. Czeczot zyjął go piérwszy w objęcia, i długo ściskali się wzajem. Z kolei dawni znajomi witali go niemniej rdecznie. Ja najmłodszy i nieznajomy stałem na

stronie i byłem ostatni, którego mu Czczot przedstawił. Rzucił na mnie wzrok przenikliwy, ale wnet uśmiechnawszy się łagodnie, zwrócił się do Czczota i spytał: „Czy to jest Beniaminek-Telemak?“ a gdy Czczot śmiejąc się potwierdził, podał mi uprzejmie rękę, i także z uśmiechem zapytał: „A Mentor czy zawsze tak gderze?“ Nie odpowiedziałem ani słowa, tak byłem strasznie zmieszany i tak mnie wzrok jego przeniknął.

Są rzeczy, droga siostrzyczko, które tak się nie kwalifikują do prozy, jak niektóre inne do poezji. Do takich należy wrażenie, które na mnie widok jego uczynił, i w ogólności każde żywsze uczucie serca, czy się zwać będzie miłością, czy przyjaźnią. W obu razach mówić o niém przed obcymi na zimno, niepodobna; gorzej jeszcze, chcieć je w słowach malować; a zaś może najgorzej, gdy przedmiot tego uczucia stoi tak wysoko, że mówiąc choćby tylko o uwielbieniu dla niego, jeszcze się można spotkać z posądzeniem, że się to czyni dla chwały swój własnej. Ze wszystkich tedy tych względów, siostrzyczko, odstępuję w tym razie od metody, którą zachowywałem dotąd w opowiadaniach niniejszych, mówiąc szerzej o początku i rozwijaniu się stosunków z innymi moimi przyjaciółmi. Że jednak i w tym razie trzeba przecież coś o tém powiedzieć, wolę posłużyć się wyjątkiem z własnego mego wiersza, który niegdys z okoliczności czasowej, i w tym przedmiocie wyłącznie, napisałem przed 50 laty w Dreźnie, do wspólnego przyjaciela naszego, Antoniego Goreckiego, a który to wiersz, z różnych powodów, po śmierci mojej dopiero w całości chyba kiedyś ogłoszony będzie. Tytuł jego jest: „*Mój Płaszcz*,“

a wyjątki, które zamierzam przytoczyć, obejmują w streszczeniu peryod stosunku od pierwszej chwili poznania do wyjazdu Adama z Wilna w r. 1824. Oto jest sam początek i wyjątki:

Śmieją się z płaszcza mojego i ze mnie,
 Czemu jaskrawej barwy nie pociemnię,
 Czemu go skroić nie dam po nowemu?
 Czemu?—bo nie chcę;—tak mówię każdemu.
 Lecz ty przyjaciel, poeta!—ty zwłaszcza
 Coś pisał wiersze do swojego płaszcza,
 I gdy się moim z hiszpańska obwinę,
 Znajdujesz we mnie „poetycką minę;“
 Ty chcesz znać jego tajemne zalety.
 Powiem—lecz słuchaj uczuciem poety,
 Patrz z jego wiarą!—przed której oczyma,
 Proch ziemi świętej, z biednych szat pielgrzyma,
 Przed blaskiem słońca otrząśniony, zdoła
 Promienistego przybrać kształt anioła.

Wiész ty ten dywan czarnoxięzkiej mocy,
 Co w snach rozkosznych, długich, wschodnich nocy,
 Młodą myśl naszą, jak maleńkie dziecię
 Kołysząc, nosił po nieznanym świecie?

Wiész ty to w baśniach uroczę zwierciadło,
 Co gdy je serca uczucie zagadło,
 Wnet w niém, jak z góry, w otehlaniach przezroczy
 Luba się postać jawiła przed oczy?

Owóż ten płaszcz mój dla mojego serca,
 Mam moc zwierciadła tego i kobierca.
 Kiedy nań patrzę, zda się, że obleka
 Kształt najmilszego mi w życiu człowieka;
 Kiedy go wdzieję, myśl moja ulata
 Po różnych stronach zwiedzonego świata!...

Cóż to? poeta! Wzrok twój nie dowierza?
 Spytaj więc myślą młodego rycerza,
 Gdy przywdział dawną bohatera zbroję;
 Spytaj kochanka, gdy przez ramię swoje,
 Daleki, szarą kochanki przewiesi.
 Spytaj!—odpowiedź niewiarę zawstydzi—
 Czy się duch w obu płomieniem nie wskrzesi,
 Czy ten kochanki, ten bitwy nie widzi?

Lecz płaszcz mój? spytasz.—Równe ma zalety.
 Krył on pierś niegdyś wielkiego poety,
 Pierś gorejącą jak krzak na Synai,
 W którym się Bóstwo objawia i tai.

W nim on, współpielgrzym w poetyckiej ziemi,
 Szedł, czuł i myślał przed oczyma memi.
 Czcilem go nieraz jak ów płaszcz proroka,
 Gdym drżał przed słowem natchnioném z wysoka.
 Aż on sam wreście, przed smutném rozstaniem,
 Z ostatniém słowem i pocałowaniem,
 W uścisku bratnim okrył nim me ramie...

Zgadłeś!—w twych oczach lśni myśl o Adamie.—
 O! ty go kochasz!—

Pomnę ja dzień owy,
 Gdy go od swoich brano na rozstanie.
 Czekały straże, wóz już stał gotowy,
 On ze mną poszedł na twe pożegnanie.—
 Wtedy żal pierwszy dumne serce przemógł,
 Widział lzy nasze—i swych ukryć nie mógł.
 A chęć ofiary twój wonczas, i słowa,
 Jak skarb on dotąd wdzięcznie w duszy chowa.

Ty znasz tę duszę, ten jój niepojęty
 Urok, co zda się tajemnem pęty,
 Ciągnie jak przepaść;—znasz to smutne oko,
 Co gdy się w tobie zaduma głęboko,

Tonie w twój duszy jak perła wśród fali,
 Albo się nad nią jak meteor pali,
 Aż zadrzeć musisz, abyś wśród jej ciemnie
 Sam jakich strasznych nie dojrzał tajemnie;
 A w nim—jak gdybyś czuł ducha przez ciało!

Ach! ty wiesz, jak go me serce kochało,
 Czém on był dla mnie!—

I nie traf to zdarzył.

Dzieckiem ja w myślach miałem objawienie,
 Czarny, wysoki człowiek mi się marzył,
 I patrzył we mnie;—czułem to spójrzenie.
 Gdy co źle zrobił, czułem, że on wiedział,
 I gdy się łzami pokuty zalewał,
 Nie śmiałem mówić—nigdy nie powiedział,
 Że się mój czarny człowiek we mnie gniewał.
 Lecz gdy się we dnie modlił, uczył, czytał,
 On—ta nadzieja była mi podniętą—
 Przychodził we snach, i mówił gdym spytał:
 „Módl się, ucz, kochaj! możesz być poetą.“
 Sen mara! wiem to;—lecz w Bogu opieka!
 A biada duszy, jeśli zwątpi sama!—
 Szukałem w życiu mojego człowieka—
 Wierzysz?—ten człowiek miał oczy Adama!
 Może błąd?—może!—nie żądam odkrycia,
 Straszno jest zgłębiać tajemnice życia.
 Dość, że sam wierzę;—bo i cóżby znaczył
 Ten święty przestach, kiedy go zobaczył?
 Blask jego sławy był jeszcze przed wschodem,
 Wietrzno mi jeszcze było w sercu młodém;
 Tłum nas był razem na biesiadzie bratniej—
 On przybył z Kowna, i przyszedł ostatni.

Pomnę tę chwilę pierwszego poznania.
 Był to dzień Ducha Świętego Zesłania.
 Pomnę, jak wiarą dziecinną przejęty,
 W kościele zrana, w pokorze i skrusze,
 Śmiałem się modlić, aby jak Duch Święty,
 Ogień natchnienia zstąpił na ~~nią~~ duszę.

Byłem wysłuchan?—Zuchwałę poczucie!
 Lecz gdy go ujrzał—z pod posępnych powiek
 W pierwszym wnet na mnie oka jego rzucie,
 Ranna modlitwa i mój senny człowiek
 Na myśl mi przyszły;—mimowolne drżenie,
 Jak dreszcz gorączki po członkach mi przeszło;
 Spuściłem oczy—a jego spójrzanie
 Jak smug mgły zimnej w pierś mą zda się weszło.
 Przemówił—słowa nie rzekłem wzajemnie.
 Gwar wszystkich myśli nagle umilkł we mnie,
 Jak głos skowronków przypadłych do ziemi,
 Kiedy cień orła przelata nad niemi.

Długo tak było;—młodzi rowiennicy
 Śmiejąc się, z mego żartowali sromu.
 Jam nieraz chodził po jego ulicy,
 I patrząc w okna, nie śmiał wejść do domu.
 Lecz on mnie odgadł:—wszędzie pierwszy witał,
 Nigdy nie spotkał, by o coś nie spytał.
 Mówili drudzy—jam choć się nie chlubił,
 Ja sam też czułem, że i on mnie lubił,
 Że mnie ośmielał;—aż przyszła godzina,
 Co nowe pasmo dni moich zaczyna.

Szóstego Marca—o! któż nie pamięta
 Choćby jednego swoich wspomnień święta?—
 Przyszedłem zmierzchem—sam jeden był w domu.
 (Czas to był właśnie kiedy pisał *Dziady*,
 Lecz dotąd znane nie były nikomu).
 Przyszedłem—dumał posępny i blady.
 Blask tylko z pieca twarz jego oświecał,
 Gdy sam nie myśląc ognisko rozniecał.
 Chciałem się cofnąć—lecz skinał, by zostać.
 Nigdy twarz świętszym nie tchnęła wyrazem.
 W cieniach przed ogniem, wiotka jego postać
 W oczach mi duchów émiła się obrazem.
 Patrzałem długo, nim spójrział wzajemnie.
 Zbliżył się—ręką rozgarnął mi włosy.
 „Nie prawdaż? smutno będzie ci beze mnie?“—

Rzekł, a te słowa, jak łyzy zimnej rosy,
 W serce mi wpadły—bo zgadłem co znaczą.
 „Nie wielu po mnie tak jak ty zapłaczą,
 „Wiém.“—Słuchać dalej nie miałem już siły.
 Jam go tak kochał!—łyzy mi się rzuciły,
 I on mnie długo całował ze łzami.

Dziwna w méj duszy nastąpiła odmiana.
 Wszelka nierówność znikła między nami.
 Z nim tylko odtąd, do zmroku od rana,
 Z nim byłem tylko szczęśliwym, swobodnym,
 Natchnienie pieśni wzmogła żądza chwały,
 Nie by mu zrównać, lecz by go być godnym,
 A jego rady lot mój kierowały.

W szesnastym roku, życie jak u wschodu,
 Dusza przed światem, jak lękliwe dziecię,
 Co już na progu, we drzwiach do ogrodu,
 Wejść jeszcze nie śmie—a tam wszystko w kwiecie!...

On jak brat starszy wsparł mię swoją dłonią,
 Wiódł mnie, i kwiaty wskazywał przede mną;
 A gdym się przy nim upajał ich wonią,
 On patrząc na mnie, uśmiechał się ze mną.
 Uśmiech był smutny;—wiedział on, zbyt wczesnie,
 Co się stać musi z kwiatami i życiem,
 Lecz szczęśliwszego nie budził mię we śnie.
 Z nim kwiat mi żaden nie zwiądł przed rozwiciem.
 Z nim młodość moja, pogodna i wdzięczna,
 Przeszła jak jedna noc młodomiesięczna,
 Com z nim w Kowieńskiej przepędził dolinie.
 Niebiosa w gwiazdach, w kwiatach smug był cały,
 Zdrój szumiał w głębi, słowik brzmiał w gęstwinie,
 Wszystko mniej piękne, cienie zakrywały;
 Ja, choć iść było nad przepaścią ciemną,
 Szedłem nie myśląc—bo On szedł przede mną...

A teraz wracam, siostrzyczko, do chwili, na której to opowiadanie przerwałem—do biesiady w gaju brzo-zowym. Pan Tomasz, równie jak Czeczot, długo ścis-kali się z Adamem, wśród koła otaczających kole-gów. Nastąpiło wręczenie pierścienia. Adam przemó-wił z natchnienia, ale prozą, wymieniając nie szereg zasług, ale naturę wpływu Zana na braci, i spodzie-wane ztąd na przyszłość owoce. Zaszczyt wyboru sie-bie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo o tém, jak on go szczerze i ser-decznie kocha. Po pierwszych chwilach ogólnego wzru-szenia, Kułakowski wystąpił z wieniec z liści dębo-wych, i chcąc go niby włożyć na skronie jubilata, obyczajem trefnisia przy tryumfalnych niegdyś obcho-dach w Rzymie, w wesołym żartobliwym jambie wy-liczył cały szereg wad jego: zbytęzną pobłażliwość i słabość dla drugich; niepoznanie wartości własnej; i t. p. Ofiarował zaś wieniec w tym celu, aby jak Ce-zar łysinę, pokrył nim słuszny wstyd za nie. Jamb ten dał hasło wesołości ogólnej, manifestującej się w różny sposób, przy odgłosie choralnych pieśni i akompaniamencie fletu Frejenta, który w końcu zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przez lasy po xiężycu wracali do miasta.

Nie mam zda się potrzeby dodawać, że dla mnie— a i nie tylko dla mnie, lecz i dla wszystkich młodszych błękitnych kolegów, którzy go dotąd tylko z poezyi znali,—Adam był jakby słońcem biesiady, ku któ-remu grawitowali wszyscy. Przedstawiono mu téz ich po kolei, a mnie Czeczot kazał przed nim po-wtórzyć téz wiersze, które rok temu raz pierwszy, w tém samym prawie miejscu, przed nim samym de-klamowałem. Były to wszystko jeszcze elukubracye

Boruńskie, i jużciż jako takie nie zostały osądzone surowo. Adam owszem rozpytywał mnie czego się uczę, i mianowicie zachęcał do uczenia się po łacinie, kiedy już nie mogę po grecku, i do wczytywania się w Kochanowskich i Trembeckiego, aby na nich styl i język wykształcić.—Zresztą przez cały ten czas pobytu jego w Wilnie, (który trwał tylko do Niedzieli), chociaż go widywałem codziennie, nie przypominam sobie nic takiego, coby zasługiwało na szczególną wzmiankę. Ogólne tylko wrażenie pozostało takie, iż ujęty jego dobrocią, pokochałem go osobiście, serdecznie, i że odtąd w marzeniach i myślach moich, stał się on dla mnie prawdziwie człowiekiem przeznaczenia, jakim w istocie na całe życie pozostał.

To téż gdy po wakacyach we Wrześniu przybyłem na powrót do Wilna, a on już mieszkał z Czeczotem, mając całoroczny urlop dla zdrowia: nie dziw, że korzystając z przywilejów Telemaka, a z łaski i względów Mentora, starałem się być jak najczęstszym ich gościem, a nieraz i nocleżnikiem na wązkiej i twardej kanapie, aż zamieszkałem całkiem w celi tuż obok, z kolegą Ptaszyńskim, i nastąpił nakoniec ów szósty dzień Marca, o którym w wierszu jest mowa.

Szcześliwszego ode mnie w całym tym roku szkolnym, trudnoby może było znaleźć wtedy na świecie. Śród tylu, takich, i tak kochanych, nie było ani jednego człowieka, którego bym nie lubił, o którymby myśl lub wspomnienie było chmurką na błękitcie mych urzeń; a zaś z dawniej ukochanych od dziecka, ani jeden był jeszcze nie ubył. Na domiar wręście ary tych upojeń, przyszła z kolei i poezya, i pierwszy świt sławy autorskiej.

Po kilku pierwszych podskokach Pegaza, połączanego bodźcem Borowskiego, i po usłyszeniu pierwszych poezji Adama, Muza moja tak się jakoś była zalekła; tak czuła się upokorzona przez same te nawet pochwały, które jej odznaczenie Borowskiego zjednało; że zamiast piąć się na publiczną estradę, cofnęła się owszem i zamilkła. Postrzegłem w sobie tyle niedostatków, że postanowiłem je najprzód zapełnić; a chociaż może większa część dobrych chęci w tym względzie odpadła do kategorii owych, któremi, według przysłowia, „piekło brukowane;“ zawsze przecięż gorliwsze uczenie się po niemiecku i pierwsze syllabizowanie po angielsku, obok czytania i lekcji uniwersyteckich, nie zostawiały czasu na pisanie wierszy, zwłaszcza, że jużciż każdą wolną chwilę wołałem raczej poświęcić na czerpanie poezji żywej: w towarzystwie kolegów, lub w domu państwa Bekich. Ale z przyjazdem Adama powróciła dawna pokusa. Pisało się więc to i owo; ale mimo *laudesów* za szczegóły, całość żadna jego sądu nie przeszła. Tymczasem między książkami profesora Spitznagla znalazł się jakiś stary exemplarz poezji niemieckich Bürgera, który mi Ludwik darował. Zabrałem się do czytania ich z dykcyonarem, choć jest to dziwnie zły przewodnik poetycznych wrażeń pomiędzy książką a czytelnikiem. Mimo to „*Dziki Myśliwiec*“ (der wilde Jäger), tak mi się niewymownie od samego początku podobał, że nie mając już cierpliwości zaglądać do dykcyonarza, przeczytałem go jednym tchem aż do końca, i chociaż ledwo piąte przez dziesięte zrozumiałem, zerwałem się do tłómaczenia początku. Alić zaledwo wytłómaczyłem strof parę, z których sam byłem nadzwyczajnie kontent; nie wiem, czy

ze wzruszenia, czy ze zbytniego nateżenia myśli, dość, że mnie porwał nagle gwałtowny ból zęba. Była już godzina dziesiąta wieczorem. Kilkanaście strof już zrozumianych tak mnie gwałtem do przekładu nęciły; tak czułem, że w téj chwili miałbym siłę po temu; że nie namyślając się długo, skoczyłem do felczera, który mieszkał w pobliżu, aby mi natychmiast ząb wyrwał. Nim się przybrał do operacyi, już strofa trzecia złożyła się w myśli; a że się operacya udała: radość z pozbycia się bólu wyraźnie widać dodała mi weny, tak, że gdy północ biła z wieży Święto-Jańskiej, już wszystkie zrozumiane wprzód strofy były gotowe w przekładzie, i zawsze z zadowoleniem tłómacza. Nie chciałem więc ustać w pół drogi; ale co począć ze strofą następną, którą już ledwo przez pół rozumiałem? Trzeba więc było znowu wziąć się do dykeyonarza. A była to istna męka Tantala. Zaledwo więc zrozumiałem tę strofę, wytłómaczyłem ją wnet piérwój, nim się wziąłem do zrozumienia następnej. I w tén sposób, strofa po strofie, przed końcem nocy byłem już prawie u końca. Reszta już widać sama złożyła się we śnie; bo gdy się obudziłem nazajutrz, tak ją zda się miałem w pamięci, że bez żadnego prawie wysilenia myśli napisałem ostatnich strof parę, jakbym je tylko przepisywał na czysto. Cała więc ta robota mogłaby literalnie nazwać się, jak to mówią: „od bolenia zębów.“ A przecież jest to kamień węgielny mego autorstwa, ha! i kto wie, siostrzyczko, czy nie symbol jego? Ale gdy go po oszlifowaniu na prędcie, tegoż dnia po południu Adamowi przyniosłem: on, wysłuchawszy bez przerwy do końca, powstał z żywością z miejsca, i ują-

wszy mnie za ramiona, z widoczném ukontentowaniem zawołał: „Teraz to już ja sam podam to do druku;“—bo dotychczas zawsze mi drukowanie odradzał, i dla tego też wszystko, co było napisane przedtém, spaliłem.

W Kwietniu 1822 „*Mysliwiec*“ wyjechał na świat w *Dzienniku Wileńskim*, w którym miesiącem już piérwej wynurzyła się była „*Świtezianka*“, która piérwsza w literaturze polskiej inaugurowała tytuł: *ballady*, i na tęczowe tonie romantyzmu, jak kochanka na fale Świtezii, czytelników wabić zaczęła. Utwór zatém Bürgera podobał się także; i gdy ze świąt Wielkanocnych powróciłem do Wilna, Adam piérwszy powitał mnie wieścią, że trąbka zakłętego Mysliwca imię moje szeroko rozgłasza. Przekonałem się o tém sam przez się z ust każdego ze spotkanych moich kolegów, i co większa, z ustek panieńskich; gdy zaś we dwa tygodnie późniéj przedrukowano go w „*Bibliotece Polskiej*“ w Warszawie, Pegaz mój kopnął z kopyta, i „hop, hop, hop!“ jak rumak w balladzie, zaczął hasać, jak nigdy dotąd ¹⁾).

¹⁾ To „hop“ jest tu umyślnie dla tego, aby mieć przez to assumpt do opowiedzenia ci choć w przypisku, siostrzyczko, drobnostki wprawdzie, ale poetyckiej, a przytém wykazującej jasno, w jaki sposób wpływ piszących współcześnie, nieraz bezwiednie oddziaływa nawzajem. Na początku 1824 r. medytując rad nie rad w Karmelickiej celi, w bardzo smutnym i przygniecionym humorze, dostałem numer „*Biblioteki Polskiej*“ Dmóchowskiego, z dumką Bohdana Zaleskiego „*O Hetmanie Kosińskim*.“ Wpływ jój na mnie był czarodziejski. Zapomniałem o celi i klauzurze, i jakbym wskoczył na koń po za siodłem Hetmana, cwałowałem z nim

Wszystkie prawie te elukubracye ówczesne weszły potem w zbiór moich ramot. Gdy zaś jedną z nich, „*Strachy*,” raz piérwszy głośnie przed Adamem czytałem, a siedzący w drugim pokoju Jeżowski, (który mieszkał téż u Czczota), parsknął od śmiechu słuchając: Adam zawsze powtarzał potem, że nikomu nie zazdrości tyle co mnie tryumfu poezyi, żem Jeżowskiego wierszami rozruszał.

Ale i poetyczna działalność samego Adama nie była

zda się po stepie. Nauczywszy się więc dumki na pamięć, posłałem ją wnet Adamowi, a potem i do innych konwentów, gdzie wszędzie równieży ożywcze wywołała wrażenie; ja zaś tegoż jeszcze wieczoru, na zebraniu kolegów-sąsiadów, przeczytałem wesolą piosnkę na tęż nutę, która się dotąd tu i ówdzie powtarza. Za poznaniem się więc z Bohdanem w Warszawie, w roku następnym, podziękowałem mu za ten obrok duchowej pociechy, którym nas wszystkich wtedy tak cudownie pokrzepił. On śmiejąc się odpowiedział mi na to iż powinienbym raczéj najpiérwéj samemu sobie dziękować. A oto jest słowo zagadki. Bohdan w téjże „*Bibliotece Polskiej*” wyczytawszy kiedyś raz piérwszy ów mój przekład „*Myśliwca*,” tak był porwany kompozycyą Bürgera, że nie mógł wybić sobie między innemi z pamięci tych wierszy:

„I hop, hop, hop, rumak skory
 Hasa, leci, śród trąb wrzawy,
 Z dolin w doły, z gór na góry,” i t. d.—

ż nakoniec, żeby się ich pozbyć z myśli, wsadził na owego umaka swojego Hetmiana w dumce, zacząwszy ją od wyryknika:

„Hop, hop, cwałem, koniu wrony!”

P. A.

téż w tym czasie beczynną. Napisał wiersz do Lelewela, z okoliczności otwarcia przezeń kursu Historji Powszechnéj w uniwersytecie Wileńskim; wykończył czwartą część *Dziadów*, i przygotowywał inne materyały do zamierzonego wydania dwóch pierwszych tomów swoich poezyi. Wydaniem tém wyłącznie zajmował się Czeczot, a mnie przybrał za adjutanta. Z polecenia więc jego udałem się do Zawadzkiego, proponując mu nabycie rękopismu na wieczność, za opłatą stu dukatów pieniędzmi i 50 exemplarzy w naturze. Zawadzki wziął rzecz do namysłu; ale po tygodniu, i po naradzeniu się zapewne z Szydłowskim, odmówił. Notabene, rękopism tomu pierwszego miał w ręku do rozpatrzenia. Natenczas postanowiono ogłosić prenumeratę, (rubla za exemplarz), która przyniosła we dwójnasób tyle, co od Zawadzkiego żądano, i własność dzieła przy autorze została.

Najcięższą i najprzykrzejszą dla niego pracą było przepisywanie rękopismu, i to nie wprost jeszcze do druku, ale dla Czeczota i dla mnie, którzy dopióro z tego przepisywaliśmy na czysto. To téż mawiał: „że z wierszami jak z dziećmi; najtrudniéj jest myć je i czesać.“ Kiedy więc przyszło z kolei do przepisywania *Grażyny*, którą przytém miał jeszcze i poprawiać, najął sobie od Kwietnia, na ostatni kwartał przed wakacyą, osobną stancyjkę, na Bernardyńskim zaułku, do której i ja się z nim dla kompanii przeniosłem. Był to dla mnie kwartał najrozkoszniejszy w całym tym roku szkolnym. Gdybym zaś miał pisać pamiętnik, a nie li tylko moje osobiste i poezyi tylko tyjące się wspomnienia, wiele byłoby do powiedzenia o świetności Wilna w ciągu téj zimy. Dla uniwersytetu atoli, a zatém i dla uczniów jego, najważniejszym

wypadkiem było przybycie Xięcia Kuratora, (Adama Czartoryskiego). Imię jego było zawsze we czci ogólnej, a do tych jego odwiedzin wiązało się wiele świętych nadziei, tak ogólnych, jak i pojedynczych osób. Między innymi, Adam i Jeżowski mieli być wysłani za granicę kosztem uniwersytetu. Przedstawiono ich obu Xięciu, a ojcowskie przyjęcie, jakiego doznali, wywarło ożywiający wpływ na całą młodzież. Niestety okoliczności następne zniweczyły te piękne nadzieje; ale wtedy cieszyliśmy się nimi wszyscy serdecznie.

Tu przychodzi mi na myśl wspomnienie, kwalifikujące się już do poetyckich, bo odnoszące się do poety, a które jakkolwiek drobne, może przecież posłużyć za wskazówkę różnicy w uczuciach i usposobieniu pomiędzy literacką młodzieżą ówczesną w Wilnie, a gdzieindziej; o czém ja sam przez siebie przekonałem się dopiero później, stawszy się mieszkańcem Warszawy.

W orszaku xięcia Kuratora był też poeta, Karol z Kalinówki (Sienkiewicz), który chociaż wychowawiec Krzemieńca, uchodził w oczach naszych za warszawskiego poetę; bo i przybył z Xięciem z Warszawy, i wiedzieliśmy, że właśnie w Warszawie drukuje się jego przekład poematu Waltera-Skotta: „*Pani Jeziora*.“ W owym czasie, gdy tłómaczenia składały główny, jeśli nie cały zasób poezji naszej, przekład poematu większych rozmiarów, sławnego naówczas autora, dokonany wprost z angielskiego oryginału, chociaż prozą tylko a nie wierszem, dawał już tłómaczowi patent na sławnego poetę, za którego Sienkiewicz uchodził w Warszawie, i w aureoli téj sławy przyjechał do nas do Wilna. Nie dziw więc, że chcie-

liśmy obaczyć go choć zdaleka, nie mniej może jak samego xięcia Kuratora. Adam poznał się z nim będąc u xięcia, i zaraz po piérwszém widzeniu, obiecał mnie i Olesiowi, że nas zaprowadzi do niego. Cieszyliśmy się na to serdecznie. Tymczasem Adam, po osobnej wizycie u niego, ani słowa już więcéj nie wspominał nam o tém. Dziwiło to nas i martwiło, aleśmy się upominać nie śmieli. Alić razu jednego, idąc z nim razem ulicą, widzimy, że jakiś pan nieznajomy, elegancko ubrany, idzie na przeciw nas bokiem, ale ujrzawszy Adama, zwraca się prosto ku niemu. Adam zawołał na nas prędko i stanowczo: „Idźcie sobie, i nie oglądajcie się!“ Poszliśmy więc, ale nie mając za sobą żadnej Eurydyki, ani się bojąc losu żony Lota, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, obejrzeliliśmy się owszem ciekawie. Adam stał i rozmawiał z tym panem. Dowiedzieliśmy się późniéj od niego, że to był właśnie Karol z Kalinówki; ale że nam i przy tém nic o wizycie do niego nie wspomniał, musieliśmy się wyrzec nadziei poznania „warszawskiego, sławnego poety.“ O przyczynie nie wiedzieliśmy zgoła. W wiele dopiéro lat późniéj, Adam powiedział mi ją w podróży, z powodu mowy o poetach i literatach warszawskich. Przyczyną zaś było to: że gdy mu Adam, za bytnością u niego, zapowiedział prezentacją dwóch swoich młodych przyjaciół, piszących wiersze: on to przyjął tak obojętnie, i tak *du haut de sa grandeur*; że Adam uczuł się tém dotknięty, i chociaż potém Sięnkiewicz sam dopominał się o nas, uparł się i postawił na swoim, że już nas nie zaprowadził do niego. Nie mówił zaś nam wtedy nic o tém dla tego, żeby nie wzbudzać w nas niemilego uczucia, którego widać sam na

sobie doświadczył. Dodać tu wszakże winienem, że gdy w lat kilka potem, razem z Julianem Korsakiem, byłem przez parę tygodni gościem w Puławach, u Xiężny Jenerałowej Ziemi Podolskich, Sieńkiewicz, który tam był bibliotekarzem, tak się okazał uprzejmym i życzliwym dla nas, że mi na zawsze mile pozostawił wspomnienie.

Wspomniawszy nawiasowo imię Juliana Korsaka, przychodzę właśnie do czasu, w którym znajomość jego i przyjaźń była dla mnie najważniejszym wypadkiem. Liczę ją do najdroższych skarbów i wspomnień mego życia. Stosunek jego ze mną, miał wiele podobieństwa do mojego z Adamem. Nikt drugi tak mnie nie kochał; ale i ja też dla nikogo drugiego nie byłem takim, jak się on sam wyrażał, „człowiekiem przeznaczenia.“ Ufam, że mię nikt przecież nie posądzi o takie głupstwo, iżbym to mówił dla jakiejś przechwałki. Nie wynikło to bowiem ani z woli mojej, ani z żadnej jakiejkolwiek wyższości; ale tak widać zrządziła Opatrzność. Sądzę nawet, że każdy człowiek w swém życiu miał kogoś takiego dla siebie, i był sam takim dla kogoś. A były w tém i okoliczności przechodzące za obręb racjonalnych przyczyn. Wykaże to opowiadanie dalsze. Ja przytoczę tu tylko słowa Kochanowskiego:

„A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, i nie zdoła nigdy *w to* ugodzić.“

Kalendarzowy rok 1822 był dla mnie w drugiej swojej połowie równie bolesnym i żalobnym, jak w pierwszej szczęśliwym i uroczym. Podczas wakacyi straciłem matkę, i przebyłem sam niebezpieczną gorącz-

kę. W skutek tego, w późnej ledwo jesieni mogłem przybyć z powrotem do Wilna, dla słuchania trzeciego kursu *utriusque Juris*; chociaż Bogiem a prawdą, z dwóch pierwszych nie zbyt wiele odniosłem korzyści. Zamieszkałem wprost u Czeczota, zastępując miejsce Adama, który już był od Września do Kowna na obowiązek powrócił. Do smutnych wspomnień przywiezionych z domu, widok opustoszałych po nim kątów, dodał taką dozę tęsknoty, że pomimo usiłowań i pracy, poskromić jój w sobie nie mogłem. Całą moją pociechą był dom pani Becu, gdzie téż najprzód poznałem Korsaka.

Przed przyjazdem jeszcze do Wilna, wiedziałem już z listów przyjaciół, że się znaleźli dwaj nowi poeci, których imiona Borowski publicznie na lekcyi wymienił. Byli to: Julian Korsak, jako tłumacz ód Horacyusza, i Józef Massalski, jako bajkopis. Byłem więc ciekawy ich poznać, i zaraz pierwszego dnia po przybyciu poznałem się z Massalskim, który od początku roku szkolnego, po odjeździe pana Błotnickiego z orszakiem xięcia Kuratora, miejsce jego przy Julku zastąpił. Starszy może o lat parę ode mnie, żywy, wesóły, dowcipny, a przytém ładny chłopiec, w całym słowa tego znaczeniu, przypadł mi on od razu do serca; chociaż stosunek z nim, zawsze najmiłszy i najlepszy, nigdy tonu głębszego uczucia ani duchowej amalgamy nie przybrał. Wstępowałem więc zwykle do niego, idąc do pani Becu wieczorem, aby razem zejść na herbatę. Raz wchodząc, widzę kogoś w mundurze uniwersyteckim, (co było rzeczą wcale niezwykłą), który, gdym wchodził, słyszałem, że coś deklamował z zapalem. Massalski swoim zwyczajem zaśmiał się

serdecznie i głośno, i wskazując na mnie zawołał: „Otóż i *lupus in fabula!*”—i następnie zwracając się ku mnie, przedstawił mi go jako Juljana Korsaka. Podobał on mi się od razu z dziwnie dobrodusznego wyrazu twarzy, i gdy go witałem serdecznie, on tak jakos nieśmiało i z takim jakby respektem zdawał się podawać mi rękę, że to na mnie zrobiło wrażenie. Podwoilem więc moję uprzejmość, a on tak przez nią zdał się być ujęty, że przy pożegnaniu, wychodząc, pocałował mnie bardzo czule, nie w twarz, ale w ramię. Była to dla mnie rzecz zupełnie nowa, i nie powiem, żeby mnie też nie ujęła nawzajem. Pokazało się, że gdym wchodził, on deklamował właśnie wyjątki z nowo-drukowanego tłumaczenia mego ballady Bürgera, p. t. „Wierność,” nad której miarą zwłaszcza się unosił. A i to także, wyznaję, pociągnęło mnie wielce ku niemu. Miara ta bowiem, a raczej kombinacya jój w strofie, (wiersza 12-sto-zgłoskowego z 9-cio-zgłoskowym), jest czysto moim wytworem. Nie przejąłem jój od nikogo, a szukając nawet potem umyślnie, nie znalazłem jój w nikim przede mną; natchnął mi ją zaś szum wiatru w lesie, gdzie właśnie zaczynałem tę balladę tłumaczyć.

Nazajutrz, ledwo wstałem, Korsak przyszedł do mnie;—i stosunek rozpoczął się na dobre, trzymany zawsze w tymże tonie z obu stron. Trwało to już z parę tygodni, gdy dnia jednego, w końcu Listopada, wieczorem, kiedy on właśnie był u mnie, otrzymałem sztafetę z domu z wiadomością, że ojciec mój zachorował nagle, i chce, żebym zaraz przyjechał. Nie było więc chwili do stracenia; a że biuro pocztowe było już zamknięte i *podorożnej* wziąć nie można było: trzeba się było udać do furmana żyda, który też w parę

godzin potem zajechał po mnie wążką, drabiastą, płócienną, to jest zwykłą żydowską budką, słomą tylko wewnątrz wysłaną. Było już po dziesiątej w nocy. Noc ciemna choć oko wykół; wiatr, chłód, ślota, jak zwykle w Listopadzie; a w perspektywie całonocna, bezsenna, siedmiomilowa podróż do Oszmiany, gdzie konie z domu miały czekać na mnie. Korsak, który był ciągle ze mną przy szukaniu i najęciu furmana, dopomógł mi wdrapać się do budki, ale zamiast się ze mną pożegnać, widzę, że i on także winduje się do niej. Wiedziałem, że mieszka po drodze; sądziłem więc, że chce tylko dojechać do siebie. Ale on mi oświadcza stanowczo, że w takiej nocy i w takim usposobieniu, jak moje, nie może mnie puszczać samego. Odbyliśmy więc razem tę podróż; a cóż za dziw, że się stała zawiązką przyjaźni, której w uczuciu mojem śmierć nawet jego zgasić nie zdołała?

Ale że napomknąłem wyżej o providencyonalnym zrządzeniu i sam śmiałem się nazwać człowiekiem przeznaczenia dla niego: korzystam tu z prawa digressyi, które z góry sobie w tych opowiadaniach zastrzegłem, aby ci opowiedzieć, siostrzyczko, odnoszące się ku temu zdarzenie, które dla mnie samego jest zawsze bardzo ważną i ciekawą zagadką w życiu, a której rozwiązać nie umiem.

W piętnaście lat od czasu, na którym opowiadanie przerywam, t. j. w roku 1837, powróciwszy z zagranicy do domu na wieś, wybrałem się wraz z żoną do domu jej brata, gdzie zebrana cała rodzina oczekiwała naszego przybycia. Liczne grono wyszło na nasze spotkanie na ganek. Łatwo pojąć, że w takiej chwili o niczem i o nikim innym myśleć nie mogłem, jakoż i nie myślałem bynajmniej.

Tymczasem w gronie spotykających postrzegam jakąś śliczną, nieznaną panienkę, i w téjże chwili głos jakiś—nie myśl moja, ale głos; głos we mnie, ale cudzy i wyraźny, jakbym go słyszał przez ucho — mówi do mnie sposobem szeptu: „To żona dla Juljana.“ Nie umiem wypowiedzieć, jak mnie ten głos przeraził i zmieszał. Słowa nie byłem w stanie przemówić. Szczęściem przypisano to memu wzruszeniu, i nikt na to nie zwrócił uwagi. Panienką tą była szesnastoletnia córka gospodarzy, Józia, którą pozostawiłem siedmioletniem dzieckiem. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, i bynajmniej nie mówiąc o głosie, słowa tylko przezeń słyszane, lecz jako wynik własnego mojego pomysłu, powtórzyłem memu szwagrowi Ignacemu Chodźce. „Gdzie tam!“ — była stanowczo przecząca odpowiedź. Ubodło to mnie jakoś, i nie umiejąc poskromić żywości, zawołałem również stanowczo: „Otóż tak będzie!“ — Chodźko parsknął od śmiechu, i odezwał się zwykłym swoim conceptowym tonem: „Cóż to? czy to ty włączając się po świecie, wyszedłeś na proroka, czy tak zgłupiałeś?“ Zacząłem się śmiać również, i wszystko w żart obróciłem. Ale wiara w głos pozostała. Dotąd od jednego tylko Adama słyszałem, że doświadczył coś podobnego, i że wszystko, co mu w ten sposób przepowiedzianem było, ziściło się zawsze co do joty, chociaż na razie żadnej rękąmi prawdopodobieństwa nie miało. Za powrotem zatem do domu, gdy mnie Korsak zaraz potem odwiedził, nie miałem nic innego, jak opowiedzieć mu wszystko, jak było.ysłuchał, ale za odpowiedź oznajmił, że już jest zaznony z kim innym, i że właśnie mówić miał o tém. smilkłem więc powtórnie—ale wiara w głos nie ustała.

W kilka miesięcy potem, gdy już mieszkałem w Wilnie, Korsak przyjechał tam umyślnie, po przyjacielskie moje błogosławieństwo, wybierając się właśnie na ślub do swojej bogdanki, o kilkadziesiąt mil od swego domu. Dałem mu krzyżyk serdecznie; a jednak wiara w głos, chociaż tajona, nie przestała trwać uporczywie we mnie, opierając się wszelkim argumentom rozumu. Jedyną jej wówczas powiernik, mieszkający obecnie w Warszawie i znajomy ci, siostrzyczko, przyjaciel mój, pan Benedykt Turski, może ci prawdę słów moich potwierdzić. Tymczasem nie upłynął miesiąc, gdy zamiast wiadomości o ślubie, odbieram doniesienie o zerwaniu zaręczyn, i to wcale nie z woli, ani ze strony Korsaka. Pisze więc, że przepowiednia moja jest dla niego jedyną pociechą; gdyż doznany bolesny zawód przypisuje nie intrygom złych ludzi, lecz niezbadanym wyrokom Opatrzności, której się przeto z ufnością powierza. Jakoż zaraz na przyszlą wiosnę pojechaliśmy z nim razem do Chodźki, mieszkającego o pół mili tylko od domu rodziców Józi, a dwutygodniowa gościna u niego, przedłużona tak z mojej wyłącznie przyczyny, miała nakoniec ten skutek, iż po usunięciu (także wyłącznie przeze mnie), niektórych przeszkód ze strony matki Juljana, w rok potem sprowadziłem go ze ślubnego kobierca, jako uszczęśliwionego małżonka kochającej żony, i przez lat kilkanaście, aż do śmierci jego, miałem pociechę oglądać niezachmurzone nigdy niczém ich pożycie.

Ale jest jeszcze i druga ważna okoliczność, że pominię mnóstwo drobniejszych, w której niemniej może dziwnym sposobem objawił się tajemniczy wpływ jakiś na jego przeznaczenie przeze mnie. Nie mogę mówić o niej bardzo szczegółowo, ale muszę jednak

powiedzieć; bo fakta tego rodzaju, wiem najprzód, że interessują Ciebie, siostrzyczko; a potem, że dla myślących ludzi dobrej wiary, mogą też mieć swój ogólny interes; jakkolwiek pozytywno-filozoficzna mądrość dziśniejsza, może je chcieć śmiesznością obrzucać.

W r. 1841, jedna z wileńskich dam wielkiego świata, dała mi do wpisania swój sztambuch, w którym znalazłem wiersze Juljana, wielce a wielce nedorzeczne, ze względu na okoliczności czasowe, ale wpisane w nim od lat już dziesięciu. Raziły mnie one od razu; ale ani mi na myśl nie przyszło, aby chcieć lub móż coś na to poradzić. Tymczasem w, przeddzień oddania sztambucha, budzi mnie w nocy ze snu, nie głos żaden tą razą, ale taki jakiś dziwny niepokój, taka myśl mimowolna i tak nieprzeparta, że po daremnych usiłowaniach ażeby ją zwalczyć, zapalam nakonie świecę, i palę na niej wiersz ten ze sztambucha wydarty. Łatwo pojąć, jak taki samowolny i ze wszech miar niegrzeszny postępek obraził sprawiedliwie właścicielkę sztambucha. Napisała też do mnie list ostry, wypowiadając mi dom swój i przyjaźń. Ale nie upłynęło tygodnia, kiedy też sama pani zjawiła się u mnie, i ze łzami wdzięczności dziękowała mi jak dobroczyńcy za zniszczenie nieszczęśliwych tych wierszy. Sztambuch albowiem, najdziwniejszym przypadkiem, wpadł w ręce, dla których nigdy przeznaczonym nie był. Było to więc rzeczywiście dobrodziejstwem dla niej, ale sto razy większém dla autora, który uniknął przez to nieochybnęj zguby.

A i w przedmiocie nawet poezji, ja to piérwszy niejako, bezwiednie i mimowolnie, skierowałem go i popchnąłem do pracy, która mu w literaturze naszéj

niepożytą zasługę i sławę przyniosła. Wracając z zagranicy, przywiozłem dlań, jako gościniec, niemiecki przekład Streckfussa, „*Bozkiej Komedyi*“ Danta. Po włosku on wtedy jeszcze nie umiał; ale ten przekład tak mu się podobał, że z niego większą część „*Piekła*“ przetłómaczył zaraz na polskie. Z tłómaczeniem tém przyjechał do mnie do Wilna; ale gdy przy wspólném czytaniu, z zaglądaniem do oryginału włoskiego, przekład z przekładu nie okazał się odpowiednim celowi: on tak już był rozmiłowany w treści poematu, że spaliwszy te piérwsze próby swego tłómaczenia, zabrał się do nauki języka włoskiego, i w ciągu lat dwunastu ciągłej, sumiennój pracy, dokonał wreszcie olbrzymiego swojego przedsięwzięcia, jakim był przekład wierszem rymowym całej *Komedyi Bozkiej*, który, rozporządzeniem ostatniej swój woli, mnie w rękopiśmie do wydania przekazał. Wydałem go w Warszawie u S. Orgelbranda, w r. 1858.

A teraz wracam znowu do przerwanego ciągu narracyi, do r. 1822.

Za powrótem moim do Wilna, gdy ojciec mój przyszedł do zdrowia, Korsak był u mnie ciągle tak codziennym gościem, jak ja w tém samym miejscu niegdyś u Adama. Pomagał mi w robieniu korekty druku poezyi jego, które właśnie były pod prassą, a którą ja prowadziłem wyłącznie, sam jój nauczywszy się piérwój od dyrektora drukarni p. Zawadzkiego. Wprowadziłem go do *Błękitnego Grona*, do domu pani Becu, i w ogólności wszędzie, gdzie sam częściej bywałem. Opieka ta i przyjaźń dla niego, zjednały mi serdeczną przychylność jego zacnych rodziców, a i samo to uczucie ich dla mnie, wyszło znowuż na

korzyść dla niego, w ten sposób, iż ojciec pozwalając mu odwiedzać mnie co rok przez trzy lata w Warszawie, otworzył mu przez to nieco więcej pola do poznania świata i ludzi, i do zabrania kilku bliższych osobistych stosunków z poetami, mieszkającymi w Warszawie, jako to: z Brodzińskim, Zaleskim i Witwickim, którzy go wszyscy szczerze polubili.

Ale i moje własne towarzysko-światowe stosunki w Wilnie zaczęły właśnie w tym czasie przybierać szersze rozmiary, i to nie z etykiety wcale lub rachuby, ale wprost za wskazówką zdarzeń. Z własnego zaś mojego doświadczenia mam to najmocniejsze przekonanie, że we wszystkich okolicznościach życia, taka tylko przewodnia jest i najlogiczniejszą, i najbezpieczniejszą.

Jak ja Adama do domu pani Becu, tak on mnie wprowadził nawzajem do domu przyjaciółki swojej, pani Wojskiej Zaleskiej, rodzonej siostry Tadeusza Matuszewicza, żony najbliższego niegdyś przyjaciela Kościuszki, który sąsiadując z nim lat kilka na wsi, po powrocie swym z Ameryki i przed wejściem na nowo do krajowej służby wojskowej, był też i żony jego przyjacielem serdecznym. Była to już sędziwa matrona, ale tak pełna jeszcze życia, rozumu, uczucia i wdzięku, a nadewszystko takiój jakiéjsz tajemniczo-uroczéj słodyczy w obejściu, że urokowi temu nikt się oprzeć nie mógł. W całym ciągu dalszego mego życia, jedną tylko spotkałem osobę, którąbym mógł z nią może pod tym względem porównać; a jest nią znajoma i tobie, siostrzyczko, i jeszcze Bogu dzięki między nami żyjąca, pani hr. Przemysławowa Potocka, z domu wieźniczka Sapieżanka. Przy pani Wojskiej natenczas

mieszkała młoda jej krewna, wnuczka w hierarchicznym porządku, ale nie rodzona: panna Flora Laskarys, ostatni szczepek po kądzieli historycznej rodziny sławnych niegdyś cesarzów greckich, a której dziad stryjecznorodzony był znakomitym kardynałem w Rzymie. O niej w tych moich wspomnieniach zamierzałem obszerniej opowiedzieć gdzieindziej, gdy właśnie doznawałem jej wpływu w najważniejszej epoce mojego życia. Ale tymczasem zaszła okoliczność, która mnie zmusza niejako przerwać znowu ciąg opowiadania i poświęcić tu jej osobny epizod; tém bardziej, że dotyczy on raczej nie mnie, lecz Adama. Okolicznością zaś tą jest, że właśnie wyszła niedawno z druku, interessująca zresztą i z talentem napisana książeczka, p. t. „*Niewieście Idealy Poetów Polskich*,” przez p. Walerego Przyborowskiego. Otóż w książeczce tej jest ustęp p. t. „*Cezarynia*,” ściągający się wyłącznie do panny Flory Laskarys, a napisany całkiem z ustnych moich opowiadań autorowi o niej. Nie mam więc bynajmniej mu za złe, że z nich w ten sposób, zwłaszcza, że tak dobrze skorzystał; ale ponieważ on sam nie wymienił wyraźnie źródła, z którego czerpał: czuję się w obowiązku uczynić to za niego, ażeby z czasem jeszcze nie do czekać zarzutu, że ja to względem niego plagiat popelniam.

Otóż w książeczce tej jest bardzo dobrze zredagowana, podług ustnych moich opowiadań, charakterystyka panny Flory, i dla tego ją ztamtąd dosłownie tu przytaczam: „Była to osoba niezwykłych przymiotów umysłu, pełna dowcipu „wesoło-pieprzykowego,” jak mówi dobrze znający ją pisarz; (tu autor nie wymienił kto taki, a tylko to określenie rodzaju dowcipu

czudzysłowem oznaczył); cięta, ale nie złośliwa; rozumna, przytomna, i nadzwyczaj oryginalna w swoich poglądach, tak, że o danym przedmiocie mogło sto osób wygłaszać swój sąd, a żadna z nich nie dojrzała téj strony, którą dostrzegła panna Flora.“—To wszystko jest istotną prawdą, równie jak i to, że Adam lubił bardzo jój towarzystwo i był jój szczerym przyjacielem. Że zaś przez żart nazywał ją „Cezarynią,“ ona nawzajem mianowała nas swymi paziami: jego starszym, mnie młodszym;—i nazwa ta w dalszym między nami stosunku pozostała na całe życie. Ale dopiero w czasie podróży naszej, gdyśmy na cmentarzu Bolońskim, *Campo Santo*, znaleźli grób Matuszewicza, brata pani Wojskiej Zaleskiej, Adam opowiedział mi, że niegdyś, w pierwszym roku przybycia swego do Wilna, chodząc po cmentarzu „na Rossie,“ i ujrawszy na jednej z katakumb napis imienia: *Laskarys*, poczuł w sobie jakąś myśl dziwną, (nie głos jednakże), że przeznaczona dlań żona będzie nosiła to imię. Gdy więc następnie poznał pannę Florę, córkę właśnie owój spoczywającej na Rossie, miał się z nią ciągle na wielkiej baczności, aby przyjaźń nie zamieniła się w miłość. Gdy go zaś zapytałem żartem: „A co wiiesz, czy w końcu *fatum* nie postawi na swoim?“ zaśmiał się i odpowiedział słowami Książnina:

„A któż kiedy dojrzy okiem,
Co ma być jego wyrokiem?“

Otóż w przypisku do owego miejsca w „Listach moich z Podróży,“ napomknąłem, że w parę lat pó-

źniej, dziwny zbieg okoliczności tak był uczynił możliwem ziszczenie się téj przepowiedni, że prawie dziwić się trzeba, że się nie ziściła istotnie. Okoliczności te, jako odnoszące się wprost do mnie samego, opowiedziałem poufnie panu W. Przyborowskiemu; a że on je, nie pokazawszy mi nawet piérwój swego rękopismu, publicznie drukiem ogłosił: powtarzam, iż się czuję w obowiązku, opowiedzieć tu téż o nich jak było.

Za pobytu naszego w Dreźnie w r. 1832, Adam istotnie był w takiém usposobieniu, iżby się był gotów ożenić jak Jacek w „*Panu Tadeuszu*,” „z piérwszą, którą byspotkał,” odpowiednią ku temu osobą. Tymczasem moja narzeczona w Litwie, za zgodą swojej rodziny, skłoniła się ku temu, aby przyjechać do mnie i wziąć ślub za granicą. Szło więc o znalezienie towarzyszki, któraby mogła zaopiekować się nią w podróży. Uwiadomiona o tém panna Flora, ofiarowała sama przyjacielską swą pomoc, ale tylko nie dalej, jak do Krantz, pod Królewcem, dokąd się właśnie dla użycia kąpieli morskich wybierała. Dla mnie i w tém była trudność niemała, ażeby w owym czasie dostać się z Drezna do Pruss Wschodnich. Napisałem więc do panny Flory, czyby dla dokończenia dzieła swojej dobroci, nie mogła swój podróży aż do Drezna przedłużyć? Adam dowiedziawszy się o tém, powiadał żartem, że w takim razie sam natychmiast z Drezna „ucieczę.“ Pewny jestem jednakże, iżby nie uciekł; a nawet sądząc z troskliwości, z jaką czekał na odpowiedź panny Flory do mnie, z pewnością prawie śmiem twierdzić, że myśl o przepowiedni cmentarnej głęboko nurtowała mu w duszy. Odetchnął więc, jak się wyrażał, gdy otrzymana nakoniec odpowiedź doniosła, że pisząca uczynić tego

nie może. A jednak, gdyśmy w Królewcu powrócili od ślubu z kościoła, powiedziała mi z żalem, i jak gdyby tonem wyrzutu: „Czemuś pan nie nalegał, żeby to było w Dreźnie?“—*Notabene*, panna Flora nie wiedziała nic nigdy o owój przepowiedni Adama; i ja potem sam sobie wyrzucałem w duszy, żem jój o tém wyraźnie w owym moim liście nie wspomniał. Ale mógłżem brać wtedy na swoją odpowiedzialność, co mogło i powinno było jedynie być dziełem Opatrzności, jeśli w tém była istotna jój wola?

A teraz wracam znowu do przerwanój narracyi, to jest do wieczorów u pani Wojskiój Zaleskiój, gdzieśmy nieraz uroczę przepędzali chwile. Pani Wojska tak była łaskawą na mnie, iż raczyła żądać koniecznie, abym się dał zaprezentować najbliższój jój przyjaciółce od serca, będącój w tymże wieku co ona, pani Wojskiój Goreckiój, matce poety, która od lat już kilkunastu pozbawiona władzy w nogach, przyjmowała jednak uprzejmie w swym domu całe towarzystwo Wileńskie, a mianowicie uczącą się młodzież płci obojój. Był to najzupełniejszy kontrast z panią Zaleską. Istna Spartanka z umysłu, serca i ducha; jak tamta pociągała słodyczą, tak ta imponowała powagą; a zbytnią może nawet niekiedy surowość, łagodziła tylko tak czystą i tak namiętną miłością prawdy i kraju, że każdy, choćby nawet niesłusznie ostrego jój sądu doświadczył, znosił go i korzył się przed nim, przez cześć dla źródła, z którego pochodził. Lubiała się otaczać młodzieżą, ale trzymała ją w takiej karności, że dom jój był istotnie jakby szkołą dla niój. To też obie te panie takie zajmują miejsce we wspomnieniach mojej piérwszój młodości, że choć

wzdłuż dalszej drogi mego życia, grona postaci niewieścich, jak anioły albo amorki, stoją wszędzie i zawsze po stronach: dwie te przedstawicielki dawnych polskich matron, zawsze w mojej pamięci i w sercu cześć najżywszą i wdzięczność wzbudzają. Obok zaś nich stawię tylko dwie drugie, którym już w innej epoce życia, nie mniejsze pod względem moralnym, a większe nawet może w życiu praktycznym, dobrodziejstwa zawdzięczam. Były niemi: pani Ewa z Koszutskich Dobrzycka, matka damy dworu Saskiego, Salomei, będącej dla mnie potem opatrnościową opiekunką w Dreźnie, i pani Wojewodzina Poznańska, Justyna z hr. Dzieduszyckich Działyńska, matka pani Klaudyny Potockiej. Nie wiem, czy mi Bóg dozwoli, siostrzyczko, dociągnąć opowiadania moje aż do owjej epoki, w której mógłbym mówić o nich obszerniej. Niech więc, na wszelki wypadek, choć w tych słowach przynajmniej zostanie ślad czci mojej i wdzięczności dla nich.

Ale trzebaż prawdziwie nieszczęścia, że ja to sam niejako, i to przy uczestnictwie samėje pani Zaleskiej, stałem się jakby pierwszą—jeżeli nie przyczyną, to przynajmniej pobudką przyczyny przyspieszenia śmierci pani Goreckiej. Jakkolwiek więc nie należy to właściwie do moich osobistych wspomnień, opowiem tu jednakże ten wypadek, dla tego, aby inaczej może w niepamięci nie zginął. Za dygressyą nie przeproszam już nawet, bo to z góry raz na zawsze zastrzegłem.

W rok po moim wyjeździe z Wilna do Warszawy, zrobiono tam od botanicznego ogrodu do szczytu góry Trzech-Krzyżkiej, i na stromej jej pochyłości,

spacerową drogę w gzygzak dla pieszych, z kądem na każdym jej skrucie były nowe i sliczne widoki. Panna Flora opowiadała mi o nich w Warszawie; a żeśmy się oboje wybierali na lato w gošcinę do Wilna, ošwiadczyła, że chce koniecznie sama być pierwszą przewodniczką moją po tej drodze. Tymczasem, gdy przyszedłem upomnieć się o to; osoba, która miała towarzyszyć nam w tej wyprawie, zachorowała nagle, i projekt miał się skończyć na niczym. Ale nie mogła znieść tego owa nieporównana dobroć pani Woj-
skiej Zaleskiej, o której wyżej mówiłem. Sama więc zaproponowała pójść z nami, i pomimo lat swych podeszłych, przechadzkę tę z przyjemnością odbyła. Uniesiona zaś rzeczywistą pięknoscia owych widoków, z takim o nich zapalem opowiadała u pani Goreckiej, że i w niej zbudziła się ochota, ażeby je także obaczyć. Pozbawioną władzy w nogach, w ręcznym tylko, lekkim i wazkim wozku, wywożono ją niekiedy na spacer. Kazała więc wieź się na góre. Młodzi krewni ofiarowali się do pociagu; i czy to ich niewprawa, czy traf nieszczęśliwy tak zdarzył: dość, że się wózek przechylił, a siedząca w nim spadłszy z wysoka, obie nogi bezwładne złamała. Śmierć nastąpiła w dni kilka, z powszechnym żalem całej społeczności Wileńskiej.

W jej to domu raz pierwszy, na początku 1823 roku, obaczyłem i poznałem się z jej synem, Antonim Goreckim, który wróciwszy z zagranicy, świezo był się ożenił z piękną i wielce zacną panną Weroniką Ejdziatowiczówną. Wspominałem już wyżej, jakie na mnie wrażenie sprawiały niegdyś poezye jego, i jak gorąco pragnąłem poznać ich autora. Uprzejma jego dobroć, choć o lat wiele starszym był ode mnie, ośmie-

liła mnie prędko do bliższej z nim zażyłości, na którą on chętnie zezwalał. Zażyłość ta w krótkim czasie z obu stron zamieniła się we wzajemną przyjaźń, a pierwszym jej może ogniwem było wspólne uwielbienie i przyjaźń dla Adama. Stan przytém zdrowia jego, bardzo wówczas osłabiony i chwiejny, przy osobliwszej zwłaszcza pieśczołliwości pacjenta, uspasabiał go więcéj może niż kiedy do tkliwych uczuć w duszy, i do ich objawów na zewnątrz. Wypadło to na moję korzyść tak dalece, że już w kilka tygodni po poznaniu, nieraz oparłszy głowę na mojem ramieniu, kazał mi głaskać siebie po twarzy i „pożalować biednego Antosia;“ albo téz—co już było największym dowodem łaski—dzielił się ze mną kompotem, albo gotowanemi śliwkami, które mu zamiast herbaty podawano wieczorem. Był to człowiek nadzwyczaj miękkiej, wrażliwej natury; ale przytém tak pełen dobroci, szczerości i prostoty, graniczącej niekiedy z dziecinną prawie naiwnością, że niepodobna było poznawszy go bliżej, nie przywiązać się serdecznie do niego. A przytém, skoro go ten paroxyzm chorobliwej pieśczołliwości opuścił, był to znowu poeta w całym tego słowa znaczeniu: czujący, kochający, unoszący się nad wszystkiém co dobre, piękne, szlachetne, a pobłażliwy i przebaczący usterki, byle nie ze złéj woli wynikłe. Nienawiść jedną miał tylko, której celu tu wymieniać nie będę; a zaś miłość, téj nienawiści przeciwna, górowała w nim po nad wszelkiém inném uczuciem. W przystępach dobrego humoru, nie zbywało mu wszakże na ostrym epigramatycznym dowcipie, który się często w wierszach jego objawiał. Uczucie religijne głębokie, chociaż może nie zawsze

w karbach ścisłej ortodoxyi zawarte, nie dawało mu nigdy trwać długo w upadku, (jeśli jak wszystkim śmiertelnym, upaść mu się niekiedy zdarzyło); lecz rzucało go zaraz na kolana skruchy, aby wnet znowu z nadzieją mógł myśłą wzlatać ku Niebu. Zresztą wszystkie te powszednie upadki, pochodziły w nim tylko albo z nadmiaru czułości serca, albo z braku hartu w pokusie, która go do gry w karty ciągnęła. To téż nigdy z nich dla nikogo, chyba tylko dla niego samego, nie wyszła żadna krzywda albo szkoda. Charakterystykę tę, wierną, jak mi się zdaje, kresłę nie podług wspomnień z tego tylko czasu, o którym tu opowiadam: lecz z całej summy wspomnień mego z nim stosunku, który się nigdy między nami nie zachwiał ani zachmurzył, a wznawiał się w różnych czasach i miejscach, jak np. w Warszawie i w Dreźnie, a przez korespondencyą utrzymywał się nawet w oddaleniu. Co do dzieł jego pisanych, ogólne współczucie narodu przyznało mu od razu tytuł narodowego poety, którego jak nie zdołała wydrzeć mu z początku szydercza zawiść ówczesnych koryfeuszów poezyi Warszawskiej, tak mu go nie odmówi zapewne sprawiedliwa zawsze potomność. Wprawdzie ścisła krytyka literacka nie wszystkim może jego utworom przyzna równą i jednaką wartość; zawsze przecież większą połowę do najcenniejszych pereł poezyi naszej niewątpliwie zaliczy. Nieraz jeszcze zapewne przyjdzie mi wspomnieć o nim w dalszym ciągu tych opowiadań ale tu wiąże się z nim jeszcze wspomnienie o Rosołowskim, którego często bardzo spotykałem w tym czasie u niego, a o którego piérwszém poznaniu, pamiętam, że opowiedzieć obiecałem wyżej.

Adam, za bytności swój w Wilnie, był przez parę dni słaby i nie wstawał z łóżka. Raz przychodząc do niego, slysze czyjs głos podniesiony z zapalem, i wszedłszy widzę jakiegoś pana, który siedzi przy nim na łóżku, i wylicza imiona poetów, którzy byli zarazem doktorami medycyny. Gdy skończył, ja robię zarzut, że nie wspomniał imienia Stanisława Rosołowkiego. Tu ten pan zrywa się z łóżka, i rozstawwszy ręce, z ujmującą serdecznością wykrzyka: „Al mości dobrodzieju! submittuję się sam *in persona*, i wdzięczen jestem panu, że o mojem imieniu pamiętasz.“—Znajomość więc zawiązała się prędko, a w ślad za nią i żarliwa dysputa o romantyczności, w której Adam nie brał udziału, a tylko śmiał się patrząc na nasze zaciętrzewienie się wzajemne. Zapal ten wszakże w dyspucie nie tylko nie rozerwał, ale owszem spoił, jak w ogniu, piéwsze ogniwo znajomości naszej, która w dalszym ciągu stosunku hartowała się coraz w podobnychże dysputach, w których jeden drugiego ani pokonał nigdy, ani przekonał. W skutek tego napisałem raz wierszyk do niego, którego początek pamiętam i przytaczam:

„W podwójnym splendorze,
Poeto, doktorze,
Witaj, Stanisławie!
I chociaż raz przecie,
Poeta, poecie,
Daj ucha łaskawie!

Bo z tobą chcié prozą
Rozprawiać, rzecz prózna!
Z uporem, jak z kozą,
Dójsć ładu nie można.

Dość wspomnieć poetę,
 Jak tylko nie antyk,
 Lecz Niemiec—choć Goethe,
 Czy Anglik romantyk:
 Wnet jakby upusty
 Otworzył we młynie,—
 Oczyma'ć i usty
 Gniew bucha i płynie.
 I radzisz i życzysz,
 I łajesz i krzyczysz,
 I krzyczysz i łajesz,
 I mówić nie dajesz!
Attendez! mój paniel i t. d.

Wierszyk ten przeczytałem mu po raz piérwszy u Borowskiego, będąc razem na herbacie z Adamem, gdzie téż i Rosołowski rad zawsze na przyjacielskie pogadanki przychodził. Prosiłem, żeby pozwolił wydrukować go w *Tygodniku*; ale oparł się temu, mówiąc: „Na co to obcy ludzie wiedzieć mają, jak my gadamy!“—Sam wszakże przyjął go bez rankoru i odpisał mi w tymże tonie; ale odpowiedzi téj nie pamiętam.

Podobneż dysputy, tylko że już nie ze mną, ale zwykle z Onacewiczem, w przedmiotach filozoficznych, staczał on na tygodniowych wieczorkach u Lelewela, który był jedynym z professorów bezżennych, co je zaprowadził u siebie. Prócz młodszych professorów, przyjaciół gospodarza, bywali na nich i wybrańsi jego uczniowie, których on z koleżeńską uprzejmością traktował. Ja, niestety, z tego powodu nie miałbym wcale prawa należeć do ich grona, ale Adam wprowadził je *gratis*. Pan Joachim zaś był tak dobry i łaskaw, wybrał mnie z czasem na Ganimeda, to jest, polemi robienie herbaty. Zdarzyło się więc razu jedne-

go, że zasłuchany w jakiejś narracji Onacewicza, zapomniałem zakręcić kranu w samowarze, i potop gorącej wody wszystkich gości z miejsc swych poruszył. Adam chciał mnie reprimandować, ale gospodarz wziął moją obronę, i przy urzędzie pod czaszego zostawił. Za przybyciem zaś mojem do Warszawy, pan Joachim miał mnie głównie w swojej opiece, i dom czcigodnych jego sędziwych rodziców, stał się dla mnie jakby rodzinnym. Tam to w ciągu lat czterech, co niedziela, z rzadkim wyjątkiem, obiadowałem zwykle z całą ich rodziną, i bardzo często z kochanym ojcem twoim, siostrzyczko! co mi też posłużyło za assumpt do pierwszego odezwania się do was z Wilna, gdy już pierwsze improwizacye twoje, myśli moje i serce z uwielbieniem zwróciły ku tobie.

Ale nie same tylko poważne matrony, i nie sami uczeni mężowie, zajmowali je w czasie, o którym tu mowa, to jest w początkach roku 1823. Był to owszem czas właśnie, w którym pierwszy raz w życiu, jeśli nie jako uczestnik, to przynajmniej jako spektator, wszedłem w bawiący się świat wielki. Pan prezydent Chodźko, ojciec Olesia, który, za wpływem jego, raczył mnie swą łaską zaszczycać, dał mi *gratis* gościny bilet na wszystkie co tygodniowe *Kasyna*, których on sam był dyrektorem, a które właśnie w tym roku doszły do kulminacyjnego punktu swojej świetności. Pod wpływem nowych tych wrażeń, napisałem wiersz o nich, p. t. „*Kasyno*“, nastrojony na model i na ton „*Zosiówki*,“ i wydałem go w osobnej broszurce bezimiennie. Nie wytrzymał on własnej mojej krytyki późniejszej, i opuściłem go przeto w ostatnich wydaniach mych ramot. Wtedy wszakże sam przedmiot

obudził ciekawość, i nim czcionki rozebrano w drukarni, już trzeba było drugie tyle exemplarzy odbijać, a i te się wkrótce rozeszły. Dochód z tego, po odtrąceniu kosztów druku, przeznaczyłem na rzecz Domu Dobroczynności Wileńskiej, na której korzyść szedł i dochód z Kasyna, a której też prezesem był tenże pan Jan Chodźko, uprzejmy mój biletodawca. Poszedł więc przez to w górę barometr mojej sławy autorskiej, gdyż anonim nie utrzymał się długo. Ale jakkolwiek moja miłość własna była przez to zadowolona, tém bardziej, że i Borowski i Adam wiersz ten pochwalili: większa jeszcze zkaąd inąd przyszła mi pociecha.

W trzech szczegółowych opisach piękności, które w wierszu na pierwszym planie figurowały, poznawano, albo się domyślano przedmiotu, który im służył za model. O pierwszym, który mówił:

„Patrzcie tę, co jak nareyz w wonnym kwiatów lesie,
Nad wszystkie dorodniejszy, śnieżne czoło niesie!
Co mam w niej najprzód wielbić, nie zgadnę zdumiony,
Wdzięk córki Oceanu, czy postać Junony?“ i t. d.

O tym pierwszym nie było żadnej wątpliwości, że się do panny Alexandry Becu stosował. Ale chociaż ja i drugi *in petto* do siostry jej stosowałem: ogólnikowe wyrażenia, jak np:

„Ta znowu, jak sarneczka w napowietrznym biegu,
Wiośniane róże kwitną na muślinnym śniegu,
I niewinność dzieciinną, i wdzięki dziewicze
Zarazem uśmiechnione maluje oblicze;“ i t. d.

stosować się mogły łatwo i do dziesięciu innych. rzetoż gdy domyślano się różnie, ja, drapując się dyplomatyczném milczeniem, nie przeczyłem, ani nie

stwierdzałem żadnego domysłu. Najważniejszym atoli dla mnie samego był ustęp, który brzmiał:

„A toż, czy mnie sen mam, czy urok uludy
Poetyckimi oko rozłakamia cudy?
Niebieskich godna chorów, a ziemską dziewicą,
I oczy zadumiewa, i serce zachwycal...
Twarzyczka jój, jak ranna u wschodu jutrzienka,
Jako pogodne niebo, błękitna sukienka.
Ani tu złoto błyska, co człek ziemi kradnie,
Ni lzy jutrzienki w morzu skamieniałe na dnie,
Sama skromność!“ — i t. d.

Ustęp ten ściągał się do znajomej mi tylko z widzenia na témże Kasyno, ale która istotnie była najpiękniejszą. Chociaż zatém i o nim różniły się domysły, dla mnie dość było na tém, że się w nim ona sama odgadła. Była to panna Zofia Chłopiczka, późniejsza „Zofia z Brzozówki.“ Od niej téż samój, zaraz po wydaniu wiersza, wyszedł piérwszy krok do znajomości. Chciała mnie wybrać do figury w mazurze, chociaż widziała dobrze, że byłem w żalobie. Nie mogłem więc przyjąć zaszczytu; ale podziękowałem zań po skończonym tańcu. I ztąd zaczęła się znajomość. Wymówiwszy się zbytniém znużeniem, w następnym nie wzięła udziału; a więc i była sposobność do przedłużenia rozmowy. Znużenie to ponawiało się również i na następnych kasynowych wieczorach; a że przytém mówiło się téż nieraz o projektach na inne dni tygodnia: zdarzało się przetoż niekiedy spotkać się i gdzie indziej—przypadkiem. Do bywania w domu jój ciotki, u której przez karnawał mieszkała, będącej żoną wyższego urzędnika z ramienia rządu; studentowi brakło pretextu. Ucieszyłem się więc niepomału, kie-

dy się dowiedziałem, że oboje na wiosnę wybieramy się w jedną drogę, do Kowna; ona do rodziców i siostry, mieszkającej ztamtąd o milę, a ja dla odwiedzenia Adama. Podróż ta przedtém jeszcze od samej jesieni była głównym przedmiotem mych marzeń. Nie mogłem przecież przedsięwziąć jój wczeniéj, jak w Maju; nie z powodu lekcyj uniwersyteckich, od których łatwiej jakoś dałbym się oderwać; ale że właśnie na Święto-Jerskie kontrakta, w końcu Kwietnia, gotował się wielki amatorski teatr, a przy nim żywe ruchome obrazy, w których, organizujący to wszystko na dochód Dobroczynności, prezes jój p. Jan Chodźko, mnie téż ważny udział przeznaczył.

Pomysł żywych obrazów ruchomych był rzeczą zupełnie nową, a ułożeniem i wykonaniem jego zajmował się sam professor malarstwa, Rustem. Miały one przedstawiać trzy sceny z „*Jerozolimy Wyzwolonej*“ Tassa, do których wchodzi: Erminia, Klorynda i Armida. Erminią była piękna hrabianka Kamilla Tyszkiewiczówna; Kloryndą, panna Alexandra Becu; Armidą, panna Zofia. Ja miałem reprezentować Tassa, który siedząc na przodzie sceny, miał odczytywać głośno, jakby samemu sobie, owe trzy sceny, (ma się rozumieć w tłómaczeniu polskiem Piotra Kochanowskiego), a podczas tego czytania, osoby w obrazach będące miały zmieniać stosownie pozy. Zmiany te wymagały prób długich, a te próby dla wszystkich współuczestników, a przynajmniej dla reprezentanta autora, y bardzo rozkoszném zajęciem. Reprezentacya téż ała się świetnie; tak, że na ogólne żądanie publiczności, postanowiono ją powtórzyć w dni parę. I tu właśnie zaszła okoliczność, będąca pierwszym począ-

tkiem przyjaźni mojej z Ignacym Chodźką, późniejszym autorem „*Obrazów Litewskich*,” która doprowadziła nas w końcu do braterstwa, i przez to wpływ stanowczy na dalsze przeznaczenie życia mego wywarła.

Pierwsza wprawdzie znajomość nasza nastąpiła daleko piérwój, kiedy ja miałem ledwo lat czternastcie, a on już był dwudziestocztero-letnim młodzieńcem. Spotkaliśmy się raz piérwszy w domu wspólnego powinowatego naszego, gdy właśnie w nim ugaszczano biskupa Kundzicza, który dla udzielania sakramentu bierzmowania do tamecznej parafii (Wojstomskiej) przyjechał. Lecz wtedy był on dla mnie tak wysokim ideałem, że ledwo śmiałem zbliżyć się do niego. Słysnął już bowiem w swojej okolicy, jako drukowany poeta, i jako jeden z najdowcipniejszych *szubrawców*, to jest współpracowników sławnych ówczesnych, „*Wiadomości Brukowych*,” i jako taki między sąsiadami, a zwłaszcza sąsiadkami, respekt i podziw obudzał. Że zaś był wtedy dla mnie bardzo grzeczny i uprzejmý, wielce mnie przez to zobowiązał ku sobie. Gdy więc za bytności już mojej w Wilnie, gdzie on często ze wsi przyjeżdżał, spotykałem się z nim w domu jego stryja, ojca Olesia, albo téż u Tomasza Zana, gdzie Oleś wtedy z dwóma braćmi mieszkał: stosunek nasz stawał się coraz bliższym, ale się wcale jeszcze nie mógł nazwać przyjaźnią. Dysputowaliśmy tylko zażarcie o klassyczności i romantyczności, której on wtedy jeszcze był zaciętym wrogiem; albo téż lubowaliśmy się razem z Olesiem miłém nadzwyczaj jego towarzystwem, pełném dowcipu i jowialności; chociaż tak nam niekiedy konceptami swojemi dokuczył, przekomarzając się zwłaszcza umyślnie platonicznej naszej senty-

mentalności: że raz w zimie wieczorem uciekliśmy od niego bez czapek, które on, dla zatrzymania nas gwałtem, pochował.

Na téj stopie staliśmy nawzajem aż do reprezentacyi owych żywych obrazów. Gdyby on mieszkał był w mieście, albo gdyby wcześniej przyjechał, stryjby mu niewątpliwie przede mną rolę Tassa powierzył; znany już bowiem był przedtém jako wyborny aktor amatorskich teatrów. Ale on przybył dopiero w dzień ostatniej próby, na którą przyszedł prosto wysiadłszy z powozu. Ja byłem już w kostiumie Tassa, wśród rycerzy, rycerek i czarodziejek; i instynktowo jakoś poczułem, że on radby był być na mojem miejscu. Wtedy za nic na świecie nie ustąpiłbym go był nikomu. Ale gdy po reprezentacyi pierwszej miała nastąpić druga, a ja syt już byłem oklasków; przyszła mi myśl szczęśliwa, którą dotąd za natchnioną uważam, aby mu w niej miejsca mego ustąpić. Ofiarę tę przyjął ochoczo, i tak widać był przez nią ujęty, że zobowiązał mnie koniecznie, abym go na wsi podczas wakacyi odwiedził. Obiecałem, i dotrzymałem słowa; ale mógłżem przewidzieć wtedy, że właśnie owa obiecana wizyta ma otworzyć przede mną inną wcale drogę przeznaczeń, niż była ta, o której marzyłem, wybierając się właśnie do Kowna? Armida wyjechała tam zaraz nazajutrz po ostatniem przedstawieniu obrazów. Ja umyślnie opóźniłem o dni kilka mój wyjazd, aby miała czas piérwój rozgościć się w domu.

Podorożna pocztowa do Kowna leżała właśnie na sliku u mnie, gdy przyszedł z pożegnaniem p. Alexander Wereszczyński, bardzo miły i zacny obywatel z Podola, wielki amator poezyi, który przebywszy

czas niejaki w Wilnie, nazajutrz już miał z niego wyjechać. Postrzegłszy *podorożną* do Kowna, oświadczył mi, że i on właśnie tą drogą udaje się do Petersburga, i przeto zaproponował, abym jako jego towarzysz, podróż tę w wygodnym powozie razem z nim bez kosztu odprawił. Było mi to bardzo na rękę, a zwłaszcza zdało się pomyślną wróżbą, że się wszystko tak dobrze samo przez się składa.

Dnia więc 3-go Maja 1823 r., wyruszyłem pierwszy raz w życiu w podróż sam przez się, pocztą, i wprost dla przyjemności serca. Myśl ta, w połączeniu z celem podróży, trzymała mię w radośnym upojeniu przez drogę; i tegoż dnia nad wieczorem stanęliśmy w Kownie. Pobieglem wprost do mieszkania Adama, i spotkałem go właśnie na wschodach, gdy już na spacer wychodził. Nie wracając przeto do siebie, sam poszedł ze mną do Wereszczyńskiego, kazawszy iść z sobą chłopcu, po zabranie ztamtąd mych rzeczy. Wereszczyński tak był uszczęśliwiony z wizyty Adama, iż ugaszczając nas hojnie, cały wieczór zatrzymał u siebie, i o północy sam dalej pojechał. Adam wracając do domu, zaczął dopiero troskać się po drodze gdzie i jak mię do snu ułoży; gdyż mu to przedtém zgoła na myśl nie przyszło. Alie zaledwo chłopiec wykrzesił ognia i zapalił świecę, widzimy, że na kanapie, z przystawionemi krzesłami, posłana jest już pościel, nie tylko porządna, ale nawet aż elegancka. Zadziwiony gospodarz pyta: z kąd się wzięła? i dowiadujemy się od chłopca, że ją przysłała pani Kowalska, dowiedziawszy się także od niego: „że jakiś pan do pana z Wilna przyjechał. — „Pani Kowalska! to moja Opatrzność!“ zawołał Adam; i zaczął mi opowiadać o niej i o jej

domu, o którym zresztą i w Wilnie nieraz wspominał, a z którym miał mię nazajutrz zapoznać.

Nie z tych tylko wszakże ówczesnych, ani nawet z wielu późniejszych własnych jego wspomnień i opowiadań, ale i z tego wszystkiego, co słyszałem zkażynąd, i na co sam własnymi oczyma potem przez lat dwadzieścia kilka patrzałem, muszę tu, a nawet czuję się w obowiązku, opowiedzieć o niej i o jój domu, co, o ile wiem, dotychczas powiedzianém nigdzie nie było, a co przecież w życiu Adama stanowi ustęp niezmiernie wpływowy i ważny, któremu on, jak sam nieraz powiadał, życie może nawet zawdzięczał.

Wiadomo z „*Dziadów*,” w jakim usposobieniu serca i umysłu Adam przybył i znajdował się w Kownie, w pierwszych czasach po zerwaniu stosunku z Maryllą. Otóż, że zrozpaczony Gustaw na poetyckich tylko marzeniach o samobójstwie poprzestał, i w poezyi tylko je wykonał: najwidomszém w tym razie narzędziem Opatrzności była właśnie pani Karolina z Wagnerów Kowalska. Ale *Honni soit qui mal'y pense!* Nie była to albowiem żadna jakaś nowa miłośćka, coby świadczyła tylko o płochéj wrażliwości serca poety-marzyciela; ale był to wpływ niewieściéj duszy i przyjaźni niewieściéj; duszy, łączącéj czystość z twardością kryształu, i przyjaźni, która, oprócz swych świętych własnych obowiązków, innych granic w poświęceniu nie znała, a którą poeta-Filaret pojąć, ocenić i uszanować umiał. Piękniejszój od niej kobiety trudnoby można było wyobrazić, ale trudniójby może jeszcze znaleźć taki hart duszy i charakteru w kobiecie. Nie była ona wcale ani uczoną, ani literatką,

ale miała ten zdrowy rozum, co rzeczywistą wartość jak w książkach, tak w rzeczach i ludziach oceniał, a razem i tę przenikliwość niewieścią, co w ludziach zwłaszcza tę wartość instynktem jakby odgadywać umiała. W tém był początek przyjaźni jój dla Adama, i w tém wpływ téj przyjaźni na niego. Bez tego, w otoczeniu ludzi obcych i zimnych; w małym, cichém miasteczku, jakim było naówczas Kowno; w oddaleniu od wszystkich swoich, i z taką boleścią w duszy, jaka go w owym czasie dotknęła; trudno może byłoby wymagać, aby się mógł być oprzeć rozpacz. Opatrzność wprawdzie przyszła mu w końcu w pomoc i innym cudownym sposobem, gdy zagrożony utonięciem w Niemnie, w kąpieli, przypomniał sobie, w chwili największego niebezpieczeństwa, jak go niegdyś w dzieciństwie modlitwa matki cudem prawie uratowała z przypadku, i gdy poleciwszy się wtedy z wiarą opiece Najświętszj Panny, sam także jakby cudem ocalał; bo nie wiedział i nie pamiętał, jak się znalazł na brzegu. Chwila ta w duszy jego stała się jakby chwilą przełomu i zwycięstwa nad uczuciem rozpacz; ale możeby nie doczekał téj chwili, gdyby go nie wspierała przedtém uprzejmość i przyjaźń, jakich w domu państwa Kowalskich doznawał. Wiem o tém z własnych Adama i z cudzych opowiadań, a znając sam działające osoby, pojmuję najdoskonalej, jak się to stać mogło, i stało. Sam pan Kowalski, (naówczas wzięty bardzo i szanowany powszechnie lekarz powiatowy w Kownie), człowiek dobry, zacny, serdeczny, ale tak przytém wrażliwy i tak dający się unosić piérwszemu chwilowemu wzruszeniu, iż czując sam w sobie tę wadę, a uznając właśnie w swj żonie cnoty wręcz téj

wadzie przeciwne: zimną krew i niezachwianą stałość charakteru; uważał ją za ideał doskonałości, i dobrowolnie stosując się do niej, jak się ona we wszystkiém stosowała do niego, z całą czułością i wylaniem serca był téż zazwyczaj i dla tych, których ona za godnych swój przyjaźni uznała. A że oprócz téj chwilowój drażliwości temperamentu, posiadał on wszystkie zalety rozumnego i prawego człowieka, a nadewszystko prostotę i szczerotę w obejściu, które Adam cenił najwięcej; ztąd poszło, że go wzajem polubił serdecznie i w towarzystwie jego podobał. Sama pani zaś, od piérwszych chwil poznania Adama, przejęła się instynktowo dla niego jakby jakimś rodzajem czci, nie tylko przyjaźni, i z całą energią niezłomnego swojego charakteru, a razem i z delikatnością niewieścia, zajęła się codzienném, cochwilowém osładzaniem mu tęsknego pobytu w Kownie. Adam sam ani się domyślał mnóstwa rzeczy, których wpływu wszakże doznawał. Ja o wielu dowiedziałem się potém przypadkowo od osób, które na to zbliżka patrzyły. Naprzykład. Dowiedziała się, że Adam lubi muzykę. Córki jój były jeszcze w dzieciństwie; ale się zdarzyła sposobność nabycia doskonałego instrumentu. Nabyto go więc na zapas. Sama pani Kowalska nie grała, ale miała znajome, które grały prześlicznie, a dobrego instrumentu nie miały. Pozwolono więc korzystać im zé swego, ale pod warunkiem jednakże, że będą przychodziły w pewnych oznaczonych godzinach. A godziny to były właśnie, w których Adam zwykle przychodził. Miał więc codzień muzykę, którą lubił, nie omysłając się bynajmniej, że była li tylko dla niego. Wszystkie nowe książki niemieckie, w przedmiotach

mogących interessować Adama, sprowadzano regularnie z Królewca—dla siebie; ale pożyczano ich Adamowi. W tenże sposób, prenumerowano ważniejsze zagraniczne dzienniki, na co niemałych kosztów trzeba było. A cóż dopiero mówić o innych, drobnych na pozór, ale ciągłych i codziennych przyjemnostkach, które przecież działają na smutną duszę człowieka, jak krople eteru w omdleniu! W ważniejszych zaś okolicznościach życia, jak np. podczas pobytu Adama w Bazylikańskim klasztorze w Wilnie, żadne kraty ani niebezpieczeństwa nie były dla niej zaporą, aby się dostać do niego i przynieść mu potrzebną wiadomość. Jakoż we trzydzieści lat potem, w przeddzień już prawie swój śmierci, a w ostatniej ze mną rozmowie o Adamie wyrzekła: „iż był on dla niej w życiu najwyższym ideałem człowieka, którego duchem krzepiła się sama;”—i poleciła mi, abym to mu powiedział, jeśli go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Podczas zaś pobytu jego w Kownie, powtarzam, była ona dla niego istotnie Opatrznością, jak ją sam nazwał w pół żartem, z powodu owój dla mnie przysłanej pościeli. *)

Mało z niej wszakże korzystałem piérwszej téj nocy, bośmy ją najprzód do białego dnia przegadali, a zaś potem, gdyśmy ledwo usnęli, dzwonek szkolny na korytarzu w gmachu gimnazyalnym, będącym kiedyś Kollegium Jezuickim, zbudził nas na mszę studencką. Adam po niej zaznajomił mnie z prefektem

*) Nie twierdzą, ale tylko zwracam uwagę, że postać i charakter „*Grażyny*“ w wielu rysach zdają się przypominać wzór żywy, który autor mógł mieć na myśli, malując bohaterkę swego poematu.

i kolegami, którzy téż byli na niej z obowiązku obecni. Prefekt, pan Dobrowolski, najszanowniejszy człowiek, i po ojcowsku lubiący Adama, od pierwszej zaraz chwili poznania okazał się téż nader uprzejmym i dla jego gościa. Ofiarował mi osobny pokoik w swoim mieszkaniu, sądząc, że u Adama za ciasno. Gdy jednak ten oświadczył, że się pomieścimy; ja téż wolałem pozostać u niego. Mieszkanie jego w murach szkolnych, w rynku, składało się z jednej izby, z wązkim przedpokoikiem, w którym spał chłopak służący, który téż chodził do szkół i był w pierwszej klasie.

Ale wspomniawszy już o szanownym panu Dobrowolskim, muszę tu opowiedzieć o nim to wszystko, co mam do powiedzenia. Gdyż najprzód gra on istotnie ważną rolę względem Adama, w czasie pobytu jego w Kownie; a powtóre, że we wspomnieniach p. Leona Potockiego, które niegdyś czytałem, kreślonych całkiem dowolnie z imaginacyi autora, stosunek jego z Adamem wystawiony jest zupełnie w fałszywym świetle, a mianowicie, że Adam jakoby przed nim deklamował z zapalem wyjątki z „Dziadów.“ Otóż najprzód śmiem twierdzić na pewno, że Adam nigdy przed nikim—chyba może przed jednym tylko Czeczotem lub Zanem—nie deklamował, i nie mógł deklamować wyjątków z *Dziadów*; tak to się nie zgadzało z całą jego naturą, iżby miał kogokolwiek do tajemnicy sercowych uczuć swoich przypuszczać. A powtóre, że cały nastrój stosunku jego z Dobrowolskim, wcale się do podobnych konfidencyi nie nadawał. Dobrowolski był starszym od niego o lat najmniej trzydzieści, a jako zwierzchnik, ujęty osobistością Adama, owział ku niemu, jak już wyżej rzekłem, affekt praw-

dziwie ojcowski, który już ciż przykładał się niemało do osłodzenia mu pobytu w Kownie. Byćby więc mogło—choć nie wiem czy było—że Adam na jego żądanie mógł mu czytać niektóre inne poezye swoje; ale że nie *Dziady*, to pewno. Prawdą jest wszakże, bo sam to po razy kilka słyszałem, że p. Dobrowolski znając niepraktyczność Adama w życiu codziennym, lubił żartować z niój po przyjacielsku, a przypisując to zwłaszcza poezyi, na poezyą też (równie żartem) wygadywał dziwosy. Ale trzebaż, że tenże sam jój niby antagonistą, we dwadzieścia kilka lat później, przyjechał z Kowna umyślnie do Wilna, aby pokazać mi spory sextern własnych poezyi swoich, których pisaniem osładzał sobie tęsknotę starości i bezczynność emerytury. Były to, w kształcie listów do ucznia, rozprawy pedagogiczno-moralne. Treść świadczyła o znajomości rzeczy; forma, o zupełnej nieświadomości techniki wierszowania. To też usłuchał rady przyjacielskiej, i pracę tę w tece zostawił; obwiniając przez żart Adama, że on to go manią wierszy zaraził. Ale w czasie, o którym tu mowa, szanowny prefekt nie tylko sam o poezyi nie marzył, ale owszem żarty z niój i z poetów miał za ulubiony temat jowialnej, przyjacielskiej rozmowy w obec Adama, w domu państwa Kowalskich, gdzie się z nim codzień prawie spotykałem.

Ale mówiąc o domu pp. Kowalskich, nie mogę też pominąć milczeniem dwóch podrzędniejszych wprawdzie, ale zawsze dość wpływowych czynników, które go miłym Adamowi czyniły. Pierwszym były dwie małe, piękne jak aniołki dziewczynki, sześciolatnia i pięcioletnia Olesia i Kamcia, które go tak serdecz-

cznie kochały, i tak już były z nim spoufalone, że skoro wszedł, nie odstępowały prawie od niego, pieścąc się z nim lub rozmawiając. A któż nie wie, co jest za urok w pieścótach i rozmowach dzieciennych? Adam zawsze wspominał je czule, a między innymi ich powiedzenie: że mają dwóch tylko „przyjaciół”, pana Mickiewicza i *Bauzera*.“ Była to nazwa ogromnego buldoga, faworyta całej rodziny, i zwykle stróża dzieci na przechadzkach, który też strzegł je pilniej może i gorliwiej od nianieek.

Ale trudniej ci może przyjdzie zrozumieć, siostrzyczko, gdy powiem, jaki był drugi węzeł, który go też do domu tego przywiązywał. Oto była nim matka samego pana Kowalskiego, siedemdziesięcioletnia już naówczas staruszka, a będąca najdoskonalszym typem prostodusznej, szczerzej, a przytém i po swojemu rozumnej, wiejskiej szlachcianki Litewskiej. Ona też passyami kochała Adama, ale miłość ta zwłaszcza wyrażała się w niej przez to, że ze zbytku troskliwości o niego, zawsze mu miała coś do zarzucenia: czy to ze względu zdrowia, czy ubrania, czy nakoniec humoru i postępowania. Czyniła zaś to z zupełną swobodą i otwartością, gdyż ani syn, ani synowa, widząc że to owszem bawi Adama, żadnej w tém jój nie stawili przeszkody. Sam Adam lubił wyraźnie wywoływać te oburzenia, przekomarzając się jój na każdym kroku; co mianowicie zdarzało się przy kartach, przy grze w *kixaka*, stanowiącej zwyczajną zabawę wieczorną, jeżeli muzyki nie było. Grano nie na pieniądze, ale wprost tylko na boby; a mimo to staruszka taką ważność przywiązywała do gry, jakby w niej o dukaty chodziło. Adam zaś umyślnie, na

przekor, wciąż albo się myślał lub kręcił. Ztąd sprzeczki, reprimandy i kłótnie bez końca; z których często można się było istotnie naśmiać do rozpuku. I to wszystko widocznie bawiło Adama.

Taki był skład i obraz domu pp. Kowalskich, do którego mnie Adam nazajutrz, zaraz po odbyciu lekcyi swojej, wprowadził. Piękność pani Kowalskiej oczarowała mnie tak od razu, jak uprzejmość obojga ujęła za serce. Postać, rysy, spójrzanie, uśmiech, mogłyby służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tém bardziej, że sama nawet jej toaleta zdawała się naśladować raczej artystyczne draperye greckie, niż wzory modnych żurnalów. W świecie albowiem nie bywała prawie, a w domu ubierała się podług swego gustu. W ogólności sąd obcych i świata nie zdawał się mieć dla niej znaczenia; ale za toż czuwała pilnie, aby sąd tych, o których dbała, nic w niej istotnie do zarzucenia nie znalazł. Był to charakter, powtarzam, dziwnej energii i siły; samoistny i nieugięty; ale przytém tak pełen wdzięku, godności i naturalności w obejściu, że w niczém swoją oryginalnością nie raził. (Miała natenczas lat 28). To wszystko, co tu mówię, jest owocem trzydziestoletniego mojego z tym domem stunku w Wilnie, gdzie p. Kowalski potem, i aż do końca życia, był naczelnym lekarzem głównego wojennego szpitalu. *)

*) W roku 1859, Towarzystwo Lekarskie Wileńskie obchodziło uroczyste 50-cioletni jubileusz doktoratu p. Józefa Kowalskiego, jako swojego członka. Przytaczam tu wiersz mój do niego, czytany na tym obchodzie:

A teraz wracam znowu do przerwane go toku narracyi, nim znowu może od niej za lada okolicznością odbiegnę. Powtarzam bowiem po raz nie wiem

To mi mistrz w każdym zawodzie,
Co w swój biegłości dowodzie,
Sam staje w parze z zasługą!
Mistrz-wieszcz, co serca porywa;
Mistrz-wódz, co bitwy wygrywa;
Mistrz-lekarz, co żyje długo.

Ale czyż tylko jedynie
Przypisać twój medycynie,
Że ci Bóg wieku przedłużył?
Czyż On bez skutku odtrąca
Modły sere wdzięcznych tysięcy,
Na któreś żyjąc zasłużył?

Lecz mamże głosić te dzieła,
Gdy dusza, co je natchnęła,
Tak skromnie tai je sama?
Nie!—głos mój tylko tu wyzna,
Co tobie winna ojezyczna.—
Tyś nam zachował Adama!

Gdy boleść go i tęsknota,
Za młodej wiosny żywota,
Przywiodły przed śmierci wrota,
Bóg przez cię wrócił go światu.
Tyś drogę śmierci zagroził,
Przyjaźnią tęskność osłodził,
Dom swój otworzył jak bratu.

I nie sto razy słyszałem,
Jak z wdzięcznym serca zapalem,
Wspominał o was ze łzami.—
I niech to dawne wspomnienie,
Święte i lube nam cienie
Złączy dziś z tobą, i z nami.

(P. A.)

który, że się wcale nie czuję obowiązany do przestrzegania ścisłego ładu i porządku, bylebym samą treść rzeczy wypowiedział—jak umiem.

Otóż zaraz w tym pierwszym dniu znajomości zostaliśmy zaproszeni na obiad do państwa Kowalskich, razem z szanownym panem Dobrowolskim, który był także przyjacielem ich domu. Po obiedzie zaś sama pani zaproponowała przejażdżkę do ulubionej doliny Adama, którą raz pierwszy sama pokazać mi chciała. Cztery konie ogromne, czarne, ogniste, zaprzężone w lejc do lekkiego powoziku, przeniosły nas lotem ptaka do młynu, przy początku doliny, której ciąg dalszy zwiedziliśmy piechotą. Jest to, a raczej był wtedy, smug niezbyt szeroki, pomiędzy pasmem lekkich wzgórz z obu stron, porosłych na pochyłościach gajem drzew liściastych, a przerznięty w głębi strumieniem, który ocieniony po brzegach poziomymi krzakami wierzby czy łozy, płynął z szumem środkiem zielonej i kwiecistej łąki. Trudnoby jużcić było powtórzyć z Littaworem w Grażynie, że „jest to dolina najpiękniejsza w świecie;“ lecz jako miejsce samotnej przechadzki, była ona rzeczywiście rozkoszną, tém bardziej, że świeżość i balsamiczna wonność powietrza usposabiała przechodniów do rozkosznych marzeń. Droga wązka szła dołem nad brzegiem strumienia, albo się nad nim wspinała na wzgórze, aby znowu zejść na dolinę. W połowie drogi ogromny kamień, ocieniony kilku drzewami, służył za miłe miejsce odpoczynku. Przechadzka więc była przyjemną; lecz mi ją zatruwała niekiedy myśl o tych czarnych, ognistych rumakach, które po długim staniu przy młynie, z chęcią pewnie tém chyżej powracać do domu. Szanc

wny prefekt, z którym o tém mówiłem, miał téż coś podobnego na sercu. Wprawdzie sam pan Kowalski, zapalony amator koni i sławny Automedon, który sam siedział z furmanem na koźle, zaręczał za ich spokojność i nasze bezpieczeństwo. Z mojej strony atoli było to jakby wieszczce przeczucie przygody, która w dwa lata później, w tém samym miejscu, i z powodu tychże samych koni, ómal nie pozbawiła życia pana Kowalskiego, a tylko „moje tchórzostwo,“ (jak on moją przezorność nazywał), uratowało wtedy mnie samego i damy od nieuchronnej może śmierci lub kalectwa. Opowiem o tém w swoim czasie, z kolei. Ale tą razą podróż odbyła się, Bogu dzięki, bez szwanku; a gdyśmy wrócili do miasta, zastaliśmy już w domu państwa Kowalskich liczne dość grono gości, złożone z professorów i urzędników powiatowych, którzy byli zaproszeni na wieczór, a których *starsza pani* przyjmowała tymczasem. W liczbie ich były trzy panny marszałkówny Siwickie, nie młode już i nie piękne, ale bardzo uczone, pobożne, i przytém biegłe muzyczki. One to właśnie przychodziły codzien do pp. Kowalskich, aby grać na ich instrumencie, i bezwiednie bawić Adama. Wszystkie one były dla niego z wielkim respektem i życzliwością, i Adam lubił często opowiadać o nich, jak każda jego u nich wizyta stawiła je w krytycznym nader położeniu, jakby pomiędzy młotem a kowadłem. Miały bowiem starego faworyta mopsa, który tak z czasem opanował affekt ich wszystkich, że z faworyta stał się panem domu, to jest, że się w nim wszystko stosowało do niego. Otóż ten mops, nie wiedzieć dla czego, powziął szczególną jakąś niechęć do Adama, i nie tylko za wej-

ściem jego czekając, skomlać, wyjąc, krył się pod kanapę, ale i z pod kanapy nawet, skoro Adam usiadł w pobliżu, chciał go milczkiem kąsać za nogi. Rzecz naturalna, że panie były przez to w ustawicznym kłopotcie; gdyż bojąc się obrazy gościa, nie miały wszakże siły skarcić faworyta, aby też przez to na się obraży jego nie ściągnąć. Ale trzebaż, że czego mops nie dokazał, ja omal nie stałem się najniewinniej przyczyną zachwiania tego przyjaznego stosunku. A oto jak się rzecz miała. Ku końcowi już mego pobytu w Kownie, wszystkie te trzy panie, w towarzystwie kilku dam innych, wybierały się na pieszą pielgrzymkę do Wędziagoły, do słynącego tam cudami obrazu Panna Jezusa. Była więc o tém mowa na wieczorze u państwa Kowalskich, i ja wpół żartem zacząłem się wpraszać, aby mnie też do swego grona przyjęły. Adam z tego powodu, za powrotem do domu, w przystępie dobrego humoru, napisał do mnie żartobliwy wierszyk, dając mi w nim przestrogi i rady, jak się mam w tój pielgrzymce względem współ-pielgrzymek zachować. Nie było w nim nic sarkastycznego, ale sama prosta wesołość. Jedna strofa np. którą dotąd pamiętam, tak brzmiała:

„A gdy dochodząc usiądą przy drodze,
 Aby wdziać białe pończoszki:
 Pamiętaj, chłopcze, o mojej przestrodze,
 Nie patrzeć wtedy na nóżki.“

Mimo to, starsza zwłaszcza panna marszałkówna tak się uczuła obrażoną przez to, że ktoś pobożną pielgrzymkę śmiał obrać za przedmiot do żartu: iż zaledwo pośrednictwu pani Kowalskiej udało się gniew jój rozbroić.

Ale nie to był wszakże najważniejszy epizod tego mego pobytu w Kownie. Najważniejszy istotnie, o którym mam mówić, jest mi zawsze w moich wspomnieniach najbardziej przekonującym dowodem, delikatnej w gruncie dobroci i pobłażliwej wyrozumiałości Adama, które się w nim nie zawsze objawiały z pozoru.

Nielatwo mi też jakoś przychodziło zacząć z nim mówić o moich projektach wizyty w okolicach Kowna, a cóż dopiero prosić, aby mi w niej towarzyszył i zaprezentował mnie w nieznanym domu. Odkładałem to więc z dnia na dzień. Tymczasem na trzeci czy na czwarty dzień po przyjeździe, powróciwszy już późno z przechadzki, nie poszliśmy jak zwykle do państwa Kowalskich, ale piliśmy herbatę w domn. Adam był wcale wesół i rozmówny, i kazał mi czytać sobie nowe moje wiersze, które z sobą w tym celu przywiozłem. Był między niemi przekład dłuższej ballady Bürgera, niezmiernie romantycznej i krwawej, p. t. „*Leonardo i Blandina*.” Był on potem drukowany w „Dzienniku Wileńskim,” ale go nawet w późniejszym zbiorze ramot mych nie umieściłem. Adam tłómaczenie pochwalił, ale treści ballady nie podobał, uważając ją za przesadzoną. Rozbudził się w nim wszakże poetycki element, i chciał mi odczytać nawzajem najnowszy swój przekład z Byrona: „*Pożegnanie Childe-Harolda*.” Zaczął czytać całkiem spokojnie; ale gdy przy-
szło do rozmowy z pazurem i z giermkim, w głosie : znać było wzruszenie, które z każdą strofą wzrastało. Odstawił fajkę, którą piérwój palił czytając, przy deklamacyi strofy:

„Teraz po świecie goniąc szerokim,
Tak pędzę życie tułaczę;

Czegóż mam płakać? za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?“

głos jego zaczął się zmieniać, jakby nabrzmiwał łzami; aż nakoniec zbladł nagle, i upadł na ziemię. Przeraziło to mnie okropnie. Porwałem karafkę z wodą, i oblałem mu skronie i piersi. Mdłość ta nie trwała dłużej nad jakie pięć minut. Powstał, ale czując się widać osłabionym, położył się ubrany na łóżku. Widocznie nie rad był z siebie, że się dał tak opanować wzruszeniu, i pierwsze słowa, które przemówił, były: „Proszę cię, daj mi słowo, że nie będziesz o tém rozpowiadał nikomu!“—Ukląłem przy nim u łóżka, i żeby go rozerwać, zacząłem umyślnie mówić o czém innym, a mianowicie o Kasynie i o teatrze amatorskim w Wilnie. Przyszło więc i do Armidy, i nakoniec do prosby, aby mnie w domu jój siostry, pani Maurycowej Prozorowej, przedstawił. Dotąd słuchał spokojnie i zdawał się interessować opowiadaniem; ale zaledwo wymieniłem prośbę, — jak gdyby go coś ukłóło; podniósł się, usiadł na łóżku, i stanowczo, omal że nie opryskliwie, powiedział: „Nie, ja tego nie zrobię. Możesz sobie jechać sam, kiedy zechcesz.“—Przykro mi się zrobiło niewypowiedzianie. Powstałem także, a on z twarzy mojej i z oczu musiał widać wyczytać wrażenie słów swoich. Powstał zatem na nogi, zaczął znów nakładać fajkę, a jakby usprawiedliwiając się z odmowy, powiedział mi otwarcie, że domu pana Chłopickiego nie lubi, i że nigdy w nim w Kownie nie bywał. Nie miałem co na to odpowiedzieć; on zaś wyraźnie chcąc mię załagodzić, zmienił ton, i stosując rzecz wprost już tylko do mnie, zaczął mię najprzód gładzić po swojemu, a potem po Mentorsku ostrzegać.

aby się nie „zadurzał“ napróżno; bo to do niczego nie doprowadzi, a może zatruć mi życie. Zaspokoilem go co do tego punktu; ale przytém zrobiłem uwagę, że sama przecież prosta grzeczność kazała być z wizytą, kiedy przyrzekłem. Adam zmiękniał widocznie, i przeszedł w ton żartobliwy. Skończyło się na tém, że obiecał, iż mię sam zawiezie do Romań; gdyż ani przeciw panu Maurycemu, ani przeciwko żonie jego i jój siostrze nic nie ma do zarzucenia. Szło więc już tylko o to, w jaki sposób miała się odbyć wizyta. Adam miał swoją własną klaczkę jezdną, która stała na stajni u państwa Kowalskich; lecz że się była zatarta od siodła, od tygodnia już jój nie używał. Stało się tedy na tém, iż skoro się okaże, że będzie mogła znieść siodło nazajutrz, pojedziemy konno, aby oglądać niby prześliczny smug nad brzegiem Niewiaży, między Czerwonym Dworem a Romaniami, i po drodze wstąpimy do Romań. Koń drugi miał być z czwórki pana Kowalskiego. Nie bardzo mi się to podobało. Onegdajsza przejażdżka do doliny, nie zostawiła mi dobrego wyobrażenia o łagodności temperamentu owych czarnych rumaków. Ale Adam, który już nieraz jednego z nich dosiadał, obiecał, że i teraz weźmie go dla siebie, a mnie klaczkę swojój ustąpi. Projekt ten przyszedł nazajutrz do skutku; i po obiedzie u państwa Kowalskich, korzystając z prześlicznego wieczoru, puściliśmy się na tę literalnie *romantyczną* wyprawę do *Romań*. Była to także dla mnie wielka nowość w życiu, a Adam tak był dobry i względny, że mi niczém a niczém uroczych jój wrażeń nie mącił. Podróż nie trwała godziny. Wchodząc na wschody, usłyszeliśmy głos fortepianu. Adam zatrzymał się, i słu-

chał—i przyznał, że gra była mistrzowska. Grającą była Armida, sama jedna w salonie. Nie dziw więc, że się zażenowała widocznie. Adam przypomniał się jako dawny znajomy, który ją dzieckiem widywał; gdy zaś wyszła, aby siostrze gości oznajmić, (gdyż samego pana w domu nie było), nie mógł nie przyznać także, że ma istotnie podobieństwo z Armidą. Wszystko więc dotąd szło dobrze; ale gdy pani domu weszła w towarzystwie swój matki, on, zamiast mię przedstawić po prostu, wymieniając moje nazwisko, wymienił je z dodaniem tytułu „Marszałkowicza,“—choć mój ojciec właściwie był tylko wice-marszałkiem Oszmiańskiego powiatu. Nie umiem wypowiedzieć jak mię ta niespodziana rekomendacja zmieszła. Zrozumiałem od razu co znaczy, i jaki mi stosunek zakręśla. Chociaż więc wnet wspaniałomyślnie wziął na siebie całą rozmowę z panią domu i z matką, rozprawiając szeroko o pięknej pogodzie i o pięknej dolinie Romańskiej; nieszczęsny „Marszałkowicz“ stał, jak strach na wróble w pszenicy, w rozmowie mojej z Armidą, i gwałtem ją zda się przede mną w „pannę Majorównę“ przemieniał. To też pomimo bardzo grzecznych zaproszeń pani domu, nie zostaliśmy nawet na herbacie, ale po zimno-ceremonialnej wizycie, zabraliśmy się do odwrótu. Wymawiałem jużciż Adamowi że mię tak skonfundował fatalnie; ale on trwał uporczywie przy swoim, że owszem bardzo mądrze i właściwie postąpił. Na szczęście, pani Kowalska, gdyśmy do nich na herbatę wrócili i gdy sprawa wytoczyła się przed nią, stanęła po mojej stronie; a że pani P. przy pożegnaniu raczyła mi oświadczyć uprzejmie, że chwilowego wstąpienia mimojazdem za wizytę właści-

wie nie uważa: protektorka moja uznała przeto za konieczne, abym sam jeden odwiedziny powtórzył. Adam więc dał za wygrane, i na trzeci dzień potém znowu mi swój klaczki pożyczył. Tą razą wszystko udało się lepiej. Pojechałem wcześniéj niż piérwéj; był więc czas do spaceru z damami w dolinie; a że noc była miesięczna i ciepła, przed północą zaledwo powróciłem do Kowna.

Ale nie na tém koniec protekcyi pani Kowalskiéj. Miałem wrócić do Wilna przed 15 Maja, ale że p. Kowalski wybierał się tam także 16-go, wstrzymałem się, aby jechać z nim razem. Że zaś d. 15 przypadały imieniny nie tylko panny Zofii, ale i jéj matki: pani Kowalska uznała za właściwe, aby i mąż jéj także powinszował dawnéj znajoméj, i co większa, nakłoniła jakoś Adama, że zgodził się nam towarzyszyć. Tym sposobem, najniespodziewaniéj raz jeszcze byłem w Romaniach, wigilią imienin; tą razą już powozem państwa Kowalskich.

Ale nie tylko sama pani Kowalska zaszczyliła mię tak swoją dobrocią; miałem téż szczęście zjednać łaskę u starszój pani, i to tak dalece, że gdy grałem w kixa zazwyczaj z całą powagą i namaszczeniem, a Adam zawsze kręcił po swojemu: wołała nieraz z największym zapalem: „Jak wasan nie masz wstydu i sumienia dawać taki zły przykład młodszemu, kiedy sam powinienbyś uczyć się od niego.“ — Wykrzykniki tego rodzaju niezmiernie zawsze bawiły Adama, i nie było prawie wieczoru, żeby sam piérwszy nie zaproponował gry w kixa. Staruszka nieraz wzdragała się o, żądając najprzód jego obietnicy, że będzie grał czciwie;“ ale jednakże zawsze kończyło się na tém, śmy zasiadali do stolika, i że się kłótnie wznawiały

co chwila. Gra trwała zwykle do godziny 10; poczem sam p. Kowalski pędzał wszystkich do snu, a my z Adamem, korzystając z pięcynocy, szliśmy jeszcze niekiedy na spacer za miasto, i raz w Sobotę gdy nazajutrz lekcji nie było, za białego dnia już dopiero powróciliśmy do domu z doliny.

Tymczasem w listach odbieranych z Wilna zaczęły nas dochodzić złe wieści, o zaszłych w gimnazjum Wileńskim pomiędzy studentami klasy 3-jej wypadkach, w skutek których dyrektor gimnazjum, i ówczesny rektor uniwersytetu, Twardowski, pociągnięci zostali do odpowiedzialności. Adam był tém zasmucony głęboko, i jak gdyby w wieszczem jasnowidzeniu przepowiadał dalsze następstwa, potępiając surowo niewczesne wysoki głowy niedojrzałych, psujące nieraz dzieła pocziwój a rozumnej pracy.

Jakoż za powrotem do Wilna, dowiedziałem się zaraz od Czeczota, że posiedzenia gron naszych zostały zawieszona do nieograniczonego czasu, i że tylko u nas, co wtorek, mieli zbierać się sami piszący wiersze, aby je sobie odczytywać nawzajem, bez żadnych zresztą formalności zewnętrznych. Kilka zaledwo było takich wtorków, a trzebaż, że one to właśnie stały się początkiem biedy. Ale nie tu jest miejsce mówić o tém szerzej. Wolę więc przejść do innego przedmiotu.

Za powrotem także znalazłem miłą bardzo niespodziankę dla siebie, to jest formalne zaproszenie od państwa Puttkamerów, abym do nich razem z Czeczotem i Zielone Świątki przyjechał. Oboje byli mi nieznanymi, a oboje napisali list taki serdeczny, że choćbym sam nawet wprzód nie miał, onby mi natchnął ochotę do zrobien

téj znajomości. Ale Marylla oddawna była dla mnie przedmiotem ciekawości; i gdy w Kwietniu 1822 r. była z mężem na parę tygodni w Wilnie, i wiedziałem, że Adam i Czeczot u nich bywali: nieraz szukałem sposobu, aby ją choć zdaleka obaczyć; nie śmiejąc, ma się rozumieć, prosić żadnego z nich, aby mię do jéj domu wprowadził, ani nawet wspominać im o tém. Ale trzebaż, że właśnie to moje owoczesne krążenie około domu gdzie mieszkała, było jakby piérwszém ogniwem znajomości, a potém i przyjaźni naszój. W przypisku bowiem swoim do listu męża, o którym mówię, pisała: że już mię zna z widzenia, i że przeto chce poznać bliżej „Telemaka, którego taki nawet surowy mentor jak Czeczot, Beniaminkiem swoim nazywa.“ To mi wytłómaczyło dopiéro, dla czego mnie i Adam przy piérwszém spotkaniu tak nazwał; to jest, że mię tak zwykle Czeczot przed swoimi przyjaciółmi nazywał. List samego pana Wawrzyńca pisany był z poważniejszą grzecznością, ale i on téż niemniej na ton koleżeński zakrawał. Ujęło to mię za serce, tém bardziej, że dotąd przeciwko niemu miałem zawsze niejaki uprzedzenie z *Dziadów*, wyobrażając go sobie, (jak może i niejednen z czytelników ich wyobrażał), jakimś dumnym, bogatym arystokratą, który tylko przez „złoto i świecącą bankę honorów,“ serce „wietrznej istoty“ ku sobie pociągnął. Czeczot wprawdzie mówił mi zawsze, że jest to najzacniejszy, najczulszy człowiek, i że całe postępowanie jego względem Adama było nacechowane zawsze najwyższą szlachetnością, którą sam Adam najzupełniej uznawał. Nięg wszakże, nie poznawszy sam osobiście, nie mógłbym na cudzą wiarę przypuścić, aby ów „wydzierca

Marylli“, był rzeczywiście tak wysoce idealnym, i nawet, że się tak wyrażę, tak poetycznym pod każdym względem człowiekiem. Nim więc przystąpię do opowiadania własnych mych o nim wspomnień, chcę podać tu nasamprzód krótki jego życiorys, podług najwierniejszej prawdy skreślony, aby fakta, lepiej niż wszelkie słowa, dały poznać go takim, jakim był w istocie—jako człowiek, i jako obywatel.

Wawrzyniec Puttkamer, syn Alexandra, Szambelana b. Dworu polskiego, i Karoliny ze Stryjeńskich, urodził się w r. 1794, w dziedzicznej wsi Bolciennikach, w powiecie Lidzkim. Tytuł hrabiowski przysługiwał od wieków rodzinie jego na Pomorzu, z kąd szcep jój przeniósł się do Polski, i został potwierdzony przez heroldyą krajową. Mimo to p. Wawrzyniec, idąc za przykładem dziada i ojca, nie tylko go sam nie używał, lecz nawet użycia jego względem siebie nie znosił, przestając, jak się wyrażał, na godności polskiego szlachcica; a i tę ostatnią zakładał tylko na szlachetności uczucia i postępowania. Osierocony wczesnie po matce, wychowany był głównie przez dziada, Generała b. wojsk Litewskich (Wawrzyńca), człowieka głębokiej wiary i nieugiętych zasad charakteru. Przymioty te odziedziczył po nim. Odbywszy szkoły w Słucku, pod szczególną opieką znakomitego ich wówczas rektora, Wannowskiego, w roku 1809 wstąpił do uniwersytetu Wileńskiego, na oddział fizyczno-matematyczny, i otrzymawszy stopień kandydata, w r. 1812, zaciągnął się wnet jako ochotnik, i to w stopniu prostego żołnierza, do pólku ułanów Wincentego hr. Krasieńskiego, składającego, jak wiadomo, część gwardyi Napoleona, i odbył w nim całą

kampanię tego roku. Podczas rejterady, wstąpił na dni parę do domu, i zapadł na epidemiczną gorączkę. Ale zaledwo powrócił do zdrowia, pomimo osłabienia i groźących z kąd inąd niebezpieczeństw, przedarł się sam jeden do Warszawy i połączył się tam ze swoim pólkiem. Odbył z nim dalsze kampanie 1813—14 r., w stopniu porucznika, i dopiero za powrotem wojsk polskich do kraju, on téż na łono rodziny powrócił. Ojciec wydzielił mu majątność Unichów, w powiecie Nowogródzkim, w sąsiedztwie Tuhanowicz, majątności pp. Wereszczaków, gdzie się poznał i zaręczył z córką domu Maryllą, przed poznaniem się jój jeszcze z Adamem. Od Zana i Czeczota, jako naocznych świadków, wiem, jak wysoce szlachetne i prawe było całe jego postępowanie, gdy postrzegł nową skłonność swojej narzeczonej. Przez wzgląd nie na siebie, lecz na nią, nie tylko zaręczyn nie zerwał, ale po przyjacielsku rozmówił się z Adamem, i dopiero gdy ten dobrowolnie się usunął, zawarł z nią śluby małżeńskie, dnia 2 Lutego 1821 roku. A cóż dopiero mówić o téj bezprzykładnej może względności i delikatności w postępowaniu po ślubie, na które ja sam już zbliżka przez lat cztery patrzałem, i w skutek których to właśnie, owa czysto braterska przyjaźń, jaka zawsze i ciągle między nimi istniała, zamieniła się w końcu ze strony żony w cześć dla niego i miłość serdeczną, i bez zmiany już taką aż do śmierci obojga dotrwała.

Tu mam jeszcze za obowiązek opowiedzieć o dalszym ich stosunku z Adamem, tém bardziej, że najrutniejsze kłamstwo w tym względzie, nie wiem przez kogo najpierw ukute, ale ogłoszone najprzód w „Gazecie Polskiej,“ wychodzącej w Warszawie w roku

1860, lubo zaprzeczone zaraz przeze mnie z upoważnienia saméjże Marylli, dotąd echem krąży po świecie, jak zresztą i wiele innych, również fałszywych baśni o Adamie: jak np. o przypadkowym jakoby poznaniu się jego z Puszkinem w Odessie, a z Zygmuntem Krasieńskim przy fortepianie w Genewie; o złotém piórze, ofiarowaném mu jakoby przez Göthego; i t. p.

Otóż piérwsze widzenie się Adama z Maryllą, po jéj zamążpójściu, nastąpiło w Kwietniu 1822 roku, w Wilnie, gdy tam z mężem przez tygodni parę bawiła. Adam bywał u nich dość często, ale zawsze tylko w towarzystwie Zana albo Czczota. Samemu p. Wawrzyńcowi ofiarował exemplarz nowowyszłych poezyi swoich z napisem; który to exemplarz jest dotąd w posiadaniu jego syna. Następnie, na Zielone Świątki tegoż roku, pojechał do nich na wieś do Bolciennik, nie z Łozińskim, jak głosiła Gazeta Polska, ale z żyjącym dziś jeszcze Kazimierzem Piaseckim; i nie w celu wyzwania męża na pojedynek, ale dla przepędzenia dwóch dni świąt w przyjacielskiej wiejskiej gościnie. Ostatnie zaś widzenie się było w Wilnie, w piérwszych dniach Lipca 1824 r., gdy przybyli oboje ze wsi na dni parę, dla pożegnania się z Zanem, Czczotem i Adamem Suzinem, przed wyjazdem ich do Orenburga.

A teraz wracam do przerwanego życiorysu pana Wawrzyńca, aby uzupełnić go rysem działalności jego obywatelskiej.

W r. 1818, na gubernialnych sejmikach w Grodnie, młody Puttkamer piérwszy wniósł i popier gorliwie wniosek oswobodzenia włościan z poddaństw jak to na mocy pozwolenia rządu czynili właśnie ob.

watele gubernii Nadbałtyckich. Okrzyknięto go za to „demagogiem.“ — Jako członek i dożywotni kurator Ewangelicko-Reformowanego Synodu w Wilnie, projektował oczyszczanie włościan w dobrach do tegoż synodu należących; ale został przegłosowany przez większość. Sam więc przynajmniej u siebie umniejszył dobrowolnie i określił inwentarzem dni robocze i inne powinności włościan; i zyskał za to w powiecie patent na „ideologa.“ — Gdy zaś w r. 1845, będąc Marszałkiem szlachty powiatu Lidzkiego, przy wprowadzaniu z urzędu nakazanych naówczas inwentarzy rządowych, ściśle w nich obustronnej sprawiedliwości przestrzegał: nadano mu szyderczą nazwę „Marszałka chłopów,“ z której on owszem sprawiedliwie był dumny.

Gorliwy niemniej o materyalną pomyślność kraju, dokładał wszelkich usiłowań, aby się do rozwoju zwłaszcza przemysłu miejscowego przyłożyć. Wyjednał pozwolenie u rządu na założenie w Wilnie cukrowni przez akcye; ale akcyonaryuszów zabrakło. Próbował więc założyć ją sam u siebie, podobnie jak fabrykę sukna i garbarnię; ale wszystkie te przedsięwzięcia, z powodu niedostatku obrótowych kapitałów, upadły. Fabryka atoli papieru, którą na ostatku założył, trwała korzystnie przez lat wiele, dopóki zastosowanie do niej machin parowych nie postawiło go w niemożności wytrzymania konkurencyi z innemi, którym na sprowadzenie tych machin starczyło. Stan bowiem zamożnego niegdyś za dziada majątku, po śmierci jego, i w skutek długiej choroby ojca, doszedł był do wielkiego rozstroju. Gdy więc ojciec nakoniec zdał zarząd na niego, on, podzieliwszy się nim równo z jedyną siostrą, przez całe życie łamać się musiał z trudnościami finansowemi;

mając przytém stale za godło maxymę przejętą od dziada: „Niech raczój wszyscy mnie krzywdzą, bylem ja nie skrzywdził nikogo.“ Maxymy téj święcie dopełniał, a wsparty niezachwianą wiarą w Opatrzność, umiał utrzymać zawsze nie tylko spokój i pogodę umysłu, ale nawet tak miły i swobodny humor, że nim wszystkich serca zniewalał. Natura téż uposażyła go hojnie, dając mu piękne mężkie rysy i postawę, i głos dziwnie harmonijny do śpiewu. Głos ten był w nim jakby symbolicznym wyrazem wewnętrznego nastroju ducha, estetyczno-poetyckiego, który go na każdym kroku życia, a nawet, rzechy można, w chwili śmierci odznaczał. Rażony paraliżem w Wilnie, właśnie gdy ledwo ze wsi przybywszy wybierał się na wieczór do mnie, stracił od razu mowę i przytomność, i po kilkodniowych cierpieniach, odzyskał je dopiero na godzinę przed śmiercią, ale tylko na tyle czasu, że mógł zanócić jedną strofę przedśmiertnego psalmu, który dziad jego śpiewał téż konając. Umarł w Wilnie 30 stycznia 1850 r. Strata jego obudziła współczucie w całym obywatelskiém społeczeństwie Litewskiém. Tomasz Zan, który go pierwszy wraz ze mną zaraz po skonaniu nawiedził, płacząc rzewnie powiedział o nim: „Nie było w sercu jego zdrady!“ — Nad grobem jego, na Ewangelickim cmentarzu Wileńskim, wyryty jest na pomniku ułożony przeze mnie napis:

Przechodniu, stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
 Co żyjąc stał na czasie swego wysokości;
 Serce jego dla Prawdy i dla Cnoty biło.
 A całe życie jego pasmem ofiar było,
 Służąc Ludzkości w Bogu, a Bogu w Ludzkości.

Smutna to rzecz, i nawet nielogiczna na pozór, przytaczać najprzód nagrobek człowieka, a potem zaczynać mówić o pierwszym jego poznaniu. A jednak jest to zwyczajna kolej myśli moich przy pisaniu tych opowiadań. Gdy chcę wskrzesić w pamięci jakiś okres czasu, przebiegam najprzód myślą osoby, z którymi razem w nim żyłem; i pokazuje się, niestety! najczęściej, że z nich sam jeden już tylko pozostaje na świecie. Stają mi więc najpierw przed oczyma ich groby, i dopióro zmówiwszy nad niemi *Anioł Pański*, i otrząsłszy myśl, jak kwiat z rosy, muszę i mogę zacząć przypominać, jakimi i czém byli za życia, sami w sobie, i dla mnie. Ale nawet względem siebie samego, ileż to nieraz potrzeba czasu, nim jak owi Gervazy i Protazy w „*Panu Tadeuszu*“, człowiek sam w wyobraźni własnej zdoła dójrzyć samego siebie, jakim był w owój przeszłości.

Otóż ja w tej chwili „oglądam sam siebie“, jak w Sobotę przed Zielonemi Świątkami, w r. 1823, zwiągam się już od rana po mieście, aby się z przyjaciółmi pożegnać, i jak przed samym już wyjazdem, idziemy o zachodzie słońca z Massalskim wykapać się raz jeszcze w Wili, gdzieśmy od wielu dni codzien o wschodzie wyprawiali studenckie *regaty*, pryskając się nawzajem dopóty, aż ten lub ów drugiemu ust i oczu wodą nie zalał. Wspominam tu ten szczegół dla tego, iż może być ciekawym rysem w psychicznej charakterystyce Massalskiego, o którym przyjdzie mi wnet wspomnieć z kądinąd; a z którym wtedy śmiejąc się i figlując w kąpieli, mógłłem przewidzieć, że go już nigdy więcej w życiu nie zobaczę, i że właśnie z jego powodu, chociaż pewnie nie z jego złej woli, i ja, i to-

warzysz podróży mojej, Czeczot, rozpoczniemy piérwsi szereg wypadków, które miały wpłynąć stanowczo na los nasz i wszystkich przyjaciół naszych.

Po całonocnej podróży, z krótkim tylko popasem w Jaszunach, o wschodzie słońca w Niedzielę, zajechaliliśmy przed dom w Bolciennikach: obszerny, muryrowany, ale bez pietra. Wszyscy, ma się rozumieć, spali; ale stary poczciwy Dominik, który spał w ganku, oczekując na nas, zaprowadził nas do przygotowanego dla nas pokoju, gdzieśmy wnet tak twardo zasnęli, że tenże sam nasz przewodnik zmuszonym był budzić nas, mówiąc, że musimy się śpieszyć z ubraniem, aby się na mszę do Bieniaków nie spóźnić. Jakoż ledwośmy się ubrali, a on znowu przyniósł nam kawę:—otwierają się drzwi, i wchodzą oboje gospodarstwo, gotowi już jak wsiadać i jechać do kościoła. Weszli trzymając się pod ręce; a ta chwila piérwszego widzenia stała się dla mnie, względem ich obojga, jakby kamertonem uczucia, które rozwijając się i potęgując w ciągu wieloletniego dalszego stosunku, zawsze jednak mniej więcej zachowało ten sam ton i koloryt, w piérwszej chwili od razu powzięty. Sprzeczny on był najzupełniej z oczekiwaniem, to jest, z wyobrażeniem, jakie się już oddawna było we mnie złożyło, a którego świeże nawet opowiadania Czeczota, (bośmy w drodze o tém najczęściej mówili), zmienić jakoś nie mogły. Sam on przedstawiał mi się zawsze jako poważny ziemski obywatel, z pozorem i grzecznością pańską. Ona zaś—heroina! ofiara! wyobrażała mi się nie inaczej, jak posepna, blada, milcząca, jak statua rezygnacyi na grobie. Aż oto jawi się para! On, dorodny, piękny młodzieniec; z włosom blond, wijącym się w pier-

ścienie; a z takim filareckim wyrazem w oczach i w twarzy, że aż serce drgnęło ku niemu. A ona—w białej sukience po szyję; przepasana wpół paskiem czarnym; włosy ucięte krótko, ale jednak spadające na szyję, z pod okrągłego słomianego kapelusika; z twarzyczką białą, rumianą, uśmiechniętą figlarnie; zdała mi się być typem miluchnej pensyonareczki. Uśmieszek ten figlarny był wyraźnie przewodnikiem ułożonego już w myśli powitania, które w wesołym i poufałym tonie, lubo zwrócone głównie do Mentora, dało się jednak zastosować i do Telemaka, jak mnie zaraz od początku nazwała. Pierwsza rozmowa też ze mną zaczęła się od powtórzenia prawie słów listu, to jest, że była ciekawa mnie poznać, i że raz, za wskazaniem Tomasza Zana, widziała mnie chodzącego przed domem, w którym w Wilnie mieszkała. Powiedziałem zatem nawzajem, dla czego tam tak często chodziłem: — i znajomość od razu zaczęła się w najlepsze. Nimesmy zaś we czworo w powozie dojechali na mszę do Bieniakoń, byłem już tak z obojgiem jak Czeczot, który ich znał od lat wielu. (Puttkamer był wyznania ewangelicko-reformowanego, ale to mu nie przeszkadzało wcale być z żoną i modlić się w katolickim kościele). Ale co mnie zadziwiło najwięcej, to że zaraz w pierwszych rozmowach, które były o poezyi, imię Adama tak często i tak swobodnie i naturalnie było wspomniane przez oboje, jak gdyby „*Dziadów*“ nie było na świecie. Następnie była też mowa i o świeżej mojej bytności w Kownie, (o czém od Czeczota wiedziano), i sama pani zawię, chociaż bez wyraźnego nacisku, rozpytywała mnie zwłaszcza o pani Kowalskiej, o której znać już edtém od kogoś słyszała. Zrozumiałem, że Adam

nie przestał interessować w myśli samą pani, ale że się to działo za wiedzą i zgodą małżonka, który sam o nim ze szczerem uwielbieniem jako o poecie, a z szacunkiem i życzliwością jako o człowieku wspominał. Przekonałem się zaś najdowodniej w dalszym ciągu mego z nimi stosunku, że był to skutek albo wyraźnej niegdyś między nimi umowy, albo przynajmniej szczerego i otwartego porozumienia się nawzajem w tym względzie. To też bywały chwile, że pozowała wyraźnie, i to w obec męża, jeśli nie wprost na ofiarę, to przynajmniej na heroinę, która z siebie ofiarę poniosła. Wynik zaś tego wszystkiego w przekonaniu moim był taki: że to poetyczne idealizowanie samą siebie, we własnych swoich marzeniach i myślach, wynagradzało jej dostatecznie rzeczywistą stratę kochanka, aż nawet całkiem w końcu miejsce jego zajęło; mąż zaś, wyrozumiewając doskonale ten stan eterycznego rozmarzenia wyobraźni, z rozmysłu i postanowienia pozwalał jej bujać swobodnie i wyczerpywać się do końca; ażby znużona wręście i nasycona wymarzoną chwałą heroiny, sama przez się wróciła na poziom rzeczywistego życia. Jakoż mądre te przewidywania psychiczne ziściły się z czasem co do joty. A że człowiek, który to umiał przewidzieć, musiał być i był istotnie niepospolitym człowiekiem: nie dziw, że zaspokojona w wyobraźni swój co do siebie, sercem zwróciła się w końcu i przywiązała ku temu, który jej tak rozumnie i szlachetnie do osiągnięcia tego uspokojenia dopomógł.

Dalsza historia małżeńskiego ich stosunku jest taka: Apoteozując się wciąż w myślach własnych, jako przedmiot uczuć wielkiego poety, jako źródło pierwszych jego natchnień i chwały; nowa Laura czy Beatricze; w życiu

realném była ona zawsze przykładną towarzyszką i najszczerzą przyjaciółką dla męża; aż nakoniec wspólna rodzicielska miłość ku dzieciom, zjednoczyła ich i pomiędzy sobą wspólnością uczuć i myśli; tak, że pozycie ich odtąd, aż do końca życia, stanowiło obraz szczęśliwego stadła. Ale co w pierwszych latach, [o których tu właśnie mowa, to cała zasługa utrzymania i kierowania stosunkiem przypada na takt, rozum, i szlachetną wyrozumiałość męża.

Dla gości wszakże dom ich już i wtedy był dziwnie miłym, a zwłaszcza dziwnie poetycznym przybytkiem. Wszystko tu zda się tchnęło i było przesiąkłe poezją, zaczawszy od samej pani, aż do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia. W niczém nie było światowego przepychu ni zbytku; ale bez przesady możnaby powiedzieć, że we wszystkiém był przepych i zbytek poetyczny, to jest, że wszystko miało raczej na celu estetyczne wrażenie i przyjemność, niżeli realną potrzebę lub materyalny pożytek. Samo nawet właściwe gospodarstwo żeńskie, domowe, którem się sama owszem chętnie zajmowała, miało charakter więcej sielankowy, niż ściśle ekonomiczny. Zaglądała np. do obory, stajni i folwarku; ale to nie gwoli nabiąłu, lub dozoru pańskiego oka. Krowy na zawołanie do rąk jój przychodziły same; konie w stajni, a zwłaszcza ulubiona jezdna „Huryska,“ oglądały się ku niej gdy weszła; bo zwykle miała w chustce sól lub cukier dla jednych i dla drugich. Na głos jój o obiedzie z ganku, wszelkie ptastwo ze wszystkich tron dziedzińca biegło z krzykiem i skupiało się koło niej; bo mu z kosza sypała ziarno, lub okruchy zerane ze stołu. Z twarzy sług widać było ochoczą

uprzejmość, z jaką każdy był gotów na rozkazy pani; bo pani nie wymagała tylko biernego posłuszeństwa, lecz była sama w domu jak *starsza panienka*, co na wieś na wakację przybywszy, i sama bawi się wszystkiem i każdemu radaby zrobić przyjemność. Rzeczywisty niewieści zarząd domu był wyłącznym udziałem stariej pani *Gryndzowój*, to jest dawniej piastunki samego pana, która go wychowała od dziecka osierconego po matce, i której on kiedyś chłopięciem życie nawzajem ocalił, ugasiwszy, z narażeniem się własnem, zajętą już płomieniem odzież jej od komina, przy którym przedąc usnęła. Stosunek jej z młodą panią mógłby ująć i był istotnie najpiękniejszym dowodem charakteru i temperamentu tej ostatniej, która go tak ułożyć i utrzymać umiała, iż nie ubliżając bynajmniej powadze swój, jako pani domu, a uwzględniając zasługi i nawyknięcia staruszki, zostawiła ją przy zarządzie domem wychowawca, który też ze swojej strony okazywał dla niej szacunek i affekt serdeczny, jakby dla starszej krewniej, a nie sługi. Ale trudniejszy stokrój był stosunek i obowiązek synowej względem męzowskiego ojca, który od lat już wielu popadłszy w rodzaj melancholii, po stracie żony i w skutek klęsk krajowych, na starość był już prawie zdziecinniał, i mieszkał stale przy synu. Był to staruszek dziwnie cichy, słodki, łagodny, modlący się już tylko, lub niekiedy piszący wiersze (treny), których wszakże nie czytał nikomu. O wszystko prosił pokornie, i za wszystko czule dziękował. Postępowanie względem niego Marylli było istotnie godne uwielbienia. Staruszek całym sercem przywiązał się do niej; a ona, z poświęceniem najlepszej córki, starała się we wszystkiem

i zawsze dolę jego i tęsknotę osładzać. Czyniła zaś to wszystko głównie przez chęć przypodobania się mężowi, wywdzięczając się mu przez to niejako za swobodę, którą on sercu i myślom jęj zostawiał. Chęć ta przypodobania się jak bratu, okazywała się w nięj również i w innych szczegółach domowego pożycia. Mąż naprzykład był przedewszystkięm troskliwy o los i dobro swych włóscian. Dopomagała mu więc w tęg najgorliwięj, opiekując się sama dziećmi i chorymi we wsi, albo tęg, dla pracujących w lecie podczas skwarów, przyrządzając i posyłając na pole beczki z kwasem lub wodą octową. Towarzyszyła mu tęg chętnie w odwiedzaniu chałup wiesniaczych, a nawet często i na polowaniu z chartami, które on lubił namiętnie, a ona była tylko śmiałą amazonką. Same nawet psy jego myśliwe, których było stosunkowo za wiele, a w których ona sama wcale upodobania nie miała, były dla nięj przedmiotem troskliwęj opieki, wiedząc, że się to podoba mężowi. W ten tęg sposób daje się najlepięj, a nawet jedynie, pojąć i wytłómaczyć ów szczególnięjzy stosunek, który ich łączył w piérwszych latach pożycia. Nie miał on w nięj właściwie żony, ale miał czulą siostrę i dobrą przyjaciółkę, która o jego przyjemnościach myślała, i z którą mógł o wszystkięm z ufnością i z przyjemnością pomówić. A zresztą i sama bytność w domu młodęj, nadobnęj, miłęj panienczki, nie mogła jużcićz nie mieć dlań pewnego uroku, tęg bardziej, że miał zawsze w perspektywie przed sobą, że prędęj późnięj miłość jęj pozyska.

I tu właśnie jest miejsce, jak sądzę, powiedzieć zcze słów kilka o osobistości Marylli. Śmiało może być pewnym, że ludzie będą przez wieki myśleli

i wspominali o niej, jak dziś myślą i wspominają np. o Orszulce Kochanowskiego. A któż dziś nie radby wiedzieć, jak wyglądało za życia to „*Kochanie Ojcowskie?*“

Otóż ja, jako świadek naoczny, powiadam: że nie znałem drugiej osoby, coby się tak kwalifikowała, jak ona, na przedmiot *poetycznego kochania*, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta, i adepta „*promionkowej*“ teorii miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną, we właściwem tego słowa znaczeniu; ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spójrzanie wyraziste i czule, uśmiech naiwny i figlarny zarazem—wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jęj ducha. Oczytana, exaltowana, marząca więcej niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowej mgły swęj wyobraźni; ale sama ta mgła właśnie sprawiała, że też i dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną, pospolitą istotą; i dosyć było spójrzeć przez pryzmat miłości, aby w niej dójrzeć nie ziemskie, Ossyanowsko-obłoczne zjawisko. Gustaw spójrzył—i mamy *Dziady*.

Ale wracając do realnej prozy. Przez te trzy dni pobytu w Bolciennikach, wyczerpaliśmy wszystkie wiejskie rozkosze. Chodziliśmy i jeździli konno na spacer, około zboża, do wsi, i do lasu. Obiadowaliśmy pod gołem niebem w ogrodzie, a podwieczorkowaliśmy wesoło w gaju, choć tam to właśnie znajdował się ogromny płaski kamień, z krzyżem przez nią samą wykutym, położony jako nagrobek: Przeszłości i Nadziei. Jeździliśmy wieczorem na słomki, i strzelaliśmy.

do jaskółek nad stawem; przyczém błękitny nasz kolega, p. Xawery Turski, który téż swoją drogą jako gość przyjechał, rehabilitował świetnie strzelecką sławę poetów, z których się pod tym względem natrząsała Marylla. Zabawę między czterema ścianami składały, oprócz rozmowy: muzyka, deklamacya, lub śpiewy samego pana Lorensa, (bo go tak nazywała Marylla, a i my wszyscy przyjęliśmy tę nazwę). O głosie jego wspominałem już wyżej, że był dziwnie harmonijny i wdzięczny. Śpiewał zwłaszcza z upodobaniem francuzkie piosnki żołnierskie, albo nasze własne ludowe. Z tych ostatnich utkwiała mi zwłaszcza w pamięci jedna rusińska, i to nie tylko ze swojej melodyi, chociaż bardzo wdzięcznej, i na temat której Marylla ułożyła téż bardzo wdzięczne waryacye na fortepian. Była bowiem niepospolitą na owe czasy muzyczką; i choć nie zadziwiała mechaniczną ruchliwością palców, ale gra jój przemawiała do serca. Piosnka zaś, o której wspomniałem, była następująca:

*„Da czerez moj dwor,
Da czerez moj dwor,
Da ciaciera laciela.
Nie dau mnie Boh,
Nie dau mnie Boh,
Kaho ja chaciela.“*

Słowa te w ustach męża Marylli, śpiewane przy akompaniamencie jój samój, mogłyby ująć za najwymowniejszy komentarz ówczesnego ich między sobą sunku. Dla mnie zaś ta pierwsza, trzydniowa goma w Bolciennikach, stała się początkiem najszczerzej, serdecznej przyjaźni, która jak już z jednej strony dotrwała, tak z drugiej trwa aż do śmierci.

Ale smutny był powrót do Wilna. Wprost z powozu poszedłem do państwa Becu i zastałem dom cały w zamieszaniu i przerażeniu. Massalki, który jeszcze w sobotę tak wesoło rozstał się ze mną; który przez całą niedzielę był w zwykłym swoim, to jest prawie płocho wesołym humorze; nazajutrz, ni ztąd ni z owąd, słowa nie rzekłszy nikomu, udał się sam dobrowolnie do miejscowej władzy, żądając, aby go ta od siebie odesłała pod strażą do Warszawy, gdzie on dopiero samemu Wielkiemu Xięciu powód tego swego kroku wypowieć. Poczytano go z razu za waryata; ale gdy uporczywie obstawał przy swoim, a innych oznak obłąkania nie było: uczyniono zadość jego żądaniu, i właśnie w dniu naszego powrotu, wysłano go istotnie do Warszawy, wraz z opieczętowanymi papierami, które w mieszkaniu jego znaleziono. Po dwóch tygodniach dopiero doszła nas ztamtąd wiadomość, że Massalski stawiony przed W. Xięciem oświadczył, iż pragnąc wejść oddawna do wojska polskiego, pod rozkazami Jego Wysokości, chwycił się tego sposobu, aby bez kosztu dostać się do Warszawy i mieć przytém sposobność przedstawienia się osobiście. Pierwszy zaś pomysł i pochop ku temu powziąć miał, jak sam wyznał, z pamiętników jakiegoś Francuza, który niegdyś podobnymże fortelem bezpłatną podróż do Paryża i posłuchanie sobie u króla wyjednał. W skutek tego, rozkazano go przyjąć do wojska, ale w stopniu prostego żołnierza. Po latach kilku dopiero, dosłużywszy się rangi oficerskiej, otrzymał nakoniec dymisyę. i zająwszy się interessami możnej rodziny pp. Dolskich na Podolu, ożenił się tamże, i umarł otoczony szacunkiem i życzliwością przyjaciół, których wszędzie umiał so-

bie pozyskać. Przed nikim wszakże i nigdy, jak mi powiadano, nie mówił o tym swoim osobliwszym postępku, i istotna jego pobudka została tajemnicą między nim a Bogiem. Ale pomiędzy jego papierami znalazł się jakiś listek od Jana Jankowskiego, który był pierwszą przyczyną zabrania też jego papierów, i następnie aresztowania jego samego. Nastąpiło to wszakże nie pierwój, jak w jesieni tegoż roku 1823. Zamiast więc dalszych skutków, jakie ztąd wynikły, wolę wrócić tymczasem do opowiadania o sobie, o tém ostatniem lecie wesołej i niczém jeszcze niezachmurzonej młodości.

Cała druga połowa Czerwca poświęcona była, jak zwykle, examinom uniwersyteckim. Moje, nad wszelkie spodziewanie własne, udały się jakoś pomyślnie:— w skutek zapewne cudownej opieki, której się w Ostrój Bramie najprzód poleciłem. Professor prawa Rzymskiego, Capelli, którego się obawiałem najbardziej, chociaż na radzie professorskiej oświadczył, (ale to w pół żartem), że miałem być jakoby „*le plus volage de toute l'université*“, (Capelli mówił zawsze po francuzku), nie przeciwił się jednak udzieleniu mi naukowego stopnia z „*obojga praw*“;—chociaż ja, Bogiem a prawdą, ani jednego dobrze nie umiałem. Wynagradzając więc za to sam siebie, pojechałem znowuż do Kowna, na publiczny examin tameczny; mając po nim razem z Adamem powrócić zaraz do Wilna.

Examin ten, a raczej popis publiczny, jak we wszystkich ówczesnych szkołach Litewskich, odbył się bardzo uroczyście i świetnie, w dzień ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, w obec licznie zebranej publiczności. Adam, jako professor „*Wymowy*“, kierujący deklamacją uczniów,

brał w nim zwłaszcza przeważny udział, wespół z professorem „Fizyki,” który doświadczeniami fizycznymi kierował. W gronie widzów, ma się rozumieć, były też i damy z Romań. Pani Kowalska tak była dobrą, że zajęła umyślnie miejsce obok z niemi, i mnie umieściła przy sobie. Ale ja przedtém już, i to właśnie w jój domu, znalazłem był niespodziewaną nowość, która rozrywała moję uwagę. Była nią córka rodzonej jój siostry, szesnastoletnia panna Józefa, a raczej Józia S., przybyła z Wilna do ciotki, aby jechać z nią razem na lato do kąpeli morskich w Krantz, pod Królewcem, dokąd też w końcu Lipca miał się udać i Adam. Nie mogła ona wprawdzie iść w porównanie z olśniewającą pięknoscią Armidy; ale miała też pięknosc swojego rodzaju, która ją dziwnie uroczać czyniła. Był to wdzięk rozkwitającej różyczki, a razem i duszyczki niewinnej, budzącej się właśnie do życia; i wdzięk myśli, co w pól jeszcze dziecinna, przeczuwa już w marzeniu świat wyższy, świat uczucia i ideału, i tęskni doń z nadzieją i z wiarą. Słowem była to dziwnie poetyczna istotka. Ujrzawszy ją raz pierwszy w kapelusiku pasterskim, kiedyśmy ją wraz z ciotką na przechadzce spotkali, nadałem jój od razu nazwę „berżerki,” która tak widać zdała się stosowną, iż już na zawsze pozostała przy niej, w gronie rodziny i bliższych przyjaciół. Adam zwłaszcza miał dla niej affekt prawdziwie ojcowski, i kiedyśmy z tój pierwszej wspólnej przechadzki wrócili, zapytał mnie najprzód na seryo: czy mi się podoba? i w ślad zatém bez ogródki oświadczył, iż jest to jego ulubioném marzeniem, aby mnie z nią kiedyś poswatać. Nic nie mogło być dalej ode mnie, jak naówczas myśl o mał-

żeństwie; a jednakże to powiedzenie Adama nie musiało pozostać bez pewnego wpływu; gdyż sam nie wiem jakim sposobem, ale dawny urok Armidy znacznie jakoś we mnie osłabnął. Nie zaniedbałem przecież być z wizytą w Romaniach; tylko, że gdy wróciłem i zdawałem z niej sprawę Adamowi, on widocznie był rad z jej wrażenia, i tém bardziej *berżerkę* wychwalał.

Za powrotem z nim razem do Wilna, gdzie on z Czeczotem i ze mną zamieszkał, przeciągnąłem jeszcze do połowy Lipca wyjazd mój na wakacye do domu, i rozstaliśmy się z nadzieją, że on znowu na przyszły rok szkolny albo urlop dla zdrowia otrzyma, lub za granicę wysłany zostanie. Ale wszystko się obróciło inaczej!... Ja wszakże przedtém miałem jeszcze porę spełnić mój wakacyjny projekt odwiedzenia Chodźki w Dziewiętni. Odwiedziny te w życiu i przeznaczeniu mojem stanowią jedną z najważniejszych epok. Na nich się skończył właściwie okres uniwersytecki, i pod ich zwłaszcza wpływem rozpoczął się nowy.

IV.

Od lat już wielu znane są ci, siostrzyczko, „*Dwie Konwersacye z Przeszłości*,” przez autora „*Obrazów i Podañ Litewskich*“ (Ignacego Chodźkę). Część ich druga, jak wiadomo, poświęcona jest wyłącznie wspomnieniom i opowiadaniu stosunków autora ze mną i ze wspólnym przyjacielem naszym, Juljanem Korsakiem. Opowiadanie to, ujęte w karby i trzymane w tonie kompozycyi literackiej, lubo na szczerzej prawdzie psychicznej, i nawet faktycznej, oparte, nie trzyma się wszakże jój ściśle pod względem chronologicznego porządku, przenosząc mianowicie zaraz na początek, co dopióro po latach kilku i kilkunastu było skutkiem tych pierwszych moich, nie wspólnych, ale pojedynczych odwiedzin. Uprzedzam przeto, że w niniejszém opowiadaniu mojem, nie krępuje mię wcale wzgląd na owe poprzednie; dla chcących zaś porównywać jedno z drugim, moje niech tylko służy za komentarz.

Od lat sześciu nie byłem w tych stronach. Ostatni zaś mój pobyt, podczas którego, jak już wyżej wspomniałem, raz pierwszy spotkałem się z Chodźką, b. mi zawsze niemniej pamiętny z powodu uroczystę

obrzędu Bierzmowania, do którego w parafialnym kościele Wojstomskim i ja także przystępowałem. Jako gościa postawiono mię na czele szeregu chłopców. Naprzeciw stały dziewczynki, a na ich czele, dwie panieneczki z sąsiedztwa, jedenasto i dziesięcioletnie: Ludwika i Zofia Mackiewiczówny. Wspominając o tym świętym obrzędzie, zawsze jakoś pamiętałem i o nich. Miłą mi więc była wiadomość, że o pół mili tylko od Dziewiętni mieszkają, i zaraz nazajutrz uprzejmy mój gospodarz zawiózł mię do „Ruskiego Siola,“ (tak się zwała wieś ich rodzinna). W „*Dwóch Konwersacyach*“ jest wiernie skreślony obraz i tego staroświeckiego domu, i młodych a gościnnych jego naówczas gospodarzy, i moich współbierzmowanek. Powtarzać go więc tutaj nie będę, a tylko korzystam ze sposobności, aby hołd czci i przyjaźni serdecznej złożyć pamięci trzeciój, starszój ich siostry, (z poprzedniego małżeństwa ojca), Anieli, dla której ta cześć właśnie i przyjaźń, od pierwszej chwili poznania powzięte, stały się pierwszym ogniwem, które los mój z tym domem w przyszłości złączyło. Autor „*Konwersacyi*“ nie wspominał o niej z osobna, gdyż musiałby ją chyba na pierwszym planie postawić. Była ona o lat parę starszą ode mnie, a obok niepospolitej urody, wykształceniem umysłu i serca godną była stać w pierwszym rzędzie tych typowych postaci niewieścich, a właściwiej mówiąc panięskich, które w owój epoce właśnie nie rzadko dawały się spotykać po szlacheckich dworach Litewskich, a których obraz w poezyi naszej uwidomił się i uwiecznił w Marylli. Generyczne niejako podobieństwo ich między sobą, było najniezawodniej skutkiem podobnegoż sposobu wychowania, a może i czytelnictwa

tych samych prawie dzieł literatury francuzkiej, które były naówczas w powszechnym obiegu i modzie. Ogólną zaś, a wybitną różnicę od wychowanek miasta, stanowił przeważny zwrót ich myśli do idealnych krajin wyobraźni, zastępującój im brak codziennych, rzeczywistych wrażeń. Panna Aniela nadto miała tę wyższość nad wielu innymi, że przez blizkie spowinowacenie, (przez bratową), i stosunki z domem xiążąt Ogińskich, przejęła rzeczywiście ton wyższych światowych towarzystw, a korzystając z biblioteki xięcia Michała w Zalesiu, czytała więcej dzieł treści poważnej, a mianowicie filozoficzno i religijno-moralnych, w których podobała najbardziej. Osobistą zaś jój właściwością było przede wszystkim to, że nie przestając na wiedzy, wszystko, co w xiążkach za dobre lub za piękne uznała, stosowała zaraz do siebie, i starała się urzeczywistnić w praktyce własnego życia, bez względu na interes i rachuby światowe, a często wbrew jednemu i drugiemu. Ztąd poszło, że trudna w wyborze, a wciąż czyimś cudzym losem zajęta, nie dała się nakłonić sama do wejścia w związki małżeńskie, ale przez całe życie i aż do końca była zawsze tylko pomocą lub opieką rodziny, a szczęściem i chlubą przyjaciół. W chwili, o której tu mowa, złączona ścisłą przyjaźnią z młodą, rozumną, i wysoce wykształconą bratową, (Teklą z Łopacińskich, rodzoną siostrzenicą xięcia Michała Ogińskiego), była wespół z nią opiekunką dwóch sióstr młodszych, moich współbierzmanek, i wychowując się z niemi razem stryjecznej siostry Kazimiry. Obie z urody mogłyby się mierzyć z Armidą; ale z jedna z nich, starsza, była już wybranym przedmiotem uczuć mojego gospodarza, druga zaś, choć dopię

w dziewięć lat później, stała się, z woli Opatrzności, towarzyszką mojego życia: rozszerzać się o nich dłużej nie będę, z obawy oracyi *pro domo sua*; a wracam do właściwego programu niniejszych opowiadań, do dalszych osobisto-literackich stosunków moich z autorem „*Obrazów Litewskich*.”

Kawalerskie gospodarstwo jego w Dziewiętni, za czasu tych pierwszych moich odwiedzin, miało nie jeden rys podobieństwa z gospodarstwem żeńskim Marylli w Boleiennikach. Tu i tam, poezya, nie ekonomia, we wszystkiem. Ogród obchodził go więcej, niż rola; *lamus*, gdzie miał literacką pracownię, i tak zwany *Helikon* ¹⁾, gdzie marzył, więcej niż spichrz albo stodoła. Na tym ostatnim, podczas bytności mojej, wyprawiał on rzeczywiście podwieczorek dla swoich nadobnych sąsiadek, które z bratową i z bratem przybyć nań raczyły, i niewątpliwie ta feta zbliżyła znacznie cel sercowych pragnień jego i westchnień. Następna już bowiem moja wizyta z Korsakiem, w r. 1825, opóźniona tak długo tą razą z przyczyn, jak się to mówi, „niezależnych ode mnie,” zastała już w Dziewiętni młodą

¹⁾ „W jednej części ogrodu, znalazły się cztery ogromne brzozy, z jednego pnia rozrosłe; wśród nich zaś, wysoko nad ziemią, osnowano z brzozowych także, korą pokrytych, belek, bezpieczną galeryą, ogrodzoną i wymoszczoną, a przypartą do brzoź tak, że się razem z niemi od wiatru kołysała, i razem z niemi wzrosła być się zdawała. Wschodki podobnie brzozowe, ⁴¹¹makiem kręcone, bezpiecznie na nią wiodły, a tam stolik i ławki dla kilku osób wygodnie służyły. Na frontowej zaś barye- z białych brzozowych prątków splecionej, wielkie litery, ze u zielonego ułożone, wyrażały szyld poetycki: *Helikon*.

(*Dwie Konwersacje*).

panią domu, która ład i porządek zaprowadziła we wszystkim, a przy której i młodsza siostra jej zamieszkała. Odtąd już regularnie co lato, przyjeżdżając z Warszawy do ojca, bawiłem tam po całych tygodniach w uprzejmiej, przyjacielskiej gościnie, lub byłem uczestnikiem familijnych wizyt młodej pary, oddawanych, wraz z siostrą, daleko-mieszkającym krewnym. Jedną właśnie z tych wizyt stała się jakby zwrótnikowym punktem w literackim zawodzie Ignacego Chodźki, i zasiała w nim pierwsze ziarno przyszłych „*Obrazów i Podañ Litewskich*.”

Pojechaliśmy do sędziwój jego ciotki, dziedziczki właśnie naówczas owego „*Domku Dziadka*,” w którym się on sam urodził i wychował, i od którego opisania potem szereg owych *Obrazów* rozpoczął. (Nazwisko jego *Zabłoczyzna*, w powiecie Wilejskim). Mąż ciotki, p. Kaczanowski, osiemdziesięcioletni już starzec, za młodu towarzysz broni i osobisty przyjaciel Pułaskich, w konfederacyi Barskiej, następnie przez całe życie plenipotent różnych wielkich panów i w różnych częściach kraju, miał w pamięci niezliczoną moc faktów, przygód i anegdot, których albo był sam uczestnikiem i świadkiem, albo o których kiedyś zasłyszał od drugich. Opowiadał zaś to wszystko tak żywo, tak barwnie i obrazowo, żeśmy po całych dniach, a nieraz i w nocy, słuchali go ciekawie z otwartymi ustami, aż do zniecierpliwienia niekiedy i gniewu towarzyszek naszych podróżnych. Podobnego talentu opowiadania mógłby mu pozazdrościć największy powieściopisarz, jakich naterczas u nas wcale jeszcze nie było. Zastanowiło uwagę Chodźki, który dotąd pisując tylko ulotne wierszyki lub pełne dowcipu i werwy artykuły do „*Wi*

domości Brukowych," za cel wszakże poważniejszej swjej pracy literackiej zakładał sobie jedynie napisanie kiedyś dzieła filozoficzno-moralnej treści, na wzór „*Principes Philosophiques*“ Weissa, które to dzieło natenczas było powszechnie znane i ulubione na Litwie. Poczuliśmy raz piérwszy sami przez siebie, co jest za urok w tradycyjnych obrazach przeszłości i obyczajowości rodzinnej. Gdy więc mając wydawać noworocznik *Melitele* na r. 1829, wezwałem do współdziałania Chodźkę; doradziłem mu téż zarazem, aby zamiast filozoficznej rozprawy *à la Weiss*, którą chciał mié obdarzyć, spróbował raczej powtórzyć jedno z owych opowiadań p. Kaczanowskiego. Usłuchał, i napisał powiastkę: „*Poddany*,” która się podobała powszechnie. Adam najprzód ustnie przeze mnie w Petersburgu, a potém sam własnoręcznym listem z Rzymu, zachęcał i naglił autora, aby i nadal w tym kierunku talent swój rozwijał. I to był piérwszy powód i piérwszy bodziec, który myśl jego kierując powoli, zwrócił ją nakoniec stanowczo ku obrazowaniu własnej naszej, duchowo-obyczajowej przeszłości, i to wyłącznie w sferze wiejsko-obywatelskiej, którą znał sam przez siebie, czuł ją w duchu i prawdzie, i kochał. I toć jest, co stanowi ten urok, który tak zawsze po polsku z pism jego do serc polskich przemawia, i takie w nich budzi współczucie.

I niech mi wolno będzie przy téj sposobności, dla ulżenia własnemu sercu, wypowiedzieć choć raz otwarcie cały ten wstręt i obrzydzenie, jakim przejmują mię zwykle te pseudo-humorystyczne koncepta, lub karykaturalne obrazki, na tle wiejskiego życia ziemian naszych, które lada zatemperowane, a nieutemperowane

piórka, gwazdają po książkach lub felietonach, dla popisu ze swym niby dowcipem, albo jakby dla pozowania na cywilizacyjną wyższość nad nimi. Czytając tego rodzaju elukubracye, zawsze zdaje mi się, że widzę fanfaroną próżniaka, ubranego elegancko na kredyt, stojącego na trotoarze z cygarem w zębach i z rękami w próżnych kieszeniach, wysmiewającego starodawny strój gospodarza ze wsi, który owoc swój znojnój i pocziwój pracy przywiózł na pokarm i na odzież miastu, lub szydzącego z przechodniój kompanii pielgrzymów, którzy śladem pobożnych ojców, idą hołd złożyć cudownój swojój Królowój, którą szyderca i jemu podobni napróżno zdetronizowaćby chcieli. Nie ma wprawdzie i być nie może malarza, któryby się nie posługiwał cieniami, dla wydania jasnych punktów obrazu; lecz chcieć malować same tylko cienie, jest to chyba malować ciemność, by na tle jój błyszczeć samemu, i to chyba połyskiem ognika, który sam błędny, obłąkuje drugich. Nie to był cel i nie taka metoda autora „*Obrazów Litewskich*;⁴“ a gdy to świadczy dobrze o jego rozumie i sercu, toć z drugiej strony mogłoby może posłużyć za niemniej pochlebne świadectwo o ówczesnym składzie i stanie społeczeństwa obywatelskiego na Litwie, które mu za model służyło.

Starszyzna, pamiętająca żywo niedawno minioną przeszłość, odbijała jeszcze w sobie widomie, jak chmury światło po zachodzie słońca, dawną powagę i godność swego stanu; zapomniawszy, bodaj z potrzeby, zbytniej może wesołości i buty. Młodzież zaś, której częś⁴ znaczna przeszła już była przez uniwersytet Wileński lub brała udział w kampaniach wojennych, w piérwszy dziesiątkach bieżącego stulecia, wzięła już była sol

za zadanie, aby stać się mędrszą po szkodzie, i łączyła się wzajem w dążeniach ku temu; *notabene*, bez cienia modnej właśnie gdzieindziej w owym czasie „*tężyzny*,” lub późniejszej „*cyganeryi*.” Nie mówię już ciż tego w ogólności o wszystkich, ale śmiało stosuję do wszystkich, którzy już rej naówczas prowadzili w powiatach, a spotykali się z sobą nawzajem, już to na gubernialnych wyborach, już na prowincjonalnych kontraktach. A dodać trzeba jeszcze do tego rys jeden, drobny może na pozór, ale ogólny i wielce charakterystyczny, to jest, że między równymi wiekiem, koleżeństwo to, czy szkolne, czy obozowe, wyrobiło też było nawzajem w obejściu koleżeńską otwartość i poufałość, przemieniające się już łatwo we wzajemną życzliwość i przyjaźń. Otóż Chodźko, należąc z wieku do tego właśnie pokolenia, przy osobistych swych zwłaszcza przymiotach: wrodzonym jowialnym humorze, żartobliwym a nie złośliwym dowcipie, bystrym i wykształconym umyśle, a przytém poetyckim talencie, bez przesady można powiedzieć, iż w obrębie przynajmniej gubernii swojej, był on jakby środkowem ogniwem, które podobnych jemu w kółko bliższej zażyłości łączyło. Tu mi przychodzi na myśl anegdota, którą jako przykład opowiem.

W końcu Kwietnia 1825 roku, Chodźko jechał do Wilna, swemi końmi, jak zwykle, na Śto-Jerskie kontrakta, na które się, jak dziś jeszcze w Kijowie, z całej prowincyi zjeżdżano. Na ostatnim popasie przed iastem, napędził go jadący pocztą, kolega i przyjaciel Józef Rahoza, i dla skrócenia mu nudy popasu, mówił go z sobą na pocztową bryczkę, zostawiwszy tomiast swego służącego, aby tenże w powozie

Chodźki, zdążył potem za nimi. Tymczasem w ciągu drogi nadszedł deszcz ulewny, który nie tylko zmoczył ich do nitki, ale i całkiem błotem od stóp do głów obryzgał. W tak oplakany stroju Chodźko zajechał wprost do mnie, który stale wtedy w Wilnie mieszkałem, i zastał mię wychodzącego właśnie na plac Ratuszowy, gdzie się cała kontraktowa publiczność codzien o téj porze zbierała. Śliczna wiosenna pogoda, po przejściu chwilowej ulewy, tém liczniejsze rokowała zebranie. Żał było Chodźce, że iść na nie nie mógł, to jest, że iść nie wypadało w tak Dyogenesowym kostiumie. Zostałbym przeto chętnie dla kompanii jego, ale w nim samym nakoniec chęć serdeczna nad względami światowej etykiety przemogła. Otarłszy się więc nieco z błota, postanowił—jak się wyraził—pójść ze mną na „wypróbowanie swoich przyjaciół“, którzy z nim i w tym stroju nie będą się wstydzili przywitać. Frazes ten, powtórzony przez niego pierwszemu ze znajomych, którego spotkał na placu, rozbiegł się wnet jak echem po całym zgromadzeniu, i w pół godziny Chodźko był już jakby punktem środkowym, do którego się wszyscy z kolei z serdecznym powitaniem garnęli; a ta właśnie szczególna jego toaleta, zdawało się, że owszem we wszystkich życzliwość ku niemu podniosła. Nie tylko więc nie dano mu pójść się przebrać, gdy już rzeczy prawdopodobnie nadeszły, lecz musiał w licznym gronie, wprost z placu, iść na wieczerzę do restauracyi Titiusa, gdzie znowu na cześć jego nowa popłynęła ulewa, i próbujący serca swoich przyjaciół, musiał, w skutek ich uprzejmości, przejść sam przez próbę mocy głowy swojej.

„Takie były zwyczaje, serca, w one lata
Śród cichych stron litewskich.“

A wspominam tu o nich tém chętniej, że już ten dawny nastrój obyczaju i ducha, znika nawet w pamięci nowego pokolenia, jak płowiejący pierwotny dagerotyp—i gdybyż tylko, jako on, od słońca!—i że się przekonałem w dalszym ciągu życia, jak podobny stan, a raczej nastrój serc i umysłów, nie jest wcale zwyczajnym, pospolitým zjawiskiem. Obyczaj nawet pod tym względem dałby się może przyrównać do wiary, w której prostota graniczy z doskonałością, a zaś po wyjściu z prostoty, przez doskonałość już tylko wrócić do niej można. A przecież trudno nie dodać ze smutkiem, choćby tylko dla przestrogi nowych pokoleń, jak podobny stan rzeczy za Niemnem, był, nie to mało cenionym, ale zgoła, rzecz można, niewiadomym nad Wisłą, a przynajmniej w samą Warszawie, gdzie przecież w tym samym czasie, z drobiazgową szczegółowością, śledzono każdy symptom rozwoju obywatelskiego życia we Francyi, i uczono się prawie na pamięć frazesów, powiedzianych w Izbie Deputowanych w Paryżu, które modny naówczas „*Journal des Debats*“ ogłaszał. A możnaby powiedzieć toż samo i co do ówczesnego uniwersytetu w Wilnie; gdzie przez cały ciąg najświetniejszego jego rozkwitu, nikt nigdy, ani z literatów, ani z podróżników Warszawskich, nie zajrzał choćby na chwilę, choćby tylko przez prostą ciekawość, czém téż jest i jak wygląda w istocie, to gniazdo nowego zwrótu w poezyi naszój, o wartości przecież którego tak głośne i tak zawzięte toczyły się spory.

„Taka była przesądów owoczesnych władza.“

Ale wracam do głównego przedmiotu, to jest do literackich kompozycji Chodźki. Wspólną cechą ich wszystkich jest prawda realna, lecz dopatrzona ze strony dodatniej, oraz miłość, z téj zwłaszcza strony na przedmiot swój patrząca, a rozciągająca się i do czytelników. Pod tym względem jest to ten sam ton i koloryt, co w „*Panu Tadeuszu*,”—rodzimy, nie naśladowany; i wszystkie „*Obrazy Litewskie*“ Chodźki, mogłyby ująć za rapsody téj saméj, tak skromnej i tak prostéj w wyborze przedmiotu, a tak żywej i ożywiającej, epopei ducha narodowego.

Do powrotu mego z zagranicy, był tylko napisany i wydrukowany (w noworoczniku Wileńskim), „*Domek mego Dziadka*“ i „*Samowar*,” które mi autor przysłał był do Drezna. Za pierwszą po powrocie moją bytnością w Dziewiętni, odczytawszy z nim wspólnie wieczorem „*Domek*,” tak byłem nim żywo przejęty, że w nocy przysłała mi, a raczej przysniła się myśl, i opiszawszy tak pięknie cnotliwe i bogobojne życie, powinienby i śmierć podobną tego samego człowieka opisać. Myśl ta tak mię opanowała, że nie czekając poranku, wywołałem Chodźkę z sypialni, by mu ją wnet zakomunikować. A że noc była piękną i ciepłą, więc przechodziliśmy ją aż do świtu w ogrodzie, a pomysł mój tak trafił do jego przekonania, że gdyśmy się nazajutrz zeszli na dzień dobry, początek „*Śmierci mego Dziadka*“ ułożony już był w myśli autora. Owa zaś wspólna nocna narada tak się nam obu jakoś podobała, że nie czekając na senne natchnienia, zacząłem mu poddawać różne inne przedmioty, tak, że mię nazwał w ko- i swoim „liwerantem pomysłów.“ Nie wiele z nich, i się rozumieć, przydało mu się rzeczywiście, ale o każd-

była zwykle miła pogadanka, i toć jest, co stanowiło przyjemność tego rodzaju stosunku. Prócz tego miał on jeszcze jakby pewien rodzaj przesądu, że przedmiot, czy przez kogo innego, czy niespodzianie przez jakąś okoliczność wskazany, wzbudzał w nim żywszy interes, niż gdyby go był sam w sobie pierwiastkowo wymyślił; tak jak mnie samemu, naprzykład, zdawało się przez długie lata, że papier z przyjacielskiego daru, skuteczniej jakoś wpływał na wenę piszącego, niż kupiony po prostu za własne trzy grosze. Rozumni ludzie dzisiejsi śmiać się będą z tego, wiem o tém; ale ja właśnie mówię to dla tego, że się téj śmieszności nie lękam; a może znajdują się i tacy, którzy czując coś nakształt tego, w tym lub owym względzie, pocieszają się w przekonaniu własném, że nie oni jedni tak głupi, i że może tego rodzaju przesąd tkwi gdzieś głębiej w ludzkiej naturze i sięga jej magnetycznych tajemnic. Zresztą te moje pomysły nie tyczyły się bynajmniej ani formy, ani toku kompozycji, a tylko w ogólności wskazywały na przedmiot. Tym sposobem, między innymi, powstały „*Boruny*“ i „*Pamiętniki Kwestarza*“, tylko że te ostatnie, w myśli i pod piórem autora, przybrały całkiem odmienny od mojego pomysłu obrót i charakter. Ja radziłem notatki kwestarza, który podwakroć zwiedzał te same domy, raz podczas trwania wielkiej komety w r. 1811—1812, a drugi raz we dwadzieścia lat potem. Autor dopióro w części drugiej, napisanej o wiele lat później, do téj pierwotnej myśli — o jej nawrócił — choć się już w niej sam na pierwotną tę swoją nie zdobył.

Dla bliższego scharakteryzowania natury tego przyjacielsko-literackiego stosunku mojego z Chodźką,

opowiem ci tu jeszcze, siostrzyczko, drobną anegdotę, o dopisku moim do „*Brzegów Wilii*,” o czém sam autor w przypisku tamże wspomina. Pisał on je w Wilnie, bawiąc tam z rodziną przez zimę w r. 1842. Raz przyszedłszy do nich rano w niedzielę, nie zastałem nikogo w domu; na stoliku zaś Chodźki leżał tylko co napisany w nocy ustęp o budowie kościoła w Żodziszkach, kończący się opowiadaniem, jak djabeł, chcący téj budowie przeszkadzać, przenosił codzien w nocy na drugi brzeg rzeki przygotowane do niéj kamienie, i raz nie dostrzegłszy w ciemności siedzącego pod jednym z nich Jezuickiego braciszka, objął zarazem kamień—*„i cap za Jezuitę.”* Na tych słowach kończył się rękopism. Przyszła mi więc myśl pusta przedłużyć żartem ten obraz, i sam śmiejąc się do rozpuku, dopisałem całą scenę borykania się porwanego braciszka z djabełem, który zahaczywszy pazurem o święconą pod habitem drócianną katnę, i nie mogąc go z niéj wydostać, a przytém, przez niemniej przestraszonego braciszka ciągłemi eksorcyzmami smagany, musiał się zobowiązać nakoniec, że nadal budowniczym przeszkadzać nie będzie. Dopisek ten, nie był bynajmniej w planie dalszym samego autora, wszakże tak go zabawił, iż zostawił go na pamiątkę, powód tylko wymieniwszy w przypisku.

Ale wszystko to było o wiele lat już później od owéj piérwszój mojej wizyty w Dziewietni, o którój tu mówić zacząłem, a na którój się w życiu mojem, jak już wyżej rzekłem, kończy piérwszy peryod szczęśliwéj i niczém dotąd prawie niezachmurzonéj młodości. Ale tu właśnie mógłbym zastosować do siebie

słowa Byrona, w wierszu pod tytułem: „*Sen*“ (*The Dream*).

„*A change came o'er the spirit of my dream.*“

Które Adam wytłómaczył po polsku:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“

A do czego jeszcze w tym razie możnaby było dodać: *i przeznaczenia.*

Napomknąłem już wyżej, że znaleziony w papierach Massalskiego list Jankowskiego, pisany do niego, spowodował zabranie też papierów tego ostatniego, i nakoniec aresztowanie jego samego. Jankowski, jeden w całym Gronie Błękitnym, odznaczał się istotnie, nie zapalem, lecz zapaleństwem; t. j. w słowach przesadą uczucia, z którego sam szukał swój chluby, i chciał przez to wywyższać się nad innych. Przyszło do tego, iż mu zabroniono formalnie czytać na posiedzeniach swoje wiersze, któreby wprzód nie przeszły przez cenzurę przewodnika, i nie przeciwowały się wyraźnym, zasadniczym prawidłom Towarzystwa: aby nauki i moralnej pracy nad sobą, zgola z polityką nie mieszać. Oburzał się na to Jankowski, i po swojemu pisał sam dla siebie. Nie dziw więc, że po zabraniu pism jego, treść ich stała się obwinieniem autora. Że zaś w owym liście jego do Massalskiego, była właśnie mowa o wierszach i o czytaniu ich na literackich wtorkowych zebraniach u Czeczota, z którym i ja razem mieszkalem: poszło ztąd, iż dla bliższego wyjaśnienia rzeczy, Czeczota powołano do tłómaczenia się w Wilnie, a po mnie na wieś przysłano. Było to na początku października (1823 r.), w kilka tygodni po powrocie moim od Chodźki. Ojciec mój był chory

oblóźnie; wyjazd więc nagły z domu, w nocy, i podróż w słotę jesienną, były arcy-niewesołe; a pierwszy promyk pociechy w tym stanie, jak zawsze i we wszystkich najważniejszych okolicznościach życia, poezyi i płci pięknej zawdzięczam.

Towarzyszący mi oficer policyjny pozwolił mi pomodlić się chwilę w Ostrój-Bramie, poczem zawiózł mię wprost do mieszkania p. sowietnika gubernialnego rządu, Ławrynowicza, który miał poruczone sobie rozpatrzenie całej téj sprawy; że zaś właśnie spał po obiedzie, kazano mi czekać w salonie. Na stole leżało kilka zeszytów „Dziennika Wileńskiego,“ a że jeden był rozłożony—zajrzałem, i, o! dziwo! rozłożony na mojej balladzie „Myśliwiec.“ W innych zeszytach widać było powtykane zakładki, i z coraz rosnącym podziwieniem ujrzałem, że oznaczały właśnie miejsca, gdzie były drukowane inne moje ramoty. Sam nie wiedziałem co myśleć, i najprzód przyszło mi do głowy, że szukano w nich może jakiegoś *corpus delicti*, o coby mię można było obwinić. Nagle otworzyły się drzwi boczne, i jakaś młodziuteńka śliczna panienczka, wbiegła szybko, i jakby zadziwiona widokiem gościa, popatrzała na mnie przez chwilę, zarumieniła się, udygnęła, i znikła. Była to panna Laura, najstarsza córka gospodarza. Ona to, jak dowiedziałem się później, wybierała właśnie te numera przeszłorocznego „Dziennika“ i dała je do przeczytania ojcu, który był także lubownikiem wierszy, przed oczekiwaniem mojem przybyciem. Podziw więc i jakby przestach na wi k niby niespodziewanego gościa, był tylko panięnsk n udaniem. Po chwili weszła matka—ale z takim razem twarzy i z takim współczuciem w spójrze 1,

że nim słowo mogła przemówić, sam już jój widok dla mnie był jak zablýsk słońca śród burzy. Od oficera wiedziała, że zostawiłem ojca chorego obłóźnie, a że sam byłem jeszcze w żałobie po matce, to wszystko tak ją widać wzruszyło, że piérwój płakać, niż mówić zaczęła; co znów taką mię wzajem przejęło wdzięcznością, że słowa jeszcze nie wyrzekłszy oboje, witaliśmy się jak najlepsi znajomi, i ja raptem sam w sobie poczułem się nie więźniem, lecz gościem. „Bądź pan spokojny!—było piérwsze jój słowo—mąż mój mówi, że to jest bagatela, i że będzie się tylko trzeba wytłómaczyć.“ Poczém w dalszój rozmowie objaśniła mię o co rzecz idzie, i tyle mi okazała życzliwości serdecznój, że chwila ta przez całe życie jest dla mnie zawsze miłém i rozrzewniającém wspomnieniem.

Tu także mam za obowiązek sumienia powiedzieć słów parę o jój mężu, a mianowicie, że nie był on bynajmnię takim w gruncie duszy, za jakiego go potém, z powodu właśnie dalszego ciągu téj sprawy, obwołała chwilowo opinia publiczna. Serce w nim było dobre, nawet miękkie; temperament tylko nieznośny: porywczy i opryskliwy w piérwszój chwili wrażenia, nad którym sam zapanować nie umiał. Ale był on takim samym i w domu, w obejściu z żoną i z dziećmi, które przecięż kochał namiętnie. Tylko, że żona i dzieci, (a mianowicie córki), znając jego naturę, umiały go nie tylko ugłaskać, ale nim nawet podług woli swojój kierować; podczas gdy nieświadomi i obcy, złe tylko, ma się rozumieć, odnosili wrażenia, a z pozorów sądząc o gruncie, bli go za okrutnika i wroga. A przecięż, w istocie czy, nie był on ani jednym, ani drugim; a chociaź ty o stanowisko swoje, jawnie się z przeciwnemi

uczuciami nie zdradzał, to pewna, że sam nigdy nie chciał szkodzić nikomu, a nawet, że o ile mógł bez narażenia się własnego, rad był owszem dopomóc w potrzebie. Miałem później nieraz sposobność poznać go pod tym względem bliżej, i przekonać się o tém sam przez siebie; i to wszystko co o nim tu mówię, jest szczerém i sumienném świadectwem, chociaż na jego poparcie nie czas tu ani miejsce pojedyncze szczegóły przytaczać. Powziąłem ztąd wszakże naukę, jak mylny jest sąd ludzki z pozorów, i jak słusznie powiada „Żeglarz“ u Adama:

„Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być—lecz we mnie.“

Chociaż i sam Adam, niestety, nie jest wolny od zarzutu w tym względzie, za swój nazbyt doraźny, a co gorsza, niesprawiedliwy sąd, o nieszczęsnej ofierze piorunu, wydany jakby tylko dla poetyckiego efektu.

Ale wracając do chwili, o której mowa: Po dosyć długim jeszcze oczekiwaniu mojem w salonie, wszedł nakoniec sam pan Ł. w szlafroku i na wpół boso, bo tylko w pończochach, z twarzą jakby jeszcze zaspaną; ale uprzedzony widać przez żonę, był dla mnie od pierwszej chwili nie tylko grzecznym, ale prawie nawet uprzejmym. Zaczął od rozmowy o wierszach, które świeżo czytał w „Dzienniku,“ i jakby *à propos* dopiero zapytał mię o naturę literackich wtorkowych zebrań u Czeczota. Opowiedziałem wszystko jak było w istocie, i on sam wysłuchawszy uznał, że przyjacielskie zbierania się kolegów, dla wzajemnego sobie czytania prac swoich, nie miały nic w sobie zdroźnego, byleby prz same zdroźnemi nie były. Pozwolił mi więc wysłać zaraz sztafetę do ojca, z obietnicą, że sam wkrót

powrócę; i ponieważ zaczynało już zmierzchać, odłożył do podania światła odpowiedź moję na urzędowe pytania, które miały mi być podane na piśmie, a tymczasem pozwolił, a nawet raczej zaprosił, abym poszedł do jego żony i dzieci. Oprócz widzianej już panny Laury, była młodszą jej siostra, dwóch braci, piérwszoletnich uczniów uniwersytetu, i młody ich kolega, który mieszkał u nich, znakomity potém obywatel na Żmudzi, pan Adolf Przeciszewski. Wszyscy przyjęli mię tak serdecznie, że nim podano herbatę, byliśmy już przyjaciółmi nawzajem. Po herbacie wysłano mię znów samego do salonu, abym odpisał na urzędowe pytania. Leżały przygotowane na stoliku, gdzie też w stosie innych papierów, ujrzałem jakby umyślnie wysunięty arkusz, w którym od razu rękę Czeczota poznałem. Były to odpowiedzi jego na też same pytania. Ułatwiło to mi moje zadanie, po ukończeniu którego, czekałem aż mię gdzieindziej przewiozą. Tymczasem zaproszono mię znów na wieczerzę, a że byłem widocznie znużony, sama pani zaproponowała uprzejmie, abym się zaraz udał na spoczynek. „Ale dokąd?“ pytałem wielkimi oczyma—nie słowy. Panna Laura z wesołym uśmiechem oświadczyła, iż chce być sama „moją Aryadną“—i wraz z siostrą i kawalerami, zaprowadzili mię wszyscy na górę, na drugie piętro na tych samych wschodach, gdzie wakowały właśnie dwa pokoje, przeznaczone na kwaterunek oficerski, a które, jakby w gościnie, przygotowane już dla siebie znalazłem. A nie mogło to przecież dziać się inaczej, jak poprzedniem zezwoleniem ojca, chociaż on sam na tór wcale się do tego nie mieszał. Nazajutrz zaproszono mię znowu na dół, na herbatę rano, i za-

trzymano dzień cały; sam zaś pan Ł. wróciwszy z sessyi urzędowej, oświadczył mi przy obiedzie, iż będę mógł niezwłocznie powrócić do ojca, skoro tylko, dla zakończenia sprawy, Jankowski na ostateczne jeszcze zapytania odpowie. Trwało to tak przez trzy dni. Czwartego nakoniec rano, Jankowski przybył pod strażą i został, jak ja przedtém, zamknięty w tymże salonie. Widzieć go nie było można, ale ponieważ pisał bardzo długo, bo prawie do zachodu słońca, pozwolono mi posłać mu ciastek z cukierni i pół butelki wina. Mógłżem przewidzieć wtedy co on pisze?—Dowiedziałem się o tém później, ale skutki poczułem zaraz.

Nie już zebrania wtorkowe, których natura wyjaśnioną została, ale własne tylko jego ramoty poczytane mu były za winę, za którą sam już tylko miał być odpowiedzialnym. Zląkł się zatém o siebie, i wolał poświęcić drugich, myśląc, że się sam przez to ocali. Z zapaleńca przedziernął się w delatora, i co gorsza, w kłamliwego potwarcę. Wyjawiając sam dobrowolnie przeszłe istnienie Filaretów, ich wpływowi przypisał to właśnie, co w nim oni najsurowiej karcili. Zwyczajna kolej wszystkich zapaleńców przez pychę, skoro sami w niebezpieczeństwo popadną; tysiączne potwierdzenie téj odwiecznej prawdy:

„...że o mocy swojej,

Kto w niej zbyt ufa, w próbie nie dostoi.“

Nazajutrz, zamiast jak zwykle wezwać mię rano na herbatę na dół, przyniesiono mi ją na górę i w ślad za tém pocieszycielka i opiekunka moja, pa na Laura, wbiegła z bratem zalana łzami, z wiadomością, że musiało zajść coś bardzo złego, bo ojci

jest w najokropniejszym humorze, piorunuje na Jankowskiego, i chciał mnie kazać zaraz przeprowadzić gdzieindziej. Trafne widać wstawienie się żony i córek sprawiło, że miał jakoby powiedzieć nakoniec: „A no, to niechby chyba zachorował!“—Zachorowałem zatem, i chorobie téj winien byłem, że nie tylko przez kilka jeszcze tygodni pozostałem na miejscu; (choć w całkiem odmiennych warunkach, mając już straż w przedpokoju i rzadko bardzo kiedy, i to ledwo na chwilę, protektorkę moję widując); ale że i w połowie Grudnia dopięro, powołano mnie nakoniec do indagacyi, kiedy już cała sprawa zkądinąd dostatecznie rozjaśnioną została.

W klasztorze XX. Karmelitów, przy Ostrój Bramie, dokąd mię w Listopadzie wreszcie przeniesiono, zastałem już kilkunastu (16 jeśli się nie mylę) kolegów, a między nimi z Błękitnego Grona: Emeryka Staniewicza i Jana Zahorskiego, poetów. Z pierwszym mieszkaliśmy w celach tuż obok, mając piec wspólny z ogniem z jego strony, i tak cienką ściankę za piecem, że mogliśmy codzień wieczorem odmawiać wspólnie litanię do N. Panny, podczas gdy ją w Ostrój Bramie śpiewano. Młodość, wiara, nadzieja, i sąsiedztwo dobrych przyjaciół, były taką osłodą dla wszystkich, że każdy potem czas téj wspólnej rekolekcyi z rzewną przyjemnością wspominał; a i co do wewnętrznego, tak moralnego jak i umysłowego wykształcenia, była ona—dla mnie przynajmniej—ważną w młodém życiu epoką. Mieliśmy czas —jsć w siebie i zastanowić się nad sobą; a że przytém zna było mieć xiążki, ja w ciągu tych kilku miesięcy przeczytałem zapewne więcej, niż w ciągu kilku poprzednich, i to samych arcydzieł literatury euro-

pejskiej, których nam uprzejmy p. Moritz, xięgarz, z dobrze zaopatrzonej czytelni swojej dostarczał. Muza także nie próżnowała, i większa część weszłych potem w skład pierwszego wydania moich ramot, wtenczas właśnie napisaną została. Wenę tę rozbudziła we mnie zwłaszcza dumka Bohdana Zaleskiego, „O Hetmanie Kosińskim,“ którą w „Bibliotece Polskiej,“ wydawanėj przez Dmóchowskiego znalazłem, i tegoż dnia po jėj przeczytaniu napisałem na tęż miarę piosenkę, która się dotąd tu i ówdzie powtarza, zaczynającą się od słów:

Precz, precz od nas smutek wszelki,
Zapał fajki, staw butelki,
Niech wesoły,
Z przyjaciół,
Słodko płynie czas! i t. d.

Piosenka ta, stosowana do okoliczności, a zawierająca toasty na cześć Zana, Czeczota i Adama, stała się wkrótce jakby obrzędową, i śpiewana zwykle chóralnie, z różnemi dodatkami i wariantami, rozweselała nam wspólne skromne biesiady, po zamknięciu furty klasztornej.

Około połowy Lutego, 1824 roku, cele klasztorne, zajęte przez świeckich gości, zaczęły się powoli opróżniać, aż i mnie wreście, przy końcu miesiąca, pozwolono wziąć na porękę, którą dać za mną raczył p. gubernialny Marszałek, Marcinkiewicz-Żaba, przedtém już wielce na mnie łaskaw, i w którego domu bywałem Adam jeszcze do końca Marca, czy do pierwszych d Kwietnia, (bo dat z pewnością przypomnieć nie umiem pozostawał u Bazylianów. Widywałem go wszakż

codzieli zdaleka, spacerując o pewnych godzinach po bulwarku za Ostrą Bramą, naprzeciw okien klasztornych; aż wreście dnia jednego powiedział mi pan Ławrynowicz, że i on téż nazajutrz ma stać się panem swéj woli. Piérwszy zatém spotkałem go w bramie rządowego gmachu, przy ulicy Ś-to Jańskiej, gdy już sam jeden swobodnie z komissyi na ulicę wychodził. Wstąpiliśmy najprzód na chwilę do kościoła Ś. Jana, i poszliśmy wprost ztamtąd na obiad do pani Macewiczowej, gdzie już siostra jéj, pani Kowalska z Kowna, od dni kilku na dzień ten czekała. Wszyscy witali go z rozrzewnieniem; on był wesół i żartobliwy. Mieszkanie miał mieć w domu pani M., (gdzie była Zielona Apteka), lecz że w téj chwili właśnie było ono jeszcze zajęte, ja go tymczasem zaprosiłem do swego, w domu Ważyńskich, za Ratuszowym placem, dokąd pani M. pościel i niektóre sprzęty przysłała. Mieszkaliśmy tam razem czas jakiś, aż mi pozwolono nakoniec pojechać na wieś do ojca, a on przeniósł się na stały pobyt do domu pani M., i jako gościa do siebie Jeżowskiego zaprosił.

Za powrótem ze wsi do Wilna, zastałem już wiadomy częściowy wyrok w sprawie naszej, to jest, że Zan, Czeczot i Adam Suzin, mieli jechać do Orenburga. Los innych był jeszcze nie pewny. Adam tylko przepowiadał stanowczo, iż miał być podobnym do tamtych. A było to, jak dowiedzieliśmy się później, w skutek tajemniczej jakiejś przepowiedni, którą on sam w sobie, w kształcie jak gdyby wewnętrznego głosu, w pół drzemiąc kiedyś u Bazylionów posłyszał. Nie chciano mu wszakże wierzyć, zwąc go owszem ptakiem złéj wróždy“. Tymczasem zaś trzój wyżej

wspomniani mieszkali wszyscy razem w klasztorze Bazylianów, gdzie ich wolno było odwiedzać, za poprzedniemi jednakże pozwoleniem władzy, które łatwo było otrzymać. Tu się zaczęła epoka improwizacyi, stanowiących odtąd rys ważny w poetyckim dalszém życiu Adama.

Wspomniałem już nieraz wyżej, że wszystkie koleżeńskie zabawy Filaretów, okraszane były zazwyczaj tak zwanemi *jambami*, to jest deklamacyą napisanych, lub improwizacyą żartobliwych wierszy; w czém celowali zwłaszcza Kułakowski i Frejent, ale brali téż udział i inni. Ale to były tylko wprost wesołe żarty, w których Adam wielce podobał, ale sam się do nich nie mieszał. U Bazylianów dopióro, dla rozweselenia kolegów, zaczął i on podobno naśladować niekiedy ich przykład, ale także tylko dla żartu, przy akompaniamencie fletu Frejenta. Z opowiadania wiem, że razu jednego Frejent, przekomarzając się poecie, zaczął przyspieszać *tempo*, w nadziei iż śpiewaka zmitręży, i że ten téż ciągle zmieniając i skracając miarę wierszową, a treść dalszą do grajka stosując, bez tchu już prawie nareście, zwyciężką improwizacyą swoją zakończył jednosyllabowym wierszem: „Dość!”—Ale to wszystko było tylko igraszką dobrego humoru. Piérwsza dopióro improwizacya na seryo, wyniknęła z następującego powodu.

Było nas kilkunastu wieczorem w celi Tomasza Zana, gdzie téż przyszli Suzin i Czeczot. Ten ostatni zanucił przy gitarze świeżo ułożoną przez siebie pożegnálną piosnkę, w ludowym dyalekcie rusińskim, o odlocie dzikich gęsi na południe i o wyjeździe na północ z nadzieją i bez nadziei powrotu; która tak wszystkich wzruszyła do głębi, że płacz ogólny stał s

wtórem pieśni, a śpiewak przedmiotem uścisków. Adam nagle zawołał na Frejenta, aby zagrał nutę „*Filona*,” którą zawsze lubił najbardziej; stanął w środku, i zaczął improwizować balladę. Treść i forma pełne prostoty. Poeta opowiadał z początku, a raczej nucił, spokojnie; ale twarz jego przeobraziła się nagle; głos nabrał dziwnej rozciągłości i mocy, przy śpiewie strof ostatnich; a to przemienienie twarzy i głosu, tak dziwnie i tak głęboko podziało na wszystkich, iż przez pięć minut może trwało ogólne milczenie, aż nakoniec wrażenie podziwu, wybuchło, nie oklaskami, ale rozrzewnieniem ogólném. A i on sam w tej chwili podobnym był do owego grajka w „Panu Tadeuszu,” który „jakby sam swojej dziwił się piosence,” i którego tak cudnie potem sportretował poeta.

Od tej chwili improwizacye weszły, rzecz można, na porządek dzienny, przy wszystkich dalszych koleżeńskich zebraniach, które właśnie w tym czasie, od Maja do Lipca, bywały tak tu, jak i gdzieindziej. To *gdzieindziej* atoli stosuje się prawie wyłącznie do mieszkania adwokata-rejenta, Stanisława Goliczkiego, w drugim domu marszałka Żaby, przy zaułku Ś. Kazimierza, które było obszerne, i do którego mię gospodarz, po moim powrocie ze wsi, jako gościa na współlokatora zaprosił. Pierwszą inauguracją tych zebrań u niego, był obchód imienin gospodarza, (dnia 8 Maja), któregośmy wszyscy lubili, tak dla jego bystrego dowcipu, jak i dla uprzejmości serdecznej. Na imieninach tych, a przy toaście wydeklowałem żartobliwy wiersz do olenizanta, będący parafrazą ody Horacyusza: „*Aequam nemento rebus in arduis servare mentem,*” i zawierający

alluzye do różnych własnych jego sentencji i wyrażen^{*)}. Przytaczam go tu w przypisku, aby dać wyobrażenie o tonie, jaki w towarzystwie panował, a którym właśnie rozweselony Adam, sam dobrowolnie z długą improwizacją wystąpił. Była to druga z rzędu, po owęj klasztornej, tylko że w tonie całkiem odmiennym, jowialno-dowcipnym, o powołaniu prawników, porównując je w żartobliwy sposób z powołaniem lekarzy i poetów, i charakteryzując pobieżnie wszystkich sławniejszych adwokatów i doktorów wileńskich, i nakoniec kolegów, braci w Apollinie. Dostało się przytém

- *) „Nie bądź k..m, Stachu, nie nadymaj pyska,
Gdy ci Fortuna złotym wozem błyska,
Lub gdy jój furman, Los, biczem cię chłośnie,
Nie bez załośnie!

Wszystko na świecie tfu przeciw wieczności!
A więc na djabła trud, zabiegi, przymus?
Jedno, czyś jasny blaskiem wielmożności,
Czyś „Humillimus.“

Bo śmierć brat za brat pachołkiem czy z panem,
Łap za kark ręką, i abszyt kolanem.
Człowiek fajt w górę! potem na kształt piłki,
Pęc na mogliłki.

Coż ci po pełnych ankarach lub skrzyni?—
Gdy cię wielebni chwycą Bernardyni,
Wnet je twój niby żałujący śmierci,
Dziedzic przewierci.

„Dziś mnie, a jutro!..“—lecz dziś jeszcze nasze,
A dzisiaj właśnie dzień twój święta,
Więc, przyjaciele! brzęk czasu o czasę!
Zdrowie Rejenta!“

każdemu po sporém ziarenku pieprzu, które poeta wszakże tak umiał ozłocić, że nikomu z obecnych nie sprawiło goryczy, a zaś improwizatorski jego talent w oczach wszystkich wysoko podniosło. On sam widać poczuł go w sobie, gdyż chętnie i coraz częściej sam z siebie, bez próśb i nacisku, dalsze odtąd próby ponawiał, nie mówiąc, ale nócąc, zawsze prawie na nutę *Filona*. Najogólniejszą cechą własnego jego przytém usposobienia było, że zaczynał zwykle powoli, zimno, i jakby wahajaco; ale się stopniowo ożywiał, i jeśli przedmiot był po temu, to się zapalał i unosił; a wtedy głos i twarz jego przybierały taki szczególny ton, wyraz i charakter, że już więcej może niż same słowa na wrażenie słuchaczów, w magnetyczny sposób działały. Nigdy jednakże pod tym względem nie był on już takim w Wilnie, jak za piérwszej improwizacji u Zana, i jakim musiał być zapewne w Odessie, Moskwie, Petersburgu i nakoniec w Paryżu, na wigilii u Januszkiewicza, gdzie wszędzie, jak wiadomo, wzbudzał takie podziwienie i zapał, że już to prawie z cudotwórczością graniczy. A trzebaż jeszcze i na to pamiętać, że wiele z tych improwizacji wypowiedzianych było prozą, i to po francuzku, a więc pozbawionych całego zewnętrznego uroku formy, jakim jest harmonia miary i rymu.—I cóż więc stanowiło ten ich urok tak nieprzeparty? Nikt zapewne nad ciebie, siostrzyczko, nie mógłby odpowiedzieć lepiej na to zapytanie. Ty, coś sama, ledwo wyszła z dzieciństwa, sprawiała podobneż uroki; o której wieszcz nasz, prawdziwie natchniony, Zygmunt Krasiński powiedział: „*to nie dziewczę, ale przez dziewczę mówi!*“ ty jedna chyba mogłabyś nam objaśnić, „*co mówiło przez niego?*“ gdy-

byś sama nie była już powiedziała gdzie indziej, że natchnienie, co samo tylko „wszystkie tajemnice rozjaśnia, jest oraz najgłębszą z tajemnic“ i że:

„Najcieńsza z zasłon kryje tę prawicę,
Co wszystkie inne rozsuwa zasłony.
Ach! ten więc byłby najwyżej natchniony,
Ktoby natchnienia pojął tajemnicę!“

Ze wszystkich atoli ówczesnych improwizacji Adama w Wilnie, jedna już chyba ballada „*Basza*,” (albo *Reregat*), której część pierwsza improwizowana była na wieczorze u Golickiego, a druga wyśpiewana na ostatniem, pożegnalnem zebraniu kolegów, przypomniała nieco wpływ i wrażenie owęj piérwszój improwizacji w klasztorze. Nikomu z razu nie przyszło do głowy ażeby je spisywać, i przetoż wszystkie prawie w niepamięci zginęły; gdy zaś wreszcie chciano to czynić, on stanowczo oparł się temu, mówiąc, że mu to wenę odbiera. Zręcznemu tylko podstępowi jednego z kolegów, (uczonego botanika, Stanisława Górskiego), i przy pomocy pamięci innych, udało się ponotować „*Baszę*,” a zaś ja, przez przyjaźń dla Olesia Chodźki, spamiętałem apostrofę do niego. Stanowiła ona część dłuższej improwizacji do wszystkich innych kolegów po lutni, w której hojnie na wszystkie strony szumnemi dla zachęty przepowiedniami szafował. I toć jest, co mi zabrania innych z nięj wyjątków przytoczyć. Za ogłoszenie zaś tój apostrofy do Olesia, Adam zburczał mię strasznie potém w jednym ze swych listów, (ogłoszonych r. dawno w „*Kronice Rodzinnęj*“). W ogólności najwczajniejszą formą ówczesnych improwizacji jego, b. apostrofy do pojedynczych osób, między innemi do A

ma Suzina, która także spisana została. Wszyscy też inni składający rymy i umiejący powtórzyć nótę „Filoną,” próbowali z kolei improwizacyjnych sił swoich, ale wszystkie te próby płonnym kwiatem bez owocu opadły. Ja zaś, ponieważ w całym życiu moim, na równi z jednym tylko Ignacym Domeyką, nie mogłem nigdy powtórzyć ani jednej noty, choćby nawet o „kottku na płotku,” musiałem rad nie rad siedzieć jak on cicho i mrugać tylko ku nęcącym kolegom, a zaczepiony zaś niekiedy przez nich, odpowiadałem krótkim chyba rymem mówionym, naprędce wprzód ułożonym w pamięci.

Koleżeńskie tego rodzaju zbierania się i zabawy, bez oznaczenia dnia, ale jak wypadło, trwały, jak już powiedziałem, do Lipca, to jest do czasu wyjazdu Zana, Czeczota i Suzina, którzy wszyscy trzej wyjechali razem, i których wszyscy pozostający pożegnali też razem w Ostrzej Bramie, gdzie się im pozwolono pomodlić na drogę. Ja zaraz potem wyjechałem na wieś do ojca, i wróciłem do Wilna dopiero w początkach Września, po otrzymaniu strasznej wiadomości o ciocie, który dotknął dom pp. Becu, to jest o śmierci jego samego od uderzenia piorunu, i o zranieniu w twarz panny Hersylii szkłem od roztrzaskanego okna, przy którym właśnie w salonie w chwili uderzenia siedziała.

Adam wywdzięczając się za gościnę u mnie, zaprosił mię na mieszkanie do siebie, w domu pani Macewiczowej. Składało się z dwóch pokojów. Pierwszy mował Jeżowski, my we dwóch mieściliśmy się drugim. Na gościach kolegach nie brakło, ale naój ogólny był smutny, różny całkiem od tego, jaki iował przed Lipcem. Tam była jakby wesołość wio-

sny, po wydobyciu się z pęt zimy; tu jak mglista, po-
sepną jesień, zagrożona znów blizką zimą. Przepowie-
dnie Adama, wbrew oczekiwaniom ogólnym, z każdym
dniem nabierały prawdopodobieństwa; aż przyszła wre-
ście wiadomość stanowcza, iż on sam i kilkunastu
innych kolegów, którzy byli już w naukowej służbie
publicznej, albo się do niej na koszcie uniwersyteckim
kształcili, miało otrzymać posady w innych guberniach
cesarstwa. Domeyko Ignacy, Kozakiewicz Stanisław,
i Piasecki Kazimierz, zostali internowani na wsi. Re-
szta młodszych otrzymała amnestyą ogólną, z warun-
kiem tylko zwrótu kosztów procesu. Termin wyjazdu
dla mających wyjechać nie był jeszcze oznaczony sta-
nowczo, zalecono jednakże wszystkim, aby się mieli
w pogotowiu do drogi. Oczekiwanie tego rodzaju nie
usposabiało jużżć nikogo do wesołego humoru; dla
mnie zaś dom pani Becu, okryty żałobą, jeszcze bar-
dziej tęsknotę pomnażał. Najlepsze i najpamiętniejsze
mi z téj epoki chwile przepędzaliśmy zwykle w domu
pani Macewiczowej, gdzie jako najbliżsi sąsiedzi byliśmy
nie już gośćmi, ale domowymi, i jeżeli nie codzień, to
przynajmniej kilka razy w tygodniu, kończyliśmy tam
nasze wieczory. Berżerka grała prześlicznie, Adam
lubił ję słuchać, a zwłaszcza lubił ją samą; miał téż
szczególne upodobanie w grze w kixa z panią Kowal-
ską, matką, która wtedy w Wilnie mieszkała. A i myśl
o swatowstwie nie odstępowała go także. Że zaś i ciot-
ka, młoda pani Kowalska z Kowna, zdawała się ję
sprzyjać widocznie: nie dziw, że i ja w końcu zac-
łem brać ją żywięj do serca. Ale wszystko to b-
jeszcze w bardzo dalekiej perspektywie. Tymczas
kix ten, o którym wspomniałem, a w którym ja i F

żerka dopełnialiśmy kompletu, stanowił zwykłą rozrywkę owych naszych wieczorów, nie obywając się nigdy bez kosterskich figlów Adama, a ztąd i kłótni ze starą panią Kowalską, które go zawsze w dobry humor wprawiały. Otóż dnia 22 Października (1824), kix ten był prawie weselszy, i trwał dłużej niż kiedy. Wyszliśmy około północy, i zaraz z dziedzińca zadziwił nas widok światła we wszystkich oknach naszego mieszkania. Wnieśliśmy, że Jeżowski ma gości; ale nie przewidzieliśmy jakich. Był nim pan kapitan kwartalny, Krukowski, który czekał właśnie na Adama, aby i jemu osobiście, jak przedtém już Jeżowskiemu, udzielić dla podpisu rozporządzenia władzy, ażeby pojutrze rano gotów był do wyjazdu w podróż do stolicy cesarstwa. Wiadomość tę udzieloną grzecznie, Adam przyjął spokojnie, podpisał—i zostaliśmy sami.

Cały ten wieczór, a raczej noc tę całą, pamiętam zawsze jak wczora. O śnie nie było już mowy. Ale za dowód hartu duszy Adama i usposobienia jego w téj chwili, może posłużyć następujący szczegół. Chodźko Ignacy, za ostatnią przed kilku tygodniami bytnością swą w Wilnie, prosił i zobowiązał Adama, ażeby do albumu narzeczonej już jego, Ludwiki Mackiewiczówny, wpisał co przed wyjazdem na pamiętkę, i to album w tym celu w rękę moją zostawił. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale on zawsze odkładał na potém. W téj chwili album zgoła nie przyszło mi na myśl; ale on sam, nałożywszy fajkę, krywszy się płaszczem, wyszedł do drugiego pokoju, po półgodzinném staniu przy piecu, podczas gdyśmy mawiali z Jeżowskim, powrócił mówiąc do mnie, aże-

bym dał mu to album. Usiadł w drugim pokoju, i wpi-
sał w nie ów powszechnie znajomy dziś wiersz:

„Nieznamóm, dalekiém, nieznanym, dalekim“ i t. d.

Nie pozwolił jednakże odczytać go wtedy przy
sobie, i reszta nocy zeszła na spokojnej rozmowie o wy-
borze, o różnych interesach lub poleceniach do speł-
nienia przed lub po wyjeździe. Zasnęliśmy dopiero gdy
już rozedniało—nie rozbierając się.

Nazajutrz ruch gorączkowy panował w całym na-
szym koleżeńskim gronie. Termin wyjazdu był ogólny
dla wszystkich, tylko że w kilkogodzinnych odstępach,
aby koni na stacyach nie zbrakło. Wyjeżdżający za-
tém załatwiali każdy swe interesa, a mający pozostać
dopomagali im do wyboru. Pomocnikiem Adama w tym
względzie był zwłaszcza Maryan Piasecki, ten sam,
który go potem w r. 1829 z Petersburga w podróż za
granicę wyprawiał. Przeznaczonym zaś towarzyszem
podróży, to jest mającym jechać na tej samej bryczce
pocztowej, był Jan Sobolewski, b. professor gimnazjum
w Krożach. Adam we dniu oddawał wizyty pożegna-
ne. Ja byłem z nim tylko razem u pani Becu, u pani
Wojskiej Zaleskiej, i u Goreckiego. Wszędzie żegna-
ny ze łzami zachował sam posągową spokojność. Raz
tylko, kiedy Gorecki zanosząc się od płaczu i zwoła-
wszy wszystkie czworo swoich dziątek, kazał im ukle-
knąć przed nim, i prosił go, aby je pobłogosławił: raz
ten tylko wzruszenie przemogło, i łzy nie mogące
ukryć, popłynęły cicho po bladłej i drgającej twar-
Mógłże przewidzieć on wtedy, że w małym, kilk-
tnim zaledwo Tadziu, błogosławił przyszłego swój

zięcia; któremu w rzeczywistej chwili ślubu z najmilszą jego piérworodną Marysią, z tamtego już chyba świata duch jego błogosławił powtórnie.

„Dziwnie się jakoś plecie
Na tym tu Bożym świecie,“

kiedy przeszłość niekiedy z przyszłością zestawim.

Za toż wieczorem u pani Macewiczowej, on sam był nie tylko spokojny, ale nawet żartobliwy z Berżerką i ze starą panią Kowalską, gromiąc owszem surowo, albo starając się zawstydzić, mnie, Olesia, i Juljana Korsaka, którzy byliśmy razem, że zły przykład dajemy damom.

Ostatnia noc pobytu w Wilnie przeznaczoną była na ostatnie zebranie i pożegnanie się kolegów, odjeżdżających z pozostającymi. Była to istna niegdyś chrześcijańska *Agape*. Odbyła się w mieszkaniu Tomasza Massalskiego, w głębi dziedzińca posepnego domu, tuż prawie przy Ostrój Bramie. Postanowiono wszakże z góry, aby sama nie była posepną. Pieśni, *jamby*, i mleko, przypominały wszystkim najweselsze czasy. Kułakowski wyprawiał pocieszne dyalogi, i nakoniec sam Adam, na ogólne prośby, improwizował, przy flecie Frejenta, drugą część znanéj dzisiaj powszechnie ballady „*Basza*,“ którą Stanisław Górski ponotawał z gruba ołówkiem, stojąc za plecyma śpiewaka, a drudzy dopełnili pamięcią. Dzwonek na *primaryą* w Ostrój Bramie położył koniec biesiadzie, i każdy był zapewne doznane przytém wrażenie połączyć jako razem i zakończyć modlitwą w tém miejscu. am słuchał mszy na galeryi, klęcząc z twarzą ukrytą łłoniach. Twarz potém była blada, ale najzupełniej

spokojna. Wracając, tonem pedagoga mówił do nas idących razem o obowiązku człowieka, poddania się wyrokom Opatrzności, która nigdy nie opuszcza nikogo, kto w niej z wiarą ufność położy. Stosował to mianowicie do mnie, który nie mając wtedy żadnych pewnych projektów na przyszłość, prosiłem go, aby przy sposobności, starał się znaleźć dla mnie jakie miejsce w stolicy, gdzie sam, jak pragnął, spodziewał się pozostać. Miałem zwłaszcza na myśli Instytut wschodnich języków, w którym był już Ludwik Spitznagel, a Oleś Chodźko tamże się wybierał. Pocieszaliśmy się przetoż nadzieją, że się znów gdzieś razem zbierzemy. I gdy już siedział z Sobolewskim na bryczce, pożegnawszy się ze wszystkimi, którzy stali dokoła, sądziłem że nie bez intencji ostatnie jeszcze słowa zwrócił wspólnie do Berzerki i do mnie, ujmując razem ją i mnie za rękę, i mówiąc: „No, no! dosyć już tego! Obaczmy się jeszcze pewno; tu, czy tam—ale się obaczmy. Bywajcie zdrowi, i niech was Bóg błogosławi!”—Dźwięk pocztowego dzwonka oznaczył ruszenie się koni. Był on dla nas jak dzwon pogrzebowy. Kilku z nas: Oleś, Korsak, Frejent i Domeyko Ignacy, szliśmy jeszcze za bryczką przez ulicę Niemiecką, i dopiero przed Pohulanką, zdjęciem czapek i powiewając chustkami, pożegnaliśmy się wzajem zdaleka ze znikającymi za górą.

Ułożoném było już przedtém, że miałem zamieszkać z Korsakiem; po zabranie więc tylko rzeczy wstąpiłem z nim razem do domu. Ale widok opustoszałych kątów tak straszne i niespodziane zrobił mnie wrażenie, że nie tylko sam zostać dłużej, ale nawet o własnej sile zejść ze wschodów nie mogłem

a co gorsza, że wszędzie, gdzie bądź poszedłem, czułem ciągle też samą okropność pustkowia. Nie wiem jakby to długo trwało; bo nim się oswoiłem z tym stanem, Puttkamer, na dni parę przybyły do Wilna, namówił mię i zabrał z sobą do Bolciennik. Jakkolwiek zaś zmiana miejsca i wiejskie powietrze nie musiały pozostać bez wpływu, sądę wszakże, że towarzystwo samych gospodarzy było dla mnie najskuteczniejszém lekarstwem. Jak w Wilnie wszędzie tylko nieobecność, tak tutaj, obok Marylli, czułem zda się jak gdyby ciąglą obecność Adama, a widok jęj swobodnie objawianego żalu, nauczył mię hamować mój własny. Nie wyszło mi to jednak na dobre; bo gdy pod wpływem tych wrażeń, napisałem o nich potém do niego, on zamiast odpowiedzi, jakiej się spodziewałem, po kilku piérwszych listach z drogi, z Petersburga i z Odessy dość regularnie pisanych, zamilkł nagle, i dopiéro w kilka miesięcy potém, w liście z Moskwy, po przybyciu już tam z Odessy, w Lutym 1826 pisany, dał mi jawnie do zrozumienia, że właśnie ów mój list był przy czyną, że sam tak długo nie pisał ¹⁾). Zrozumiałem przyczynę przyczyny, i odtąd już w dalszych listach nie wspominałem więćj o Marylli.

Tymczasem wiadomości o wszystkich innych miłych mu osobach były zawsze najpożądańsze dla niego, i sam się nawet o nie dopominał. Pamiętam między innymi list jeden, w którym mi dziękował serdecznie za szczegóły o pani Kowalskięj, zawarte w liście moim napisanym do niego z Kowna, przy posłaniu mu ballady

¹⁾ Ob. *Przypisy*.

mojej „*Rusalki*,” napisanej tam z jej właśnie powodu, i które on zawsze „kochanemi“ nazywał ¹⁾). Powód ten był następujący:

Od początku 1825 roku, mieszkałem znów stale w Wilnie, w jednym domu i tuż obok z Korsakiem, trudniąc się zwłaszcza wydawnictwem ramot moich, we dwóch tomikach, na które za bytności jeszcze Adama ogłosiłem był prenumeratę, a której powodzenie przewyższyło wszelkie moje nadzieje, jak o tém świadczyły listy abonentów, podług ówczesnego zwyczaju, w obu tomach drukowane na czele. Około połowy Czerwca, p. Kajetan Krassowski, ówczesny dyrektor gimnazjum, mianowany wizytatorem szkół gubernii Wileńskiej i wielce dla mnie uprzejmy, zaproponował mi wspólną podróż do Kowna, od którego miał zacząć wizytę szkół na Żmudzi ²⁾). Przystałem na to tém chętniej, że i Berżerka właśnie w tym czasie udała się tam na lato do ciotki. Zmrok już był, gdy przybywszy do Kowna, poszedłem wprost do państwa Kowalskich. Sama pani siedziała przy oknie w salonie. Niewyraźny okrzyk podziwu powitał mię najprzód gdy wszedłem, a wzruszenie było przytém tak silne, że choć już przystąpiłem bliżej, przez chwilę ani wstać z miejsca, ani słowa przemówić nie mogła. Pokazało się, że na pierwszy rzut oka zdaleka, z postaci i z ubrania wzięła mię za niespodziewanego Adama, o którym prawdopodobnie marzyła może w téj chwili. Były ztąd potem śmiechy, ale i łzy razem;

1) Obacz Dzieła A. Mickiewicza. T. VIII. wyd. 1880. str. 1

2) Żmudź należała wtedy do gubernii Wileńskiej.

a z téj to właśnie pomyłki powstał piérwszy pomysł ballady. Do kwiatów zaś z doliny, o których w niej mowa, wiąże się także wspomnienie zdarzenia, o którym napomknąłem już wyżej, i obszerniej opowiedzieć przyrzekłem.

Po kwiaty te, w celu ich posłania, pojechaliśmy znów do doliny temi samemi czterema ognistemi końmi, które mię niegdyś przejmowały trwogą, i któremi znów sam pan Kowalski obok z furmanem powoził. W powozie była sama pani Kowalska, jedna z panien marszałkówien Siwickich, i ja z Berżerką na przedzie. Dojechaliśmy szczęśliwie, i od młyna piechotą doszliśmy aż do końca doliny, nazbierawszy kwiatów po drodze. Ale wtém nadeszła chmura i spadł deszcz dość obfity, trwający może przez kwadrans. Schroniliśmy się do jakiejś chatki, ale powrót piechotą po błocie nie rokował miłej przechadzki. Posłano więc gospodarza chatki, aby konie z pod młyna sprowadził. Przyszły, i myśmy wsiedli do powozu; ale dojeżdżając do wzgórza, przez które droga szła brzegiem nad szumiącym w dole strumieniem, ja zacząłem doradzać damom, aby je przejść raczej piechotą. Oburzył się nasz Automedon na to moje—jak je nazwał—tchórzostwo; ale mimo to, rada moja trafiła do przekonania, i damy razem ze mną wysiadły. Rozgniewany tém p. Kowalski, i aby nas zawstydzić, ruszył śmiało kłasnawszy z bicza. Ale grunt był ślizki po deszczu, tylne koło osunęło się z drogi, i powóz z obu dyszłoni końmi runął z góry do wody; lejcowe tylko, choć również spadły, zatrzymały się jakoś nad brzeżem. Chwila była przerażająca. Szczęściem, że ani p. Kowalski, ani furman, prócz lekkiego stłucze-

nia i zimnej kąpieli, żadnego zresztą nie ponieśli szwanku. Ale powóz był połamany, i dwa konie pokaleczone, a my prostym wozem młynarskim musieliśmy powracać do miasta. Pan Kowalski chciał nas przekonać, że właśnie nasze wyjście z powozu, uczyniwszy go nazbyt lekkim, były przyczyną katastrofy; ale damy myślały inaczej, i to moje tak zwane „tchórzostwo,“ poczytały za Opatrzne natchnienie. Adam, w liście swym o tém, podzielał toż zdanie, i wróżył mi nagrodę w saméjże Bereżerce za uratowanie może jej życia. Ale to widać nie było sądzono; i tylko przyjaźń wzajemna pozostała niezmienną do grobu.

Podróż ta do Kowna, jak przed dwoma laty tak i teraz, była dla mnie wstępem, do innych, które w ciągu tegoż lata w różne strony Litwy, jak gdyby na pożegnanie, odbyłem, a z których w myśli i pamięci mojej złożył się i pozostał na całe życie tak uroczy i prawie z ideałem graniczący obraz wiejskiego obywatelskiego życia, iż pozwalałam tu sobie szczegółowiej nieco o nim napomknąć. Dla przyszłych może kiedyś czytelników tych wspomnień, będzie to mogło posłużyć za ciekawą miarę porównania z chwilą obecną.

Na dzień św. Jana (24 Czerwca), poręczyciel mój, p. marszałek gubernialny, Marcinkiewicz Żaba, zabrał mię z sobą z Wilna do majątku swojego Gielwan, w powiecie Wilkomirskim, gdzie już cała jego rodzina udała się była przedtém na lato, i miała tam w dniu tym właśnie imieniny jego obchodzić. Najpierwsi obywatele z sąsiedztwa, i nawet z pogracznych powiatów, zjechali się wraz z rodzinami, a złożyć życzenia sędziwemu, zasłużonemu i kochanemu powszechnie solenizantowi. Własny dom jego, opr-

dorastającą jedynaczką, Alinką, składało grono czterech, równych jej lub nieco starszych kuzynek, pobierających w nim wspólne wychowanie, pod przewodnictwem światłej i doświadczonej mistrzyni, panny Kotowskiej, z Królestwa, rodzonej siostry naczelnika powiatu w Białej Podlaskiej, którego długoletnie obywatelskie zasługi chlubnie pamiętne tam dotąd. Od lat dwóch byłem już znajomy w tym domu, wraz z inną uniwersytecką młodzieżą, którą uprzejmy gospodarz, w niedziele zwłaszcza i w święta, zwykł był i lubił po ojcowsku przyjmować; od czasu zaś, gdy na prośbę mojego ojca wziął mnie był na swoją porękę, stałem się jeśli nie codziennym, to przynajmniej jednym z najczęstszych gości, a legenda moja „*Jalmużna*,” poświęcona Alince, posłużyła mi za węzeł bliższego, przyjacielskiego, tak z nią samą, jak i z całym jej gronem stosunku. Otóż dzień ten imienin ojca, w „rozkosznych Giełwanach,” który doskonale pamiętam, mógłby ujść za streszczenie, w kierunku dodatnim, wszystkich główniejszych rysów ówczesnego nastroju i obywatelskiego życia na Litwie. Rozpoczęła go Msza św., odprawiona przez kapelana i przyjaciela domu, x. Lubeckiego, o dziewiątym już wtedy krzyżyku, a święcie bogobojnego staruszka, na której, oprócz rodziny i domowników, znajdowały się też deputacje ze wsi okolicznych, należących do solenizanta, z samych najstarszych gospodarzy złożone. O południu zaczęli zjeżdżać się goście. Najpoważniejszymi z nich byli: Jenerał hr. ssakowski, z Lukoń, b. adjutant cesarza Napoleona, 0cio-letni podkomorzy Kozakowski, z Kuran, typ ro polskiej cnoty, obyczaj, i nawet fizyognomii i uro-
która, równie jak eleganckim polskim strojem,

w całej prowincyi się odznaczał. Obaj oni, obok gospodarza i w towarzystwie innych mężczyzn, udali się przed obiadem na folwark, gdzie też dla deputatów wiejskich urządzona była biesiada, i razem z nimi, miodem zdrowie solenizanta spełnili. Po obiedzie we dworze, całe grono gości wyszło użyć pogody letniej na dziedzińcu, gdzie młodzież popisywała się przed damami, już to strzelaniem do wyrzucanych w górę jaj lub pomarańczy, już harcami, w krąg klombu, na koniach, które na pokaz w tym celu wyprowadzano kolejno ze stajni. Wieczorem był fajerwerk fabryki domowej, i nakoniec tańce przy fortepianie przeciągnęły się do wschodu słońca. A nie obeszło się także bez muzyki i śpiewu paniek, oraz kilkakrotnych deklamacyi wierszy, które jeszcze natenczas nie same tylko damy, ale i starsi panowie lubili.

Wróciliśmy do Wilna na dzień świętego Piotra (29 Czerwca), gdyż p. gubernialny marszałek musiał z obowiązku urzędu brać udział w uroczystym obrzędzie zamknięcia uniwersytetu, który się w dniu tym co roku, w auli uniwersyteckiej odbywał. W tym roku nie był on może tak wesołym jak dawniej; nie wszakże jeszcze na zewnętrznej powadze i pozornej świetności nie stracił. Purpurowe togi professorów, i srebrne berło rektorskie, w uroczystym pochodzie na węgłowi przed nim niesione, i następnie przed krzesłem jego na stoliku złożone, nie przestały być jeszcze godłami dawnego znaczenia i władzy, téj odwiecznej „Alma Mater“ Litewskiej.

Nazajutrz po świętym Pietrze, razem z sąsiad moim, Julianem Korsakiem, pojechaliliśmy do rodzic jego w Słonimskie, po drodze wstąpiwszy najprzó¹

noc do Bolciennik, a potem namówiwszy na towarzysza dalszej podróży Ignacego Domeykę, dzisiejszego rektora uniwersytetu w Santiago, w Chili, a który wtedy, jako internowany na wsi, gospodarzył po literacku w Zapolu, pod Lidą, i razem z nami pojechał do stryja, w blizkiem sąsiedztwie od domu Korsaków. Tu nowi ludzie, nowe stosunki i okoliczności, a przecież nastrój życia i obyczaj ten samy. Wszędzie też sama patryarchalna cześć i miłość dla starszych, zasłużeńszych sąsiadów; wszędzie ta sama przyjacielska zażyłość i poufałość między młodszymi, i nakoniec, wszędzie podobnie miłe, na jednaki ton wychowane, i poetycznie zwłaszcza nastrojone panienki. A sąsiedztwo było tu liczne, z samych prawie zamożniejszych domów złożone. Stolicą jego był Zdzięcioł, parafialne miasteczko, własność i rezydencya znakomitej rodziny Sołtanów, której głową naówczas był sędziwy, a ogólną czią otoczony, b. Marszałek W. X. Litewskiego; rzeczywistym zaś gospodarzem Zdzięcioła, młody syn jego Adam, nowo ożeniony ze śliczną, uroczą blondynką, ostatnią z domu Pocijów. Co niedziela i święto, bywający w kościele sąsiedzi zapraszani byli zazwyczaj, wraz z poważnym i światłym proboszczem, na obiad do pałacu, gdzie się już do nocy bawiono. Towarzystwo sędziwego marszałka składali mianowicie równi mu prawie: p. Ignacy Domeyko, (stryj kolegi naszego Ignacego), z Żybartowczyzny, niegdyś sławny mecenas Trybunału W. X. L., i pan Jan Kork, były szambelan dworu Stanisława Augusta, brat sęty Rajmunda, i ojciec Juljana, ze Strzały. Równnikami młodego Adama byli między innymi: Izyc, i brat jego, Mikulscy, z Wiązowca, bezzenni, i no-

wo ożeniony Adam Strawiński, z Nakryszek, którego matka, sędziwa i poważna matrona, xiężniczka Czwertyńska z domu, mieszkała w osobnym majątku Mirowczyźnie, gdzie też uprzejmie częstych przyjmowała gości. „Strzała“ Korsaków, położona jakby we środku, ze wszystkimi temi domami była w przyjacielskich stosunkach, a serdeczna uprzejmość gospodarzy, a zwłaszcza gospodyni, Ordzianki z domu, młodej jeszcze stosunkowo i bardzo wykształconej osoby, dom też ich czyniła nawzajem celem częstych odwiedzin sąsiadów. Ze zaś oprócz rodziców i syna, były w nim jeszcze dwie córki: śliczna panna Emilia i dorastająca Kostusia; najbardziej przeto zestosunkowanym ze Strzałą, a i najbliższym co do odległości, był dom pani Maryi Dmóchowskiej, (Nahorodowicze), wdowy, matki czterech dorosłych, słynnych z urody córek, i trzech synów. Sama pani, typ dawnych naszych staropolskich gospodyń wiejskich, rządna, rozumna, pobożna, była przytém dziwnie wesoła, i odznaczała się biegłością w heraldyce familijnej. Qd piérwszej więc chwili poznania, wynalazła gdzieś w jakimś pokoleniu węzeł powinowactwa ze mną, zkąd wyniknęła nazwa, a następnie i przywileje „kuzynka.“ Najstarszy z synów, Wincenty, wykształcił się potem na znakomitego malarza; w chwili zaś, o której tu mowa, był znakomitym przewodnikiem tańców, które wprost z natchnienia wesołości, po parę razy w tydzień, odbywały się zazwyczaj w Strzale, przy fortepianowej muzyce pani domu, a na które i dzisiejszy rektor w Santiago, regularnie przyjeżdż konno. Trzebaż mówić, że wśród takich stosunk i otoczenia, w wirze ciągłych, codziennych, oddawnych lub przyjmowanych wizyt, dwutygodniowy po!

mój w Strzale przeszedł mi jak uroczy „sen nocy letniej,” tak, że niepodobna było przypuszczać, abym kiedy coś równie miłego, a cóż dopiero miłszego jeszcze, mógł doznać. A jednak i to się stało.

We dwa tygodnie po powrocie moim do domu na wsi, odwiedził mię też nawzajem Korsak, któremu i moja rodzina, i całe nasze liczne sąsiedztwo, starały się, wedle możności, odplacić niejako gościnność, którą ja w domu jego doznałem. Wigilią zaś św. Ignacego (30 Lipca), pojechaliliśmy z nim razem do Dziewiątyni, na imieniny gospodarza, (Chodźki), które już młoda jego żona uroczyście obchodziła w tym roku. A że w parę dni potem przypadały imieniny panny Anieli (2 Sierpnia), które też niemniej solennie brat jej w „Ruskiem Siole“ obchodził: więc i tam całotygodniowy nasz pobyt był ciągle jakby dniem świątecznym. W dniu nakoniec, gdy Korsak wybrał się z powrotem do domu, ja bez trudności dałem się namówić do odbycia, jako gość przybrany, wraz z młodą parą i jej siostrą, pierwszej familijnej wizyty, o mil kilkanaście, do czterech rodzonych wujów samej pani, pp. Bohdanowiczów, mieszkających w powiecie Wilejskim, o mil parę jedni od drugich: w Stajkach, w Manujłach, w Zaborzu i w Obodowcach. Wszyscy czterej zamożni, i zasłużeni dygnitarze z wyborów obywatelskich, prowadzili dom na wyższą skalę, a ogólna wszystkich rodzina liczyła ni mniej ni więcej, jak czternaście miłych, ładnych, starannie wychowanych lub wychowywanych się kuzynek, mniej więcej rówieczniczek moich i towarzyszek podróży, i dziewięciu w różnym wieku kuzynów, którzy właśnie w tym czasie na wacayach w domu bawili. Przybycie młodej pary do

domu najprzód najstarszego z wujów, do Stajek, dało hasło całemu temu pokrewnemu gronu do spotykania jej i gromadzenia się koło niej, w coraz przemieniającym się składzie, tak tam, jak i podczas następnych kolejowych wizyt; tém bardziej, że uprzejma gościnność gospodarzy starała się naprzemian łączyć wszystkich w jedno, dla uprzyjemnienia i urozmaicenia swym gościom pobytu każdy w swym domu. Były więc i dożynki (żyta), i polowania, i rybołówstwa, i wyprawy w orzechy lub w grzyby, nie mówiąc już o domowych spacerach i tańcach wieczornych, przy muzyce fortepianu. A działo się to wszystko najwięcej gwoli samego Chodźki, i jako nowego członka rodziny, i jako znanego już powszechnie literata, „szubrawca“ i poety. Że zaś i piérwszy tomik moich ramot, wyszły w świat w początkach Czerwca, poprzedził już był moje osobiste przybycie: stał on mi się téż wielką pomocą do prędkiego i przyjaznego stosunku z całym tém gronem młodzieży; co zwłaszcza było miłém i pożądaném dla mnie, z powodu oddziaływania jużciż i na własne towarzystwo podróżne. A dodaćże jeszcze do tego, dwudziesty drugi rok życia i nowość wszystkich tych wrażeń: a nie zadziwisz się, ufam, siostrzyczko, że dotąd cały ten peryod życia liczę w pamięci do najmiłszych wspomnień, które mi nieraz, jak polarna zorza, rozjaśniają mrok nocy zimowój.

A nie koniec jeszcze i na tém. W powrocie Chodźko wstąpił z żoną po drodze do dwóch dobrych swoich przyjaciół: pp. Józefa Rahozy, w Serwec i Wincentego Lewkowicza, którzy obaj kawalerow gospodarzyli na wsi nie daleko siebie, i obaj, dla uczczenia tych przyjacielskich i damskich odwiedzin, spro

każdy całe swoje sąsiedztwo, co nam także z tydzień czasu zabrało. Miałem więc o czém rozmyślać powróciwszy nareście w końcu Sierpnia do domu, i całą już resztę jesieni poświęcając wyłącznie ku czci i służbie Dyanny, już to w orszaku czcigodnego sąsiada naszego, p. Soroki, już sam na własną rękę, z psami jego u siebie polując. Aż jakby na uwieńczenie tego wyjątkowego cyklu ciągłych zabaw, pan Lorens (Puttkamer), w połowie Września, przysłał do mnie umyślnego posłańca, aby mię téż na polowanie do Bolciennik zaprosić.

W „Listach moich z Podróży“ opowiedziałem pocieszłą scenę mego tam przybycia, gdy wchodząc do pokoju trafilem właśnie na opowiadanie o wrzekomiej śmierci mojej, z ręki mordercy, którém przybyły wprost z Wilna sąsiad ich staruszek, oboje gospodarstwo uraczał; zwymyślawszy wprzód mnie samego na popasie w karczmie, kiedy po wysłuchaniu cierpliwie całej téj długiej powieści, sam się mu jako żywy zaprezentowałem, a on to za niewczesny żart „młokosa“ poczytał. Drobną ta na pozór okoliczność, przez współczucie okazane z ich strony, a przez wdzięczność z mojej, spoila jużciż tém ściślej węzły wzajemnego stosunku; myśliwska zaś ta gościna u nich, stanowi tak skończony i wydatny obrazek obywatelskiego naówczas życia i obyczaju w Litwie, że chociaż w skromnych ramach szlacheckiego dworku, mógłby ujść za miniaturową kopię dawnych łowów pańskich, w zamku Piłskim lub Woronczańskim.

Kilkunastu dobrych przyjaciół, bliższych i dalszych sąsiadów, zjechało się w gościnę do p. Lorensa,

aby popolować razem dni kilka, w kniejach własnych i okolicznych. O polowaniu „z naganką,” będącém dziś w powszechném użyciu, nie słyszano wtedy nawet na Litwie. Polowanie było wojną, nie rzezią. Każdy przeto myśliwy przyprowadził psy swoje. Zebrało się w ten sposób ze dwadzieścia sfór gończych i około dziesiątka smyczów. Dojeżdżacze codzien o świcie wychodzili z gończyma do oznaczonych kniei, dokąd my strzelcy bryczkami, lub kto chciał, konno, dojeżdżaliśmy o wschodzie słońca, i trąbki grały uverture łowów. Udały się, czy nie udały, jak wypadło; ale o południu zazwyczaj sama pani przyjeżdżała powozem, albo po amazońsku konno, z taborem wiozącym śniadanie, które odgrzewało się w lesie, przy nanieconém ognisku. Towarzystką jój w obu razach, w ciągu całego tego zebrania, była krewna, sąsiadka i przyjaciółka, panna baronówna Weronika Osten-Sacken, (z Gojcieniszek), z urody, humoru i ułożenia, jak dwie krople wody podobna do obrazu *Dyanny Vernon*, w powieści Walter-Skotta p. t. „*Rob Roy*,” tém bardziej, że jak ona, przy amazonce, zielony kapelusik nosiła. Admiratorem jój był p. Adam Rymsza, sąsiad i wojskowy kolega pana Lorensa, który téż, za protekcyą jego, w lat parę z nią się ożenił; w chwili zaś, o której tu mowa, assistował jój wiernie na łowach. Była albowiem tak śmiałą, a raczej tak zuchwałą amazonką, że nikt inny nie miał ochoty towarzyszyć jój w ściganiu za chartami, z któremi już zwykle po południu dla zabawy dam polowano. O zmroku wracało się do domu, gdzie już płonęły kominki i stoły nakryte czekały. A cóż dopiéro mówić o wesołych gwarach i swar przy tych stołach i tych kominkach! Klótnie bow

„Assesora z Rejentem, o Kusego i Sokola“ w „Panu Tadenszu,“ ponawiały się tu co chwila, z powodu tego lub owego ogara czy charta, a mianowicie każdego szaraka czy lisa, który uszedł od chartów i strzałów myśliwskich. Pojedynczą powagą, naksztalt „pana Wojskiego,“ bywał zwykle w tych razach Żegota, (Ignacy Domeyko), nie z wieku ani ze sławy myśliwskiej, ale wprost z wesołego humoru i prawdziwie staropolskiego dowcipu, który jak niegdyś w gronach Filareckich, tak i tu czynił go duszą przyjacielsko-myśliwskich rozmów, a bezstronnym rozjemcą sporów.

A jednakże ta wesołość ówczesna, nie była już taką samą jak niegdyś. Na dnie serca była zawsze myśl o tych, którzy już jój z nami nie dzielą. Po wyjeździe Zana i Czeczota, Domeyko, i jako krewny, i jako przyjaciel, był już jedynym powiernikiem dawnych wspomnień i uczuć Marylli, a razem i serdecznym druhem jój męża. To téż po za obrębem myśliwskiego gwaru, przedmiotem rozmów poufnych byli zawsze *Oni*. I jeśli Adam, który właśnie w tym czasie podróżował w Krymie, wjechawszy na stepy Akermańskie, nie dosłyszał w ich ciszy, chociaż nadśluchiwał, wołania za sobą z Litwy: w tém już wina jego własna nie czyja, że pisać o tém do siebie zabronił.

A i drugim téż czarnym punktem na tle myśli naszych, była wspólna z nim niepewność przyszłości. Co do mnie, czas już było pomyśleć o obraniu jakiegoś zawodu, ażeby przestać być ciężarem ojcu. Literatura, w właściwém znaczeniu, nie rokowała powszedniego ci ba. Wprawdzie prenumerata na pierwsze dwa to „ki moich ramot, zapewniła mi była na czas nie-

zależność; ale czas ten nie mógł trwać długo. Życzeniem ojca było, abym wszedł do palestry w Wilnie; ja zaś czekałem ciągle na skutek obietnicy Adama, że mi gdzieś blisko siebie jakieś miejsce może wynajdzie. Ale były to gruszki na wierzbie, a tymczasem troska trapiła. Położenie Żegoty pod tym względem było wprawdzie odmienne, ale w gruncie rzeczy podobne. Mógł on nie troszczyć się o chleb powszechni, ale przymusowe gospodarstwo w Zapolu nie odpowiadało bynajmniej ani upodobaniom, ani aspiracyom jego; a tymczasem trudno było przewidzieć, jak się z tego parafialnego zakątka na szerszy świat Boży wydostać. „Ale *qui scit* co za górą?“—jak powiadał Ignacy Chodźko. Mógłże on nawet w marzeniach najbardziej rozbującej wyobraźni przypuścić, a cóż dopiero przewidzieć, że kiedyś w antypodach, między dwoma oceanami, będzie uczył potomków Korteza, jak szukać złota po Kordylierach, i stanie się ich przewodnikiem do wyższej Europejskiej oświaty, której system w Rzeczypospolitej Chilijskiej sam na wzór Wileńskiego uniwersytetu urządził, i dotąd nim od lat piętnastu, jako rektor uniwersytetu w stolicy Santiago, i jako prezes Najwyższej Rady Wychowania, kieruje. A i mnie też, na niskim poziomie, niespodziewana drobna okoliczność popchnęła wnet w inne strony i na inne drogi, niż były te, o których marzyłem.

W połowie Października powróciwszy do Wilna, zajmowałem się wydawnictwem drugiego tomiku moich *ramot*, i spieszyłem z drukiem jak mogłem, aby w dzień Św. Salomei, (17 Listopada), ofiarować go na wiązanie solenizantce, pani Becu, jako zawierający wiersz do niej, na dzień ten właśnie napisany. I trzeba że

w dniu tym właśnie, ona sama stała się jakby narzędziem Opatrzności, która mię przez nią na te nowe drogi zwróciła.

Oslabiona po ciężkiej chorobie, nie mogła jeszcze sama być w kościele w dzień swych imienin. Ja więc, z panienkami i z Julkiem poszliśmy do Ostrój Bramy aby mszy intencyonalnej wysłuchać. Wracając, przed samym ich domem, spotkałem na ulicy krewnego mojego i sąsiada, p. Teodora Wańkowicza, którego syn, mój rówieśnik, był w szkole podchorążych w Warszawie, a złożony ciężką chorobą, pisał do ojca prosząc, aby tam do niego przyjechał. Pan W., który tylko co przybył do Wilna starać się o paszport dla siebie, zaproponował mi wspólną podróż, mając jechać swojemi końmi i tylko na parę tygodni. Odmówiłem wręcz bez namysłu, i z tém do solenizantki przyszedłem. Ale tu i ona sama, i panienki, tak stanowczo zgańczyły tę moją odmowę, i tak przekonywająco nakoniec słuszności swęj nagany dowiodły: że wprost od nich udałem się do p. Wańkowicza, aby razem z nim wspólne starania o paszport dla siebie rozpocząć. Następnie, pojechawszy z nim razem na wieś do ojca, gdy i ten również zdanie pani Becu podzielał: d. 1 Grudnia 1825 roku, wyruszyliśmy z nim razem do Warszawy— swemi końmi i tylko na parę tygodni. Ale „*qui scit co za górą?*“

Tu znowu ciśnie mi się pod pióro, ów cytowany już wyżej wiersz Byrona, w przekładzie Adama:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“—
(Bo jak snem mnie samemu są dziś te wspomnienia).

Ale nim ci opowiem, siostrzyczko, i jeżeli kiedy opowiem, szczegóły téj nowej epoki *snu-życia*, wśród nowych ludzi i okoliczności: chcę tu opowiedzieć tymczasem, w sposób oderwany, o kilku nowych przyjaciółach-poetach, z którymi łączące mię uczucia, zachowały zwłaszcza charakter i nastrój Filarecki. Takimi byli: Kazimierz Brodziński, Stefan Witnicki, i Józef Bohdan Zaleski w Warszawie; a Stefan Garczyński i Wincenty Pol, w Rzymie i w Dreźnie.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

I.

Drobna na pozór okoliczność, zbliżyła mnie od razu z Brodzińskim, i nadała koloryt i ton stosunkowi.

Po wyjściu w Warszawie zbioru poezyi jego we dwóch tomach, zdarzyło się, że pierwszy ich egzemplarz w Wilnie, miałem ja. Przywiózł mi go, jako gościniec, sąsiad wracający z Warszawy. Czytałem je więc i deklamowałem na pamięć na wszystkie strony, gdzie się tylko i komu zdarzyło. Raz na wieczorném zebraniu w domu państwa Balińskich, (zięcia i córki Jędrzeja Śniadeckiego), występując z podobną deklamacją, zacząłem recytować wiersz: „*Matka i Dziecię*,“ którego jedna strofka zwłaszcza, jak wtedy, tak i dziś jeszcze, czyni na mnie szczególniejsze wrażenie. To też wszyscy moi bliżsi znajomi, ze słuchania już tylko wiersz ten umieli na pamięć. Panna Hersylia Becu, jedna z najwyższych moich ideałów ówczesnych, i która, jako szczerza nawzajem przyjaciółka moja, oddawna ięła sobie za zadanie, odczytać mię od prawienia nplementów, podchwytyjąc i kończąc je za mnie; téj chwili, dopomagając pannie Ludwice Śniadek w nalewaniu herbaty — machinalnie, i z przy-

zwyczajenia, zaledwo wymówiłem dwa początkowe wiersze:

„Mamo, do czego te dzwony,
Tak smutnie xięża śpiewają?

przerwała mi i chciała dokończyć strofę, która brzmi:

Nie bój się, mój ulubiony!
Ktoś umarł, grzebać go mają.“

Ale zaledwo wymówiła wiersz trzeci i wyraz „mój ulubiony!“ spostrzegła się i nagle zamilkła. Śmiech powstał w towarzystwie, a sędziwy pan Jan Śniadecki, który szczególnie pannę Hersylię lubił, odezwał się z jowialnym przekazem: „Czy to acanna z natchnienia serca tak improwizujesz.“ Słowa te podwoiły ogólną wesołość i zapłonienie panny Hersylii, a mnie to jakoś tak było przyjemnie, że po chwili zbliżywszy się do niej, zrobiłem formalne *votum*, że jeśli kiedy poznam Brodzińskiego, zaraz najprzód podziękuję mu za to.

Otóż przybywszy raz pierwszy do Warszawy, w Grudniu 1825 roku, i mając być na obiedzie u Jenerała Krasieńskiego, na którym wiedziałem, że jako pierwszy okaz romantyków z Wilna, miałem być zaprezentowany od razu całemu gronu klasyków i literatów warszawskich: oddając więc im wszystkim poprzednie wizyty, pod przewodnictwem i opieką pana Joachima, przyjechaliśmy też z kolei i do *Kazimierza z Królówki*. Przyjął jużciż uprzejmie i grzecznie, a tak sobie dosyć obojętnie. Alić zaledwie—przeprsiwszy go najprzód, ma się rozumieć—uściłem się rzczywiście z owego mojego *votum*: Brodziński oży

się widocznie, zaczął śmiać się i rozmawiać bardzo życzliwie — nie o wierszach lub książkach, ale też o panienkach; a mianowicie, iż jednej z nich z za Buga zawdzięcza, że wierszy całkiem pisać nie przestał. Postanowił już bowiem był to uczynić, ale spotkawszy ją gdzieś na wieczorze, tyle w niej znalazł współczucia dla poprzednich prac swoich, (a może i dla samego autora), że tegoż dnia, za powrotem do domu, po rocznej prawie przerwie, nowe wiersze napisał. Skończył to opowiadanie twierdzeniem: „że tylko dla panienek warto pisać wiersze.“—Nie wiedziałem, że był już wtenczas zaręczony, a przynajmniej zakochany w przyszłej swojej żonie. Zniechęcenie zaś to chwilowe do poezji, pochodziło znikąd inąd, jak z nieżyczliwości krytyki, która pierwsze jego utwory, jeśli nie w *prassie*, której wtedy jakby nie było, to w ówczesnej warszawskiej publiczności spotkała. Z rzeczy bowiem jutrzejszego obiadu u Jenerała, na który był zaproszony, ale na którym być nie miał, wypowiedział otwarcie przyczynę: dla czego? Przeciwno uprzejmości samego Jenerała nie miał on nigdy nic do zarzucenia, i bywał niegdys często na obiadach u niego; ale dowiedziawszy się potem, że Osiński, siadając do stołu, nieraz zamiast *benedicite* deklamuje parodjując różne jego wiersze, a obecni tylko się śmieją—dalszego bywania zaprzestał. I nie było to skutkiem obrażonej miłości własnej, ale tylko, jak się wyraził: „że to jest rzecz niemila, czuć się między nieżyczliwymi.“—Tym razem jednak, zy końcu mojej wizyty i na gorącą prośbę moją, lecał, że na jutrzejszym obiedzie będzie, (jakoż i był istotnie). Przypisałem to widocznej dobroci jego dla mnie, i serdecznie byłem mu wdzięczny; ale ani mi

na myśl nie przyszło, czém sobie na tę dobroć potrafiłem zasłużyć. Dopiero w rok może potem, poznawszy się bliżej z Witwickim, dowiedziałem się od niego, o czém mu sam Brodziński powiadał, że przyczyną tą było nie co innego, jak owo moje opowiadanie o panie Hersylii, z czego Brodziński wyciągnął ten wniosek, „że nie byłem literatem z professyi.“—Z tego zaś łatwiej jeszcze wywnioskować można, jak ci oficcyalni *literaci z professyi*, tak jemu, jak i wszystkim z kąd inąd przybyłym, do żywego dojedli w Warszawie.

W dalszym ciągu trzymiesięcznego tą razą pobytu mego w Warszawie, korzystając z danego mi pozwolenia, najmniej raz w tydzień bywałem u Brodzińskiego,—i nawet za pośrednictwem jego zrobiłem kilka miłych znajomości z professorami uniwersytetu, których albo u niego spotkałem, albo do których domu on sam mię wprowadził. Nadewszystko zawdzięczam mu znajomość z domem państwa Bentkowskich, i z przyjaciółką jego, panią Katarzyną Lewocką, której ja też dobroci i przyjaźni najmilsze moje wspomnienia z owéj epoki życia mego winienem.

Przybywszy w roku następnym na stałe zamieszkanie do Warszawy, znalazłem już Brodzińskiego ożenionym. Przedstawił mię swojej żonie jako „wielkiego przyjaciela panienek.“ Protestowałem przeciw téj wyłączności, mówiąc: iż radbym też zasługiwać na przyjaźń żon moich przyjaciół, o ile na to zazdrość mężów pozwoli. Pozwolenie, ma się rozumieć, zostało udzielone łaskawie; i rzeczywiście od téj piérwsz chwili poznania, powziąłem też dla pani Wiktoryi i szczerzą przyjaźń i uszanowanie, na które ona wszech względów najsluszniej zasługiwała. Rza

zdarzyło mi się widzieć tak dobrze dobraną parę, nie tylko pod względem łagodności i słodczy charakteru, ale nawet wyrazu twarzy. Widocznie była to żona „od Boga przeznaczona,” za jaką on sam ją uważał; i chociaż nieraz potem spotkałem się z sądami drugich, że mu nie odpowiada naukowém wykształceniem umysłu; ja sam przecież, jako bliższy świadek szczęśliwego pożycia ich w domu, utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że *Przeznaczenie Boże* nie podług tego widać kamertonu układa harmonię małżeństw.—Do cech zaś wspólnych im obojgu, zaliczyćby jeszcze można i pewnego rodzaju nieśmiałość—wynik równie skromności jak temperamentu. Oto np. drobny jój rysek w nim samym.

Razu jednego państwo Bentkowscy, zaproszeni przez dyrektora Obserwatorium dla widzenia pierścienia Saturna, zaprosili sami od siebie liczne grono swoich znajomych, którzy wraz z niemi, w piękny wieczór letni, mieli iść najprzód spacerem do Botanicznego Ogrodu, i tam czekać na godzinę obserwacyi. Mężczyźni, przy wyjściu z bramy, podawali rękę damom. Brodziński zbliżył się do mnie i rzekł: „Proszę cię, podaj rękę mojej żonie.“—Nie trzeba było mówić mi tego dwa razy, ale spytałem wszakże: z kąd ta łaska? A on z tym swoim łagodnym, dobrodusznym uśmiechem, który był charakterystycznym rysem jego fizyognomii; odpowiedział: „Przyznam ci się, że mi wstyd jakos iść przez ulicę pod rękę z kobietą.“—„No, to weźże zynajmniej moją laseczkę—odpowiedziałem żartując—edy już tak do niej nawykłeś.“—Zrozumiał alluzję o swojej piosenki:

Chłopcy się żenią,
 A ja nie.
 Lata się mienia,
 Biada mnie!
 Każdy ze swoją
 Żoneczką,
 Ja tylko z moją
 Laseczką.“

i śmiejąc się wesoło, przyprowadził mię do swojej żony, powiedział jej o zamianie, i powierzył ją mojej opiece.—W domowym wszakże obejściu był dla niej zawsze bardzo czuły i pełen względności. Raz np., w rok może po urodzeniu jedynej ich córeczki, Karusi, którą równie kochali i pieścili oboje: przyszedłem do niego nad wieczór, kiedy żony w domu nie było. Dzień był skwarny, i tak mi się strasznie pić chciało, że uprzejmy gospodarz chciał mię koniecznie uczęstować piwem owsianém. Że zaś nie było posłać kogo po nie, a sklepik był niedaleko, a Karusia spała spokojnie—Brodziński wydelegował mamkę. Alić zaledwo ta wyszła, Karusia zaczęła się ruszać. Zaniepokojony tém ojciec przystąpił sam do kolebki, i kołysząc ją zaczął nócić półgłosem. Ale właśnie to nieszczęsne nócenie rozbudziło gorzej dziecinę, która poczuwszy nieobecność mamki, otworzyła senne oczęta—a wtém na biedę i ja się zbliżyłem. Widok obcego człowieka przestraszył ją czy rozdrażnił tém bardziej; dość, że zaczęła krzyczeć w niebogłosey. Ojciec w przestachu porwał ją na ręce, i nosił po pokoju skacząc i śpiewając; ja biegalem tuż obok, klaszcząc w dłonie i pokazując zegarek;—ale wszystko to było bez skutku. Karusi krzyczała tak mocno, że płacz prawie do konwulsy dochodził. Niepokój ojca przeszedł wszelkie granice

Z przerażeniem spoglądał ku drzwiom, i nakoniec odezwał się do mnie: „Oto będzie piękna historia, jeśli żona, broń Boże, nadejdzie.“—Nie lękał się on wszakże żony, ale tylko przykrego wrażenia dla niej, a już ciż pewno i słusznego wyrzutu za nieogłędne odeślanie mamki. Szczęściem mamka wróciła przed żoną, Karusia się uspokoiła, i ja przy nalewaniu piwa mogłem zadeklamować tryumfalnie z Książnina:

„Usnęło słabe nieboże,
Dosyć się, dosyć splakało,
Po płaczu lepiej téż może
Będzie nam spało.“

I trzebaż, że właśnie przypomnienie téj sceny podało temat i rzuciło niejako swój kolor na ostatnią, wigilią śmierci, rozmowę jego ze mną, która była jakby łabędzim śpiewem téj pięknej, czystej, niewinnej duszy śpiewaka „*Wiesława*,“ która mu jak ten poemat, tak i wszystkie inne prace jego natchnęła. Ale na to będzie miejsce poniżej.

Przez pierwsze dwa lata pobytu mego w Warszawie, stosunek mój z Brodzińskim był ciągle na téjże stopie, to jest, uprzejmój dobroci ze strony jego, a serdecznego przywiązania i wdzięczności z mojej. Na stopę przyjacielskiej równości, podniosła go dopiero następna okoliczność:

Razu jednego przyszedł do mnie o niezwykłej godzinie rannój, i wyczytałem z twarzy że był czémś zakłopotany. Z razu nie śmiałem pytać o przyczynę; ale gdy wnet i ze słów jego odgadłem, że ma do mnie jakiś interes, i że w nim jest powód kłopotu: prosiłem, aby mi wszystko powiedział otwarcie. Rzecz szła

o to, ażeby w grzeczny i spokojny sposób skłonić mnie do zaprzestania bywać w jednym domu, którego on był przyjacielem, i do którego sam mnie kiedyś wprowadził. Przyjmowano mnie w nim nader uprzejmie; ja byłem wdzięczny serdecznie, i jużciż nie tailem oznak tej wdzięczności. Otóż uprzejmość ta i ta wdzięczność, nie podobały się widać komuś trzeciemu; chociaż Brodziński mówił sam od siebie, w kształcie życzliwej, przyjacielskiej rady. Widoczném było jednak, że się lękał, ażebym tego nie wziął za obrazę, lub aby to nie było zbyt trudną dla mnie ofiarą. Kiedy więc zamiast tego, uznałem owszem słusność jego uwag, a on sam przekonał się dowodnie, że we wszystkiém tém z mojej strony ani cienia złej intencji nie było: tak zdał się być tém ujęty, a nawet wzruszony, że powstawszy z miejsca, zaczął mnie najprzód ścisnąć i całować, a potem wypowiedział jak gdyby oświadczenie swoich uczuć dla mnie. Od tej chwili, jakby mi dziesięć lat wieku przybyło, przestałem czuć się młodszym w towarzystwie jego; on zaś ze swojej strony stał się ze mną daleko poufalszym i otwartzym niż przedtém; mówił częściej o sobie, a nawet i o drugich, i w wielu okolicznościach późniejszych udzielał mi rad i przestroóg braterskich. Ściągało się to mianowicie do zbyt szorstkiego niekiedy występowania mojego przeciw jednemu z ówczesnych koryfuszów klassycyzmu w Warszawie, którego choć on sam także nie lubił, ale jako dojrzalszy wiekiem i rozumem ode mnie, umiejac lepiej panować nad sobą, po mnie także równiej względność i umiarkowania wymagał. Oto np. scenka w tym rodzaju.

Brodziński mieszkał na dole, w pawilonie Kazimirowskiego pałacu, gdzie się mieścił naówczas uniwersytet. Raz chodząc z nim po pokoju i machinalnie spoglądając przez okno, postrzegamy, że przechodzi mimo Witwicki. Brodziński poskoczył ku oknu; ale nim dobiegł i zapukał w szybę, Witwicki już był przeszedł i pukania tego nie słyszał. Tymczasem zaś tuż za Witwickim, szedł niewidziany przez nas, właśnie ów koryfeusz klasyczny, który, usłyszawszy brzęk szyby i widząc stojącego w oknie Brodzińskiego, pozdrowił go kapeluszem i zawrócił się ku drzwiom. „Otożemy się złapali!“—odezwał się do mnie Brodziński. „Ale na miłość Pana Boga, proszę cię, bądź grzeczny, i nie wszczynaj z nim dysput. Zrobiłbyś mi największą przykrość.“—Obiecałem, i dotrzymałem. On zaś na wstępie przeprosiwszy gościa za to mimowolne *qui pro quo*, wywiązał się jak najgrzeczniej z roli gościnnego gospodarza, wiodąc dyskurs o dziennych sprawach uniwersyteckich. Dopiero, gdy gość był już za drzwiami, Brodziński podniósł ręce do góry, i odetchnąwszy z głębi piersi, zawołał: „Ach!!! Po każdej takiej rozmowie czuję się jak zdjęty z tortury.“

Od téj także epoki zaczął się między nami zwyczaj czytania sobie niekiedy nowo-napisanych wierszy, ku czemu mnie, jako młodszego, Brodziński najprzód przykładem swoim ośmielił. Delikatność jego w udzielaniu uwag dochodziła prawie do niesmiałości; łatwość zaś w ich przyjmowaniu była najlepszym dołem, nie powierzchownej tylko, ale szczerzej wewnętrznój skromności. Między innymi czytał mi, w miarę: pisał, przekład, a raczej parafrazę xiąg Hioba, której mówił mi potem w Dreźnie, że ją całkiem

przygotowaną do druku, wyjeżdżając, w Warszawie zostawił;—a która przecież musiała gdzieś zaginać, wraz z wielu innymi rękopismami, bo nigdzie dotąd, ile wiem, w całości drukowaną nie była. Przy tém czytaniu wymagał koniecznie, ażeby nie przepuszczać żadnego wyrażenia, ani nawet żadnego wyrazu, przeciw któremu miałbym co do zarzucenia. Gdy zaś zarzut uznał za słuszny, z uśmiechem zwykle powtarzał: „No, to dobrze! ale jakże to zrobić?“ I myśleliśmy wtedy wspólnie nad poprawką; która albo się udała na razie, albo ją do dalszego namysłu zostawiał.

Ale nie było dla niego większej i prawdziwszej pociechy, jak kiedy mógł cudzą robotę bezwarunkowo pochwalić. Miałem zwłaszcza tego dowód na sobie, czytając mu moje „*Wesele*“, które uważał za najlepszą ze wszystkich moich dotychczasowych ramot. A cóż dopiero mówić o jego szczerém uznaniu i gorącym współczuciu dla Mickiewicza i dla Zaleskiego; o względnej zyczliwości dla wszystkich młodszych talentów, i o sumiennej sprawiedliwości w sądzeniu o starszych, którzy w tém wcale nie dawali przykładu z siebie, ani odpłacali się mu wzajemnością. Nie był on zresztą drażliwy na właściwą krytykę literacką, będąc sam najsurowszym krytykiem prac swoich; ale co go bolało, to osobista zła wola i niechęć, dotycząca w pisarzu człowieka, a grassująca epidemicznie pomiędzy ówczesnymi literatami w Warszawie; o czém najlepsze wyobrażenie może dać między innymi: „*Obóz Klassyków*“, wydany przez L. Siemińskiego, i przytoczone w nim korespondencye ich samych. Najgłębiej wszakże tym względem dotknął go był przed laty sam pan minister oświecenia, Potocki, głowa ówczesnych litera

i krytyków warszawskich. Było to w r. 1818 czy 1819, z pewnością nie umiem powiedzieć. Brodziński, jako professor literatury polskiej w Lyceum Pijarskiem na Żoliborzu, jako współredaktor ówczesnego „Pamiętnika Warszawskiego,” i nakoniec jako już znany z prac swoich autor i poeta, starał się o katedrę tegoż przedmiotu w nowo otwartym uniwersytecie warszawskim. Nominacya zależała od pana ministra, i Brodziński miał wszelkie powody mniemać, że ją ostatecznie otrzyma. Tymczasem, w wydawanym przez siebie „Pamiętniku,” umieścił rozprawę swoją, „*O romantyczności i klasycyzmie*,” pierwsze publiczne słowo w tym przedmiocie, który już od niejakiego czasu budził prywatne literackie dysputy i wywoływał żarty albo paszkwile starszych laureatów, nie dając im spokojnie usypiać na laurach. Do owój to epoki odnosi się i to wspomniane wyżej parodyowanie wierszy Brodzińskiego na obiadach u Jenerała Krasieńskiego. Ogłoszenie rzeczonój rozprawy dołało oliwy do ognia. Brodziński przyszedł do pana ministra dowiedzieć się o skutku swój próśby; ale zamiast spodziewanej względności, znalazł tak zimne i dumne przyjęcie, że mu to wszelką odjęło otuchę. Nie dość na tém. Pan minister, w ciągu rozmowy, wziął niby nieumyślnie ze stołu świeżo wydany zeszyt „Pamiętnika,” i obracając go w rękę niby obojętnie, dał jednak spostrzedz autorowi rozprawy, że właśnie w całym zeszycie kartki jój tylko były nierozcięte. Brodziński uczuł to boleśnie, nie jako osobistą obrazę, ale jako niesprawiedliwość ze strony tego właśnie człowieka, który z urzędu, imienia i wieku, był—czy raczej być by powinien—kierownikiem postępu oświaty;

rzewodnikiem i opiekunem garnącej się do nauk i do pióra młodzieży. Ale—jak mówi Podkomorzy w „Panu Tadeuszu:“

„Taka była przesądów owoczesnych władza!“

W chwili, gdy ja się poznałem z Brodzińskim, stanowisko jego w hierarchii społecznej było już całkiem odmienne. Jako professor uniwersytetu, (mianowany po śmierci Potockiego, przez następcę jego Grabowskiego); jako członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk; jako poeta ustalonej sławy; przytém jako człowiek szanowany powszechnie i ukochany przez młodzież; Brodziński stał już na równi ze wszystkimi tymi, którzy niegdyś, w początkach jego zawodu, stojąc stosunkowo na górze, zamiast mu podać opiekuńczą rękę, odepchnąć go i poniżyć chcieli. Brodziński nie był z tych ludzi, którzy długo pamiętają urazy, a zawziętość chowają w sercu. Nie stronił on od nikogo przez niechęć, ale unikał spotkania się z tymi, których życzliwości nie ufał. — Zwykle i ulubione jego towarzystwo składali professorowie koledzy, u których skromne kolejne wieczorki, obok swobodnych pogadanek, urozmaicały: dla młodszych gry towarzyskie, dla starszych boston lub wist szelągowy. W salonach tak zwanego wielkiego świata, Brodziński zgoła prawie nie bywał, przynajmniej ja go tam nie widywałem; oprócz chyba na literackich obiadach u państwa Ordynatowstwa Zamoyskich, które bywały u nich co piątek, podczas zimy 1827 roku, na uczczenie brata jój samój. To także wzajem i świat ten wielki, który w błyszczących kretach zjeżdżał się tłumnie na deklamacyjne ku Osińskiego, dla Brodzińskiego był obojętny i zimr

i liczone chyba razy pamiętam, że kilka dam, i to młodszych i ze średniego stanu, zjawiało się na lekcjach jego. A przecież jak wykład przedmiotu, tak i sama nawet jego osobistość, zdolne były obudzić najżywszą sympatją słuchaczy. Szczupła, blada, łagodna twarz jego, przesłicznie odbijała od czarnej togi i biretu, (w których profesorowie wówczas na katedrę wchodziłi), a cichy, skromny i ujmujący ton głosu, nie mniej też kontrastował z doktorską powagą tego stroju. Sama tylko treść rzeczy znamię jęj zawsze nosiła. Na obiadach u Jenerała Krasinśkiego, oprócz wspomnionego powyżej, nie wiem czy go parę razy widzialem. Pamiętam jednak, że był na wielkiej *Wigilii* w roku 1827, na której znajdowali się wyżsi dostojnicy wojskowi i cywilni, i całe grono Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wybrał wtedy mnie i Waleryana Krasinśkiego, abyśmy obok niego usiedli, nie chcąc, jak mówił, wysilać się na rozmowę z mniej znajomym sąsiadem. W ogólności był on nieprzyjacielem wszelkich dyalektycznych wysilen w towarzystwie, żadnej w tym wględzie próżności ani pretensyi nie mając. Panna Klementyna Tańska, dla której był on zawsze z największym szacunkiem i życzliwością, pragnęła bardzo mieć go na wtorkowych wieczorach u siebie, i wiele razy przeze mnie prosiła go o to. Choć nie łatwo, ale się dał namówić, i poszliśmy razem jednego wtorku. Ale trzebaż było nieszczęścia, że trafił właśnie na grę w sekretarza, (co się przecież nie co Wtorek zdarzało), i tak się tém znudził i zmęczył, że pomimo wielokrotnych nalegań, dalszych wizyt wtorkowych przestał. „Kiedy już mam mózg smażyć—mówił—wolę nad książką czy piórem, a nie jak student

stawać do popisu.“—A nie nęciła go także i owa skarbonka na stole, w którą każdy z obecnych, za użycie cudzoziemskiego wyrazu, musiał zaraz trzy grosze wrzucić dla ubogich. Zdarzało się i nieraz, że ktoś w żywszej rozmowie, zajęty przedmiotem, dopuścił się pomienionego grzechu; natychmiast znalazł się słuchacz, a najczęściej młoda słuchaczka, która schwytawszy go na gorącym uczynku, zaraz mu podawała skarbonkę. Rzecz zatem naturalna, że osztrafowany w ten sposób, stracił, lub przerwał umyślnie wątek dalszych swych myśli, i rozmowa spadała na ton powszedniości. Dodać tu jednak muszę, że nigdy sama gospodyni domu nie brała na się obowiązku podobnego rodzaju ostrzeżeń. Były one zwykle udziałem tych zwłaszcza z pomiędzy gości, którzy przed nią *merytować* się chcieli. Zawsze jednak ta nieszczęsna skarbonka była istnym kamieniem obrazy dla wszelkiej ożywieńszej na seryo rozmowy. Brodziński wiedział o tém, i zwyczaju tego nie chwalił; chociaż sam tak dalece czuł całą niedorzeczność i śmieszność używania obcej mowy ze swoimi, że gdy raz jedna pani domu, chcąc poznać go jako poeęę, powitała go po francuzku, nigdy już odtąd w progach jęj nie postał. A nawet jedną z przyczyn, dla których stronił od wielkiego świata, była i ta, ażeby się tą jego śmiesznością nadaremnie nie jątrzyć. Wszelka wszakże ostentacya i przesada, tak były wręcz naturze jego przeciwne, że ich nawet w dobrém nie znosił. Był on samą naturalnością, prostotą i prawdą, i w nich tylko w towarzystwie smakował. Ja zaś dalece towarzystwo kobiet, na podobny ton nastrjone, miało powab i urok dla niego: za dowód moę przytoczyć najprzód stosunek jego i przyjaźń z pan

Katarzyną Lewocką, z którą on mnie pierwszy zapoznał, a potem podobny stosunek z domem panny Teressy Kickiej, który się najprzód zawiązał przeze mnie. Sama panna Teressa, i mieszkające przy niej siostrzenice: śliczna panna Natalia i Rozalia Bispink, oddawna pragnęły go poznać; ale długich potrzeba było próśb i namów, nim się nakoniec pozwolił zaprowadzić raz do nich na sobotni wieczór. Od pierwszój wszakże bytności, tak był już sam przez siebie doznana uprzejmością ujęty, że nie tylko coraz częstszym gościem, ale stał się nakoniec najbliższym przyjacielem domu, i przyjaźni tej—jak mi sam potem w Dreźnie opowiadał—winien był największą osłodę ostatnich lat pobytu swego w Warszawie,—a nawet i ostatnich chwil życia, jak o tém na swoim miejscu opowiem.

Tymczasem *à propos* tego domu, i jako przed admiratorką muzyki Szopena, pozwalam sobie wtrącić tu wzmiankę o nim samym, który w tym domu, będąc jeszcze studentem w szkołach, pierwszy swój towarzysko-artystyczny *debiut* rozpoczął, i potem, (także w Dreźnie), w czasie już świtającej europejskiej swój chwały, z charakteryzującą go, (kiedy chciał), naiwną czy figlarną prostotą, opowiadał swoje wrażenia: kiedy raz pierwszy ze mną, jako *introduktorem*, wszedł do tego salonu, i raz pierwszy w roli artysty, w obec światowego grona wystąpił. Dotąd bowiem rodzice nie dozwolali mu tego, i tylko szczególniejszej ich łasce winien byłem, że w skutek próśb panny Teressy, przeznaczonych przeze mnie, zgodzili się na uczynienie dla niej wyjątku. Było to w r. 1827, a może i 1826,—pewnością nie pamiętam. Szopen był jeszcze w mundurku szkolnym, a nieśmiały jak młoda panienka. W sa-

lonie, zamiast fortepianu, był tylko *Eoli-melodicon*. Gospodyni, w ciągu wieczoru, prosiła go, aby co zagrał. Szopen w Dreźnie śmiejąc się przypominał i opowiadał, jakich przytém wzruszeń doznawał; ja zaś na *seryo* pamiętam, jakie wrażenie sprawił na słuchaczach. Po dwóch czy trzech kompozycjach cudzych, zaczął improwizować na temat ostatniej. Rzewne i uroczyste tony organku, oddziaływały widocznie na nastrój natchnienia, które jego samego zdawało się pochłaniać. Podziwienie było ogólne. Nie sądzono już, ale słuchano. On grał i grał coraz dalej, coraz wyraziściej i rzewniej, i grałby nie wiedzieć jak długo, gdyby czcigodny Julian Ursyn, postrzegłszy nadzwyczajną zmianę i bladeść jego twarzy, nie ulitował się nakoniec nad nim. Zbliżył się więc, i z cicha usiadłszy przy nim, ujął go powoli za rękę, mówiąc: „Dość już, dość, kawalerze! trzeba żebyś odpoczął.“ — Wtenczas dopiero otoczyli go wszyscy. Nikt już głośno chwalił go nie śmiał, i tylko gospodyni i goście ściśnieniem rąk mu dziękowali. Szopen mówił, że żaden z najświetniejszych późniejszych tryumfów, nie sprawił mu tak słodkiej wewnętrznej pociechy.

Ale wracając do Brodzińskiego;—dwie jeszcze role, w których go pamiętam: słuchacza i narratora, chciałbym aby uzupełniły niejako obraz jego w prywatnym towarzyskim pożyciu. Umiejętność słuchania w Brodzińskim była jednym z ujmujących rysów jego charakteru, wynikającym, jak zwykle, częścią z własnej jego skromności, częścią ze względnej dobroci dla drugich, a zawsze z zapomnienia o sobie. Oto facycik tego rodzaju

Na świetnym i licznym weselu panny Mochackiej siostry Maurycego, w początku r. 1826, kilk-

nastu młodszych literatów zasiadło do wieczerzy przy osobnym pobocznym stole, gdzie honorowe miejsce prezesa zajmował p. Sagatyński, najwymowniejszy i najdoskonalszy narrator, jakiego kiedykolwiek sły-
szałem. Brodziński zapraszany do stołu dygnitar-
skiego, wolał jednakże usiąść między nami młodszymi; i trzeba było go widzieć, z jak szczerém naiwném
zajęciem, wbrew swojej professorskiej i literackiej po-
wadze, słuchał, jak student bajki, dwóch długich opo-
wiadań Sagatyńskiego, któremi ten, z Walter-Skotow-
skim prawdziwie talentem, tak przez ciąg całej wie-
czerzy słuchaczów swoich zajmował, że sam chyba
uprzejmy gospodarz domu przerywał mu niekiedy mo-
wę, a to dla przypomnienia swym gościom, aby prze-
cież coś jedli i pili.—Sam Brodziński w słowach zwy-
kle był skąpy, ale prostota, naturalność, otwartość,
a przytém sam miły dźwięk głosu, nadawały temu co
mówił ów magnetyczny, że tak powiem, powab, który
sam przez się w rozmowie, niezależnie od treści, uwagę
i współczucie obudza. Zartobliwość, którą się rad
posługiwał, była jak jego uśmiech: łagodna i cicha; ale
co jowialność, dowcip i humor narratora, to raz tylko
miałem sposobność w nim widzieć, i podziwiałem isto-
tnie. A było to przy obiedzie, którego, pierwszy raz
w życiu, ja byłem fundatorem, a który z mojej strony,
był tylko aktem i hołdem wdzięczności dla tych, któ-
rzy bez żadnych korzyści dla siebie, i jedynie z do-
broci swój dla mnie, przyczynili się najwięcej do upo-
żenia mojej „Meliteli.“ Świetne nadzwyczaj powo-
mie, jakiego przeto z ich łaski od pierwszej zaraz
wili ukazania się na świat doznała, dozwoliło mi

i upoważniło niejako podziękować niektórym w ten sposób i wystąpić przed nimi w roli Amfitryona.

Gośćmi moimi byli: Brodziński, Witwicki, Zaleski, pan Joachim i Waleryan Krasiński. Obiad był u Chovota; — *virum educatum*. Cytata słów Achillesa z Iliady, gdy przyjmuje i ugascza u siebie Nestora i Ulissessa, mówiąc:

„Niechaj czara przed każdym napełniona stoi,
Pszyszli do mnie najlepsi przyjaciele moi!“

cytata ta służyła za pretext i bodziec do dopełnienia wyrażonej w niej formy gościnności. Brodziński był w najdoskonalszym humorze, i powoli, sam stał się koryfeuszem rozmowy. Przedmiot jęj stanowiły żarciki i opowiadania anegdot. Opowiadał je o sobie i o drugich, z czasów swoich szkolnych albo żołnierskich; zakrawając nawet niekiedy na ton *Fraszek* Kochanowskiego, albo *Figlików* Reja, — tylko, że bez ich zbytnej czasem rubasznosci, wręcz usposobieniu jego przeciwnęj. Szczerze uśmieliśmy się, pamiętam, z opowiadania jego o sobie: gdy zaraz po wstąpieniu do wojska, marzącemu o sławie i dziełach bohaterских, kazano przewodniczyć rozdawaniu racyj żołnierskich, to jest mierzeniu kaszy i ważeniu mięsa; i jak on, upokorzony w sobie tą czynnością, dźwigał się sam w opinii swojej przypominaniem lub powtarzaniem w myśli tych miejsc z Iliady czy Odyssei, w której bohaterowie Homera sami płatają mięso i przyrządzają biesiady. A przypominam jeszcze także jedną anegdotę, która chociaż go tylko pośrednio dotyczy, choć ją tu jednak powtórzyć dla tego, że inaczej zginęła w niepamięci.

Razu jednego, w czasie wakacyjnym, jechał on do Krakowa z Kudliczem, znanym i znakomitym artystą sceny warszawskiej. Jechali we dwóch tylko na jętym furmanem. Zajechawszy na popas do karczmy, trafili tam na wesele krakowskie. Autor „*Wiesława*“ był w swoim elemencie; Kudlicz zaś, który grał dobrze na skrzypcach, odwdzięczając za doznaną uprzejmość weselników, zagrał im dla zabawy skoczego jakiegoś obertasa. Muzyka ta tak się podobała, że tłumnie skłaniając się do kolan, prosili go o raz drugi i trzeci. Kudlicz ochoczo uczynił im zadość; ale gdy popas zbliżał się do końca, i on chciał już uprzejmym gospodarzy pożegnać: zapal gromady doszedł do tego stopnia, że porwawszy go i nosząc na rękach, postawili nakoniec na stole, i kłaniając się zawsze z największą uniżonością, oświadczyli jednak stanowczo, że go od siebie nie puszcza. Młodszy i zapaleńszy wołali: „Nasypimy ci pełną czapkę złotych, ale musisz nam grać aż do końca!“ — Biędny Kudlicz, na piedestale swój muzycznej chwały, pocił się krwawym znojem i mdlał od znużenia; ale opór był niepodobny; z pijaną zgrają nie było co gadać. Dał więc tylko znak Brodzińskiemu, który kazał cichaczem zaprzęgać konie, i sam wymknąwszy się chyłkiem, czekał z niemi na towarzysza za górą, o kilka stajów od karczmy. Czekanie to trwało z godzinę, aż dopiero już prawie o zmroku ujrzał pędzącego ku sobie co tchu Kudlicza—bez czapki; którą zamiast złotych napelnić, usiał owszem, jako zakład powrotu, w rękę godowników zostawić.

A i ostatnie moje wspomnienie o Brodzińskim Warszawie, łączy się téż z pamięcią przyjacielskiej

biesiady; to jest pożegnalnego śniadania, które Walerjan Krasiński, dla Stanisława Rzewuskiego i dla mnie, w dzień mego z nim wyjazdu za granicę, wyprawił. W gronie kilku najbliższych był i kochany Kazimierz z Królówki, który i wtedy jeszcze, wzięwszy mię na stronę, z życzliwością i powagą starszego brata, udzielił mi po raz ostatni niektórych rad i przestroóg, tyczących się zwłaszcza oszczędności w podróży i pokus, na jakie w większych zwłaszcza miastach, każdy niedoświadczony narażonym być może i bywa. Po śniadaniu, wszyscy współbiesiadnicy przeprowadzili nas aż do rogatek, i tym sposobem Brodziński, jak za przybyciem mojem do Warszawy był dla mnie jednym z pierwszych, tak przy wyjeździe był jednym z tych ostatnich, którym przez cały ciąg ówczesnego mego w niej pobytu, najwięcej i chwil miłych, i zbawiennych wpływów winien byłem. Nie przewidywałem wtedy, niestety, gdzie i w jakich okolicznościach przyjdzie mi odwdzięczać mu za nie.

II.

W początku Czerwca 1835 roku, wychodząc z domu na ulicę w Dreźnie, spotkałem w bramie—i prze-
razilem się, ujrawszy podobieństwo, i jakoby cień Bro-
dzińskiego. Był to on sam, niestety; ale jakże od-
mienny od dawnego siebie! Wycieńczenie fizyczne
i cierpienia moralne zlały się w jeden wyraz — zdro-
bnionej zda się jeszcze bladziej jego twarzy. Był to
skutek choroby, która go trawiła, a w części i znu-
żenia podróży, bo wprost z hotelu, gdzie tylko co przy-
był z Krakowa, szedł do mnie, mając adres od wspóln-
nej naszej przyjaciółki w Warszawie, pani Katarzyny
Lewockiej, która raczyła zawsze być moją korrespon-
dentką. Chorobą jego, a przynajmniej głównym jej
symptomem na zewnątrz, był jakiś guz czy narośl
na prawym ramieniu, która powiększając się coraz,
wyczerpywała znać siły żywotne. Lekarze zalecili mu
użycie wód i kąpeli karlsbadzkich, dokąd był właśnie
podróżny, i na krótki czas tylko zajął do Drezna.

Widok jego odjął radość spotkaniu. Przywitali-
y się jak na pogrzebie. Do zwykłej łagodności

i słodczy jego usposobienia, przybyła wrażliwa rzewność, objawiająca się za lada powodem. Po piérwszém powitaniu w bramie, za wejściem do mego mieszkania, widok małej mojej córeczki, na ręku matki, wzruszył go przypomnieniem Karusi, o której była piérwsza rozmowa. Dziękował mi za znajomość z domem panny Teressy Kickiej, pod której zwłaszcza opieką żonę swoją i ósmioletnią już wtedy Karusię zostawił. Drugą zaś rzeczą, o której w ślad za tém wspomniał, było: że miałem racją nie lubić pewnego literata, którego choć on sam także nie lubił, ale przecież hamował niegdyś zbyteczną może moję względem niego szorstkość. To właśnie posłużyło za temat do dalszych jego opowiadań o drugich i o sobie, które nieraz starałem się przerwać lub skrócić, widząc że go zanadto wzruszały. W ten sposób zawiązał się na nowo dawny między nami stosunek, ale jakże w odmiennych warunkach! W Warszawie był on dla mnie jednym z głównych punktów oparcia, w życiu mojem wewnętrzném i towarzyskiém. W przyjaźni jego czułem zaszczyt i opiekę. Dziś zaszczyt tylko pozostał niezmiennym. Ale za doznaną naówczas dobroć, czułem, że mi się podaje sposobność odwdzięczenia mu przyjacielską posługą.

Zacząłem od znalezienia dłań prywatnego mieszkania, (na *Töpfer Gasse*), i to tego samego, w którym ja sam po przybyciu do Drezna przez rok przeszło mieszkałem, a które po mnie z kolei zajmowali z rekomendacyi mojej: Garczyński, Witwicki i Gorecki. Se deczna uprzejmość i usłużność obojga gospodarzy, otaczała go taką troskliwością, że mu to, jak sam p. wiadał, osładzało samotność i tęsknotę. Samotnym

dnak rzadko bywał we dnie. Oprócz mnie, zastał tu jeszcze kilku dawnych znajomych, między innymi pana Adolfa Cichowskiego, i dom państwa Województwa Wodzińskich, z którym go zwłaszcza bliska łączyła przyjaźń. Nowi znajomi przybywali także, a każdy wedle możliwości starał się uprzyjemnić pobyt w obcym mieście sławnemu narodowemu poecie. On sam jednak rzadko gdzie bywał, z powodu cierpienia w ramieniu, które mu zawadzało w ubraniu. Nad wieczorem za zwyczaj, wracając ze spaceru z *Gross-Garten*, wstępował po drodze do mnie (na *Johannis-Gasse*), a że miał zakazane kawę i herbatę, żona moja przyrządzała dlań ulubiony mu z czasów studenckich (jak mówił) przysmak, *zacierczkę*; którą mu też na codzienne śniadanie w domu, nauczona przezemnie gospodyni jego warzyła. Przyjaciół mój i wszystkich w ogólności Polaków, doktor Hedenus, syn sławnego niegdyś chirurga i sam niemniej znakomity lekarz; wiedząc, kto był Brodziński, z braterską prawdziwie troskliwością zajął się nim i czuwał nad jego zdrowiem; chociaż po pierwszych zaraz odwiedzinach, niestety, nie rokował pomyślnych nadziei.—I z tym to ja zwłaszcza stosunkiem miałem ciągły i największy kłopot. Znając już z doświadczenia uczucia Hedenusa, wiedziałem dobrze, że ofiarowanie mu wynagrodzenia przez moje ręce byłoby dlań dotkliwą obrazą; z rąk zaś samego Brodzińskiego od razuby go nie przyjął. Ale też z drugiej strony, znając delikatność Brodzińskiego, ałem z niemniejszą pewnością, iżby mu to całą swobodę w postępowaniu z lekarzem odjęło. Przystąpiłem więc wrzekomo na żądanie, ażeby był jego płatnikiem; ale też wyperswadowałem zarazem, że się tu nie

za każdą wizytę, ale dopiero po skończeniu kuracji, ryczałtowo lekarza opłaca. Uwierzył, i przez cały ciąg pobytu w Dreźnie, wszystko jakoś szło spokojnie i dobrze. Ale przyszedł nakoniec dzień wyjazdu do Karlsbadu, w którym przez nieuniknioną konieczność, interes ten zwałił się na mnie. Brodziński przygotował rulonik dukatów, i oczekując na ostatnią wizytę Hedenusa, chciał go już naprzód złożyć w moje ręce. Wywijałem się zatem jak mogłem, aby jego przyjęcie opóźnić; aż nakoniec wejście doktora uczyniło to niemożliwem. Podczas konferencyi, Brodziński usiłował nieraz zbliżyć się do mnie; ja zaś pod pozorem delikatności, aby lekarskich konfidencyi nie słuchać, coraz dalej usuwałem się od niego. Rulonik był w jego ręku, i widać było, że go ogniem palił. Z twarzy jego Hedenus domyślił się snać o co idzie; gdyż uściskawszy go raptem, tak szybko wybiegł z pokoju, że Brodziński ze swoim rulonikiem pozostał jak osłupiały; a ja miałem niesłychaną mękę, nimem go odwiódł od zamiaru pisania przeze mnie listu, i uspokoił nakoniec ponowioną uroczyście obietnicą, że po powrocie jego z Karlsbadu, ja tę rzecz wezmę całkiem na siebie.

Przez czas trzytygodniowego pobytu w Dreźnie, zdrowie jego polepszyło się o tyle, że nie tylko poczuł się mocniejszym na siłach, ale i weselszym na humorze. Wprawdzie źródło choroby pozostawało zawsze w jednakowym stanie, ale dotkliwsze symptomata zwolniały, a nadzieja lepszego jeszcze skutku w karlsbadzkich krzepiła go i dodawała otuchy. Korzystając więc z tego usposobienia, zaczął powoli zwadzać galeryą i inne osobliwości miasta, w czém ja, a!

p. Adolf Cichowski, służyliśmy mu zwykle za *ciceronów*. Obudziła się też w nim chęć do czytania; ale z powodu osłabienia oczu, my także na przemiany spełnialiśmy obowiązek lektorów. Nigdy nie miałem tyle sposobności przekonać się, jaką serdeczną radość sprawiał mu każdy nowy autor, lub nowe dzieło, stające się ozdobą literatury ojczystej. W Krakowie czytał już był „*Pana Tadeusza*,” i uważał go za najwyższy szczebel, na jakim dotąd poezya nasza stała. Znał także już przedtém „*Nie-boską*,” ale tutaj dopiero poznał „*Agay-Hana*,” i dowiedział się ode mnie, że jest dziełem tegoż samego autora. Widzę zda się, jak blada twarz jego zapłonęła nagłym rumieńcem, gdy mu jeden ustęp czytałem; jak mimo osłabienia powstał i chodził po izbie, mówiąc o zaletach obu tych utworów, i z tak wielkiej między nimi różnicy w charakterze, barwie i tonie, wnioskując o potędze talentu autora, i o przyszłych z niego nadziejach. Ja wtedy tłómaczyłem właśnie „*Panią Jeziora*,” którą, na wzór niemieckiego jój tłómacza, przechrzcilem potem na „*Dziewicę z Jeziora*.” Brodziński wysłuchawszy opisu łowów z pieśni piérwszej, nie dał mi już pokoju, aż przeczytałem mu wszystko, co było napisane; a to jego współczucie stało mi się tak dzielnym bodźcem w dalszej pracy, że w ciągu jego pobytu przełożyłem całą pieśń czwartą, a do powrótu jego z Karlsbadu, cały przekład był już prawie u końca. Wpływ jego tak był widoczny, że dotąd jeszcze wiele wierszy, za żdém ich przypomnieniem, obudza we mnie pamięć brodzińskiego: jak słucał ich czytania, wnet po naniu, lub jak je, myśląc o nim, składałem. Ach! bo ma na świecie Mecenas, któryby przy największej

potęgę i chęci, mógł dodać tyle zachęty i siły, co przyjacielskie współczucie brata w sztuce—a cóż dopiero siostrzyczki, komu Opatrzność szczęście to nadarzy! To jest owa cudowna, ożywcza *Fontanna*, przy której nawet na starość serce i duch się odmładza, a która, jak mówi Szyller, „w krainie tylko poezyi płynie.“ Słowa nie wystarczyłyby wdzięczności, kto by ją chciał za doświadczenie tego wpływu wyrazić. Ale za tóż tém bardziej żal bierze nad tymi, którzy ozywając nim drugich, sami go, jak się zdaje, nigdy nie zaznali. O! bo są okolice, podobne pod tym względem do piaszczystej Sahary, gdzie chociażby jaka oaza zielenością i kwiatem zakwitła: będzie ona tém większym może podziwem dla drugich, ale co w sobie i dla samej siebie, to zawsze sierota w pustyni—choćby nawet, przez nawyknięcie, samotego sieroctwa nie czuła!

Brodziński w życiu swoim wpływ tego rodzaju, zawdzięczał, jak opowiadał, w części starszemu bratu swemu Andrzejowi, najwięcej zaś przyjaźni Wincen- tego Reklewskiego, poety, starszego wiekiem, i bezpośredniego naczelnika swojego w wojsku, który go osobiście pokochał, a oceniając poetycką w nim duszę i talent, do kształcenia go przez naukę i do dalszego rozwijania zachęcał. Reklewski umarł potem na rękę jego, podczas kampanii 1812 roku, a obraz téj śmierci, i inne czułe wspomnienia o Reklewskim, były często przedmiotem jego rozmów. W ogólności bowiem w tych czasach Brodziński lubił szczególnie opowiadać dawn swoje wspomnienia, jak gdyby dusza jego przeczuwaj zamykającą się przed nim przyszłość, albo może chciał się oderwać od smutnej terażniejszości, w przeszłość

tylko z upodobaniem patrzała. Mówił mi wtedy, że napisał, i wraz z wielu innymi rękopismami, zostawił w kraju przepisane na czysto, jak do druku, osobiste swoje wspomnienia z lat dzieciństwa i pierwszej młodości; z nadzieją zaś powrotu do zdrowia łączył zamiar dalszej ich kontynuacji, mając przytém zwłaszcza na względzie, zaszły w tych czasach w literaturze naszej przełom w wyobrażeniach i w sposobie pisania. Poczował się on w tém nawet do pewnego rodzaju obowiązku, aby jako uczestnik i najbliższy świadek tej walki między tak zwaną *klassycnością* i *romantycnością*, obraz jej w świetle prawdziwem pamięci potomnych zostawić. Przywiązywał bowiem szczególną wartość do wszystkich w ogólności pamiętników osobistych, byle pisanych z dobrą wiarą, bez wpływu nienawiści lub miłości własnej: uważając je za najbardziej pomocniczy środek do poznania i zrozumienia prawdziwego charakteru epoki i pojedynczych ludzi. Brakowi nawet dzieł tego rodzaju w literaturze naszej przypisywał on z żalem nader smutne skutki, a mianowicie tę tak dziwną, a prawie powszechną u nas, nieświadomość naszej przeszłości, pod względem zwłaszcza psychicznym i moralnym, która pozbawiając nas wzorów własnych, usposabia i zmusza niejako do naśladowania i szukania obcych. Po jednej dłuższej w tym przedmiocie rozmowie, zwłaszcza o dwóch głównych szkopułach tego rodzaju autorstwa, to jest, o drobiazgowości pojedynczych szczegółów, i o zarzucie ciągłego a koniecznego przytém mówienia autora o sobie: Brodziński dał mi nazutrz, napisane ołówkiem na świstku, dwa następujące lystersy:

Wspomnienia z przeszłości.

„Nie zważaj, że cię zarzut samolubstwa czeka,
Mów o sobie, gdy w sobie zbadałeś człowieka.“

i drugi:

„Drobiazg nie jest błahością. Drobną w króplach rosa,
Rzeźwi ziemię, i w sobie odbija Niebiosą.“

I bodaj czy to nie były ostatnie wiersze, które w życiu napisał. W Dreźnie bowiem nie brał pióra do ręki, i owszem nieraz powtarzał, że ze względu na stan swego zdrowia, właściwy zawód autorski uważa już za skończony; gdyż spisywanie swych wspomnień miałby raczej za rozrywkę starości. Co do ostatnich pism swoich, zostawionych téż, jak mówił, w Warszawie, i przygotowanych do druku: szczególną wartość przywiązywał do historycznej rozprawy „o trzech epokach kształtowania się i objawiania charakteru szlachty naszój, pod wpływem czci Boga Rodzicy.“ Praca ta nigdzie dotąd drukowaną nie była, i od nikogo innego nie słyszałem o niej. Prawdopodobnie więc musiała gdzieś zaginąć wraz z rękopismem parafrazy xiąg Hioba, którą ja sam u niego, przed moim wyjazdem z Warszawy w r. 1829, całkiem już jak do druku przepisana widziałem. Zkąd zaś i jakim sposobem pamiętnik jego, czy tylko niektóre ułamki, dostały się do „*Przyjaciela Ludu*“ który je pierwszy ogłosił, ja nie wiem; choć byłaby to może jedyna droga, do dowiedzenia się o losie innych rękopismów, z którymi razem, jak mówił, i pamiętnik ten w Warszawie zostawił.

W końcu Czerwca Brodziński wyjechał z Dre a do Karlsbadu, furmanem, w towarzystwie dwóch r do dych Niemców, których mu jego gospodarz na ws l- ników podróży wynalazł, i którzy go, jako słab. b,

w drodze pielęgnować przyrzekli. Dotrzymani istotnie słowa, i Brodziński z wdzięcznością o nich wspominał.

Kuracya w Karlsbadzie szła z początku bardzo pomyślnie. Przez jednego z powracających ztamtąd, miałem od niego świstek, napisany ołówkiem, w którym mi o tém donosił, dodając w żartobliwy sposób, że zamiast *zaciereczki*, *tuczy się wasser-zupką*, a nawet czasem sobie i *Blum-Caffé* pozwala. Ku końcowi zaś Lipca otrzymałem list z poleceniem, abym najął dlań na cały Sierpień to samo co przedtém mieszkanie, na *Töpfer-Gasse*; ale że ono było już zajęte—wynalazłem więc inne, w prawém skrzydle pocztowego gmachu, bardzo wygodne i stosunkowo tanie, które mi jego właściciel, wyjeżdżając sam na wieś, odnajął; nie na dłużej jednakże jak do pierwszych dni Września, to jest do dnia swego powrotu. Drobną to na pozór okoliczność, ale wpływ jej, niestety, był wielki! Przystąpiłem zaś na to tém chętniej, że Brodziński nie dłużej właśnie zamierzał zabawić w Dreźnie.

Tymczasem, przy samym już końcu kuracyi w Karlsbadzie, przypadła nań inna choroba: rozlanie się żółci, w skutek której przyjazd jego do Dreznia przewłókl się do połowy Sierpnia. Znalazłem go mocno zmienionym, a żółtość zwłaszcza cery i ogólne osłabienie świadczyły, że choroba ta w nim jeszcze nurtuje. Pomimo tego jednak, w pierwszych dniach pobytu, wychodził jeszcze z domu i odwiedzał znajomych, mając zamiar niezwłocznie wracać do Warszawy. Ale wkrótce zaniemógł obłóźnie. Państwo Wodzińscy, pan Cichowski ja, odwiedzaliśmy go stale w pewnych godzinach, aby był jak najmniej samotnym, a przytém najęliśmy barzo porządną kobiętę, Niemkę, któraby była nieodstę-

pnie przy nim. Troskliwe starania i lekarstwa Hedenusa, zaczęły zwolna okazywać swój skutek. Chory już się mógł przechadzać po pokoju—kiedy wtém, na początku Września, właściciel mieszkania powrócił, i trzeba było starać się o nowe. Znalazłem je nieopodal pierwszego, i urządziwszy w niem wszystko, co mi się zdawało potrzebném, przeniesienie samego chorego zdałem na pana Cichowskiego, który się sam tego domagał. Przeniesiono go w lektyce. Nie wiem, czyby moja przytém obecność naprowadziła mię była na myśl, która nieszczęściem w téj chwili panu Cichowskiemu nie przysła: to jest, że trzeba było zacząć od ogrzania pościeli, nastygłój w nieopalaném dotąd jeszcze mieszkaniu. Samo ono nie było chłodne; a że i dzień był pogodny i ciepły, urządzając przeto je z rana, nie widziałem nawet potrzeby kazać przepalić w piecu, chociaż miałem przygotowany zapas drzewa na kąpiele, które chory, z przepisu lekarza, co trzeci dzień w domu brać musiał. Wprawdzie samo jednorazowe przepalenie nie ogrzałoby jeszcze pościeli; zawsze jednak ta nieprzezorność z mojej strony dręczyła mię przez lata jak wyrzut sumienia; a biédny pan Cichowski cierpiał jeszcze więcj, on, który aktem przenosin bezpośrednio kierował. Ledwo albowiem chory położył się przy nim do łózka, porwały go okropne dreszcze i trzęsienie, jakby w najgwałtowniejszym paroxyzmie febry. Prerażony Cichowski pobiegł po doktora; a tymczasem i ja nadszedłem. Nie czas było palić już w piecu. Skoczyłem więc co żywo po spirytus do sklepiku, i rlawszy go na talerze, zapaliłem na środku i po wszystkich rogach pokoju. Powietrze wnet się ogrzało ale złe, co się już stało, nie dało się przez to naprawić

Choroba wzmogła się widocznie, a lubo po dniach kilku, za użyciem lekarstwa, znowu do poprzedniego stanu wróciła: postęp ku polepszeniu zatrzymał się na tém. A tymczasem siły nikhęły, i Hedenus oświadczył nam otwarcie, że dobrego końca nie widzi. Sądził wszakże, że po niejakiem czasie chory, będzie mógł jeszcze przedsięwziąć podróż do Warszawy, byle miał w nięj stosowną wygodę i opiekę. On sam pragnął tego najmocnięj, aby choć raz jeszcze, jak mówił, obaczyć żonę i córkę, i spocząć w ziemi rodzinnej. Na przyjazd jednak żony do Drezna, w żaden sposób zgodzić się nie chciał; i z tegośmy zwłaszcza wnosili, że choć często mówił o śmierci, zbliżania się jęj nie przeczuwał.

Ale jakiemiż słowy zdołałbym odmalować to prawdziwie anielskie bohaterstwo duszy; teniczem niezachwiane pokój i cierpliwość, jakie w nim w każdęj chwili ze czcią trzeba było podziwiać! I nie była to dumna stoicka odwaga, ale owszem pokorne i ciche poddanie się woli wyższęj, któręj rząd i kierunek, nie tylko w tym razie, ale zawsze, jak mówił, czuł i uznawał nad sobą. I był to nawet, możnaby powiedzieć, ulubiony dlań przedmiot rozmowy, ilekroć w chwilach swobodniejszych od cierpień, szukał w nięj rozrywki dla myśli, a może i zapomnienia o obecnym swym stanie. Nigdy albowiem, jak tylu innych chorych, nie rad był mówić o swojęj chorobie, i nawet na pytania odwiedzających odpowiadał krótko i obojętnie, przechodząc zaraz do innego przedmiotu. Przytęm nie czuł on żadnych gwałtownych boleści, ale tylko stopniowe bywanie siły, i oprócz przelotnych dolegliwości fizycznych, rzewną niekiedy tęsknotę. Pod wpływem jęj nia jednego, sam z własnego natchnienia, powiedział

mi, że się chciałby spowiadać; a z oczu jego, zwróconych na mnie, gdy to mówił, odgadłem, że była w tém i chęć wybadania, co sądzimy o jego stanie. Udałem więc najzupełniejszą obojętność, i radząc mu wrzeko-
mo aby to raczej do czasu całkowitego wyzdrowienia odłożył, zacytowałem tylko kilka rzeczywistych wypadków, w których odbyta spowiedź, jakby cudownym tajemniczym wpływem, do uzdrowienia chorym dopomogła. Widziałem i poczułem wyraźnie, że go to ucieszyło. A chociaż wnet rozmowę zwróciłem ku czemu innemu, i kilka obcych osób nadeszło: on jednak przy pożegnaniu, gdy już miałem wychodzić, pociągnął mnie za rękę, abym się nachylił ku niemu, i z cicha powiedział do ucha: „Proszę cię, ja się chciałbym jutro wyspowiadać.“ — Udałem się więc natychmiast do szanownego x. kanonika *Milde*, który też zaraz nazajutrz świętego tego aktu dopełnił. — I zdawało się rzeczywiście, że jakiś wpływ cudowny ogarnął nagle i ożywił chorego. Wszelkie cierpienia fizyczne ustały; twarz się jakoś wypogodziła; a pokój ten i pogoda oddziaływały widocznie na stan jego wewnętrzny, jeśli nie same raczej wypłynęły z niego. — „Czuję sam, (mówił do mnie), że już choroba ustąpiła całkiem; ale życie tli tylko jak w iskiecce, i z téj iskierki trzeba teraz odradzać się jak fenix.“ — I był pewnym, że się odrodzi. A było to na trzy dni przed śmiercią. I wszystko w tych dniach dziwnym sposobem zbiegało się jakoś, aby mu te ostatnie chwile osłodzić. Odebrałem listy z Paryża, między którymi był liścik do niej pisany przez Witwickiego, na przypadek, gdyby jeszcze był w Dreźnie. Mickiewicz zaś w liście do mnieisał: „Jeśli Brodziński jest jeszcze u was, kłaniaj

się ode mnie. Chociaż nie znam go osobiście, wiész, jak go wysoko szacuję. Na końcu „*Tadeusza*“ był do niego ustęp; ale nagłe drukowanie i moje ówczesne zatrudnienie małżeńskie, zrobiły, że nie miałem czasu poprawić i umieścić owego Epilogu. Zostawiłem to do przyszłego (jeśli będzie) wydania.“—Odczytałem te słowa Brodzińskiemu. Słuchając zamknął oczy, i nie mógł powstrzymać łkania; co mu się zresztą w tym czasie za każdym wzruszeniem zdarzało. Po jakimś czasie dopiero polecił mi podziękować Adamowi za ten dowód pamięci, w którym jużciż musiał czuć dowód, że sam autor „*Pana Tadeusza*“ miał go jakby za drugą pieśń z tego tonu, który najprzód zabrzmiał w „*Wiesławie*.“—Przedłużające się leżenie zaczęło mu być dolegliwym. Miękkiej niemieckiej pierzyny znieść nie mógł, a zwyczajny materac był już dla niego za twardy. Wiedząc o tem przeze mnie pani baronowa *Rönne*, (Zaluska z domu), kazała zrobić umyślnie dla niego materac na sprężynach, który właśnie w tym czasie przyniesiono. Ucieszył się dziecinną radością, kiedy za każdym poruszeniem na nim, poczuwał się jakby kołysanym.—Pierwszej téż nocy po dostaniu jego, miał ów szczególny sen, czy widzenie, wiadome już z listu mego do pani Lewockiej, w którym jój najprzód o śmierci jego doniosłem. Było to na drugi dzień po spowiedzi. Przyszedłem, jak zwykle, rano, aby się o nocy dowiedzieć. Dozorująca go Niemka pierwsza powiedziała mi o tém. Nade dniem usłyszała ją wołanie chorego, który ją pytał: „czy nie widziała?“—On sam zdawał się być przelęknionym, na wzajemne pytanie: „co się stało?“ odpowiedział: „*Ich habe meinen Heiland gesehen!*“ (widziałem moje-

go Zbawiciela)! Podług jego opisu, był *On* w białej szacie, długiej do ziemi. Stał przed nim, u stóp łoża, opromieniony światłością, i ręce ku niemu wyciągał.

Wszedłszy, nie wspomniałem nic o tém choremu, ale on mię sam piérwszy zagadnął: „Czy kobiéta nic ci nie mówiła?”—„Mówiła, rzekłem, o śnie, który miałeś.”—„Ja nie wiem, czy to był sen,” odpowiedział. „Mnie się zdaje, że nie spałem, i że to było na jawie.”—I tu powtórzył mi sam słowo w słowo opowiadanie Niemki, i dodał: „Nie wiem, co to ma znaczyć? Czy że mam prędko umrzeć, czy że wyzdrowieję?”—Wróżyłem, ma się rozumieć, ostatnie, i on wiłocznie też nadzieję podzielał.—Jeszcześmy rozmawiali o tém, gdy wszedł pocztylion i przyniósł mu list od żony. Chory sam czytać nie mógł, i kazał mi go sobie przeczytać. Donosiła mu same pomyslné wiadomości o sobie i o Karusi; o troskliwości przyjaciół, jakiej doznaje; przyczém wymieniała szczególnie doktora Malcza, panią Katarzynę Lewocką, i dom panny Teresy i pani Natalli Kichkich. Nakoniec prosiła usilnie, ażeby jój pozwolił przyjechać do siebie. Czytanie to wzruszyło go bardzo; ale wzruszenie to było słodkie, a wdzięczność dla przyjaciół, rozpromieniła i myśl, i twarz jego. „Gdyby mi nawet skończyć tutaj przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byliby zawsze pociechą i opieką mojej biednej żony i dziecka.”—Słowa te za świeżej pamięci powtórzyłem w liście do pani Lewockiej, i przyjaciele spełnili je święcie. Mówiąc je wszakże był on pewny, że sam jeszcze do nich powróci, i polecił mi odpisać w tym sensie do żony, uspakajając ją i uszczę, aby zaniechała zamiaru przybycia do Drezn. Obawa o słabe jój zdrowie, zwłaszcza przy truda

podróży i jakieby musiała przy nim chorym ponosić, były główną pobudką tego zaprzeczenia. Napisałem kopję w domu, i przyniosłem wieczorem, aby ją przed nim odczytać.

Wieczoru tego nie zapomnę nigdy. Nie przewidywałem bynajmniej, że to była ostatnia rozmowa; ale była ona jakby streszczeniem jego uczuć, jakby miniaturowym obrazem duszy, który jest odtąd dla mnie ideałem cnotliwego człowieka i poety, jakiby trudno może dał się znaleźć gdzieindziej, niż u nas. Powtarzałem ją tyle razy w opowiadaniu drugim i w myśli, że treść i ciąg jój dotąd doskonale pamiętam. Powód do niej dała właśnie owa kopja listu, który napisałem sam od siebie, nie mogąc znaleźć w myśli właściwego tonu do pisania w jego imieniu. Przystał na to, i miał mi tylko nazajutrz podyktować przypisek od siebie. Nazajutrz!!! — A był to, jak sam mówił, dzień pamiętny i szczęśliwy w jego życiu; dzień, w którym w 1822 r. wszedł po raz pierwszy na katedrę professorską w uniwersytecie warszawskim, i rocznica urodzin Karusi.—List mój, jako przeznaczony do uspokojenia jego żony, a nawet i jego samego, był w tonie prawie wesołym, jakby już wszelkie niebezpieczeństwo minęło; w apostrofie zaś do Karusi, było przypomnienie jój płaczu i naszego kłopotu z rzeczy wysłania niegdys mamki jój po piwo. Wspomnienie to, w połączeniu z jutrzejszą rocznicą jój urodzin, dało początek i nastrój rozmowie. Mówił o uczuciach męża i ojca, jako o największej słodyczy i szczęściu swojego życia. I ówczas zaś o wyborze żony:—jako wskazówkę przeznaczenia z góry, opowiedział mi wtedy następującą koliczność. Gdy idąc na wyprawę 1812 roku, maszerował w szeregach swojej kompanii, widok wiejskiego

kościółka blisko drogi, ściągnął jego uwagę, i tak w nim poetycką fantazyę rozmarzył, że zaczął sobie roić cały obraz szczęścia, jakiegoby mógł doznać, biorąc w nim ślub z ukochaną. Marzenie to było tego rodzaju, że mu utkwilo w pamięci. I trzebaż, że we czternaście lat potem, w tym samym właśnie, a nie innym kościółku, zaślubił się ze swoją żoną.—Z powodu zaś tego zdarzenia, w dalszym ciągu rozmowy, dostrzegłem w nim po raz pierwszy mistyczny niejako odcień myśli, to jest, żywą wiarę w tajemniczą stronę natury i życia ludzkiego. Opierał on ją nie na żadnej oderwanej teorii, ale wprost na doświadczeniu własnem, w rzeczach często, jak mówił, tak drobnych i błahych na pozór, iżby te dla nikogo, prócz jego samego, żadnej wagi i znaczenia nie miały.—Wszedłszy raz bowiem na tór mówienia o sobie, z tak widocznem upodobaniem wywoływał różne dawne wspomnienia, że ja, pomimo całej przyjemności w słuchaniu, bojąc się by go to zbyt nie znużyło, po wiele razy prosiłem, ażeby przestał mówić i odpoczął. Ale odpowiadał mi na to zapewnieniem, że go mówienie nie męczy, i że tylko głośno mówić nie może. Jakoż mówił tak cicho, że musiałem aż głowę wesprzeć na jego poduszce, ażeby każde słowo dosłyszeć.—Niepodobna mi już dzisiaj przypomnieć wszystkich szczegółów tych jego opowiadań, ale pamiętam dobrze, że powziąłem z nich to przekonanie, że w osobistém życiu swoim uważał się w ogólności za szczęśliwego, i że oprócz moralnych, głównych podstaw szczęścia w każdym człowieku, swoje zawdzięczał téż nie mniej poetycznemu uspozieniu własnej swojej duszy i serca, a zwłaszcza do uprzejmiej życzliwości dla ludzi i zamiłowania

tury. Większa część bowiem tych wspomnień tyczyła się towarzyskich zabaw z przyjaciółmi, lub wakacyjnych przyjemności na wsi. Z pomiędzy tych ostatnich z największym upodobaniem mówił o zbieraniu orzechów w lesie, i tak się widać myślał i wyobraźnią przeniósł był w tej chwili do lasu, że z uśmiechem dziecinną radości, opisywał najszczegółowiej tę uciechę i rozkosz, kiedy się nagle, ukryte pod liściem, bujne grono orzechów obaczy, albo gdy za wstrząśnieniem drzewa, dojrzałe już orzechy, same jak grad sypią się z góry. Dodał, że nie ma miłszej przed sobą nadziei, jak że wróciwszy do Warszawy, pojedzie z żoną i Karusią do szwagra na wieś, i znowu z niemi pójdzie razem na orzechy!

Na tym obrazku i na tej nadziei skończyła się nasza rozmowa; żaden z nas nie przeczuwał, że już była ostatnią. Nazajutrz o tej porze już konał!— Z rana czuł się jak zwykle; ale gdy pan Cichowski przyszedł go odwiedzić w południe, znakami tylko dał mu do poznania, że mu sił do mówienia brakuje. Przytomność miał wszakże zupełną. Po południu dopióro wpadł w drzemkę, która ku wieczorowi przybrała już widocznie cechę powolnego konania. Korzystając z mojego przyjścia, Niemka pobiegła po Hedenuśa, i ja z nim tylko sam na sam zostałem.—Wierny obraz chwil tych ostatnich masz, siostrzyczko, w wierszu moim na śmierć jego. Przytoczeniem więc z niego wyjątku, smutne to opowiadanie zakończę.

Zbliżała się godzina—a jako gdy słońce
Schyla się do zachodu: wiatry w dzień wiejące
Ucichają, a ono swe blaski promienne
Wciąga zda się w głąb' siebie, na spocznienie senne;
Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu,

Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu.
 Tak dusza chrześcijańska, przed ostatnią próbą,
 Ucisza się w spokoju—i jakby chcąc z sobą
 Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
 Wsiąka je, i niewiedząc promienieje niemi.

Tak był on.—Obmytemu u pokuty zdroju,
 Bóg snąc wlał taką słodycz wewnętrznego spokoju,
 I tak podniósł go w duchu—że z téj wysokości
 Stanął przed nim zarazem, i obraz przeszłości,
 I nadzieja błękitną przyszłość odsłoniła;
 Czuł jój blask—lecz nie wiedział, że to wieczność była.
 I ufny, z pełni serca, przed okiem przyjaźni,
 Rzucił w nią, jakby resztę gwiazd swój wyobraźni;
 A wszystkie były tylko iskry, lub odbicia
 Jednej—stałej, słonecznej, przewodniczki życia,
 Miłości: Boga, kraju, braci, towarzyszy,
 I domowej rodziny, i wiejskiej zaciszy,
 Gdzie wrócić, którym jeszcze błogosławić, służyć
 Chciał w życiu—które, mniemał, że Pan chce przedłużyć.

Lecz Pan inak rozrządził—i sam mu swą wolę
 Obwieścił—nie przez trwogę śmierci, nie przez bóle,
 Nie przez strach nawet sądów swych i Majestatu:—
 Lecz jak wstępował w Niebo, błogosławiąc światu,
 Jak stokroć zchodził z Nieba na męczeńskie dusze,
 By je wzmódz duchem swoim nad śmierć i katusze:
 Tak zszedł snąc i ku niemu;—z jasnym włosem młodzian,
 Z promieniejącym czołem, śnieżną szatą odzian,
 Stanął przed nim w widzeniu—i skinieniem ręki
 Wskazał drogę ku Niebu—palmę życia męki.

I on uznał znak Pański!—i jakby Anieli
 Na straży mu u serca i myśli stanęli,
 Taki spokój technął w licu, taka w oku radość:
 Że nawet w onój chwili, gdy już śmierci bladeść
 Zwiastowała jój przyjście; gdy na łup jój ciało
 Skazane, snąc w jej rękę konwulsyjnie drgało,

A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
Usta już tylko moje i łyzy ogrzewały:
Że nawet w onéj chwili—którą widząc człowiek,
Drży tylko albo płacze:—z pod gasnących powiek
Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnej,
Taka pewność, że żyje i idzie do Boga:
Że grzechemby się zdały litość albo trwoga;
I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego—
Jak dobry Pan! jak słodka śmierć Sprawiedliwego!“

STEFAN WITWICKI

i

STEFAN GARCZYŃSKI.

I.

Dwa te imiona i dwie te postacie tak się nierozdzielnie łączą w mojej pamięci, sercu, i codziennym za ich dusze modlitwie, że chcę też obu ich razem, Siostrzyczko, wyobraźni twojej przedstawić. Prócz tego, w samej nawet osobistości ich i charakterze moralnym, przy najwybitniejszej powierzchownej różnicy: temperamentu, rysów, i nawet cery, jest wszakże jakby pewny węzeł podobieństwa; to jest, że jeden i drugi mogliby ująć za typ męskiej, młodzieńczej piękności: pierwszy (brunet), południowo-hiszpańskiej; drugi, (blondyn), czysto naszej rodzimej, słowiańskiej. W moralnym zaś nastroju duszy, główną cechą obudwóch była najczystsza i prawie wygórowana godność i szlachetność, oparta na poczuciu powinności własnej, w jej najdelikatniejszych odcieniach, i skora zawsze dla niej do ofiary z siebie. Zresztą, to połączenie ich w mojej myśli i pamięci, wiąże się ze wspomnieniem ważnym dla mnie chwili w mém życiu, tak, że, ilekroć c. ich sobie w wyobraźni przedstawić, nie mogę tego konać inaczej, jak, że oba razem stają przede mną, i

zawsze w tój samój postaci i stroju, jak ich w owėj chwili ujrzałem. Prawda, że i ja dla nich nawzajem byłem jakby pośredniem ogniwem, co ich najprzód beze mnie między sobą zbliżyło; owa zaś chwila, o którój wspomniałem, przywiązała mię do nich wspólnie nowym węzłem stosunku, w nowėj dla mnie epoce życia, o którój mógłbym powiedzieć, że się właściwie od tój chwili zaczęła. O tój chwili więc powiem najpiérwiej.

Witwicki, przybywszy do Drezna, w końcu Lipca 1832 r., przy ówczesném utrudnieniu listowych stosunków, nie wiedział, że pojechałem na ślub do Królewca. Wiedział jednakże przedtém o adresie mego mieszkania, i wprost z poczty przyszedł do niego. Zajmował je po mnie Garczyński. Poznali się więc w ten sposób, i tak widać od razu przypadli do siebie, iż, jak niegdys Garczyński u mnie, w témże samém mieszkaniu, tak Witwicki zamieszkał u niego, kilka dni tylko mając bawić w Dreźnie. Pobyt ten przedłużył się potém, z powodu rychlejszego nad zamiar powrotu mojego z żoną. Dzięki dobroci i staraniom pani Klauddy (hr. z Działyńskich Potockiej), nowo najęte mieszkanie, (w domu poety Fryderyka Kinda), czekało już w pogotowiu na nas. Wstęp przecież nie był wesoły. Przyjechalśmy już prawie o zmierzchu. Cudzy kraj, obca mowa i puste ściany, które nas spotkały, nie mogły jużciż nie oddziałać smutném wrażeniem na serce młode, nie obyte z życiem, oddalonėj raz piérwszy i razem: od kraju, od rodzinnego wiejskiego domu, i od wszystkich swoich. Pod smutném więc godłem nieko miało się zacząć nowe nasze gospodarstwo;—gdy tém drzwi otwarły się prędko, i w progu stanęli obok: arczyński, i bynajmniój niespodziewany, Witwicki.

Obaj podobni wzrostem, i prawie jednostajnie, w czarnych tużurkach i przez pół białe po letniemu ubraniu, byli dla nas prawdziwie Piastowymi gośćmi, którzy nam nie tylko pociechę, ale i jakby dobrą wróżbę na przyszłość, i błogosławieństwo przynieśli. Wkrótce po nich przyszła pani Klaudyna, i dama dworu Saskiego, pani Salomea Dobrzycka; i wieczór ten, łzami zazęty, liczę dotąd do najszcześniejszych chwil mojego życia. Nadewszystko zaś jest on mi ważnym i pamiętnym dla tego, że na nim to najbliżsi przyjaciele moi, powzięli dla mojej żony i natchnęli jęj téż dla siebie prawdziwie braterską życzliwość, którą stale nawzajem dochowali do grobu. Uczucie to, osładzając jęj pierwsze chwile pobytu w obczyźnie, przeniosło ją téż od razu w tę sferę moich najmiłszych stosunków, która, dla wychowanej w wiejskiem ustroniu, była może z początku nowością, ale którą wnet przeciw poczuć i ocenić umiała. I tento właśnie przejściowy stan jęj duszy miał dla nich największy powab. Witwicki zaś, który ją przezwiał „dziką Litwinką,“ opowiadając potém o niej Adamowi, który jęj osobiście nie znał, był zapewne pierwszym powodem, iż tenże, jak mi sam pisał w swym liście, „miał ją często na myśli, malując heroinę poematu swego, Zosię,“ której imię także nosiła.—Witwicki na próśby nasze przebył w Dreźnie parę tygodni dłużej. Całe dni przepędzaliśmy razem. Pojechał do Paryża, i już go więcj nie widziałem.

Nie jest moim zamiarem, Siostrzyczko, opowiadać ci biografie moich przyjaciół, o których wiedzieć i gnęłaś, ale wprost tylko osobiste moje o nich wspomnienia. Nie tu więcj miejsce mówić o powod i celu téj jego podróży, a raczej dobrowolnego wy

lenia się z kraju, z poświęceniem świetnego stanowiska i korzystnych widoków na przyszłość. Wyniknęło to właśnie z tego najdelikatniejszego poczucia powinności i moralnej godności własnej, które miał wspólne z Garczyńskim, a które tak ich wzajem między sobą zbliżyło, że się rozstali jak bracia, i odtąd tak obok siebie żyją w mojej pamięci, jak może ich dusze w wieczności.

Różny wcale był wszakże początek pierwszej mej znajomości i przyjaźni z jednym i z drugim. Przybywszy raz pierwszy do Warszawy, w Grudniu 1825 r., i poznawszy zaraz z kolei wszystkich starszych i młodszych mistrzów i braci w Apollinie, z Witwickim poznałem się najpóźniej. Był on natenczas urzędnikiem w Komisji Oświecenia, i trzymał się zdaleka od Warszawskiego literackiego świata. Niedawna publikacya jego „Ballad“ i surowy sąd krytyki o nich były może tego przyczyną. Nie spotykałem go więc nigdzie, ani na obiadach u Generała Krasińskiego, ani w gronach młodszych kolegów, w których tu i ówdzie bywałem; sam zaś iść wprost do niego nie miałem jakoś bodźca, ni powodu. Dopiero kochany Bohdan (Zaleski), którego wnet po przybyciu poznałem i od razu pokochałem serdecznie, zaczął mię pierwszy namawiać do tego. Nie bronił on tych nieszczęsnych ballad, ale mówił o ich autorze, jako o bardzo zacnym i światłym człowieku, z którym sam żył w blizkich przyjacielskich stosunkach i z którym przeto chciał mię zaznać. Poszliśmy więc do niego razem. Witwicki eszkał wcale nie jak brat-literat. W przedpokoju staliśmy lokaja, który nam pomógł zdjąć płaszcze drzwi do salonu otworzył. W salonie spotkał nas

sam gospodarz, ale nie z tym bratersko-koleżeńskim wykrzykiem i uściskiem serdecznym, z jakim naprzykład powitał mię kochany Bohdan, gdy wprost sam jeden do niego po raz pierwszy przyszedłem, i zastałem go piszącego stojąco przy prostém drewnianém biurku, i w prostym jakimś szarym surduciku. Tu przeciwnie: gospodarz, elegancko ubrany, powitał mię wprawdzie uprzejmie, ale tonem zwyczajnej światowej grzeczności, i choć mi się od razu z urody i fizyognomii podobał, ton ten również od razu zwarzył we mnie to dobre uczucie. Wizyta trwała niedługo, i skończyła się, jak zaczęła—na zimno. Pocziwy Bohdan czuł to widać i usiłował, jak mógł, aby zwyczajną, obojętną rozmowę, na ton jakoś cieplejszy nastroić. Za środek, pamiętam dobrze, wziął ku temu ślicznego angielskiego charcika, nazwiskiem *Merry*, wielkiego faworyta gospodarza, który wskoczył na jego kolana, i którego on głaskał, rozmawiając ze mną. Nie zdało się to jednak na nic. Figle z pieskiem i wesołe żarty Bohdana nie rozbroiły powagi gospodarza, ani usposobiły gościa do poufalszój inicjatywy. Pogadawszy więc jeszcze przez chwilę o przymiotach i wadach różnej rasy piesków, o mopsach, taxach, szpicach, i t. d., pożegnałem się i wyszedłem z mocném postanowieniem, że już tu więcej nigdy nie powrócę. Jakoż dotrwałem w niém wiernie, nie tylko za tą pierwszą bytnością w Warszawie, (choćż zaraz nazajutrz bilet rewizyjowy u siebie znalazłem), ale i po powrocie do niej na stały już pobyt, w lecie 1826 roku.

Upłynęło tak z parę miesięcy. Aż nakoniec jednę rana otwierają się drzwi skromnej mojej, małej izdebki w której, (jak mówił znany epigramat), „obok z Ordy

cem, (Janem Kazimierzem), z Ordynata łaski, ordynkiem osadzony patrzyłem w ogród Saski:“ i wchodzi—kto? Bohdan z Witwickim. Ten ostatni, tą razą nie już z zimną grzecznością światową, ale z poczciwym, dobrym, serdecznym uśmiechem, wyciąga ku mnie rękę, i zaczyna od wesołego żartu z siebie i ze mnie, wspominając o téj piérwszój chwili poznania, w którój on mnie, nie znając, przyjął jak poważnego literata, za jakiego każdy piszący chce uchodzić w Warszawie; a ja go wziąłem za „wielkiego pana,“ (jak go istotnie wtedy przed Bohdanem nazwałem), nie spojrzawszy widać na „połatane bóty,“ które i dotąd ma jeszcze, bo mu nie zawsze wystarcza na nowe. Ton ten i same te słowa, jak iskrą elektryczną stopiły we mnie od razu wszystkie lody dawniejszych uprzedzeń, i nowy, od téj chwili zaczęty stosunek, przemienił się powoli w najżywszą, najserdeczniejszą przyjaźń, połączoną z najwyższym z mojej strony szacunkiem dla charakteru jego i rozumu, którego jasność i bezstronna rozważa stanowią wybitną cechę. Cecha ta w owym czasie nie była nam wspólną, i ztąd poszła żartobliwa nazwa: „*Staruszką* i *Młodzieniaszką*,“ którąśmy się tytułowali nawzajem.

Do stopniowego wzrostu téj poufałości dopomagało najwięcej ciągle i coraz częstsze spotykanie się w tych samych towarzyskich kółkach, i najbliższy pomiędzy sobą stosunek tych właśnie, w których on i ja, każdy w swoim, byliśmy prawie codziennymi gośćmi. Piérwsze stanowił dom pana Ministra Oświecenia, hr. Grabowskiego; drugie, dom pani Wojewodziny Kickiej, a raczej córki jój, panny Teressy, rodzonej ciotki i ciotecznej siostry tegoż pana Ministra. Do obydwóch wprowadził mię najprzód, zaraz po moim

przyjeździe, Waleryan hr. Krasiński, sam najbliższy przyjaciel panny Teressy, a Witwickiego kolega w urzędzie. Oni dwaj bowiem, wraz z trzecim p. Ignacym Zaleskim, szwagrem pana Ministra po żonach, składali osobny komitet w Ministerstwie Oświecenia, czuwający nad szkolnym wychowaniem żydów. Krasiński, były uczeń uniwersytetu Wileńskiego i osobisty naówczas przyjaciel Adama, w skutek rekomendacyjnego listu jego za mną, przyjął mię od razu jak brata, i wspólnie z panem Joachimem (Lelewelem), był pierwszym moim przewodnikiem i orędownikiem w Warszawie. Nadto w domu państwa Grabowskich mieszkała wtedy czasowo bliska krewna jej samój, panna Flora Laskarys, serdeczna niegdyś w Wilnie przyjaciółka Adama i moja, tak, że nazwana przezeń żartem „Cezarynią,” mianowała nas swoimi „paziami:” jego *starszym*, mnie *młodszym*, i te nazwy pozostały na zawsze we wzajemnych naszych stosunkach. Otóż panna Flora w Warszawie była niemniej serdeczną przyjaciółką Witwickiego; a te wszystkie wpływy, razem wzięte, przy udziale jeszcze i innych pięknych, uroczych, a wspólnych przyjaciółek naszych, jako to: pani Katarzyny Lewockiej i mieszkającej przy niej panny Maryi Ślaskiej; panny Melanii, córki pana Ministra z pierwszego małżeństwa, i pańien Natalii i Rozalii Bispink, przebywających czasowo w Warszawie, w domu babki, Wojewodziniej Kickiej, nie tylko zbliżały mię coraz bardziej z Witwickim, ale i stosunkowi naszemu nadawały poetycki niejako charakter, więcej sercowy niż literacki z początku. Ostatni owszem ten odcień wyszedł na j dopióro wtedy, gdyśmy się rozmówili nakoniec otwarcie o tych jego niefortunnych balladach. A był to

ostatni, i najtrudniejszy może do przebycia szczebel do zupełnego zbliżenia się nawzajem.

Byliśmy już zbliżeni sercem i towarzyskim stosunkiem, a jeszcze przedmiot, który nas obu przecież zajmował najwięcej, to jest poezya, nie mógł być dla nas przedmiotem rozmowy i wzajemnej wymiany myśli. Jakkolwiek bowiem zapewniał mię Bohdan, że autor „ballad“ wyższym jest nad autorską drażliwość, i że sam owszem, srożej nawet od innych, wartość ich sądzi i ocenia, tak, że je nawet wycofał z obiegu:—zawsze jednak czułem to dobrze, że mi nie wypadało wrywać się ze zdaniem o nich. Chwalić jużciż nieszczerze, nie mogłem; krytykować, nie miałem prawa i nie śmiałem; a więc cóż zostawało innego, jak milczeć? Ale żeby o nich nie wspomnieć, trzeba téż było unikać mowy o tém wszystkiém, coby o nie potrącić mogło. Wywiązał się więc ztąd w rozmowie pewnego rodzaju przymus, zwłaszcza gdy byliśmy dłużej sam na sam, który jak ton fałszywy mącił harmonię uczuć. Nie wątpię, że i on także musiał czegoś podobnego doświadczać, ale i jemu trudno widać było zacząć mówić o tém pierwszym. A jednakże być inaczej nie mogło. Ja wtedy jeszcze, chcąc nawet, nie umiałbym znaleźć sposobu, jakby ten przedmiot delikatnie zagaić; a oprócz tego jeszcze była okoliczność, która mi dziwnie podwajała tę trudność. Pierwsze moje ramoty, wydane w dwóch tomikach w Wilnie, i może właśnie dla tego że ramoty, znalazły jakoś łaskę oczach ówczesnych recenzentów warszawskich, a nawet koryfeuszów klassycyzmu. Pochodziło to niewątpliwie nie ztąd inąd jak z tego, że się mego współrodnictwa nie bali, a zaś chcieli przez to okazać

bezstronność niby swoją względem nowej szkoły, przeciw mistrzowi której ze śmieszną zapamiętałością walczyli. Dmóchowski zaś, trzymający naówczas berło krytyki dziennikarskiej, był zawsze ze mną w najlepszych towarzyskich stosunkach, chociażśmy się nieraz ząb za ząb o klasycyzm i romantycyzm kłócili. Ztąd poszło, że w wydawanych przezeń pismach: „Korespondencje Warszawskiej“ i „Bibliotece Polskiej,“ obok pedagogicznych napomnień i przestróg, wyczytywałem wszakże nieraz pochwałę dla siebie, wraz z zachętą do dalszego kształcenia się i pracy.

Otóż każda taka pochwała, sprawiała mi zawsze pewnego rodzaju przykrość, przez wzgląd na Witwickiego, którego serce i przyjaźń były mi droższe sto razy nad wszelkie polechtania próżności autorskiej, i myślę, że on to musiał odgadnąć.

Raz bowiem, gdyśmy mówili o wzajemnych sądach pomiędzy ludźmi,—gdyż tego rodzaju temata były zwykle treścią tych rozmów,—on, chociaż z przymuszoną może wesołością, zagaił pierwszy ten drażliwy przedmiot, zapytując, a raczej opisując sam w sposobie żartu, jakie wyobrażenie powziął o nim musiałem, przeczytawszy jego ballady. Zmieszało to mię z początku, ale i wzruszyło zarazem; i udało się jakoś szczęśliwie skorzystać z przełamanej zapory. Nie tałem więc, że zwolennikiem ich w ogólności nie byłem, ale w szczegółach wszakże miałem słuszne prawo nie wtórować całkiem surowości, z jaką je własny autor potępiał. Nawzajem zaś, nie przez udaną lub fałszy skromność, ale szczerze, z wezbrania serca, zaczął mu cytować własne moje niektóre ballady i wiersze umieszczone zwłaszcza w pierwszym tomiku wileński

wydania, które lub sam już teraz miałem za ramoty, albo o których Adam pisał do mnie, żartując, naprzykład: iż szkoda że „Zbrodniarza“ (tytuł ballady) przed jego spowiedzią nie ściałem; że radziłby wypędzić „kota“ który zbyt przeraźliwie miauczy, (*Zamek Littlecot-hall*, ballada), a „Michasia“ wynieść z kołyską, póki nie wyrośnie, i t. d. (Notabene, wszystkie te elukubracye wyrzuciłem całkiem w następnych wydaniach). Ale tu znów wspaniałomyślny Witwicki, odpłacając mi pięknem za nadobne, zaczął mię bronić w tém lub owém przeciwko mnie samemu; i ile razem potem wspominałem sobie tę chwilę, zawsze przychodziło mi na myśl, że mogłaby posłużyć za temat do pociesznej sceny w komedyi, któraby miała za przedmiot życie i stosunki wierszokletów. Dla mnie wszakże chwila ta stała się zwłaszcza pamiętną i ważną niezmiernie przez to, że od niej-to właśnie Witwicki stał się nadal najpiérwszym i najbliźszym powiernikiem moim, co do wszystkich prac moich następnych; obdarzony zaś niepospolitym talentem krytycznym, delikatnością smaku i trafnością sądu, a przytém szczery i surowy przez przyjaźń, był mi zawsze najlepszym probierzem każdego nowego wiersza, a tém samym przestroga i nauką na przyszłość. Nie wiem, o ile w tym względzie mogłem się mu wzajemnością wypłacić; ale to wiem, że i on także obrał mię za piérwszego słuchacza, ile razy co nowego napisał. Zrażony zaś niepowodzeniem, a raczój nieudaniem się ballad, postanowił był właśnie w tym czasie zaniechać zupełnie wierszy, a oddać się pisaniu prozą. Zaczął więc od czytania i studyowania dawnych prozaików naszych; przyczém Rey, Skarga, i przekład Pisma Świętego przez Wujka, były dlań szczególnie

przedmiotem uwielbienia i wzorem języka i stylu. Studya te, oprócz korzyści literackich, wpłynęły także przeważnie na wzrost i na kierunek moralnych jego wyobrażeń i uczuć, i zamieniły zwłaszcza w niezachwianą pewność przekonania, religijne uczucia serca, któremi był zawsze przejęty. Wiadomo, jak bolesną i jak ciężką ofiarą serca okupił on potem w przyszłości tę moc i świętość religijnych swoich przekonań. I chociaż to nie wchodzi bynajmniej w zakres niniejszych moich opowiadań, tyjących się tylko jedynie własnych moich osobistych stosunków i wspomnień: nie mogę wszakże nie wspomnieć tu, chociaż nawiasem, owego pożegnalnego listu jego do Adama, umieszczonego w drugim tomie „Korrespondencyi“ tego ostatniego. Sam nigdy bez łez go przeczytać nie mogę; ale tobie, Siostrzyczko, lepiej nad wszystkie słowa moje, da on pojąć czystość, godność, a przytém i tkliwość człowieka, o którym tu opowiadam, a który je zawsze miał w duszy.

Godność ta zwłaszcza, malująca się w owym liście, a przytém słodycz pokoju, co go nawet i w żalu nie opuszcza, odznaczały już Witwickiego w czasie, o którym tu mowa, we wszystkich towarzyskich i przyjacielskich stosunkach, a w połączeniu z salonową ogładą i taktem, mogły nawet dla nieznających go bliżej, a sądzących, jak ja niegdyś, z pozoru, stać się nieraz dostatecznym powodem, aby go o zimną obojętność, albo nawet i o dumę posądzić. Tymczasem w gruncie duszy, duma tak była daleką od niego, jak od każdego rozumnego człowieka być musi; a zwykłą jednostajność wyrazu twarzy była w nim tylko słkiem panowania nad sobą i nad żywością wrażeń, kich w sercu rzeczywiście doznawał. Za toż w b

szém pożyciu z ludźmi, których szanował i lubił, (nie mówiąc już o najbliższych przyjaciółach serca), był on zawsze pełen swobody, prostoty i naturalności, zaprawionej niekiedy jowialnym dowcipem, ale nigdy złośliwym, lub gorzkim sarkazmem. Jowialność ta, zwłaszcza w rozmowach z młodemi damami, mogłaby ująć za najogólniejszą cechę tonu i kolorytu tych rozmów. *) Ale i z najbliższymi nawet przyjaciółmi, obejście się jego było zawsze spokojne, i nie pamiętam, żebym widział w nim kiedy, czy to gorętszy wylew serdeczności na zewnątrz, czy wybuch gniewnego wzruszenia. Karciał on je owszem niekiedy surowo w „*Młodzieniaszku*,” który téż za to głównie przezwiał go „*Staruszkim*,” ale i dzisiaj jeszcze z wdzięcznością wyznaje, że równie jak Brodzińskiemu, wiele mu pod tym względem dobrego zawdzięcza.

Przestrogi tego rodzaju tyczyły się najczęściej walki z klasykami, która naówczas wrzała w całej sile, a od której Witwicki, równie jak Brodziński, unikali sami starannie, i ostarciach na obiadach czwartkowych u Generała Krasieńskiego dowiadywali się zazwyczaj ode mnie, który byłem w nich czynnym i gorliwym szermierzem. Obaj oni z przekonania i z serca stali po stronie romanty-

*) Na przykład przytaczam tu żartobliwą szaradę, napisaną dla słynnej z urody i słodczy charakteru panny Natalii B.

„Pierwszém podaje, drugiem pokazuje,
Trzeciém się pyta; egoista czwarte.
Wszystko złe, brzydkie kapryśne, uparte;
Jednak mu rączkę całuje.“

Słowo szarady: *Natalija*.

ków, a przecież w obronie to ich antagonistów, a zwłaszcza Osińskiego, którego obaj szczerze nie lubili, spotykały mię zwykle owe reprimandy. I jest to jakby rys wspólny charakteru ich obu, chociaż może z odmiennym odcieniem. Brodziński, łagodny i cichy, wolał wprost dla świętego pokoju ustąpić i zapomnieć obrazy, a więc i drugich do tegoż zachęcał; ale Witwicki nie był wcale takim barankiem. Miał on dosyć energii i siły, aby w razie potrzeby nie unikać walki; na punkcie zaś godności własnej był on owszem bardzo dotkliwym i czujnym, i w tym tylko jedynie razie można byłoby o nim powiedzieć niekiedy, że dumny. Tylko że w nim ta godność i duma nie miały nic wspólnego z próżnością lub pychą. Zakładał on je nie na obronie błędu, skoroby czuł że go popełnił, lecz na uznaniu go i poprawie; względem zaś nieprzyjaciół, na tém, aby nigdy złem za złe nie płacić. Wiedząc więc że Osiński brał go często za cel swych szyderstw, on właśnie z tego powodu lubił stawać w jego obronie; a gdy przez to, jak się zdarzało, żywsze moje oburzenie wywołał: sypał mi znów obrok duchowny, występując w roli „Staruszka.“ Za toż gdy rzecz szła o uznanie czy uwielbienie prawdziwego czyjegoś talentu i pracy, sam on stawał się „młodzieniaszkiem,“ wraz ze mną, i w wyborze przedmiotu uwielbień zawsześmy się jakoś zgadzali. Wspólne zaś głośne czytanie podobnych utworów, polskich, czy obcych, było dla nas najmiłszą zabawą.

Witwicki właśnie w owym czasie zaczął być sać swojego „*Edmunda*,“ i gdyśmy już zaczęli mówić o autorstwie, przeczytał mi z niego wyjątki. Ku mojemu wymówniej mojej pociesze, tak mi się one szcze

podobały, że bez cienia obłudy, unosząc się nad niemi, mogłem przez to i sercu własnemu dogodzić, i jużciż żywszą może przychylność autora zjednałem. Dla niego téż to moje współczucie było, jak mi sam mówił, nowym bodźcem do pracy; i przeto zwykle raz w tydzień zaczął mię prosić na obiady do siebie, na których odczytywał przede mną, co przez tydzień nowego napisał. Obiady te tak mi były przyjemne, że nie tylko rad dla nich wyrzekałem się innych, na które mię czasem gdzieindziej w tymże dniu proszono; ale, aby je częściej ponawiać, zaproponowałem sam pierwszy, abym mógł zawsze, gdy zechcę, przychodzić na nie, nie jak gość proszony, ale wprost, jako wspólny stołownik, za własne swoje pieniądze. Witwicki bowiem nie miał kuchni u siebie, a i ten obiad proszony, brany z traktyerni, nie kosztował go więcej nad dwa złote, oprócz butelki owsianego piwa. Opierał się więc z razu memu projektowi, mogąc i pragnąc ochoczo sam koszt częstszych tych biesiad ponosić; ale gdy i ja także obstawałem przy swoim, zgodził się w końcu na układ. Trwało to tak przez kilka miesięcy, i w ciągu tego czasu nie więcej nad dziewięć razy mogłem tylko z tego korzystać. Rzecz naturalna, że po upływie pół wieku, nie mógłbym dotąd ściśle pamiętać téj liczby, gdyby mi jój nie wraziło w pamięć to, co tu zaraz opowiem.

Dnia jednego raniutko otrzymuję list od Witwickiego, i w nim świadectwo z Towarzystwa Dobroczynności o złożeniu na rzecz ubogich ośmnastu złotych, a przytém pełne serca i dowcipu objaśnienie téj rzeczy, to jest, że on, po długiej walce sam z sobą, nie mógł znieść w końcu téj myśli, ażeby „gość tak

miły,“ sam przyjemność gospodarza opłacał; i przeto zapłacone przeze mnie 18 złotych oddał na moją intencją ubogim, a sam nawzajem prosi, jako o jałmużnę dla siebie, abym jako gość częściej wspólnie z nim obiadować przychodził. Drobną to jest na pozór okoliczność, ale i w niej, jak słońce w kropli, maluje się ta sama dziwnie dotkliwa delikatność uczucia, dla której potem, jak już wyżej wspomniałem, los całego życia poświęcił. Ma się rozumieć, że inwitacją szczerem sercem przyjąłem; a gdy on wkrótce z Nowego-Światu, gdzie przez lat kilka mieszkał, przeniósł się w blizkie moje sąsiedztwo, na róg Żabięj i Bankowego Placu, mieszkanie jego przez dwa przeszło lata, do wyjazdu mego z Warszawy, było dla mnie rodzajem „przypisnej kwatery,“ tyle w niém czasie codziennie prawie i o każdej porze spędzałem. Weszło to tak dalece we zwyczaj, że gdy raz przez dzień cały przyjsz jakoś nie mogłem, otrzymałem wieczorem następny wierszyk, który dotąd tkwi mi w pamięci:

„Ja wzdycham, a Merry wyje,
 Ja i on stroskany,
 Czy zapomniał, czy nie żyje
 Nasz sąsiad kochany,
 Że go dzisiaj przez dzień cały
 Nasze oczy nie widziały?“—

U mnie Witwicki rzadszym bywał gościem. Jedną małą izdebka, w której najprzód przez lat parę mieszkałem; gdzie w zimie woda w szklance ścina się lodem na oknie, a w lecie duże od południa ol weneckie trzeba było zamalowywać krédą, zamiast sztorów; nie miała czém przynęcać przychodnia,

sprzyjała bardzo dłuższej pogadance. A jednak, ileż to chwil szczęśliwych, i nawet prawdziwie uroczych, miałem w niej, i dotychczas przypominam z rozkoszą! Wielu z nich był współnikiem Witwicki. Głównymi zaś ich czynnikami były zwłaszcza dwie rzeczy: herbata, i fórtka do Ogrodu Saskiego. Herbaty tego gatunku, być może, iż nie było naówczas w Warszawie, gdzie zwyczaj jój nie był jeszcze zbyt upowszechniony. Sprowadzałem ją wprost z Petersburga, za pośrednictwem Malewskiego i łaskawego na mnie p. Turkulla, funt po 25 rubli asygnacyjnych, t. j. po 7 i pół rs. Był to jedyny szalony zbytek, który mógłbym mieć sobie do wyrzucenia. Pokusił mnie do tego p. Kasper Żelwietr, sławny naówczas mecenas, plenipotent, i prawdziwy Lukullus towarzystwa polskiego w Petersburgu, który za bytności swojej w Warszawie poczęstował mię taką herbatą, a gdy się unosiłem nad jój przymiotami, ofiarował mi pół funta w prezencie. Czyniłem zaś to nie gwoli podniebieniu, ale dla doznanego wpływu na umysł i usposobienie wewnętrzne. Przez ciąg półtora roku, po kilku szklankach takiego nektaru wieczorem, całe bezsenne noce schodziły mi najrozkoszniej na czytaniu poetów angielskich; i nigdy tak poezyi nie czułem. Jeśli opium sprawia takie skutki, to nie dziw, że się niém rozpijąją Chińczycy. Nakoniec wprawdzie przypłaciłem to drogo, tak chorobliwém rozdrażnieniem nerwów, że się bałem o stratę zmysłów, i ledwo mię z tego sławny naówczas Kopenstetter cytrynową swoją kuracją uleczył. Ale dopóki to pijaństwo trwało, ymfowałem sam z wynalazku, i przyjaciół nim ugaczałem. Samowaru wprawdzie nie było, ale były czepane drewka, przy których sam sobie co wieczór

zagotowywałem wodę w kociołku, w czém także dopomagali i goście. Witwicki bywał nim zwłaszcza przy xiężycowych nocach w zimie i w lecie. W zimie albowiem o godzinie siódmej, a w lecie o dziewiątej, ogród Saski był już dla publiczności zamknięty, a ja natenczas, dzięki mojej fórtce, stawałem się samowładnym jego panem, i mogłem w nim gości moich, jak we własnym parku przyjmować. Drzewa okryte srebrnym szronem lub kwiatem, nieprzeliczona moc kawek w zimie, a mnóstwo słowików w lecie, stanowiły uroczą jego ozdobę i kapełę, do pory roku stosowną. Ież to takich wieczorów przepędziliśmy tam po herbacie z Witwickim, albośmy po uprzedniej przechadzce na herbatę do mnie wracali. O jednym z nich muszę wspomnieć obszerniej; bo najprzód nie pamiętam, aże bym kiedykolwiek śmiał się tak szalenie w życiu, a potém, że będziesz mogła, siostrzyczko, chociażby „po tym śmiechu,“ jak mówi przysłowie, poznać ówczesny stan rozumu starego dziś sługi swego, i powziąć wyobrażenie o koleżeńskim nastroju stosunku, o którym tu mowa.

Wspomniałem, że ogród zamykano o pewnych godzinach. Ale najprzód, przed ostatecznym zamknięciem, obchodziły go wkoło runty wojskowe, z głównego odwachtu na Placu Saskim, złożone z dwóch żołnierzy i trzeciego kaprała. Przed oknem zaś, przez które ja „w Ogród Saski patrzałem,“ zasadzony był świeżo klomb akacyi, dziś już stary i przetrzebiony, ale naówczas jeszcze giętki i gęsto zarosły, a rozciągający się wzdłuż ostatniej skrajnej ulicy, którą runt zwykle przechodził. Kupiłem więc kłębek szgatu, i spuściwszy jeden koniec przez okno, przyw-

załem go, jak można było najwyżej, do jednego z najgrubszych drzewek w środku klombu, o jakie 20 kroków od okna, aby na nie uwagi nie ściągnąć. Ilekroć więc byłem w domu, w godzinach przechodzenia runt, nie zaniedbałem prawie nigdy, (ma się rozumieć w lecie), zastanawiać go zwykle i drażnić szumem pociąganego drzewa. Udawało mi się to przewybornie, ku wielkiej mojej studenckiej uciechu. Zaprosiłem więc raz na nią Witwickiego, i trzebaż, że się udało jak nigdy. Jakiś stary wąsaty kapral z szewronami, tak się nakoniec rozżarł ciągłym szumem drzewa, odpowiadającym mu coraz głośniej na każde coraz groźniejsze zapytanie: „kto tam“?—że rozstawiwszy żołnierzy po obu stronach klombu, sam na czworaku prawie wdarł się w środek jego, i po omacku w gęstwie szukał winowajcy. Tarzałem się po ziemi ze śmiechu, i nie wiem, jak mi serce nie pękło, zwłaszcza, gdy zmordowany i rozwścieczony wiarus, wypełznawszy nakoniec z krzaków, ukląkł na ścieżce, i na krzyż składając palce, przysiągł na wszystkie świętości, że jutro, przed otwarciem ogrodu, przyjdzie z całym odwachtem przetrząść go, i „złodzieja jak wieprza zakole.“ Nie wiem, czy dotrwał w zamiarze szukania; ale Witwicki, który się też ubawił serdecznie, zwrócił jednak moją uwagę, że w razie odkrycia prawdziwej przyczyny, mógłbym być istotnie narażonym na wielkie niebezpieczeństwo ze strony zwierzchniczej naówczas władzy wojskowej. Zerwałem więc natychmiast sznur z drzewa, i już go nie nawiązałem powtórnie.

Mógłbym przytoczyć wiele podobnych faktów, to jest drobnych na pozór, ale w których mi przestroga i rada Witwickiego nieraz wyszły na dobre

a zawsze były dowodem więcej niż zwyczajnej przyjaźni. Domeyko Ignacy, w liście pisanym do mnie o Warszawie, a drukowanym w drugim tomie *Korrespondencji A. Mickiewicza*, powiada: „Z twoich przyjaciół, Witwicki najwięcej mi się podobał, bo widziałem, że cię bardzo kocha.“—Tak było w rzeczy samej. Odplacał mi wzajemnością. Nigdy wszakże nie dał mi więcej dowodów uczynności, pomocy, i prawie poświęcenia, jak przy wydawnictwie, w roku 1829, noworocznika mego *Melitele*. Był on, można powiedzieć, jakby owocem wspólnej pracy, o ile ta dotyczyła zajęć redakcyjnych i druku. Sam nawet pierwszy pomysł tego wydawnictwa poszedłby tylko może na „bruk piekła,“ jak tyle innych dobrych intencji, gdyby nie przyjacielska zachęta i gorące współczucie Witwickiego.

Wydawnictwo zaś to w życiu mojem ważną bardzo odegrało rolę: gdyż ułatwiło mi zwłaszcza możność odbycia wspólnej potem podróży z Adamem, a nie było też w swoim czasie bez pewnego znaczenia i wpływu w naszym właściwym świecie literackim. Owóż pierwszy pomysł do niego, jak wszystko dobre w mojem życiu, przyszedł mi przypadkowo, znienacka, a zawsze za wpływem płci pięknej. Pan minister Grabowski sprowadził był z Londynu bardzo piękny i kosztowny Almanak, z wizerunkami pięknych kobiet angielskich. Gdym więc raz admirował je w gronie panienek, jedna z nich, panna Rozalia Bispink, zaczęła ubolewać z przekąsem, że ja nie jestem malarzem; gdyż mając tyle pięknych przyjaciółek, pewnoby o podobny almanaku pomyślał. Słódko to, żartem i bez celu rzucy zapaliło nagle we mnie myśl inną. Czemużbym, ma tyłu przyjaciół-poetów, nie mógł wydać wiązanki z

pieśni? Zakomunikowałem więc zaraz myśl tę Witwickiemu, a on wziął ją tak żywo do serca, że pomysł raptem zamienił się w projekt; a że nowy rok był już niedaleko, trzeba się było śpieszyć z wykonaniem. Zaraz zatém nazajutrz zacząłem rozpisywać listy, a piérwszy kochany Bohdan ofiarował mi swoje „Rusalki.“ Nikt téż z wezwanych nie odmówił udziału; a tymczasem Witwicki wziął na siebie układy z drukarnią, papiernią, litografią i t. d., to jest całą materalną część wydawnictwa, licząc w to i późniejszą korektę, do której wielką przywiązywał ważność i sam ją z niezmordowaną gorliwością prowadził. Drugi nawet tom *Meliteli*, na rok 1830, wydał już sam całkiem beze mnie, po moim wyjeździe za granicę, z materyalów tylko zebranych i zostawionych przeze mnie. Pomimo wszakże téj pracy, która mu nieraz całe dnie zabierała, ani chciał słyszeć o udziale w korzyściach, jakie mi zwłaszcza wydanie piérwszego tomu przyniosło.

Nie wiedziałem atoli wtenczas, jaką mu jeszcze byłem winien wdzięczność, i od jakiego mię niebezpieczeństwa uchronił, które mi z tego względu zagrażało bezwiednie. Tytuł *Melitele* wybrałem wprost jedynie dla tego, iż było to imię bogini kwiatów w dawnéj mytologii Litewskiéj. Tymczasem inne w tém wcale znaczenie upatrzył, czy raczéj uroił sobie, p. Gustaw Grabowski, daleki krewny Ministra, urzędnik w jego wydziale i częsty gość w jego domu. Był to zacny, przyzwoity, a zwłaszcza bardzo przystojny młodzieniec, e że trochę na dandysa zakrawał, nie przypadaliśmy kós do siebie, chociaż byliśmy zawsze w dobrych owarzyskich stosunkach. Ja przynajmniej ani się do-

myślałem, że mię swoją zazdrością zaszczycał. Wiedziałem wprawdzie, co i wszyscy wiedzieli, że przedmiotem jego admiracyi była piękna kuzynka, panna Melania, córka p. Ministra; ale że przecież wolno admiringować każdemu, więc i ja też nie uchylałem się od tego; a że przytém nie rościłem bynajmniej pretensyi do wzajemności, nie dziw, że obejście się jój ze mną bywało nieraz łaskawsze i swobodniejsze niż z nim. Jątrzyło go to widać, ale się z tém nie wydawał. Dopiero gdy się dowiedział o tytule *Meliteli*, uroił sobie, że to ma być hołd publiczny, oddany przeze mnie imieniu *Melanii*, i uważając to za ubliżenie kuzynce, przedsięwziął wyzwać mnie na pojedynek. Szczęściem, że się otworzył z tém najprzód przed Witwickim, prosząc go za sekundanta dla siebie. Ten go więc naturalnie zreflektował, i rzecz cała poszła *per non sunt*. Za dowód zaś delikatności Witwickiego i to jeszcze może posłużyć, że powiedział mi o tém dopiero w Dreźnie, kiedy p. Gustaw już nie żył—a poległ śmiercią walecznych.

Ale oprócz naczelnego tytułu, chodziło jeszcze o nazwę generyczną tego rodzaju publikacyi, jakiej dotąd w literaturze naszej nie było, a jakie za granicą nazywano powszechnie *Almanakami*. Chciałem więc poprostu nazwę tę sobie przyswoić; ale pierwszy Generał Morawski, przysyłając mi poezye swoje z Lublina, zwrócił moją uwagę i wyraził życzenie, aby dla rzeczy nowój nową też nazwę, czysto polską, wymyślić. Suszyliśmy więc nad tém głowę z Witwicł, zasięgając rady i drugich. Wyraz *Kołodnik* miał więcej głosów za sobą; naszej wszakże aprobaty zyskał. Zostałby więc najpodobniej *Almanak*; gdv

dnia jednego w nocy, kiedy wieczorem zgoła nie myślałem o tém, przysnił mi się wyraz: *Noworocznik*. Obudziłem się, i tak byłem kontent z niego na jawie, że się nań zdecydowałem od razu. Tém bardziej więc strach mi było, aby go nie zapomnieć nazajutrz, jak to już parę razy przedtém zdarzyło mi się z wierszami, które mi się były przysniły, choć je sobie po razy dziesięć, jak obecnie ten wyraz, obudziwszy się powtarzałem głośno na pamięć. Przemogłem więc nad lenistwem i obawą zimna, i wyskoczywszy z łóżka, pociemku, aby czasu na krzesanie ognia nie tracić, ołówkiem na jakimś świstku, który mi wpadł pod rękę, napisałem wysniony wyraz. Przezorność ta nie była zbytęzną. Wstawszy bowiem rano nazajutrz, jakbym zamiast herbaty napił się wody Letejskiej, tak mi cała ta nocna scena najzupełniej wypadła z pamięci, i nie wiem, czybym ją kiedy przypomniał, gdybym, wróciwszy około północy do domu, nie rzucił przypadkowo okiem na ów świstek z ołówkowym napisem. Wtedy dopiero wszystkie pomienione tu szczegóły stanęły mi żywo w pamięci, a chęć dowiedzenia się o zdaniu Witwickiego, co do tego wyrazu, była tak wielka, iż, chociaż to już było dobrze po północy i mróz był trzaskający na dworze, ubrałem się na nowo i poszedłem do niego. A nadto musiałem jeszcze najprzód skłamać po drodze przed szwajcarem Błękitnego Pałacu, że idę do umierającego kolegi.

Następnie zaś przestraszyłem okropnie Witwickiego, który, obudzony nagle szczekaniem swojego faryta (Merry), i słysząc o téj porze kołatanie do rzwi, porwał się z łóżka w mniemaniu, że albo go łodzieje chcą napaść, albo wieść jakaś straszna przy-

chodzi. Wszystko to jednak chętnie przebaczoném zostało, gdy się o powodzie przyjścia dowiedział, i gdy wysniony wyraz przypadł mu téż do gustu. Większa część reszty nocy, którą już przepędziłem u niego, zesłała nam na najmiłszej gawędce; a ja zaraz nazajutrz, pod wpływem rozigranej w ten sposób fantazyi, napisałem w parę godzin *Brankę Litwina*, a we dwa dni potem *Wesele*, to jest najlepsze z moich owocnych ballad. Witwicki tak był z nich kontent, że zmuszał mię aż do uprzykrzenia powtarzać je w obec siebie przed każdym z dobrych wspólnych znajomych, i zaprowadził sam do Brodzińskiego, abym je mu zaraz przedeklamował. Wprawdzie i artykuły innych, byle dobre, sprawiały mu również przyjemność; w ogólności zaś powodzenie téj piérwszej *Meliteli*, którą takie arcyutwory jak *Rusalki*, *Farys*, *O Tańcach*, (Brodzińskiego), i t. d. po raz piérwszy w niej ogłoszone, nad zwykłą miarę podobnych publikacyi wyniosły: interesowało go nie mniej ode mnie.

Własne jego poezye biblijne, („*Tobiasz*“ i in.) umieszczone w tym piérwszym tomie *Meliteli*, a przed tém jeszcze pięcio-aktowa komedia, „*Maruda*,“ wystawiona na Teatrze Warsz. i życzliwie przez publiczność przyjęta, rehabilitowały go całkiem, jako poetę, w opinii miejscowej krytyki literackiej, po owych niefortunnych balladach, i myślę, że mu to zdjęło niemały ciężar z serca. Bo chociaż nie przeceniał on nigdy skali swego talentu, ani chciał sięgać po piérwszorządne laury: zawsze przecieź, jako człowiek rozumny i szanujący swą godność, nie mógł całkiem obojętnym na to, aby imienia swojego nie zostawić pod zarzutem, iż się wdał, jak to mó

„w nie swoje.“ To téż pozostałe dziś po nim poezye biblijne, piosnki, gawędy, i t. d., wydane razem w jednym tomie, w Paryżu, w r. 1836, muszą w każdym myślącym i czującym czytelniku obudzić szczerzy szacunek i serdeczną życzliwość dla autora, pełnego prawdy i zacności w myślach i uczuciach, a oddającego je zawsze z właściwą przedmiotowi powagą, wdziękiem lub humorem. Uważany zaś jako prozaik, myśliciel i moralista, np. w „*Wieczorach Pielgrzyma*,” w „*Gadu gadu*“ i t. d., pozostanie on zawsze jako pisarz wzorowy; to jest, że każdy piszący prozą, może więcej od niego, niż od innych, nauczyć się jasności, treściwości i harmonii stylu, a czystości i jędrności języka. Przedewszystkiém atoli, jako autor-człowiek i obywatel, wart on jest być przykładem dla wszystkich piszących, co do użycia talentu, ile go Bóg komu udzieli, „ku służbie pocziwój sławie i ogólnemu dobru“ kraju swego i bliźnich. To téż systematyczne ułożenie i wydanie w Paryżu (1836) „*Ołtarzyka Polskiego*,” najlepszej w swoim czasie książki do nabożeństwa u nas, uważał on sam za najważniejszą swoją pracę i zasługę.

W dzień mojego wyjazdu z Warszawy za granicę, na pożegnalnym śniadaniu u Waleryana Krasin'skiego, wpisał mi na początku przygotowanego dzienniczka podróży następujący czterowiersz:

„Bywaj zdrów, Młodzieniaszku! i niech cię w podróży
Prowadzą razem Anioł-Stróż i Muza Wróżka;
A gdy cię już włóczęga znudzi, albo znuży,
Wracaj pocieszyć Staruszka.“

W Dreźnie, jak powiedziałem już wyżej, spotka-
 liśmy się raz jeszcze, i pożegnaliśmy się—na zawsze.
 Ale i w oddaleniu nawet, do wyjazdu mojego z Dre-
 zna, nie przestał on dawać mi zawsze dowodów obo-
 wiązującej przyjaźni; i jego to zwłaszcza gorliwej po-
 mocy w zbieraniu materyałów winienem, iż mogłem
 wydać trzeci tom *Meliteli* w Lipsku, w r. 1837.

O pobycie jego w Paryżu, o stosunku z Adamem,
 i w ogólności o zbawiennym wpływie, jaki zawsze i wsze-
 dzie na otaczających siebie wywierał: mam nadzieję, iż
 kochany Bohdan Zaleski, jako naoczny świadek, a naj-
 bliższy przyjaciel jego i powiernik, godne jego pozo-
 stawi wspomnienie. Ja tymczasem pozwałam sobie
 przytoczyć tu jeszcze niektóre wyjątki z listów jego,
 pisanych do mnie do Drezna, w których się on sam
 lepiej, niżli w cudzych słowach maluje.

„20 Stycznia 1835 r. Kochany mój Edwardzie!
 Że tak dawno do ciebie nie pisałem, to najbardziej
 ztąd wynikło, żem się niepotrzebnie wdał do spółki
 z dwoma bałamutami, z Domeyką i z Adamem. Mie-
 liśmy pisać wszyscy razem; ztąd odkładanie z dnia na
 dzień, z miesiąca jednego na drugi. Dziś dopiero pa-
 ni Celina (Mickiewiczowa), wzięwszy na siebie exe-
 kucyą, listy te do ciebie wyprawia. Dziękuję wam
 bardzo za pamięć, i tobie, i twojej dobrej żonie, którą,
 za wielkiem pańskim pozwoleniem, seryo kocham,
 a osobliwie téj pannie, co się tam codzien, jak piszesz,
 wita z moim portretem. Kiedyż ja będę mógł uści-
 snać ją i z nią się bawić? „Ehej, ehej!“ (jak m^ł—
 Jakób Wujek w Piśmie Świętém), kropi nas bięda
 pomału, panie Antoni! Cóż robić!? Jeszcze-ż komu
 lata choć cierniste, wychowują na przyszłość pociec

komu dziecię rośnie; może się on pocieszać, jak ów rolnik, któremu choć dzisiaj głodno, widzi jednak, że mu już na własnym łanie wschodzi urodzaj i gotuje się obfitość. Ale taki lampart i gołysz jak ja, co nic przed sobą nie ma, a za sobą dyabli wiedzą co, dla takiego i najlepsza rosa jest tylko słotą. Z niczego nic—powiada uczony Zdanowicz, aktor warszawski, w „Naszycy przebiegach.“

„Chcesz mnie widzieć utrzymać na dawnym urzędzie nadwornego swego krytyka i pytasz, co trzymam o *Korsarzu*? Podobał mi się oczywiście; aleśmy zauważyli z Adamem dość częste zwróty francuzkie, a przynajmniej nie szczero-polskie. Ja prócz tego wyszpiewowałem kilka wierszów zaniedbanych, niby łatwych, a w istocie złych, np. na *ego*, które tobie, poprawnemu pisarzowi, wcale nie uchodzą. Można się czasem śmiać z pedantów, ale nie wszystkimi ich spostrzeżeniami należy pogardzać. Co się zaś tyczy owych zwrótów, jest to nas wszystkich wadą, którąśmy odziedziczyli po nieszczęśliwych ojcach literackich, tak zwanych klasykach, że jedyną naszą narodową literaturę Zygmunrowską, raz kiedyś tam w pacholęcych szkolnych latach piąte przez dziesiąte przebiegłszy, już potem nie wdawaliśmy się z nią nic prawie. Ja w tych dopiero czasach postrzegłem się w tém niedbalstwie seryo, i jestem dziś tego zdania, że czytanie i wertowanie owych pisarzy, powinno być naszym codziennym pacierzem literackim; że tylko od nich jednych możemy się nauczyć pisać prawdziwie po polsku, prozą i wierszem, i że tak zwani klasykcy nasi, z których się sprydaedliwie śmiejemy, byliby nigdy tak nie zgłupieli, dyby się położyli u tego jedynego źródła polszczyzny

i narodowości. Słyszałem żeś „*Narzeczoną z Abydos*“ wytlómaczył. Cieszę się, i niech ci Bóg daje, to Antosie, to poemata. Obojga tego ojczyzna potrzebuje. Ja, żebym mógł mieć choć jedno, tobym Panu Bogu podziękował. Ale na nic się nie zanosi, ani na żonę, ani na poemat, tylko na starość czczą i smutną. Boska wola!

„Całuję was wszystko troje serdecznie i często, często żałuję, że nie jesteśmy razem.“

„21 Lipca 1835 r. *Montmorency*. Czyż nie wiesz dla czego do ciebie tak rzadko pisuję? Oto jedynie dla tego, żebyś się na pocztę nie rujnował; ale kiedy mię łajesz i strofujesz, za karę zapłać-że braciszku! Jeżeli kochany Professor (Brodziński) jeszcze z Drezna nie wyjechał, oddaj mu bilet, który załączam; jeżeli zaś wyjechał, to ten bilet spal, a nie puszczaj go na ręce niepewne.

„Ale jaka to mucha była cię ukąsiła, że nie mając za co innego przyczepić się, zburczałeś mię za tytuł *Młodzieniaszka*? Już o mało zem nie rozpoczął korespondencji od „*Wielmożny Mości Dobrodzieju*.“ Nie bądźże dzieckiem, mając już dzieci, a na tytuł i przerwiska, jakie ci po staremu poufały przyjaciel daje w poufnych swych i zapieczętowanych, a więc od nikogo niewidzianych listach, nie zważaj—kochany *Młodzieniaszku*! Masz na złość.

„Lato przepędzam znowu w *Montmorency*; listy jednak możesz zawsze adresować do Paryża. Gdy mi tu ostatni odesłano, był właśnie u mnie Adam, i wziął twój bilet do siebie i drugi do Domeyki. Miał do ciębie wkrótce pisać, ale wątpię, żeby z tego co by

tém bardziej, iż żona, która go do listów napędza, będzie myślała niezadługo o czém inném.

„O *Meliteli* nie zapomnę. Sam mało dam, gdyż mało mam, ale dostanę zapewne cokolwiek od Niemcewicza i od Bohdana. Gorecki da chętnie, ale on także ma tak mało, jak ja. Nieszczęście, że ci na tym świecie, co gotowi najwięcej dawać, najmniej mają.

„Co do twoich tłumaczeń, miałem ci powiedzieć, żebyś w wyborze oryginałów był baczniejszy. Ja gdybym był na twojem miejscu, miał twój talent i twoją łatwość, tobym zamiast sławnych współczesnych, którzy dla tego nie koniecznie jeszcze mają być sławni u potomnych, wziął się raczej do Danta, albobym wybrał co z Göthego. Zgorszę cię może, gdy powiem, że w nieśmiertelność Byrona ani Moora nie wierzę. Podług mnie, ten tylko poeta żyć będzie wiecznie na tym świecie, którego myśl jest ze świata tamtego.

„Całuję cię serdecznie, kochany mój—jak się nazywasz? (Połóż tu sam sobie i nazwisko, i tytuł i przydomek, jaki sam zechcesz i lubisz), i rączki twojej żony, i buzię twojej córeczki, a mojej przyjaciółki.—Adam przyszedł przed chwilą i chce się sam do tego listu przypisać.“

„25 Września 1835 r. Paryż. Do *Meliteli* będziesz mógł wziąć co, jeśli zechcesz, z *Wieczorów Pielgrzyma*. Zacząłem tu być coś prozą, umyślnie dla ciebie, ale się nie skończyło. Bo nie wiesz, dla czego tak późno ten *Melitelowski* ładunek wysyłam; nie wiesz, że byłem u wód morskich w Dieppe, zkąd dopiero wróciłem, a chociaż naprzód artykuły pozamawiałem, jednak do mego powrotu nic się zrobić nie mogło, bo Adam był zajęty najprzód żoną, a potem córką. Umieścisz

zapewne jaki portret; chciałbym żeby to był portret Brodzińskiego. Jeżeli będzie dwa, to niech drugi będzie Garczyńskiego, o którym mógłbyś napisać choć krótką wiadomość. Ja mam myśl napisać o nim kiedyś obszerniej. Namawiałem do tego Adama, nawet chciałem, żeby to było dla twojej *Meliteli*, ale zaszły przeszkody: Adam ma do ciebie teraz napisać i sam ci donieść o szczęśliwem przybyciu na świat panny Maryanny Mickiewiczówny. Matka zdrowa, jak łania, i sama karmi. Kiedy też ja zapoznam się z twoją panienką? Domeykusa nie mogłem nigdzie złapać, ale polecił Adamowi, żeby się go spytał, czy nie miałby czego do *Meliteli*? Wątpię jednak, gdyż jego nauki byłyby dla *Melitelskich* czytelników nadto poważne. Donieś mi proszę o Brodzińskim. Przyszła tu zkażd-ciś wiadomość, że on bardzo słaby w Dreźnie; wszyscy przeto jesteśmy niespokojni.

„Całuję cię serdecznie, kochany mój *Młodzieniaszku!* a nie starzój się. Bodaj żyć i umierać z młodością; to przynajmniej powiedzieliby o człowieku:

„Umarł, nie mało szkody!
Był dość piękny i młody.“

„24 Lipca 1836 r. *Montmorency*. Niemcewicz pozwala na druki i sam o tém pisze do ciebie bilet, który tu załączam, razem z listem Adama. Domeyko wyjechał, i nie wiemy jeszcze gdzieby go listem łapać; więc twój leży u mnie. Przepędzam znowu lato w *Montmorency*; blisko ztąd *Domont*, gdzie mieszka Adam. Bywamy u siebie piechotą i często. Przyjaźń i zażyłość z Adamem jest w dzisiejszém moim życiu główną pociechą; bo musisz wiedzieć, że jesteśmy:

ba bardzo serdecznie i ściśle. Marysia jego przepyszne dziecko. Jakżem ciekawy twojej Antosi! Ale Pan Bóg wie, kiedy i gdzie się z nią poznamy. Na długą i ciężką zaciągnęło się słotę. Trzeba jednak i w tych goryczach starać się, żeby coś robić. My literaci pracujemy; powołanie nasze jest dziś ważniejsze, niż kiedykolwiek. Myśl tam o tém, panie Edwardzie, i nie zalegaj talentu. Ja pracuję teraz nad łaciną, nad starą polszczyzną, i nauczyłem się lepiej cokolwiek po polsku, najwięcej z łaski Skargi i Wujka. Po książce do nabożeństwa, (która już jest w ręku ludzkim, i za którą Bogu serdecznie dziękuję, bo pewnie nic większego w życiu nie zrobię), wydałem tom dawnych i trochę nowych wierszów, i zabieram się do wydania tomu „*Wieczorów Pielgrzyma*,” gdzie niechący występuję w postaci reformatora. Pocieszam się nadzieją, że ta książka może przynieść rodakom i domowi naszemu jakiś pożytek; jest przynajmniej na dobrym gruncie zbudowana, bo na miłości Boga i na miłości narodu. W tych czasach zajęty jestem przepisywaniem. O twojej *Meliteli* pamiętam.“

„26 Sierpnia 1836 r. Masz tedy nowe wiersze Niemcewicza; prócz tego przyrzekli mi je także: Gorecki, Zaleski, i nowy jeden poeta, Orpiszewski, co wszystko odbierzesz przez Zaleskiego, któremu do ciebie najbliżej (ze Strasburga). Adam nic nie daje, bo nic nie napisał. Co za szkoda, że on się tak marnuje! Oprócz talentu poetyckiego, tyle ma jeszcze rozmaitych wiadomości, z których mógłby zrobić użytek pisarski, na tak wielki żądany rodaków pożytek; ale cóż, kiedy gadać mu o tem, to jak do ściany. Od dwóch dni pojechał do Paryża, i wiesz, że lato przepędza blisko Montmorency, w ma-

łój wioseczce Domont). Marysia słaba na ząbki, i on sam postępuje, a w Domont ani doktora, ani apteki.

„Muszę téż się przed tobą pochwalić, zem wyszedł na człowieka dosyć pracowitego. Przez pracę zagłuszam w sobie uczucie biedy i smutku. Od niejakiego czasu jestem ciągle zajęty łaciną, do której miałem zawsze pociąg, a dziś passyą, jak to właściwe *staruszkom*. Drugą moją ulubioną rzeczą jest historia polska.“

„22 Stycznia 1837 r. Paryż. Ty, który na nas gderaleś, że nie pisujemy, że o tobie zapominamy, coś, jak widzę, straciłeś na tem gderaniu nagle głos, i już od bardzo wielu miesięcy ani słyhać o tobie. Jeszcze we Wrześniu posłałem dla twojej pani *Ottarzyk*, a dla ciebie tom moich wierszy, i dotychczas nie wiem nawet, czy wam to oddano. Rad nierad czekałem aż tak pewnej okazyi, jak dzisiejsza. Adam wie o niéj i także ma pisać. Domeyko zaś już napisał i załączam tu list jego.

„Ostatnią o tobie wiadomość mieliśmy przez Szopena. Antosię bardzo nam zachwalił, że ma być ładna, i milutka. i zabawniutka. Szczęśliwys, błogosławionys Młodzieniaszku! Ze mnie, według wszelkiego podobieństwa, nic już podobno nie będzie; nigdy już zapewne nie nawiedzi mię żadna ładna blondyneczka i żadne dzieciątko. Żebyż przynajmniej choć dzieci cudze, dzieci tych, których się lubi, nianczyć gdzie można! Z Marysią Mickiewicza jestem w wielkiej przyjaźni: sam ojciec przyznaje, że mnie więcéj kocha niż ja. Śliczne bardzo stworzątko, i zdrowo się chowa.

„Od dzieci przechodząc do ojców:—cóż ty tam robi co piszesz? powiedz. Adam wziął się do francuzczy

i mam nadzieję, że pójdzie mu dobrze. Ja drukuję tom *Wieczorów* i już niezadługo kończę. Znajdziesz w nim powtórzony zeszyt drugi i kilka piosnek nowych, za które zapewne nie jeden się na autora zagniewa, chociaż nie mam chęci nikogo obrażać. Twój Noworocznik musiał już wyjść na świat, ale nic tu o nim dotąd nie słyszeliśmy. Jeśli będzie można, to przyslij choć jeden exemplarz.

„Ucałuj rączkę żony i gadaj o mnie czasem Antosi. Za to całuję cię serdecznie, kochany Młodzieniaszku!“

„15 Kwietnia 1837 r. Paryż. *Meliteli* napróżno dotąd wyglądamy; z zapowiedzianych 7 exemplarzy, ani jeden jeszcze nie nadciągnął. Chodźko (Leonard), sprowadził sobie jeden exemplarz swoją drogą, i ten widzieliśmy obadwaj z Adamem, aleśmy tylko po kilka kartek mieli czas przeczytać. Wiersz „*Memento mori*“ bardzo nam się podobał. Wypełniając twoje zlecenie, prosiłem już o pisma do nowój *Meliteli*. Niemcewicz, Hofmanowa, Gorecki przyrzekli. Adam ma coś przetłumaczyć, ja nareszcie mam coś napisać, prozą. Do tego spodziewam się jeszcze dołączyć jaki wierszyk od kogoś z młodszych literatów, których tu mamy kilku. Jest tedy podobieństwo, że znów książeczkę uciulasz.

„Mówiłem Niemcewiczowi, co mi piszesz o jego wydawcy, (Bobrowiczu w Lipsku), ma on sam do niego zgłosić się. Ale coś stary pisał, nie wiem na co, i gadał ni to, ni owo; a sam pierwój powiadał, że za sto talarów miałby do dania tom nowych wierszy.

„Od Adama nic przez tę okazyję nie odbierzesz, o on o niej nie wie. Ja sam ledwie mam czas tych kilka liter nabazgrać, a od Adama do mnie jest teraz pół mili. Wynieśli się tak daleko niewiedzieć dla

czego, bo tanięj. Marysia już wreszcie odłączona, a zawsze jest zdrowa i przednia. Ze mną jest w bardzo blizkich stosunkach, chociaż Domeyko ma czoło utrzymywać, że jego lepiej kocha. A twoją pannę czy też poznamy kiedy? Kto wie, kto wie? Jak pomrzemy po cudzych ziemiach, a ona już będzie duża, to jej kiedy pokażesz który z naszych listów, jeżeli je znajdziesz w papierach, i będziesz jej gadał: „Ten był taki a taki, a ten był taki a taki.“ A ja wcześniej proszę opacierz za swoją duszę, a jeżeli łaska, to i o mszy kilka.— Żony twojej rączki całuję i za przypisek dziękuję. Z tym listem posyłam ci exemplarz „*Wieczorów*.“

Na zakończenie tych moich wspomnień o Witwickim, przytaczam tu jeszcze mój wiersz, pisany do niego, właśnie z podziękowaniem za ów exemplarz „*Wieczorów Pielgrzyma*.“

O! jako dusza w sobie czuje słodkość nową,
Gdy mądrą, a z ust miłych napoi się mową,
Co jako deszcz majowy, bujnemi kroplami,
Prześląknie w nią aż do dna żywemi słowami,
A myśli w niej, jak kwiaty wędnące, z rozkoszą
Piją ożywczą rosę, a główki podnoszą;
Lub jak owe ptaszątka, co skwarem spragnione,
Siedząc niemo, a dzióbki trzymając stulone,
Uczuwszy chłód rzeźwiący, zaraz się trzepocą
Skrzydełkami, a głosu próbując świegocą;
A człek się, jak ogrodnik uśmiecha radośnie,
Marząc, co może w jesień z tych kwiatów wyrośnie!

Oto masz wierne mojej duszy malowanie,
Gdy twój duch, z kart twój xięgi, mój luby Stefanie,
Owionął mię i porwał, podniósł i ukorzył,
Gdym przezeń zamarł sobie, a ku Prawdzie ożły

I w sereu poczuł zapał natchnionój ochoty,
Do podobnój dla miłych współziomkow roboty.

Tak leniwy myśliwiec, gdy się próżno znuży,
Siądzie, odstawi strzelbę, i oczy zamruży,
Gotów nawet zapomnieć strzeleckiego sromu,
Gdy w wieczór przyjdzie z niczém powrócić do domu:
Wtém mu nagle nad uchem wystrzał zagrzmie w lesie,
I towarzysz jelenia, albo sarnę niesie.
Więc się zrywa zbudzony, i znów ima broni,
I chłodząc wstyd na twarzy—wiatry w polu goni.

Lecz mnież to rość ku tobie zuchwałą nadzieją,
Serdeczny narodowój prawdy Kaznodziejo!
Co i sam jój zbadaniem głębszą myśl zdumiewasz,
I do sere z pełni serca miłość jój przelewasz?

O! jak snać, jako woda czysta a spokojna,
Rozlała się w twój duszy mądrość bogobojna!
Jak jasno z dna jój głębi błękit Niebios bije,
Jak wykwitają myśli, jak wodne lilije!

Biada mu, kto ją widząc, nie zechce się kwapić
Przejrzeć się w niój, oczyścić, a wewnątrz się napić;
Kto na pamięć ku służbie ojczystej i Bożej,
Kwiatów onych ku swojej piersi nie przyłoży!

Przyszła bowiem godzina skruszenia bałwanów.
Sam Duch czasu, Duch Boży, jak brzmienie organów,
Z tysiąca ust, tysiącem różnych głosów woła:
Starą Cnotę do domu, Wiarę do kościoła,
Grzeszników do pokuty: wszystkich samych w siebie,
I z wszystkimi o litość do Ojca na Niebie.

Jakoż więc nie ma wnętrzném teznąć rozradowaniem,
Czyj głos, jako wódz chóru, przed wspólném wołaniem,
I w ojczyźnie najszerzej Bożą prawdę głosi,
I ku Niebu najwyżej bratnią myśl podnosi!

II.

W Listach moich z Podróży, w tomie trzecim, opowiedziałem pierwsze spotkanie i dalszy wspólny pobyt z Garczyńskim w Rzymie; tu więc już tylko dla całości powtórzę ztamtąd jedno i drugie, dosłownie, albo w streszczeniu.

„Dnia 3 Marca (1830 r. w Rzymie), siedzieliśmy z Adamem rano, jak zwykle po kawie, zatopiony każdy w swojej lekturze. A wtém otwierają się drzwi i wchodzi jakiś młodzieńczyk, blondyn, ładny, rumiany, i z wesołym uśmiechem, jakby pewny serdecznego przyjęcia, idzie wprost ku Adamowi. Ten podniósł oczy, spójrzał; ale ani się ruszył z kanapy. Młodzieńczyk zachwiał się nieco, ale nie tracąc jednak fantazyi, zbliża się i zapytuje: „Pan mnie nie poznaje?“ — „Przepraszam — odpowiada mu zimno, nie rozbudzony jeszcze z czytania Adam.— „Jestem Stefan Garczyński.“ — Adam się przecież poruszył, ale widać było wyraźnie, że nie lepiej nazwisko gościa, jak i rysy jego przypomniał. Młodzieńczyk zmieszał się strasznie; pobladł raptem i poczerwieniał, że aż mi się go zrobiło, tém bardziej, że mi przyszła na pan własna moja niegdyś scena z Chodanim. Dopiero

mu wydeklamował wyraźnie i dobitnie, że się poznali w Berlinie, i że to on go pierwszy zaprowadził i zaznajomił z professorem Ganssem; dopiero wreszcie Adam przyszedł do roztropu, i zaczął spełniać obowiązek gościnnego i uprzejmego gospodarza. Ja zaś, aby zatrzeć do reszty to niemiłe wrażenie, odezwałem się żartobliwie do gościa, że jeśli liczył na pamięć pana Mickiewicza, co do fizyognomii i nazwisk, to się fatalnie omylił; bo ja myślę, że on sam siebie kiedyś we zwierciadle nie pozna, jak już raz swego nazwiska (w Kownie) przy podpisywaniu listu zapomniał. Adam zaczął się śmiać, a Młodzieńczyk, nie pytając nawet kto jestem, zwrócił się do mnie, i z tak miłym uśmiechem i tak czule podał mi rękę, że mi się jak panienka od razu podobał.“

Nie wiedziałem atoli, ani się mogłem domyślać natenczas, jak mu istotną i wielką przysługę uczyniłem bezwiednie. Dowiedziałem się o tém dopiero później od niego samego, kiedy mi pisał i mówił, że trzy razy miałem w ręku los jego życia. Żeby zaś znaczenie i prawdę tych słów jego zrozumieć, trzeba już było znać tak jego charakter, jak ja go w dalszym stosunku poznałem. Zrażony bowiem zimném przyjęciem Adama, dla którego jedynie do Rzymu przyjechał, już miał na myśli projekt wyjechania zaraz nazajutrz gdzie indziej, gdy mu żart mój przyczynę téj pozornéj obojętności wyjaśnił, i obudzoną drażliwość uczucia, czy raczej temperamentu, uspokoił.

Od téj chwili stosunek nas obu z Garczyńskim stał się codzien bliższym i miłszym. Widywaliśmy bowiem codziennie, i od niego już tylko zależało

jedynie, aby wszedł razem z nami w koło wszystkich innych, towarzyskich stosunków naszych. Ale to był punkt właśnie, na którym po raz pierwszy spostrzeżliśmy w nim coś jakby nie zwyczajnego, coś jakby zagadkowego dla nas. Pełen serdecznej otwartości z nami, co do własnych swych uczuć i myśli, stawał się nagle jakimś tajemniczym, gdyśmy chcieli—ja zwłaszcza—pociągnąć go wraz z sobą na tór naszego codziennego życia. Z wielką biedą zaledwo dał się przecież wprowadzić do domu państwa Ankwiczów, i lubo najuprzejmiej przyjęty, sam w nim w końcu największą znajdował przyjemność: dla téj—to właśnie przyjemności, jak mówił, uważał sobie za powinność, aby się jój jak najmniej poddawać, i przez to nie tracić z oka istotnego celu swojej podróży. Ale w czém był ten cel jego istotny? To właśnie było dla nas nierozwiązalną zagadką. Nie był przecież ani malarzem, ani rzeźbiarzem, ani archeologiem, ani teologiem. Dla towarzystwa Adama, jak mówił, przyjechał mianowicie do Rzymu. A więc dla czegoż właśnie z towarzystwa tego nie chce korzystać?—Adam znudził się prędko próznemi domysłami, i przestał na nim *takim*, jakim się sam dobrowolnie nam i względem nas okazywał. Ale ja nie tak łatwo dałem za wygraną. Korciło to mię owszem tém bardziej, im się bardziej przywiązywałem do niego, a i on téż widocznie nawzajem tę moję sympatyą podzielał. Z rozmów jego, zwłaszcza z Adamem, nie trudno jużciż było wyrozumieć że ostatecznym, głównym celem jego aspiracyi, b doskonałość moralna, polegająca, podług niego, na winięciu i pielęgnowaniu w sobie wszystkich sił i zności przyrodzonych, aby w miarę ich najgorliw

i najpożyteczniej służyć społeczeństwu i krajowi swojemu, to jest w ogólności ojczyźnie. Ale przy stosowaniu to właśnie zasady tej do praktyki codziennego życia, wychodziły w nim na jaw owe excentryczności, (a podług mnie istne dziwactwa), które mię w nim irytowały najbardziej, i były ciągłym powodem sprzeczności i sporów. Naturę zaś tych sporów najlepiej wyjaśniają przykłady.

Pan Ankwicz w zimie jeszcze zrobił był projekt, aby na wiosnę zwiedzić wszystkie sławniejsze okolice Rzymu, i Adama wraz ze mną z góry do uczestnictwa w tych wycieczkach zaprosił. Gdy więc Garczyński poznał się z tym domem, pan Ankwicz również do niego uprzejmą swą inwitacją rozciągnął. Ale Garczyński stanowczo wymówił się od pierwszej podróży do Fiumicino, i dopiero w skutek moich nalegań obiecał, że pojedzie razem w drugą, do Frascati. „Tymczasem przychodzę wigilią do niego. Pisał coś, ale schował gdy wszedłem; potem zaś, jakimś desperackim tonem oświadcza mi, że jutro jechać z nami nie może. Co? Dla czego? Pytam go, reflektuję, i nakoniec wściekam się ze złości. Nic nie pomaga. Chciałby, ale nie może; jedyna odpowiedź. A niechże go wszystkie bogi! Kochany, miły, ale dziwny człowiek! Gdybyż był przynajmniej poetą! Powiedziałbym, że półwaryat, i kwita. Ale filozof!... (Prawda, że takąż-to i filozofia niemiecka!) Kocham go coraz więcej, im więcej poznaje, a to mię w nim nie tylko razi, ale nawet jakby przeraża. Zdałoby się, że straszny jakiś b, czy tajemnica, ciąży mu na sercu i myśli. Rozsiali się ze mną, śmieje, goni się po ruinach, jak

student, a potem raptem, ni z tego, ni z owego, wygląda jak zrozpaczony kochanek.“

Tak pisałem naówczas o nim, pod wpływem pierwszego wrażenia; ale za powrotem z Frascati, upatrzywszy stosowną chwilę, rozmówiłem się z nim samym na otwarte, to jest wypowiedziałem otwarcie, że ten w nim jakiś katonizm uważam wprost za wybryk i przesadę dziwactwa; a że tego nie czyni przez ascezyzm i dla zbawienia swój duszy, więc musi chyba czynić dla pychy, choć ją ubiera w pozór cnoty i obowiązku. Skutek téj rozmowy był taki, że rzucił mi się na szyję, i zowiąc mię szczęśliwym, sam, omal nie ze łzami w oczach, przyznał się nakoniec, że cierpi, i że sam sobie rady dać nie może. Ofiarowałem się mu więc za lekarza, a pierwsza recepta, którą zapisałem, była ta, aby już razem z nami koniecznie na następną *sielankę* pojechał. Dał słowo, i tą razą dotrzymał. Odbył z nami dwudniową wycieczkę do Genezzano, i był tak z niéj rad i szczęśliwy, że już bez żadnych namów towarzyszył nam w dwóch ostatnich: do Tivoli i do Subiaco, i dziękując mi po razy kilka powtarzał: „że ani wiem, ani domyślić się nie mogę, co dlań i ile dobrego zrobiłem.“ Z mocy więc téj wrzekomój, mnie samemu niewiadomój przysługi, chciałem i nadal świadczyć mu podobnie, a zwłaszcza dokładałem wszelkich usilności, ażeby razem z nami odbył podróż do Neapolu. On słuchał, wzdychał, omal że nie płakał, żegnając się z nami w Albano, dokąd wraz z Adolfem Januszkiewiczem odprowadzał; i wszystkie moje argumenta odpowiedź była zawsze i taż sama: „chciałbym, ale nie mogę.“ A który był przy tém obecny i palił fajkę leżąc na

zniecierpliwiał się w końcu widocznie, i zerwawszy się na równe nogi, wydmuchnął z ogniem niedopalony tytół, i odezwał się dość opryskliwie: „Dość już tego! Każdy ma swoje zdanie, i niech robi, jak mu się zdaje!“ Zamilkliśmy; ale Garczyński wzdychał tak rozpaczliwie, jak niewinnie potępiona ofiara, że niepodobna było w końcu wstrzymać się od śmiechu. Dotrwał wszakże przy swoim, i nie pojechał z nami.

Mimo to, za powrotem z Neapolu do Rzymu, znaleźliśmy go tak zmienionym, tak mizernym i bladym, z powodu skwarów miejskich i ciągłej wysiloniej pracy, że zapomniawszy o poprzednich odmowach, próbowaliśmy go znowu namówić do pojechania z nami na lato do Szwajcaryi. Ale ponowiła się tylko scena z Albano. Rozstaliśmy się przeto z żalem, ale wszakże nie bez cienia zarzutu w myśli z naszej strony, że jest pod wpływem dziwactwa, czy uporu, jeśli w tém chyba nie było jakiegóś ważnej, zagadkowej dla nas przyczyny.

Otóż ta zagadkowa przyczyna wyjaśniła się nakoniec przede mną w Dreźnie, gdzie przybywszy w początku Stycznia 1831 r. z Paryża, oczekiwałem właśnie na umówiony przyjazd Garczyńskiego z Rzymu, aby razem jechać już dalej. Jakoż przybył w połowie Stycznia i zamieszkał wraz ze mną w mojem prywatnem mieszkaniu. W parę dni po tym przyjeździe byliśmy na herbacie wieczorem u szanownej i łaskawej na mnie pani Ewy z Koszutskich Dobrzyckiej, gdzie był także jój dawny przyjaciel, sędziwy generał Kniaziewicz. Pod wpływem różnych jego opowiadań, i korzystając z ciemnej nocy, poszliśmy jeszcze z Garczyńskim przejść po Brühlowskim terasie, i aniśmy się spostrzegli, że zegar z wieży zaczął bić dwunastą. Rozmowa szła

o niepewności życia. Na pierwszy dźwięk zegaru, Garczyński zatrzymał się nagle, i ująwszy mię mocno za ramię, odezwał się jakimś niezwykłym, uroczystym głosem: „Słuchaj! mam ci powierzyć jedną tajemnicę—tajemnicę życia mojego, o której dotąd nikt nie wie. Ale przysiąż, że dopóki ja żyję, nie powiesz o niej nigdy i nikomu.“ Struchlałem. Twarz jego, oświecona xiężycem, przybrała dziwny jakiś tajemniczy wyraz, który mię do reszty przeraził. Byłem pewny, że coś strasznego ciąży mu na duszy, i nie mogąc odrzucić dowodu ufności, szedłem przy nim istotnie w roli delinkwenta, gdyśmy milcząc wracali do domu, gdzie mi dopiero miał swój sekret powierzyć. Drżącą ręką zaledwo wykrzesalem ognia; on zaś tymczasem z gorączkowym pośpiechem rozrzucił swój tłóмок podróży, i wydostawszy z niego jakiś zwój papieru, stanął przede mną jak posąg, i drgającymi ustami, przytłumionym głosem, wyjąkał, jakby wyznanie zbrodni: „Ja piszę wiersze!“—Póki życia nie zapomnę téj chwili. Kontrast rzeczy z oczekiwaniem; nagle przejście z bojaźni w radość; takie razem sprawiły wrażenie, że mimowoli parsknałem od śmiechu. On zmieszał się; ale gdy mu opowiedziałem poprzedni mój przestach, sam zaczął śmiać się wraz ze mną. Przyszła jednak nowa obawa. Przypomniałem, co zwykł był mówić o godności i powołaniu poezyi i poety; czułem, jak on na seryo rzecz bierze; a przecież zdania mojego ani bym ukryć, ani udać nie mógł. To też radość moja nie miała granic, gdy w pierwszych zaraz wierszach które mi przeczytał, obok głębokiej myśli i uczucia była i tak skończoną artystyczna forma, że mię od radosci w podziwienie wprowadziła. Był to ustęp z poematu

„*Wacław*“ który wtenczas miał inny tytuł: „*Apostata*.“
Zamiast więc zdania mojego, powtórzyłem mu tylko
własne jego dwa wiersze, które zapamiętałem, a które
to zdanie moje istotnie i najzupełniej wyrażały:

„Czytam wiersz:—myśli dumne, melodia dzika,
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.“

Do rana przeczytaliśmy cały ten poemat, który
następnie uległ znacznym odmianom, ale i wtedy już
miał wszystkie zalety, któremi się głównie odznacza.
Z roli zatém sędziego, od której zacząłem, i z podziwu
prostego słuchacza, przeszedłem w końcu do uznania
od razu wyższości jego nad sobą, i żaden tryumf mojej
miłości własnej nie uczyniłby mię tyle szczęśliwym.
On porwał pióro i napisał w moim dzienniczku:

„Dzień 17 Stycznia 1831 roku, a osobiwie 12
w nocy godzina, niechaj nam wiecznie pamiętną zo-
stanie.“

A był to właśnie ów drugi wypadek, przy którym,
jak się wyrażał: „los jego życia miałem w moich rękach.“
Gdyby mi bowiem wiersze jego nie przypadły były do
serca, miał zamiar rzucić w ogień rękopism i pióro na
zawsze załamać. Prosiłem, żeby mi pozwolił napisać
o tém do Adama; lecz on mi owszem wyraźnie i sta-
nowczo tego zabronił. Nie mam zda się potrzeby mówić,
jak ta chwila ścieśniła węzły naszego stosunku. W parę
dni potem wyjechaliśmy razem; ja z wizą tylko paszportu
do Berlina, bo mi go nigdzie dalej zawizować w Dreźnie
nie chciano. Miałem wszakże nadzieję, że będąc już
granicach Pruskich, łatwiej mi przyjdzie z Berlina
echać z nim razem do Xięstwa. Ale stało się
kiem przeciwnie. Nie tylko mi odmówiono téj za-

danój wizy, ale potrzeba było długich korowodów i gorliwej protekcji profesora Gansa, z którym mię Garczyński zapoznał, aby mi pozwolono nakoniec powrócić nazad do Drezna. Zwłoka trwała kilka tygodni. Osłodziła mi ją zaś uprzejma gościnność i przyjaźń pp. J. K. Żupańskiego, znakomitego dzisiaj naszego xięgarka-obywatela, i Cybulskiego Wojciecha, sławnego potem profesora w uniwersytecie Wrocławskim, którzy razem naówczas mieszkali w Berlinie, i jako gościa zaprosili mię na mieszkanie do siebie.

Garczyński tymczasem...—Ale nie piszę ja bynajmniej biografii moich przyjaciół, a tylko opowiadam własne moje z nimi stosunki. Otóż stosunki te z Garczyńskim nie przerwały się zgoła z oddaleniem. Donosił mi, że wyjeżdża z xięztwa, i że się zaciągnął do wojska, jako prosty żołnierz ochotnik,—nim go w końcu generał Umiński na adjutanta swego powołał. Pomimo nowych wrażeń i trudów obozowych, pisał do mnie z każdego prawie miejsca dłuższego odpoczynku. Szkoda, że nie tu miejsce na przytaczanie w całości tych listów. Parę wszakże wyjątków muszę z nich przytoczyć, raz dla tego, że one same lepiej, niż wszelkie opowiadania cudze, uwydatniają nastrój myśli jego i serca; a powtóre, że mogą dać niejako klucz do odgadnienia, kiedy i jakiej natury był ów raz trzeci, w którym los jego życia był jakoby w mych rękach.

Pisał więc do mnie z obozu pod Liwem, d. 30 Marca 1830 r.

„Otóż po mocowaniach się ze śmiercią ni ślednich, dziś ci tę bazgraninę w odpowiedzi na t list z d. 9 Marca przesyłam. Odczytywałem cz i bardzo często twoje myśli, które tchną miłością.

o mnie zapomnieć nie zdołasz, zaręczają dostatecznie. Czyż dostatecznie? Wymknęło mi się z pod pióra słowo, które z większą rozwagą pisaćby należało. Od Adama list miałem; odpisuję nań dzisiaj. Nasze listy, w dzisiejszych okolicznościach, nie tylko wymalowywać potrzebnymi do tego kolorami nie można, ale i szkice nawet niezręcznymi z umysłu być muszą... Kochany Edwardzie! Przypominasz może sobie niektóre imiona litewskie, w pugilaresie moim zapisane przez ciebie, między którymi jedno bardziej nad inne wystaje? Zobaczę *Ją* może niezadługo. Cóż powiem? Może zazdrośna? Czy mam wyjawić, że cię kocham?—Nie! nic nie powiem. List twój tylko pokażę—a Ona, jestem pewny, mile mię przyjmie. A jak się spyta, czy czasem?... w chwilach zapomnienia...? Przysięgam, że nic nie powiem...—Żarty mi się kręcą po głowie, kiedy testament raczej pisaćby wypadało.—Edwardzie! bywaj zdrow! Zobaczymy się jeszcze—tak! pewny jestem. Bóg ufającym łaski swój użycza. Toć i ja spodziewam się...—Jedna rzecz jeszcze: Byłżeby z nas który stęskniony, gdyby drugiego nie stało? Ja z pewnością—a ty?...—Przynajmniej wierszy parę poświęć mi, drogi Edwardzie! Nie z pochwałami—ja pochwał nie żądam. Napisz i zrymuj tylko: *Kochałem go, i nie zapomnę o nim*, a wiersz taki najmiłym mi będzie. Ależ *kochanie* dziwnym trafem rymuje z *rozstaniem*. Dałby Bóg, żeby w rzeczywistości, i to na zawsze, rymować się nie chciał!?—Bądź zdrow, mój drogi! Kochaj i nie „minaj o mnie!“

Ale w innym już całkiem tonie brzmiały listy o następne, po powrocie do domu. Oto próbki:

„*Lubostroń 25 Października 1831 r.* Gdzie ty się obracasz, mój drogi Edwardzie? Gdzie Adam? Gdzie wszyscy jesteście? Krótki dziś tylko list ode mnie odbierasz. Ma on być tylko znakiem życia. Ty mi obszerniej odpisz. Potrzebuję tego—bo inaczej, niezadługo płakać mię będziesz... Stan mój umysłowy jest okropny. Boże, Boże! kiedyż się zakończy?... Zmiłuj się, pisuj do mnie jak najczęściej, ja ci wiernie odpisywać będę. Straciłem brata, Edwardzie! Nie jeden znajomy przy mnie żyć przestał. Mój koń padł zabity. Kula trafiła w pałasz i zgięła go zupełnie. Ja żyw zostałem. Przecież gdybym był wiedział... byłbym śmierć przymusił... Dość tego! Pisuj i nie zapominaj o mnie!”

Pisałem więc prawie codziennie; tém bardziej, że listy jego stawały się coraz smutniejsze, i czułem, że potrzebuje pociechy. Oto np. jeszcze jeden list jego z Lubostroń, z dnia 5 Listopada 1831 r.

„List twój, kochany mój Edwardzie, odebrałem—i oto leży przede mną—a przecież zdaje mi się, że nie do mnie pisany; bo czuły, otwarty, szczery, z duszy wychodzący, a mnie się wydaje, że ludzie wszyscy... O nie!—są wyjątki, i ty do nich należysz. Czułe serce gdzie niegdzie znaleźć na tym świecie. Tylko myśli twoje przesadzone, mój drogi! Zbijać ich nie będę, nie mogę; bo widzę, jak ci z czucia płynęły, jak ci konieczne się stały, aby duszę zaspokoić. Pokój jój, bo dobra i bardzo dobra!!... Co do mnie, inaczej stoi. Poduszka moja łzami przesiąknąć musi, bo nie noc, w którejbym... wstydzę się powiedzieć—płakał jak dziecko. Wczoraj osobiwie myślałem, skonam. Dla czego? Wiész dla czego? Oto „*Wert*”

wziąłem do ręki, i ledwom wierszy parę przeczytał, nuż płakać, i płakać bez końca!—Nieszczęście nasze ogólne ciąży prawda na sercu i umyśle, ale nie ono życie mi podkopuje. Poznałem ludzi!.. Ohydni, ohydni! *Werthera* czytaj! Co za prawda, co za prawda! Czytaj go, a w duszę moję patrzeć będziesz.—Tu w domu dobrzy, ale nie rozumieją mię wcale; a ja się niecierpliwię, przeklinam siebie, i drugich nie szczędzę. Nie znalazłem dotąd istoty żadnej, któraby ze mną dzieliła myśli i uczucia. Wszyscy zimni—a ja się trawię, jak pochodnia grobowa, zapomniana od ludzi. Nieraz marzę o szczęściu; widzę, jakby łatwo po trudach i pielgrzymce wypocząć zmordowanym siłom;.. a przecieź!.. Chciałbym tylko mieć przyjaciółkę i przyjaciela; z nimibym się w niedostępnych skałach zagnieździł; tam pożył lat kilka, roczek choć tylko, i skonał.

„O! gdybym ci mógł całą moję duszę otworzyć!.. Nie, nie! Zawrótnyś głowy dostał; bo w niej przepaścisto i czarno. A przecieź nie cała nadzieja upadła. Promycek jój miga mi co chwila przed okiem; o czém tylko pomyślę, on zawsze miga. Kiedy o przyszłości zamarzę, i dalej noc ciemną i tak ciężką napotykam, że oddychać trudno; pomyślę sobie:—toć jeszcze jedna pozostaje pomoc! Życie nasze nie wieczne, a ja mam rękę i wolę... Kiedy o cierpieniach, ludziach, świecie pomyślę—znów koniec, znów wola i ręka na oku... Słuchaj, Edwardzie! jeżeli weźmiesz *Werthera* do ręki, nie czytaj końca!... i ja go czytać nie chcę...

„Mój poemat, mój *Wacław*, jedyną samotnych cił pociechą. Nie poznałbyś go wcale. Com ci czytał, by tylko urywki i próby; dziś go mam przed oczyma—w duszy—w sercu!—Do Drezna może przyjadę, bo nie

pozwalają;—wtenczas—o nie!—nie pokażę, aż skończę zupełnie.—Gdzież Adam? Ja o nim nic nie wiem. Napisz, a jeśli go zobaczysz, powiedz: *non sic tractantur amici*. Odpowiedź mi oddawna winien.

„Bądź zdrow, mój drogi i kochany! Odpisz mi jak najspieszniej. Lubię listy odbierać od ciebie, którego tak szczerze kocham. Kochaj mnie i nie zapominaj o twoim przyjacielu!“

List ten był już zapieczętowany, kiedy go jeszcze otworzył, i dodał następujący przypisek.

„Zapieczętowałem i znów odrywam pieczętkę. Sam nie wiem, co robię. Pisać chcę jeszcze. Dziś zimno na dworze; biały szron wszystko pokrywa, jak w owej nocy, pamiętasz? kiedyśmy długo, długo rozmawiali;—ale nie prawda! wtenczas śnieg był na dworze. Mnie albo w brudne rozkosze rzucić się potrzeba, albo bardzo czułą i szczerą mieć duszę przy boku. Gdybym był z tobą! mówilibyśmy tak wiele i o tak wielu rzeczach; i nocną porą zawsze! Bó nie wiem, czy przesada, czy choroba, ale mi w nocy lepij na świecie.

„Edwardzie! ja dziwną religią tworzyć sobie uczynam—religią duszy. Tak w jój skutki i rozliczne cuda wierzę, jak żyd w *Dziesięcioro*. Jak będę chory, każę się magnetyzować. Mówiłem o tém przed kilkoma dniami, nie tu, ale w sąsiednim domu, do którego jechać przymuszony byłem. Wszyscy otworzyli usta i oczy. Jedna tylko dziewczyna zajęta się tém być wydawała; czuła, com mówił...—Fuj, fuj! o biedach życia nie myśl nigdy! Ja wszystko straciłem, bom wszystko w kraju, a przecież nigdy nie myślę, jak się wy- ; potrafię. Toć do licha! wiele na to nie potrzeba chleb, czy zrazy—wszystko jedno. Skoro nie had

mieli pieniędzy, pójdziemy w służbę do Szwajcaryi, do chłopca za parobków, byle tylko z *pankami* nie mieć do czynienia. Służąc w wojsku przekonałem się, że wszystko znieść potrafię, oprócz zimnych maryonetek. Nie będzie do wytrzymania—to pomówimy o przyszłości, o wieczności!.. Nadzieja, zawsze nadzieja!

„Jeszcze słowo o *Wertherze*. Taka Szarlotta byłaby dla mnie niedostateczną; aniby mię jój kromkowanie chleba, ani jój zimne obejście się z kochankiem, ani jój giętkość duszy na dwie strony, zadowolnić nie mogły. Zapomnienia siebie, zupełnego szaleństwa żądam w miłości; inaczej jest ona nudną, jak tragedia francuzka. O szaleństwie mógłbym coś napisać, bo czuję, bo przekonany jestem, że wielka dusza szaloną być musi; bo jest przeciwną wszystkim formułkom społecznym i ich menuetowemu życiu.—Ja mam przecucie, że się zobaczymy. Wtenczas, obaczysz, jak dnie nam rozkosznie płynąć będą! Powiem ci zawsze, co czuję i pomyślę—i ty także—nie prawdaż, drogi Edwardzie? Szczerłość, szczerłość przed wszystkiém! Myśl o mnie, jak ja o tobie!“

W liście tym, (a i wszystkie inne były doń mnieją więcej podobne), odbija, jak we zwierciadle, stan zrozpaczonej i prawie blizkiej obłąkania duszy. Cóż za dziw, że w tém usposobieniu umysłu i serca, przyjacielskie codzienne listy były dlań jakby rodzajem podpory. Czekaając na nie albo odpisując, miał zawsze jakie takie zajęcie z dnia na dzień, które go nie jątrzyło, lecz akajało.

To też pisałem je w końcu regularnie codziennie, i mi pochłaniało wszystkie chwile czasu. Czyniłem to nie tylko z serca, lecz może więcej jeszcze

z poczucia obowiązku, gdyż się ciągle obawiałem o niego. Ale i toby może spowszedniało w końcu, gdyby szczęściem właśnie w tym czasie nie zjechał się z Adamem w więzowie, który już tam przebywał od Lipca. To wywarło nań wpływ zbawienny. Adam także podobał „Wacława,” a to dodało bodźca jego Pegazowi, że go z nad otchłani rozpaczy, co go gwałtem w głąb swą ciągnęła, uniósł znów w sfery poetycznych marzeń.

To téż, gdy przybył nareście do Drezna, w Styczniu 1832 roku, o pociechach wieczności, „z własnej woli i ręki,” nie było już bynajmniej mowy. Zawsze jednak została mu chorobliwa niejako wrażliwość uczucia na wpływy zdań cudzych i ludzi, niezgodnych albo nieodpowiednich jego wyobrażeniom moralnym. Unikał przetoż starannie wszelkich obcych towarzyszt; a ja miałem jakoś to szczęście, że ze mną odzyskiwał spokojność i do równowagi powracał. Do dziś dnia zachowuję kartkę, którą raz, późno już w wieczór, nie zastawszy mię w domu, na stoliku u mnie napisał. Przytaczam ją, jako wybitny wyraz usposobienia jego w tym czasie:

„Zmęczony przyszedłem do ciebie. Chciałem cię uściskać; bo mi serdeczności potrzeba było. Tak zimno, tak zimno w społeczeństwach!! Wystaw sobie, Kr. był, i wciąż był, i nie wychodził! Jam się kręcił, jak pi-skorz. Chciałem uciec — zatrzymano. Trzebaż więc było męczyć się do upadłego. Prosto ztamtąd przybiegłem do ciebie. Nie zastałem — piszę przynajmniej —
Dobrej nocy z serca życzy *Stefan*,” (9 Lutego 1832)

Usiłując więc wedle możliwości wpływać na ukajanie w nim ciągle burzącego się w ten sposób uczucia, chciałem go przedewszystkiém zaznajomić

żej z panią Klaudyną Potocką. Ale to właśnie, co mu o niej mówiłem, zamiast chęci lub ciekawości, obudziło w nim owszem opór, i to wcale nie przez ducha przekory, chociaż zawsze przez pewną jużciż excentryczność umysłu, albo raczej uczucia. „Jeżeli jest taką, jak mówisz—powiadał—to ja się jój boję. Jeśli nie jest, to nie chcę mieć powodu do spiérania się z tobą; a także za nic na świecie nie chciałbym psuć nikomu illuzji, widząc, jak ona szczęśliwym go czyni.“ Słowa te jego doskonale pamiętam, bo o nich tysiąc razy myślałem. Nie przewidywał on wtędy bynajmniej, że ona to właśnie miała stać się wkrótce dla niego tym prawdziwym Aniołem pociechy, o którym on bezwiednie w wyobraźni marzył, a który go i z ludzkością pogodził, i koniec życia jego opromienił tém właśnie uczuciem czci i uwielbienia, które dla duszy takiéj, jak jego, mogło być jedynie skuteczném lekarstwem, łagodząc ją i uspakajając.

Ale rzecz dziwna, i nigdy racjonalnie niewytłómaczona dla mnie, jak pani Klaudyna sama, znając go za ledwo z widzenia i tylko słysząc o nim ode mnie, jakby magnetyczném jasnowidzeniem odgadła zaraz z początku to jego względem niej usposobienie, o którém ja, ma się rozumieć, nigdy przecież nie wspominałem przed nią. A czy to może nie wpłynęło téż na to, że go potem tak czułą, tak anielską otoczyła opieka? tego już ja sam ani twierdzić, ani temu zaprzeczyć nie umiem.

W piérwszych tygodniach pobytu swojego w Dreźnie, Garczyński zajęty był głównie wykończaniem swojego *Wacława*. Mieszkaliśmy za ledwo o kilka domów od siebie; ja zawsze w tém samym mieszkaniu, gdzie kiedyś był moim kilkodniowym gościem, (róg *Töpfer-*

Gasse i Nowego Rynku, *Neumarkt*), on zaś na tymże rynku, naprzeciw *Marien-Kirche*. Wpadaliśmy więc wzajem do siebie za każdym wyjściem z domu i o każdej porze. Ja tłómaczyłem właśnie ostatnią pieśń „*Czycieli Ognia*“ które jemu zamierzałem poświęcić. Pisząc, okrywałem się zwykle dużym szalem jedwabnym, дарowanym mi na pamiątkę w Litwie, przy ostatnim wyjeździe za granicę, i przypisywałem mu żartem tajemniczo-inspiracyjną własność. Garczyńskiemu téż jedna z pięknych jego kuzynek-przyjaciółek uszyła przed wyjazdem śliczny jedwabny kaftanik z rękawami, dziwnie jakoś przytulny i miękki, w którym on téż zwykle pisywał. Otóż zaproponował mi raz jednego czasową zamianę tych okryć, jak się niegdyś przyjaciele-rycerze mieniali czasem na oręż lub zbroję, ażeby przez to w szrankach przypominać o sobie. I jakkolwiek to komu, (dziś zwłaszcza), może się wydać dziecinném lub śmieszném: dla nas obu naówczas ten żart przyjacielski miał wpływ jakby talizmanowy, pod którym on swego *Wacława*, (choć go potem znacznie rozszerzył), a ja przekład *Czycieli Ognia* skończyłem.

Dokonanie téj pracy, którą on za powinność i zadanie życia swego uważał, wpłynęło téż nader korzystnie na jego usposobienie wewnętrzne. Odzyskał spokój i swobodę myśli. Dał mi się nawet wprowadzić do kilku domów, lub kółek towarzyskich, i mianowicie z Litwinami chętnie przestawał. Przybycie nakoniec Adama, a w ślad za nim Ignacego Domeyki, Pola, i potem Goreckiego, zamieniło nam ów kilkomiesięczny pobyt w Dreźnie, na tle okoliczności ówczesnych jakoby w uroczą jakąś oazę w pustyni. Adam, żartem powiadał, „zaraził się poezją od nas“

właśnie zaczęła się trzecia, ostatnia epoka jego poetycznej twórczości. Zaczął ją od wznowienia przekładu *Giaura*, który kiedyś przed laty rozpoczął był w Kownie; ale gdy doszedł do spowiedzi *Kalajora*, modląc się raz w kościele, poczuł, (jak sam się wyrażał), „że jakby bania z poezją rozbiła się nad nim.“ Zaniechał więc tłumaczenia, a wziął się do kontynuacji *Dziadów*. Część, którą najprzód w ciągu tygodnia napisał, ale której, mimo próśb naszych, nie pokazał zgoła nikomu, i potem ją prawdopodobnie sam zniszczył, obejmowała pobyt jego w Rzymie. Za toż część trzecią, którą pisał z równym pośpiechem, lubił sam owszem odczytywać przed nami na codziennych zebraniach wieczornych, a w listach jego znajdują się wzmianki, jak właśnie to czytanie dodawało mu bodźca do pracy. Przykład ten nie był bez wpływu na drugich. Wszystkim paliło się w głowie—i w sercu. Każdy, co mógł, i jak mógł, robił swoje, ku wspólnej wzajemnej pociesze. Garczyński, jak sam wyznawał, nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwym. Sprawdziła się niejako przepowiednia, którą sam, pewnie bezwiednie, w przytoczonym wyżej liście wyraził. Humor nawet jego tak się rozjaśnił, że gdy ja, z polecenia pani Klaudyny, musiałem na dni parę pojechać do Lipska, a Domeyko mi towarzyszył; on dobrowolnie przyłączył się do spółki, i mieszkając tam w jednym pokoju, w hotelu, tak się niekiedy dał rozruszać wesołemu Domeyce, że sam z nami po studencku figlował. Ale niestety, cały ten krótki peryod w życiu jego, był to jakby ostatni, po dniu burzliwym i chmurnym, zabłysk słońca przed zachodem—na zawsze.

Fizyczny stan jego zdrowia mało dotąd zwracał uwagi, a zwłaszcza jego samego. Poniewierał on owszem ciałem, jak asceta, odmawiając mu nie tylko wygod i przyjemności, ale nawet koniecznego niekiedy odpoczynku i wytchnienia z pracy. Wycieńczyło go to było w Rzymie; ale ruch i trudy obozowe wzmo-gły owszem siły i zdrowie. Dopiero za powrotem do domu, czarne myśli i cierpienia moralne zaczęły znów je podkopywać i niszczyć. Wszedł właśnie w to koło zakłete, w którym stan smutny umysłu zaczyna wpły-wać na zdrowie, a zły stan zdrowia na umysł. W tym okresie przybył do Dreżna. Umysł wprawdzie, jak powiedziałem, rozpogodził się więcej może niż kiedy, ale organizm był stanowczo zachwiany. Skarżył się nieraz na to lub na owo, ale ani się radzić, ani leczyć nie chciał. Na domiar złego, Adam i ja, z rady He-denusa, zaczęliśmy na wiosnę pić wody Karlsbadzkie, w zakładzie sztucznych wód mineralnych Struvego. Garczyński towarzyszył nam codziennie dla kompanii; aż nakoniec, zakosztowawszy raz *Mühlbrunn*, postanowił pić je wraz z nami. Adam owszem pochwalił ten zamiar, co nieraz potem sam sobie gorzko wyrzucał. Ale nie wiedzieliśmy wtedy bynajmniej, że te wody mogą źle działać na piersi, ani że matka jego na su-choty umarła. Dopiero gdy w skutek téj samowolnej kuracyi stan zdrowia jego pogorszył się widocznie, Hedenus zaczął go leczyć na dobre. Jakoż pierwsze symptomata choroby piersiowej dały się usunąć szczę-śliwie. Ale trzebaż, że właśnie w tym czasie ogarnę-go znowu tęsknota. Ja na początku Czerwca wy-jchałem na ślub mój do Królewca, mając potem z mieszkać w Poznaniu; w parę tygodni zaś potem, Ada

z Domeyką opuścili téż Drezno, udając się do Paryża. Pol i Gorecki wyjechali jeszcze przede mną. Z całego tedy niegdyś tak miłego kółka, Garczyński został sam jeden. Ale tu, jak Anioł pociechy, stanęła przy nim pani Klaudyna. Dowiedziawszy się, że zachorował znów nagle po wyjeździe Adama, przysłała do niego sama wraz z Hedenusem, który był przyjacielem i lekarzem nas wszystkich, i odwiedzała codziennie, dopóki niebezpieczeństwo groziło. Następnie, gdy już zaczął wychodzić, otworzyła mu dom swój uprzejmie. W początkach Lipca pisał już do mnie do Królewca: „U Potockiej bywam co drugi dzień prawie, a za każdą wizytą nowe jakieś przymioty odkrywam. Wielka dusza!“ Kiedy zaś w pierwszych dniach Sierpnia, niespodzianie i mimowolnie, bo za wyraźnym rozkazem ministerjum Pruskiego, znowu z żoną wróciłem do Drezna: znalazłem go już tak przejętego czcią, wdzięcznością i uwielbieniem dla pani Klaudyny, że to ostatnie dorównywało mojemu, co go niegdyś tak we mnie drażniło.

Koniec lata przeszedł spokojnie, chociaż kaszel nigdy całkiem nie ustał; ale z nadejściem jesieni i zimy, tak się coraz pogorszać zaczął, że mu doktor wychodzić zabronił. Odwiedzaliśmy go, ma się rozumieć, jak można było najczęściej; ale słotne wieczory i ranki nieraz musiał przepędzać sam jeden. Pani Klaudyna znieść tego nie mogła. Najęła więc dlań nowe mieszkanie, słoneczne i obszerniejsze, i to w tym samym domu, tylko, że na drugiem piętrze, gdzie sama wraz z matką mieszkała. Urządziła téż w niem dla siebie w jednym kącie stolik, przy którym po godzinach przychodziła czytać lub pisać, nie rozmawiając

wcale z gospodarzem, któremu mówić stanowczo wzbrowniono, a którego gwałtowny kaszel, zdający się piersi rozrywać, każdym echem odbijał się w sercach słyszających. Fakt ten może się wydać niepodobnym dla tych, którzy nie wiedzą, jaką była pani Klaudyna. A przecież był on tylko jednym z tysiąca podobnych, z jakich się całe jój życie składało. Nie łatwo to jest wprawdzie pojąć i zrozumieć, jak nieraz, przy czytaniu np. *Żywotów Świętych*, nie możemy się zdobyć na pojęcie téj siły wytrwania lub poświęcenia, którą duch męczennikom lub ascetom nadawał. W tym razie już ciż ofiara miała na względzie i godność duszy człowieka, dla którego się ponosiła; ale ileż-to takich ofiar, i to w najrozmaitszych kierunkach, w najważniejszych i w najdrobniejszych niekiedy okolicznościach, biograf pani Klaudyny mógłby w jój życiu naliczyć! Cóż więc za dziw, że wpływ takiej duszy oddziałał też stanowczo na duszę chorego? Z formułek filozofii niemieckiej, które ją dotąd wikłały, wyrwała się ona stanowczo, jak motyl z sieci pajęczej, i zwróciła się ku zaświatowej wieczności: nie jak niegdyś, w chwilach rozpacz, aby ujsć tylko od cierpień i od brudów ziemskich; ale z pokorném poddaniem się woli wyższej, z obawą sprawiedliwości Sądu, ale téż i z ufnością w miłosierdzie Jego. Najulubienszą jego lekturą w tym czasie były: „*Żywoty Świętych*“ Skargi. Na ziemi, jak w *Idealach* Szyllera, zostały mu już tylko: „*Przyjaźń i Praca*,“—praca nad ostateczném wykończeniem poematu *Wacław*, przed wysłaniem go do Fryza, gdzie Adam, wspólnie z Witwickim i Domeyl zajęli się wydaniem wszystkich jego poezyi w dwóch tomach. W nich on chciał już tylko ślad przejść

swego zostawić ojczyźnie, dla której zawsze i na każdym polu wszystkie myśli i siły poświęcał. Jakoż dożył jeszcze pociechy, że je w druku całkiem już skończone oglądał; w ciągu zimy zaś odbierał pocztą pojedyncze arkusze, w miarę jak wychodziły z pod prasy, i to było dlań najprzyjemniejszą rozrywką, i często jakby ożywiającem lekarstwem. A przecież popolita autorska miłość własna najmniej w tém miała udziału. Chodziło mu przedewszystkiém o to, aby skarb własnych uczuć i myśli, pracą całego życia zebrany, bratnim duszom w spuściźnie przekazać. Artyzm i forma, (lubo o nie dbał najtroskliwiej), stały zawsze na drugim planie. Na pierwszym była myśl i prawda, w którą sam wierzył. W ulotnym wierszyku do mnie, napisanym po przeczytaniu *Żmii* Słowackiego powiedział:

„Nie sama gładkość mowy do serc ludzkich kluczem;
 Będziem i poetami, skoro się nauczym
 Czuć prawdę, pisać prawdę, i stwierdzać ją w czynie.“

To był cel jego i zasada w pisaniu, od której w niczém nie odstąpił nigdy.

Jedyną jeszcze nadzieją utrzymania go przy życiu był, zalecony przez Hedenusa, wyjazd na wiosnę na południe, do Włoch. Wybierał się więc ciągle w tę podróż; ale i tu pani Klaudyna stała się dlań jak Aniołem Stróżem. Mając się udać do męża na dłuższy pobyt w Genewie, zwlekła umyślnie swój wyjazd do nastania cieplejszej pory, ażeby razem z sobą zabrać Garczyńskiego. W Szwajcaryi miał go spotkać Mickiewicz i towarzyszyć mu już w dalszej podróży. Wyjechali z Drezna oboje 21 Maja 1833 r. Wigilią, ja z żoną przeprowadziliśmy Garczyńskiego do Tarrantu, pierwszjej stacyi pocztowej od Drezna, z kądem go

nazajutrz po drodze miała zabrać pani Klaudyna. Cała noc przeszła nam na rozmowie, bo zasnąć nie chciał i nie mógł. Zawsze miał on dla mojej żony prawdziwie braterską przychyłość; w tych zaś ostatnich chwilach, wnikając w jej położenie i zapomniawszy o własnych cierpieniach, cały ten czas poświęcił prawie wyłącznie na wykładanie jej, tonem brata, teorii obowiązkowego życia, stosując ją mianowicie do ówczesnego jej stanu i do przypuszczalnych na przyszłość kolei i powinności życia. Skończył na rozrzwienieniu się serdeczném, ściskając nas i błogosławiąc prawem przyjaciela. Takie było właściwie ostatnie z nim pożegnanie moje; gdyż resztę czasu, ażeby to wzruszenie jego uspokoić, przepędziliśmy z umysłu na obojętnych już tylko rozmowach. Nazajutrz, gdy już siedział w powozie, ostatniém do nas słowem jego było: „Do zobaczenia, moi drodzy!“—*„Zawsze do zobaczenia,“* powtórzyła mi z cicha pani Klaudyna, gdym jej rękę do powozu podawał. A i to było ostatnie téż słowo, które z ust jej w tém życiu słyszałem. Słyszę je dotąd w duszy i powtarzam nad grobem każdego z przyjaciół, którzy wszyscy już—wszyscy odeszli; bo i tych co są jeszcze daleko na ziemi, pewno już na niej nigdy nie zobaczę.

Sama podróż z Drezna do Strasburga trwała półtrzecia tygodnia; stan chorego zmuszał do zatrzymywania się po drodze. W Strasburgu spotkał podróżnych sam pan hr. Potocki (Bernard), i w końcu Czerwca oboje odwieźli Stefana do Bex, w Szwajcaryi, na kuracyą serwatkową. Pani Klaudyna została tam jeszcze przy nim, aż do przybycia Adama z Paryża. Oto wyciąg z listu jej, ztamtąd pisanego do

mnie. „Mickiewicz przybył do Bex d. 8 Lipca. Dzień i noc nie odstępuję Stefana. Duszę jego w gieniuszu przeczułam, a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest i gieniuszem wyższym od wybranych.“ Adam zaś w liście do Domeyki, z Bex także dnia 8 Lipca pisany, tak mówi o spotkaniu się swoim ze Stefanem i z panią Klaudyną: „Smutne i rozdzierające duszę było widzenie się nasze. Patrząc na twarz Stefana, taką bladą i smutną, przewracało mi się w sercu. Jadąc do Lausanny, znalazłem na statku na Lemanie panią Potocką, która jak Anioł opiekuńczy utrzymuje duszę w Stefanie. Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim, i może natchnąć znowu wiarę w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje się, że życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym. Wkrótce ona ztąd odjeżdża, i nie wiem potem, co się z nami stanie.“ To wzajemne o sobie świadectwo dusz takich, godne zaiste wiekustej pamięci!

Gdy kuracya w Bex okazała się bezskuteczną, Adam w końcu Lipca (22) przywiózł chorego do Genewy, gdzie byli znów z panią Klaudyną, którą Stefan w listach swych do mnie nie inaczej już tylko, jak swoim „Aniołem Stróżem, Aniołem Pocieszycielem“ nazywał. Ostatni kończył się słowy: „Żegnaj cię po tysiąc razy. Zosi ręce całuję. Proście Boga za mnie!“

W pierwszych dniach Września, Adam z chorym wyjechali z Genewy do Włoch, przez Francją południową, .dokąd téż wkrótce po nich udali się państwo Potoccy. Dnia 17 Września pani Klaudyna przybyła

do Avignonu, dla odwiedzenia chorego, który dalej jechać już nie mógł, i tamże, d. 20 Września, Bogu ducha oddał, w 29 roku swego życia. Przytaczam tu jeszcze wyciągi z listów Adama i pani Klaudyny, donoszących mi i mówiących o tém. Żadna chwała na świecie nie dorówna współczuciu i świadectwu dusz takich!

Adam pisał z Avignonu d. 22 Września.

„Nasz Stefan już przed dwóma dniami przestał cierpieć.—Wróciłem właśnie z Marsylii, gdzie jeździłem niby po paszport do Włoch, ale rzeczywiście już go niepodobna było z miejsca ruszyć. Znalazłem naszego przyjaciela przez kilka dni mojej niebytności bardzo zmienionego. W nocy o godzinie szóstej przestał oddychać. Tak lekko usnął, że nie można nazwać skonaniem téj krótkiej chwili przejścia z biedy na świat lepszy. Śmierć swoją często przepowiadał, ale téż równie często pełen był nadziei, a w ostatnich dniach więcej niż kiedykolwiek. Przybyła téż kilku dniami przed śmiercią pani Potocka, i osłodziła mu ostatnie chwile na ziemi. Téj nocy, kiedy żyć przestał, byłem przy nim do późna; potem, znużony bezsennością i drogą, poszedłem spać. Pągowski czuwał przy łóżku. Przerażony zbyt cichym snem chorego, zbliżył się, i znalazł go bez życia.“

Wyjątek z listu pani Klaudyny: Genewa, 21 Lutego 1834 roku.

„Czuję i dzielę z panem, co o Stefanie i stracie jego mówisz. Codzień był więcej przyjacielem mo Cierpienia ciała, przytłaczając wielką jego duszę, dzień do mnie ją zbliżały. Dawniej, kiedy przypkiem słowo z głębi serca mi się wymknęło—nie ro

miał, i wyższością swoją zatrwał. Ostatnich miesięcy życia czytał w mojej, jakby we własnej duszy. Niewyrażone odgadł uczucie, każdą boleść, każde wrażenie. Takięj straty nic mi nie zastąpi. A przecież za nagrodę liczę, że mi Bóg pozwolił go poznać, zasłużyć na zupełną jego przyjaźń, i nie jedną ciężką osłodzić mu chwilę. Dziś mimowolnie w górę patrzę, kiedy się sądu jego lękam; w górę za nim, kiedy mi tęskno, zimno między ludźmi.

„Siódmego Września pisał jeszcze do mnie, 17-go przywitał tak serdecznie, tak czule! Mówił, że mu lżej przy mnie; że takby chciał na rękę moją umierać! Ośmnastego wrócił Mickiewicz z Marsylii. Nad rankiem 20 usnął!...”

Na zakończenie przytaczam własny mój wiersz. na śmierć jego, napisany w końcu 1833 r.

„Płakać cię, czy się cieszyć?—wierzę, że wraz z tobą—
 Że duch twój, istny tutaj Anioł na wygnaniu,
 Bolejąc wciąż nad ludzką skazą, lub żalobą,
 Odszedł—dokąd tak tęsknił;—i snąc w przeczuwaniu
 Krótkiej drogi swój, tak się kwapił z gromadzeniem—
 Nie laurów albo skarbów—lecz dzieł swój zasługi,
 Jakby stosu ofiary:—by na nim płomieniem
 Własnych swych uczuć spłonąć, jak Krywejto drugi?

Wiesz, rycerz, obywatel—w każdym z nich twa dusza.
 Odbiła, jak ogniste słońce w wód kryształ.
 Lecz pieśń, dla innych—rozkosz; dla ciebie—katusza.
 I nie strach sądów świata, nie troska o chwale
 Miotaly sercem twojem:—nie! tyś drżał o dary
 Dane ci i natchnione:—by ich bez użycia
 Nie strwonić; by z nich żadnej cząstki, jak z ofiary,
 Nie użyć sam dla siebie; by treść prawdy życia
 Wydać w pieśni, jak w czynie: tak jak wszystkie czyny
 Dostrajałeś do tonu wieszczych natchnień ducha.

Trud dla Prawdy—to dla cię był spokój jedyny;
Ofiara—jedno szczęście; Krzyż—jedna otucha.

Jeden twój grzech, żeś nazbyt żądał sam od siebie,
Żeś chciał nazbyt wysoko dojść o ludzkiej sile,
Chciał stać się doskonałym, jak Ojciec na Niebie,
Myśląc, żeś mógł i musiał—i nie tylko tyle,
Ile da i dozwoli w tobie Pan.—Tyś sądził,
Że życie—to już tylko czas działać, nie prosić;
Czas zdobywać, nie czekać!—O! jeśliś w tém zblądził,
Męczenniku twój enoty! odcierpiałeś dosyć.

I Pan snąc twe cierpienia ujrzał i przebaczył,
Gdy do łoża twój śmierci posłał ludzi dwoje,
Abyś w nich, jako w żywém zwierciadle, obaczył,
O czém tu już rozpaczać jeło serce twoje:
Gieniusz chrześcijański i świętość Anielską.
Oboje oni duszą kochali cię bratnią,
Oboje z poświęceniem i łzą przyjacielską
Przynieśli ci na ziemi pociechę ostatnią,
O! i rękojmię szczęścia tam! Bo kto z takimi
Zlał się sercem i duchem: czyż Ojciec Litości,
Kaząc go takim ludziom pożegnać na ziemi,
Innym-by duchom kazał spotkać go w wieczności?—

Przyjacielu mój, bracie! wierzę w to—a przecie,
O! przebacz mi! że siebie, a nie ciebie płaczę.
Jam-to cię z nimi poznał i zbliżył na świecie,
A już i ich, jak ciebie, wiem, że nie obaczę!

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Kochany Bohdanie! Opowiadając Deotymie o przyjaciółach poetach, mogę obok najmilszych nie wspomnieć o tobie? Bogu tylko niech będą dzięki, że mówiąc o żyjącym, muszę to uczynić w inny sposób, to jest, odwołując się najprzód do ciebie samego, na podobieństwo owęj sławnęj piosnki Berangera: „*T'en souviens-tu?*“ w której stary towarzysz broni, przypominając koleżę z pod téjże chorągwi wspólną przeszłość, z wdzięcznością téż przypomina to wszystko, co sam jego przyjaźni zawdzięczał.

A więc—pamiętasz? jakeśmy się poznali?—Ale nie możesz pamiętać, bo nie wiesz, z jakim ja uczuciem szedłem z pierwszą wizytą do ciebie. Wszystkie dotychczasowe dumki twoje umiałem na pamięć, a jedna z nich „O Hetmanie Kosińskim,“ była dla mnie, w krytycznej niegdyś chwili życia, jakby kroplą ożywczej rosy, jako „*na górach świtający dzionek,*“ który i we mnie weneł, jak uspięnego czy skrzepłego skowronka rozbudził. Obaczywszy raz pierwszy zdaleka wieże Warszawy, pierwsza myśl moja była o tém, że w niej Ursyna i ciebie zobaczę. O wrażeniu pierwszego widzenia zdałem naówczas sprawę przyjacielowi, Igna-

cemu Chodźce, w liście, drukowanym już raz gdzieindziej, który tu w dosłówném brzmieniu przytaczam:

Dnia 14 Grudnia 1825 r. Warszawa.

„Mój drogi Ignacy! Jak obiecałem, donoszę natychmiast, że się już poznałem z Bohdanem; i to nie tylko poznałem, ale i pokochałem od razu. Dowiedziawszy się o adresie, poszedłem wczoraj do niego sam jeden. Z bijącym sercem zapukałem do drzwi. Pisał coś stojąc przy prostém, niemalowaném biurku, w króciutkim jakimś szarym surduciku. Postrzegłszy nieznanego, pytał zda się wzrokiem, co powiem? Ale zaledwo powiedziałem kto jestem, rzucił pióro, i wyciągając ręce, powitał takiem uprzejmém, mimowolném: „A!“—jakbym naprzykład ja ciebie, gdybyś niespodzianie wszedł do mnie.—Miły, dobry, kochany, prawdziwy filarecki koleżka! To téż wie o nas wszystko, jak nikt z Warszawiaków. Rozpytywał się najtroskliwiej o Adamie, o Olesiu, o Julianie; a ja mu opowiedziałem o tobie, jak płaczesz deklamując: *„Świat omamień mych pomatu, niknie z sennyh mar družyną;“* i jak go kazałeś pozdrowić za piérwszém z nim spotkaniem. Kontent był, i nawzajem pozdrawia cię serdecznie.—

„A podziękowałem mu téż, jak miałem, za tę uroczą niegdys chwilę w Karmelickim klasztorze jakiej doznałem po przeczytaniu dumki *„O Kosińskim.“* Zaczął śmiać się, i odpowiedział, że powinienem najprzód podziękować sam sobie. Nie rozumiałem;—a więc mi opowiedział, że napisał ją pod wrażeniem, i w ślad po przeczytaniu mojego *„Myśliwca,“* i że początkowe *„hop hop!“* to właśnie odbiciem strofy:

„I hop, hop, hop, rumak skory
Leci, hasa śród trąb wrzawy“ i t. d.

„Siedziałbym nie wiem jak długo u niego, tak mi było dobrze i miło, gdybym nie musiał iść na proszony obiad. Alie dziś ledwo wstałem, on sam wchodzi do mnie, ubrany elegancko, we fraku, bo i ja tak byłem u niego, idąc właśnie na proszony ów obiad. Byliśmy już dzisiaj nawzajem, jak niewiedzieć odkąd znajomi. Powiedział mi, że miejscowych Warszawskich literatów nie lubi, a żyje tylko z Brodzińskim i Witwickim, którzy też nie są rodem z Warszawy. Z tym ostatnim chce mnie zaznajomić koniecznie, bo wiem, że już Brodzińskiego poznałem. W nim samym ani cienia fomy literackiej, którą w tutejszych laureatach dostrzegam. Szczery, prosty, serdeczny, ożywiony w rozmowie; śmieje się głośno, ręką pocierając włosy; słucha z zajęciem, opowiada z uczuciem,—znać że nie pamięta o sobie. Jednym słowem, prawdziwy Filaret; to też i kocham go jak Filareta.

„A chcesz wiedzieć, jak wygląda na oko?—Niższy nieco wzrostem ode mnie; blondyn, kształtny, zgrabny, ruchawy; wzrok i uśmiech łagodny; twarz pełna życia i pociągająca. Jak wewnątrz, tak i zewnątrz—poeta!..“

A teraz, mój drogi Bohdanie! pozwól że ci przypomnę i opowiem tobie samemu cały szereg dobrych twoich uczynków dla mnie, które jak z jednej strony były wprost skutkiem i dowodem twojej dobroci i przyjaźni, tak z drugiej, miały wpływ wielki, a najlepszy, na cały ówczesny peryod życia mego i pobytu w Warszawie.

Pierwszym z nich jest przyjaźń z Witwickim, którą wprost twojej dobroci i pośrednictwu twojemu z wdzięczam. W osobnym wspomnieniu o nim opo-

wiedziałem szczegółowo obie pierwsze wizyty: moję z tobą u niego, i jego z tobą u mnie, od której się właściwie owa przyjaźń zaczęła. Czyż więc myślisz, że zastanawiając się nad tém, nie czułem i nie czuję, ile musiałeś zadać sobie trudu i ile przeszkód przełamać, nimesz go, z jego charakterem i usposobieniem, potrafił nakłonić do tego, że nie czekając na moję wizytę, przyszedł do mnie sam pierwszy, po mojem już zamieszkaniu w Warszawie, i że przemówił w ten sposób, dla zatarcia w moim umyśle tego pierwszego wrażenia, które niegdyś z pierwszój u niego, a wspólnej z tobą bytności odniosłem, a o którym tobie tylko jednemu mówiłem? Czyż myślisz, że nie czułem i nie czuję, ile musiałeś mu o mnie takich rzeczy nagadać, iż on, zimny, rozważny, poważny *gentleman*, przybrał od razu ze mną ton koleżeńsko-studencki, jakiego z nikim nie przybierał nigdy? Mógłżeby on to uczynić, gdybys mu nie zaręczył, a on na słowo twoje nie uwierzył, że przyjmę to takim sercem, jakim rzeczywiście przyjąłem?—A przyjaźń jego, w dalszym ciągu życia, stała się dla mnie takim dobrodziejstwem, że tego, kto mi ją zjednał, mam wszelkie prawo uważać za dobroczynne narzędzie Opatrzności, którą w tém uznawałem i uznaję dotąd,—wdzięczność téż moję dla ciebie do uznania tego stosując.

Wprawdzie ty sam nieraz, drogi Bohdanie, wziąłeś za to „zapłatę swoję;“ nie tylko w téj mojej wdzięczności; nie tylko we własném może sercu swojém; ale w tylu a tylu rozkosznych, uroczych chwilach, cóśmy razem z kochanym Stefanem, w ciągu lat czterech przeżyli. Bo cóżby to było za życie nasze w sztywnój, oschłej, oziębłej literackiej atmosferze

Warszawskiej, gdybyśmy z sobą we trzech, albo z czwartym chyba Brodzińskim, lub przyjeźdnym Julianem Korsakiem, nie mogli czasem odetchnąć tém istic poetyckim powietrzem, tą swobodą braterskich koleżeńskich uczuć: jakby ozywającą wonią owych kwiatów, do których się nad Wilią i nad Dnieprem nawykło, a o które na piaskach Mazowska tak trudno!

Przypomnij tylko sobie owe miłe wieczorki, owe nieraz wspólne czytania, a choćby i dzienne tylko pogadanki u Witwickiego, gdyś z Rawy lub z Sochaczewa, jak gość chwilowo tylko do Warszawy przyjeżdżał; albo te nasze z Witwickim odwiedziny u ciebie, coś je latem w Powązkowskim obozie, pod płóciennym namiotem przyjmował!

A pamiętasz, między innemi, owego skowronka, (kiedyś raz o zachodzie słońca odprowadzał nas na pół drogi), co to chcąc niby przysiąc na kłosach żyta, które się pod nim uginały, wzbijał się znowu jakby z gniewem do góry, i coraz to głośniej szczebiotał? Przyrównałeś go żartem do ducha poety, coby się chciał opierać na ziemskich podporach; a ja *à propos*, i jak zawsze z rozkoszą, przedeklamowałem twój „Śpiew poety.“ Nigdy nic podobnego nie widziałem potém; a ten skowronek nieraz przychodził mi na myśl. A ty? „*T'en souviens-tu?*“

Od skowronka przechodząc do słowika, to jest do śpiewającej jak słowik, a kraśnej, a uroczej, jak jój imienniczka kwiatowa: do panny Róży czy Rozyny Ż... O! co o téj, to ani wątpię, że musisz doskonale pamiętać! Wspomnień takich nie grzebią krzyżyki. Ale co dla mnie, to jój także wspomnienie wiąże się zwłaszcza z wdzięcznością dla ciebie. Romantyczniej-poetyczniej-

szęj istoty pewno wówczas w Warszawie nie było; a ty jeden wiész chyba i mógłbyś powiedzieć, jaki też wpływ na pierwszy rozwój romantycznej poezji naszej wywarła, i czyby pod tym względem nie warta była może stać obok z Maryllą?—Że zaś jutrzeńkowe to światło od niej, chociaż świecąc w innym kierunku, padło czasem z ukosa i na mnie, i ożywiło mię jak posąg Memnona: to komuż znów to zawdzięczam, jeśli nie tobie samemu? Zapoznałeś mnie z nią, jak z Witwickim; a jej uprzejmość, której doznawałem, czyliż nie z tego pochodziła zwłaszcza, że mogła ze mną rozmawiać o tobie; mówić sama niby tylko o pieśniach, ale najmiliej słuchać o śpiewaku—któremu, jużciż nie wąpiła pewnie, że wszystkie jej słowa powtórzę? Zaprawdę ona sama, jak mistyczna róża, cudzém już słowem zaklęta, we mnie samym cześć tylko i podziw wzbudzała; ale ileż to innych otaczało ją kwiatów i pączków, równie barwą jak wdziękiem pokrewnych, wśród których nawet najlotniejszy motyl mógłby nieraz zastosować do siebie ów wiersz Byrona o skrzydłach zefiru, „mdlejących od woni ciężaru,” w przelocie po nad Greckim ogrodem różanym!—Cóż za dziw, że ta istna Syrena Wiślanna, wiążąc się w myślach twoich z wspomnieniami Dniepru, sama z *Rozymy* przemieniona w *Zorynę*, wywołała te cudne, urocze *Rusalki*, których śpiew od pół wieku serca ziomków zachwyca, i nie przestanie zachwycać dopóty, dopóki w ich ustach taż mowa, a w sercu też uczucia żyć będą.

A znówuż te „*Rusalki*,” mój drogi Bohda! czyż to nie nowe ogniwo serdecznej méj przyjaźni i wdzięczności dla ciebie? Ofiarowałeś mi je pierw do mojej „*Meliteli*,” skoro zamiar jej wydawnictwa wziąłem; a bez czego by nawet ów zamiar nigdy r

nie przyszedł do skutku. Wspierałeś go i w latach następnych, nie pozwalając nigdy ofiarować sobie nic wzajem, oprócz przyjacielskiego „Bóg zapłać!”—I Bóg mi rzeczywiście dał dożyć téj chwili, zem ci sam, wedle możności, podobnegoż rodzaju monetą, to jest miłém a poetycznym wrażeniem odplacił.

Ale tu już, drogi Bohdaniel kończę moję apostrofę do ciebie, i resztę już nie tobie samemu, ale wprost Deotymie i innym moim czytelnikom dopowiem.

Na początku 1882 roku, pani Seweryna Duchńska raczyła mi donieść z Paryża, o gotującym się tamże obchodzie osiemdziesiątej rocznicy urodzin autora „*Rusalek*“ i „*Przenajświętszej Rodziny*“, powołując mię przytém do zbierania własnoręcznych podpisów literackich znakomitości Warszawskich, do mającego się mu ofiarować albumu. Nie należąc sam do nich, ani mając zaszczytu bliższych z niemi stosunków, nie czułem się być zdolnym do spełnienia tego zadania; ale to mi podało myśl inną. Od pół wieku nie zdarzyło mi się spotkać ani jednéj światłéj Polki, coby nie znała i nie czuła sercem tych lub owych poezyi jubilata. Ułatwić więc moim znajomym sposobność okazania mu tego współczucia, wziąłem sam sobie za święty i najmilszy obowiązek. Ograniczając wszakże jego zakres, prosiłem same panienki, aby w zastępstwie matek, i zarazem jako reprezentantki przyszłości, własne tylko swoje imiona do obrzędowego albumu wpisały. Złożyło się 126 własnoręcznych podpisów, które ja sam osobiście zebrałem, a poprzedziwszy i zakończywszy tę listę prologiem i epilogiem własnym, przesłałem ją jubilatowi na ręce wspólnéj przyjaciółki naszej, pani Sewe-

ryny Duchyński. I oto jest wyjątek z jój listu do redakcyi „*Kroniki Rodzinnéj*,” w którym opisuje przyjęcie, i w ogólności obchód téj pamiętnéj uroczystości.

Paryż, 21 marca 1882.

„W Niedzielę, 19 marca, w dzień św. Józefa, czas był prześliczny, prawdziwie wiosenny, słońce nieprzyćmione najlżejszą chmurką. Wyjechaliśmy z Paryża w samo południe, w liczbie kilkunastu osób, do wioski Villepreux, położonéj za Wersalem, pod Saint Cyr, w piéknéj i wesołéj okolicy. Zabrałam garstkę dzieci i dorastającéj młodzieży, aby dać poznać Bohdanowi, że pamięć jego przejdzie w następane pokolenia; co on téż wybornie zrozumiał i żywo odczuł. Po piérwuszej przybyliśmy na miejsce. Z wielką radością ujrzałam Bohdana w jak najlepszém zdrowiu. Cera jego biała, świeża; lekki rumieniec ślicznie odbija obok śnieżnych włosów i białéj, długiéj do pasa brody. Barki wcale nie pochylone; dosyć szczupły, chodzi żwawo i lekko; skarży się tylko na przytępienie słuchu, a bardziej jeszcze na zachodzące mgłą oczy. Gdyby nie to, niktby nie odgadł ciężących na nim lat osiemdziesięciu. Pamięć zachował wyborną, wielką świeżość wyobraźni, i sposób mówienia płynny, łatwy i prawie młodzieńczy. Otoczyliśmy jubilatą. Wtedy podałam ogromne album w rękę młodego Ludwika Goreckiego: „Niechaj wnuk Mickiewicza, rzekłam, złoży u stóp Bohdana hołdy ze wszystkich części kraju.“—To połączenie dwóch drogich narodowi imion, głęboko poruszyło obecny i wycisnęło łzy z oczu solenizanta. Karta piérw pod okładką, wykonana akwarellą, pendzlem pa Rakowskiéj, przedstawia wieniec, upleciony z kłos

paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burzanów. Dało mi to pobudkę do napisania pieśni dożynkowej. Bohdan głęboko był poruszony; przy wspomnieniu Ukrainy, rozplakał się jak dziecko. Adresy ułożone były w osobne koperty, każda ze stosownym napisem.

Uradzono z góry, iż aby nie rozrzewniać zbyt znacznie jubilatą, adresy te ani wiersze czytane w dniu tym nie będą. Wyjątkowym tylko sposobem odczytałam wiersz A. E. Odyńca, przedstawiający solenizantowi grono podpisów 126 pańienek, formą i pomysłem godny *Rusałek* nadwiślańskich. Bohdan uszczęśliwiony był z niego. „Edward zawsze ten sam,” rzekł, „zawsze przyjaciel pańienek. Dzięki Bogu, że zachował młodość i myśl swobodną.“ Z tego powodu opowiadał nam dawne niegdyś zebrania w kółku przyjaciół. Wspominał każdego z druhów, tak miłych jego sercu: Brodzińskiego, Witwickiego, Mochnackiego, których groby rozrzucone dziś pod obcym niebem, nad Elbą, Tybrem i Sekwaną, a z których ten jedyny przyjaciel pozostał mu jeszcze na własnej ziemi. Zapraǳnął widzieć własne pismo jego. Wtedy pokazałam mu wiersz drugi, a przeczuwając jaką to sprawi mu radość, odczytałam go na głos. Bohdan zapłakał rzewnie. Prosił, aby złożyć w jego imieniu podziękowanie wszystkim, którzy go tak serdecznie uczcili. Autora wiersza wymienił nasamprzód. Z zakazu lekarzy pisać sam dzisiaj nie może; nie traci jednak nadziei, że troskliwe starania dr. Gałęzowskiego poprawią mu wzrok o tyle, iż nakreśli sam kilka dziękczynnych słówek do osób, które dały mu tyle dowodów znania i współczucia. Imię Adama Pługa wymienił najżywszą wdzięcznością. „Ja nie zasłużyłem na to, ekł do mnie, „bo cóż ja uczyniłem? Nie moja w tém

zasługa, że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezji powiał nad krajem naszym i potracił też o mnie.“—„A dla czegoż nie potracił o wszystkich, którzy w tych czasach żyli?—zapytałam. „Małaż to rzecz należeć do garstki wybrańców Bożych? Ten chór głosów nadbiegłych tu z kraju, niech da miarę waszej zasługi, ojczyzny, a wdzięczności serc ziomków.“

„Kilka godzin zbiegło nam w oka mgnieniu. O zachodzie słońca pożegnaliśmy drogiego jubilata, obdarzeni jego błogosławieństwem. Był to w życiu mojem jeden z tych dni, których pamięć nie zaciera się w duszy.“

S. D.

Tu pozwalam sobie dodać jeszcze wyjątek z własnego listu Jubilata do mnie, tudzież własny mój prolog i epilog do addressowej listy podpisów panięskich, i na koniec osobny wiersz drugi do Jubilata, w liście jego i pani Duchińskiej wspomniany:

Villepreux, 4 Maja 1882.

„Dobry mój i drogi Edwardzie!

„Z wielkim smutkiem i nie mniejszym wstydem zasiadam do pisania. Smucę się z niedołężnej mojej starości, a wstydzę się, że ci dotąd nie podziękowałam za uroczysty, niewolący wiersz twój do mnie, i za prześliczne strofki od panienek. Nie wątpiłem nigdy o twojej stariej, stałej przyjaźni dla mnie, ale obiedwie poezye i czynny udział twój w moim jubileuszu, rozrzewniły mnie do łez i rozmarzyły błogo. Bóg ci zapłać, drogi, za bratnie współczucie!

„Szczерze mówiąc, kochany Edwardzie! nie leżało mi się wcale to wyszczególnienie, ani uczcz

od rodaków. Wyznaję atoli, że przemnogie dowody drogocennéj życzliwości publicznej wzruszyły mnie mocno, i o ile napełniły pociechą serce, o tyle upokorzyły w sumieniu. Bóg mię strzegł, że nie przeceniam zasługi méj ani zdolności. I owszem widzę tylu społecznych godniejszych ode mnie wieńca; mężów wiedzy, i rady, i słowa. Cóż ja kiedy znaczącego lub dobrego uczyniłem dla kraju? „Dni moje zeszyły jako cień, a jam usechł jako siano.“

„Zkądinąd znowu jubileusz mój wypadł, niestety, za późno—kiedy już jestem niesposobnym do niczego. Osiemdziesiątka dała mi się uczuć złowrogo. Omdlewam z dnia na dzień w organizmie moim, i cielesnym i duchowym. Najdotkliwiej cierpię jednak z powodu wzroku, wyraźnie już dogasającego. W pochmurne dni nie dowidzę całkiem, a i w jasne zaledwie czytać i pisać zdołam, i to jeszcze z koniecznemi, częstemi przestankami. Oczywiście pisanie takie, z wysiłkiem woli, drażniąc nerwy, mąci wciąż uwagę i nuży niemiłosiernie.

„Stan chorobliwy, w jakim obecnie zostaję, może Bóg da, że z cieplejszą pogodą przesili się, a przynajmniej choć trochę się usmierzy. Modłę się o to gorąco. Zadłużyłem się w korespondencyach na wsze strony. Nie było na to rady; to niech się święci wola Boża!—Jeśli mi rozwidni się nieco w źrenicach, to radbym pogawędził z tobą, Edwardzie mój stary, o latach miłej naszej młodości. Pokuszę się bodaj i na wierszowanie, dawno, o! dawno już zaniechane. Tymczasem proszę cię, mój drogi, podziękuj ode mnie najprzejmiej Deotymie za wspaniały wierszyk, którym darowała mnie, i zaszczycała nadto publiczném odczy-

taniem go we Lwowie. Ona to dziś na wyżynach twórczości poetyckiej u nas!... A bądź też zarazem tłumaczem serdecznej wdzięczności mojej i przed przyjaciółkami swojemi, panienkami, które mi przez pośrednictwo twoje podpisy imion swoich przysłały. W pokorze chrześcijańskiej wzdragam się od rozgłosnych podziękowań po gazetach. Wolałbym to uczynić w inakszy sposób. Wolałbym np. w godzinie natchnienia, jeśli kiedy jeszcze zawita, podnieść pieśń dziękczynną;—byłoby to na *post-scriptum* do pośmiertnego wydania moich poezyi.

„Zmęczony już jestem pisaniem; kończę, więc polecając się sercu twemu i modlitwom.”

J. B. Zaleski..

Hejże, Bohdaniel nie zwłócz téj piosenki,
 Niech nie łabędzią będzie, lecz słowiczą.
 Boć przecież na nią czekają panienki,
 Co śpiewakowi sto lat zdrowia życzą.

P R O L O G.

Drogi Bohdanie! gdym kiedyś przed laty
Bogini kwiatów niósł ofiarę z pieśni,
A do téj wieszczój, duchowój objaty
Dopomagali mi bracia rówieśni:

Tyś, jako Bojan, mistrz arfy proroczej,
Strón jój zakłęciem, z Dnieprowój topieli,
Wywołał orszak *Rusalek* uroczy,
I sam je przywiódł w uścisk *Meliteli*.

Pół wieku przeszło ciężył sercu memu
Żywój wdzięczności dług niewypłacony;
Aż przyszła chwila, że tobie samemu
Kraj składa z kwiatów i z laurów korony.

Korzystam z pory:—i sam bez przechwałek
Śmiem głosić z góry, że wzajem ci wiodę
Orszak, piękniejszy od wszystkich *Rusalek*,
Od wszystkich Ondyn i Nimf.

Polki młode,

Czcicielki pieśni twych, zasług i chwały,
Chcą ci téż złożyć hołd, w dzień ich obchodu,
I mnie starego guślarza wybrały,
Abym szedł z niemi, jak wódz korowodu.

Same panienki! Masz tu ich imiona.
Ja zaś nie więcej nie życzę dla ciebie,
Jak aby widok podobnego grona
Duszę twą kiedyś rozradował w Niebie.

E P I L O G.

(po 126 podpisach).

Masz więc, Bohdanie! chór dziewic ojczystych,
I spójrzysz tylko wieszczem okiem ducha
W głąb serc ich czystych, myśli promienistych,
A duch twój nowa pokrzepi otucha:

Że matka, która w swych córkach rozwija
Takie poczucia i takie pojęcia,
Jako pod krzyżem płacząca Marya,
Doczeka chwili swego Wniebowzięcia.

DO JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(na osiemdziesiątą rocznicę urodzin, 1882 r.)

Drogi Bohdanie mój! osiemdziesiątkę
Lat wieku twego, gdy dziś naród cały,
Z czcią i miłością, święci jak pamiątkę
Obywatelskiej i wieszczej twój chwały:
Ja też pozdrawiam ciebie,—ja ostatni
Z mnogiej tak niegdyś drużyny twój bratniej,

Gdyś po Adamie pierwszy wieszcz narodu,
Arfę Bojana otarł z wieków pleśni,
I duchem jego natchniony od młodu,
Zagrał nam nótę ukraińskiej pieśni,
I jak woń stepu, od Dniepru do Wisły,
Tehnął w niej na ziomek serca i umysły.

Pozdrawiam ciebie, w imie tych uroczych
Uczuć i marzeń, któreś wtedy budził;
W imie tych natchnień, i tych wieszczb proroczych,
Któremiś siebie i nas—o! nie łudził,
Niel lecz pokrzepiał; jak dziś krzepią jeszcze
Serca rodaków twoje pienia wieszczce.

O! bo my wierzym, że Pan nie omyła
Tych, czym ustom dał głos Swego ducha;
Spełnienia tylko niewiadoma chwila.
Ale kto z wiarą głosu tego słucha,
W żelaznej nawet swych losów obręczy
Dostrzeże odblask Przeznaczenia tęczy.

Więc cię pozdrawiam w imię braci owych,
Coś wtedy z wiarą młodzieńczą słuchali,
I pod urokiem pieśni coraz nowych,
Ciebie samego jak brata kochali,
A tyś w uścisku ich i uniesieniu
Do coraz nowych brał siłę w natchnieniu.

Znam cię, Bohdaniel a więc wiem na pewno,
Że gdy ci naród niesie hołd uznania,
Ty myślisz o nich, i pamięcią rzewną
Liczysz ich groby po ziemiach wygnania:
A więc i wierzę, że ci będzie miły
Głos ostatniego z téj strony mogiły.

Los od pół wieku rozłączył nas obu,
Lecz serce moje, ufam, że ci znane.
Przyjaźń młodzieńczą chowam ci do grobu,
I śmielój przez nią na sąd Pański stanę.
A nim się może spotkamy przed Sędzią,
Jako brat bratu szlę ci pieśń łabędzią.

WINCENTY POL.

Osobisty stosunek mój z Polem trwał zaledwo kilka miesięcy, lecz zawiązany przezeń stosunek duchowy dotrwał wzajem przez całe życie, i ze śmiercią się jego nie skończył. Przyjaźń bowiem dla niego i rzewny żal po nim, tak żyją zawsze w-myśli i uczuciu mojem, jak pieśni jego i wspomnienia o nim w pamięci.

Te ostatnie skreśliłem niegdys w liście do pana Ludwika hr. Dębickiego, który on drukiem ogłosił. Nie mając nic nowego do dodania, list ten tu dosłownie powtarzam.

LIST DO HRABIEGO LUDWIKA DĘBICKIEGO.

Mądre to jest *dictum* francuzkie: *le mieux est l'ennemi du bien*. Otrzymawszy uprzejme wezwanie pańskie, abym skreślił moje wspomnienia o wspólnym ś. p. przyjacielu naszym; serdecznym, zacnym, szlachetnym człowieku, a przytém prawdziwym wieszczu narodowym: wyznaję, iż chciałem zrobić to bardzo dobrze, i niestety, skutkiem właśnie téj chęci, nie tylko e zrobiłem nic dotąd, ale co gorsza, przekonałem się

ostatecznie, że w ten sposób i na tę skalę nic zrobić nie mogę. Zniżam tedy kamerton własnych moich wymagań, i w prostój formie prywatnego listu, chcę opowiedzieć panu, co mi przyjdzie na pamięć z owych kilku uroczych miesięcy, cośmy z Polem niegdyś w Dreźnie przeżyli, a które dla obu nas, przez całe odtąd życie, były tém miłym i drogiem wspomnieniem, które myśli nasze i serca nierozzerwanym ogniwem łączyło; chociaż nigdyśmy się już potem osobiście nie zeszli, a nawet przez całe często lata nie bywali w listownych stosunkach. Pan sam mówiłeś mi kiedyś, że to samo słyście nieraz z ust Pola; on zaś, po otrzymaniu pierwszego mego listu z Warszawy, gdy się tam na stały pobyt przeniosłem, pisał, a raczej dyktował do mnie, pod datą 14 czerwca 1867 roku ze Lwowa.

„Mój drogi panie Edwardzie!

„Żaledwiebyś uwierzył, ile mię uszczęśliwiło odnowienie stosunków z tobą! Jakież to wspomnienia i uczucia wywołał w duszy mojej twój list! Gdzież stąd do owąd? Już nawet myślą trudno przebiedziesz po wtórnie tę drogę, na której początku postać mi twoja świeci. W uczuciu straconej pikiety stojąc na stanowisku mojem przez lata, pojdziesz, jaką otuchą napawa mię przyjaźń twoja, słowo twoje! Gdybym cię w życiu jeszcze kiedy ujrział, wyzaliłbym się przed tobą! Gdybym na twojej piersi głowę złożył, jak niegdyś młodzieńcem, wypłakałbym całą bolesć życia! Gdybym mógł przemówić do ciebie, poniósłbym ci sł. pociechy! Ale papierowi żalić się nie będę. Płz pono już nie trzeba, kiedy Bóg wziął oczy; a po chęć czerpiemy oba z jednego źródła: z Boga, i z ucz

dopełnionego obowiązku. Więc przyjm żal niewyżalony, łzę niewypłakaną, pocięchę niewysłowioną, i wdzięcznego serca zapewnienie, że między żywymi, Ciebie tylko jeszcze odszukuje dusza, uczuciem *Janusza Nowiny*.“—

Na jeden zaś z następnych listów moich, odpowiada także ze Lwowa, pod dniem 22 lipca tegoż roku 1867.

„Na ostatni punkt twego listu odpowiadam: że gdyby to nie z tobą była sprawa, odpowiedziałbym: „I nie wódź nas na pokuszenie!“ Żądasz ode mnie abym opisał nasze Drezdeńskie czasy. Myślę o nich często; ale czy podołam temu zadaniu? Chyba, że jako starszy po służbie każesz mi to zrobić; to zrobię, i złożę się twoim rozkazem.

„Osoby i stosunki nie trudno byłoby opisać, ale trudno się wznieść do tego wysokiego nastroju ducha, który ówczesne koło nasze Drezdeńskie ożywia! Trudno będzie dać dzisiejszemu pokoleniu wyobrażenie oddechu téj atmosfery duchowej, która nasze pokolenie otaczała. Komu to mówić dziś o tém, cośmy wnieśli i dali? z jaką miłością, jakim sercem? Komu to mówić, co z tego świat zrobił, i czém to zapłacił? W każdym razie taki ustęp z pamiętników, dopióro chyba z trumny podać można żyjącemu pokoleniu. Ale kiedy chcesz, kiedy żądasz tego po mnie, to zrobię. Jedyną i pierwszą zachętę, jaką w życiu do zawodu poetycznego otrzymałem, otrzymałem od Ciebie. Masz tedy prawo żądać, abym zrobił, co każesz. Ale dajże mi i tym razem radę, czy mam to pisać prozą, czy wierszem? Może Cię to pytanie zadziwi? Ale racz wszakże rozważyć, o co Cię proszę i pytam.“—

Nie umiałem na to odpowiedzieć, i zostawiłem wybór formy do woli i natchnienia jego samego. On zaś w jednym z następnych listów swoich z Krakowa, proponował mi formę korespondencyi ze mną, abyśmy wspólnie niejako w ten sposób, wspólne nasze wspomnienia z owego czasu spisali, gdyż myśl ta zajmowała go żywo i ciągle. W innym liście powiada:

„Na nas, jako na ostatnich już prawie żyjących dziś z owéj epoki, ciąży niejako obowiązek dopełnienia tego, czego inni dopełnić nie mogli, albo dopełnić nie chcieli. Ale ja rzeczy nie lubię odkładać, a obu nam śpieszyć się wypada. Do pisania formalnych pamiętników nie zostawia mi czasu troska o chleb powszedni. Ale wszystko może być pamiętnikiem, i wszystko może syntetycznie dzisiaj ogarnąć i objaśnić kilka listów. Ja cię zaczepię, a ty mi odpowiesz, i nawzajem; i tym sposobem będzie się mogła złożyć i wyświecić całość obrazu.“

Przystąpiłem na ten projekt, i czekałem zapowiedzianej inicjatywy. Tymczasem nieszczęśliwa jego operacya oczu, potem nowe stosunki domowe, nie dozwoliły mu widać przyprowadzić tego do skutku; aż śmierć nakoniec zniweczyła wszystko. Otrzymawszy więc wezwanie pańskie, poczułem się w podwójnym niejako obowiązku, aby myśl jego za siebie i za niego wykonać. Ale im bliżej wpatrzyłem się w przedmiot, tém coraz mocniej poczuwałem trudność, o której Pol w liście swym mówi: aby go w prawdzie jego duchowej przedstawić; i rozumiałem dla czego się wahał, czyby częj ku temu formy poezyi nie użyć? W istocie, w s wie chyba poezyi możnaby było bez przesady ch wydać tę poezyę uczucia i życia, jaką się wła:

przedewszystkiem ten nasz wspólny pobyt w Dreźnie odznaczał. Ztąd téż poszło, że wszyscy jego ucze-
stnicy tak żywo i tak rzewnie pamiętali o nim. Masz
pan dowód tego w drukowanych listach Mickiewicza
i Ignacego Domejki, prócz przytoczonych tutaj listów
Pola. Daruj więc pan, że opisać go, jakbym chciał
i jakby trzeba było, nie umiejąc, poprzestaję na pro-
stym, prozaicznym szkicu.

Drezno, na początku 1832 roku, było może jedy-
nym punktem na świecie, gdzie się razem i jednocze-
śnie tyle naszych znakomitości zebrało, i przez kilka
miesiący żyło życiem wspólném, podniesioném nad po-
ziom ziemskich towarzyskich stosunków, a nie zatrutém
jeszcze przez stronnice waśnie i swary. Moźniejsi
z pomiędzy nowoprzybyłych, i mający obszerniejsze
mieszkania, otwierali je uprzejmie dla gości, którzy
się w nich codziennie wieczorami zbierali. Prócz te-
go były domy oddawna już zamieszkałe w Dreźnie,
które téż niemniej uprzejmie przyjmowały nowoprzy-
byłych.

Do takich, między innemi, należały: dom pani Ewy
z Koszutskich, Dobrzyckiej, matki damy dworu tegoż
nazwiska, będącej typem najczcigodniejszej staropol-
skiej matrony; dom państwa Józefostwa hr. Żubieńskich,
dom pani generałowej Dąbrowskiej, (wdowy po Hen-
ryku); dom księżstwa Sapiarów, hrabiny Kossakowskiej,
państwa Komarów (rodziców pani Delfiny Potockiej,
która wtedy przy nich mieszkała), hrabianki Anieli
Czackiej, i t. d., i t. d. W niektórych z tych domów
były téż młode i piękne, pełne wdzięku i uroku osoby,
jak np. panna Bronisława Dąbrowska, panna Antoni-
a Szczaniecka, i inne. Z imion sławnych nowoprzy-

byłych, wolę nie wymieniać żadnego, aby przez zamilczenie nie ubliżyć innym, a wszystkich wymienić nie sposób. A wreszcie pan zkądinąd możesz wiedzieć o tém.

Ale wspólnym niejako węzłem, który wszystkich jednoczył; ale duchem, który, bez przesady rzecz można, wszystkim jakby swą barwę i nastrój nadawał; była pani Klaudyna, z Działyńskich, Potocka. Komuż to imię nie jest znane w kraju? I w niej téż to największa trudność do skreślenia obrazu téj epoki w Dreźnie. O czémkolwiekby się mówiło, wszystko musi się o nią opierać; wszystko lub się od niej zaczyna, albo staje się przez nią, i kończy się na niej. Tymczasem dla tych, którzy ją sami znali, wszelkie słowa będą za blade; dla nieznających zaś jój osobiście, a zatém nie mających i nie mogących mieć wyobrażenia o duszy tego nastroju, wszystko mogłoby łatwo wydać się za jaskrawém, przesadzoném, lub urojoném. W istocie legendarna ta postać, tak się wyróżnia od ogółu ludzi, i tak się w każdym kierunku ponad zwyczajny ich poziom podnosi, że w legendzie téż chyba lub poezyi, mogłaby ująć od razu za prawdziwą, jako ideał; bo choć nim była prawdziwie w życiu rzeczywistém, codzienném, (przynajmniej w téj epoce w Dreźnie), ludzie zwykle nie łatwiej może wierzą powieściom o takiej wyższości ducha, jak i o zjawianiu się samychże duchów.

Z niezachwianą stałością i mocą bohaterskiej duszy i charakteru, łączyły się w niej zarazem słodycz, łagodność, cierpliwość, i pokora siostry miłosierdzia. Rozum jasny, trzeźwy, praktyczny w okolicznościach codzielnego życia, przybierał wszystkie tęczowe barwy poezji; ilekroć sam, jak tęcza, podniósł się nad ziemię i

szy widnokrąg ogarniał, albo się w tajemniczy świat ducha zagłębił. A wszystko to było owiane takim urokiem wdzięku i uczuć niewieścich, takim blaskiem estetycznego i towarzyskiego wykształcenia, że połączenie w jednej osobie tych tak sprzecznych na pozór rzeczy, (nie śmiem powiedzieć przymiotów, czy zalet) nie da się ani pojąć, ani wytłómaczyć przez nic innego, jak chyba przez ten cudowny stan duszy, którą strata najdroższych uczuć i nadziei ziemskich, tak nagle i tak całkiem zwróciła ku Niebu, że bezwiednie dosięgła do téj wysokości, gdzie się już tajemniczy wpływ Łaski zaczyna, i wybranych, jakby widomą aureolą otacza. Na dowód tego, co tu mówię, mógłbym przytoczyć panu tysiąc faktów, drobnych często na pozór, ale świadczących zarówno i zarazem, jak o tém, czém była w sobie, tak i o téj dziwnej potędze i wpływie, jaki bezwiednie wywierała na drugich. Mówię *bezwiednie*, bo do najbardziej może charakterystycznych i zdumiewających w niej rysów, należała dziecinna prawie w obec obcych nieśmiałość, i ta przerażająca (jak ją nazwał Mickiewicz) pokora, jaka się objawiała zarówno w jej słowach przy wypowiedzeniu swojego zdania w zwyczajnej towarzyskiej rozmowie, jak i w każdej, często najniższej posłudze bliźniego, którą, na każde zapotrzebowanie, niosła zawsze i wszędzie, z zupełnym zapomnieniem o sobie. A mimo to, tajemniczy ten wpływ jej na drugich, tak był wyraźny i potężny, że mu ulegał zarówno prosty wiarus, który go czuł tylko instynktem, jak i najwyższy umysł, (np. Mickiewicza), który umiał zdać sobie sprawę z natury i z powodu swych wrażeń.

I tu już muszę koniecznie przytoczyć panu parę faktów, abyś pan z nich sam przez się o wartości i prawdzie tych słów moich osądził.

Byłem raz u pani Potockiej o godzinie 11-jej rano, i zastałem ją tak cierpiącą na straszny ból głowy, że właśnie pragnęła pójść się położyć, kiedy wszedł prosty jakiś zagrodowy szlachcic litewski, ale na twarzy którego malowała się poczciwość i boleść. Byłem pewny, że przyszedł prosić o wsparcie, i że sobie zaraz odejdzie. Tymczasem on, ujęty widocznie uprzejmością przyjęcia, usiadł, i widać było że o prędkim wyjściu nie myśli. Napomknąłem więc o stanie zdrowia gospodyni, a kiedy i to nie pomogło, gotowałem się ostrzedz go otwarciój, aby jój długo nie utrudzał. Ale tu ona spójrzała tak błagająco, ale razem tak rozkazująco, że rad nie rad zaciąłem usta, i nie mogąc poskromić niecierpliwości, wyszedłem.

We dwie godziny potem, idąc na obiad do jój matki, pani wojewodziniej poznańskiej, Działyńskiej, która w tym samym domu niżej piętrem mieszkała, wstąpiłem wprzód do niój samój, aby się o zdrowiu dowiedzieć: i ujrzałem ją bladą i nieruchomą, jak posąg z marmuru, z twarzą wspartą na dłoni, słuchającą cierpliwie tegóż samego człowieka, który jój jakieś długie historye o sobie opowiadał. Tu już nie mogłem wytrzymać, i zwróciłem jego uwagę na stan zdrowia nieszczęśliwej słuchaczki. Porwał się z przerażeniem, bo sam wreszcie stan ten obaczył, a całując na pożegnanie jój rękę, rozplakał się jak dziecko; przepraszając zaś, że się długo zapomniał, dodał na usprawiedliwienie swoje, to była pierwsza chwila pociechy, jakiej doznał zostawieniu w domu żony i siedmiorga dzieci. M:

rozumieć, że odszedł zaopatrzony hojnie na dalszą podróż, a mnie obowiązane najmocniej, ażebym o tej scenie ani słowa nie wspomniał przed matką.

Po przybyciu do Drezna przyjaciela naszego, Ignacego Domeyki, zaprowadziliśmy go wraz z Adamem na większy niż zwykle wieczór do pani Dobrzyckiej. A był też z nami i drugi gość nowy, Litwin, sąsiad mój wiejski, pan Stanisław Paszkowski, dziedzic znacznej fortuny, a sławny myśliwy. Był to typ dawnych Litwinów, czcicieli drzew dębowych i lasów twardych i nieugiętych jak one; najdoskonalszy kontrast z tkliwym i łagodnym Domeyką, który nadto jest znany, ażebym miał potrzebę charakteryzować go więcej, mówiąc o jego uczoności i charakterze moralnym, które mu i na drugiej półkuli świata, w nowej jego przybrananej ojczyźnie, cześć ogólną i miłość zjednały. Owóż obaj ci panowie po raz pierwszy na tym wieczorze widzieli panią Klaudynę. Zazwyczaj mało mówiąca, tą razą była nią mniej może niż kiedy. W chwili wyjścia na wieczór otrzymała nader smutną wiadomość, ale zamknęła ją w sobie, ażeby drugim gościom wesołości nie mącić. Dowiedzieliśmy się o tem dopiero nazajutrz, ale w ciągu całego tego wieczoru, ona sama najmniejszym słowem nie zdradziła wrażenia, które tkwiło w jej duszy. Usiłowała owszem okazać się wesołą, i nikt z tych, co ją widywali codziennie, nie w niej dziś nadzwyczajnego nie widział. Tymczasem, przy wyjściu z wieczoru, słyszę jak idący przede mną (jak z Adamem Domeyko, z poruszeniem mówi do niego: „Powiedz mi, znasz ją lepiej, co to za kobieta? I trzałem na nią jak na świętą; chęć mię brała ukłęknąć przed nią i prosić o błogosławieństwo.“—A w tej-

że samą chwilą, idący obok ze mną Paszkowski, mówi do mnie: „Straciłem, ty wiesz, wszystko! Ale patrząc dziś na tę panią, myślałem, że nie żał mi przecie tego, kiedym mógł przez to widzieć taką kobietę.“ A nie mówił on tego o piękności twarzy.

Zdaje mi się, że dość będzie na tém, aby poprzednie słowa moje od zarzutu przesady ochronić.

Ale niech téż pan w ogólności tego, co o tém tu mówię, nie bierze za zboczenie od głównego przedmiotu tego listu; jest ono owszem z nim w prostym i jak najbliższym stosunku. Towarzystwu to bowiem i przyjaźni pani Klaudyny, Pol, równie jak my wszyscy, zawdzięczał mianowicie ten niewysłowiony urok ówczesnego naszego pobytu w Dreźnie, pod którego ogólnym wpływem, szczupłe, odrębne kółko nasze, nie *„jedną tylko chwilę tak górną*, (a przynajmniej tak mile i poetycznie) *przeżyło*,” że i najwięksi i najszcześniejsi poeci, mogliby nam jęj słusznie zazdrościć.

Kółko to, do przybycia Pola, składało się wyłącznie z nas czterech: Adama, Garczyńskiego, Domeyki, i mnie. Gorecki zaglądał często, gdy mu się podobało; inni zaś, jak naprzykład: Orpiszewski, Czetwertyński Janusz, i inni, bywali tylko proszonymi gośćmi. Otóż cała moja zasługa względem Pola, o której on w listach swoich do mnie wspomina, jest chyba ta, że mnie się to szczęściem zdarzyło, wprowadzić go niejako do tego naszego kółka i zapoznać z Adamem i z panią Klaudyną. A i w tém nawet pierwsza inicjatywa należy się właściwiej Domey, a najwłaściwiej samemuż Polowi. Że jednak pierwsza ta chwila poznania się jego ze mną i zapozna-

przeze mnie, jest rzeczywiście charakterystyczną, więc ją tu panu szczegółowiej nieco opowiem.

Dnia jednego raniutko, Domeyko przyszedł do mnie z jakimś nieznanym młodzieńcem, ładnym, ożywionym, wesołym, który zaraz z pierwszego wejrzenia sympatycznie mi się podobał. Był to Wincenty Pol. Domeyko przedstawił mi go jako ucznia wileńskiego uniwersytetu, a więc przez powinowactwo kolegę, i jako swego towarzysza w Rastenburgu, (jeżeli się nie mylę), zkąd sam przed tygodniami kilku przybył prosto do Drezna.

Pol znał w Wilnie wielu jeszcze z dawnych moich kolegów i przyjaciół; a trzebaż było czego więcej, aby się między nami od razu koleżeński stosunek związał? Wspomnienia wspólnych znajomych i okolic wileńskich, pierwszym zaraz rozmowom nadały poetycki niejako charakter, co właśnie było powodem Domeyce, że pierwszy zaczął mówić o tém, co już widać wprzód słyszał od Pola, to jest, że Pol znał i zostawił w Rastenburgu młodego poetę, niejakiego *Janusza Nowinę*, także ucznia wileńskiego uniwersytetu, którego wiele wierszy sam umié na pamięć. Prosiłem więc o powtórzenie niektórych, i Pol ochoczo spełnił to żądanie. Ale za ledwie przedeklamował kilkadziesiąt wierszy, te już tak mi się podobały, że wnet po dokończeniu pierwszej sztuczki, żał mi było, że ich Adam razem nie słyszy, i przeto zaproponowałem Polowi, aby pójść zaraz do niego, (który mieszkał tuż przez ulicę, okno w okno rawie), i aby tam już deklamacyą dalszych kontynuować. Przystąpił na to z wielką radością, bo i tak miał ode mnie zejść do niego z Domeyką; ja zaś ubiegając się co prędzej, powtarzałem machinalnie dopięro

co słyszane wiersze, które od razu utkwily mi w pamięci. Pol tak był tém uradowany widocznie, że zaczął mię ścisnąć serdecznie; co przypisałem przyjaźni jego dla pana *Nowiny*; on zaś przypisywał to mojej pamięci i współczuciu dla młodszych braci w Apollinie. Ale ani mi na myśl nie przyszła prawdziwa tych uścisków przyczyna.

Przyszedłszy do Adama, zastaliśmy go jeszcze w łóżku; bo wtedy właśnie pisał ostatnią część *Dziadów*, a pisząc zazwyczaj w nocy, rankiem sobie bezsenność nocną wynagradzał. Po pierwszym przedstawieniu, bez dalszych przemów, przystąpiłem wręcz do pana *Nowiny*, i Pol, bez żadnych ceregielów, zaczął nam deklamować dalsze *pieśni Janusza*. Wpływ ich na Mickiewicza, był jak słońca na kwiecie, kiedy je ono stopniami z nocnego uspienia obudza. Wstał wręście, i okrywszy się płaszczem, zaczął śpiesznie nakładać fajkę, aby już z całą uroczystością słuchać deklamacyi dalszej; z tego, co dotąd już słyszał, rokując świetną poetycką przyszłość talentowi pana *Nowiny*. Gdy zaś na zapytanie moje, dla czego ten pan *Nowina* nie przyjechał razem do Drezna? dowiedzieliśmy się od Pola, że nie ma za co przedsięwziąć podróży: myśl nagła zabłysła mi w głowie—i słowa nie mówiąc nikomu, porwałem za kapelusz i pobiegłem do pani Klaudyny. Zadziwiła się, widząc mię tak rano: ale gdy jednym tchem wyrecytowałem jój wszystko o panu *Nowinie*, o jego wierszach, i co o nim samym słyszałem: pani Klaudyna, wysłuchawszy z zajęć, powstała nie mówiąc słowa, i wyszła do drugiego kojku. W minut parę wróciła, trzymając w rękę, i dzy dwoma mniejszemi palcami, 50-cio talarowy pan

i mówiąc: „No, niechże ten pan Pol poszle to zaraz temu *panu Nowinie*, żeby zaraz przyjeżdżał do Drezna; a my już tu będziemy myśleli, co z nim zrobić dalej.“

Kwadrans nie upłynął — kiedy już byłem z powrotem na *Töpfer-Gasse*, gdzie przyjaciel pana Nowiny czekał na mnie z dalszą deklamacją jego wierszy. Podając mu przyniesiony bilet, powtórzyłem słowa dawczyni, i chciałem zaraz dać Polowi ćwiartkę papieru, aby list do niego napisał, który ja sam, jako lepiej znający drogę, miałem zanieść i oddać na pocztę. Ale tu Pol, zmieszany widocznie, zaczerwienił się cały jak rak, aż po uszy, i nie biorąc z rąk moich papierka, zaczął się ekuzować, jękając, i przepraszać nas za udanie: gdyż *Janusza Nowiny* nie było na świecie, a on sam był autorem wierszy, które mówił, i o których w ten sposób chciał się pewniej prawdziwego zdania dowiedzieć. Łatwo pojąć, jakie wrażenie i skutek sprawiło na nas to wyznanie, a sama ta chwilowa mistyfikacja, dopomogła jużciż ku temu, że i w obec Adama, który nie był tak skory do poufałych stosunków, figlarny mistyfikator stanął od razu na stopie wileńsko-uniwersyteckiego koleżeństwa. Musiał tylko na expiacją swojego kłamstwa, iść ze mną *stante pede* do pani Klaudyny, i oddać jój własnoręcznie przeznaczony dla Janusza Nowiny papierek.

Narracją podstępu ja wziąłem na siebie; on zaś, spełniwszy naznaczoną mu przez panią Klaudynę pokutę, t. j. aby i dla niej téż zaraz kilka wierszy swoich powiedział: trzymał absolucją zupełną, a w dalszym ciągu stosunku uczliwość jój i przyjaźń. Wprost ztamtąd zaprowadziłem go do Garczyńskiego, który téż, ma się rozumieć, przyjął go po bratersku; i następnie zaznajomiłem

ze wszystkimi damami, chociaż nie nadaremnie prze-
czułem w nim od razu nader niebezpiecznego rywala.

Od téj pory p. *Janusz Nowina*, jakeśmy go za-
wsze nazywali, stał się integralną częstką naszego
kółka, codziennym (gdy był w mieście) towarzyszem
naszym; gdyż po kilkakroć z polecenia pani Klaudyny
w różne strony na dni kilka wyjeżdżał.

A teraz cóż mam panu powiedzieć o tém kółku
naszém? To chyba, że choć często bywaliśmy zapra-
szani na wieczory, zwykle jednak, gdy specyjalnej in-
witacyi nie było, zbieraliśmy się o 7-méj u Adama,
który miał najobszerniejsze mieszkanie, lub u mnie,
który lepiej przyrządzałem herbatę,—i pogadanka prze-
ciągała się nieraz dobrze po północy. Ale co do cha-
rakteru tych pogadanek, to niechaj to już pańska wy-
obraźnia dopełni. Ja chyba dodam to jeszcze, że nigdy
żadnych pedanckich rozpraw ani dysput nie było; wza-
jemna zaś życzliwość i ufność, nie krępowały w niczém
swobody i szczerości zdania lub uczucia. A chociaż
często z tego wynikała szermierka myśli i słowa, nie-
kiedy prowadzona z zapałem; ale że osobistość nigdy
w niej nie miała udziału, więc choć się zdania w koń-
cu nie zgodziły, serca zawsze pozostały w jedności. By-
ła to zwłaszcza wieczna historia dysput z Garczyń-
skim o Heglu, i w ogólności o filozofii niemieckiej, której
on był gorliwym adeptem. Pola zaś Adam lubił bar-
dzo jeszcze i za to, że był niewyczerpanym w opo-
wiadaniu różnych starych przygód i anegdot szlachec-
kich, a w dowcipie i żartobliwych conceptach,
dnie sekundował Domeyce.

Prócz tego była to chwila, gdy każdy z
według swéj skali, był właśnie w wienie i werwie

etyckiej, i co kto we dnie lub w nocy poprzedniej napisał, przynosił do osądzenia na wieczór.

Mickiewicz w listach swoich pisze o tych czasach w Dreźnie: „Ach! jak tam mile przepędziliśmy te kilka miesięcy! Jak czułem, że nie prędko już będziemy mieli taką epokę spokojności i pogody! Zdaje się, że jak magnetyzowany z oczu towarzyszy ciągnie się, tak ja z was nabierałem ognia i ochoty.“—Jak te chwile wspominał Pol, pan sam wiesz najlepiej, bo sam kiedyś mówiłeś mi o tém. Ja zaś powtórzę chyba słowa jego do mnie: „Gdzie ztąd do owąd?“ i dodam: „Gdzie on? gdzie oni?“—Jeden tylko Domeyko jest jeszcze na ziemi, a i ten *w świecie nowym*, na drugiej półkuli!

Przychodzą mi więc na myśl słowa „*Ostatniego Minstrela*“ Walter-Skotta, i daruj pan, że je tutaj przytoczę, stosując je do siebie samego:

„Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płaczę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszysz
Zajrzanych niegdyś pieśni towarzyszy;
Bo zawiść moja zgasła razem z niemi,
A żal mi tylko został na téj ziemi.“

Oprócz zawiści, której Bogu dzięki nie było, jest to w istocie wierny dzisiaj mój obraz. A więc, aby skończyć weselę, opowiem panu jeszcze jedną anegdotę, która nas wszystkich kiedyś wielce ubawiła, a przypomina też jeden z najmilszych epizodów ówczesnej naszej epoki Drezdeńskiej.

W początkach Kwietnia 1832 roku, wszyscy pięciu odbyliśmy wspólną pielgrzymkę do Szwajcaryi Saskiej, którą przebiegliśmy piechotą. Na *Bastai* trzech

jakichś młodych, czystej krwi Warszawiaków, jeden z gitarą na błękitnej wstążce przez plecy, weszło z szykiem i szumem, i zasiadło koło nas przy osobnym stoliku, a słysząc nas mówiących po polsku, związało z nami rozmowę. Ani my, ani oni, nie wiedzieliśmy nawzajem kto jesteśmy; ale wnet gitarzysta, z własnej woli swojej, raczył nas zawiadomić łaskawie, że jest „poetą romantycznym“ z Warszawy, i w ślad za tém, z tegoż tytułu, zaczął paplać trzy po trzy różne górno-sentymentalne frazesy, z wyraźną intencją zaimponowania nam przez to. Cytował wyjątki z *Dziadów*, i unosił się nad niemi, i w ogóle nad Mickiewiczem, jakby chciał nas nauczyć i wskazać, jak go trzeba czuć i rozumieć. Koledzy jego, znać było, że go mieli za mędrca i wieszczą, i byli tylko, jak echem słów jego; ja zaś z Domeyką i Polem wyciągaliśmy go coraz dalej na słówka; choć to w końcu Adama nudziło, a Garczyńskiego gniewało. Aż nakoniec, sam gitarowy minstrel, także z własnego natchnienia, raczył nam oświadczyć ochotę zaśpiewania nam nowej swojej piosenki, którą, jak się wyraził, pod wpływem „tęsknot wygnania“ ułożył. Prosiłiśmy go, ma się rozumieć, a on, skrobiąc palcami po strónach, zaczął z najlepszą fantazyą i śmiałością śpiewać mój własny wiersz, p. t. „*Oddalony*,“ drukowany już w zbiorze moich ramot, a zaczynający się od słów:

„Rozwesel lice, cudzoziemeze młody,
Poprzestań tęsknić za rodzinnym krajem“ i t. d.

Potrzeba było użyć całej siły nad sobą, aby parsknąć od śmiechu, widząc zwłaszcza przytém n. i sentymentalną fanfaronadę śpiewaka. Wysłuchaliś

jednak cierpliwie, a nie mając ochoty kompromitować ani jego, ani siebie, pożegnaliśmy co prędzej tych panów, nie pytając o ich nazwiska, aby nawzajem nie powiedzieć swoich. Mickiewicz tylko zastanawiał się głęboko nad tém, „z kąd on mógł wziąć tę gitarę?“ Bo już ciż trudno było przypuszczać, aby ją wynieść miał z kraju, jak Eneasze Penaty z pałaców się Troi; a zaś w dzisiejszym jego położeniu kupować najprzód gitarę!... była to taka cecha romantyków warszawskich, że w zestawieniu ich z tamecznymi także klasykami, posłużyła nam za przedmiot do długiej, długiej rozmowy. Ale przebaczone panu długości tego listu, jeśli się wyda za długi!!“

Na zakończenie, i dla uzupełnienia niejako stosunku mego z Polem, przytaczam tu wiersz mój poświęcony jemu, z powodu dotkliwych, a niesprawiedliwych potwarzy, które nań ręka niegdyś przyjacielska, z niedocieczonej przyczyny, rzuciła, choć dobrej sławy jego przez to przyćmić nie zdołała; tak, jak żadna stronnicza, *pozytywna* krytyka literacka nie zdoła nigdy, w oczach ziomków, przyćmić w autorze „*Mohorta* i *Pieśni o ziemi naszej*“ chwały narodowego poety.

WIT STWOSZ U PRĘGIERZA.

(DO WINCENTEGO POLA).

Śpiewaku Stwosza! jak w senném widzeniu,
Duch mu proroczy, w postaci niewieściój,
(Jak sam opiewasz), w krzyżu i płomieniu
Zwiastował godło chwały i boleści:

Tak snać ku tobie samemu się zbliża,
W blasku twój sławy, znak i próba krzyża.
Bacz więc i czuwaj! abyś sam w téj próbie
Dotrwał, i drugim wzór zostawił w sobie:

„Że krzyż ten tylko zdoła godnie dźwignąć,
Kto sam w miłości nie będzie tu stygnąć.“

I choćby nawet brat wziął rolę kata,
On w kacie nawet nie zapomni brata;
Aż przyjdzie chwila, że mu to odpłaci
Bóg, na swym sądzie, i sąd innych braci.—

Tymczasem, w dowód mych uczuć braterskich,
Przyjm, com wyczytał z kronik Norymberskich.

W Norymberdze gwarno, świętno,
 „Co się stało?”—każdy pyta.
 —„Na rzeźbiarza, Stwosza Wita,
 Pod pręgierzem kładą piętno.”—

—„Za co? Jak mógł? Czém przewinił?
 On, co przez swój żywot cały
 Strzegł zakonu, a co czynił,
 To dla Bożej, naszej chwały?”—

—„Kacierz! Apostata w wierze!
 Wszystkich zbrodni stek i zaród!
 Z Lucyperem wszedł w przymierze,
 Błuzni Bogu, truje naród!”—

—„Gdzież dowody?”—

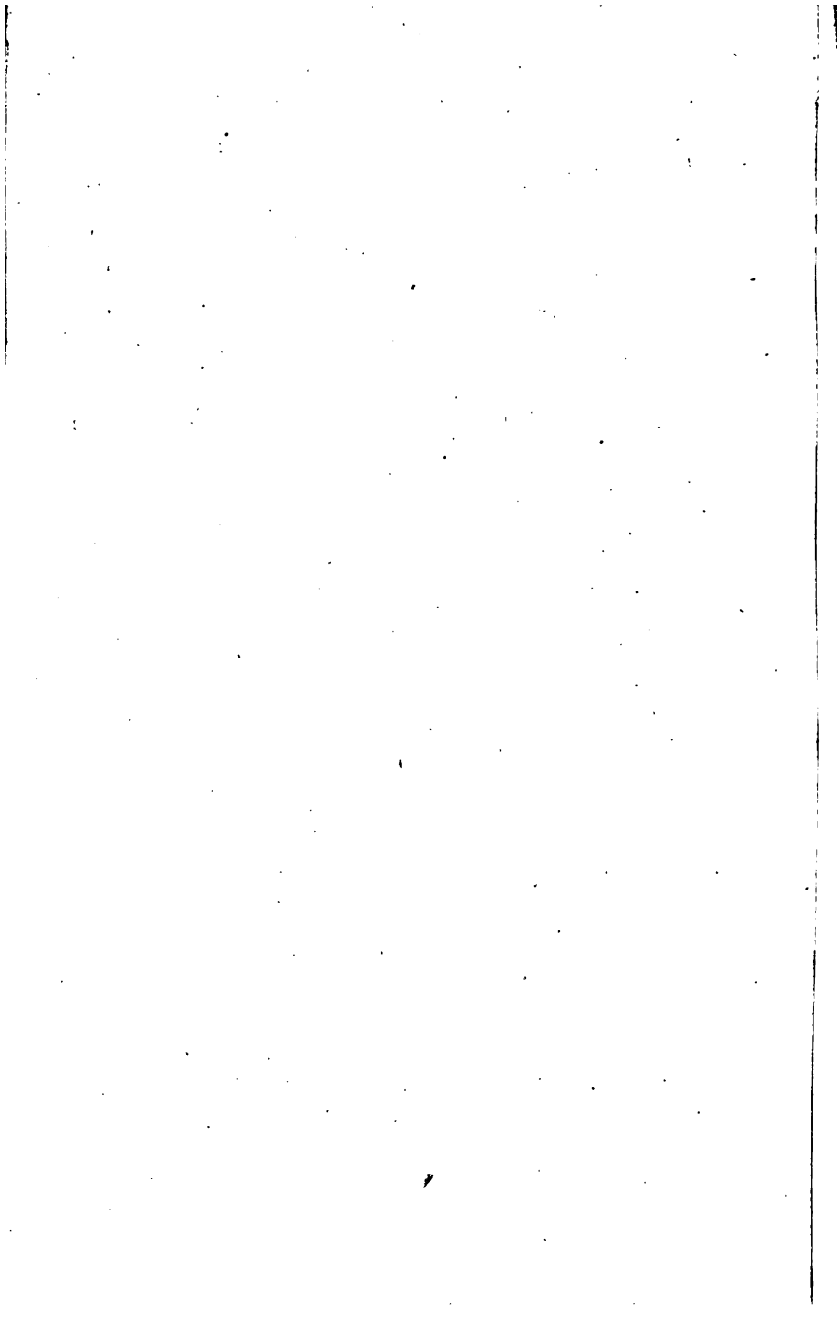
—„Sąd Burmistrza.

Nie potrzebuje dowodu.
 I ja sam dziś dzieło mistrza
 Spełniam—dla dobra narodu!”—

Tak w zgiełku miejskiej hołoty,
 Do tłumu, co go otacza,
 Wołał młodzian, co z ochoty
 Wziął na się rolę siepacza.

Sam on rzeźbiarz, i niedawno
 Uczeń Stwosza—gdy w zapale
 Wielbiąc jego przeszłość sławną,
 Chciał mu tylko zrównać w chwale.

I widząc, jak po mistrzowsku
 Tworzył; nieraz na podziękę,
 Z rozczeniem, po synowsku,
 Usta kładł na jego rękę



PRZYPISY.



(Przypis do str. 85).

DO SYXTUSA JASIEWICZA.

Drogi Syxtusiel tyś od lat dziecinnych
Był mi kolegą, przyjacielem, bratem:
Kiedyż, dla Boga! przestanę z ust innych
Słyszeć a słyszeć, żeś stał się warjatem?

Niegdyś ta nazwa bywała nam wspólną,
Gdyśmy wał z śniegu zlepiwszy śród nimy,
Wierszami z Tassa uczyli młódź szkolną,
Brać w nim, lub bronić mur Jerozolimy.

Lub wiosną, kręgle złocistym papierem
I koguciami okleiwszy pióry,
Gwałtem w nich drugim kazali z Homerem
Widzieć Achille, Ajaxy, Hektory.

Pomnisz, jak wtedy Professor Wymowy,
Śmiał się, aż płakał, z nas i z naszych braci,
A Matematyk, xiądz Prefekt surowy,
Trząsł głową, mówiąc: „Poeci-warjaci!”

No! dajmyż na to! Nazwa ta poecie
Służy jak tytuł dziedziczny u świata.
Ależ ty wierszy nie pisałeś przecie—
Tak!—ale czyny poety-warjata!!!

Najprzód na wojnę:—nie wiedzieć zkąd? czemu?
 Od książki raptem skoczyć do bułata,
 By, coś gdzie czytał, doświadczyć samemu!—
 Wybacz! i jam cię miał za pół-warjata.

Potém na wojnie:—pod gradem kartaczy,
 Raz wraz dobranój przodkując czeredzie,
 Gnać się z hordami Tureckich rębaczy,
 I pewno w myśli marzyć o Tankredzie!

Aż gdyś syt wreście chwały Paladynów,
 Wracał jać radło i pług Cyncynnata,
 Półk twój, do wieńca nabytych wawrzynów,
 Wplótł ci i nazwę: śmiałego warjata.

Potém po wojnie:—kiedy ci swatano
 Familiantkę, i z wianem bogatém:
 Tyś wziął sierotę—biedną, lecz kochaną!—
 Świat—nie ja—znów cię osądził warjatem.

Był czas zaprawdę, gdy widząc w twym domu
 Miłość, i pokój, i anielskie dziecię,
 Sędziowie twoi zamilkli od sromu,
 I coś nad złoto poczuli na świecie.

Sen to był krótki!—i gdyś, przyjacielu!
 Chęć nawet szczęścia zamknąwszy z Nią w grobie,
 W ojeu już tylko i obywatelu
 Żył powinności, krajowi—nie sobie.

Gdyć urząd tylko był polem do pracy,
 A władza służbą krzywdzonych od świata:—
 O! przyjacielu! czyż nie byli tacy,
 Co cię i wtenczas brali za warjata?—

Lecz Pan snąć z góry upodobał w tobie,
 I jak zwykł czynić z wybranými Swémi,
 By duch twój całkiem obrócić ku Sobie,
 Wziął ci ostatni skarb serca na ziemi.

I duch twój pojął świętą wolę Pańską,
 Wziął krzyż—i wesół po nad ziemię wzłata:
 Gdy na cudowną siłę chrześcijańską
 Tłum woła: „Exaltacya warjata!“—

O! przyjacielu! jeśliś z twój pamięci
 I braci serca nie rugował z światem:
 Modlitwą twoją dopomóż méj chęci,
 Bym mógł być takim, jak dziś Ty, warjatem!

1847.

DO TEGOŻ.

W dzień jego prymicyi, 11 Czerwca 1855 r.

Chwała na-wysokości Bogu! a na ziemi
 Pokój ludziom, co idą drogami Bożemi,
 Niosąc swój krzyż i brzemię do wieczności progu!
 Pokój—nie śmierci w grobie, ale życia w Bogu!

Syxtusiel tys dziś stanął na téj świętej drodze;
 Dziś Bóg cię przyjął między sługi Swe, a wodze
 Nas, błądzących po świata rozdrożach;—dziś chwała
 Panu na wysokości, z ust twoich zabrzmiała
 Przed ołtarzem i ludem; dziś sam w rękę twojęm
 Chrystus stał ci się żywym chlebem i napojem,
 I dał moc dłoni twojej, na spółbliźnich czoła
 Rozlać błogosławieństwo Nieba i Kościoła!

Cześć więc na wysokości Panu! cześć i dzięki,
 Za każdy kielich łez twych; za każdy krzyż męki
 Życia twojego: w sercu, i w myśli, i w duszy!
 Boś się obmył w boleści; boś się wzmógł w katuszy;
 Boś ogniem skruchy ducha wypalił swe grzechy;
 Boś zdobył sam, i odtąd masz nieść skarb pociechy

Nam, grzesznym braciom twoim, mdlejącym od znoju,
 Skarb Nadziei, Miłości, Wiary, i Pokoju,
 Co go wziąć tylko może i dać z łaski Pańskiej,
 W prawowiernym Kościele kapłan chrześcijański!

O! i błogosławione czasy i narody,
 Gdzie Bóg dobrych pasterzy poszle dla swój trzody,
 I gdzie ich trzoda ze czcią i miłością słuca!
 Tam wtedy tylko z góry świeci światłość ducha,
 Tam tylko widać drogę do Bożego celu.
 Tak Jehowa przed wieki władał w Izraelu,
 Tak Kościół Apostolski wznosił na gruzach Romy.
 I tak w dziejach narodów rządzi niewidomy,
 Którym wyrzył na sercu i włożył na skronie
 Znak ludu wybranego w Krzyżowym Zakonie.

Spójrz w ich dzieje!—ilekroć wierne Pańskiej woli
 Szły nieść pomoc narodom, zbawiać od niewoli,
 Świat zasłaniać piersiami przed dziecą pogańską,
 Lub zaszczepiać i krzewić wiarę chrześcijańską:
 Patrz, jak obok ich królów, wśród ich rad, w senacie,
 W obozach, stoją święte kapłańskie postacie,
 Podpory majestatu, prawd i swobód stroże,
 Lub przewodnicy na śmierć, za kraj, w imię Boże!

Lecz gdy naród, niestety! zbyt często niepomy
 Cnót ojców: krnąbrny, płochy, albo wiarołomny,
 Miał zboczyć z dróg Miłości, Wiary—ach! i Łaski:
 W Kościele gasły najprzód cnót kapłańskich blaski.
 I był to zawsze w dziejach klęski znak proroczy,
 Jako przed burzą najprzód firmament się mroczy.

Aż gdy pod ręką gniewu Bożego, znów skrucha
 Upokorzyła serca, ożywiła ducha:
 Kto pierwszy zgubne sidła odszczepieństwa targa,
 Jeśli nie święty kapłan-obywatel, Skarga?
 Kto, gdy naród naprawić idzie czyn zdradziecki,
 Da wzór—jeśli nie kapłan-bohater, Kordecki?
 Kto w Krzyżu odkupienie i żywot obwieszcza,
 Gdy nie głos Ojca Marka, głos kapłana-wiesze--?

I co snąć pewniej wróży litość sądów Pańskich,
Jak mnożące się w mroku gwiazdy enót kapłańskich?

Śród nich odtąd, Syxtusie! obyś i ty społem
Świecił długo pomiędzy ludem a Kościołem,
Aż przyjdzie Bóg Zbawiciel, zwić z was wieniec nowy,
Dla Swój Niebieskiej Matki, a naszej Królowej!

A dziś, módlmy się społem, w proch schylając czoła:
My lud, o dobry przykład i chwałę Kościoła,
A ty, w gronie sług jego, za nas lud, Syxtusie,
O Wiarę, i Nadzieję, i Miłość w Chrystusie!

(Przypis do str. 295).

LISTY ADAMA MICKIEWICZA DO A. E. ODYŃCA.

I.

Kijów (5 Lutego 1825 r).

Kochany mój Edouard! „I unosisz, i łajesz, ijęczysz, i krzyczysz!“ Dla czego nie pisałem, spytaj mego brata Alexandra, bo tu nie chcę exkuzami zabierać małej éwiarteczki. Jestem zdrów, jadę z północy na drugi koniec Europy, w dobrym humorze. Dziś, dnia 5 Lutego, biwakowałem w Kijowie, a ile razy wspomnę o Litwie, bądź pewien, że ty jeden z najpiérwszych stajesz przede mną. Myślałem wiele o tobie w Petersburgu, ale ze smutkiem wyznam, nie-najpomyślniejszy był wypadek moich rachunków. Oryentalizm wymaga kutěj na cztery nogi pracy i kosztu na rok jeden. Piérwsze i drugie dla ciebie nie wiem czy łatwe; wszakże mam nadzieję, że do tamtego ty się skłonisz, a to da się jeszcze ułatwić. O wszystkim napiszę do ciebie, gdy będzie co pewnego. Z dgięj strony może się uda znaleźć miejsce w Lice Odeskiém, ale ja sam jeszcze tam nieosiadły nic wsić i obiecywać nie umiem. Zawsze bądź cierpli

i pewien że o tobie nie zapominam, i jeśli nic więcej nie mogę, to ciebie przynajmniej kocham.

Pisz do mnie do Odessy pod adresem Cybulskiego aptekarza, i przypomnij mnie moim znajomym, a szczególnie pani Guttowej, pani generałowej Pągowskiej i całemu jej domowi; pani Macewiczowej, i mojej szanownej panie Józi. Jak tylko przyjadę do Odessy, będzie miała list ode mnie, chociaż mnie już jest dłużną parę odpowiedzi.

Olesiowi i Juljanowi pokłoń się; tobie i im kłania się Franciszek.

II.

Moskwa, d. 22 Lutego 1826 r.

Jest zawsze trochę bałamuctwa w rozmowie ustnej czy pisanej między ludźmi różnego charakteru, a co gorsza, wieku. Jeden drugiego na swoją skalę mierzy. Tak sobie tłómaczę twoje długie żale i zakłęcia. Podług ciebie, czy kto pisze czy milczy, zawsze musi mieć powód w namiętności, kochaniu, gniewie, etc. etc.; lenistwo, okoliczności postronne, nie wchodzą w rachunek! Jeśli koniecznie szukałeś hipotezy na objaśnienie milczenia, lepiej było przypuścić, jak inni, żeś już umarł; byłby na tym koniec, i hipoteza od drugiej nie fałszywsza. Więc tedy powtarzam, żeś się zgoła niegniewał. Wszakże była mała przyczynka jeszcze zawieszenia korespondencyi, po odebraniu listu twego z Wilna w Odessie. Rozpisałeś się tam nieco; nie umiałem cię w biegu zatrzymać, i nie chciałem dalej w pole wyprowadzać. Trzeba ze starymi ludźmi bardzo powoli i uważnie rozmawiać, na humor ich

mieć baczenie! Trudno mi tłumaczyć się jaśniej; widziałbyś w tém nowe dziwactwo. Koniec końców, nie gniewałem się na ciebie.

Słyszales zapewne o moich kursach lądowych i wodnych; nie mam ochoty rozpisywać się nad nimi. Ciekaw jestem niektórych okoliczności twojej podróży do Warszawy. Napisz mnie obszerniej o Ursynie, czy nie utworzył czego nowego? o Brodzińskim, jeśliś go poznał, co zacz jest? o Zaleskim, etc. Bardzo rad jestem z pism obiecanych; ale „*Biblioteki Polskiej*,” jakoby z listem posłanej, dotąd nie odebrałem; może zjawi się jeszcze na poczcie.

Co się tyczy moich poezyj drukowanych zaocznie, pierwszy raz ujrzałem je w Charkowie, z niemalym gniewem. Nie chciałem nigdy wierzyć, abyś zrobił takie dziecinstwo. Owa bazgranina do Olesia, błaża, śmieszna nawet, gdzie się porównyвам do orła,—bardzo skromnieli! Powinieneś był protestować publicznie, że to apokryf. Jakoż nie wierzę, abym choć po winie mógł tak nikczemnie robić wiersze, jakich tam jest kilka. Skoro odbiorę dziennik, poszlę sam ztąd protestacyę.

Dobrze, żeś przyjechał, lubo nie wiem po coś jeździł, i co teraz robisz, i czy w Wilnie zostaniesz? Weź moje interesa po zacnym Maryanie (Piaseckim), który, jak słyhać, ma je porzucić dla odjazdu. Pomów o tém z Alexandrem, lubo nie wiem czy się kiedy razem na co zgodzicie.

Moja muza długo niema, zaczęła wręście ruszać się trochę w Odessie, ale w tym zaraz momencie odebrałem rozkaz wyjazdu. Tam żyłem jak basza, ⁺ jak ostatni janczar. Nie mam osobnej kwatery, si najlichszy, wina nie słyhać, kawy nawet dobrej nie r Nadzieja poprawy jest na waszych obrótach bankowy

Listek tu załączony odnieś pannie Józi, i ukłoń się jej pięknie ode mnie. Jeśli będzie pani Kowalska w Wilnie, zapytaj się czy doszły moje dwa listy? W jednym z nich był bilecik do Józi; na żaden nie odebrałem odpowiedzi Józi.

Adam.

SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
List do Redaktorki Kroniki Rodzinnej	7
I.	17
II. Czasy szkolne	32
III. Czasy uniwersyteckie	86
IV.	262
Kazimierz Brodziński.	311
Stefan Witwicki i Stefan Garczyński.	350
Józef Bohdan Zaleski.	411
Wincenty Pol.	427
Przypisy.	449

